

MAGDA PARUS

*WILCZE
DZIEDZICTWO:
PRZEZNACZONA*

Agencja Wydawnicza

RUNA



WILCZE DZIEDZICTWO: PRZEZNACZONA

Copyright © by the Author, Warszawa 2008

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2008 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe
tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o. ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2008

ISBN: 978-83-89595-48-5

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

SPIS TREŚCI

Spis treści	3
Rozdział 1	4
Rozdział 2	23
Rozdział 3	55
Rozdział 4	73
Rozdział 5	97
Rozdział 6	126
Rozdział 7	166
Rozdział 8	202
Rozdział 9	251
Rozdział 10	273
Rozdział 11	296

ROZDZIAŁ 1

Kiedy otworzyła drzwi, Colin zrozumiał, że każda decyzja, jaką podjął do tej pory, przybliżała go do niej o krok. Zapatrzył się na dziewczynę jak na niespotykane cudowne zjawisko, choć zarazem odnosił wrażenie, że doskonale zna każdy szczegół jej wyglądu.

Ona również wpatrywała się w Colina, jakby Alberto nie istniał - mimo że Włoch stał bliżej wejścia i zadawał jej pytanie, podczas gdy Colin po prostu biernie sterczał z tyłu.

- Panienko? - powtórzył odrobinę poirytowany Alberto.

Tylko on mógł we współczesnych czasach zwrócić się do dwudziestolatki per „panienko”. Dwudziestolatki. Colin nie pojmował, jakim sposobem ustalił jej wiek, ale z pewnością się nie mylił. Natychmiast też zastanowił się, czy nie wyda jej się za stary.

Dziewczyna spojrzała nieprzytomnie na pytającego, na co Włoch z politowaniem potrząsnął głową.

- Jesteś córką Antoine'a? - indagował. - Dobrze trafiliśmy? Tak, tak, nie wątpię, że dobrze. Kiedyś przyjaźniliśmy się blisko z twoim ojcem, ale potem, bywa, nasze drogi się rozeszły, aż niedawno pomyślałem sobie, że skoro zawędrowałem w te strony... Wiesz, sentymenty starych przyków, wszystko jeszcze przed tobą. Giacomo Pirelli - przedstawił się. - Jak te opony, ale nie łączy mnie z nimi najmniejsze pokrewieństwo, więc, niestety, nie dam ci kalendarza. - Z prędkością karabinu maszynowego wyrzucał z siebie mieszaninę francuskich i angielskich słów.

Dziewczyna zamrugła i popatrzyła na rozmówcę ze zdumieniem. Wydawało się, że z tej wypowiedzi przyswoiła niewiele poza informacją, że przybysz nie jest spokrewniony z oponami.

- Proszę? - zapytała po angielsku.

- Ach, porozumiewasz się w cywilizowanym języku! - ucieszył się teatralnie Alberto. - Obawiałem się, że, jak większość zabojadów, uznajesz wyłącznie rodzimą mowę.

Zmrużyła oczy. Należało Albertowi przyznać, że jeśli zechciał, w kilka sekund potrafił zrazić do siebie człowieka. No, w tym przypadku nie całkiem człowieka.

Colina ogarnęła na chwilę panika, czy przez nieuwagę nie zrzucił kamuflażu, jak mu się to zdarzyło w trakcie pierwszego po latach rozłąki spotkania z Emily. Jednakże siostrzyczka wyczuła jego drugą naturę dzięki swym nietypowym zdolnościom, a nie z

powodu zaniedbania ze strony Colina. Maskował się odruchowo, zatem kamuflaż nie opadłby z niego tylko dlatego, że Colin ujrzał najpiękniejszą waderkę, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać.

Chociaż oddychał także odruchowo, a na jej widok...

Alberto powtórzył pytanie o Antoine'a, ale tym razem po angielsku. Mówił z silnym włoskim akcentem, znacznie wyraźniejszym niż ten, jakim posługiwał się w rozmowach z Colinem. Zresztą w Valmorel Colin mógł się także przekonać, że znajomość francuskiego u jego towarzysza bynajmniej nie kuleje. Widocznie Giacomo Pirelli miał być włoski do bólu - aż by się go chciało opisać jako okrągłutkiego, niskiego faceta, przyrządzającego wysmienity makaron.

Wprawdzie Alberto nie był ani zbyt szczupły, ani przesadnie wysoki, a nawet dorobił się już łysiny na czubku głowy, lecz mimo to w jego jowialnej włoskości à la właściciel pizzerii wychwytywało się fałsz. Zamierzony, Colin bowiem obejrzał dotąd kilka skrajnie różnych wcieleń Włocha i każde wypadło bardzo naturalnie. Czyżby Alberto starał się zasygnalizować, że w rzeczywistości nie jest ani trochę sympatyczny i lepiej z nim nie zadzierać? Mógł poczekać z tym pokazem do spotkania z Antoine'em.

Ona niewątpliwie wychwytiła fałsz w zachowaniu Włocha, Colina jednak raczej nie rozszyfrowała.

- Tin?! - zawołał ktoś z domu. Na tyle cicho, że nie zareagowała: przed obcymi ukrywała swe zdolności.

Skąd, u diabła, wadera znalazła się w domu łowcy? Czy ten cały Antoine wiedział, że jego córka przynależy do wrogiego obozu? Bardzo inteligentne pytanie, cholera. Czy zatem Antoine był świadomym? Wtyczką organizacji w środowisku łowców, jak w Ameryce Gordon, a po nim, przez krótki okres, Colin? A potem porzucił tę funkcję, żeby wychować dziecko?

Tyle że ona dawno przestała być dzieckiem. W tym wieku powinna sama pracować na rzecz organizacji, umożliwiając ojcu powrót do służby, w dawnej lub nowej roli. Poza tym, dlaczego Antoine nie nauczył jej kamuflażu? Czyżby w Europie panowały w tym względzie inne zwyczaje?

Colin ponownie zastanowił się nad ostatnią kwestią. W gruncie rzeczy za oceanem nie każdy znany mu świadomy się maskował. Tylko inny członek społeczności zdoła rozpoznać pobratymcę po zapachu, a przecież, przynajmniej oficjalnie, wszyscy tworzą jedną wielką zgodną rodzinę. Po co mieliby zatajać swą drugą naturę przed krewnymi?

Co innego, kiedy w grę wchodzi sprawy zawodowe. Członkowie straży - czy choćby

węszyciele - maskują się, żeby nie zdenerwować tropionego nieświadomego, nawet jeśli wydaje się wątpliwe, by zerówka się zorientowała, czyją wyczuwa woń. A że często biorą udział w akcjach, ten zawodowy kamuflaż wchodzi im w nawyk. Zresztą nie każdemu udaje się w pełni ukryć woń identyfikującą go jako świadomego, przeważnie zostaje ona tylko wytłumiona. Tak czy owak, wyłącznie osobnik ukrywający się przed organizacją maskowałby się na gruncie prywatnym.

Dlaczego zatem Colina zdziwił jej brak kamuflażu? Jakby z góry przyjął, że ona się ukrywa. Czy raczej: że powinna się ukrywać.

- Tin? Kto przyszedł?

Tym razem pytanie rozbrzmiało na tyle głośno, że dziewczyna powinna na nie zareagować. Włoch je usłyszał. Ona jednak stała nieruchomo, wpatrzona w Colina.

Pachniała świeżym mlekiem z nutką dzikości. Niewinna i drapieżna zarazem. Bardzo silna alfa.

Oderwała wzrok od Colina dopiero, gdy za jej plecami pojawił się mężczyzna, niewątpliwie Antoine. Mimo że sprawiał wrażenie zmęczonego życiem, podstarzałego gościa, to wyczuwało się, że potrzebowałby zaledwie tygodnia lub dwóch, żeby odzyskać swój normalny wygląd - budzącego respekt człowieka czynu.

Antoine odsunął dziewczynę na bok. Zdaniem Colina, zbyt bezpardonowo, niewykluczone jednak, że nawet gdyby Francuz poklepał ją po ramieniu pawim piórem i z ukłonem poprosił, by ustąpiła mu drogi, Colin odebrałby jego zachowanie jako obcesowe. Nie uznawał prawa Antoine'a do komenderowania dziewczyną. Czy zareagowałby tak, gdyby łowca faktycznie był jej ojcem? Facet nie nosił woni świadomego, a choć mógł się maskować z dawnego przyzwyczajenia, coś mówiło Colinowi, że stoi przed nim człowiek.

- Co tu robisz? - warknął Francuz, utkwivszy wściekłe spojrzenie w Albercie.

- Antoine! Jak miło zastać cię w dobrym zdrowiu! Giacomo Pirelli! Nie poznałeś? Oczywiście, że nie, przecież mnie nie witałbyś w taki sposób! No? Giacomo! Pirelli! Mediolan? Jak w pysk strzelił, dwadzieścia lat temu? Ej, kolego, nie odjadę, dopóki nie przyznasz, że mnie z kimś pomyliłeś!

Alberto nadal wykrzykiwał kolejne zdania tak, jakby szył seriami z karabinu. Przy czym ewidentnie zależało mu na takim skojarzeniu: dawał Francuzowi do zrozumienia, że ten łatwo się go nie pozbędzie. A wręcz oberwie po pysku - nawet to banalne sformułowanie kryło drugie dno - jeśli odważy się spróbować.

Przesłanie Włocha zostało odczytane prawidłowo. Gospodarz dyskretnie omiół spojrzeniem okolicę. Teoretycznie dom, stojący z dala od innych zabudowań, otoczony

półtorametrowej wysokości murem z kamienia, wzdłuż którego posadzono tuje oraz inne zimozielone badyle, wydawał się dobrze osłonięty przed ewentualnymi wścibskimi spojrzeniami, jednakże Antoine raczej nie zdołałby dyskretnie zastrzelić i zakopać w ogródku obu przybyłych, pomijając już kwestię, czy popełniłby mord na oczach córki. A tylko tak zdołałby się pozbyć Alberta sprzed swych drzwi.

- Wejdźcie - warknął.

- Zaszło mi w gardle po podróży - zakomunikował Włoch meblom w salonie, do którego radośnie wkroczył jako pierwszy. - Masz może piwo w lodówce? - Obejrzał się na Antoine'a. - Och, czy popełniłem *faux pas*? Pewnie jako winnicznik... tak się mówi? No więc masz, winniczniku, piwo, czy też sfrancuziałeś do tego stopnia...?

- Jestem Francuzem - gniewnie wpadł mu słowo Antoine. - Gdybyś zapomniał. - Ostentacyjnie rozsiadł się w fotelu, dając do zrozumienia, że nie zamierza niczym częstować intruzów.

- Panienko? - Alberto spojrzał na dziewczynę, która bezwiednie przywędrowała za nimi. - Wnioskuje, że w kwestii zimnych napojów...

- Tin! - Francuz poderwał się z fotela. - Wracaj już do pracy. Mam z panami kilka spraw do omówienia. Zadzwoń przed szóstą.

Wydał jej rozkaz w najczystszej postaci. Colinowi poczerwieniało przed oczami na myśl, że plugawy łowca traktuje tę piękną waderkę jak swoją sukę. Zacisnął pięści, bliski urzędnika jatki.

Zreflektował się, dostrzegłszy na twarzy dziewczyny przelotny wyraz paniki. Jakimś sposobem miał pewność, że to nie słów Antoine'a tak się przestraszyła.

- *Au revoir* - rzuciła miękko, omijając wzrokiem Colina, po czym natychmiast się ulotniła.

Odniosł wrażenie, jakby wręcz prosiła go o zachowanie rozsądku. Bała się o Antoine'a. Psiakrew, Colin nie chciał, żeby myślała o nim jako o porywczym typie, który zagraża spokojowi jej domu. Gwałtownie usiadł na sofie, opierając łokcie na kolanach.

- Wpadła chłopakowi w oko ta twoja ślicznotka - rzucił Alberto, nie kryjąc irytacji.

- Ani się waż ponownie na nią spojrzeć! - zaatakował Colina gospodarz. - Moja córka nigdy nie zwiąże się z łowcą!

Antoine bał się, że któryś z intruzów odkryje drugą naturę Tin. Przeciętny łowca zareagowałby na tego rodzaju rewelację tylko w jeden sposób. Dlatego Francuza tak zdenerwowała ta niespodziewana wizyta - i właśnie z obawy o życie dziewczyny wyprosił ją z pokoju. Colin powinien być facetowi wdzięczny za tę troskę, zamiast szykować się do

ataku.

- Ależ oczywiście! - przytaknął z szerokim uśmiechem Alberto, wreszcie porzucając karykaturalnie włoski akcent. - Nieustannie powtarzam, że prawdziwy łowca z nikim się nie wiąże. Jak to mówią: albo rybki, albo akwarium. Jeśli ktoś marzy o tym, żeby sobie gruchać z żonką i hodować dzieciaki, nie powinien w ogóle...

- Załapałem - przerwał mu ze złością Antoine, choć najwyraźniej po części zgadzał się z Włochem, spod gniewu bowiem przebijało poczucie winy.

Colin sięgnął myślami do wiadomości, jakie Alberto przekazał mu na temat Francuza, kiedy tu jechali. Wściekał się na siebie, że nie słuchał wtedy zbyt uważnie. Jego przecucie milczało - odkąd postawił stopę na europejskiej ziemi, nie odezwało się ani razu - nie spodziewał się więc, że te informacje wkrótce nabiorą dla niego wielkiego znaczenia. Gadaniny Włocha jako takiej miał już po dziurki w nosie.

W każdym razie przydługi wywód Alberta sprowadzał się do stwierdzenia, że Antoine, szalenie utalentowany łowca, w zasadzie z dnia na dzień wycofał się z zawodu, ponieważ panienska, z którą swego czasu przelotnie romansował, zmarła niespodzianie, zostawiając mu na głowie cztero- albo pięcioletnią córkę. Włoch z pewnością mówił coś więcej na temat matki Tin, ale Colin nie potrafił sobie niczego przypomnieć. Zresztą co za różnica. Ona nie była córką Antoine'a, w tej kwestii Colin wyzbył się ostatnich wątpliwości.

- Domyślam się, że nie wyjedziecie stąd, dopóki nie uzyskacie tego, po co przyjechaliście - odezwał się Francuz po chwili uporczywego milczenia. - Nie zawahacie się zniszczyć spokoju mojej córki, byle osiągnąć cel. I nigdy nie nazwałbyś tego szantażem.

- Szantaż? - obruszył się Alberto. - Mocnych używasz słów, przyjacielu.

- Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Czego chcesz?

- Butelki zimnego piwa, na dobry początek - oznajmił z uśmiechem Włoch. - Dla mojego młodego towarzysza także. Przypuszczam, że jemu jeszcze bardziej zaschło w gardle.

- Skończ - warknął Colin.

Natychmiast pożałował swojej reakcji, gdyż z twarzy Alberta spłynął uśmiech, a w jego małych ciemnych oczach zapłonęła wściekłość. Niniejszym Colin dołączył do grona najbardziej godnych pogardy zdrajców, porzucających sprawę dla pary zgrabnych nóg i błękitnego spojrzenia.

Jakim cudem ona miała niebieskie oczy? Cudowna, niespotykana w społeczności barwa. Choć niewykluczone, że jedynie nosiła maskujące soczewki, żeby zmylić łowców na wypadek takiego jak dzisiejsze, niespodziewanego spotkania. Ilu ich się dotąd przewinęło przez dom Antoine'a?

Francuz wrócił z trzema butelkami piwa. Punkt dla Alberta, chociaż Colin nie pojmował sensu tej bitwy. Chyba że znowu chodziło o demonstrację: jeśli Włoch wykazał tyle determinacji w banalnej kwestii piwa, należało przypuszczać, że w zasadniczej sprawie nie cofnie się przed niczym.

Colin przyjął od Antoine'a butelkę orpala, dziękując mu niewyraźnym uśmiechem. Żałował, że nie zdążył się Tin nawet przedstawić; a teraz wróciła do pracy, skąd przyjdzie dopiero po ich wyjeździe... No, ale właściwie to lepiej, bo musiałby użyć imienia Vernon. A wtedy ona tak właśnie by o nim myślała: Vernon, łowca. Antoine niewątpliwie ostrzegął ją przed swymi dawnymi towarzyszami po fachu.

- Vernon! - Poirytowany głos Alberta przywołał Colina do rzeczywistości. - Skup się, do cholery. Te miłostki są zabawne jedynie na krótką metę.

- Gdzie tu jest toaleta? - zapytał Colin, zaskakując tym siebie samego.

Wezwała go. Nie pojmował, jak tego dokonała, ale szedł do toalety z niezachwianą pewnością, że Tin będzie tam na niego czekać.

Faktycznie czekała, tyle że na zewnątrz, pod oknem, które Colin natychmiast otworzył.

Patrzyli na siebie, trochę jak bliskie sobie osoby, które spotykają się po długiej rozłące. Każdy szczegół jej twarzy jakby odświeżał się w pamięci Colina, znany od dawna, ale rozmyty wskutek upływu czasu.

- Jesteś łowcą? - zapytała z wahaniem.

No tak, oficjalnie nie miała pojęcia o przeszłości ojca, zatem w jej odczuciu już tak proste pytanie wiązało się z ryzykiem.

- Świadomym - odparł Colin.

- Świadomym swych praw i obowiązków? - zażartowała, słysząc jednak przyspieszone bicie jej serca. Wiedziała, teraz już wiedziała.

- Nigdy żadnego nie spotkałaś?

Znał odpowiedź. Wyczuwał jej fascynację, ogromną radość, że wreszcie poznaje kogoś ze swoich. Na moment zrzucił kamuflaż, żeby lepiej się jej zaprezentować.

Zadrgały jej nozdrza, cofnęła się o krok od okna. Zaniepokoił się, że ją przestraszył. Ale nie, tylko zaskoczył. Zmrużyła oczy i przyglądała mu się, przekrzywiwszy nieco głowę. Miała piękne włosy. Długie, lśniące, ciemnokasztanowe. Podobne do włosów Rose, choć tamtymi Colin nigdy się przesadnie nie zachwycał.

- Colin - powiedziała. - Nazywasz się Colin?

- Dla Antoine'a Vernon - odparł bez zdziwienia, że tak łatwo odgadła jego imię. - On

nie jest twoim ojcem?

Wolno pokręciła głową.

- Przyjechałeś go zabić? - W jej głosie pojawił się strach.

- Tak się do niego przywiązałaś?

Kochała Antoine'a, ale nie chciała określać w ten sposób relacji między nią a łowcą. Niemniej nie musiała tłumaczyć Colinowi, jak bardzo zraniłaby ją śmierć opiekuna. Właściwie niczego nie musiała mu tłumaczyć...

- Przecież wiesz, że nie - powiedział. - Mimo że... jak się zorientowałaś, trochę mnie zdenerwował.

- Wiem - stwierdziła niepewnie. - Tylko wydaje mi się dziwne... niemożliwe... niesamowite, żebym tak po prostu... - Urwała.

Colinowi także wydawało się niesamowite, że potrafił przewidzieć, co powie Tin. A zarazem odbierał tę sytuację jako najzupełniej naturalną.

- Nie boisz się, że się znudzisz? - zapytała z niepokojem.

- Prędzej tego, że ty się znudzisz.

- Ja to co innego.

I znowu Colin wiedział, o czym ona mówi. Nieistotne, jakich używała sformułowań lub jak niejasno brzmiałaby jej wypowiedź dla osoby postronnej, Colin od razu pojmował, co chciała wyrazić.

Był pierwszym świadomym, jakiego spotkała od czasów dzieciństwa, osnutego zresztą mgłą zapomnienia. Pierwszym przedstawicielem społeczności, której liczebności nawet się nie domyślała, Antoine bowiem, jeśli w ogóle rozmawiał z nią na ten temat, przekazywał jej co najwyżej przekonania łowców: zwierzyna to zaledwie kilka rozproszonych po świecie osobników, skutecznie tępionych przez dzielnych obrońców ludzkości. Colin fascynowałby ją, nawet gdyby był jej obojętny.

Natomiast siebie samą Tin postrzegała jako dziewczynę ze wsi, dzielącą czas między dom, szkołę i sporadyczne spotkania z koleżankami. Mogła opowiedzieć Colinowi treść interesującego filmu, ale we własnym życiu nie znajdowała niczego, co zasługiwałoby na jego uwagę. Jedyłą pielęgnowaną przez nią tajemnicę odkrył w chwili, gdy otworzyła drzwi.

- Nie znudzę się - oświadczył z niezachwianą pewnością Colin. - Nigdy dotąd nie czułem z nikim takiej bliskości. To... ekscytujące.

Powątpiewała w tę deklarację. Rozmawiali zaledwie parę minut, nadal niewiele wiedzieli o sobie nawzajem, tak więc każda kolejna odczytana myśl przynosiła frapujące odkrycie. Jednakże po tygodniu czy dwóch...

- Powinieneś już do nich wracać - powiedziała Tin. Obawiała się wniosków, do których zmierzał Colin. - A ja muszę iść do sklepu, kończy mi się przerwa na lunch.

- Nie znudzę się - powtórzył. - Powiedz mi jeszcze... - Wychylając się przez okno, przytrzymał ją za ramię, ponieważ już się odwracała. Dotknął jej po raz pierwszy... Cofnął rękę. Na chwilę zapomniał, o co chciał ją zapytać. - Powiedz... to znaczy... muszę wiedzieć... jak to się stało, że się tobą zaopiekował?

Przez jej myśli przemknął strach.

- Zabił twoich rodziców? - Wściekłość narosła w Colinie tak gwałtownie, że przebarwiły mu się oczy.

A Tin przestraszyła się go nie na żarty.

- Nie bój się mnie, do cholery! - warknął.

Buntowniczo przygryzła wargi, podczas gdy Colin usiłował nad sobą zapanować.

- Wychował mnie - oznajmiła po chwili. Twardo, tonem wykluczającym dyskusję. - Jeśli ktokolwiek ma prawo pragnąć zemsty, to tylko ja. A ja rozumiem go, szanuję i Kocham, jak ojca. Był łowcą, postąpił tak, jak uważał za słuszne. Mnie także mógł zabić, ale tego nie zrobił. Przeciwnie, zaopiekował się mną i pokochał jak własne dziecko.

Colina zalała falą nienawiści do tego skurwysyna. Drań najpierw zastrzelił jej rodziców, a potem odgrywał troskliwego tatusia! Stłamsił Tin, uzależnił od siebie psychicznie, tak że wbrew rozsądkowi uważała go za swego dobroczyńcę. Colin zapragnął ją natychmiast wyzwolić, zatapiając zęby w tym cholernym...

- Przestań! - rzuciła ostro.

Także jej oczy się przebarwiły, tyle że, w przeciwieństwie do Colina, ona nie straciła panowania nad sobą - po prostu sądziła, że takie triki stosuje się w trakcie sporów między przedstawicielami jej rodzaju.

- Cierpisz na syndrom sztokholmski - warknął Colin.

- Nic nie wiesz o moim tacie! Jeśli spróbujesz go tknąć...

- To co? - podchwycił, ponieważ się zawahała. Nigdy więcej się do niego nie odezwie? Jeszcze zanim wygłosiła to oświadczenie, pojęła, że nie zdoła dotrzymać obietnicy.

- Zranisz mnie - powiedziała, odzyskując spokój. - A ja nigdy ci nie wybaczę. Przy każdym naszym spotkaniu będziesz czytał w moich myślach wyrzut.

W tę zapowiedź Colin uwierzył. Zacisnął zęby. Musiał wrócić do salonu, usiąść naprzeciw tego skur... tego drania, słuchać, jak rozmawia z Albertem.

- Właśnie tak - potwierdziła cicho. - Spuść wodę, zanim stąd wyjdiesz. W salonie to słychać.

Odwróciła się i odeszła. No, super. Colin przymknął powieki, opierając się dłońmi o okienną framugę. Pierwsza ich rozmowa i od razu kłótnia. Nie chciał, żeby Tin zapamiętała go jako rzucającego mięsem raptusa, ale nie dała mu szansy na zatarcie złego wrażenia. Wszystko przez tego... Znów zacisnął zęby.

Zamknął okno i kilka razy odetchnął głęboko. W ostatniej chwili przypomniał sobie o spuszczeniu wody.

Kiedy Colin wrócił do salonu, Alberto akurat relacjonował w skąpych słowach ich wspólną podróż w poszukiwaniu wieści od Dirka. Colin otworzył swoje piwo i usiadł na sofie obok Włocha. Chyba niewiele stracił z rozmowy. Jak długo go nie było?

- Moim zdaniem Dirk nie żyje - obwieścił Alberto. - Przy czym albo sprawa tak go pochłonęła, że zaniedbał pozostawienie dla mnie wskazówek, albo po jego śmierci ktoś oczyścił skrzynki kontaktowe. Tym samym zostałeś ostatnią osobą, która może udzielić mi informacji na temat jego odkryć.

Antoine zmierzył rozmówcę nieprzychylnym spojrzeniem. Wyraźnie cisnęło mu się na usta pytanie, jakim sposobem Alberto go odnalazł, ale nie chciał dawać przeciwnikowi okazji do wygłoszenia protekcyjnego: „Mam swoje sposoby”.

- Nie przyszło ci do głowy, że Dirk po prostu zapomniał zmienić datę wysłania tego SMS-a? - zapytał.

- Ależ przyszło. - Alberto uśmiechnął się serdecznie. - Odrzuciłem jednak takie wyjaśnienie. Dirk nigdy o niczym nie zapominał.

Francuz łyknął piwa. Sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, czy nie powinien mimo wszystko udać się po pistolet, zastrzelić obu intruzów, a potem wziąć się do kopania dołów. Czy gdyby Colin zabił Antoine'a w samoobronie, Tin także miałyby mu to za złe?

Ciągle czuł się oszołomiony rozmową z nią. Tak cudowną, że aż nierealną, jakby zdarzenie rozegrało się w jego wyobraźni. Nie, przecież sobie tego spotkania nie wymyślił.

Zmusił się, żeby na powrót skupić się na wypowiedzi Włocha. Emily. Przyjechał do Europy, żeby odnaleźć siostrę, a nie oddawać się miłostkom. Porzucił obiecujący przypadek w Valmorel - pierwszą od wielu miesięcy sytuację rokującą nadzieję na spotkanie kogoś ze straży - ponieważ Alberto zdołał go przekonać, że wpadł na znacznie ciekawszy trop. Przypuszczalnie Colin dał się zwieść szaleńcowi, ale skoro stracił tamtą okazję, pozostawało mu skupić się na tajemniczym śledztwie, prowadzonym ponoć przez Dirka.

Dirk, niemiecki łowca, podobnie jak Alberto skłaniający się ku tezie, że zwierzyzna jest przeciwnikiem groźniejszym i lepiej zorganizowanym, niż się powszechnie przypuszcza w

ich środowisku, zaginął bez wieści. Alberto otrzymał SMS-a, stanowiącego sygnał o kłopotach, automatycznie wysłanego ze strony internetowej. Gdyby sprawy układały się pomyślnie, Dirk po prostu przestawiłby na późniejszy termin datę wysłania wiadomości, jak to robił od lat.

Po nadejściu SMS-a Włoch prezentował ekscytację i pewność siebie człowieka, który trafił na ważny ślad, dając do zrozumienia, że dotarcie do celu stanowi zaledwie formalność. A Colin złapał się na to niczym niedoświadczony szczeniak. W tydzień objechał z łowcą ćwierć Europy, grzecznie pilnując wozu Alberta, kiedy ten odwiedzał kolejne skrzynki kontaktowe. Za każdym razem miała to być właśnie ta, w której Dirk na sto procent zostawił wskazówki. Tymczasem Niemiec zapewne najzwyczajniej w świecie wpadł pod samochód, zamiast zginąć z rąk agentów wilkołaczej organizacji, jak zakładał Alberto. Prowadzone przez Dirka śledztwo stanowiło wyłącznie domniemanie Włocha.

- Czy jeśli podzielę się z tobą informacjami, które powierzył mi Dirk, odjedziesz i nigdy nie wrócisz? - zapytał Antoine po dłuższej chwili pełnego wrogości milczenia.

Zatem jednak śledztwo. Colin nadstawił uszu, zaciekawiony i jednocześnie odrobinę zły, że diabli wzięli efekty jego procesu dedukcji.

Czuł się nieco poza nawiasem, kiedy tak tkwił na sofie, ignorowany przez obu rozmówców. Znienacka pojął, że Alberto przyciągnął go tu tylko po to, żeby uniemożliwić Francuzowi zastosowanie rozwiązania siłowego. Gdyby Włoch przyjechał sam, gospodarz uznałby, że ma szansę zastrzelić intruza z zaskoczenia. Z dwoma przeciwnikami nie mógł się mierzyć, zwłaszcza że nie znał umiejętności Colina ani zadań, jakie Alberto wyznaczył mu na czas tej wizyty.

- Wszystko zależy od jakości tych informacji. - Alberto nadal się uśmiechał. - Jeśli okażą się cenne, naturalnie zostawimy twoje gniazdko w spokoju, ale w ciemno ci tego nie obiecuję. Walczymy o zbyt ważną sprawę. Nie obawiaj się jednak, ja nie zdradzam przyjaciół.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak groźba. Włoch może i nie zdradzał przyjaciół, lecz - jak wcześniej zauważył Antoine - ci dwaj nigdy nie pałali do siebie sympatią.

Cisza w salonie się przedłużała. Włoch błędził leniwie wzrokiem po pokoju, skupiając na moment uwagę to na glinianym wazoniku na komodzie, to na portrecie kobiety, zdobionym ścianę obok kominka. Oficjalnie przedstawiał on chyba matkę Tin, choć faktycznie pochodził z targu staroci.

Francuz był w kropce. Na zabicie intruzów nie miał w tej chwili szans, a Włoch jasno dał mu do zrozumienia, że bez informacji stąd nie wyjedzie. Zatem nawet jeśli Antoine planował wykończyć ich obu przy dogodnej okazji, najpierw musiał im wyjaśnić, nad czym

pracował Dirk.

Dopiero po paru sekundach Colin uzmysłowił sobie, że właściwie Francuz chce im odpowiedzieć. Owszem, nie znosił Alberta, niemniej w wojnie przeciw zwierzyńce walczyli obaj po tej samej stronie. Antoine wycofał się z zawodu ze względu na Tin i także z jej powodu wykluczał własne zaangażowanie w tajemnicze śledztwo Dirka, lecz gryzłoby go sumienie, gdyby cenne informacje pozostały niewykorzystane. W pewnym sensie Włoch stanowił dla niego wybawienie. Gdyby tylko Alberto okazał na wstępie nieco więcej serdeczności, ani chybi opuszczalby już dom dawnego kolegi po fachu, i to bogatszy o kilka wskazówek.

Nieomylny Alberto źle ocenił sytuację. Colin poczuł z tego powodu głupią satysfakcję, po czym skłął się w duchu, gdyż ów błąd w ocenie wynikał przecież z przekonania Włocha, że Tin jest biologiczną córką Antoine'a niemal dorosłą dziewczyną, która wkrótce opuści rodzinny dom - a wtedy jej ojciec zateęskni za dawnym życiem. Planując powrót do zawodu, Francuz pragnąłby osobiście podjąć przerwane przez niemieckiego kolegę śledztwo, w przekonaniu, że sam zrobi to najlepiej. Do zmiany zdania mogła go nakłonić tylko obawa przed reakcją ukochanej córki na wieść o dawnym zajęciu tatusia. I oby Włoch jak najdłużej pozostał przy takiej wizji relacji rodzinnych Antoine'a.

Wprawdzie Tin rzeczywiście dorosła, niemniej Colin żywił dziwne przeświadczenie, że opuszczenie przez nią rodzinnego domu nie wchodzi w rachubę. Znów załapała go nienawiść do byłego łowcy.

- Dirk trafił na ślad pewnej kliniki - powiedział z niechęcią Antoine. - Niemieckiej kliniki leczenia niepłodności.

- Sztuczne zapłodnienie? - ożywił się Alberto. Z jego twarzy zniknął fałszywy uśmiech, a ton głosu i postawa tchnęły profesjonalizmem. - Wilkołaki używały kliniki, żeby rozmnażać najcenniejsze okazy, wykorzystując do tego ludzkie matki?

- Owszem, Dirk wysunął takie przypuszczenie - odparł ostrożnie Antoine. - Dawniej, nim opracowano metodę mikromanipulacji, zapotrzebowanie na nasienie od dawców było większe, obecnie jednak można zapłodnić komórkę jajową nawet za pomocą pobranych z jądra spermatyd, tak więc komórki jajowe i plemniki pochodzą zwykle od poddającej się leczeniu pary. Dirk nie sądził, żeby podmieniano plemniki czy komórki jajowe, albo też, na późniejszym etapie, zarodki, w wypadku gdy przyszli rodzice wiedzieli, że dziecko otrzyma wyłącznie ich geny. Taka podmiana mogłaby wyjść na jaw, jeśli nie w klinice, to później, w postaci niezgodności grup krwi, lub przy badaniach DNA, gdyby rodzicom wydało się podejrzanym, że dziecko tak mało ich przypomina.

- Zatem pozostają przypadki, kiedy korzystano z komórek jajowych lub plemników pochodzących od anonimowych dawców - stwierdził Alberto. Wstał z sofy i zaczął spacerować po pokoju. - Pytanie: jakie możliwości podmiiany miała osoba pracująca dla wilkołaczej organizacji? - Zatrzymał się nagle. - Zakładam, że była tylko jedna? Antoine wzruszył ramionami.

- Dirk przypuszczał, że pracowała tam dla nich jedna, góra dwie osoby, natomiast reszta personelu nie miała o niczym pojęcia i sumiennie wywiązywała się ze swoich obowiązków - przyznał. - Zdaje się, że nawet ustalił podejrzanego. To był lekarz, który zwolnił się wkrótce po tym, jak Dirk zainteresował się kliniką. Facet posługiwał się fałszywym nazwiskiem i przepadł bez śladu.

- Czy zarodkom nie robi się badań genetycznych? - dociekał Alberto. - Celem wykluczenia chorób?

- Owszem, stosuje się diagnostykę preimplantacyjną - przytaknął Antoine. - W niektórych krajach rutynowo, ale chyba nie w Niemczech. Polega ona na stwierdzeniu mutacji w określonym genie, który prawdopodobnie występuje zarówno u ludzi, jak i u zwierzyny. Niemniej różnice między człowiekiem a zwierzyną na poziomie genetycznym są podobno minimalne...

- Co przecież nie oznacza, że nie istnieje ryzyko wykrycia nieprawidłowości w materiale genetycznym w trakcie takiego badania - wpadł mu w słowo Alberto. - Poza tym z połączenia komórki jajowej czy nasienia wilkołaka z materiałem ludzkim mógłby powstać człowiek albo okaz nie całkiem odpowiadający ich potrzebom. Nie praktykuje się przypadkiem także dawstwa zarodków?

- Oczywiście - przytaknął niechętnie Antoine. - Dirk rozumował podobnie jak ty, dlatego skupił się właśnie na tej grupie pacjentów.

- Tak, wówczas wilkołaki wiedziałyby, co im z danego zarodka wyrośnie. - Alberto się zadumał. - Te zarodki nie mogły znajdować się w banku w klinice. Dostarczano je z zewnątrz i podmieniano tuż przed zabiegiem. Hm. Rzeczywiście, tak by osiągały najbardziej pożądaną efekt przy zminimalizowanym ryzyku. Rodzice nie mieliby podstaw oczekiwać, że dziecko będzie podobne choć do jednego z nich... A noworodki? Jakie badania wykonuje się po porodzie?

- Pobiera się krew do badań przesiewowych, ale tutaj różnice między zwierzyną a ludźmi nie są widoczne. Dirk twierdził, że tylko drobiazgowe badanie DNA ujawniłoby niezgodności.

Śluchając tej wymiany poglądów, Colin z trudem powstrzymywał cisnący mu się na

usta kpiący uśmieszek. Klinika leczenia niepłodności! Jakoś nie mógł uwierzyć, by organizacja prowadziła tak skomplikowaną i kosztowną operację. W dodatku po co? Żeby w brzuchach kilku ludzkich kobiet umieścić małych świadomych? Przecież w społeczności wręcz karze się tych, którym zdarzy się przygoda z ludzką kobietą bez prezerwatywy! Wystarczyłoby wydać co dorodniejszym basiorom polecenie służbowe: „Idźcie i mnożcie się”. Colin nie sądził, żeby znalazło się wielu narzekających na te nowe obowiązki.

Chociaż... Przypomniał sobie, jak określił go Udo. „Niezwykle cenny okaz”. Byk rozplodowy. Colin myślał, że kapłanowi chodzi o naturalne metody, ale przecież równie dobrze mogli zażądać od niego nasienia, które połączyliby z komórką jajową silnej świadomej. Tylko że taki zabieg wymaga chyba warunków laboratoryjnych, specjalistycznego sprzętu, specjalistów...

Bez sensu. W społeczności znalazłoby się wiele okazów równie „cennych” jak Colin, a przy tym skłonnych do współpracy przy rozmnażaniu gatunku.

No, chyba że chodziłoby o całkiem wyjątkowe osobniki. Obdarzone niepowtarzalnymi cechami, jak Emily. Albo kapłani. Ale wtedy trzeba by myśleć raczej o klonowaniu niż klasycznym rozmnażaniu.

Nie, psiakrew. Jan słusznie ostrzegł go przed Albertem: Włoch umiał być ogromnie przekonujący. Tak bardzo, że nie zauważało się punktu wyznaczającego początek jego szaleństwa, a nawet samemu tworzyło się pokręcone teorie.

Z drugiej strony, ani Antoine, ani Dirk, o ile Colin zdołał go poznać z opowieści i niepochlebnych komentarzy Alberta (pieprzony pedantyczny Niemiec, marnotrawiący czas i środki, żeby udowodnić rzeczy, które Włoch wiedział na logikę), nie wydawali się facetami skłonny do fantazjowania. Skoro Dirk poważnie zainteresował się legalnie działającą kliniką, musiał mieć po temu istotne powody. Ponieważ zaś klinika zajmowała się zapłodnieniami pozaustrojowymi, oczywiste, że hipotezy Niemca dotyczyły rozmnażania świadomych.

- W jaki sposób Dirk trafił na ślad kliniki? - dociekał Alberto, usiadłszy znów obok Colina.

- Dirk rzadko ujawniał swoje źródła - mruknął Antoine tonem przypomnienia. Użył czasu przeszłego, jakby pogodził się z myślą, że Niemiec nie żyje. - Dotarł do dzieciaka, który urodził się w efekcie leczenia, jakiemu w tym ośrodku poddali się jego rodzice.

- Skąd wziął namiary? - drażył Włoch. - Podejmował wobec tego dzieciaka jakieś działania? Ile szczeniak ma lat?

- Około trzech. Kto naprowadził Dirka na trop, nie mam pojęcia, podobnie jak nie

znam personaliów tego małżeństwa. Para skorzystała z zarodka od dawcy, stąd Dirk tym bardziej skłaniał się ku hipotezie, że należy skupić się na tej grupie pacjentów. Dzieciaka nie ruszał, żeby nie wzbudzić ich podejrzeń. Przez kilka tygodni obserwował klinikę, po czym nawiązał kontakt z jej dyrektorem, profesorem Hintermannem, specjalistą od zapłodnień metodą ICSI.

- Upewnił się, że facet nie jest poszukiwaną przez niego wtyką? - zaatakował Alberto.

Wyczuwalnie paliła go zazdrość. „Pieprzony pedant” trafił na bombę, której Włoch szukał od lat.

- Nie był głupcem, do cholery - zirytował się Antoine. - Potrafił o siebie zadbać.

- Najwyraźniej niedostatecznie - stwierdził zjadliwie Włoch.

Na ten argument Antoine nie znalazł celnej riposty. Zadrgał mu mięsień na policzku.

Colin nie pojmował, dlaczego Alberto nie poczeka ze złośliwymi komentarzami do czasu uzyskania od Francuza wszystkich informacji. Chyba że Włoch postawił sobie za cel wyprowadzenie rozmówcy z równowagi, tak by ten przestał się kontrolować i ujawnił również te szczegóły, które pierwotnie umyślił zatrzymać dla siebie.

Antoine bowiem dobierał słowa ostrożnie, jakby z każdej przekazywanej Albertowi wiadomości zachowywał co nieco w sekrecie.

- Hintermann nie żyje - wypalił zniechęca Antoine.

Zaskoczył przeciwnika, choć należało Albertowi przyznać, że szybko odzyskał rezon.

- Jak zginął? - zapytał rzeczowo Włoch.

- Oficjalnie atak serca. Znalezione go... przed niespełna miesiącem, w wynajętym paryskim mieszkaniu, w bloku w dziewiętnastej dzielnicy. Pojawiło się kilka wzmianek na ten temat, bo... no cóż, trochę trwało, zanim ktoś wreszcie zdecydował się wezwać policję. Uznany niemiecki lekarz, który odchodzi w nietypowych okolicznościach, w obskurnym otoczeniu.

- Ukrywał się?

- Hintermann początkowo z wielką niechęcią podszedł do sugestii, że w jego klinice dzieje się coś niedozwolonego. Dirk przedstawił mu się jako przedstawiciel niemieckiego Ministerstwa Zdrowia, prowadzący dyskretne śledztwo w sprawie nieprawidłowości, których natura nie jest dotąd w pełni znana. Zasugerował, że chodzi o genetyczne eksperymenty związane z transgenezą. Gdyby taka informacja przeciekła do prasy, zniszczyłaby Hintermanna, bez względu na to, czy o czymkolwiek wiedział. Jako dyrektor kliniki ponosił pełną odpowiedzialność za to, co się w niej dzieje.

- Zastraszył go. - Alberto uśmiechnął się z uznaniem.

- Właściwie tak. Hintermann nie należał do odważnych. Zgodził się na współpracę, oczywiście zachowując sprawę w tajemnicy przed resztą personelu. Co więcej, faktycznie coś odkrył. Zapewne naszą chimere, chociaż nie sędzę, żeby się zorientował, z czym konkretnie ma do czynienia. Przestraszył się tego odkrycia tak bardzo, że uciekł. Do Paryża. Potem nawiązał kontakt z Dirkiem. Chciał się z nim podzielić swymi ustaleniami, naciskał jednak na spotkanie. Dirk mówił, że przez telefon wywarł na nim wrażenie panikarza, który obejrzał w ostatnich dniach zbyt dużo filmów szpiegowskich.

Nie udało mu się wydobyć z Hintermanna żadnych informacji na odległość, pojechał zatem do Paryża, żeby się z nim zobaczyć. Z drogi zadzwonił do mnie i przekazał mi te informacje. Więcej się nie odezwał. Przyznaję, że temat mnie zaciekawił, więc poszperałem trochę w sieci. Tak trafiłem na wzmiankę o śmierci profesora.

- I od miesiąca nic nie zrobiłeś? - zdziwił się Alberto. - Dirk zamilkł, Hintermann nie żyje, a ty sobie siedziałeś na czterech literach?

- Nie umawiałem się z Dirkiem na regularne kontakty - warknął Francuz. - Uznałem, że sam się do mnie zgłosi, jeśli będzie potrzebował pomocy. Hintermann, skoro był takim panikarzem, mógł naprawdę przekreślić się na zawał. Przed lub po spotkaniu z Dirkiem, bez większego związku z wagą dokonanych przez siebie odkryć.

Antoine ewidentnie się bronił: w duchu zgadzał się z zarzutami Włocha.

Alberto uśmiechnął się krzywo. Sceptycznie - jakby dawał do zrozumienia, że zastanawia się, czy Antoine nie przeszedł na stronę wroga, wystawiając Dirka wilkołaczej organizacji.

- Do diabła, od dawna w tym nie siedzę - odezwał się znowu Francuz. - Nie prosiłem Dirka o żadne informacje.

- Tak, tak, przecież wiem - zapewnił Alberto, stukając paznokciami w pustą butelkę. - Jeśli grupą najbardziej podejrzaną są dzieciaki, które urodziły się z zarodków pochodzących, przynajmniej oficjalnie, z banku kliniki... a zatem mówimy o niewielkim odsetku pacjentów... Czy Dirk zdobył listę nazwisk?

- Chciał, ale Hintermann stanowczo się sprzeciwił, zasłaniając się tajemnicą lekarską. Dirk postanowił tymczasowo odpuścić temat, żeby profesorowi nie wpadło przypadkiem do głowy skontaktować się z ichnim Ministerstwem Zdrowia. Jeśli potem zdobył te namiary... albo Hintermann zamierzał dać mu listę w Paryżu, ja nic o tym nie wiem.

- Zatem Hintermann to, że tak powiem, martwy trop.

- Alberto zadumał się po raz kolejny. - A klinika? Nadal funkcjonuje?

- Nie natknąłem się na wiadomość o jej zamknięciu. - Francuz wzruszył ramionami. -

Ale jeśli te bydlaki rzeczywiście są sprytne, niewiele tam znajdziesz.

- Usiłujesz mnie zniechęcić? - Alberto znowu przywołał na twarz wyraz skrajnej uprzejmości.

- Usiłuję postawić sprawę jasno, żebyś za dwa tygodnie nie wrócił tu z pretensjami - odparował Antoine, podnosząc się z fotela. - Przekazałem wam wszystkie informacje, jakimi podzielił się ze mną Dirk. Wasza obecność w tym domu straciła uzasadnienie. Zamierzam trzymać córkę z dala od tego bagna. Jeśli masz jeszcze jakieś pytania, zadaj je teraz. Kiedy stąd wyjdiesz, nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

Miło ze strony Antoine'a, że ostatnie zdanie zaadresował tylko do Włocha. Bo Colin planował wrócić w te okolice.

To jej spojrzenie.

Antoine pojmował, że w tej chwili za największe zmartwienie powinien uważać Alberta. Ten stary wariat dostrzegł w odkryciach Dirka upragnioną życiową szansę, nie zadowolony byłby czym. Jeśli w Niemczech nie dokona przełomowego odkrycia, wróci, zdecydowany uciec się do najbardziej drastycznych środków, żeby wydobyć od Antoine'a więcej informacji. Wypadało się przygotować na tę okoliczność.

Dla odmiany ten młokos, Vernon, traktował śledztwo z przymrużeniem oka. Przystawał z Albertem dostatecznie długo, żeby zrazić się do jego metod działania. Najwyraźniej pewne rzeczy pozostają niezmiennie: w dawnych czasach nowi łowcy często przechodzili taki specyficzny chrzest. Jedni od razu klasyfikowali Włocha jako wariata, inni początkowo dawali się uwieść jego sile perswazji. Prędzej czy później jednak każdy się od niego odwracał. Kiedy zaś Vernon rozstał się z Albertem, wstyd mu będzie się przyznać, że, choćby przelotnie, dawał wiarę jego szalonym teoriom - i postara się jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie, z wizytą u Antoine'a włącznie.

To znaczy, zapomniałby bez wątpienia, gdyby nie dziewczyna. Wpadła młodemu łowcy w oko, niestety, i swym wymownym spojrzeniem zasygnalizowała mu, że zauroczenie jest obustronne. Czy tyle wystarczy, żeby Vernon zapragnął wrócić? Antoine liczył, że wstyd zwycięży i chłopak wymaże z pamięci obraz Tin wraz z pozostałymi wspomnieniami z wyprawy z Albertem. Ot, kolejna ładna buzia, jakie widuje się na pęczki, włócząc się po świecie w pogoni za zwierzyną.

Wystukał numer do piwnicy z winami, żeby przekazać Tin, że po pracy może bezpiecznie wracać do domu.

Niepotrzebnie utrzymywał kontakt z Dirkiem. Gdyby Niemiec choć raz nadużył jego

zaufania, na przykład nachalnie zażądał przysługi, wymagającej od Antoine'a powrotu do zawodu... Jednakże dawny towarzysz broni akceptował jego decyzję. Wykorzystywał Antoine'a jako coś w rodzaju inteligentnej skrzynki kontaktowej - powierzał mu informacje o ustaleniach z kolejnych śledztw, dopóki nie był całkowicie przekonany, że sprawa dotyczy zwierzyny. Uważał za niemoralne napuszczanie Alberta na osoby, których winy na razie nie dowiódł. Wprawdzie Alberto miał otrzymać namiary na skrytki dopiero w SMS-ie wysłanym po śmierci Dirka (inaczej kontrolowałyby ich zawartość na bieżąco i mieszał Dirkowi szyki w co bardziej obiecującym śledztwie), ale Niemiec uwzględniał możliwość, że zginie w wypadku niezwiązanym z badaną aktualnie sprawą.

Tym sposobem Antoine poznawał szczegóły kolejnych śledztw, w tym również dotyczącego kliniki Hintermanna. Choć zapowiadało się ono interesująco, mogło się okazać fałszywym alarmem, jak wiele wcześniejszych przypadków. Gdyby Dirkowi coś się stało, Antoine miał nawiązać kontakt z Albertem i przekazać mu tyle detali, ile uzna za stosowne.

Tymczasem cwany Włoch odnalazł go pierwszy.

Antoine nie podejrzewał, żeby Dirk postąpił nielojalnie; raczej zaniedbał środków ostrożności. A on sam? Jak głupiec, związał się z ziemią, zamiast zachować mobilność.

Jak głupiec... Pamiętał moment podejmowania tej decyzji, przed wielu laty. Dobrze rozważył wszystkie za i przeciw. Potrzebował domu z pomieszczeniem w piwnicy, o grubych ścianach, najlepiej bez okna lub ewentualnie z lufcikiem tak małym, że nie przecisnęłoby się nawet dziecko. Pomieszczeniem, które dałoby się odgrodzić solidnymi stalowymi drzwiami. Dokonywaniem tego rodzaju przeróbek w wynajmowanych domach Antoine wzbudziłby w końcu czyjeś podejrzenia, nie wspominając o kosztach takich ponawianych inwestycji.

Osiadając na stałe w Langwedocji, ryzykował, że znajdzie go któryś z dawnych towarzyszy. Znajdzie i, być może, odkryje prawdę. Antoine obiecał sobie wtedy, przed laty, że jeśli tak się stanie, uzna to za wyrok losu. Ślubował, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie zabije łowcy, żeby bronić Tin.

Ale tę przysięgę składał dawno temu. Od tamtej pory wiele się zmieniło.

- Pojechali? - zagadnęła go Tin, wchodząc do kuchni, gdzie Antoine siedział przy stole i bił się z myślami.

Przyjrzał jej się bacznie. Pytanie nie miało sensu, odpowiedział na nie przez telefon. W rzeczywistości chciała znać powód ich wizyty, Antoine zaś rozważał, dlaczego tak jej zależy na tej informacji.

- Ten chłopak jest łowcą - powiedział. - Zabija takich jak ty.

- Wiem. - Otworzyła lodówkę i zaczęła wyjmować półprodukty, żeby przygotować

obiad. - Bardzo zgłodniałeś?

- Nie zmieniaj tematu.

- Przecież wyjechał. - Popatrzyła na niego żałośnie, po czym umknęła wzrokiem.

Swego czasu Antoine przypuszczał, że stosunkowo bezbronne młode tych stworzeń standardowo wdzięczą się do potencjalnych wrogów niewinnym spojrzeniem niebieskich oczu, której później zmieniają barwę na piwną. Oczy Tin pozostały jednak równie niebieskie jak wówczas, gdy spojrzała na niego po raz pierwszy. Jedynie pociemniały jej włosy. Zmieniały kolor stopniowo, tak że Antoine ani się spostrzegł, kiedy przestała kwalifikować się do grona blondynek; zresztą od początku była co najwyżej ciemną blondynką.

Mimo tego przeobrażenia nadal wydawała mu się mało podobna do okazów, jakie napotykał w trakcie swej kariery łowcy. Antoine przypuszczał, że to figiel jego umysłu: ogromnie pragnął, żeby Tin różniła się od pobratymców.

- Spodobałaś mu się - odezwał się znowu. - I dałaś mu odczuć, że wzbudził twoje zainteresowanie. Co zrobisz, jeśli tu wróci? Myśli, że jesteś zwyczajną dziewczyną. Tak cię będzie traktował. Dopóki się nie zorientuje. Rozumiesz mnie, Tin?

- Może nie wszyscy są tacy sami - odparła tak cicho, że ledwie uchwycił sens jej wypowiedzi.

Udawała zaabsorbowaną przygotowaniem posiłku. Unikała konfrontacji, jak zawsze, kiedy się na nią wściekał. Zachowywała się jak posłuszny pies. Gdyby podniosła wzrok na Antoine'a, byłoby to właśnie psie spojrzenie, pełne miłości i oddania. I przebaczenia. Czuł się podle, ilekroć na nią wrzeszczał.

- Nie stać cię na sprawdzanie, czy akurat on jest wyjątkiem - rzucił tym brutalniej.

- Pewnie i tak nie wróci.

Chciała, żeby wrócił. Antoine dotknął zaciśniętą pięścią blatu stołu. To jej spojrzenie, wtedy, w salonie. Jeśli chłopak wróci, Tin będzie gotowa zaryzykować życie, w płonnej nadziei na to, że Vernon okaże się wyjątkiem. Czy po to Antoine ją wychował, kosztem tylu wyrzeczeń? Żeby teraz z własnej nieprzymuszonej woli wpakowała się łowcy pod lufę?

Skuliła się - wyczuwała jego furię. Wstał i wyszedł z kuchni, nie mówiąc nic więcej.

Dorosła. Nastął dzień, którego Antoine zawsze się obawiał. Dziś w salonie spojrzała wzrokiem kobiety, która w danym mężczyźnie widzi ojca swoich dzieci.

Tłumaczył Tin, że nigdy nie będzie mogła założyć rodziny - że nie wolno jej choćby zamarzyć o potomstwie; powinna unikać angażowania się nawet w przelotne związki. Kiwała głową na znak zgody. Czy jednak Antoine miał jakiegokolwiek szanse w walce z naturą? Do tej pory łudził się, że tak.

Powtórzył sobie, że Vernon nie wróci. Przy odrobinie szczęścia... jeśli chłopak dostatecznie długo wytrwa u boku Alberta, ustrzelą go ci sami, którzy załatwili Dirka. Albo zerwie z Włochem, a wkrótce potem wpadnie mu w oko inna dziewczuszka. Antoine niepotrzebnie martwił się na zapas.

Tylko że problem nie leżał w samym Vernonie. Tin skończyła szkołę, chciała pójść na studia. Coraz wyraźniej akcentowała, że marzy jej się posmakować samodzielności. Tymczasem Antoine uparcie myślał o niej jako o nastolatce. Dopiero dzisiaj zobaczył dojrzałą kobietę. Jeśli nawet młody łowca się więcej nie pokaże, Tin znajdzie sobie inny obiekt westchnień. Jej dzieciństwo minęło bezpowrotnie, a dorosłość... niosła wiele zagrożeń i trudnych pytań.

ROZDZIAŁ 2

- Ale cię wzięło - mruknął Alberto, kiedy zbliżali się do wjazdu na autostradę.

Włoch prowadził, a Colin w zamyśleniu spoglądał na nieciekawy krajobraz za szybą. Że też musiała mieszkać w okolicy prawie pozbawionej drzew, a latem niewątpliwie zbyt gorącej dla członka społeczności. Pieprzony Antoine. Celowo przywłókł ją w tak nieprzyjemne miejsce. Karał ją za to, kim była.

- Proszę? - spytał Colin, reagując z opóźnieniem na uwagę towarzysza.

- Nie udawaj głupiego.

Czyżby jego zauroczenie Tin aż tak bardzo waliło po oczach?

- Nie bój się - warknął Colin, poprawiając się na siedzeniu. - Pamiętam twoje cenne nauki.

Pamiętał, a jakże. Co z tego, że jedynie udawał łowcę? Jako buntownik zadzierający z organizacją tym bardziej nie powinien się z nikim wiązać, wiedział o tym i bez protekcyjnych wykładów Włocha. Mimo to nie potrafił odegnać wspomnienia jej nieprawdopodobnie błękitnych oczu. Brzmienia głosu. Poczucia bliskości, które nappełniło go takim spokojem.

Jeszcze rankiem sądził, że jego życie odmieniła tamta krótka rozmowa z Udonem, kiedy to dowiedział się, że stryj, jego mentor, drugi ojciec - czy też ojciec, jakiego Colin zawsze pragnął mieć - całymi latami go okłamywał. Tamta rozmowa oraz wybór, którego Colin wkrótce potem dokonał: decyzja o porzuceniu spokojnego bytowania w społeczności, złamaniu reguł i wyruszeniu na poszukiwanie siostry.

Ujrzawszy Tin, pojął, że prawdziwa przemiana w jego życiu nastąpiła dopiero dzisiaj. W jednej chwili poczuł się tak, jakby przed spotkaniem z nią istniał tylko w połowie. Nawet Emily, jego bezbronna siostrzyczka, witająca każdy poranek z nadzieją, że tego właśnie dnia starszy brat przybędzie, żeby wyrwać ją z łap bezwzględnych kapłanów, nagle zaczęła wydawać się Colinowi obca i nieważna.

Cholera, czy taka reakcja na poznanie jakiejś suczki należała do normalnych? Colin zacisnął zęby. Przez moment miał chęć dać sam sobie po mordzie za nazwanie Tin „suczką”. No właśnie... Dotąd nie uważał tego określenia za obraźliwe.

Co za dziwaczny zbieg okoliczności. Colin miesiącami bezowocnie włóczy się po

Europie, a kiedy wreszcie trafią na nieświadomego, kiedy wreszcie zyskuje szansę nawiązania kontaktu ze strażą, która zaprowadziłaby go do tutejszego lidera, ten zaś do kapłanów, na jego drodze pojawia się Alberto, otumania go bzdurnymi teoriami, po czym wiezie prosto do Tin. Tin, przy której poszukiwania siostry wydają się Colinowi nagle niepotrzebną stratą czasu.

Czy Alberto pracował dla organizacji? Racja, Colin zadawał sobie to pytanie nie po raz pierwszy i zdążył już odpowiedzieć na nie przecząco. Teraz jednak zaistniały nowe okoliczności.

Tylko skąd by wiedzieli, że przecucie tak uparcie nakazywało Colinowi czekać właśnie na Tin? Przecież w jej przypadku nie chodziło o przekonujące, dobrze zamaskowane kłamstwo. Przecucia nie dało się oszukać, a Colin jeszcze niczego w życiu nie był tak pewien, jak tego, że znalazł tę właściwą kobietę. No ale... taki zbieg okoliczności? Tyle razy powtarzał sobie, żeby nigdy, przenigdy nie wierzyć...

- A co z przeznaczeniem?

- Słucham? - Colin spojrział nieprzytomnym wzrokiem na Alberta.

- Do diabła, Vernon, to przestaje mnie bawić - wypluł gniewne słowa Włoch. - Mówię o poważnych sprawach! Daj wreszcie spokój tej przekłętej spódniczce. Antoine nie dopuści, żeby jego córka związała się z łowcą. - Ton jego głosu nieco złagodniał. - A ty sam chyba także zdajesz sobie sprawę, że najlepiej przysłużysz się dziewczynie, jeśli o niej zapomnisz.

Colin nadal patrzył na towarzysza nieco oszołomiony. Jak ostatni kretyn, bo przecież wiedział, że to nie Alberto zmaćcił tok jego rozmyślań. Tamtego głosu Colin nie pomyliłby z żadnym innym.

Po prostu go zaskoczyła. Owszem, nie tak dawno sam odgadywał słowa, które dopiero miały opuścić jej usta, ale wtedy stali twarzą w twarz. Nie spodziewał się, że tego rodzaju kontakt będzie możliwy na odległość.

I nagle wcale nie był pewien, czy ten układ mu się podoba.

- Zresztą, może powinieneś przelecieć tę panienkę - ciągnął tymczasem Alberto. - Kilka ruchanek i sam dojdiesz do wniosku, że smarkuła niczym się nie wyróżnia. Za dziesięć lat przemieni się w złośliwego maskarona, tak że przy ponownym spotkaniu pogratulujesz sobie, że się z nią nie związałeś. Boisz się, że Antoine gdzieś ci ją wywiezie, kiedy nas dwóch pochłonie sprawa kliniki? Niepotrzebnie. Zwróciłeś uwagę na jego samochód? Meble? Sprzęt? Pewno, niekiedy zamożni ludzie zadowolają się byle czym, ale na mój nos... Jaki z niego farmer? Pół życia uganiał się za zwierzyną, zdobywając pieniądze na różne szemrane sposoby. Kiedy córka zwała mu się na łeb, zapragnął zostać praworządnym obywatelem. Gdy jesteś łowcą, wydaje ci się, że nie ma nic prostszego, jak wieść zwykłe życie. Wymyślił

sobie winnicę, choć o uprawie winorośli nie miał ni w ząb pojęcia. Gdy się patrzy z boku, to takie romantyczne zajęcie. Władował w tę mrzonkę wszystkie oszczędności, a bajka okazała się mało kolorowa. Jednego roku susza, drugiego chłodne lato, trzeciego zima stulecia, a kolejnego zaraza zżera zbiory. Ledwie człowiek spłaci jedne długi, nadciąga nowa katastrofa. Nie mają za co wyjechać. A rozstanie z nią także mu się nie uśmiecha, chociaż to już dorosła dziewczyna.

Colin słuchał towarzysza jednym uchem, skupiony na wzywaniu Tin. Jeśli usłyszała myśli, których do niej nie kierował, bez problemu powinna wychwycić jego wołanie. Niestety, nie reagowała.

Zapewne wyłącznie dzięki zaabsorbowaniu Colina próbami nawiązania telepatycznej łączności z Tin Alberto nie zakończył życia po paru pierwszych dosadnych zdaniach. Zanim dotarły one do świadomości Colina, Włoch przeszedł już do dalszych rozważań.

Nie, Colin nie martwił się, że Tin wyjedzie. Gdziekolwiek by się znalazła, zawsze ją odnajdzie. Trapił go natomiast fakt, że Włoch dostrzega nietypowość jej relacji z Antoine'em.

- Nie wyjadą nawet wówczas, gdy Antoine uzmysłowi sobie, że tamci mogą trafić do niego tropem Dirka - ciągnął Alberto. - Szybko przekona sam siebie, że kontaktując się z nim, Dirk zachował ostrożność, a zatem prawdopodobieństwo, że go namierzą, wydaje się minimalne. Zwłaszcza że powątpiewa w istnienie wilkołaczej organizacji, natomiast łatwo wyobrazi sobie, jak tuła się z córką po świecie bez środków do życia.

Ta sugestia poruszyła Colina. On nie powątpiewał w istnienie organizacji - i przekonał się już, do czego potrafi być zdolna. Tyle że jej zainteresowanie osobą Antoine'a miałoby sens wyłącznie w przypadku, gdyby organizacja faktycznie wykorzystywała klinikę do rozmnażania świadomych, a w tę teorię Colin nie uwierzy, dopóki nie ujrzy niepodważalnych dowodów.

Szkopuł w tym, że Dirk i Hintermann przypuszczalnie zginęli właśnie z powodu dociekań na temat działalności kliniki. Ktokolwiek odpowiadał za przeprowadzane tam eksperymenty - nieważne w tej chwili jakiej natury - konsekwentnie strzegł tajemnicy.

Colin zapragnął natychmiast wrócić do Tin. Super. Wróci i co jej powie? Że powinna rzucić wszystko i wyjechać, bo zdaniem pewnego szaleńca grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo?

Niemniej Alberto zdołał namierzyć Francuza, zatem tamtym również mogło się to udać. Colin wahał się, jak powinien postąpić. Za mało wiedział o sprawie. Przed chwilą Włoch zrobił mu przecież wykład na temat tego, dlaczego trzeba będzie solidnych argumentów, żeby nakłonić Antoine'a do wyjazdu. No właśnie, i znów Colin ulegał sugestiom

Alberta...

- A oto i nasz słynny Alberto - mruknął Javier.

Colin podążył za jego wzrokiem, szczerze ciekaw przybysza. Włoch uchodził wśród towarzyszy za dziwaka, ponieważ zwykł był wygłaszać nieprawdopodobne teorie na temat zwierzyny. Sęk w tym, że kiedy Colin usłyszał próbki owych teorii, poważnie się zaniepokoił. Nie spotkał dotąd łowcy, który znalazłby się tak blisko prawdy o organizacji.

- Javier! - Alberto rozpostarł ramiona. - Stary druhu, co za przypadek! Ach, i poczciwy Michel!

- Zakładam, że faktycznym adresatem tych serdeczności jest otoczenie - stwierdził kwaśno Michel, podobnie jak Javier nie ruszając się z miejsca. Mówił po francusku. Nie miał problemów z rozumieniem angielskiego, jednak wolał się wypowiadać w rodzimej mowie.

- Ależ, przyjaciele, naprawdę szczerze mnie cieszy wasz widok - zapewnił entuzjastycznie Alberto. Pozostał przy angielskim, podstawowym języku komunikacji w środowisku europejskich łowców. - A któż to wam towarzyszy? - Włoch spojrzał na Colina.

- Poznaj Vernona, naszego amerykańskiego kolegę po fachu - powiedział z przekąsem Javier.

Colin przywykł już do takiego tonu. „Amerykański kolega Vernon” nie wzbudzał ciepłych uczuć u europejskich łowców. Parę lat temu właśnie Javier, wraz z Belgiem Janem, nieoficjalnym przywódcą grupy, wybrali się za ocean, żeby poznać metody pracy kumpli z branży. Nie spotkali się z ciepłym przyjęciem. Teraz zaś Colin płacił za zachowanie Stipe'a lub innego podobnego mu debila. Nie pomogło podkreślanie, że pochodzi z Kanady. Jak stwierdził Michel, skoro każdy mieszkaniec Europy jest Europejczykiem, Kanadyjczyk to Amerykanin, i nie ma o czym dyskutować.

Ci pieprzeni Europejczycy w ogóle na każdym kroku czepiali się Colina. Czy to nie przypadkiem Amerykanie wynaleźli pracę zespołową? I czy w związku z tym właśnie w Ameryce nie powinna ona osiągać maksimum możliwego w danej grupie zawodowej? Colin przyjechał do Europy z przekonaniem, że skoro współpraca między amerykańskimi łowcami układa się, delikatnie rzecz ujmując, nieszczególnie, to na starym kontynencie nie będzie mowy o tym, żeby jeden łowca zaakceptował obecność drugiego w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Tymczasem ci tutaj pracowali ramię w ramię, dzielili się zadaniami, wymieniali informacjami, a do tego zachowywali się, jakby łączyła ich dozgonna przyjaźń. Oni nawet wyszukiwali i szkolili nowych łowców!

W dodatku postawa Colina - mrukliwość, zamknięcie w sobie, unikanie rozmów na

prywatne tematy - za oceanem wręcz ceniona, tutaj przysparzała mu kłopotów. Milczy? Widocznie ma coś do ukrycia. Mrukiwy? Zadziiera nosa, cholerny Amerykaniec. I co, Colin miał się nagle przestawić? Podpadłby im jeszcze bardziej.

Odnosili się do niego chłodno lub z jawną wrogością. W gruncie rzeczy tak samo jak łowcy amerykańscy, tyle że tam takie zachowanie wobec towarzysza broni stanowiło normę, tutaj natomiast Colin czuł się napiętnowany jako odmieniec. A że faktycznie był odmieńcem...

- Ach! - zachłysnął się Alberto, potrząsając dłonią Colina. Trudno było wyczuć, co kryje się za tym wykrzyknikiem.

- Siądziesz z nami? Napijesz się czegoś? Czy też wpadłeś przelotem? - indagował z ironiczną uprzejmością Javier.

- Co cię do nas sprowadza, Vernonie? - zapytał Alberto, ignorując Hiszpana. Dosiadł się do ich stolika. - Tak, tak, rzeczywiście, Lothar wspominał o młodym Amerykaninie w naszym gronie. Jak ci się u nas podoba?

Colin wdał się w uprzejmą rozmowę z Włochem, jako że pragnął poznać nieco bliżej autora „niedorzecznych” teorii. Bardzo chciał usłyszeć je z pierwszej ręki, żeby się przekonać, czy facet znalazł się tak blisko prawdy, jak to wynikało z relacji pozostałych łowców. Przy okazji Colin zamierzał ustalić, jakie zdarzenia legły u podstaw owych teorii. Niewykluczone, że Alberto wiedział za dużo i należałoby... Zaklął w duchu. Znowu rozumował tak, jakby nadal pracował dla organizacji.

Jeśli nawet Włoch znalazł się w posiadaniu informacji niebezpiecznych dla społeczności, to co z tego? Nie Colinowi decydować, jakie należy podjąć działania. Alberto nie pojawił się na scenie zniecka, zatem ktokolwiek tutaj zajmował się infiltrowaniem środowiska łowców, bez wątpienia powiadomił organizację o potencjalnym zagrożeniu. Widocznie uznano, że Włoch jest nieszkodliwy.

- Pewnie nie wyrażali się o mnie zbyt pochlebnie? - zapytał Alberto, ruchem głowy wskazując Javiera i Michela, którzy pod pozorem chęci rozprostowania nóg rozpylali wykrywacz między nowymi gośćmi baru.

Colin wzruszył ramionami, starając się dać do zrozumienia, że opinia tamtych guzik go obchodzi. Byle zbyt szybko nie zrazić do siebie Włocha. Z opowieści łowców zapamiętał także i ten szczegół, że Alberto jest wyczulony na wszelką kpinę z jego osoby - dopatruje się jej nawet w komentarzach na temat pogody.

- Nieco powątpiewają w twoje teorie - odpowiedział ostrożnie Colin.

- Powątpiewają! - prychnął Alberto. - Uważają mnie za wariata. A wiesz, dlaczego?

Ponieważ boją się prawdy. Nie chcą zaakceptować faktu, że cała ich szumna walka w obronie ludzkości to tylko zabawa dużych chłopców, której jedyny pożytek sprowadza się do dostarczania rozrywki im samym. Tak, tak. Każdy z nich gada o stracie, pozuje na ciężko doświadczonego przez los, ale w rzeczywistości lubi sobie postrzelać, lubi spotkania przy piwie, poczucie ponadnarodowej wspólnoty i własnej wyższości nad niewtajemniczonymi masami.

- Czemu zatem sam tu przyjechałeś? - podpuszczał go Colin. - Nie po to, żeby ustrzelić następną sztukę? I tym sposobem być może ocalić czyjeś życie?

- No właśnie, być może. - Alberto uśmiechnął się jowialnie. - Być może życie ludzkie, a być może kolejnego psa. Nie, mój drogi, strzelanie do płotek uważam za nonsensowne. Żeby nie nazwać takich działań dosadniej, szkodzeniem sprawie. Oni nie chcą przyjąć tego do wiadomości: że bardziej szkodzą, niż pomagają. Gdyby autentycznie zależało im na pokonaniu tych bestii, podpięliby delikwentowi urządzenie naprowadzające albo podsłuch, albo przynajmniej bacznie by go obserwowali, żeby dorwać tych, którzy ewentualnie nawiążą z nim kontakt. Słyszeliście w Stanach o wilkołakach świadomych swej drugiej natury i związanych z nią możliwości?

Pytanie zaskoczyło Colina. Skinął głową, zanim zdążył się zastanowić, czy nie lepiej by zrobił, odgrywając zdumienie. Z pozostałymi łowcami nie rozmawiał o cechach zwierzyny; w ogóle niewiele z nimi gadał, ograniczał się do słuchania, oni zaś w jego obecności nie podjęli tego tematu. Nie orientował się, do jakiego stopnia powszechna jest tu wiedza o świadomych - czy więc swoim potaknięciem nie wzbudził podejrzeń Alberta. Cóż, za późno.

Włoch nie wydawał się poruszony potwierdzeniem Colina. Od razu przystąpił do opisywania zadań straży. No, nie przedstawiał kropka w kropkę metod znanych Colinowi z praktyki, ale też tu, w Europie, straż mogła działać nieco inaczej niż za oceanem.

Alberto mówił teatralnym szeptem; niewątpliwie zamierzał przyciągnąć uwagę Javiera i Michela, którzy tymczasem wrócili do stolika. Obaj łowcy udawali zatopionych w rozmowie na tematy narciarskie, lecz mimo woli słuchali nielubianego towarzysza.

Wywody Włocha trzymały się kupy, tak więc Colina ogarniał coraz większy niepokój, że lada chwila Javier i Michel otwarcie okażą nimi zainteresowanie. Musiał ponownie przypomnieć sobie, że Alberto obraca się wśród łowców od wielu lat i nie raz już uraczył ich wiadomościami o świadomych i straży. Dlaczego nie dawali im wiary?

Colin niepotrzebnie się obawiał. Wraz z każdym słowem Alberta w dwóch pozostałych łowcach narastała wściekłość. Wreszcie wstali, żeby odbyć kolejną rundę z

wykrywaczem, choć spokojnie mogliby poczekać z tym jeszcze pół godziny. A właściwie w ogóle sobie darować, jako że powietrze w barze aż zgęstniało od proszku. Gdyby nieświadomy tu wszedł, tak czy owak zacząłby kichać.

- Tak jak mówiłem - oznajmił z uśmiechem satysfakcji Alberto. - Prawda im nie w smak. Wolą się bawić gadżetami.

- Więc przyjechałeś tu, żeby dorwać... tę inteligentniejszą zwierzynę? - Colin o mały włos nie powiedział „świadomych”.

Owszem, Włoch sam przed chwilą mówił o „wilkołakach świadomych swej drugiej natury”, ale to jednak co innego. Colin nie potrafił sobie przypomnieć, jak określali świadomych w Stanach ci nieliczni łowcy, którzy dopuszczali ich istnienie. A Benson? A on sam, kiedy rozmawiał z Jackiem na ten temat? Psiakrew, nie pamiętał. Ale chyba stosował nomenklaturę organizacji, zbytnio się nad tą kwestią nie zastanawiając. Cóż, dał ciała, niemniej Jack Benson stanowił szczególny przypadek. Poza tym i tak nie żył. Przy Albercie zaś Colin powinien mieć się na baczności.

Swoją drogą, Włoch nawet pod względem stosowanego słownictwa odstawał od ogółu. Mimo wszystko dało się zaobserwować pewne podobieństwa między łowcami amerykańskimi i europejskimi: ani jedni, ani drudzy nie używali słowa „wilkołak”, chyba że tłumaczyli coś laikowi. Alberto natomiast wręcz się w nim lubował. Jakby podkreślał, że on jeden z całego towarzystwa nazywa rzeczy po imieniu.

- Właśnie. - Włoch znów uśmiechnął się promiennie. - Taki przypadek po prostu nie mógł umknąć ich uwagi.

Niewykluczone, że już dotarli do naszego pożeracza psów i zdołały go zneutralizować, co by niestety oznaczało, że przyjechałem na darmo. Ale trzeba się chwycić każdej szansy.

W ostatniej dekadzie stycznia lokalna prasa doniosła o zagadkowym zgonie rasowego psa, inteligentnego, sympatycznego, nieszkodliwego stworzenia, z którym pewna rodzina zawitała do Valmorel na zimowe wakacje, ponieważ dzieciak nie chciał się rozstać z ulubieńcem.

Rozpacz dziecka uznano za chwytliwy temat, zwłaszcza gdy towarzyszyło jej intrygujące pytanie o bezpieczeństwo przybywających w te okolice turystów. Obiecujący materiał wypadało rozwinąć i podkoloryzować, tak więc jakiś dziennikarz dogrzebał się informacji o innym rozszarpanym zwierzęciu, kozicy, znalezionej w pobliżu trasy narciarskiej dokładnie miesiąc wcześniej. Wówczas nikt się nie przejął tym przypadkiem: jedno dzikie zwierzę padło ofiarą drugiego, zapewne wilka, jako że populacja tych drapieżników w Alpach

Francuskich stała rola. Śmierć pięknego rodowodowego briarda silniej podziałała na ludzką wyobraźnię. Obecnie podejrzenia nadal skupiały się na wilku, przypisywano mu wszakże coraz to bardziej przerażające cechy. Pozostawało czekać, aż kogoś uderzy dziwna zbieżność obu ataków z pełnią księżyca.

Naturalnie łowcy zwrócili uwagę na ten ostatni szczegół. Zgodnie z panującymi w cholernej Europie zwyczajami, ten, który pierwszy natknął się na artykuł, natychmiast powiadomił kolegów. Uzgodniono, kto pojedzie do Valmorel, bo choć przypadek zapowiadał się obiecująco, należało pozostawić siły także na innych frontach.

Colina, jakżeby inaczej, nie zaproszono do udziału w akcji. Znalazł artykuł na stronie internetowej łowców (tak, psiakrew, mieli nawet własną stronę, gdzie zamieszczali przetłumaczone na angielski informacje prasowe z różnych krajów Europy, dzięki czemu każdy był na bieżąco) i pojawił się w Valmorel z własnej inicjatywy, dzień później niż ostatni z pięcioosobowej grupy oddelegowanej do tego zadania.

Przybył pod wieczór. Przez tętniące życiem centrum, Le Bourg, przewijały się tłumy, zrezygnował więc z szukania łowców na wędch i przystąpił do przeglądu barów, na szczęście niezbyt licznych. W drugim natknął się na Javiera i Michela - kiedy tylko otworzył drzwi, intensywna woń wykrywacza poinformowała go, że trafił właściwie.

Jak mógł się spodziewać, ci dwaj powitali go bez entuzjazmu. Colin najchętniej ruszyłby dalej, na poszukiwanie Jana, najrozsądniejszego faceta w tym gronie, nie chciał jednak dostarczać draniom satysfakcji. Atmosfera przy stoliku stawała się coraz bardziej napięta. Przybycie Alberta rozładowało sytuację - siły się wyrównały, Javier i Michel znaleźli się wręcz w odwrocie. Choćby z tego powodu Colin zamierzał jak najdłużej pielęgnować świeżo nawiązaną znajomość.

- Niestety, trzeba się także liczyć z ewentualnością, że nikt z wilkołaczych służb nie zjawi się w Valmorel - ciągnął tymczasem Alberto. - Jeśli Jan i reszta tej bandy zawitali tu jako pierwsi, tamci mogą się wycofać. Prędzej wystawią jedną sztukę na odstrzał, niż sprowokują łowców do postawienia sobie paru istotnych pytań.

- Służb? - powtórzył Colin. - Zakładasz, że są na tyle zorganizowane, żeby aż posiadać wyspecjalizowane służby?

- A o czym mówię od godziny? - zirytował się Włoch, stanowczo zbyt mocno w stosunku do wagi pytania.

- Nie, no myślałem po prostu... że chodzi o kilka rozgarniętych osobników, które starają się... - łagodził nieskładnie Colin.

- Jasne, że są zorganizowane - przerwał mu z pasją Alberto. - Lepiej, niż się wam

wszystkim wydaje! Życie w ukryciu wymusiło na nich określone rozwiązania, dopracowywane przez lata. Do mistrzostwa opanowały sztukę kamuflażu! I znajdują się wszędzie. Nasz prostoduszny Jan uważa, że łowcy także są zorganizowani. Grupa dzielnych wojów, wspierana przez zaplecze typków, którzy marzą o zemście, byleby nie musieli w tym celu wchodzić do ciemnego lasu. Śmiechu warte! Kombinowanie gotówki, lewych papierów czy broni stanowi zaledwie namiastkę tego, co potrafi wróg. Właśnie przez takie myślenie wilkołaki rosną w siłę. Ich przeciwnicy to idioci, za nic mający wszelką logikę. Przymykają oczy na niepodważalne fakty, byle na ich wizerunku dzielnych obrońców ludzkości nie powstała najmniejsza skaza.

No tak, Colin stopniowo pojmował, dlaczego pozostali łowcy nie darzą Włocha nadmierną sympatią. Bacznie przyjrzał się rozmówcy, wsłuchując się w ton jego głosu, tętno, oddech, dyskretnie wciągając w nozdrza jego woń. Tego rodzaju teksty zrażały łowców do teorii Alberta. Dlaczego więc Włoch je wygłaszał, zamiast Ograniczyć się do rzeczowych argumentów? Jakby wręcz starał się zniechęcić pozostałych do wiary w wilkołacza organizację. Czyżby Colin wreszcie spotkał świadomego, oddelegowanego przez organizację do infiltracji środowiska łowców?

W Ameryce groźba tego, że niechętni sobie nawzajem łowcy zasiądą do dyskusji i drogą wymiany informacji ustalą, że walczą z doskonale zorganizowanym przeciwnikiem, wydawała się znikoma, nie zachodziła więc potrzeba wprowadzania zamętu w ich szeregach - choć przecież niektórzy, jak Jack Benson, i tak docierali niebezpiecznie blisko prawdy. W Europie, gdzie każdy łowca dzielił się z kolegami swymi obserwacjami i przemyśleniami, tego rodzaju ingerencja stawała się koniecznością. Alberto niby otwierał innym oczy, ale że przy tej okazji nieustannie ich obrażał, wzbudzał w łowcach negatywne nastawienie zarówno do siebie, jak i swoich teorii. Krzywili się na twierdzenia, że zwierzyzna działa w sposób planowy, gdyż akceptując je, uznaliby za prawdziwe także wszystkie ubliżające im komentarze Włocha - i musieliby pogodzić się z myślą, że od lat robią z siebie idiotów.

Colin jak dotąd nie rozstrzygnął, który z łowców został podstawiony przez organizację. Do takiej roli nadawał się wyłącznie silny, doskonale się maskujący świadomy, tak więc Colin nie miał szans wykryć go za pomocą zmysłów. Opierał się na analizowaniu wypowiedzi i zachowań poszczególnych osób. Problem w tym, że przeszłość każdego członka tego grona była reszcie doskonale znana. To łowcy szkolili nowych kolegów, nie uznawali przybyszów znikąd. Alberto stanowił pod tym względem wyjątek - kolejny powód, dla którego krzywo na niego patrzono.

A jednak Włoch nie pasował Colinowi na świadomego. Dało się w nim wyczuć coś...

chwijnego. Jakby tłumiony fanatyzm, zjawisko rzadkie wśród członków społeczności - i zdecydowanie eliminowane. Do równie odpowiedzialnej roli nie oddelegowano by alfy, której zachowanie wzbudza wątpliwości.

Nawet jeśli Alberto nie był świadomym, oddawał organizacji przysługę. Przypuszczalnie dlatego zostawiono go w spokoju. Wprawdzie doszedł do szaleni niebezpiecznych wniosków, niemniej raczył nimi otoczenie w taki sposób, że agent organizacji nie zrobiłby tego z bardziej pożądanym skutkiem.

Ponieważ Włoch go intrygował, Colin wręcz się ucieszył, kiedy Jan utworzył z nich dwóch trzeci zespół. Nieco mniej podobało mu się, że następnego dnia, zamiast poszukiwać nieświadomego w Valmorel, mieli „przejsć się” z Włochem do Doucy Combelouviere.

- Przejsć się? - powtórzył uprzejmie Alberto.

- Wypożyczycie rakiety śnieżne - odparł rzeczowo Belg. - To dwugodzinny spacer górskim szlakiem. Na tyle blisko, że nasz okaz mógł się dwukrotnie zapuścić pod Valmorel, żeby tu dopaść swojego łupu. Dzień powinien wam wystarczyć na obejście tamtejszych stacji wyciągów, restauracji i barów. Nie przewidywałem, że ktoś jeszcze się tu pojawi, więc zadania w Valmorel mamy podzielone.

W rzeczywistości Jan po prostu chciał się pozbyć Włocha ze swego terenu, przypuszczał bowiem, że, mimo entuzjastycznych deklaracji o współpracy, Alberto zamierza działać po swojemu, mieszając szyki pozostałym. W Doucy Combelouviere niewiele zdoła zepsuć. Colin zaś... no cóż, znowu płacił za cudze grzechy.

Niestety, nie mógł się zbuntować. W Stanach każdy łowca robił swoje, nie patrząc na towarzyszy. Tutaj każde samowolne działanie Colina skupiłoby na nim uwagę innych. Dlatego nazajutrz wybrał się z Włochem na „przechadzkę”, mimo że wyszedłszy rano przed pensjonat, zwęszył woń nieświadomego.

Rozejrzał się, ze względu na obecność Alberta bardzo dyskretnie. Po lewej dwudziestokilkuletni chłopak. Nie wyglądał na turystę, a ponieważ nosił profesjonalny narciarski strój, Colin przyjął, że to instruktor jazdy na nartach, prawdopodobnie student, dorabiający sobie w sezonie. Widocznie wieczorami unikał barów, skoro łowcy dotąd go nie namierzyli.

Nadzieje łowców się spełniały - liczyli na to, że zarówno psa przed niespełna tygodniem, jak i kozicę miesiąc wcześniej załatwił ten sam osobnik, a to sugerowałoby pracownika sezonowego. Gdyby polowali na turystę, ich zwierzyna równie dobrze mogłaby już opuścić Valmorel.

- Jak zwykle - utyskiwał Włoch, sapiąc podczas marszu. - Sam nie wiem, czemu się zgodziłem. Niczego tam nie znajdziemy. Niekiedy zastanawiam się, czy Jan nie pracuje dla drugiej strony. Wilkołaki postąpiłyby rozsądnie, wprowadzając szpiega w szeregi wroga, nie sądzisz?

- Niby tak, ale wykrywacz... - mruknął Colin.

- A tam, wykrywacz! - prychnął Alberto. - Nie wszystkie na niego reagują. Na tym polega ich siła. Wmówiły łowcom setki bzdur, a tym durniom wydaje się, że są górą.

Szpieg w szeregach łowców - kolejna z teorii Alberta, na którą nawet Jan reagował pobłażliwym uśmiechem.

Colinowi natomiast jeżyły się włosy na karku, im dłużej słuchał Włocha. Zarazem ogarniał go coraz większy podziw dla tego faceta, który sam jeden, nie znajdując u nikogo zrozumienia, zgłębił tak wiele pilnie strzeżonych tajemnic organizacji.

Colin przypomniał sobie, co minionego wieczoru powiedział mu Jan, kiedy Włoch zajął się zamawianiem przekąsek.

- Uważaj, Alberto potrafi mówić szalenie przekonująco i sensownie, podpierając się przykładami sytuacji, w których osobiście uczestniczyłeś - przestrzegł Colina. - Aż zaczynasz się zastanawiać, czemu do tej pory pozostawałeś ślepy na tę lub inną oczywistość. Wierzysz mu coraz bardziej bezkrytycznie. Podziwiasz go. Stajesz się jego najlepszym przyjacielem. A potem przychodzi nagle otrzeźwienie. Zauważasz, że w jakimś momencie, który przegapiłeś, wywody Alberta zmieniły się w czystą fantastykę. Tyle że gdy ośmielisz się wygłosić pierwszą powątpiewającą uwagę, natychmiast staniesz się wrogiem. Będziesz miał szczęście, jeśli Alberto nie oskarży cię o sprzyjanie zwierzynie.

Colin pokiwał wtedy głową, dziękując za radę. Belg obrzucił go badawczym spojrzeniem, nieznacznie unióśł brwi, po czym wrócił do stolika, uznawszy, że spełnił swą powinność, a młody Amerykanin widocznie sam musi się sparzyć.

Znamienne, że chwilę później wysłał Colina razem z Włochem do sąsiedniej wioski narciarskiej. Czyżby chciał przyspieszyć zapowiadane otrzeźwienie?

Colin zastanawiał się, od jakiego momentu Jan uważa teorie Alberta za fantastykę. On sam jak dotąd nie usłyszał niczego, co zasadniczo odbiegałoby od posiadanej przez niego wiedzy na temat organizacji, zwłaszcza jeśli weźmie się poprawkę na różnice między jej amerykańską a europejską gałęzią.

Zamierzał zostać najlepszym przyjacielem Alberta, choćby na krótko. Dowiedzieć się jak najwięcej. Skoro Włoch był tak dobrym obserwatorem, to niewykluczone, że zauważył również taki lub inny szczegół, który pomoże Colinowi odnaleźć siostrę - odnaleźć jakiegoś

drania na szczycie organizacyjnej drabiny, zdolnego wskazać mu drogę do Emily.

Alpejski nieświadomy wydał się Colinowi nagle mało istotny. Owszem, wypadałoby ułożyć plan, w razie gdyby w okolicę przybyła straż, żeby zneutralizować tę zerówkę. Jednak woni świadomego Colin na razie nie wywęszył, a Valmorel było małe. Wątpił przy tym, aby wszyscy członkowie straży, przybyli na miejsce zdarzenia, potrafili się idealnie maskować. Prawdopodobnie więc sobie odpuścili, tak jak prognozował Alberto. I dlatego Colin powinien się skupić na pozyskaniu zaufania Włocha, zamiast obmyślać strategię postępowania z nieświadomym.

Doszedł do tych wniosków w drodze powrotnej z Doucy Combelouviere. Toteż gdy tego samego wieczoru Alberto otrzymał wiadomość, Colin nie zastanawiał się długo. Bez wahania porzucił pierwszy od wielu miesięcy obiecujący przypadek, żeby dołączyć do Włocha, choć ten nawet nie wyjawiał mu treści SMS-a. Colinowi wystarczyło, że Alberto zachowywał się tak, jakby po latach pudłowania trafił wreszcie w sam środek tarczy. Żywił przekonanie, że ze wszystkich łowców jeden Włoch zdoła naprowadzić go na trop europejskiej organizacji.

Obecnie, po tygodniu wspólnej włości, Colin nie pojmował, jak mógł zlekceważyć radę rozważnego Jana. Alberto był szaleńcem.

Cóż, przynajmniej dzięki niemu Colin poznał Tin. Natomiast z nieświadomego w Valmorel przypuszczalnie i tak nie miałby pożytku. Straż się nie zjawiała - w każdym razie łowcy okazali się od niej szybsi.

W okolicie Drezna dotarli nazajutrz wieczorem. Zmieniali się za kółkiem, niemniej bez względu na to, czy Colin prowadził, czy drzemał bądź gapił się przez boczną szybę, trwał w stanie błędnego rozmarzenia.

Minioną noc spędzili w motelu za Lyonem, gdzie zatrzymali się jeszcze późnym popołudniem. Wzięli wspólny pokój, ale na szczęście Alberto natychmiast odpalił laptopa i zagłębił się w sieci, poszukując informacji na temat kliniki i profesora Hintermanna. To znaczy, Colin założył, że łowca zajął się tymi właśnie zagadnieniami, nie wnikał jednak w szczegóły. Włoch zachowywał się tak, jakby się obraził na młodego towarzysza za jego nieprzemijające zauroczenie. Kij mu w oko, przynajmniej zostawił Colina w spokoju.

Colin leżał zatem na łóżku, gapił się w sufit i próbował nawiązać kontakt z Tin.

Udało mu się! Choć nie rozmawiali o niczym istotnym, jemu te chwile zdały się jednymi z najciekawszych, najpiękniejszych momentów w życiu. Przy czym zupełnie go nie dziwiło, że mimo dzielącej ich odległości toczą najzwyczajszą wymianę zdań, w myślach,

owszem, ale różnica między taką rozmową a tradycyjną sprowadzała się do tego, że znajdujący się tuż obok Alberto nie słyszał z niej ani słowa. Colin nawet widział Tin: siedziała po turecku na mchu w odrobinę nierealnym lesie, jak z filmów fantastycznych, w których drzewa ożywają. Wyjaśniła mu, że w dzieciństwie często przenosiła się tu w wyobraźni.

Poprosiła, żeby opowiedział jej o społeczności - wszystko, cokolwiek, począwszy od tego, co mu się nasunie pierwsze. Dla niej każda informacja była poruszającą nowością.

- Może po prostu zacznę rozmyślać o osadzie, a ty się wsłuchasz? - zaproponował, nie widząc siebie w roli gawędziarza. Ciekawe, że Matowi czy Emily bez oporów robił wykłady na temat zasad rządzących życiem społeczności, a przy Tin nagle ogarnęła go trema.

- Przecież myślimy właśnie tę rozmowę - zauważyła z uśmiechem. - Kiedy przebywałeś daleko, słyszę tylko te kwestie, które do mnie kierujesz.

- Na drodze mnie usłyszałaś.

- Wtedy krzyczałeś. I chyba zwracałeś się do mnie, nawet jeśli nie robiłeś tego celowo.

Czy rzeczywiście chciał, żeby dotarły do niej tamte oskarżenia i wątpliwości? Natychmiast pojął, że tak. Podświadomie pragnął, żeby zaprzeczyła zarzutom. Albo przynajmniej je znała, tak by nie miała pretensji, jeśli niekiedy Colin powie jej coś niezbyt miłego. Ostatecznie, nawet jeśli osobiście nie ponosiła za to winy, pozostawało faktem, że odwraca jego uwagę od poszukiwań siostry.

- Motel - warknął Alberto. - Zakodowałeś, że masz tu zjechać?

Colin musiał gwałtownie przyhamować, żeby nie ominąć zjazdu. Pociemniało mu przed oczami w reakcji na rozkazująco-ironiczny ton Włocha.

Inna sprawa, że w obecności łowcy nie powinien się tak zamyślać. Miał nadzieję, że początkowe ogłupiające zauroczenie szybko mu minie. W przeciwnym wypadku Colin zarobi kulkę, zanim jego związek z dziewczyną, na którą przecucie tak wytrwale kazało mu czekać, w ogóle zdoła się rozwinąć. Przecucie nie pchałoby go chyba ku samounicestwieniu?

- Vernon, ja nie potrzebuję kierowcy - powiedział Alberto, kiedy stanęli pod motelem.

- Nie trzeba mi pomocnika, któremu muszę precyzyjnie tłumaczyć każde polecenie, bo inaczej coś spartoli. Nie przeczę, we dwóch podróżuje się wygodniej, ale nie na tyle, żebym miał w tym celu rezygnować z moich zwyczajów. Wziąłem cię ze sobą, licząc na to, że wniesiesz jakiś wkład w śledztwo. Świeże spojrzenie. Ale ty ciągle masz przed oczami tę...

- Skończ - warknął Colin.

Zacisnęła zęby. Nadarzała się okazja, żeby posłać Włocha w diabły. Dowiedział się, czego dotyczyło tajemnicze śledztwo Dirka, ocenił hipotezy Niemca jako nieprawdopodobne,

tak więc dalsze zajmowanie się tym tematem wydawało się marnotrawstwem sił i energii. Cokolwiek działo się w klinice, nie odpowiadała za to organizacja, tak więc ten trop nie zawiedzie Colina do siostry. Równie dobrze mógł spędzić nieco czasu z Tin, a potem wrócić do poszukiwań przebudzonego nieświadomego, dzięki któremu namierzy europejską straż. Sześć dni temu Jan przysłał SMS-a, że problem w Valmorel został pomyślnie załatwiony, zatem Colin nie musiał dłużej wypominać sobie, że porzucił obiecujący przypadek: i tak nie doprowadziłby go on ani o krok bliżej do Emily. Tym samym nie potrzebował już usprawiedliwień dla tamtej irracjonalnej decyzji.

A jednak wyjął swoją sfatygowaną torbę podróżną oraz torbę z laptopem z bagażnika należącej do Włocha cordoby i po raz kolejny ulokował się z Albertem w motelowym pokoju. Skoro dotarł tak daleko, to przynajmniej rzuci okiem na tę cholerną klinikę. Choćby po to, żeby się upewnić, że nikt nie spróbuje dotrzeć do Antoine'a - że nikt nie zagrozi Tin.

- Jedziemy dzisiaj na rozpoznanie? - zapytał Colin, wyszedłszy z łazienki.

Alberto łypnął na niego z niechęcią.

- Spędziliśmy w podróży trzynaście godzin - powiedział. - Nic się nie stanie, jeśli dziś odpoczniemy, a klinikę obejrzymy sobie jutro, w dziennym świetle.

No tak, Colin znowu palnął głupstwo. Po prostu nagle zapragnął się czymś zająć, żeby choć na chwilę uwolnić się od myśli o Tin.

- Naprawdę uważasz, że zwierzyzna zadawałaby sobie tyle trudu, żeby rozmnożyć kilka udanych okazów?

- Rozmnożyć - powtórzył z westchnieniem Alberto. - Na tym właśnie polegał problem Dirka. Brakowało mu rozmachu przy budowie hipotez. Jeśli przyjmujemy, że rzeczywiście w klinice podmieniano zarodki... należy wnosić, że istnieje, lub istniało, laboratorium, w którym te zarodki, że tak powiem, fabrykowano. Oraz że, inaczej niż w przypadku kliniki, cała praca tego laboratorium służyła wilkołaczej organizacji, była też przez nią finansowana. Czy opłacałoby im się ponosić tak wysokie koszty, gdyby chodziło o zwykłe rozmnażanie? Wątpię. Jeśli zarodki dostarczano z zewnątrz, mogły zawierać dowolnie spreparowany materiał genetyczny.

- Sugerujesz, że bawiły się w klonowanie? - zapytał niedowierzająco Colin.

Bez jaj. Owszem, podobne wyjaśnienie przyszło mu do głowy, ale natychmiast uznał je za absurdalne.

- A tam, od razu klonowanie - prychnął Alberto. - Skuteczne klonowanie ludzi jest nadal kwestią przyszłości, a one nie wyważają drzwi, jeśli ktoś może je dla nich otworzyć. Klonowaniem zainteresują się, kiedy jego algorytmy będą dostępne. To znaczy, możliwe do

zdobycia. A na razie... tu właśnie otwiera się nam pole do budowy hipotez. Może chcą skonstruować coś w rodzaju superwilkołaka? Na przykład wilkołaka odpornego na srebro? Zdolnego do szybszej przemiany?

- Szczerze mówiąc... nie wiem, czy odrobinę nie przeceniasz ich potencjału - zaprotestował ostrożnie Colin, Alberto bowiem nie przyjmował krytyki. - Takie laboratorium byłoby cholernie kosztowne, no i musieliby w nim zatrudnić wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Wręcz geniuszy, skoro mówimy o pracy badawczej, o przełomowych odkryciach. Geniusz to nie jest coś, czego można się nauczyć.

- Och, a kto mówi, że tym najważniejszym naukowcem jest jeden z nich? - zdziwił się Alberto. - Za pieniądze wszystko da się zorganizować.

Colin uniósł brwi. Organizacja wtajemniczająca w swoje plany ludzi? Przecież nawet stosunkowo bezpiecznymi kwestiami, jak zarządzanie funduszami społeczności, zajmują się odpowiednio przeszkoleni świadomi, choć niewątpliwie wśród ludzi znalazłoby się wielu bardziej utalentowanych maklerów giełdowych czy finansistów - to wynika po prostu z praw statystyki. No, ale Alberto nie żył w społeczności, nie zdawał sobie zatem sprawy, jak obsesyjnie strzeże ona swych sekretów.

- Ja bym raczej podejrzewał agencję - stwierdził Colin. - Tajną rządową jednostkę do walki ze zwierzyną. W Europie działają takie trzy, prawda? Amerykańska ma hasło „do walki” jedynie w oficjalnej misji. W rzeczywistości nastawia się raczej na poznanie zwierzyny, by wykorzystać ją do własnych celów.

Stopniowo Colin zapalał się do tej koncepcji. Jasne, stała za tym któraś z europejskich agencji. Sens ich istnienia sprowadza się właśnie do eksperymentowania na członkach społeczności, przy tym tego rodzaju instytucje dysponują niezbędnymi środkami. Czemu nie, mogłoby chodzić nawet o zmodyfikowane genetycznie zarodki świadomych.

- Niewielka różnica - stwierdził bez emocji Alberto.

- Sugerujesz, że agencje są kontrolowane przez zwierzynę? - zapytał Colin, starając się zachować powagę.

Jeszcze kilka dni temu zachodziłby w głowę, do czego Włoch zmierza. Nauczył się jednak, że przy każdym tego typu zagadnieniu wyjaśnienie brzmi identycznie: spisek wilkołaków. Włoch wszędzie dostrzegał machinacje wilkołaczej organizacji. Gdyby policzyć członków społeczności niezbędnych do obsadzenia wszystkich przypisywanych im przez Alberta stanowisk, okazałoby się, że obejmują oni wcale spory odsetek ludności świata.

- Przecież to oczywiste - oświadczył Włoch takim tonem, jakby dziwiło go, że Colin nie wpadł dotąd na owo rozwiązanie. - Pod latarnią najciemniej. Zastanów się.

Prędzej czy później ktoś u władzy uwierzyłby w opowieść o rozszarpanej żonie czy dziecku. Względnie łowcy zwróciliby się do rządu o pomoc finansową. A tak: masz agencję, instytucję z założenia wrogą łowcom, a więc zmuszającą ich do działania w ukryciu. Zacierając te ślady aktywności wilkołaków, których usunięcia zaniedbają służby ich organizacji. No i wreszcie inwestującą olbrzymie sumy z pieniędzy podatników w badania nad polepszeniem wilkołaczej rasy. Nie uważasz, że to z ich strony genialne posunięcie?

- Amerykańska agencja je ściga! - zaprotestował Colin. - Wykończyła niejeden obiekt! Nawet jeśli wyznaczyła sobie cele inne niż łowcy, na pewno nie sprzyja zwierzyńce.

Po cholere się spierał? Do Alberta nie przemawiały żadne argumenty. Każda wypowiedź stojąca w sprzeczności z prezentowaną przez niego w danej chwili teorią świadczyła o zaślepieniu, niewiedzy lub wręcz nieczystych intencjach rozmówcy. Wdawanie się z Włochem w dyskusję - i to bardzo ostrożną - miało sens tylko jako sposób na bliższe poznanie konkretnej teorii. A takich fantastycznych hipotez Colin nasłuchiwał się ostatnio za wszystkie czasy.

- No właśnie, ścigają same siebie. - Alberto uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby celowo sprowokował Colina do wygłoszenia kontrargumentów. - Kontrolują dopływ informacji na szczyty władzy. Przemawiając z pozycji ekspertów, utrzymują, że chodzi o pojedyncze przypadki.

- Dlaczego w takim razie zasadzasz się na płótkę w Alpach, zamiast namierzyć agenta? - zapytał Colin z powagą, która kosztowała go sporo wysiłku.

- Och, bo większość pracowników agencji to, oczywiście, ludzie. - Alberta po prostu nie dało się zagiąć. - Wilkołakom wystarczy tam jedna, dwie osoby. Żeby trzymać rękę na pulsie i, kiedy trzeba, popchnąć daną sprawę w pożądanym kierunku. Przecież nie w tym rzecz, żeby sterować każdym krokiem każdego agenta. Muszą działać ostrożnie. Pewno, że mógłbym spróbować odnaleźć siedzibę jednej czy drugiej agencji. Ale co by mi to dało? Jak bym rozpoznał, kto jest wilkołakiem? Do takich zadań one wyznaczają nietypowe egzemplarze, na które nie działa wykrywacz, a zdjęcia rentgenowskie nie wykazują odchylenia. Ogromne ryzyko, gra niewarta świeczki. Co innego, gdybym zdobył materiały świadczące o nieuczciwych zagraniach agencji lub, bezpośrednio, wilkołaczej organizacji, na przykład dowody w sprawie tej kliniki. Z czymś takim mógłbym uderzyć do ludzi u władzy, przekonać świat o zagrożeniu.

- Zdjęcia rentgenowskie? - zapytał Colin.

- A jak wyobrażasz sobie ich przemianę? - zdziwił się znowu Alberto. - Pazury czy ogon nie pojawiają się znikąd, żeby po powrocie wilkołaka do ludzkiej postaci rozplynać się

bez śladu. Musi je być widać na rentgenie.

Colina uczono czegoś innego. Pamiętał doskonale, nic nie pokręcił: tylko zaawansowane badania DNA ukazują różnicę między człowiekiem a członkiem społeczności. Zresztą to samo niedawno twierdził Antoine. Przy czym Colin nie widział powodu, dla którego miano by w tej kwestii wprowadzać straż w błąd. Gdyby wróg dysponował innym niż wykrywacz sposobem rozpoznawania członków społeczności, właśnie straż powinna dowiedzieć się o nim jako pierwsza.

Niemniej akurat to zagadnienie Colin chętnie by zgłębił, bo słowa Włocha brzmiały sensownie - na tyle, że Colin dziwił się, że jego samego dotąd nie zaintrygowały znikające bez śladu pazury. Obawiał się jednak, że w toku dyskusji szybko użyłby argumentu, który by go zdemaskował jako świadomego.

- Dlaczego wybrały klinikę w Niemczech? - Wrócił do zasadniczego tematu. - O ile zdołałem poznać Europę... Niemcy wydają się szalenie skrupulatni w kwestii przestrzegania rozmaitych procedur, w przeciwieństwie na przykład do Hiszpanów... - W ostatniej chwili powstrzymał się przed dodaniem „czy Włochów”. Cholera wie, czy Alberto nie wziąłby tego rodzaju uwagi do siebie.

- Tu masz rację - przytaknął łowca, ku zdumieniu Colina. - Też się nad tym zastanawiałem. Zwłaszcza że tuż obok mieli Polskę, w której zapłodnienie pozaustrojowe dotąd nie doczekało się uregulowań prawnych, więc właściwie mogliby tam całkiem legalnie zrobić niemal wszystko.

- No i? - ponaglił Colin, ponieważ Włoch umilkł i pukał palcami w zęby, co u niego wskazywało na wzmożoną pracę umysłu.

- Możemy pogdybać - odezwał się wreszcie Alberto. - Jeśli przyjmujemy, że zarodki są do kliniki dostarczane z zewnątrz, a zatem przyjmujemy również, że istnieje laboratorium, w którym powstają... Takie laboratorium sporo kosztuje. A zarodki miałyby trafiać tylko w jedno miejsce? Gigantyczne ryzyko. U dwojga dzieciaków wykryto by nieprawidłowości, a przebadano by wszystkie. I całą pracę diabli by wzięli.

- Czyli klinik może być więcej? W różnych krajach? Do tego zmierzasz?

- To jedna z hipotez. Do każdej kliniki wilkołaki musiałyby wprowadzić swojego człowieka. Kogoś, kto trochę zna się na rzeczy, a przy tym można mu zaufać, oczywiście za określoną cenę. Pytanie, jak wielu takich ludzi zdołały znaleźć i do jak wielu klinik były w stanie ich wprowadzić. Sprzątaczką czy pielęgniarką tuż przed zabiegiem raczej nie uzyskają bezpiecznego dostępu do zarodków, mówimy zatem o wykwalifikowanej kadrze, osobach z referencjami. Dlatego stawiałbym na dwie, góra trzy kliniki, przy czym o ich wyborze

niekoniecznie decydował kraj lokalizacji, ale bardziej możliwość umieszczenia tam ich człowieka na pożądanym stanowisku.

Włoch lubił myśleć głośno - dzieląc się z Colinem nowymi wnioskami, automatycznie układał z nich teorię. Spójną, co nie czyniło jej mniej szaloną. W tym jednak wypadku Colin skłaniał się przyznać, że wywody Alberta brzmią prawdopodobnie - pod warunkiem, że w miejsce „wilkołaków” wstawi się „agencję”, oczywiście wrogą społeczności. Ostatecznie przecież Dirk, facet stąpający twardo po ziemi, nie trwałby uparcie przy swoich podejrzeniach, gdyby przynajmniej dla części z nich nie znalazł potwierdzenia w faktach.

Tymczasem Alberto się rozkręcał, coraz bardziej oddalając się od granicy prawdopodobieństwa. Tak, o ile problem Dirka polegał na braku rozmachu, o tyle Włoch, kiedy się rozpędził, zapominał o hamulcach.

Mimo że Colin nauczył się traktować wypowiedzi towarzysza tak, jak na to zasługiwały, mianowicie jako majaki szaleńca, po plecach znów przebiegł mu dreszcz. Ilekroć Alberto roztaczał przed nim wizję potężnej wilkołaczej organizacji, bliskiej niemalże zdobycia władzy nad światem, Colin wzdygał się na myśl o szansach, jakie sam miał w walce z tak potężnym przeciwnikiem. Nawet kiedy zakładał, że organizacja dysponuje dokładnie takim potencjałem, o jakim słyszał w trakcie szkoleń straży i codziennego życia w osadzie, z niepokojem spoglądał w przyszłość, ku chwili, gdy stanie przed koniecznością zapewnienia siostrzyczce bezpieczeństwa. Gdyby zaś wizje Alberta znajdowały odbicie w rzeczywistości choć w dziesięciu procentach, Colin znalazłby się w poważnych tarapatkach.

Skarcił się za te obawy. Kto jak kto, ale akurat on nie powinien tak ochoczo dawać wiary nawet takiej części teorii Włocha. Byle łowca podchodził do nich z większym sceptycyzmem.

Tak, ale przeciętny łowca wyśmiewał już sugestie, że zwierzyna jest zorganizowana i posiada własne służby porządkowe. Colin wiedział, że w podstawowych kwestiach Alberto niewiele mija się z prawdą, stąd też łatwiej łapał się na jego stricte fantastyczne gadki. Nie potrafił wytyczyć tej przeklętej granicy.

Tradycyjnie już uspokoił się myślą, że gdyby organizacja rozporządzała choć ułamkiem możliwości, jakie przypisywał jej Alberto, Colinowi na pewno nie pozwolono by na tak długą włóczęgę. Napotkałby na swej drodze jakiegoś świadomego, doszłoby do konfrontacji, zostałyby zgarnięty. Tymczasem wałęsał się po Europie już kilkanaście miesięcy, zachowując pełną swobodę ruchów.

Nazajutrz pojechali do Kohlenbogen, które okazało się sympatycznym starym

miasteczkiem z dobrze zachowanym zamkiem i zabytkowym kościołem. Dla Colina było to pewne zaskoczenie, spodziewał się bowiem szarego, ponurego miejsca, gdzie na każdym kroku straszą pozostałości po minionej epoce. Alberto, oczywiście, zdążył zebrać wcześniej trochę informacji w Internecie.

- Przyjemna lokalizacja - skomentował Włoch. - Jeśli para musi tu spędzić kilka dni, ma czym wypełnić czas. Do Drezna niedaleko, mogą się tam wypuścić, kiedy zaliczą lokalne atrakcje.

Colin nie nazwałby okolicy „przyjemną”. Pomijając niewielki zagajnik, i tak zbyt ambitne określenie dla kępy mizernych drzewek, zieleń wokół miasteczka ograniczała się do pól uprawnych. Pola, pola, pola - tylko tyle Colin widział po drodze. No, ale przecież społeczność nie wybrała tego miejsca na założenie osady. Upomniał się po raz kolejny: społeczność w ogóle nie miała z kliniką nic wspólnego. Agencja, za sprawą stała AGENCJA.

Objechanie sześciotysięcznego miasteczka zajęło im niecały kwadrans. W zimowe przedpołudnie ruch na ulicach panował niewielki - nieprzyjemny wiatr zniechęcał do wychodzenia z domu, więc kto nie musiał, nie wyściubiał nosa za drzwi.

- Zapewne większość mieszkańców pracuje w Dreźnie - zauważył Alberto. - Tutaj był dawniej zakład włókienniczy, ale splajtował. Kilka osób utrzymuje się z turystyki, reszcie pozostają dojazdy.

Nie musieli pytać o drogę do kliniki, gdyż na jej stronie internetowej znajdowała się mapka. Przejechali obok ośrodka, bez pośpiechu, ale też nie zatrzymując się, jako że ulokował się on poza miasteczkiem, na wzniesieniu, otoczony pojedynczymi drzewami - dyskretnie samotny, tak że każdy samochód rzucał się tu w oczy.

Budynek kliniki miał nowoczesną, prostą linię, elewację utrzymano w odcieniach szarości połączonej z bielą. Jakby w ten sposób informowano pacjentów, że mogą tu liczyć na komfort i profesjonalizm, które nie wymagają fantazyjnego opakowania.

- Tam z boku jest pensjonat dla pacjentów, którzy zostają dłużej na badania - wyjaśnił Alberto, wskazując ruchem głowy prostokątny budynek.

Jasne, dobrze mu się podziwiał widoki, skoro posadził Colina za kierownicą. Mimo że podobno nie potrzebował kierowcy.

- Jaki mamy plan? - zapytał Colin.

Odczuwał zawód. Gdyby za sprawą stała agencja, istniałaby skromna szansa, że ktoś z organizacji śledzi poczynania najgroźniejszego wroga. Tymczasem miasteczko i klinika wydały się Colinowi całkowicie bezpłciowe. Nie zwęszył świadomego, przeczucie milczało. Chyba na to najbardziej liczył. Gdyby wreszcie trafił na trop, przeczucie powinno przemówić,

po raz pierwszy od miesiąca; przypadek Tin pomijał, to była stara sprawa - stara zapowiedź, która w końcu doczekała się realizacji.

- Zatrzymamy się w hotelu w Dreźnie, tam będziemy anonimowi - powiedział Alberto.

- A potem uzbroimy się w cierpliwość i trochę poobserwujemy klinikę.

- Twoim zdaniem kontynuują działalność? - zdumiał się Colin. - Mimo że Dirk ich namierzył, a Hintermann wywiózł ważne informacje? Każdy z nich mógł się z kimś podzielić swoim odkryciem. Zresztą Antoine mówił o tym lekarzu...

- Oczywiście - zgodził się Włoch. - Ale brak nam pewności, czy miały tam tylko jednego człowieka. Nie wiemy też, z jakimi nakładami wiązała się ich działalność. Może zainwestowały tak dużo, że opłaca im się ponieść ryzyko kontynuacji? Natomiast co do Dirka i Hintermanna... przypuszczam, że zanim wilkołaki ich załatwiły, postarały się uzyskać kilka odpowiedzi. Przynajmniej od profesorka, bo Dirk nie dałby się łatwo podejść. Bez względu na to, czy kontynuują eksperymenty, istnieje spore prawdopodobieństwo, że obserwują klinikę, żeby się przekonać, czy ktoś jeszcze przyjedzie tu węszyć. Pytanie brzmi, jak powinniśmy w tej sytuacji postąpić. Działać jawnie, żeby je sprowokować do ataku? Czy zaangażować osobę trzecią, żeby pokręciła się koło kliniki, podczas gdy my się przyczaimy, patrząc, co się będzie działo?

- Jeszcze nie zdecydowałeś? - zagadnął z przekąsem Colin.

Nauczył się, że takie pozorne zasięganie przez Włocha jego opinii służy wyłącznie pokazaniu, jaki Alberto jest mądry. Nawet jeśli plan działania pozostawał niewiadomą, Colin z pewnością nie będzie miał w tej kwestii nic do gadania.

Alberto pukał palcami w zęby, zatem rzeczywiście nie podjął dotąd decyzji. Ewentualnie tworzył nową teorię na temat tego, czym organizacja zajmowała się w klinice.

- Nie ma nawet dziesiątej - mruknął Colin. - Co zamierzasz zrobić przez resztę dnia?

- Liczyłem, że to, co na stronie pisali o spokojnej okolicy, było tylko frazesami, żeby zachęcić pacjentów. Ale tam naprawdę nie ma się gdzie przyczaić.

Proszę, Alberto dał się zaskoczyć i w dodatku głośno to przyznał.

- Czyli szukamy hotelu? - drążył Colin.

- Zarezerwowałem nam pokój przez Internet. Wychodzi nieco taniej. - Alberto wyjął GPS ze schowka i zaczął wpisywać adres. - Przystępna cena, blisko centrum, ponad dwieście pokoi, a przy tym część gości przyjeżdża na pobyt rezydencjonalny. Idealne warunki, gdybyśmy musieli zostać nieco dłużej. Oficjalnie przyjechaliśmy w interesach. Reprezentujemy włoskiego producenta wtryskarek. Miejmy nadzieję, że nikt nie okaże nadmiernego zainteresowania naszą ofertą.

- Lepiej, żeby nie okazał żadnego - mruknął Colin.

- Oj, Vernon - westchnął Włoch. - Jeśli zamierzasz kogoś udawać, powinieneś choć trochę orientować się w temacie. Na tyle, żeby wypaść wiarygodnie, gdyby się okazało, że twój rozmówca planuje nabyć wtryskarke.

Colin zacisnął zęby, wściekły o to pouczenie.

Nie podobał mu się także wybór hotelu w centrum miasta. Mimo „przystępnej ceny” na pewno było tam drożej niż w przydrożnym motelu, nie mówiąc o noclegu w samochodzie. Niestety, świetnie nadająca się do tego ostatniego celu corolla kombi Colina została w Annecy, a Włoch na pewno nie pozwoliłby mu spać w swoim wozie.

Po ponad roku europejskiej włóczędzy, z trzydziestu paru kawałków (mniej, jeśli przeliczyć tę sumę na euro), które Colin dostał za lincolna Gordona i swój motor, została mu połowa. A przecież kiedy w końcu wyzwoli Emily z rąk kapłanów, będzie potrzebował pieniędzy. Przynajmniej na start. Dlatego starał się oszczędzać, na czym tylko się dało, głównie na noclegach - zatrzymywał się na przydrożnych parkingach, niczym kierowca robiący sobie kilkugodzinną przerwę w podróży.

Rozdrażnienie jeszcze w nim wzrosło, gdy wjechali do miasta. Colin nie cierpiał lawirowania w miejskim ruchu. Nagromadzenie budynków, samochodów i ludzi stanowczo działało mu na nerwy. W dodatku ten pieprzony GPS uparcie kazał mu skrócić pod prąd w jednokierunkową.

- Jedź prosto, za chwilę wytyczy nową trasę - powiedział Alberto. - Nie korzystasz z nawigacji satelitarnej?

- Korzystam - mruknął Colin. - Ale tego nie lubię.

Niestety, w warunkach miejskich Colina zawodził zmysł orientacji. Za dużo zapachów, nerwowej bieganiny, hałasu. Bez wskazań urządzenia szukałby hotelu jak głupi, kręcąc się w kółko po tych samych ulicach. Zresztą, nawet na autostradzie okazywało się ono przydatne, zwalniając Colina z obowiązku czytania informacji o zjazdach.

- W zasadzie słusznie - zgodził się Alberto. - Człowiek coraz bardziej uzależnia się od elektroniki. Choćby obliczenia. Kiedyś umysł pracował, dodawało się i odejmowało w głowie albo przynajmniej posiłkując się kartką. Dzisiaj wpisujesz dane w arkusz Excela i masz wynik. Wpisujesz adres w GPS i nawet nie musisz wiedzieć, jak wygląda tradycyjna mapa. Word poprawia za ciebie pisownię. O, to nasz hotel.

Zapewne wyłącznie dzięki temu, że dojechali na miejsce, Colin nie usłyszał rozbudowanego wykładu o tym, że podczas gdy ludzie uzależniają się od elektroniki, wilkołaki wprawdzie czynią z niej użytek, lecz jednocześnie pielęgnują tradycyjne

umiejętności. Tym sposobem z roku na rok wzrasta ich przewaga nad ludzkością - gdyby nagle wirus czy impuls elektryczny zniszczył wszelkie programy i urządzenia, wśród ludzi zapanowałby kompletny chaos, a wilkołaki poczułyby się w nowej rzeczywistości jak wilki w dzikiej puszczy. Podróż potrwałaby jeszcze odrobinę dłużej, a Alberto doszedłby do konkluzji, że za rozwojem techniki stoi właśnie wilkołacza organizacja, której rosnąca niezdolność człowieka do przetrwania w warunkach naturalnych jest jak najbardziej po myśli.

Wypuścili się na miasto, żeby coś zjeść, jako że Alberto uznawał tylko bary szybkiej obsługi, gdzie przynajmniej część potraw czeka na widoku, gotowa do podania. Hotelowe restauracje, w których jedzenie przynoszono z niewidocznej kuchni, przygotowane specjalnie na jego zamówienie, Włoch omijał z daleka, gdyż wróg w takich warunkach bez trudu mógłby dosypać mu trucizny do posiłku. Zdaniem Colina łowca powinien obawiać się raczej kuli niż trucizny, ale dyskusja z Albertem nie miała sensu. Skończyłoby się tym, że Colin zostałby posądzony ni mniej, ni więcej, tylko o zamiar otrucia towarzysza.

No i wylądowali w McDonalddie, zresztą nie po raz pierwszy w trakcie tej wspólnej podróży. Colin kłął w duchu. Marzył mu się krwisty stek, a żarł papierowe kotlety. W dodatku Włoch jadał niewiele, Colin więc też się przy nim ograniczał, żeby nie wzbudzić podejrzeń. W efekcie ostatnimi czasy nieustannie doskwierał mu głód. Może dlatego tak łatwo wpadał w gniew?

Gdy wracali do hotelu, Colinowi rzuciła się w oczy budka telefoniczna. Najwyraźniej zatrzymał na niej wzrok odrobinę za długo.

- Mówiłem ci, żebyś się skupił na naszym zadaniu - warknął Alberto. Serdeczność, jaką prezentował w trakcie posiłku, ulotniła się bez śladu.

Colin ściągnął brwi.

- I tak nie mam jej numeru - odszczeknął, domyśliwszy się wreszcie, do czego pije Włoch.

Nie miał numeru telefonu Tin, ale też go nie potrzebował. Jeśli zapatrzył się na budkę, to dlatego, że na ów widok, jak często w takich przypadkach, ogarnęło Colina poczucie winy, że dotąd nie zadzwonił do brata. Co prawda nie obiecywał, że się odezwie, a wręcz, zdaje się, zapowiedział Matowi, żeby nie liczył na kontakt. Ale chyba jednak powinien okazać nieco zainteresowania samopoczuciem kogoś, kto się zamartwiał o Emily. Dzwoniąc z publicznego aparatu gdzieś w Europie, Colin nic nie ryzykował, nie zamierzał też podawać Matowi żadnych niebezpiecznych informacji.

No właśnie, sęk w tym, że w ogóle nie bardzo miał co bratu przekazać. Planował

zadzwoić do niego, kiedy trafi na sensowny ślad, przy czym liczył, że nastąpi to szybko. Niestety, czas płynął, a Colin nie mógł się pochwalić choćby małym sukcesem. A im dłużej zwlekał, tym głupiej mu było wyjaśniać, że nadal znajduje się w punkcie wyjścia. Szczeniak nie omieszkaby odpowiednio skomentować nieporadności starszego brata. Z kolei kłamstwo Colin uważał za coś poniżej godności. Tak czy owak, podle by się czuł po takiej rozmowie.

Obecnie sytuacja wreszcie uległa zmianie. Nawet jeśli trop kliniki wkrótce okaże się ślepą uliczką, po raz pierwszy od wielu miesięcy Colin mógł powiedzieć, że pojawiła się nadzieja na odnalezienie Emily. Tylko tyle: nadzieja. Szczegółów i tak by bratu nie przekazał, zatem Mat nie miałby okazji go wyśmiać - wilkołaki i sztuczne zapłodnienie!

W tej chwili, ze względu na obecność Alberta, Colin tak czy owak nie zadzwoni. Zresztą zwlekał z telefonem tak długo, że mógł poczekać jeszcze trochę, aż stanie się jasne, czy z owej nadziei cokolwiek wyniknie. Już sobie wyobrażał reakcję Mata, gdyby za kolejny miesiąc czy dwa musiał mu wyjaśnić, że chodziło o fałszywy alarm.

Alberto był cały czas obrażony. Psiakrew, jedno zerknięcie na publiczny aparat, a Włoch zachowywał się tak, jak gdyby Colin dopuścił się ciężkiej zdrady. Pieprzony wariat. Może Colin powinien jednak odpuścić sobie jego towarzystwo?

Przecież w gruncie rzeczy szansa na to, że organizacja odkryła, że w Kohlenbogen prowadzone są eksperymenty na świadomych, i wysłała tam kogoś na przeszpiegi, była dość nikła. Jeśli zaś Alberto słusznie przypuszczał, że po ucieczce Hintermanna klinika znajduje się pod obserwacją, prowadzili ją niewątpliwie pracownicy agencji. Colinowi groziło więc, że wpakuje się w niezłe bagno.

Z kolei ten Francuz, Antoine, ewidentnie zachował dla siebie część uzyskanych od Dirka informacji. Niewykluczone, że postąpił tak ze względu na niechęć do osoby Alberta, natomiast chętnie podzieliliby się swoją wiedzą z Colinem. Przy okazji Colin zobaczyłby się z Tin. Tak, pomysł powrotu do Francji wydawał się zdecydowanie rozsądniejszy niż tkwienie u boku Włocha, który dopiero się zastanawiał, jak ugryźć sprawę kliniki.

- I co, obmyśliłeś jakiś genialny plan? - zapytał Colin, kiedy wrócili do pokoju.

- Owszem - odparł Alberto. - Nie wiem tylko, czy powinienem się nim z tobą dzielić.

- Co znaczy „nie wiem”? - warknął Colin.

- A co miało znaczyć „genialny”? - spokojnie odparował Włoch.

Wszystko układało się po myśli Colina.

- Słuchaj, nie pasuje ci nasza współpraca, świetnie. Nie muszę dotrzymywać ci towarzystwa - powiedział Colin, pozorując irytację. - „Genialny” znaczyło tyle, że w żadnej

kwestii nie dopuszczasz mnie do głosu. Liczą się wyłącznie twoje błyskotliwe przemyślenia!

- Ależ proszę cię bardzo, zaproponuj coś. - Włoch nadal mówił tonem niemalże serdecznym, ale jego zmrużone oczy zapłonęły wściekłością. - Przedyskutujemy oba plany i na ich bazie stworzymy jeden optymalny.

Sprawy przybierały zły obrót. Celem Colina było zerwanie stosunków z Albertem w taki sposób, żeby Włoch nie nabrał podejrzeń, że jego towarzysz zamierza działać dalej na własną rękę - a nawet opracował już kolejne posunięcia.

- Przedyskutujemy! - podchwycił gniewnie Colin. - Wiesz, na czym polegają dyskusje z tobą? Lubujesz się w wytykaniu błędów! Pokazywaniu, jaki jesteś wspaniały! Wręcz genialny! W przeciwieństwie do wszystkich innych, głupich, ślepych, zbyt naiwnych, żeby dostrzec prawdę! Ale wierz mi, ja nie potrzebuję nauk od pierdolonego pomyślnika!

Włoch poczerwieniał na twarzy. Tak, wystarczyło raz nazwać Alberta wariatem, żeby stać się jego wrogiem na resztę życia.

- Doskonale - wycedził Włoch przez zaciśnięte zęby. - Nikt cię tu nie trzyma.

Colin stanął przed hotelem, niezwykle z siebie dumny. Nawet nie zdążył się rozpakować, więc po prostu wziął swoją torbę podróżną i tę z laptopem, po czym wyszedł, nie zwracając sobie głowy pożegnaniem. Srał pies tego szaleńca.

Zadowolenie z siebie nieco Colinowi przeszło, kiedy uzmysłowił sobie, że znalazł się z bagażem niemal pod polską granicą, a jego wóz stoi na parkingu w Annecy, odległym o, bagatela, tysiąc kilometrów. Jakieś... sześćset mil, co nieco lepiej brzmiało, ale nie zmieniało faktu, że miał do pokonania spory kawałek. Jeśli zaś nie chciał wydawać pieniędzy, pozostawało mu złapać okazję, względnie iść z buta. To znaczy, z łapy.

Zatrzymał się przed sklepową wystawą i krytycznie obejrzał swoje odbicie w szybie. Przed przybyciem do Europy zrewidował nieco wizerunek, z wielkim żalem rezygnując z przyjemnie przesiąkniętych jego zapachem, lecz zarazem znoszonych, porozciąganych i brudnych ubrań, na rzecz nowych, regularnie pranych dżinsów, swetrów i T-shirtów. Skrócił też odrobinę włosy. Dzięki temu przynajmniej nie skupiał na sobie uwagi służb mundurowych różnych krajów, co nie równało się stwierdzeniu, że wygląda jak facet, którego każdy kierowca z radością podwiezie. Nie, Colin musiał uczciwie przyznać, że na złapanie okazji ma marne szanse.

Dla odmiany nocny bieg byłby, niestety, zbyt nieroztropny. Lasy - czy raczej większe kępy drzew - trafiały się na tej trasie bardzo rzadko. Colin musiałby poruszać się po otwartej przestrzeni, ryzykując, że ktoś doniesie mediom o ogromnym psie z torbą na grzbiecie.

Wyobraził sobie, jak lokalna gazeta ze stosowną wzmianką trafia do rąk Alberta, a ten, nie daj Boże, dochodzi do wniosku, że skoro Colin, będąc wilkołakiem, tak mocno zainteresował się Tin, to wypadałoby jej się dokładnie przyjrzeć.

Pozostawał pociąg, rozwiązanie niewątpliwie tańsze niż wynajem samochodu. Z samolotów Colin w Europie nie korzystał.

Trafił na znającego angielski przechodnia i zapytał o drogę na dworzec. Cholerne miasto. A jego GPS został w toyocie.

No dobrze. Wracał do Tin. Poprawka: przy okazji spotka się z Tin, bo przede wszystkim zależało mu na informacjach zatajonych przez Antoine'a. Oczywiście. Będzie musiał wyjaśnić Francuzowi, o co się pokłócił z Albertem, a potem przekonać go, żeby ujawnił owe dodatkowe fakty. A jeśli Antoine nie okaże się skory do współpracy?

Wydawało się, że Colin postąpi najrozsądniej, jeśli zapuka do drzwi byłego łowcy tuż przed początkiem pełni. Kulminacja przypadała rankiem dwudziestego czwartego, czyli dwudziestego pierwszego, niedługo przed wschodem księżyca, Antoine powinien być bardzo nerwowy.

Właściwie dlaczego Colin uznał, że pełnia ma jakiegokolwiek...?

- Tin! - wezwał ją gwałtownie. - Tin, czy on cię zamyka? Zamyka cię na czas pełni? Słyszysz mnie, cholera?!

- Nie krzycz - odpowiedziała cicho. - Nie można cię nie usłyszeć.

- Zamyka? - zaatakował znowu Colin.

- Tak, zamyka. A ja nie mam nic przeciw temu, więc bardzo cię proszę...

- Co za skurwy...

- Colin! - przerwała mu ostrym tonem. - Powiedziałam, że nie mam nic przeciw temu.

- Nie panujesz nad przemianą? - zapytał, marszcząc brwi; chyba w ogóle nie bardzo zważał na mimikę, bo przechodzący właśnie facet obejrzał się za nim zdziwiony.

Przypomniał sobie, że jej oczy się przebarwiły, kiedy rozmawiali przez okno toalety. Księżyc był wtedy w nowiu, choć niewidoczny, gościł na niebie, ale tak czy owak transformacja poza pełnią należy do trudniejszych wyzwań niż jej powstrzymanie pod okrągłym księżycem. Zresztą Colin odebrał Tin jako świadomą dostatecznie silną, żeby do zmiany formy wcale nie potrzebowała obecności księżyca.

- Tin? - ponaglił ją z irytacją.

- Panuję, ale... nie jestem pewna, czy tato o tym wie - odparła z wahaniem.

Nie znosił tego jej „tato”.

- Nie jesteś pewna?

- Och, Colin. Nie rozmawiam z nim na te tematy. Ale nie, musi zdawać sobie sprawę, że nie zawsze się przemieniam. Chodzi raczej o to, że... - Urwała.

- On nie wie, że potrafisz przemienić się w dowolnym momencie? - domyślił się Colin.
- Nawet kiedy na niebie nie ma księżycy?

- Tak - odparła z westchnieniem.

- Tin, jak możesz mieć wyrzuty, że to przed nim ukrywasz? - perswadował łagodnie. - Trzymałby cię w zamknięciu cały czas.

- Dlatego mu nie powiedziałam. Chociaż niekiedy myślałam, że tym argumentem przekonałabym go, że w ogóle nie musi mnie zamykać. Z drugiej strony... Do tej pory nie miałam całkowitej pewności, jak to ze mną faktycznie jest. Czy rzeczywiście nikogo bym nie skrzywdziła? Wydawało mi się, że mogłabym spać z łbem na jego kolanach, ale co, jeśli...?

W Colinie znowu narosła wściekłość. Dziewczyna wszystkie pełnie spędziła za kratami i w dodatku cieszyła się z tego, ponieważ ten skurwiel zdołał jej wmówić, że okrągły księżyc budzi w niej bestię!

- Spróbuj go zrozumieć - nalegała, jakby wiedząc, jakim torem pobiegły myśli Colina.
- Uważa, że chroni mnie przed samą sobą. Zwłaszcza że to tylko trzy noce w miesiącu...

- Najważniejsze trzy noce w miesiącu! - wybuchł. Ale nie zaklął, mimo że miał ochotę. Nie zwróciła mu jeszcze uwagi, niemniej podejrzewał, że Tin krzywi się nawet na niewinne „cholera”. - Nie zdajesz sobie sprawy, co tracisz!

- Ale zdaję sobie sprawę, co zyskuję - odparła stanowczo. - Dlaczego pytałeś o pełnię?

- Unikaniem tematu niczego nie rozwiążesz - warknął. - Kiedy miałaś dziesięć czy dwanaście lat, zgoda, te trzy noce faktycznie nie były tak ważne. Wychowywana przez... przez członków społeczności, zapewne także byś sobie nie pobiegała. - W ostatniej chwili powstrzymał się przed przywołaniem jej zamordowanych przez Antoine'a rodziców. - Natomiast młodzież w twoim wieku...

- Colin. Dlaczego pytałeś o pełnię?

Zacisnął pięści. Co za tępa...! Poczuł, że wyrastające pazury wbijają mu się w skórę dłoni. Oparł się o ścianę budynku i zwiesił głowę, żeby przypadkowy przechodzień nie zobaczył jego przebarwionych oczu. Psiakrew. Ta dziewczyna potrafiła wyprowadzić go z równowagi.

- Pomyślałem... - zaczął z trudem. - Pomyślałem sobie, że jeśli Antoine zataił jakieś informacje na temat kliniki... w zasadzie jestem pewien, że tak zrobił... będzie bardziej skłonny wyjawić mi je, gdy zawitam do was tuż przed pełnią. Skoro tak skrupulatnie trzyma się zasady, że musisz znaleźć się w zamknięciu, zanim wjeździe księżyc, będzie chciał mnie

szybko spławić, żebym nie zaciekał się, gdzie tak nagle znikłaś. Jeżeli pojawię się u was dwudziestego pierwszego po południu...

- Dwudziestego - poprawiła go. - Dwudziestego pierwszego byłby już na tyle podenerwowany, że mógłby... nie działać racjonalnie. Dwudziestego spokojnie rozważysz sytuację i uzyskasz te informacje.

- Dobra, dwudziestego - zgodził się Colin, chociaż znów poczerwieniało mu przed oczami. Nie dość, że skurwił ją więził, to jeszcze był pierdolonym raptusem!

- Stawię się przed Antoine'em dokładnie dwudziestego - powtórzył, żeby się opanować. - Tak czy owak, to za dziesięć dni, więc zastanawiałem się...

- Dopiero przyjechaliście do Drezna - przerwała mu.

- Co się stało?

- Ach, pokłóciłem się z Albertem - mruknął. - Poza tym przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że nie ma sensu tu tkwić.

Pokrótko opisał jej wizytę w Kohlenbogen i streścił własne rozważania na temat kliniki.

- Nie mówię, że nie masz racji - powiedziała ostrożnie.

- Ale? - Od razu się zdenerwował.

- Skoro pokonałeś taki szmat drogi... szkoda rezygnować tak prędko.

- Z niczego nie rezygnuję! Wracam do Antoine'a, żeby zdobyć nowe informacje! Istotniejsze niż to, czego dowiedziałbym się tutaj!

Ledwie się nieco bliżej poznali, a Tin zaczynała prawić mu kazania. Niekiedy trzeba przyznać, że obrana droga nie prowadzi do celu, i zawrócić, bez względu na wysiłek, jaki się włożyło w dotarcie do aktualnego etapu. Naprawdę tego nie pojmowała?

- Na pewno masz większe ode mnie doświadczenie w tego typu sprawach - powiedziała, ale jakoś dziwnie, tak że Colin wcale nie był przekonany, czy przyznała mu rację.

- W każdym razie, jak wspominałem, jest dziesiąty, więc do spotkania z Antoine'em...
- Zawiesił głos.

- Przyjedź wcześniej - zaproponowała Tin po krótkim wahaniu. - Na terenie naszej winnicy znajduje się *mazet*, taka niewielka chatka z kamienia, w której możesz się zatrzymać. O tej porze roku nikt się koło niej nie kręci. Tylko samochód musiałbyś zostawić w Montpellier.

Nie usłyszał w jej głosie entuzjazmu, choć miał prawo oczekiwać, że zakochana w nim dziewczyna ucieszy się na wieść o rychłym spotkaniu.

Wiedział, czemu się zawahała, psiakrew. Parodniowy pobyt Colina w okolicy będzie się wiązał z koniecznością okłamywania przez Tin jej drogiego tatusia, a tego, oczywiście, wolałaby uniknąć. Jakim cudem inteligentna laska dopuściła, żeby pierwszy lepszy fanatyczny gnojek zrobił jej wodę z mózgu?

- Świetnie, przemknę z Montpellier w wilczej skórze - odparł, starając się ukryć wściekłość pod pozorami radości. Nie był pewien, czy ta sztuka mu się udała.

W rozmowach z Tin musiał za wszelką cenę omijać temat Antoine'a. Jeszcze nadejdzie pora na zrewidowanie jej zapatrywań na osobę przybranego ojca; chwilowo każdym wybuchem pod adresem Francuza Colin jedynie obniżał własne notowania.

Obserwował ją bacznie. Od wyjazdu Alberta i Vernona minęły dopiero dwa dni, na pozór zatem nie powinno było dziwić, że Tin chodzi z głową w chmurach. Chłopak jej się spodobał, hormony w niej buzowały, fantazjowała na jego temat... Antoine'owi wydawała się jednak podejrzanie szczęśliwa. Jakby się zakochała - czego nie wykluczał - ale była przy tym pewna wzajemności. Żyła marzeniami? Czy przeciwnie, miała solidne podstawy sądzić, że Vernon także poważnie potraktował ich spotkanie?

Antoine nie pytał. Więcej nie nawiązał do wizyty łowców, jedynie spoglądał wymownie na Tin: jeżeli miała mu coś do powiedzenia, czekał. Starła się zachowywać, jak gdyby nigdy nic. Starła się - w tym tkwiło sedno sprawy. W ich relacjach coś się zmieniło. Wcześniej nie miewała przed nim tajemnic. Zachęcona jednym ogólnym pytaniem, zdawała ojcu szczegółową relację z przebiegu dnia. Opowiadała o zdarzeniach w szkole, kiedy jeszcze dojeżdżała do Montpellier, o klientach odwiedzających piwnicę z winami, o koncepcjach artykułów, które planowała napisać dla lokalnej internetowej gazetki.

Wprawdzie tego wieczoru także mówiła o klientach, niemniej obecnie jej historyjki służyły zamaskowaniu faktu, że Tin coś ukrywa. Antoine patrzył na nią ponuro. Dawał jej odczuć, że nie nabiera się na te gierki.

- Zajrzała też na moment Camille - powiedziała Tin, podsuwając mu miskę z sałatką. - Mathilde będzie miała bliźniaki. Camille bardzo przeżywa tę wiadomość. - Tin zaśmiała się cicho. - Cieszy się, na pewno, ale jednocześnie przytłacza ją myśl, że nie dość, że zostanie babcią, to od razu podwójną.

Antoine uśmiechnął się półgębkiem. Do niego Camille nie zadzwoniła z tą nowiną. Pokłócili się wczoraj. Napięcie między nimi narastało od jakiegoś czasu: Camille dręczyła go, delikatnie, acz wytrwale, że tłamsi Tin, ogranicza dziewczynie wolność. Nie podejrzewał, żeby Tin rozmyśliła się jej żaliła, jednak bez wątpienia opowiadała czasem o swoich

marzeniach i wizjach dorosłości, w których Antoine niekoniecznie zajmował naczelne miejsce.

- Wiesz, że jesteś w tej chwili śmieszny? - zapytała Camille poprzedniego wieczoru, kiedy zbierał się od niej, żeby wrócić na noc do domu.

Powrót należał do tradycji. W pierwszych latach ich związku Antoine tłumaczył się młodym wiekiem i niewinnością Tin: nie chciał, żeby się zorientowała, co łączy jej tatę z sąsiadką.

- Ona dorosła - powiedziała znowu Camille. - Chronisz niewinność dwudziestolatki! Wychowałam dwie córki, zapewniam cię, że w tym wieku...

- Tin jest inna - przerwał jej gniewnie.

- Owszem, Tin jest bardzo rozsądną dziewczyną - zgodziła się Camille. - Dlatego możesz jej zaufać. Pozwól jej podejmować własne, dorosłe decyzje.

Znów coś odwarknął. Camille niczego nie rozumiała, ale przecież nie mógł jej wyjaśnić istoty problemu. Dorosłe decyzje! Od słowa do słowa, ostro się pokłócili.

Owo uparte mieszanie się Camille w sprawy Antoine'a i Tin nie stanowiło jedyne zgrzytu w ich relacjach. Coraz bardziej ciążyły mu także jej niesprecyzowane oczekiwania. Wdowa, z dwiema dorosłymi córkami, już zamężnymi, delikatnie sugerowała, że skoro i Tin powoli szykuje się do wyfrunięcia z gniazdka, oni dwoje powinni rozważyć zacieśnienie łączących ich więzi.

Ani myślał się żenić. Camille nic dla niego nie znaczyła, czy też znaczyła bardzo niewiele. Mężczyzna powinien mieć kobietę, a w małych wioskach możliwości wyboru są ograniczone. Jednak owo ciągłe gadanie Camille o dorosłości Tin coraz bardziej działało mu na nerwy. Głupia baba uparcie przypominała Antoine'owi, że niewinne dziecko odeszło bezpowrotnie.

Czy Tin kiedykolwiek była naprawdę niewinna? Być może to instynkt podpowiadał jej najskuteczniejsze sposoby walki o przetrwanie. Choćby ta jej przemiana wtedy, dosłownie w ostatnim momencie...

Polował, polował na zwierzynę, jak wielokrotnie wcześniej. Pomijając kwestie czysto techniczne, dla Antoine'a nigdy nie odgrywało roli to, czy strzela do ich ludzkiej, czy wilczej postaci: w obu były takim samym złem. Jednakże dotąd nie natknął się na równie młodą sztukę; niespodzianie przybrana przez nią postać zyskała ogromną wagę. Jako wilczek Tin miała w sobie niewinną delikatność szczenięcia, lecz zarazem dostrzegało się już, co z niej wyrośnie. Miniaturowe pazury, miniaturowe kły, które za kilka lat staną się śmiercionośną bronią. Do szczeniaka Antoine strzeliłby bez oporów. Nie zdołał strzelić do dziewczynki.

Naiwnie zakładał, że problem sam się rozwiąże. Uderzył ją kolbą pistoletu. Mocno. Teoretycznie zamierzał ją tylko ogłuszyć, lecz włożył w ten cios sporo siły, jakby podświadomie usiłował „niechcący” zabić małą. Wypadek, stało się, nie miałby sobie nic do zarzucenia.

Niestety. Straciła przytomność, ale nadal żyła.

Ze względu na nią zrezygnował z usuwania śladów - musiał jak najszybciej wynieść się z leśnego parkingu. Zaniósł ją do samochodu, wrzucił do bagażnika, skrepował liną holowniczą i paskami pociętej koszuli. Zamknął klapę.

Właśnie wszedł księżyc. Antoine zastanowił się, czy nieprzytomny obiekt trwa w ludzkiej postaci, czy przemienia się samoczynnie, kiedy wpływ pełni osiąga apogeum. Mimo że polował na nie od blisko dekady, nadal niewiele wiedział o ich właściwościach. Namierzał osobnika i go zabijał, nie trafiały mu się okazje do przeprowadzenia wnikliwych obserwacji.

Mała przybrała wilczą postać, zanim jeszcze srebrna tarcza ukazała się na niebie, zatem na co najmniej pół godziny przed wschodem księżyca jego wpływ był dość silny, by zdołała się przemienić. Może jednak nie na tyle silny, by potrafiła utrzymać przemianę, i dlatego szybko wróciła do ludzkiej formy? A z kolei kiedy księżyc zawisnie wysoko nad horyzontem, jego oddziaływanie wymusi na niej transformację?

Antoine związał ją jako dziewczynkę. Skrepował małą bardzo mocno, całkowicie ograniczając jej możliwość ruchu. Gdyby się przeobraziła... nie wykluczał, że skręci sobie kark, kiedy wilcze ciało będzie się dopasowywać do niewygodnej pozycji.

Chciał odjechać jak najdalej od miejsca tego incydentu, zanim odkryją ciała tamtych. Liczył, że po zapadnięciu zmroku nikt nie skusi się na postój na leśnym parkingu, a przynajmniej nie spróbuje ustalić, gdzie się podziali pasażerowie opuszczonego saaba. Przypuszczalnie Antoine miał trochę czasu.

Czasu na zastanowienie. Obawiał się przekraczać granicę ze Szwecją czy wjeżdżać na prom z tak szemranym ładunkiem. Nawet przy założeniu, że mała się nie ocknie, nie zacznie krzyczeć lub tłuc od spodu w klapę, prawdopodobieństwo, że każą mu otworzyć bagażnik, szacował jako zbyt duże. Pozostawało mu przyczaić się w Norwegii, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

Wiózł w bagażniku związane dziecko. W razie zatrzymania ograniczeni stróże prawa natychmiast zakwalifikowaliby go jako niebezpiecznego psychopatę. Sam nieszczególnie się czuł z myślą, że ona leży w ciemności, cierpiąc niewygody. Zastanawiał się, czy już odzyskała przytomność. Co miał z nią zrobić?

Rozważał, czy jednak jej nie zastrzelić. A potem starannie zakopać, żeby nie

rozpoczęto nagonki na mordercę kilkuletnich dziewczynek - policja wpadłaby w histerię, zwłaszcza tu, w Skandynawii.

Powinien też wyrzucić pistolet. Zabił nim troje „ludzi”: tak będzie wyglądać oficjalna wersja. Pierwszą sztukę załatwił u niej w mieszkaniu, nie było jak sprzątnąć ciała. Po akcji miał pozbyć się broni i jak najszybciej opuścić Norwegię. Zamiast tego upolował kolejne dwie bestie, a teraz rozbijał się po norweskich drogach z dzieckiem w bagażniku i trefnym pistoletem w samochodowym schowku.

Zachował broń, na wypadek gdyby dziewczynka go zaatakowała. Co z tego, że była szczeniciem? Przy odrobinie nieuwagi ze strony Antoine'a zdołałaby przegryźć mu gardło.

Liczył - głupio - że mała podejmie tego rodzaju próbę. Zaatakuje go, Antoine strzeli i gładko pozbędzie się problemu. Zabić ich młode w samoobronie, kiedy porośnięte futrem rzuca się człowiekowi do gardła, a zabić je, gdy pod postacią drobnej dziewczynki leży bezsilne na ziemi lub skrępowane jak prosię w bagażniku... między tymi dwiema sytuacjami Antoine dostrzegał sporą różnicę. Znajdzie bezpieczne lokum, rozwiąże małą i zacznie odgrywać nieostroznego, pewnego siebie dorosłego, któremu ani przez myśl nie przejdzie, że takie dziecko mu zagraża.

Tak, wtedy jeszcze żywił śmieszna nadzieję, że nic się w jego życiu nie zmieniło. Ot, krótkotrwały przerywnik. Mała przy pierwszej nadarzającej się okazji postąpi zgodnie ze swą naturą, czyli napadnie na Antoine'a, a potem wszystko wróci do normy.

Plan wydawał się taki prosty.

Tyle że tę pierwszą noc spędzili w drodze. Czy powinien był zjechać w las, otworzyć bagażnik, uwolnić dziewczynkę z pęt i czekać na atak? Niewiele by się to różniło od zabicia jej z zimną krwią. Zastrzelił jej rodziców, ją samą zdzielił pistoletem w głowę, miała więc prawo czuć się zagrożona; co innego, gdyby Antoine okazał jej wiele serca, a ona odpłaciłaby mu za dobroć brutalną napaścią.

A gdyby spróbowała ucieczki? Pozwoliłby jej umknąć? W pewnym sensie problem także by się wówczas rozwiązał... Antoine nie ryzykowałby wiele, bo dziecko raczej nie zdołałoby dokładnie opisać go policji. Ale wypuścić bestię? Co z tego, że małą. Ona nie pozostanie dzieckiem wiecznie. Antoine miałby na sumieniu wszystkie jej przyszłe ofiary.

Czy podczas kolejnych pełni cokolwiek się zmieni? Jeśli w te noce zamierzał zamykać się z małą w pokoju, prowokując ją do ataku, równie dobrze mógł zastrzelić ją od razu. Oszczędziłby jej stresu, a sobie kłopotu.

Jeśli natomiast potrzebował dowodu, że ona jest na wskroś bestią - że za okazane jej przez człowieka serce zawsze odpłaci mordem - najpierw musiał wcielić się w rolę opiekuna.

Coraz wyraźniej pojmował, że owa chwila słabości, kiedy to nie zdołał pociągnąć za spust, będzie kosztować go znacznie więcej, niż pierwotnie przypuszczał.

ROZDZIAŁ 3

Do celu podróży Colin dotarł w sobotnią noc. Zjawiłby się wcześniej, gdyby nie postawiony przez Tin warunek, żeby wóz został w Montpellier: z wędrówką na czterech łapach Colin musiał poczekać, aż się ściemni.

Co za paskudna okolica. Latem, kiedy krzewy winorośli mają liście, biegnąc w wilczej postaci zdołałby się w nich skryć, teraz jednak, w lutym, ryzykował, nawet przemieszczając się nocą. Tego tylko brakowało, żeby ktoś miejscowy wspomniał przy Antoinie o przemierzającym winnice wielkim psie z pakunkiem na grzbiecie.

Kierował się na jej dom na skraju wsi; znalazłszy się blisko, zaczął wychwytywać sygnał Tin - naprowadzała go na dyskretnie zlokalizowaną chatkę z kamienia.

Chatka, dobre sobie. Colin aż przystanął, kiedy zobaczył budynek, przez chwilę przekonany, że pomylił drogę. Nazwanie tego czegoś szopą wydawało się zbyt pochlebne. Kupa kamieni, przykryta częściowo zapadniętym dachem, z oknem rozmiarów otworu strzelniczego dla krasnoludków i prowizorycznymi drzwiami z byle jak zbitych desek. Wymarzone miejsce na schadzki, psiakrew.

Tin czekała w środku, żeby ktoś jej przypadkiem nie wypatrzył, jednak niechybnie wyczuła przybycie Colina. Zezłościło go, że nie wybiegła mu na spotkanie. Dopiero po kilku kolejnych krokach uzmysłowił sobie, że Tin prawdopodobnie nie chce oglądać go w wilczej postaci. Jeszcze nie.

Przemienił się, zdjął z pleców torbę, wyjął z niej ciuchy i szybko się ubrał. Jego w miarę nowe, w miarę czyste rzeczy wydały się Colinowi nagle stanowczo zbyt sfatygowane. Całe szczęście, że spotkał Tin po zmianie image'u. Nie zakochałaby się w facecie, którego ubrania są sztywne od brudu.

Choć po prawdzie nadal nie pojmował, dlaczego się w nim zakochała. Intrygował ją jako pierwszy napotkany przez nią w dorosłym życiu świadomy, ale od zaintrygowania do miłości zwykle trzeba pokonać kawałek drogi. A podczas ostatnich kilku rozmów... jakby narastało między nimi napięcie. Nie cieszyła się na jego przyjazd - nie tak, jak dziewczyna bezgranicznie stęskniona za ukochanym. Przeznaczenie pchnęło ich ku sobie, narzuciło jej Colina, a Tin się podporządkowała, mimo że sama dokonałaby innego wyboru. Colinowi nie podobała się ta myśl, ale przymykanie oczu na fakty niczego nie zmieni.

Spróbował wyciszyć kłębiące się w nim wątpliwości, zanim zbliżył się do drzwi; i tak nie miał pewności, czy Tin ich nie wychwyciła, znajdując się tak blisko. Wszedł do mrocznego wnętrza.

- Cześć. - Uśmiechnęła się radośnie.

Spiesznie postąpiła trzy kroki w jego kierunku, jakby chciała rzucić mu się na szyję, zatrzymała się jednak onieśmielona. Przygryzła dolną wargę.

- Jak możesz tak myśleć? - spytała.

- Dlaczego zaczynasz od szpiegowania mnie? - wściekł się. - Co, znowu krzychałem?!

Milczała, a Colin w złości nie potrafił się skupić na tyle, żeby odczytać jej myśli.

- Kurczę, Tin. Nie chciałem, żeby nasze powitanie tak wypadło - mruknął.

- Przyszłam tylko na chwilę - powiedziała. - Zaraz muszę wracać, na wypadek gdyby tato zajrzał do mojego pokoju.

Znów ogarnął go gniew. Dwudziestoletnia dziewczyna tłumaczyła się tatusiowi ze swoich poczynań! Z tego, że wieczorem wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza!

- Przestań.

- Przestań! - powtórzył z pasją. - Tylko to potrafisz mówić! Skoro wiesz, jak reaguję na każdą wzmiankę o nim, po co w ogóle poruszasz ten temat?

Gniewnie spacerował po ciasnym, zapyłonym pomieszczeniu. Coraz mniej podobał mu się przebieg ich spotkania.

- Ponieważ niedługo muszę iść - odparła poirytowana. - Jak miałam to przed tobą zataić?

- W takim razie idź, zobaczymy się jutro - warknął, mimo że naprawdę próbował się powstrzymać.

- Dlaczego taki jesteś?

Zachowywał się tak, jakby jej nie cierpiał - i nie chodziło tylko o jego słowa i gesty, ale także o myśli, jakie odczytywała, kiedy wściekle przelatywały mu przez głowę.

- Przepraszam - mruknął, marszcząc brwi. Potarł czoło. - Po prostu... muszę się przyzwyczaić.

Przyzwyczaić do sytuacji, kiedy do tego stopnia mu na kimś zależy. Swego czasu sądził, że zależy mu na Emily - i że gdy spotka tę pisaną sobie dziewczynę, będzie to podobne doświadczenie, tak że gdyby przyszło mu wybierać między partnerką a siostrzyczką, uczucia nie przemówiłyby jednoznacznie za żadną z nich. Jednak w zestawieniu z Tin Emily się nie liczyła. Owszem, nadal była dla Colina ważna, bardziej niż, powiedzmy, Rose czy Ada, przyjaciółki ze straży, ale nie poświęciłby dla niej znajomości z Tin.

- Kto twierdzi, że będziesz zmuszony cokolwiek poświęcać? - powiedziała łagodnie Tin, muskając palcami jego dłoń. - Kiedy ją znajdziesz... zamieszkamy we troje.

- Będziemy się we troje ukrywać - mruknął.

- Moje życie stanie się bogatsze o dwoje świadomych - zażartowała. - Przecież w pewnym sensie teraz też się ukrywam.

- Właśnie, muszę cię nauczyć, jak się maskować - przypomniał sobie. - Żeby nikt nie rozpoznał cię po zapachu.

Zastanowił się, jakim cudem wężyciele jej nie namierzyli. Kiedyś dziwił się, że tak długo nie namierzyli Godfrey'a, a potem się okazało, że miejsce pobytu całej rodziny było organizacji doskonale znane, ale z wykonaniem jakiegokolwiek ruchu zwlekano do chwili, gdy upewniono się, że Emily jest dzieckiem, o którym mówiła przepowiednia. Wówczas przestali się krygować. Godzina i z Godfrey'a i Vivian został stos ochłapów.

Zauważył, że Tin się skrzywiła. Współczuła mu, choć zarazem dręczyły ją wątpliwości, czy Colin zareagował na tamto zdarzenie tak, jak należałoby oczekiwać po kimś, kto traci rodziców.

- Ojca i macochę - sprostował. - Ale nie w tym rzecz. Niepokoję się... czy dla ciebie te gnoje też czegoś nie obmyśliły. Choć to bardzo ciepłe okolice - dodał szybko, żeby jej niepotrzebnie nie straszyc. - Nieświadomi wybierają chłodniejszy klimat, choć nie wiedzą, z czego wynikają te ich preferencje. Niewykluczone, że wężyciele rzadko zapuszczają się na południe Francji.

Denerwowało go, że cierpiała niewygodę z powodu upałów. Przekląty Antoine.

- Przyzwyczaiłam się - powiedziała. - A ty sam przed chwilą stwierdziłeś, że wybierając to miejsce, tato prawdopodobnie ochronił mnie przed organizacją.

- Palnąłem o tych tajnych planach zupełnie bez sensu - zmitygował się Colin. - Niczym nie podpadłaś organizacji. Byłoby dla ciebie lepiej, gdyby znaleźli cię jako dziecko. Obecnie... rzeczywiście mogliby robić trudności.

Przypomniał sobie własne, mozolne wkraczanie do społeczności w osadzie. Tyle że on był zbuntowanym gnojkiem, Tin zaś stanowiła uosobienie rozsądku. Proces adaptacji zająłby jej góra miesiąc.

- Jeśli się niepokoisz, czy nie wybiorę życia w społeczności zamiast życia z tobą, to niepotrzebnie - zapewniła z uśmiechem.

- Zostawisz Antoine'a? - zapytał poważnie.

- Dzieci dorastają i odchodzą - powiedziała wolno.

- Wyjeżdżają do dalekich krajów, utrzymując z rodzicami tylko telefoniczny kontakt.

Moje zachowanie nie będzie... nietypowe.

Szukała argumentów, żeby przekonać samą siebie. Dopóki się nie spotkali, w ogóle nie brała pod uwagę rozstania z przybranym ojcem. Dla Colina była jednak gotowa podjąć tę bolesną decyzję.

- Najpierw musisz odnaleźć Emily - dodała jakby z ulgą.

Colina znów ogarnęła irytacja. Owszem, poszukiwania nie szły mu przesadnie szybko, ale Tin mogła sobie darować tego rodzaju komentarze.

Nie pojmował, jakim cudem odnalezienie siostry mogło mu się kiedykolwiek wydawać proste. Nawet gdyby organizacja rzeczywiście była zamieszana w sprawę kliniki, czy dla Colina wynikałyby z tego jakaś korzyść? Sam Gordon, lider, nie znał lokalizacji siedziby kapłanów. Choćby więc Colin dotarł do osoby odpowiedzialnej za projekt rozmnażania silnych alf czy też eksperymentowania z ich materiałem genetycznym, nie uzyskałby od niej potrzebnych namiarów - bo tą osobą okazałby się agent służb specjalnych organizacji, który z kapłanem, swoim przełożonym, spotyka się raz na dwa lata, zawsze w innym miejscu. Przy czym szczytem optymizmu wydawało się już założenie, że organizacja w ogóle wie o istnieniu kliniki.

- Dlaczego tak uparcie odrzucasz możliwość udziału organizacji? - zapytała z lekką pretensją Tin.

Wytykała Colinowi, że nagminnie znajdował powody, żeby dać sobie spokój ze sprawą kliniki. Że poddawał się, nim na dobre zaczął.

- Mówiłem ci, że rozmnażanie świadomych za pośrednictwem ludzi to idiotyzm - wycedził przez zęby.

- W przypadku zwykłego rozmnażania, zgoda, ale pomyślałeś też o eksperymentach - odparła z ożywieniem Tin. - Musieliby wtajemniczyć w tę operację wiele wader, bo przecież zorientowałyby się, że ich dzieci są inne. Ludzkie kobiety wydały się organizacji bezpieczniejszym rozwiązaniem. Gdyby zaczęły podejrzewać...

- Tin... - wpadł jej w słowo. - Wracam do ciebie przez pół Europy... a potem albo się spieramy, albo rozmawiamy o śledztwie. Trochę inaczej... wyobrażałem sobie tę scenę. Nasze... pierwsze prawdziwe spotkanie.

Z opóźnieniem zrozumiał, że ona także wyobrażała je sobie inaczej - i bała się tych wyobrażeń. Bała się własnych pragnień i odczuć, dlatego od razu poinformowała Colina, że wkrótce musi iść. Mimo że Antoine'owi raczej się nie zdarzało zaglądać w nocy do jej pokoju.

- Zostań - poprosił.

Ostatecznie wyszła tuż przed świtem.

Poszła przed świtem, a potem kazała Colinowi czekać na siebie do wczesnego popołudnia. Miotał się po ciasnym pomieszczeniu, zachodząc w głowę, jak interpretować jej przedłużającą się nieobecność. Zrobił coś nie tak? Minionego wieczoru wyłapywał u niej skrajnie sprzeczne myśli i pragnienia. Nabral przekonania, że Tin bardziej chce niż się boi... ale jeśli zwyczajnie narzucił jej własne zapatrywania?

Powinien ją zawołać. Choć ona także mogłaby się odezwać. Czemu milczała?

Ich rozstanie nie wypadło najlepiej. Czowała się winna - wobec Antoine'a, oczywiście - a Colina trafił z tego powodu szlag. Nic jej nie powiedział, niemniej bez problemu odczytała sobie jego komentarz do sytuacji.

Coraz bardziej przeszkadzała mu ta ich telepatyczna łączność. Owszem, w pierwszej chwili uznał ją za fascynującą, nie przewidział jednak, że zechce aż tyle przed Tin zataić. Nie chciał sprawiać jej przykrości, a zarazem nie potrafił się powstrzymać przed myśleniem o pewnych rzeczach.

Cholera, w każdym związku zdarza się, że jedna strona wścieka się na drugą - ale jeśli zachowa dla siebie przykre słowa, jakie jej się wówczas nasuwają, nic złego się nie dzieje. W normalnej sytuacji Tin wyczułaby gniew Colina, ale nie wiedziałaby na sto procent, czy złości się na nią, czy też po prostu wstał tego dnia lewą nogą. Nie wychwyciłaby żadnego z cisnących mu się na usta komentarzy. A Colin także... no cóż, aż tak bardzo nie pragnął poznawać wszystkich opinii Tin na jego temat.

Przyjechał tu po to, żeby stwierdzić, że zdecydowanie woli kontaktować się z nią na odległość. Wtedy słyszała tylko te wypowiedzi, które do niej kierował. No, chyba że nieświadomie „krzyczał”, ale nad tym zapanuje.

Dlaczego tak go denerwowała? Dlaczego po kilku pięknych rozmowach, jakie przeprowadzili, gdy jeszcze podróżował z Albertem, teraz niemalże co drugie jej zdanie wywoływało u Colina falę gniewu?

Właściwie znał odpowiedź. Kiedy tylko zobaczył Tin, odkrył, że jest dla niego najważniejszą osobą na świecie - i tamtego pierwszego wieczoru w drodze do Drezna wydawało mu się, że ważniejsza już się nie stanie, bo to po prostu jest niemożliwe. A jednak okazało się możliwe.

Gdyby w oczach Tin czytał wyłącznie zachwyty jego osobą, gdyby każde jej zdanie zawierało jakąś, choćby starannie zakamuflowaną, pochwałę jego poczynań, uznałby się za najszcześniejszego faceta na ziemi i starał się ją także uszczęśliwić. Jednak spojrzenia i słowa

Tin kryły wyłącznie krytykę. Gdy rozmawiali na odległość, ukrywała swoje nastawienie, z lepszym lub gorszym skutkiem; obecnie, stanąwszy z nią twarzą w twarz, Colin mógł wyczytać z jej myśli, że wcześniej niczego sobie nie ubzdurał. Ta świadomość doprowadzała go do szału. Tin wręcz wkładała sporo wysiłku, żeby mieć o nim dobre zdanie - i nieustannie ponosiła w tych staraniach porażkę.

Nie potrafił przyjmować od niej krytyki. Chciał podziwu, wsparcia, słów zachęty.

- Przepraszam - powiedziała Tin, wchodząc. - Miałam coś zaplanowane, a nie powinnam wzbudzać podejrzeń.

- Jest niedziela - warknął Colin. No właśnie, znów się nakręcił.

Ale doszło jeszcze to jej poczucie winy. Kwitła, co sprawiało mu sporą satysfakcję, zarazem jednak dręczyły ją wyrzuty sumienia, że okłamuje Antoine'a. Dla poznanego zaledwie przed paroma dniami chłopaka zdradziła faceta, który wychował ją, poświęcając temu zadaniu całe lata życia.

- Każda córka prędzej czy później „zdradza” w ten sposób swego ojca - mruknął Colin, marszcząc gniewnie brwi.

- O wpół do dziesiątej była msza, a ja śpiewam w chórze - powiedziała, ignorując jego uwagę. Przeczynała, czym się skończy dyskusja na temat jej przybranego ojca. - Później umówiłam się z Jean-Claudem i Beatrix, którzy od przeszło pół wieku prowadzą w wiosce sklep spożywczy. Piszę takie minireportaże dla naszej gazetki internetowej.

- O właścicielach sklepów spożywczych? - prychnął.

- To bardzo interesujące postacie - zaprotestowała. - Lubię rozmawiać z ludźmi. Poznawać ich poglądy, marzenia. On ma już dziewięćdziesiąt cztery lata, wyobrażasz sobie? A ona jest od niego o sześć lat młodsza. Są ze sobą niemal siedemdziesiąt lat, a nadal, kiedy na nich patrzysz, widzisz, że się kochają, że nie łączy ich tylko przyzwyczajenie.

- Nie mogłaś spotkać się z nimi w sobotę?

Leciuteńko ściągnęła brwi. Czym znowu ją uraził?

- Od wtorku do soboty pracuję w *caveau*, piwnicy z winami naszej spółdzielni.

- Teraz też będziesz pracować?

- A jak to sobie wyobrażasz, Colin? - wyrzuciła mu łagodnie. - W południe mam dwugodzinną przerwę. Kończę o osiemnastej. Poza tym jutro mam wolne - dodała z uśmiechem.

Nazajutrz przypadały walentynki, wyczytał tę informację z jej myśli, zanim zdążył się oburzyć, że jednym wolnym dniem Tin nie robi mu łaski. Niestety, oczywiście, wychwyciła ów komentarz.

- Tin, cholera. Myślałem... no nie wiem, że zdołasz się jakoś wykręcić.

- Zapomniałeś, że chodzę do pracy - stwierdziła.

Trafiła, mimo że tym razem nie wydobyła tego z jego rozważań.

- Dlaczego nie studiujesz? - zapytał Colin, starając się zepchnąć rozmowę z powrotem na bezpieczne wody.

Wzruszyła ramionami. No tak, Antoine nie chciał się z nią rozstawać.

- Będę studiować - zaproponowała. - Tato trochę się boi... mojej dorosłości, ale w końcu się z nią pogodzi. A mnie podoba się ta przerwa. Lubię rozmawiać z klientami, którzy przyjeżdżają kupić wino. Przybywają z różnych stron, opowiadają ciekawe historie.

- Nie wolałabyś sprzedawać waszego wina?

- Ono jest nasze. - Uśmiechnęła się. - Przy tak małej winnicy samodzielna produkcja się nie opłaca. Oddajemy zbiory do spółdzielni, która zapewnia wyższą jakość i zgodność z unijnymi normami, no i dba o rynki zbytu.

W każdym jej zdaniu wyczuwał smutek, powodowany świadomością, że będzie musiała porzucić te strony, żeby zamieszkać razem z nim i Emilią.

- Oj, Colin. Cieszę się, że z wami zamieszkam. Po prostu trochę mi żal porzucać zajęcia i ludzi, do których się przywiązałam. Ale pójdziecie na studia, nawet gdybym studiowała w Montpellier, wiązałoby się w zasadzie z tym samym. Jaka ona jest? - zapytała, uprzedzając ewentualny sprzeciw Colina. - Polubi mnie?

Od razu złagodniał. Starał się jak najlepiej opisać Emilię, ale zdawał sobie sprawę, że nawet wspomagając wygłaszane zdania obrazami przywołanymi z głębin pamięci, nie zdoła oddać siostrzyczce sprawiedliwości. Mała miała na niego pozytywny wpływ, poznanie Tin tego nie zmieniło.

Emilię podziwiała Colina, ufała mu, wierzyła w jego możliwości. Zawiódł tę wiarę, bezowocnie szukając świątyni. Niewykluczone, że obecnie dziewczynka nie myślała już o nim jak o wspaniałym starszym bracie, ale jak o zdrajcy, który wydał ją na pastwę kapłanów.

- Przecież jej nie zdradziłeś - pocieszyła go Tin. - Dlaczego sądzisz, że ją przetrzymują w świątyni?

- A gdzie indziej? - zdziwił się. - Udo zadeklarował, że będzie ją uczył, sam, ale odniosłem wrażenie... że liczy na czyjąś pomoc, ponieważ to zadanie go przerasta. Pomoc innych kapłanów, bo kogóż by innego? Poza tym musiał znaleźć dla niej bezpieczne lokum, gdzie kontrolowano by jej wpływ na innych członków społeczności.

Świątynia, ta, w której ponoć urzęduje to supertajne bóstwo, wydała mi się najlepsza do celów Udony.

- Równie dobrze mógł ją wywieźć do jakiejś samotni w Afryce.

- W Afryce? - obruszył się Colin. - Tam jest dla nas za gorąco.

- No właśnie. Jeśli Udonowi zależało na odizolowaniu Emily od innych członków społeczności, powinien wywieźć ją w miejsce, gdzie w promieniu tysięcy kilometrów nie znajdzie się ani jeden. Przed gorącem można się schronić w skalnej grocie albo poszukać obszarów, gdzie temperatury nie są aż tak dokuczliwe. Zresztą, tutaj latem bywa ponad czterdzieści stopni w cieniu, a mnie to już od dawna nie przeszkadza. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Słuchał Tin ze zdumieniem. Colinowi podobne rozwiązanie w ogóle nie przyszło do głowy. Ani przez moment nie brał pod uwagę Afryki, właśnie ze względu na klimat. Emily, dorastająca w chłodnych Górach Skalistych, źle zniosłaby takie przenosiny, ale gdyby Udo nie potrafił ograniczyć oddziaływania małej na innych członków społeczności, chcąc uniknąć kolejnego zjazdu świeżo przebudzonych nieświadomych, mógłby ją wywieźć jedynie tam. Lub do Australii. To oczywiste.

Zresztą, klimat wielu regionów Ameryki Południowej również odbiega od ideału, a społeczność jest tam obecna, choć w nielicznej reprezentacji. Czemu nie miałyby posiadać przyczółków w Afryce? Na szkoleniach wbijano Colinowi do głowy, że ten kontynent leży całkowicie poza sferą zainteresowań organizacji, ale niewykluczone przecież, że w tym przypadku chodziło o jedno z licznych kłamstw, których cel znają tylko wybrani.

- Cholera - mruknął Colin. - Nie, przecucie wyraźnie wskazało mi Europę - oznajmił z przekonaniem.

Tin przygryzła dolną wargę. Jasne, wyczytała, że wcale nie był stuprocentowo pewien, czy kierował się wtedy przecuciem, czy własnym widzimisię. Prawdę mówiąc, nie potrafił sobie przypomnieć, co wpłynęło na jego decyzję. Zarazem był głęboko przekonany, że powinien szukać w Europie.

- No... ale nawet gdyby Udo wywiózł ją do Afryki... - rozważał na głos - jak miałbym ją tam odnaleźć? Muszę dotrzeć do kapłanów, a... no, wydaje mi się, że najprędzej trafię na nich w Europie. - W pewnym sensie rozumował jak ktoś, kto zamiast potrzebnej mu lodówki kupił suszarkę do włosów, jako tańszą i bardziej poręczną. - To znaczy... Kurczę, dobra, masz rację, nie poukładałem sobie tego jak należy. Ale łatwiej znajdę świątynię niż siostrę - ciągnął w przypiływie olśnienia. - Nieważne, czy właśnie tam ją trzymają. Potrzebuję kapłana, który udzieli mi wskazówek, a miejsce kapłana jest w świątyni. Z kolei świątynia... gdzie mam jej szukać, jeśli nie w Europie? Stąd się wywodzimy, więc... więc tutaj powinna mieścić się główna siedziba kapłanów, strażników tradycji, historii.

Równie dobrze mogła znajdować się w Stanach albo w Kanadzie, przeniesiona tam w XVI czy XVII wieku, razem z tym przeklętym bóstwem. A jeśli Colin popełnił fatalny błąd i bez sensu strwonił w Europie kilkanaście miesięcy?

- Moim zdaniem... skoro poszukujesz świątyni, Europa rzeczywiście wydaje się najbardziej prawdopodobną lokalizacją - powiedziała Tin. - Po prostu przygotuj się na to, że nie zastaniesz tam Emily.

Poza tym, gdyby nie szukał w Europie, im dwojgu nie byłoby dane się spotkać.

Uśmiechnęła się, ale jednocześnie poczuła się winna, że stała się dla niego ważniejsza od uratowania siostrzyczki.

- Ilu jest tych kapłanów? - spytała.

- Nie mam pojęcia - sapnął, rozbawiony i zarazem nieco poirytowany.

U większości znanych Colinowi świadomych wiadomość o istnieniu kapłanów wywołałaby nie lada szok. Tin do niedawna nie miała pojęcia o organizacji i jej zasadach, więc na tym tle kapłani wydawali jej się zaledwie mniej ciekawą nowinką. Toteż dziwiła się niewinnie, że Colin zgromadził o nich tak niewiele informacji.

- Zrozum, że tobie całą wiedzę o społeczności przekazałem hurtem - odezwał się znowu. - Ja dochodziłem do niej etapami. Najpierw przez wiele lat ojciec wmawiał mi, że my dwaj należymy do nielicznych, jeśli nie jedynych przedstawicieli gatunku na świecie. Potem poznałem osadę i uczono mnie, że stanowi ona centrum dowodzenia amerykańskiej gałęzi organizacji, zdecydowanie większej niż europejska. Po czym znieczeka dowiaduję się, że Gordon jest zaledwie pionkiem, bo wszystkie sznurki trzymają kapłani. Skąd mam wiedzieć, czy jest ich dziesięciu, stu, czy też sam jeden Udo? Prawda może się okazać jeszcze inna. Wszyscy wokół mnie kłamią...

- Jesteś głodny? - przerwała mu. No tak, zaczął się nad sobą użalać.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na papierową torbę, którą postawiła pod ścianą, kiedy weszła. Nawet się nie pocałowali na powitanie - od razu na nią naskoczył.

Uśmiechnęła się. Musiał natychmiast nadrobić to zaniedbanie. No i w efekcie zasiedli do posiłku ze sporym opóźnieniem.

Walentynki spędzili bardzo miło. No, nie gruchali - w końcu akurat z ptactwem niewiele ich łączyło - ale nie odstawali od wyobrażeń Colina na temat relacji między zakochanymi. Postarał się, a że Tin także odepchnęła od siebie poczucie winy i w ogóle myśli o Antoinie, nie znajdował powodów do złości. Zresztą, nie rozmawiali aż tak wiele. Nie omieszkała go wszakże uświadomić, że walentynki są wilczym świętem, jako że zastąpiły

przypadające piętnastego lutego luperkalia. Colin wywnioskował z tej opowieści tyle, że tym bardziej mogą sobie pofolgować. Nie zawiódł się.

Niestety, począwszy od następnego dnia, ich relacje zaczęły się psuć. Pracowała w *caveau*, a Colin siedział jak palant w opuszczonej szopie. Zdaniem Tin miejsce było szalenie romantyczne: te całe *mazets* czy też *cabanes de vignes* budowano w XVIII i XIX wieku na potrzeby pracy w winnicach, ale oprócz prozaicznej roli, no właśnie, szop na narzędzia, służyły także za miejsca odpoczynku i wieczornych spotkań zbieraczy. Stanowiły ogniwo łączące właścicieli winnic z ich ziemią, by z czasem awansować na ulubione miejsca schadzek zakochanych. Tin podniecała się tym ostatnim aspektem - widziała siebie w roli dziewiętnastowiecznej oblubienicy.

Colin nie miałby nic przeciw tym bzdurom, gdyby tylko częściej ją widywał. Wówczas zapewne nawet nie zauważałby, jak ponure, ciasne i zakurzone jest wnętrze chatki. Jednakże Tin o ósmej zaczynała pracę. Wpadała na chwilę rano, potem z dwugodzinnej przerwy na lunch wykradała dla Colina góra trzy kwadransy, bo przecież nie zostawiłaby kochanego tatusia bez posiłku, a następnie zjawiała się dopiero wieczorem, przynosząc kolację. I dość szybko uciekała, tłumacząc się rosnącą podejrzliwością Antoine'a.

Zdołał wyczytać z jej myśli, że w walentynkowy wieczór Antoine odbył z nią jakąś rozmowę - szczegółów Colin nie poznał, gdyż spiesznie zepchnęła owo wspomnienie na dalszy plan. Także ta jej reakcja się Colinowi nie spodobała. Ani fakt, że Tin, jeśli zechce, potrafi coś przed nim ukryć.

Na co innego liczył, jadąc tutaj. Rozmawiać z nią mógł telepatycznie.

Choć właściwie... Odwiedził Tin w wyimaginowanym lesie, może więc potrafiłby jej także dotknąć i poczuć jej dotyk na odległość, a wówczas nic by nie stało na przeszkodzie... Niemniej na razie był tutaj - a ona wpadała jak po ogień.

Czy możliwe, że robiła to, żeby jeszcze bardziej Colina do siebie przywiązać? Kilka dni znajomości, a zdołała usunąć w cień wszystkie inne osoby, jakie przewinęły się przez jego życie. Bawiła się nim, psiakrew. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, a ona w pewnym momencie bez słowa wyjaśnienia zabrała mu sprzed nosa talerz i odstawiła na półeczkę. Widział go, czuł ponętny zapach potraw, ale nie potrafił dosięgnąć naczynia.

No właśnie, żarcie stanowiło kolejną irytującą kwestię. Colin się wściekał, że nie wpadł na pomysł, żeby przynieść co nieco ze sobą - Tin nie mogła zacząć nagle kupować górnego mięsa w lokalnym sklepiku, przygotowywała mu zatem bardzo skromne posiłki. Obżarł się w sobotę w Montpellier, ale po paru dniach tutaj znów dokuczał mu głód, przez co Colin stawał się coraz bardziej podminowany. Polować nocami Tin mu zabroniła - a nuż zaczęto by we wsi

rozmawiać o śladach łap wielkiego drapieżnika; zresztą i tak powątpiewał, czy znalazłby w tej okolicy sensowny łup.

- Niedługo muszę lecieć - powiedziała, zerknąwszy na zegarek.

Standardowe zdanie, od którego Colinowi chciało się rzygać. Musiała lecieć, jasne. Antoine wzywał. Nieźle ją sukinsyn wytresował. Cokolwiek robiła, towarzyszyło jej pytanie, jak on by na dany postępek zareagował. Znęcał się nad nią, ale uważała go za swego dobroczyńcę.

- Nie znęca się nade mną - oznajmiła Tin spokojnie, choć jej nozdrza się odrobinę rozszerzyły. - Minęło wpół do drugiej i muszę wracać do pracy. To nie ma nic wspólnego z tatą.

- Tata! - powtórzył Colin zjadliwie. - Drań zabił twoich rodziców, do jasnej cholery!

- To nie całkiem tak...

- Co nie całkiem tak?! - Teraz autentycznie się wkurzył. - Jak możesz bez przerwy go bronić? Bydlak załatwił twoich rodziców, zabrania ci studiować, w nocie pełni trzyma cię w klatce, wścieka się, kiedy usiłujesz zawrzeć z kimś znajomość! Diabli wiedzą, o jakich jeszcze jego sprawkach mi nie powiedziałaś, żebym przypadkiem nie uszkodził skurwysyna!

- Ach, więc obecnie osądzasz go na podstawie tego, co ci się wydaje, że zrobił? - zapytała cicho. W opanowaniu Tin czaiła się groźba: Colin powążył się zaatakować największą świętość, jej kochanego tatusia. - Nie przyszło ci do głowy, że wspomnienia, które przed tobą zataiłam, mogą być miłe? A nie pokazałam ci ich, ponieważ wiem, jak reagujesz na...

- Potrafię rozpoznać, kiedy ojciec znęca się nad dzieckiem! Mam spore doświadczenie!

Przygryzła wargę. Jasne. Kiedy poprzednio Colin opowiadał Tin o swych relacjach z ojcem, jeden jedyny raz, w dodatku na odległość, wyczuł jej sceptycyzm. Przy takim Antoine Godfrey zapewne wydawał się całkiem przyzwoitym facetem. Tylko czy to przemawiało na korzyść Francuza? Czy raczej świadczyło o zaślepieniu Tin, którą drań urabiał od najmłodszych lat?

- Jesteś pewien, że nie przesadzasz? - zapytała z wahaniem. Przed zadaniem tego pytania stoczyła ze sobą wewnętrzną walkę; Colin pojął, że cisnęło jej się ono na usta już od jakiegoś czasu. - Rzeczywiście tak źle cię traktował czy jedynie ty w okresie młodzieńczego buntu uważałeś...?

- Co ty mi próbujesz wmówić?! - napadł na nią z furją. - Że byłem porąbanym szczeniakiem, z którym dało się postępować wyłącznie w jeden sposób? Dlatego mój biedny

kochany tatuś z bólem serca zdecydował się na takie a nie inne metody?!

Wyczytał strach - w jej spojrzeniu, jej myślach - i uzmysłowił sobie, że jego oczy przybrały barwę bursztynu, szczeka stopniowo się wydłużała, tak że zaczynał bełkotać, a miejsce dłoni zajęły owłosione łapy, zwieńczone ostrymi pazurami. Psiakrew, nawet bezgranicznie wściekły, nie chciał przerazić Tin; jeśli czegokolwiek szczerze pragnął, to jej uznania, zaufania, miłości. Zmagał się ze sobą, usiłując cofnąć przemianę. Na razie z trudem utrzymywał ją na obecnym etapie.

Co takiego było w Tin? Nawet najgorszy wróg - taki Stipe na przykład - nie zdołałby do tego stopnia wytrącić Colina z równowagi, bez względu na to, jak zjadliwy komentarz by wygłosił. Pytania Tin ani się otarły o złośliwość, w dodatku Colin za nic by jej nie skrzywdził, a jednak reagował wściekłością bliską zaślepieniu.

- Niewygodne - stwierdziła cicho. - Są niewygodne, bo czujesz, że mam trochę racji. Poza tym, Colin, przez chwilę wcale nie byłam pewna, że nie mógłbyś mnie skrzywdzić. Żałowałbyś tego później, a ja szybko bym wydobrzała...

- Więc odpieprz się od tego tematu! - Przymknął powieki. Cholera. - Słuchaj, jeśli uważasz, że nie potrafisz dojść do ładu ze wspomnieniami z dzieciństwa, to trafiłaś w sedno. Jako człowiek kilka razy w tygodniu ganiałbym do psychologa, żeby się z nimi uporać. Ale w społeczności nie mamy psychologów, tak że tobie pierwszej ośmieliłem się zwierzyć. A ty... na każdym kroku bierzesz stronę tego popaprańca!

- Czego po mnie oczekujesz? - zapytała Tin po chwili, zostawiwszy Colinowi czas, żeby ochłonął. - Mam cię okłamywać?

Mogłaby przynajmniej zatajać swoje zapatrywania. W innych sprawach nieźle jej to wychodziło.

- Mogłabyś spróbować mnie zrozumieć - odrzekł na głos, chociaż tamta odpowiedź także do niej dotarła. - Usiłuję otworzyć ci oczy.

- W tym cały kłopot, Colin. Ja nie uważam, żebym patrzyła na tatę... na Antoine'a przez różowe okulary. Popelnia błędy, jak każdy rodzic, ale wiem, że stawia moje dobro na pierwszym miejscu. Czy jeśli ojciec zamyka w domu córkę-narkomankę, żeby uwolnić ją od nałogu, robi źle?

- To nie narkotyk - wycedził Colin.

- Wiem, ale on uważa inaczej. I postępuje tak, jak mu się wydaje, że będzie dla mnie najlepiej. Zgoda, wyrządza mi w ten sposób krzywdę, niemniej rozumiem jego motywacje.

- Świetnie - warknął. - Jest wspaniałym ojcem, marzeniem każdej dziewczyny.

- Niczego takiego nie powiedziałam. - Poczekała, aż Colin odzyska panowanie nad

sobą. - Jeśli jednak zbierzesz wszystkie jego wady i zalety, wszystkie błędy i dobre postęпки, finalna ocena wypada na plus. Ty natomiast widzisz w nim drugiego Godfrey'a. Z mojego punktu widzenia świadczy to o jednym z dwojga. Albo Godfrey pozostawił w tobie taki uraz, że natychmiast uznajesz za potwora każdego ojca, który choćby minimalnie odbiega od ideału, tak czy owak nieosiągalnego. Albo też, druga możliwość, nasi ojcowie rzeczywiście są do siebie bardzo podobni. Tyle że moim zdaniem ich podobieństwo nie dowodzi, że Antoine jest bestią w ludzkiej skórze. Przeciwnie, świadczy o tym, że Godfrey nie był tak okropny, jak to usiłujesz wmówić sobie i otoczeniu.

- Nie był okropny? - powtórzył Colin.

W tej chwili niewiele dzieliło go od rzucenia się na Tin. Miał chęć ją rozszarpać, potraktować pazurami tak, że nie wygrzebałaby się z tego. Żałowałby potem. Nie mógłby z tym żyć. Ale przynajmniej nigdy więcej nie wciskałaby mu, że niewłaściwie ocenia ojca!

Przełknęła ślinę, cofając się przed Colinem. Bała się, a jemu sprawiało to cholerną przyjemność.

- Colin... czy wściekałbyś się tak, gdybyś w głębi...?

- Godfrey nie był dobrym ojcem! Ani nie jest nim Antoine! Masz na oczach pierdolone klapki! Rozumiesz?! Jesteś pierdoloną ślepą suką!

Tym razem zdołał ją zranić. I świetnie, wreszcie się, kurwa, zamknie! Zaciśniętą pięścią, ale mimo wszystko jej nie uderzył. Minał Tin, z furją pchnął drzwi wejściowe. Uderzyły o coś. O kogoś - o Antoine'a, który zrobił dwa chwiejne kroki w tył, zanim ostatecznie stracił równowagę.

Z dnia na dzień obserwował zachodzące w niej zmiany. Sądził, że przywykł do myśli, że pewnego dnia Tin stanie się jedną z nich, ale kiedy ów moment nadszedł, Antoine przekonał się, że wcale nie czuje się na to gotowy.

- Czy Tin się zakochała? - zagadnęła go Camille, kiedy przypadkiem spotkali się we wsi.

Unikał jej od czasu tamtej kłótni po wizycie łowców. Czuł ogromną potrzebę podzielenia się z kimś niepokojami związanymi z Tin; nie zdołałby się powstrzymać, przy pierwszej wizycie opowiedziałaby o nich kochance. Naturalnie, byłaby to relacja pełna niedomówień, tak więc Camille natychmiast skomentowałaby, że Antoine zachowuje się jak przewrażliwiony ojciec, który nie potrafi zdzierżyć, że inny mężczyzna miałby posiadać jego córkę.

Zaskoczyła go tym pytaniem. Zatem wszyscy wkoło widzieli, że Tin się zmienia?

- Nie chwaliła mi się - burknął Antoine.

- Ach. - Camille roześmiała się pogodnie. - Biedactwo, pewnie drży na samą myśl o twojej reakcji.

- Zwierzała ci się? - zapytał, wbrew zamiarom ostrym tonem.

- Nie - odparła Camille, od razu naburmuszona. - Zgaduję. A ty zachowujesz się jak stary pierdoła.

Stary pierdoła. Czy Tin także myślała o nim w ten sposób? Zakochała się, akurat! Hormony dały znać o sobie - przypuszczalnie pod wpływem Vernona - była to jednak zaledwie iskra, która zapoczątkowała proces znacznie bardziej niebezpieczny niż szaleństwo młodszej miłości. Jego Tin, jaką znał przez lata, odchodziła bezpowrotnie.

Nadal, tradycyjnie, toczyli rozmowy przy kuchennym stole, nadal miło uśmiechała się do Antoine'a i bez słowa protestu wykonywała polecenia, ale w jej zachowaniu coraz częściej obserwował sztuczność. Jakby reakcje do niedawna dla Tin naturalne przekształciły się w elementy roli, którą odtwarzała z coraz większym trudem.

Poza tym włączyła się, diabli wiedzą gdzie i po co. Antoine pojmował, że to odzywa się w niej druga natura. Tak jak suka w rui zachowuje się inaczej niż zwykle: nie słucha się właściciela, ucieka, dopuszcza do siebie psy, na które na co dzień warczy, tak i Tin przestała być panią siebie. Z tym, że u suki ruja trwa trzy tygodnie, a potem wszystko wraca do normy, w Tin natomiast zmiany zachodziły nieodwołalnie. Wkrótce córka Antoine'a zniknie, pozostanie tylko bestia.

Zapamiętał taką scenę z *Przełomów Missouri*: Marlon Brando układa się wieczorem do snu przy ognisku, długie, sielskie ujęcia, nastrój pełnego relaksu. Następnie noc, zbliżenie twarzy Brando, który gwałtownie otwiera oczy. I kwestia Nicholsona: „Zastanawiasz się, co cię obudziło? Właśnie poderżnąłem ci gardło”.

Antoine'owi śniła się podobna sytuacja, w pewnych okresach niemalże co noc, później następowały długie miesiące spokoju, aż niespodziewanie sen powracał. Znowu wrócił, przed tygodniem. W tym śnie Antoine spał w swojej sypialni, a kiedy otwierał oczy, raptownie przebudzony, stała nad nim niewinnie uśmiechnięta Tin. Po jej brodzie ściekała krew, krople powoli skapywały na podłogę. „Tatusiu, właśnie przegryzłam ci gardło”.

Ryglował na noc drzwi, opuszczał dzwoneczek zawieszony na haczyku nad framugą. Zamykał okiennice. Miałyby marne szanse podejść go tak, żeby się nie zorientował. Poza tym, żeby przegryźć mu gardło, musiałyby się przemienić, a noce pełni spędzała w piwnicy, zamknięta za mocną stałą. Mimo to... wizja ze snu wydawała się Antoine'owi szalenie przekonująca. Zaczął trzymać przy łóżku naładowaną broń.

Drzwi swojej sypialni zabezpieczał od zawsze, przywykli do tego oboje. Gest ów nie świadczył o braku zaufania do Tin; stanowił bezpieczny nawyk, z którego nie opłacało się rezygnować wyłącznie dlatego, że osobie postronnej wydałby się dziwny. Naładowana broń była nowością.

Gdy Tin była dzieckiem, Antoine szybko zrozumiał, jak śmieszne są obawy, że mała go zaatakuje.

Tamtego pierwszego ranka, godzinę po wschodzie słońca, kiedy pełny księżyc dawno się schował, Antoine otworzył bagażnik, z nadzieją że zastanie w nim trupa. Dziewczynka patrzyła na niego w milczeniu, z przestraczem w wielkich niebieskich oczach.

Zaczął ją rozwiązywać. Przypuszczał, że chce jej się sikać. Czy powinien wyprowadzać tę małą na smyczy? Czy powinien z nią rozmawiać? Postanowił przecież, że okaże jej nieco serca, żeby tym sposobem uwidocznic przewrotność jej natury... Wahał się.

- Jak masz na imię? - zapytał po angielsku.

Milczała. Ucieszył się, że nie zna angielskiego. Nie zdołają porozmawiać: zabije ją, nim mała opanuje choć kilka podstawowych zwrotów.

- Antoine - powiedział, pukając się palcem w pierś. Okazywał serce. Trzeba być konsekwentnym.

Siedziała w bagażniku, wpatrzona w niego. Strzępy sukienki, którą pierwotnie miała na sobie, zostały w tamtym lesie. Naga kilkuletnia dziewczynka w jego bagażniku, z sinymi pręgami po zbyt mocno zaciśniętych więzach. Antoine przeraził się, wyobraziwszy sobie, jak oceniłaby sytuację osoba postronna.

Przywołał się do porządku. Bestia, niewątpliwie patrzył w tej chwili na bestię.

Ona jednak ciągle jeszcze była niewinna, jak niewinne jest szczenię pitbulla. Musiał poczekać.

Przeprowadzi obserwację zachowań zwierzyny, co bardzo mu się przyda w późniejszych łowach. Zakładał, że bezbłędnie uchwyci moment, kiedy rozwiną się w niej krwiożercze instynkty, choćby nawet jego samego mała nigdy nie zaatakowała.

- Antoine - powtórzył, znów pokazując na siebie.

Wyjął z torby flanelową koszulę i podał jej, żeby się ubrała. Siedziała bezradnie w bagażniku, miętosząc materiał w piąstkach.

Podniósł ją i postawił na ziemi. Najwyraźniej nie odzyskała jeszcze czucia w kończynach, gdyż zachwiała się i przytrzymała nogi Antoine'a. Puściła ją natychmiast. Upadła na plecy, uderzając głową o zderzak. Zaklął.

Usiadła. Masowała potylicę, zerkając na Antoine'a z przestraczem, jakby sądziła, że

gniewa się na nią, ponieważ właśnie zrobiła coś złego. Podał jej koszulę, która została w bagażniku.

- Ubierz się.

- ...tin - wydukała.

- Proszę?

Zacisnęła wargi, wyraźnie przerażona faktem, że ośmieliła się odezwać.

- Masz na imię Tin? - zapytał.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

- Dobrze, niech będzie Tin - mruknął. - Ubierz się wreszcie.

Jakkolwiek się nazywała, trzeba jej będzie zmienić imię. Wkrótce zaczną jej szukać. Antoine powinien był przynajmniej zabrać dokumenty tamtych... Sytuacja z małą całkowicie go rozkojarzyła.

A jednak zrozumiała polecenie. Zareagowała na nie z opóźnieniem, nieporadnie usiłowała wsunąć drobną dłoń w rękaw o wiele na nią za dużej koszuli. Musiał jej pomóc.

Pomagał ubierać się dziecku.

Nigdy nawet nie chciał mieć dziecka. Simone nalegała, ale potem zginęła, Antoine zaś rozpoczął nowe, niebezpieczne życie, w którym zabrakło miejsca na takie pierdoły.

Obecnie na ziemi przed nim siedziała kilkuletnia dziewczynka. Zdobywała go każdym gestem, każdym przestraszonym spojrzeniem.

- Chce ci się siku? - zapytał. Nadal nie był pewien, czy mała go rozumie, czy jedynie domyśla się znaczenia jego wypowiedzi. - Idź do lasu. Tu obok.

Wstała z trudem i chwiejnie powędrowała w krzaki. Ludzkie dziecko po nocy spędzonej w takich warunkach nadal nie byłoby w stanie się poruszać. Odprowadził ją wzrokiem, a potem zajął się przeglądem zapasów, jakie woził w samochodzie.

Nie kontrolował jej poczynań. Czy zdołałaby się przemienić ponad godzinę po zachodzie księżyca? Trzymał broń w pogotowiu. Zaatakuje go? Ucieknie? Odkrył, że bardzo liczy na jej ucieczkę. Bestia, nie bestia, nie potrafił zabić jej bez powodu. Niechby umknęła; odnalazłby ją, kiedy by dorosła na tyle, że nie zawahałby się ani sekundy.

Wróciła. Nie usłyszał, kiedy podeszła. Stała przy samochodzie, na odległość niewielkiego skoku od Antoine'a. Wróciła i nie podjęła próby ataku.

Przyłgnęła do niego, jakby widziała w nim ostoję bezpieczeństwa. Nie wnikał, jak sobie przetworzyła tamto zdarzenie w lesie - jak pogodziła ową sprzeczność, że szuka ochrony u człowieka, który zabił jej rodziców. Bez wątplenia jednak uznała Antoine'a za swego opiekuna. Słuchała jego poleceń, nie urządzała scen, czego się obawiał, biorąc ją po

raz pierwszy między ludzi. Nie protestowała, kiedy zamykał ją na czas pełni.

W Norwegii jeszcze sypiał z bronią, ale po powrocie do Francji zarzucił tę praktykę. I tak było aż do chwili obecnej.

Wychowując Tin, starał się pamiętać, że pewnego dnia obudzi się w niej bestia. Jednakże w miarę upływu lat coraz częściej łapał się na nieśmiałej nadziei, że trafił na wyjątek - lub że zdołał odroczyć moment jej przemiany do wielkiego nigdy. Jakby nie wiedział, że z naturą nie sposób wygrać!

Pragnął zatrzymać czas, nadal żyć w iluzji, jaką się otoczył. Winnica, przyziemne problemy, wcale nie przyjemne, jednakże stokroć lepsze od myśli, że wkrótce będzie zmuszony podjąć bolesną decyzję.

Poddawał się bez walki. Lecz czy walka z prawami natury nie jest zwykłym marnotrawstwem sił?

W poniedziałkowy wieczór spróbował podpytać Tin, dokąd tak ją nosi. Badał, czy sama zaobserwowała już, że dzieje się z nią coś niepokojącego.

Tłumaczyła się głupio.

Niczego nie zauważyła? Czy też kłamała, niezdolna do ataku na przybranego ojca, ale zarazem świadoma faktu, że stał się jej wrogiem?

Co Antoine mógł zrobić? Czy dało się odwrócić lub przynajmniej zatrzymać ów proces? Pojmował, że nie zdoła strzelić. Jeszcze nie teraz, nie na podstawie samych podejrzeń, bez względu na to, jak bardzo był pewien ich słuszności.

A miał tę pewność, ponieważ ostatnio coraz częściej rozmyślał o Simone. Wracały wspomnienia, które opuściły go wkrótce po tym, jak zaopiekował się Tin.

Dopóki się wahał, czy nie zabić dziewczynki, zanim zostanie opleciony siecią jej niewinnego spojrzenia, Simone mu sekundowała, naciskając delikatnie, żeby chwycił za broń. Potem się wycofała. Nie potrafił określić, kiedy dokładnie znikła z jego myśli, tak był wówczas zaabsorbowany małą. Nie zdołałby wskazać konkretnego momentu, w którym podjął decyzję, że wychowa Tin. Każde kolejne posunięcie wynikało z poprzedniego, aż wreszcie Antoine zrozumiał, że nie ma odwrotu. Choć przypuszczalnie nie miał go już wtedy w lesie, gdy zrezygnował z oddania strzału.

Powrót Simone oznaczał, że Antoine'a znowu czeka walka. Chciał jednak otrzymać bardziej jednoznaczny sygnał. Nie od Simone, pal diabli tę sukę. Od Tin.

Tyle lat spędził, polując na te bestie, a nie orientował się, jak się zachowują w ludzkiej postaci w chwilach, kiedy są przekonane, że nikt ich nie widzi. Na co dzień się pilnują, wtapiają w tłum, jednak znalazłszy się na osobności... no właśnie, co takiego robią?

Czwartek. Lunch zjedli razem, a potem Tin, jak to ostatnimi dniami miała w zwyczaju, zaczęła się zbierać z powrotem do pracy - na godzinę przed końcem przerwy na posiłek.

Śledził ją. W przeciwieństwie do niej nie miał roweru, ale na szczęście teren był płaski, a bezlistne, niskie krzewy winorośli nie przesłaniały widoku.

Nagle Antoine pojął, dokąd Tin zmierza: jechała do rozsypującej się ze starości *mazet*, stojącej w centralnym punkcie ich ośmiohektarowej winnicy. Że też wcześniej na to nie wpadł! Szopa na uboczu, gdzie nikt nie mógł Tin zobaczyć ani usłyszeć. Idealne miejsce dla przeobrażającej się bestii.

Szedł niespiesznie. Gdyby ktoś go zauważył, pomyśli, że winogrodnik sprawdza, jak jego szczepy znoszą zimę. Nie chciał, żeby zaczęto gadać, że stary pierdoła Antoine śledzi córkę. Wkrótce zyskają temat do plotek na długie lata, na razie liczyły się pozory. Zatrzymywał się więc, oglądał winorośl.

Zbliżywszy się do *mazet*, usłyszał podniesiony męski głos. Vernon. W trakcie wizyty chłopak niewiele mówił, ale Antoine zidentyfikował go bez najmniejszych wątpliwości. Łowca! Łowca wrzeszczący na jego córkę.

Łowca, który właśnie poznał prawdę.

Puścił się biegiem. Dopadł drzwi szopy w tej samej chwili, kiedy otworzyły się raptownie, tak silnie waląc Antoine'a w czoło, że ów cios go zamroczył.

ROZDZIAŁ 4

Colin popędził między krzewami winorośli - niewysokimi, pozbawionymi liści badyłami, wśród których był doskonale widoczny. Rozsadzała go furia; gdyby został przy chatce, wyładowałby ją na Antoine. Rozszarpałby faceta na oczach Tin.

Usiłował nad sobą zapanować, a przynajmniej zmniejszyć tempo biegu, żeby Francuz nie odkrył jego drugiej natury. Na szczęście Antoine oberwał drzwiami w głowę; pewnie trochę potrwa, zanim pozbiera się z ziemi. Colin z nadzieją pomyślał, że może nawet go zabił - i natychmiast przestraszył się reakcji Tin. Ale nie, Antoine się ruszał, nic mu nie będzie. Chyba nie skrzywdzi przybranej córki? Ach, co najwyżej urządzi jej awanturę.

Te rozważania pomogły Colinowi odzyskać minimalny spokój. Na tyle, żeby zwolnił. Nadal biegł, chociaż teraz człowiek by go dogonił. No, wysportowany i wypoczęty człowiek. Zwolnił jeszcze odrobinę.

Niepokoił się, czy Antoine nie zauważył u niego pazurów albo wydłużonego pyska. Liczył, że uderzenie na tyle Francuza zamroczyło, by nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Drań przylazł za Tin z czystego wścibstwa... lub wiedziony niepokojem, niech mu będzie, a kiedy usłyszał odgłosy kłótni, przystanął przed wejściem, zastanawiając się, czy powinien się mieszać. Ile usłyszał? Nie mógł tkwić tam zbyt długo - gdyby pojawił się, zanim wściekłość przytępiła Colinowi słuch, nie zdołałby podkraść się niezauważony. Chociaż... to łowca, czort go wie.

Wreszcie Colin przystanął. Dyszał ciężko, raczej wskutek dławiącej go furii niż z powodu niedawnego biegu. Co za...! Musiała go prowokować głupimi gadkami? A teraz mieli na głowie Antoine'a. Spojrzał na swoje dłonie. Pazury znikły, wszystko wracało do normy.

Do normy, akurat. Jak Colin spojrzy jej w oczy?

Zapanowałby nad sobą, gdyby nie ta ich telepatyczna łączność. Albo gdyby ich kłótnia odbyła się na odległość - tak, pohamowałby się wówczas w ostatniej chwili. Całkiem realnie przygryzłby wargę do krwi i nie nazwałby jej... tak, jak ją nazwał. Gdy jednak stali naprzeciwko siebie, kiedy wiedział, że bez względu na to, czy wyzwie Tin głośno, czy skończy się tylko na gniewnej myśli, ona usłyszy obelgę tak samo wyraźnie, powstrzymanie się nie miało sensu. Myśli Colin i tak by nie powstrzymał.

Zastanawiał się, co dalej. Nawet przy założeniu, że Antoine nie zauważył jego

częściowej przemiany, obecność Colina - to znaczy młodego łowcy Vernona - ani chybi zdziwiła Francuza. Parę dni wcześniej Vernon, wierny towarzysz Alberta, z zapalem prowadził śledztwo w sprawie zaginięcia Dirka. Wypadało wytłumaczyć się z tej nagłej zmiany frontu... zresztą Colin przyjechał tu głównie po dodatkowe informacje, a spotkania z Tin były zaledwie sposobem na zabicie czasu. Taa, jeszcze trochę, i sam w to uwierzy.

No, ale jeśli Colin po prostu pójdzie po samochód i wyniesie się stąd w diabły, w poszukiwaniach Emily znajdzie się znów w punkcie wyjścia, a jego związek z Tin także na tym ucierpi. Związek! Skakali sobie do gardeł jak para o sporym stażu, ale nic poza tym.

Cóż, tak czy owak, Colin musiał wrócić, wyjaśnić sprawę Antoine'owi, zanim były łowca przeanalizuje fakty i wyciągnie własne wnioski. Potarł czoło. Psiakrew. Ale namieszał! Przed rozmową z Francuzem wypadało dowiedzieć się od Tin, jaką wersję zdarzeń przedstawiła przybranemu ojcu. A żeby o cokolwiek Tin zapytać, Colin powinien ją najpierw przeprosić.

Do diabła, niech Tin przeprosi pierwsza! Ona zaczęła. Te jej niby niewinne pytania, wygłaszane z wahaniem, słodkim głosikiem, jakby wcale nie chciała go urazić... Znów zaklął siarczyście. Sprowokowała go czy nie, to i tak nie nazwała Colina pierdolonym ślepym sukinsynem.

No dobra, kiedy miał zacząć szukać jej przebaczenia? Skończyła już gawędzić z Antoine'em? Zacisnął pięści, wyobraziwszy sobie, jak Francuz na nią wrzeszczy. Super. Colin wyzwiał ją od najgorszych, ponieważ ośmieliła się go skrytykować, Antoine zaś, jeśli faktycznie urządził Tin awanturę, wydarł się na nią głównie dlatego, że - mając jej chłopaka za łowcę - obawiał się o życie przybranej córki.

Niestety, ta świadomość bynajmniej nie studziła gniewu, jaki narastał w Colinie na samą myśl o rozmowie z Francuzem. Przed spotkaniem z łowcą Colin musiał porządnie ochłonać, w przeciwnym razie dojdzie do nieszczęścia.

Usiadł na ziemi.

- Vernon - powitał go Antoine, otworzywszy drzwi. - Czy też Colin?

W głosie byłego łowcy pobrzmiwała czysta nienawiść. Widział w Colinie rywala. Na moment Colinowi zrobiło się czerwono przed oczami: czyżby łajdak myślał o Tin w kategoriach innych niż czysto ojcowskie? Zreflektował się szybko - chodziło o władzę. Antoine'owi nie pasowało, że świetnie wytresowana podopieczna wyzwala się spod jego wpływu.

Colin ciężko opadł na fotel. Nie miał ochoty tłumaczyć się przed Francuzem ze swoich

relacji z Tin. Najchętniej rozorałby rozmówcy gardło i tym sposobem sprawnie uporał się z tematem. Pospiesznie zagrzebał to pragnienie w najgłębszych zakamarkach umysłu, żeby Tin przypadkiem go nie odkryła.

- Zatem wiesz, czym ona jest - odezwał się Antoine. Świetnie nad sobą panował: człowiek nie doszukałby się w tej wypowiedzi niczego ponad spokojne stwierdzenie faktu. - Jakie masz wobec niej plany?

Tak otwarte postawienie sprawy nie zaskoczyło Colina. Zanim tu przyszedł, Tin lakonicznie naświetliła mu sytuację. Jej telepatyczny przekaz brzmiał chłodno, ponieważ Colin nie zdobył się na słowa przeprosin. Wezwał Tin ze szczerym zamiarem, żeby od tego zacząć, ale zapytał tylko, czy nic jej nie jest. W sensie: czy Antoine niczego jej nie zrobił.

A teraz Colin siedział w przesiąkniętym jej zapachem salonie i toczył ciężki bój ze sobą, żeby nie wyładować na Francuzie całej wściekłości, jaką czuł wobec samego siebie. Antoine zaś mu nie pomagał. „CZYM ona jest”. Szlag by drania trafił.

- Znam. ją zaledwie dziewięć dni - powiedział wolno Colin. - To kilka rozmów telefonicznych i parę krótkich spotkań.

- Chcesz mi powiedzieć, że jeszcze nie postanowiłeś, jakie żywisz wobec niej zamiary?

- Nie skrzywdzę jej, jeśli tego się...

- Już ją skrzywdziłeś - przerwał mu zimno Antoine. - I robisz to także tymi słowami. Ona myśli o tobie bardzo poważnie.

Colin zacisnął zęby, po raz kolejny zmuszony walczyć o utrzymanie emocji w ryzach.

Nagle ta reakcja wydała mu się niewspółmierna do zachowania Francuza... Czyżby z Antoine'em faktycznie było coś nie tak? I Colinem nie kierowała zazdrość, ale podszepty przecucia?

Głupio usprawiedliwiał swój brak samokontroli. Przecucie milczało od miesięcy. Milczało także, kiedy jechał do Tin, a nawet kiedy wysiadł z wozu i w nozdrza uderzyła go jej woń. W gruncie rzeczy nie odezwało się również, gdy ją zobaczył - po prostu spojrzął i wiedział, że to ona. Nie przeczuwał, miał wewnętrzną pewność.

- Czego ty właściwie się po mnie spodziewasz? - zapytał Colin z ciężko wypracowanym spokojem.

Niedawno Tin zadała podobne pytanie jemu. Francuz zaczął spacerować po salonie, jakby dopiero teraz zastanawiał się nad tą kwestią.

- Zdaję sobie sprawę - odezwał się wreszcie Antoine - że w normalnych okolicznościach żaden ojciec nie żądałby od chłopaka swojej córki, żeby po kilku dniach

znajomości zadeklarował się, że będzie z nią już zawsze. Tylko że Tin nie jest zwyczajną dziewczyną, z którą możesz poprobować przez rok czy dwa, zanim ostatecznie stwierdzisz, że to jednak nie to. Musisz podjąć decyzję teraz. Jeśli masz wątpliwości, po prostu o niej zapomnij, w sensie dosłownym. Jeśli natomiast zamierzasz kontynuować tę znajomość, chcę od ciebie przyrzeczenia, że nigdy nie zostawisz Tin. Będziesz się nią opiekował także wówczas, gdy odkryjesz, że zauroczenie ci przeszło.

Co pragnął osiągnąć swoją przemową? Zgoda, Tin nie była zwyczajną dziewczyną, ale i w takim przypadku Antoine nie powinien wymagać nawet od najbardziej zakochanego faceta, żeby po tygodniu znajomości przysiągł pozostać z nią do końca swych dni. Zwłaszcza jeżeli ów facet do tej pory zajmował się zabijaniem takich jak ona, a przecież Francuz postrzegał Colina właśnie jako młodego łowcę, który karierę nieustraszonego pogromcy krwiożerczych bestii ma dopiero przed sobą - i marzy o tym, żeby błysnąć.

Zatem postawione przez Antoine'a ultimatum miało na celu przepędzenie stąd Colina. Facet kierował się dobrem Tin czy zależało mu jedynie na odzyskaniu pełni władzy nad przybraną córką?

Ponieważ jego rozmówca milczał, Francuz rozwinął temat, przy czym z tonu owej wypowiedzi przebijała autentyczna troska o Tin. Naprawdę się obawiał, że Colin ją zrani. Jakby wręcz zakładał... że kiedy tylko młody łowca otrząśnie się z zauroczenia, zastrzeli dziewczynę, żeby nie zdołała go ponownie omamić. Przy czym Tin pozostałaby tą samą miłą, nieszkodliwą istotą. Colin zabiłby ją wyłącznie dlatego, że urodziła się tym, kim się urodziła.

Czy fakt, że Antoine uważał tego rodzaju sytuację za prawdopodobną, nie świadczył przypadkiem o tym, że sam brał pod uwagę likwidację Tin, gdyby wygasły w nim uczucia ojcowskie? Jasne, Colin przyjąłby i to wyjaśnienie, byle nie dopuścić do siebie myśli, że takie wnioski nasunęły się Antoine'owi na podstawie słów, które usłyszał, stojąc pod drzwiami *mazet*.

- Oczywiście musiałbyś porzucić zawód łowcy - ciągnął Francuz. - Odizolować się od tego środowiska, tak jak ja... lepiej niż ja, żeby żaden Alberto cię nie odnalazł.

Mówił rzeczowo. Nie zabraniał Colinowi widywania się z Tin, nie stawiał nonsensownych żądań, a jedynie przemawiał do jego rozsądku. Jeśli Colin kochał Tin na tyle, żeby porzucić dla niej zawód łowcy, osiąść na wsi i wieść życie zwykłego człowieka, wówczas Antoine z radością powita go jako swego zięcia.

I co Colin miał mu odpowiedzieć? Spędzi życie z Tin, to oczywiste, ale na pewno nie zamieszkają w bezleśnej okolicy, z Antoine'em w roli stróża moralności. Chociaż Francuz sugerował raczej, że przekaze Colinowi dziewczynę i pójdzie swoją drogą... Tyle że Colin nie

chciał wlec Tin ze sobą na poszukiwania siostry. Cholera wie, w jakie bagno się po drodze wpakuje, a tutaj Tin była w miarę bezpieczna, no i chyba szczęśliwa. Zresztą Antoine nie powierzyłby przecież przybranej córki nieznanemu facetowi z dnia na dzień, Colin musiałby coś udowodniać, wykazywać się, a na takie zabawy nie miał czasu. Przyjechał tutaj - znów musiał sobie przypomnieć o tym szczególe - przede wszystkim po dodatkowe informacje na temat prowadzonego przez Dirka śledztwa.

- Wróciłem tu głównie z powodu przypuszczenia, że o paru rzeczach nie chciałeś powiedzieć Albertowi - oznajmił wreszcie Colin.

- Ach, Alberto - mruknął Antoine. - Nie o nim rozmawiamy.

- Dobrze. - Colin oparł łokcie na kolanach. - W tej chwili nie dam ci jednoznacznej odpowiedzi. Potrzebuję czasu do zastanowienia. Poza tym... nie mogę porzucić tak obiecującego śledztwa, nigdy bym sobie tego nie darował. Nabrałem podejrzeń, że coś zataiłeś przed Albertem... a sprawa z Tin rozwinęła się... trochę niezależnie od mojej woli. - Dobrze, że Tin nie uczestniczyła w tej rozmowie. No, ale przecież Colin starał się jedynie zamydląć oczy Antoine'owi, o Tin natomiast myślał bardzo poważnie, cóż więc z tego, że usłyszałaby jego słowa? - Dlatego, jeśli wiesz coś więcej, powiedz mi. Podejmę trop, a na twoje pytanie odpowiem później.

- Dlaczego zostawiłeś Alberta? - dociękał Antoine, co mogło oznaczać zgodę na propozycję Colina.

- Wdaliśmy się w drobny spór - odparł z przekąsem Colin. - Raptownie straciłem posadę jego najbardziej zaufanego kumpla.

- Tak, typowe.

- Planuje obserwować klinikę. Wydało mi się to stratą czasu.

- Obserwować? Alberto? - Antoine momentalnie stał się czujny.

Fakt, Włoch nie wyglądał na faceta, który biernie oczekuje na rozwój wydarzeń.

- Dobra, może ma inne plany - mruknął Colin. - Nie raczył mi ich wyjawić. Cokolwiek zamierza, w Kohlenbogen nie było miejsca dla nas obu. Analizując naszą poprzednią rozmowę, uznałem, że zataiłeś pewne fakty przed Albertem, ale ze mną podzielił się nimi.

- Alberto toczy świętą wojnę - stwierdził Antoine z westchnieniem. - Liczy się dla niego cel, bez względu na ofiary. Choćby moja sytuacja... Co on o tobie wie? A mimo to bez oporów przywiózł cię do mojego domu, potencjalnie narażając moją córkę.

Przez chwilę Colin miał chęć poruszyć kwestię pokrewieństwa Antoine'a z Tin. Ciekawe, czy Francuz by go okłamał. A może zakładał, że Colin wie? Albo Tin sama wyznała kochanemu tatuśkowi, że opowiedziała swojemu chłopakowi o zdarzeniach z

przeszłości? Colin zapragnął natychmiast wezwać ją w myślach, żeby uzgodnić stanowisko w tej kwestii. Pohamował się. Jeśli ta konwersacja miała przebiec bez zawirowań, bezpieczniej było zostawić w spokoju temat jej tragicznie zmarłych rodziców.

- Znasz więcej nazwisk? - spytał zatem Antoine'a. - Ale nie chciałeś napuszczać Alberta na tych ludzi?

- Dirk zasugerował Hintermannowi, że podejrzewa eksperymenty z transgenezą, tak więc profesor skupił się na badaniach DNA wybranych dzieciaków - odparł Francuz. - Choć orientował się w zagadnieniach z zakresu genetyki, nie uważał się za specjalistę. Z kimś się kontaktował, żeby zweryfikować swoje przypuszczenia, lub wręcz poprosił tę osobę o ekspertyzę. Nie podał Dirkowi nazwiska, wymknęło mu się jednak, że chodzi o naukowca z Wielkiej Brytanii. Niewykluczone, że ten człowiek udzielił nam odpowiedzi na pytanie, jakiego rodzaju działalność zwierzyzna prowadziła w klinice. Oczywiście jeżeli Hintermann faktycznie na coś trafił.

- Skoro i tak nie wiesz, kto to był, dlaczego trzymałeś ten szczegół w tajemnicy? - zdziwił się Colin. Francuz tym razem nie kłamał, a nowe fakty okazały się mocno rozczarowujące.

- Właśnie dlatego - odparł ze spokojem Antoine. - Podając Albertowi konkretne nazwisko, narażałbym na niebezpieczeństwo jednego człowieka i ewentualnie jego rodzinę. Natomiast przekazując mu listę moich kandydatów, z których żaden nie musi być kontaktem Hintermanna, ryzykowałbym życie ich wszystkich.

- Twoim zdaniem sprawa jest aż tak niebezpieczna? - zdumiał się Colin.

Francuz uniósł brwi. No tak, dwa trupy mogły sugerować, że coś grozi osobom znajdującym się w posiadaniu informacji na temat tajnej działalności kliniki. Tylko że skoro Antoine obawiał się narażać angielskich naukowców, powinien był także dojść do wniosku, że ryzykuje, tkwiąc uparcie z Tin w Langwedocji.

Colin dla odmiany nie potrafił się zdecydować, co myśleć o związanych z kliniką zagrożeniach. Raz wydawało mu się, że chodzi o pilnie strzeżoną i z tego względu niebezpieczną tajemnicę, a znów po chwili uznawał, że eksperymenty stanowią wytwór rozbuchanej wyobraźni paru łowców.

- Nie wiemy na pewno, co się stało z Dirkiem - powiedział obronnym tonem. - A co do Hintermanna, sam sugerowałeś, że miał słabe nerwy i mógł zwyczajnie nie wytrzymać napięcia. Niewykluczone, że w tej sprawie wszystkich po kolei poniosła fantazja.

- Zgoda - przystał bez entuzjazmu Antoine. - Obawiam się jednak, że takie wyjaśnienie należy uznać za nasze pobożne życzenia.

- Alberto życzyłby sobie czegoś całkiem innego - mruknął Colin.

- Na tym polega zasadnicza różnica między Dirkiem a Albertem. Dirk jedynie dopuszczał możliwość istnienia wilkołaczej organizacji. Każdy dowód na to, że zwierzyzna radzi sobie lepiej, niż zakładają łowcy, uważał za niepomyślną wiadomość. Ucieszyłby się, gdyby się okazało, że tamten dzieciak urodził się w drodze przypadku albo przynajmniej że eksperymenty prowadzi w klinice rząd lub pomyłony bogaty facet, któremu zamarzyło się posiadanie sfory wilkołaków. Z kolei Alberto z całym przekonaniem twierdzi, że wilkołacza organizacja istnieje, ale dobrze się ukrywa. Sprawa kliniki stanowi dla niego szansę na dobranie się wrogowi do skóry. Poczulby się zrozpaczony, gdyby trop okazał się fałszywy.

Colin pokiwał głową. Dobrze poznał sposób myślenia Alberta. Fałszywy trop nie świadczył o tym, że organizacja nie istnieje. Ba, niekiedy wydawał się wręcz sprytnym zagranem przeciwnika.

- Alberto sugerował, że nie chodzi o zwykłe rozmnażanie, ale o stworzenie nietypowego okazu zwierzyny - powiedział Colin. Tin także przyklasnęła tej koncepcji; najwyraźniej tylko jemu wydawała się ona idiotyczna. - Podejrzał, że zarodki powstają w prowadzonym przez zwierzynę laboratorium i stamtąd trafiają do kilku różnych ośrodków leczenia niepłodności.

- W gruncie rzeczy nie jest to takie głupie. - Antoine się zadumał. - Osobiście wstrzymałbym się jednak z wyciąganiem wniosków. Jeśli Hintermann zdołał przekazać komuś uzyskane przez siebie informacje... nie wiem: obrazy mikroskopowe, swoje hipotezy, a może sam materiał, który ta osoba miała dopiero zbadać... w każdym razie, jeśli ktoś zna choć część ustaleń profesora, te informacje mogą nam wystarczyć do sformułowania odpowiedzi na pytanie, czy chodziło o stworzenie wyjątkowego okazu, czy o zwykłe rozmnażanie silnych osobników.

- No dobrze. - Colin potarł dłonią czoło. - Jak rozumiem, wytypowałeś kandydatów?

- Tak, na początek trzech.

- Trzech? Dlaczego sam się tym nie zająłeś?

- Nie słuchałeś, co ci mówiłem na temat Tin - stwierdził Antoine. - Nie wolno ryzykować, że w czasie pełni zostanie bez dozoru.

Colin leciuteńko zmrużył oczy. O dziwo, nawet się nie zdenerwował, zapewne dlatego, że dobrze rozmawiało mu się z Francuzem o sprawach zawodowych. Zdecydowanie lepiej niż z Albertem, który na każdym kroku podkreślał swoją wyższość.

Nadarzała się okazja, by wytłumaczyć Antoine'owi, że nie musi trzymać Tin w zamknięciu w nocie pełni, ponieważ dziewczyna nie staje się wtedy bardziej niebezpieczna,

niż jest na co dzień, kiedy Francuz siedzi z nią przy kuchennym stole albo błogo śpi w pokoju przylegającym do jej sypialni. Ostatecznie jednak Colin uznał, że chwilowo zrobi lepiej, nie starając się niczego zmieniać w relacjach Antoine'a z przybraną córką. Cholera wie, jak Francuz zareagowałby na rewelacje o zdolności Tin do przemiany o każdej porze doby. Colin zmarszczył brwi. Tak, z gościem coś zdecydowanie nie grało, przy czym ta opinia nie wynikała jedynie z niechęci Colina do innego samca, kręcącego się w pobliżu jego wadery.

- Po prostu... zdziwiło mnie, że chodzi o zaledwie trzy osoby - powiedział. - Aż zbyt banalne...

- Mogłem się pomylić w kalkulacjach - odparł Antoine. - Trzech najbardziej prawdopodobnych kandydatów na początek, później mam dziewięciu kolejnych, i tak dalej. A poszukiwanego przez nas człowieka może wśród nich w ogóle nie być, jeśli przyjąłem błędne kryteria wyboru. Założyłem, że Hintermann, jako specjalista najwyższej klasy, zwróciłby się o pomoc tylko do równie wybitnego eksperta. Przy tym, ponieważ chodziło o delikatną sprawę, zdolną zniszczyć jego karierę, musiał darzyć tę osobę ogromnym zaufaniem. Szukałem genetyka, z którym Hintermann miałby okazję blisko się zaprzyjaźnić. Tego rodzaju kontakty nawiązuje się przeważnie na studiach, bo później, kiedy do głosu dochodzą ambicje, o zaufanie coraz trudniej. Skupiłem się zatem na młodości Hintermanna, na okresie studiów i stażu, no i porównałem te informacje z biogramami uznanych brytyjskich genetyków, których znalazłem w sieci.

- Masz te dane na dysku?

Francuz skinął głową.

- Zgrasz mi je na płytę albo pendrive'a? - zapytał ponownie Colin. Jego laptop został w toyocie, razem ze wszystkimi gadżetami.

- Chodźmy do gabinetu - zarządził Francuz.

Trochę trwało, zanim Antoine odpalił wiekowy komputer. Alberto miał rację, kiedy sugerował, że winnica cienko przędzie. A ponoć przynależność do spółdzielni winiarskiej opłaca się bardziej niż produkcja własna...

- Sugerowałbym, żebyś zaczął od Leesona. - Antoine popukał palcem w ekran monitora, na którym wyświetliło się właśnie zdjęcie wyniosłego faceta pod sześćdziesiątkę. - Przez rok studiowali razem, kiedy Hintermann pojechał do Anglii w ramach wymiany studenckiej. Ich nazwiska pojawiają się na listach uczestników wielu konferencji, mieli zatem okazję podtrzymać znajomość. Następnie Border...

W głosie Francuza dało się słyszeć ożywienie, choć zarazem Colin wychwytywał... narastającą zazdrość. Antoine niewątpliwie tęsknił za dawnymi czasami. Wyszukał te

informacje i chętnie sam wyruszyłby zbadać sprawę, ale na miejscu trzymały go zobowiązania wobec Tin. Poświęcił się dla niej, rezygnując z zawodu łowcy, żeby ją wychować, i poświęcał się nadal, choć już tego nie potrzebowała. No tak, ale zanim Francuz zdobył się na ów szlachetny gest, zastrzelił jej rodziców. Colin zacisnął zęby. Jakim cudem zdarzyło mu się zapomnieć o tym szczególe?

Antoine zgrał mu wiadomości na temat trzech najbardziej prawdopodobnych kontaktów Hintermanna w Wielkiej Brytanii oraz zamiary na kolejnych przypuszczalnie znanych profesorowi genetyków, na wypadek gdyby pierwsze typy okazały się chybione. Następnie zaproponował, że podwiezie Colina do Montpellier, gdzie został jego samochód.

I tym sposobem Colin nie zobaczył się z Tin przed wyjazdem. Może i lepiej, bo nie uśmiechało mu się godzić się z nią w obecności Antoine'a.

Potrzebował chwili relaksu, natychmiast. W odwiedzinach do Tin przyjechał niby właśnie po to, żeby się zrelaksować, tymczasem po kilku dniach z nią czuł się psychicznie wykończony. Miał naturę samotnika, a Tin pozbawiała go prywatności, wdzierając się w najskrytsze zakamarki jego umysłu. Zarazem owa bliskość ciągle nosiła posmak fascynującej nowości. Jak Colin będzie się zapatrywał na ten układ po paru miesiącach? Zwłaszcza jeśli z czasem wymiana myśli między nimi się nasili, tak że nawet odległość nie stanie jej na przeszkodzie?

Przywykł do własnej odrębności, a teraz zniemacka ją utracił. Najbardziej irytowało Colina, że Tin nieustannie go ocenia. Podkopywała jego pewność siebie. Jasne, mógłby przyjąć, że jej opinia niewiele znaczy - była młoda, niedoświadczona, bez najmniejszego pojęcia o sprawach organizacji i zasadach rządzących społecznością. Tyle że... no właśnie, jak sama lubiła powtarzać, Colin nie wściekałby się tak, gdyby w głębi duszy w wielu sprawach nie przyznawał jej racji.

Mylili się jednak w kwestii Godfrey'a! Na moment Colina znowu ogarnęła wściekłość na Tin, że śmiała wygadywać takie bzdury. Później się opamiętał.

Została wychowana przez łowcę, los doświadczył ją dotkliwiej niż Colina. Dorastała u boku faceta, który mimo lat obcowania z nią bynajmniej nie zmienił zdania na temat krwiożerczości zwierzyny. Colin uzmysłowił sobie, że właśnie to mu się u Antoine'a nie podoba. Były łowca wyraźnie oddzielał Tin-łagodną-dziewczynę od Tin-bestii, jaką według niego stawała się w czasie pełni, nawet jeśli owej różnicy nie dało się zauważyć na pierwszy rzut oka. I o ile Tin-dziewczynę Francuz niewątpliwie kochał, o tyle Tin-bestię zabiłby bez wahania, gdyby uznał, że zmuszają go do tego okoliczności.

Colin zapragnął natychmiast zawrócić, uratować Tin przed zagrożeniem, jakie stanowił dla niej były łowca.

Doskonale. Przez piętnaście lat Francuz traktował ją jak córkę, troszczył się o nią, jedynie na trzy noce w miesiącu zamykając w piwnicy - po czym zniecka miałby ją zastrzelić? Colin dał ciała, więc bardzo chciał ujrzeć siebie w roli jej wybawcy.

Gdzie faktycznie groziło jej niebezpieczeństwo? W domu przybranego ojca czy u boku Colina, buntownika, który być może wkrótce solidnie nadeptnie organizacji na odcisk? Przypomniał sobie skąpany we krwi salon w ich pogodnym domku. Godfrey, były przywódca straży, doskonale wyszkolona, silna alfa, ani chybi żywił przeświadczenie, że potrafi zagwarantować bezpieczeństwo Vivian i dzieciom. Co zostało z tej jego pewności? Colin nie miał podstaw przypuszczać, że w podobnej sytuacji poradziłby sobie lepiej od ojca.

Ba, zyskał okazję, żeby się zmierzyć z Udonem. Gdyby kapłan zapragnął go wtedy rozszarpać, zrealizowałby ów zamysł, nie zarabiając w zamian ani draśnięcia. Colin stałby bezwolnie i niejako z boku obserwował, co się wyrabia z jego ciałem. Może nawet nie poczułby bólu - lub skowyczałby wewnątrz, niezdolny dobyć głosu.

Najwięcej groziło Tin u boku Colina. Jak zatem powinien postąpić? Ograniczyć się do kontaktów na odległość? W pewnym sensie byłiby ze sobą, a zarazem nikt poza Colinem nie wiedziałby o jej istnieniu. Czy takie... wirtualne spotkania by mu wystarczyły? I wirtualny seks? Musiałby najpierw spróbować...

Cóż, na razie nie znalazł siostry. Dopiero kiedy uprowadzi Emily, ściągnie na siebie pościg - do tej pory zaś będzie mógł w miarę bezpiecznie kontaktować się z Tin.

Przed chwilą minął Dijon, od Tin dzieliły go ponad cztery godziny jazdy. Znał w tej okolicy całkiem sympatyczny las, a koniecznie musiał pobiegać. Odreagować. Na jakiś czas odciąć się od ludzkich rozterek i zatopić w dzikości. Przy okazji coś upoluje, naje się wreszcie... i zyska siły, żeby przeprosić Tin.

Zabił młodą sarnę, nażarł się do syta, a potem znowu puścił biegiem, choć z pełnym brzuchem nie chciało mu się rozwijać przesadnych prędkości. Zapach waderki poczuł mniej więcej godzinę później. Stał jak wryty. Zaczął węszyć.

Młoda sztuka, Colin oceniał ją na około piętnaście lat. Pierwszy świadomy, na jakiego natknął się od przybycia do Europy, oczywiście nie licząc Tin. Przez kilkanaście miesięcy posucha, po czym w ciągu dwóch tygodni spotyka dwie wadery. Czy to nie podejrzany zbieg okoliczności?

Zmusił się do koncentracji. Znał ten las. Biegał w nim już kilkakrotnie i nikogo nie

zwęszył. Inna sprawa, że dotąd nie zjawił się tu tak blisko pełni, a woń wadery, świeżutka, sprzed góra pół godziny, była ledwie rozpoznawalna. Smarkula się maskowała, ale nie do końca jej to wychodziło.

Maskowała się... Jeśli w Europie nie panowały w tym względzie odmienne zwyczaje, ta waderka powinna jeszcze uczęszczać do szkoły, mieszkać wraz z rodzicami pomiędzy ludźmi i udawać normalną dziewczynę, która spędza noce we własnej sypialni. Czyżby jej wypad do lasu był nie całkiem legalny?

Colin ruszył truchtem z nosem przy ziemi, zdecydowany przepytąć nieznajomą.

Zaskoczył ją, tak jak sobie założył. W skupieniu obwąchiwała kępkę mchu, kiedy bezszelestnie zaszedł ją od tyłu.

- Hej, mała - rzucił w wilczej mowie, jakby podrywał ją w barze.

Odwróciła się gwałtownie, napinając każdy mięsień ciała. Obnażyła zęby, sierść na jej grzbiecie się nastroszyła. Nie trafił na pokorną betę.

Stał, prężąc dumnie pierś i unosząc puszystą wiechę. Gdyby kogoś interesowała opinia Colina, uważał, że lepiej prezentuje się jako wilk niż jako człowiek. Suczka musiała dostrzec, jaki jest atrakcyjny.

Dostrzegła, bo najeżona sierść nieco jej oklapła. Jednakże na tym koniec, smarkula ani myślała kłaść uszy po sobie i podkulać ogon. Przeciwnie, przybrała wyniosłą pozę.

- Kim jesteś? - warknęła.

Nie zdarzyło mu się jeszcze rozmawiać w Europie po wilczemu; Tin nie zdołał namówić na przemianę, kiedy byli razem, ale ona i tak dorastała z dala od społeczności, więc jej wymowa zapewne odbiegałaby od standardu. Zakładał, że wilczy język jest uniwersalny, no i zasadniczo się nie pomylił, bo zrozumiał waderkę. Mówiła jednak z dziwnym akcentem, niewątpliwie zatem z jej punktu widzenia nietypowym akcentem posługiwał się Colin.

Cóż, tym razem nici z udawania, że Colin należy do europejskiej straży; kiedy znów spotka tutejszego świadomego, spróbuje naśladować jej sposób warczenia.

- Dustin - przedstawił się imieniem kumpla. Odrobina ostrożności nie zawadzi, chociaż jeśli laska opowie komuś o spotkaniu ze świadomym zza oceanu, odpowiednie osoby i tak natychmiast odgadną tożsamość Colina. - Nie jesteś za młoda na samotne spacerzy?

- To mój las - odgryzła się ostro.

Trafił w czuły punkt - faktycznie nie powinna tu przebywać. Zarazem ani myślała ustąpić Colinowi pola. Psiakrew, czy nie mógł spotkać słabszej alfy? Takiej, która odpowiedziałaby mu grzecznie na pytania, a potem z podwiniętym ogonem wróciła do domu,

nikomu nie przyznając się do rozmowy z obcym? Tyle że słabsza świadoma nie wyściubiłaby bez pozwolenia nosa ze swego pokoju.

Jej las... Lasy starego kontynentu wydawały się Colinowi stanowczo zbyt skromne, żeby dało się w nich założyć choćby kilkunastoosobową osadę, niegłupim rozwiązaniem byłoby zatem przydzielenie każdej grupie rodzinnej terenu, na którym jej członkowie mogliby dyskretnie hasać w wilczej skórze. Czy to miała na myśli waderka?

- Ach, przepraszam, nie zauważyłem oznaczeń - ironizował Colin.

Za oceanem świadomi znaczą teren jedynie w celu uniknięcia nieporozumień z wilkami, w innych sytuacjach takie zachowanie nie przystoi, oczekiwał więc, że smarkuła poczuje się urażona jego uwagą. Jednak cholera ich wie, przeklętych Europejczyków.

- Tylko ja tu zaglądam - oświadczyła.

- Mimo że nie powinnaś tego robić - stwierdził z satysfakcją. Wyczuwał jej obawę: przypuszczalnie zastanawiała się, czy Colina nie przysłał lider, żeby przyłapać ją na gorącym uczynku.

- Może - rzuciła wyzywająco. - Ale wróć do domu przed świtem i moi starzy się nie zorientują. Za to ty nawet nie jesteś tutejszy.

Bystra młódka. Pociągała go, mimo że stanowczo nie była piękną, tak w wilczej, jak i - zapewne wręcz bardziej - w ludzkiej postaci: bure futro, zbyt grube łapy, przyciężkie ruchy, imponująca postura. Czyżby zatem chodziło o wiek? Pachniała młodością. Tak, na tym polegał jej urok. Za kilka lat pozostanie z niej tylko zwalisty babochłop.

Choćby jednak przed Colinem stanęła wilcza bogini oszałamiającej urody, nie uznałby jej za interesującą alternatywę dla Tin. Cholera. Na widok innej waderki boleśnie zapragnął zbliżenia z Tin. Czy odtąd zawsze tak będzie?

- No, skąd cię przyniosło? - mruknęła zalotnie smarkuła.

Zdaje się, że Colin przed sekundą zbyt intensywnie myślał o Tin, a ta tutaj błędnie zinterpretowała sytuację.

- Z Ameryki - odpowiedział. - Nie spotkałem tam buntowniczek...

- Wielu was tam jest? - zapytała, otwierając szerzej oczy. Lustrowała Colina uważnie, jakby stanowił muzealny okaz.

- A czego cię uczono?

W tym wieku powinna wiedzieć o organizacji bardzo mało. Dopóki młody świadomy nie osiadzie na stałe wśród swoich, przekazuje mu się tylko niezbędni - informacje na temat jego własnej natury, z którą przecież na co dzień się boryka, a także cały zbiór zakazów, gwarantujących przetrwanie w ludzkim świecie. Poznaje też, oczywiście, osadę z panującym

w niej podziałem ról, zwykle jednak wmawia mu się, że to jedyne tego rodzaju miejsce na świecie. No, ale znowu - cholera wie tych Europejczyków.

Waderka wzruszyła po wilczemu ramionami, to znaczy zadrgała jej skóra na grzbiecie.

- Nawijali o garstce emigrantów z dawnych czasów - prychnęła wzgardliwie. - Bajeczki dla grzecznych wilczków.

Ponownie zaskoczyła Colina. Żaden ze znanych mu świadomych nie podzieliłby się takim komentarzem z obcym facetem. Ba, nieliczni ośmieliliby się nawet tak pomyśleć. No, ale Colin nie poznał bliżej żadnej silnej piętnastoletniej alfy. Młodość czyniła ją butną i nierozważną, z wiekiem waderka spokornieje.

- Wyznajesz dość... odważne poglądy - stwierdził.

- Chciałeś powiedzieć: kontrowersyjne? - Pogrzebała przednią łapą w darni. - Przecież w efekcie i tak będę przestrzegać tych przeklętych zasad.

Wtedy, kiedy uzna za stosowne - Colin był pewien, że w duchu dodała takie zastrzeżenie.

- Tego rodzaju postawa jest powszechna wśród twoich rówieśników? - zapytał.

Popatrzyła na niego przeciągle.

- Nie - odparła po dłuższej chwili. - Moi starzy aż wylinieli ze stresu, co ze mnie wyrośnie. Ale ty też nie przestrzegasz zasad. Mylę się?

„Owszem, ale ja jestem dorosły”. Colin całym wysiłkiem woli powstrzymał tę cisnącą mu się na pysk odpowiedź. Waderka uniosła fagle w złośliwym uśmiešku.

- W twoim wieku byłem bardzo grzecznym wilczkiem - oznajmił.

- Wątpię. - Wyzywająco uniosła łeb.

- Czy takiej zażartej buntowniczkii lider nie ma cały czas na oku? - zapytał, przypomniawszy sobie, że powinien skorzystać z okazji do zdobycia informacji, zamiast tracić czas na przekomarzania. Kolejna szansa mogła mu się trafić dopiero za rok.

- Czyżbyś próbował uzyskać ode mnie namiar na osadę? - zamruczała słodko wadera, przysuwając się do Colina.

Cofnął się o krok.

- Chętnie zamieniłbym kilka słów z tutejszym liderem - przyznał. - A, niestety, rzeczywiście nie wiem, gdzie go szukać.

- Nie znam cię - odparła z powagą. - Dlaczego miałabym ci cokolwiek powiedzieć? Gdyby twoje plany były po myśli organizacji, nie potrzebowałbyś pomocy.

- Gdyby moje plany były bardzo NIE po myśli organizacji, w ogóle bym się tu nie znalazł.

- Fakt - zgodziła się. - Ale może jeszcze się z nimi nie ujawniłeś? Może dopiero zamierzasz zrobić coś przeciw społeczności? Albo na przykład testujesz moją lojalność?

- Nie walczę przeciw społeczności. Walczyłem przeciw organizacji.

Dopóki nie porwano mu siostry, Colin utożsamiał społeczność z organizacją. Z osiągnięciem dorosłości każdy świadomy zaczynał pełnić określoną funkcję, ale w odczuciu Colina także nieświadomi, choć nie świadczyli żadnych usług dla społeczności ani nawet nie wiedzieli o swej drugiej naturze, zasługiwali na miano członków organizacji z racji tego, że dostarczali zajęcia jej służbom.

Obecnie Colin coraz częściej przyłapywał się na tym, że postrzega organizację tak, jak przedstawiał ją Alberto: jako elitarną grupkę silnych alf, realizujących własne cele za pomocą karmionej bajeczkami tłuszczy. Przy takim ujęciu społeczność, do której należy się z racji cech wrodzonych, stawała się ofiarą organizacji - i wypadało ją chronić. Przeciwnikami Colina byli kapłani, natomiast świadomi wykonujący ich rozkazy zwykle nie mieli pełnego obrazu sytuacji, w gruncie rzeczy stali więc po tej samej stronie barykady co on - ale po prostu o tym nie wiedzieli. Nie miał prawa żadnego z nich choćby drasnąć.

- Szkoda - mruknęła uwodzicielsko waderka. - Ciekawie byłoby poznać prawdziwego buntownika.

Ona wyraźnie utożsamiała społeczność z organizacją. I równie wyraźnie przystawiała się do Colina.

- Słuchaj, jestem zajęty - warknął.

Cholera, nie miało to zabrzmieć aż tak obcesowo - jak dotąd nie wyciągnął od niej pożądanых informacji.

- Ach, zajęty? - powiedziała niezrażona. - Chyba nie aż tak bardzo, żeby...

- Bardzo - warknął znowu, tym razem nie starając się złagodzić tonu.

- Została w Ameryce? - Waderka cofnęła się minimalnie, jakby wreszcie zaakceptowała przegraną.

- Nieee... Nieważne. Jestem zajęty i tyle. - Ta rozmowa nagle zaczęła Colina złościć. - Będę ci wdzięczny za jakąkolwiek wskazówkę. Ale jeśli nie chcesz mi nic mówić, to okej, rozumiem. I lepiej, żebyś wracała do domu. Będziesz miała nieprzyjemności, jeśli lider dowie się o twoich nocnych wycieczkach.

- Nie myśl sobie, że zdradzę ci lokalizację osady tylko dlatego, że mnie podle szantażujesz. - Najeżyła się, odsłaniając zęby.

- Widać, że jeszcze nie miałaś do czynienia z podłym szantażem - mruknął.

Potraktowała jego słowa jako kolejną groźbę, choć jedynie stwierdzał fakt. Podłym

szantażem było oznajmienie mu, że Mat zginie, jeśli Colin posunie się zbyt daleko w swoich poszukiwaniach. Zmarszczył brwi. Czy podejmując śledztwo w sprawie kliniki, nie przekroczył aby owej granicy, za którą życie jego brata stawało się zagrożone? Przynależł sobie, że przy najbliższej okazji zadzwoni do chłopaka.

- Tobie naprawdę zwisa, czy czegoś się ode mnie dowiesz - stwierdziła ze zdziwieniem waderka.

- Nie spodziewałem się tego spotkania. Czy to jest takie dziwne, że plan działania opracowałem już wcześniej?

- Bieganie po lesie? - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- Zrobiłem sobie przerwę - warknął.

- Zazdroszczę ci, że tak podróżujesz. Zwiedziłeś całą Europę?

- Wstąp do straży, a też będziesz podróżować. - Nagle ta smarkula wydała mu się zbyt nachalna, zbyt dociekliwa. W ogóle jakaś...

- Muszę zmykać - mruknęła z westchnieniem. - Starzy niby tylko przy pełni sprawdzają, czy nie nawiałam... ale a nuż ich oświeciło. Lidera szukaj w Niemczech - rzuciła.

- Albo dalej na wschód, w nowych krajach Unii. Takie krążą plotki: że więcej tam lasów, lepsze warunki do życia. Ponoć kupiliśmy trochę ziemi w różnych krajach, także w Rosji, kiedy klimat polityczny zaczął sprzyjać własności prywatnej. - Znow po wilczemu wzruszyła ramionami. - Choć pewnie to bajki, kapujesz, opowiadki o cudownych miejscach, gdzie można całymi dniami swobodnie biegać w dziczy, tylko trzeba się zasłużyć, żeby cię tam przenieśli.

Colin skinął łbem. Wśród łowców nie było nikogo z dawnego bloku socjalistycznego. To znaczy, ponoć kiedyś do ich grona należał Bułgar, jedyny rodzynek, ale parę lat temu wykończył go rak. Brak łowców z danego regionu sugerował, że nie ma tam również społeczności. Jej członkowie wynieśli się, kiedy w tamtych krajach zrobiło się nieciekawie, co najwyżej zostawiając na miejscu parę silnych alf, żeby wykańczały przebudzonych nieświadomych - po co ryzykować, że zerówki wpadną w niepowołane ręce?

Obecnie społeczność wracała w tamte okolice. Albo na razie tylko opowiadano o wielkim powrocie.

- Dzięki - powiedział Colin. - Zawsze to jakaś wskazówka.

- Nie wspominaj o mnie nikomu. - W głosie waderki pojawiła się błagalna nutka. No, nie błagalna. Nieznacznie prosząca.

- I tak nie zamierzałem.

- Powodzenia. - Uśmiechnęła się. - Zapamiętam nasze spotkanie.

Znikła między drzewami. Nie powiedziała, że było jej miło poznać Colina. Ale przecież groził jej. Nie zapytał nawet, jak ma na imię.

Stał, marszcząc brwi. Więc dlaczego ostatecznie zdradziła mu lokalizację osady?

No, gdy się zastanowić, Niemcy to nie Belgia czy Szwajcaria, Colin trochę się naszuka. Nie mówiąc już o tym „dalej na wschód”. Smarkuła niby coś mu wyjawiała, a w gruncie rzeczy stał się niewiele mądrzejszy niż wcześniej. Może należałoby pobiec za nią i zahaczyć jej starych? Z taką córuchną ani chybi czuli się osaczeni. Niewykluczone, że powiedzieliby Colinowi to i owo, byle tylko nikomu nie napomknął o wyskokach ich pociechy.

Szkopuł w tym, że prawdopodobnie także byli silnymi alfami. A trzy silne alfy to już nie przelewki... Właściwie Colin powinien w te pędy zmywać się z lasu, bo jeśli dziewczyna zmieni zdanie i jednak poskarży się rodzicom, wkrótce będzie miał na karku zajadły pościg. Ona była młoda, głupiutka, przeświadczona o swojej zdolności rozpoznawania kłamstwa - sądziła, że spotkała bratnią duszę, a udzielając Colinowi paru skromnych wskazówek, w niczym nie zaszkodziła społeczności. Cholera wie, czy jej rodzice, niewątpliwie rozsądniejsi i bardziej obcy, nie dojdą do odmiennych wniosków.

Wprawdzie Colin powątpiewał, żeby waderka zwierzyła się komuś ze swej przygody - musiałyby się przyznać do złamania wielu zasad - ale mimo to zawrócił i ruszył truchtem w stronę samochodu.

Czy powinien opowiedzieć Tin o tym spotkaniu? Zdoła w ogóle je przed nią zataić? Cholera, niewiele brakowało, a skusiłby się na dość bezpośrednią propozycję tej smarkuli. Tin zaś wyczytałaby sekret z jego myśli w pierwszej sekundzie ich kolejnego spotkania. Czy wobec tego Colin już nigdy nie będzie mógł choć rozważyć numerku z inną? Numerku, który dla ich związku nie miałby przecież znaczenia... Niestety, nie sądził, by Tin to zrozumiała. We współczesnych czasach laski albo pieklą się o zdradę, albo natychmiast domagają równouprawnienia. Colinowi nie pasowała żadna z powyższych możliwości.

Prom czy tunel? Zastanawiał się może sekundę. Nawet skromne pół godziny w zamknięciu, czterdzieści metrów pod ziemią - i pod zwałami wody morskiej - stanowczo przerastało Colina. Wolał już ponad dwa razy dłużej męczyć się na pokładzie promu. Umiał pływać, więc w razie katastrofy, dzięki wytrzymałości znacznie przekraczającej ludzkie standardy, miałby spore szanse przeżycia. Zdecydowanie większe niż w przypadku, gdyby cała woda, którą widział wokół siebie, zwała się na niego wraz z milionami ton ziemi.

Chętnie spędziłby tę noc na kontynencie, podobnie jak i dwa kolejne dni. W weekend i

tak nie dorwie Leesona, bo od Antoine'a dostał namiar tylko na jego pracę; nie widział sensu w przeprowadzaniu się na Wyspy już w piątek. Gdyby w pobliżu Calais znajdował się las z prawdziwego zdarzenia, a nie same zagajniki w rodzaju Forêt D'eperlecques (jak w ogóle można coś takiego nazwać „foret"?), Colin oparłby się naleganiom Tin na jego wcześniejszy wyjazd do Anglii. Ale lasu nie było, a on w dodatku czuł się troszkę winny, że zataił przed nią spotkanie z młodą waderką. Skupił się na łagodzeniu skutków ich kłótni, a historia o przystawiającej się do niego smarkuli wydała mu się w tym kontekście trochę nie na miejscu.

- Salisbury! - ożywiła się Tin, kiedy przed południem wspomniał, gdzie pracuje Leeson. - To tuż obok Stonehenge! Zawsze bardzo chciałam je zobaczyć... - Urwała, ale w Colinie i tak zawrzało.

Jasne, Antoine nie wyraził zgody na wycieczkę krajoznawczą. W mniemaniu tego drania Tin nie powinna oddalać się od celi z mocnymi drzwiami, nawet gdyby chodziło tylko o trzydniowy wypad tuż po pełni.

- Pokażesz mi je swoimi oczami? - poprosiła cicho. - W sobotę albo w niedzielę... Ten wypad nie zakłóci ci śledztwa?

Wiedziała, że nie zakłóci, bo Colin zdążył się jej wypowiadać ze swoich planów dotyczących Leesona. Należało trzymać gębę na kłódkę. Sęk w tym, że lubił dzielić się z Tin przemyśleniami - wszystko lepiej mu się wtedy układało w głowie.

- A da się tak zrobić? - burknął. - Żebyś widziała to, co ja?

- Jeśli zechcesz mi daną rzecz pokazać... A ja będę chciała ją zobaczyć. Skup się na tym, żeby znaleźć się obok mnie.

Znienacka stanął w jej pokoju, obok Tin - nie patrzył jej oczami, wtedy bowiem nie zobaczyłby jej samej.

- To naprawdę twój pokój? - zapytał, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu.

Nigdy u niej nie był, nie orientował się więc, czy rzeczywiście są tam pomarańczowe ściany, odsłonięte grube belki stropowe i sięgające sufitu półki z książkami naprzeciw okna. Nie wiedział też, czy Tin w tej chwili siedzi na łóżku w swojej sypialni - równie dobrze mogła przekazać mu obraz zakodowany w jej pamięci, tak jak wcześniej ukazała mu wyobrażony las z dziwnymi drzewami.

- Przekonasz się, kiedy zobaczysz go na żywo. - Uśmiechnęła się.

- Czyli co muszę zrobić, żeby ściągnąć cię do siebie?

- Chcieć, żebyś znalazła się tuż obok.

Najwidoczniej chciał tego zdecydowanie słabiej niż wcześniej ona, gdyż dopiero po dłuższych próbach zdołał sprowadzić ją do knajpy, w której akurat ładował akumulatory.

Zgoda, minionej nocy pożarł sarnę, ze skórą i kośćmi, ale od tamtej pory minęło kilkanaście godzin, a w ostatnich tygodniach autentycznie się przegłodził.

Wcale nie zachwyciła go ta nowinka. I co, odtąd miał pokazywać Tin każdą scenę, jakiej stanie się świadkiem? Każdą wdzięczącą się do niego waderkę? A jeśli czegoś nie pokaże, natychmiast wzbudzi jej podejrzenia?

Zaniepokoił się, czy kiedy Tin znajduje się tuż obok, w realnym otoczeniu, nie odczytuje przypadkiem jego myśli. Colin niczego od niej nie wychwytywał, ale najwyraźniej miał nieco skromniejsze umiejętności.

Zdecydowanie nie podobały mu się takie kontakty. Poza tym były niebezpieczne. Nawet podczas zwykłej rozmowy z Tin stawał się rozkojarzony; kiedy przeniosła go do siebie, właściwie porzucił własne ciało na pastwę losu. Gdyby do knajpy nagle wkroczył łowca, Colin dopiero po fakcie spostrzegłby, że zarobił kulkę. Znalazł zatem argument, żeby unikać tego rodzaju zabaw: prowadzi niebezpieczne śledztwo, przy którym musi zachowywać nieustanną czujność. A Tin także powinna się pilnować, przebywając pod jednym dachem z Antoine'em.

- Obejrzę dla ciebie Stonehenge - powiedział. - Ale potem, do czasu, kiedy znajdę Em, damy sobie spokój z przenoszeniem się. Nawet do twojego lasu. Głupi byłem, pozwalając sobie na podobną nieostrożność przy Albercie.

Z ulgą zszedł na ląd - to znaczy zjechał, bo oczywiście zabrał z sobą toyotę. Prawdopodobnie spędzi w Wielkiej Brytanii trochę czasu, a wynajem samochodu nieźle dałby mu po kieszeni. Poza tym polubił ten wóz, choć wcześniej nie sądził, że kiedykolwiek zapala sympatią do jakiegoś blaszaka; w ostateczności dopuszczał myśl o kabriolecie.

Do Salisbury miał ze trzy godziny drogi. Kiedy zgodził się zerknąć dla Tin na te cholerne kamienie, natychmiast wyprosiła, żeby jeszcze obejrzał salisburską katedrę, ponoć megacudny zabytek. W niektórych sprawach nigdy nie znajdują wspólnego języka.

- No dobra - mruknął Colin. - Oświeć mnie, co ma mi się tutaj podobać.

Włókł się ścieżką wzdłuż ogrodzenia otaczającego wewnętrzny krąg, w tłumie ludzi, mimo że ani pora roku, ani pogoda nie sprzyjały tego rodzaju wycieczkom. Co chwila ktoś go trącał bądź prosił o przesunięcie się w prawo lub w lewo, żeby zrobić zdjęcie. Na szczęście nikt nie kwapił się do powierzania Colinowi swojego aparatu.

- Nie czujesz się oszołomiony, obcując z czymś równie starym i tajemniczym? - zapytała Tin.

Szła obok niego, widział jej postać równie wyraźnie, jak ludzi wokół. Jak dotąd nie

odważył się spróbować jej dotknąć, nie śmiał rozwiać iluzji. Gdyby się okazało, że potrafią fizycznie odczuwać swoją obecność w jak najbardziej realnym świecie... mogliby, naturalnie ze względów bezpieczeństwa, całkowicie zrezygnować z tradycyjnych kontaktów.

- Lubisz czuć się oszołomiona dokonaniem ludzi?

- Czy sami nie jesteśmy po części ludźmi?

- Z ludzkiego punktu widzenia na pewno nie.

- Aktualnie omawiamy twój punkt widzenia.

- Czepiasz się - burknął poirytowany.

Zamilkła. Jak zwykle wygrała potyczkę. Niekiedy mogłaby sobie odpuścić.

- Poza tym spodziewałem się czegoś okazalszego - mruknął Colin. - Dla mojej opinii o Stonehenge byłoby korzystniej, gdybym pozostał przy wyobrażeniu, jakie wyrobiłem sobie na podstawie zdjęć.

- Przecież szukasz świątyni - zauważyła trzeźwo Tin. - Dawnego miejsca kultu. Czy nie powinieneś interesować się właśnie tego typu konstrukcjami? - Wskazała kamienne bloki. - Odwiedzać je choćby po to, żeby sprawdzić, czy przecucie czegoś ci nie podpowie, kiedy staniesz na świętej ziemi?

- Niby co podpowie? Że pod Stonehenge znajduje się nieodkryty dotąd system podziemnych korytarzy, w których mam szukać Em? - zakpił Colin, wściekły, że po raz kolejny Tin zabiła mu ćwieka swoim pytaniem. - Zresztą wczoraj sama się rozwodziłaś, że nie stwierdzono ostatecznie, czy to było miejsce kultu. No i akurat na Wyspach Brytyjskich nie trafisz na wiele historycznych wzmianek o społeczności.

- Ale jednak trochę się ich znajdzie, jak choćby dwunastowieczne zapiski o rodzie Ossory albo legenda o królu Arturze i Gorgolonie - zaprotestowała Tin. - To może oznaczać zarówno, że nas tutaj nie było, a te nieliczne historie przywędrowały z kontynentu, jak i że organizacja z nieznanых powodów zatarła ślady, tyle że nie dość skutecznie.

Znów miała rację. Colin nie mógł być pewien ani oficjalnej ludzkiej wiedzy, ani tego, co usłyszał na szkoleniach, zatem praktycznie każde rozwiązanie przedstawiało się równie prawdopodobnie.

Poza tym Tin nie kazała mu szukać świątyni pod słynnymi zabytkami, starannie prześwietlonymi przez rzesze naukowców. Jedynie zwracała Colinowi uwagę na możliwości, które dotąd uparcie ignorował. No bo faktycznie, skoro węszenie za świadomymi przez kilka miesięcy nie przyniosło efektu, należało zmienić strategię. Colin powinien był sam wpaść na pomysł, żeby odwiedzić parę miejsc związanych z dawnymi wierzeniami, za każdym razem nasłuchując głosu przecucia.

Potań dłońią czoło.

- W Europie moje przecucie i tak milczy - powiedział obronnym tonem.

Zauważył zdziwione spojrzenie jakiegoś turysty i uzmysłowił sobie, że odezwał się na głos.

- Pewnie wziął cię za artystę rockowego, który układa nowy tekst - skomentowała Tin z uśmiechem.

Miło, że tak postrzegala Colina. Momentalnie poprawił mu się humor.

- Może twoje przecucie domaga się pożywki? - zasugerowała Tin, na powrót poważna. - Osobiście zaczęłabym od terenów, gdzie czczono wilcze bóstwa. To znaczy bogów będących wilkami, jak Fenrir, ale też wszystkich, którzy wśród licznych przybieranych przez siebie postaci mieli wilka albo...

- Byłem w Skandynawii - wpadł jej w słowo Colin. - Wydaje się zbyt oczywistym typem. Jeśli ktoś trochę poznał społeczność, a zwłaszcza świadomych, wie, że ze wszystkich mitów i podań jedynie historie o berserkach w miarę dobrze opisują nasze cechy. Tym samym Norwegia i Szwecja znajdują się pod lupą tutejszych łowców. Trudno byłoby o bardziej niebezpieczną lokalizację dla osady, nie wspominając już o świątyni. Miałyby się znajdować w pobliżu miejsca kultu wymienianego w co drugim turystycznym przewodniku?

Tak naprawdę Colin przez te dwa państwa przemknął - spędził w nich niespełna trzy tygodnie, przy czym nawet tyle wydało mu się stratą czasu. Nie ma sensu szukać tam, gdzie oficjalnie wiodą wszystkie drogi. Danię uznał za zbyt małą na potrzeby społeczności.

- Nie bierzesz pod uwagę, że jeśli to bóstwo rzeczywiście istnieje fizycznie, jak sugerował twój stryj, przeniesienie go mogło się okazać niemożliwe - powiedziała Tin, po raz kolejny zbijając Colina z pantafyku. - Poza tym nie upieram się przecież przy Skandynawii. Pierwsze wzmianki o wikingach pojawiły się w ósmym wieku naszej ery, a wilkołaki są znacznie starsze. Tego cię uczono, ale to samo wynika z analizy różnych mitologii. Twoje bóstwo jest więc przypuszczalnie starsze niż Fenrir, czyli raczej nie w Skandynawii powinieneś go szukać. Jeśli chcesz, zrobię ci listę wszystkich terenów, gdzie występowali bogowie przybierający wilczą postać albo mający wilki w swoim otoczeniu, a także z rozmaitych powodów kojarzeni z wilkami. Mam nadzieję, że się nie mylę, zakładając, że chodzi o typowo wilcze bóstwo. Zacząłbyś od tych najstarszych i zarazem najbliższych wilkołakom...

- Całe to bóstwo jest jedną wielką bujdą dla mas - warknął poirytowany. Listy mu będzie sporządzać, przemądrzała baba!

- Dla mas? - Tin nieznacznie uniosła brwi.

No tak, mówili o pieprzonej tajemnicy, którą Colin poznał w drodze jakiegoś pierdolonego wyjątku. Znów potarł czoło.

- Czyli nalegasz, żebym zostawił sprawę kliniki...

- Czy choćby mgliście zasugerowałam coś takiego? - Tym razem Tin chyba się zdenerwowała. - Dawne miejsca kultu ci nie uciekną, usiłowałam tylko... och, sama nie wiem.

- Uważasz, że dotąd działałam bez planu - warknął.

- Że, innymi słowy, zbijałam bąki?

- A co, do cholery, robiłeś przez te wszystkie miesiące?

Autentycznie się zezłościła; dotąd nawet w jej najskrytszych myślach ani razu nie usłyszał przekleństwa. Zdziwiła go tak impulsywna reakcja. To Colin miał większe prawo się wkurzać, kiedy bez przerwy próbowała dyktować mu dalsze działania.

- Włóczył się po Europie grubo ponad rok, ale nic a nic nie zbliżyłeś się do Emily - ciągnęła z pasją Tin. - Uparłeś się, że znajdziesz świadomego ze straży, i jak ten... jak zaprogramowany robot powtarzałeś te same czynności, mimo że nie przynosiły efektu. Powiedziałabym wręcz, że kiedy tylko na horyzoncie pojawiała się drobna nadzieja na sukces, natychmiast ruszałeś w przeciwną stronę. Jednak nie miałeś do siebie pretensji, nie rzucałeś na siebie oskarżeń, że sabotujesz własne poszukiwania! A teraz, kiedy wreszcie robisz coś sensownego, w czym ja ci nie przeszkadzam, a nawet staram się pomóc, jak tylko mogę, czyli dzieląc się z tobą każdym pomysłem, jaki mi się nasunie... ty mnie bezustannie atakujesz! Zarzucasz mi, że odwracam twoją uwagę od poszukiwań, że mącą ci w głowie i zabieram cenny czas! - Była bliska płaczu. - Po co mnie wzywasz, jeśli tak nie lubisz ze mną rozmawiać?

Sterczał jak kretyn, oszołomiony jej tyradą. Przelotnie opadło go przeświadczenie, że ta rozmowa nie toczy się naprawdę, że tym razem wyobraźnia płata mu figle, a Tin w tej chwili ogląda telewizję, nieświadoma słów, jakie Colin wkłada w jej usta. Wydawała mu się osobą dość cichą, nieśmiałą, no i, mimo wszystko, ociupinkę w niego zapatrzoną... A teraz płakała.

- Lubię z tobą rozmawiać - mruknął.

- Więc dlaczego tak się do mnie odnosisz?

- Niby jak się odnoszę? - zdenerwował się znowu.

- Colin, zapewniam cię, że nie jestem delikatna - powiedziała ostro. - Ani zahukana, pozbawiona poczucia własnej wartości czy co tam jeszcze wykoncypowałeś sobie na mój temat. Ale nie noszę też pancerza, a ty... ty masz wrażliwość czołgu!

Gwałtownie zerwała kontakt, choć jej postać nadal stała na wprost Colina - niczym

tekturowa makieta. Przymknął powieki, a kiedy znów je uniósł, widział tylko turystów. I te cholerne kamienie. Z góry wiedział, że cała ta wycieczka krajoznawcza była fatalnym pomysłem.

Zatem się zakochała. Antoine'owi ulżyło, kiedy wyjaśnienie jej dziwnego zachowania okazało się równie banalne. Przemiana, której tak się obawiał, ciągle mogła w niej zająć, a wręcz niewykluczone, że została zainicjowana przez sytuację z Vernonem-Colinem, na razie jednak Tin nadal była jego niewinną dziewczynką.

Mimo to nie podobało mu się, że zataiła przed nim kontakty z młodym łowcą. Potencjalnie groziło jej wielkie niebezpieczeństwo, Antoine zaś nie miał o niczym pojęcia.

Zwierzył się Camille ze swego rozzalenia, kiedy dwa dni temu wybrał się ją ugłaskać. Czuł potrzebę rozładowania napięcia, jakie narosło w nim, gdy zadreślał się wizjami zachodzących w Tin procesów, a Camille, cokolwiek by o niej mówić, potrafiła poprawić mu nastrój. Ponadto jej babski punkt widzenia, jak również doświadczenie w wychowywaniu córek, na które tak ochoczo się powoływała, niekiedy okazywały się przydatne. Tin była wszak po części człowiekiem, nastolatką z typowymi dla nastolatek problemami, w których Antoine nieszczególnie się rozeznawał.

- Oj, kochany - westchnęła Camille, wysłuchawszy jego żalów na skrytość córki; rozumie się, nie wspomniał o zagrożeniu, jakie dla Tin oznaczał związek z łowcą. - Bardzo mi przykro, ale musisz pogodzić się z nową sytuacją. Przestałeś być najważniejszą mężczyzną jej życia.

- Okłamywała mnie - burknął.

- Zakochała się - stwierdziła łagodnie Camille, klepiąc Antoine'a po kolanie.

Kobieca logika: miłość wszystko usprawiedliwia. Zresztą nie każda zakochana dziewczyna ukrywa swoje zadurzenie przed rodzicami. Tin powinna mu była powiedzieć, zwłaszcza że chodziło o łowcę. Zarazem rozumiał, że właśnie z tego względu o niczym nie wspomniała.

Łowca. Właściwie czy Antoine zdołałby sobie wymarzyć korzystniejszy układ? Jej życiowym partnerem mógł zostać wyłącznie łowca, osoba w pełni świadoma niebezpieczeństwa. Zwykłego człowieka Tin zdołałaby omamić, tak by uwierzył, że ona jest dokładnie taką dziewczyną, jaką widać na zewnątrz, tyle że obciążoną drobną przypadłością, która objawia się w nocie pełni - wyłącznie w te trzy noce w miesiącu, kiedy indziej nie ma powodu do obaw. Łowca nie da się zwieść, pozostanie w ciągłej gotowości.

Colin udawał, że się waha, prosił o czas do namysłu, ale decyzję już podjął. Wróci.

Zauroczyła go. Antoine żywił nadzieję, że o tym, że tych dwoje młodych ludzi poczuło pociąg do siebie, przesądził przypadek - że nie było to dobrze przemyślane zagranie ze strony Tin.

Nieraz zadawał sobie pytanie, co by się z nią stało, gdyby znienacka zginął w wypadku. Usłyszawszy od lekarza, że umrze za kilka miesięcy, miałby czas na podjęcie stosownych kroków, byłaby to więc inna sytuacja. Ale wypadek? Tin pod żadnym pozorem nie mogła zostać sama. Ktoś musiał zamykać ją na czas pełni, obserwować, czy nie budzą się w niej krwiożercze instynkty. „Ktoś”. Do roli jej stróża i opiekuna nadawał się wyłącznie łowca.

Antoine unikał tego typu rozważań. Powtarzał sobie, że wypadki zdarzają się rzadko, a gdyby się okazało, że jest chory, zastanowi się, co zrobić, gdy lekarz oznajmi mu wyrok; nie wykluczał, że wówczas nie będzie już nad czym dumać. Uczepił się tego argumentu: problem właściwie nie istniał, ponieważ przemiana Tin w bestię nastąpi, kiedy Antoine nadal będzie w pełni sił witalnych.

Zarazem nie chciał tej przemiany. W świetle ostatnich wydarzeń pojął, jak bardzo pragnie, żeby nigdy do niej nie doszło.

Nie chciał śmierci Tin. Gdyby działał racjonalnie, powinien się zabezpieczyć, wręczając Dirkowi list z zastrzeżeniem, żeby Niemiec otworzył go nie wcześniej niż po tym, jak Antoine'a zabraknie wśród żywych. W liście Antoine wyjaśniłby, czym jest Tin, i poprosił dawnego towarzysza o opiekę nad dziewczyną. Podkreśliłby, żeby Dirk nie wyrządził jej krzywdy, chyba że takie rozwiązanie wydałoby mu się absolutnie konieczne. Jak postąpiłby Dirk? Zastosowałby się do wskazówki, czy też przyjął z góry, że niegdyś doświadczony łowca pozwolił się omotać cwanemu okazowi zwierzyny? Na tę decyzję Niemca Antoine nie miałby wpływu; odszedłby w spokoju, wiedząc, że zrobił, co w jego mocy, żeby chronić Tin.

Nie napisał jednak takiego listu. Po raz kolejny okazał słabość. Wolał podjąć ryzyko, że Tin zabije kilka czy kilkanaście osób, zanim dopadnie ją jeden z łowców, niż wydać dziewczynę Dirkowi. Mimo że nie wątpił, że Niemiec wstrzymałby się z otwarciem koperty do dnia śmierci dawnego towarzysza.

Niemniej Dirk odszedł pierwszy, tak więc list do niego nie rozwiązałby problemu. Z kolei każdy inny łowca przypuszczalnie od razu zapoznałby się z treścią ostatniej woli Antoine'a - i natychmiast przyjechał zlikwidować Tin.

W tym kontekście Colin jawił mu się wybawieniem. Antoine wreszcie zyskał spokój sumienia. Obecnie było ich dwóch, świadomych zagrożenia, a zarazem zdeterminowanych utrzymać Tin przy życiu. Jeśli Antoine zginie w wypadku, Colin zajmie się dziewczyną.

Chłopak się w niej zadurzył, z początku więc w tyczących jej kwestiach będzie postępować nie całkiem racjonalnie. Z czasem odzyska profesjonalne spojrzenie. I jeżeli pewnego dnia Colin postanowi zastrzelić Tin, taką decyzję podyktuje mu zdrowy rozsądek, który w relacjach z córką od dawna Antoine'a zawodził.

ROZDZIAŁ 5

- Profesor Leeson?

Mężczyzna obrzucił Colina nieprzychylnym spojrzeniem, wyraźnie niechętny odpowiadaniu na zaczepki na szpitalnym parkingu. Nadęty bufon - Colin utwierdził się w opinii, jaką wyrobił sobie na podstawie zdjęć przekazanych mu przez Antoine'a.

Leeson pracował w National Genetics Reference Laboratory - Wessex, jednym z dwóch NGRL utworzonych przed mniej więcej trzema laty przez brytyjski Wydział Zdrowia dla wspierania i koordynowania działań krajowych laboratoriów genetycznych, co z kolei miało zapewnić Wielkiej Brytanii czołowe miejsce w świecie w dziedzinie genetyki. Jako że Colin nieszczególnie interesował się tą tematyką, trudno mu było stwierdzić, czy osiągnięto cel i czy w związku z tym Leeson odczuwał satysfakcję z wykonywanej pracy. Profesorek stał na czele jednego z realizowanych przez NGRL projektów, miał się zatem niewątpliwie za ważniaka. Czy jednak mógł się poszczycić konkretnymi wynikami na poparcie tak wysokiej opinii o sobie, stanowiło odrębne pytanie.

W niedzielę Colin bez problemu odnalazł szpital w Salisbury, z którego pomieszczeń korzystało NGRL.

Kompleks budynków ulokował się w przyjemnej wiejskiej okolicy, jakieś trzy mile na południe od centrum miasta. Colin ustalił, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zostawiają swoje samochody pracownicy NGRL, a w poniedziałek od rana obserwował parking, czekając, aż pojawi się facet znany mu ze zdjęć. Postanowił kontynuować łowy mniej więcej do południa, potem zaś udać się na poszukiwanie gabinetu profesora; miał nadzieję, że tego ostatniego uniknie, wolał bowiem nie wbijać się zbyt wielu osobom w pamięć.

Jego cierpliwość została wystawiona na próbę. Wjechał na teren kompleksu szpitalnego przed siódmą, na wypadek gdyby Leeson okazał się rannym ptaszkiem. Nie okazał się. Raczył się pojawić dopiero po jedenastej, kiedy Colin zdążył pięć razy rozważyć, czy nie zmienić planu, przypuszczając atak na gabinet profesora nieco wcześniej, a także szczerze skląć siebie za to, że nie pomyślał o zabraniu wałówki. No i poprzytykać się z Tin, która zresztą nadal boczyła się na niego za wczoraj, choć to raczej Colin miał prawo czuć się urażony.

- W czym mógłbym panu pomóc? - zapytał chłodno Leeson.

- Znał pan profesora Hintermanna? - rzucił Colin.

Zdecydował się na silne uderzenie. Hintermann spanikował, uciekł do Paryża, bojąc się o własne życie - i nawet jeśli wprost nie powiedział koledze genetykowi o swych obawach, niewątpliwie sporo dało się wywnioskować z tonu jego głosu. Obecnie nie żył, a choć przyczyny jego śmierci wydawały się naturalne, okoliczności zgonu były zdecydowanie nietypowe. Gdyby Leeson był owym kolegą genetykiem, to usłyszawszy nazwisko Hintermanna z ust obcego faceta, nagabującego go na parkingu, powinien zareagować nerwowo. Jeśli nie paniką, to przynajmniej szybszym biciem serca.

Profesor tylko zmierzył Colina wyniosłym spojrzeniem.

- Nie przedstawił się pan jeszcze.

- Och, przepraszam. Jacques Clarins, studiuje w Berlinie w ramach wymiany studenckiej. - Colin od początku spotkania mówił po angielsku z silnym francuskim akcentem.

Niespecjalnie wyglądał na studenta medycyny, ale przecież nie sprecyzował kierunku studiów - mógł się kształcić na dziennikarza. Zresztą chodziło mu wyłącznie o zaobserwowanie reakcji Leesona na nazwisko nieżyjącego Niemca. Profesor się nie przejął, zatem w zasadzie Colin mógł się od razu pożegnać.

- Piszę o profesorze Hintermannie... coś w rodzaju pośmiertnego wspomnienia - ciągnął jednak, żeby nie wzbudzać podejrzeń. - Zbieram opinie osób, które go znały. Jak panu niewątpliwie wiadomo, profesor Hintermann zmarł niedawno na atak serca.

- Tak, dotarła do mnie ta smutna wiadomość - odparł beznamytnie Leeson. - Ogromnie żal, kiedy wybitny specjalista odchodzi w kwiecie wieku. - Hintermann dobiegał sześćdziesiątki, zresztą podobnie jak Leeson. - Niestety, niewiele więcej mogę o nim powiedzieć. Doskonały fachowiec, uprzejmy człowiek. Nie znałem go zbyt dobrze.

- Studiowali panowie razem.

- A tak, udało nam się to kiedyś ustalić. - Leeson uśmiechnął się bez przekonania. - Proszę napisać, że wypowiadałem się o nim w samych superlatywach. Niestety, nie znam bliżej jego naukowych dokonań.

Nie kłamał, Hintermann był dla niego zaledwie kolegą z pokrewnej branży, a w zasadzie wyrobnikiem - w przeciwieństwie do samego Leesona, naukowca. Colin wyczuwał zniecierpliwienie rozmówcy. Profesor najchętniej zbyłby go gburowato, pragnął jednakże zaprezentować się jako człowiek na poziomie, ubolewający nad śmiercią „wybitnego specjalisty”. A tak naprawdę los Hintermanna zwiślał mu i powiewał. Zapewne Leeson nie

rozumiał też, po co ktoś tłukł się z Niemiec do Anglii, żeby osobiście zadać parę banalnych pytań, które równie dobrze mógł przesłać mejlem.

- Orientuje się pan, z kim łączyły profesora Hintermanna bardziej zażyłe stosunki? - dociekał Colin.

- Doprawdy trudno mi powiedzieć. - Leeson nawet nie udał, że się zastanawia.

- Przygotowując się do tego zadania, natrafiłem na nazwiska profesora Bordera i profesora Karala - drążył Colin. - Może jednak nasuwają się panu...?

- Od profesora Karala wiele się pan już nie dowie - wpadł mu w słowo Leeson, nie kryjąc dłużej zniecierpliwienia. - Tydzień... nie, dwa tygodnie temu zginął w wypadku samochodowym. Doprawdy, wielka strata dla nauki...

- Zginął w wypadku? - przerwał mu Colin.

- Tak, zginął w wypadku. - Leeson powtórzył tę informację takim tonem, jakby w podtekście pytał, czy powinien ją rozmówcy zapisać.

- Ach. Bardzo przykre.

- Tak, przykre. Proszę spróbować u profesora Bordera. Ja doprawdy w niczym więcej panu nie pomogę.

Colin wracał do wozu odrobinę skołowany. Karal zginął w wypadku, pozostawało mu zatem przepytac Bordera, od którego dowie się także jedynie tego, że z Hintermanna był doskonały fachowiec. Później zabierze się do drugiej listy Antoine'a, z podobnym skutkiem. Kiedy i na niej skończą się nazwiska, Colinowi pozostanie stanąć przed Francuzem, z informacją, że niczego nie zdołał ustalić.

Usiadł za kółkiem i odpalił silnik. Chwila. Coś kulawo u niego ze zdrowym rozsądkiem. Po cholere miał się pchać do Bordera, skoro Karal bez wątplenia nie żył z powodu swoich związków z Hintermannem? Jeśli gdziekolwiek pozostał jakiś trop, to tylko w Dundee, w prywatnym laboratorium, gdzie pracował Karal. Dwa tygodnie. Istniała skromna szansa, że jeśli Karal podzielił się z kimś otrzymanymi od niemieckiego kolegi informacjami, ta osoba nadal żyje.

Z drugiej strony, wypadki samochodowe się zdarzają. Zaistniałby niezwykle zbieg okoliczności, ale... Colin zbluzgał się w duchu za szukanie racjonalnych wytłumaczeń. Jakby starał się przekonać sam siebie, że nie warto tłuc się do Dundee. Tin słusznie mu zarzucała, że sabotował własne poszukiwania. A potem zwał na nią winę za swój marazm. Cholera, był przeświadczony, że w Szkocji czekają na niego upragnione odpowiedzi.

Przeświadczony. Ze sporym opóźnieniem Colin uzmysłowił sobie, że wreszcie, po długiej przerwie, odezwało się w nim przecucie. Och, tak, odkąd poznał Tin, niejednokrotnie

zastanawiał się, czy dana myśl nie zrodziła się w jego głowie właśnie wskutek podszeptu przeczucia; wręcz usiłował wmówić sobie, że tak było. Obecnie pojął, że wcześniej wyrażał jedynie swe pobożne życzenia.

Zjechał na pobocze, żeby zaprogramować GPS. Przeczucie wysyłało go do Dundee, nie mógł zatem dłużej upierać się przy opinii, że przypuszczenia Alberta są wymysłami szaleńca. Za sprawą Hintermanna stała organizacja, a Colin, podążając tym śladem, miał szansę dotrzeć do kapłanów - i do siostry.

Przeczucie wróciło! Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo brakowało mu tych podszeptów. Bez nich czuł się zagubiony - pewnie dlatego tak się miotał, co rusz podejmując nowy trop, by szybko go porzucić.

Zapragnął podzielić się tym z Tin.

- Cieszę się - odpowiedziała od razu, ale jakoś cicho, niewyraźnie.

No tak, rano się pokłócili, a w zasadzie kontynuowali kłótnię z niedzieli; niekiedy Colinowi trudno się było rozeznąć.

- Słuchaj...

- Właśnie jemy lunch - przerwała mu. - Nie zdołam rozmawiać jednocześnie z tobą i z tatą.

Colin zacisnął zęby. Dała mu odprawę. Nieistotne, że Antoine zamykał ją w mrocznej celi i w myślach nazywał bestią. W mniemaniu Tin odnosił się do niej lepiej niż Colin.

Ruszył z piskiem opon, ale po krótkiej chwili zdjął nogę z gazu. Naskakiwał na Tin, bo mówiła mu w oczy nieprzyjemną prawdę. Zarzucał jej złą wolę, choć kierowała się troską o niego. Po prostu nie potrafił zdzierżyć, że ona uważa go za kompletnego idiotę, nieudacznika, który, pozbawiony podszeptów przeczucia, kręci się w kółko jak pies goniący za własnym ogonem.

- Nie uważam cię za nieudacznika.

- Szpiegowałeś moje myśli?! - wybuchł, mimo że przed sekundą wyrzucał sobie, że traktuje Tin niesprawiedliwie.

- Nie, znowu krzyczałeś.

- Nie krzyczałem - warknął. - Już zjadłaś?

- Wyszłam do ubikacji. Colin, zastanawiałam się nad tym. Wczoraj mówiłam w gniewie, ale kiedy dzisiaj rozważyłam tę kwestię raz jeszcze, na chłodno... Nie wkurzaj się, tylko spróbuj spojrzeć obiektywnie na te kilkanaście miesięcy, które spędziłeś w Europie. Z tego, co mi opowiadałeś... no, nie wiem, zachowywałeś się trochę jak ktoś pogrążony we śnie.

- Śnięty? - podsunął jadownicę.

- Otumaniony. - Nie dała się sprowokować. - Usiłuję ci powiedzieć, że ty, jakiego cię znam osobiście, wydajesz mi się zupełnie inny od faceta, który ukazuje się w twoich relacjach z okresu po przylocie do Europy. Działałeś... chaotycznie. Im większe nadzieje rokował dany trop, tym chętniej szukałeś powodów, żeby natychmiast ruszyć gdzie indziej. Nawet w Valmorel... Odnoszę wrażenie, że pojechałeś z Albertem nie dlatego, że jego śledztwo wydało ci się bardziej obiecujące, ale dlatego, że właśnie od obiecującego przypadku próbowałeś uciec. Obecnie jesteś ożywiony, działasz, choć nadal miewasz chwile, gdy wynajdujesz argumenty...

- Czy mogłabyś...? - wycodził.

- Już prawie skończyłam - przerwała mu. - Colin, ja nie wygłaszam teraz mowy oskarżycielskiej. Wierzę, że chcesz odnaleźć siostrę. I dlatego uważam, że istnieją powody, niezależne od ciebie, dla których do niedawna postępowałeś... niezbyt racjonalnie. Nie złość się, nie wrzeszcz na mnie, ale zwyczajnie się nad tym zastanów.

Do Dundee przyjechał późnym wieczorem. Zastanawiał się po drodze, a jakże. Zatem jednak miała Colina za kompletnego kretyna i nieudacznika, tyle że poinformowała go o tym w szalenie zawaolowany sposób.

Chociaż... fakt, sam nie pojmował, jak mógł tak... przebimbać te wszystkie miesiące. Jeździł w okolice, gdzie zaatakowało zwierzę, choć często już na podstawie treści prasowego komunikatu orientował się, że za zdarzeniem nie stoi nieświadomy, a europejska straż niewątpliwie także dostrzegła tę oczywistość. Mimo to tracił czas w podróży. Kiedy natomiast uderzenie nieświadomego wydawało się dość prawdopodobne, Colin wynajdywał tysiące powodów, żeby opóźnić swój przyjazd w dane miejsce.

Ostatecznie jednak poznał Alberta i trafił na sprawę kliniki. Cokolwiek Tin mówiła na temat motywów, dla których Colin przyłączył się do Włocha, to właśnie dzięki tej decyzji znalazł się wreszcie na właściwej drodze.

Niewykluczone zatem, że w minionych miesiącach jedynie na pozór snuł się bez sensu, podczas gdy w rzeczywistości niezauważalnie sterowało nim przecucie, żeby w końcu zetknąć go z Albertem. No bo czego Colin by się dowiedział od członków europejskiej straży? Albo nawet od lidera tutejszej gałęzi organizacji? Osiągnąłby co najwyżej tyle, że by go zgarnięto lub wręcz zlikwidowano jako potencjalne zagrożenie dla społeczności. Warto było poczekać na sprawę kliniki, jeżeli bowiem za podmienianie zarodków w Kohlenbogen odpowiadała organizacja, tak tajną i ważną operacją ani chybi kierował ktoś z samej góry - jeśli nie kapłan, to osoba ze stałym dostępem do włodarzy organizacji.

Natomiast Tin... Tin starała się odwrócić uwagę Colina od kliniki. Oburzała się na jego zarzuty, odgrywała urażoną niewinność, niby to jedynie podsuwając mu pomysły na później, ale w efekcie Colin co chwila rozmyślał o wyprawie do Skandynawii, zamiast skupić się na tajemniczej śmierci profesora Karala.

GPS sprawnie zaprowadził go pod laboratorium. No, w tym przypadku Tin rzeczywiście okazała się pomocna: od Antoine'a Colin otrzymał ogólną informację o miejscu pracy Karala, ona ustaliła adres. Parterowy, niesymetryczny biały budynek stał blisko centrum miasta, w sąsiedztwie wysokich kanciastych bloków mieszkalnych i zdecydowanie przyjemniejszych dla oka czteropiętrowych czynszówek.

W laboratorium zajmowano się badaniami nad mukowiscydozą, a konkretnie szukano genetycznej metody leczenia tej choroby. To znaczy - Karal szukał, jako że był jedynym liczącym się naukowcem w tym niewielkim ośrodku, finansowanym przez prywatną firmę. Na temat tej ostatniej Tin niewiele znalazła. Niewątpliwie chodziło o czysto komercyjne przedsięwzięcie; ewentualnie dziecko jakiegoś milionera urodziło się chore, a facet postanowił dyskretnie wziąć sprawę w swoje ręce. W każdym razie w oczach takiego Leesona profesor Karal z pewnością się zaprzedał.

Colina ciekawiło, jak zespół Karala radzi sobie bez niego. Profesor rzeczywiście był tu pierwszym mózgiem czy tylko figurantem, za którego całą robotę odwalali asystenci? Dochodziła jedenasta wieczorem, o tej porze oczywiście nikt już nie pracował, jednak budynek nie wyglądał na opuszczony - można było dostrzec błądy poblask zapalonego gdzieś w głębi światła: zapewne strażnik pilnował naukowych dokonań przed zakusami konkurencji. Cóż, dwa tygodnie po śmierci przełożonego pozostali mogli nadal związać interes. Względnie czekali, aż sponsor zatrudni kogoś na miejsce Karala.

Opuściwszy boczną szybę, Colin wciągnął nosem powietrze. Nie wyniuchał choćby ulotnej woni świadomego, ale to o niczym nie świadczyło.

Alberto przypuszczał, że organizacja obserwuje klinikę w Kohlenbogen, żeby się przekonać, czy Hintermann lub Dirk podzielili się swoimi odkryciami z kimś jeszcze. Jeżeli Karal był brytyjskim kontaktem Hintermanna i z tego powodu został wykończony, należało przyjąć, że także tutejsze laboratorium znajduje się pod lupą organizacji. Miano oko na wszystkich pracowników, a przy okazji także na osoby, które spróbują nawiązać z nimi kontakt.

Do zadania oddelegowano agenta służb specjalnych organizacji - oficjalnie nieistniejących - które przyjmują w swe szeregi wyłącznie bardzo utalentowane, a zatem także świetnie się maskujące alfy. Colin nie miał szans zwęszyć takiego osobnika; jedynym

sposobem nawiązania kontaktu z rzeczonym typkiem wydawało się ściągnięcie na siebie jego uwagi.

Jasne, początkowo Colin podchodził sceptycznie do założenia, że za tajne działania w Kohlenbogen odpowiada organizacja, ale sytuacja uległa zmianie, skoro do Dundee wysłało go przecucie. Przekaz ewidentnie dotyczył zasadniczych poszukiwań Colina - poszukiwań Emily - nie zaś sprawy kliniki jako takiej. Jeśli operacja była na tyle tajna, że nie chcieli angażować w nią nikogo spoza ich wąskiego grona, Colin mógł wręcz wpaść tu na jednego z kapłanów.

Tak czy owak, powinien działać jawnie. Nie nachalnie, żeby ów agent czy kapłan nie nabral podejrzeń, ale też bez przesadnych środków ostrożności - jak człowiek, który przyjechał tutaj na przeszpiegi, nie wiedząc, w jak poważną aferę wdepnął.

Nasłuchiwał głosu przecucia, pełen nadziei, że usłyszy kolejną odpowiedź. Niestety, milczało. Miał nadzieję, że nie opuściło go na kolejny rok z hakiem.

- Tin? - zapytał w myślach. - Śpisz już?

We Francji dochodziła północ, ale na szczęście Tin nie spała.

- Jestem w Dundee - poinformował ją.

Ktoś powiedziałby, że w kontekście ogarniających Colina raz po raz podejrzeń wtajemniczenie Tin w szczegóły śledztwa i plany dotyczące jego kolejnych posunięć wydaje się nierozsądne. Jednakże... Colin nie zdołałby zaprzeczyć, że Tin pomaga mu ogarnąć sytuację. Miewała odkrywcze pomysły, a on z kolei zyskiwał okazję, żeby spojrzeć chłodnym okiem na własne koncepcje. Jeśli opowiadając jej, na jakie genialne rozwiązanie przed chwilą wpadł, zaczynał czuć się jak krety, najwyraźniej z tą genialnością było ciut nietęgo - i lepiej, że nie przekonywał się o tym w praktyce.

- Tobie przecucie niczego nie podpowiada? - zapytał z nadzieją.

Stali się ze sobą tak mocno związani, że Colina nie zdziwiłoby, gdyby Tin, mimo tysięcy dzielących ich kilometrów, otrzymała od przecucia wskazówki odnośnie do prowadzonego przezeń śledztwa.

- Moje przecucia różnią się od twoich - odparła. - Dotyczą... zdarzeń, które aktualnie się rozgrywają.

- Co to za przecucie? - prychnął Colin, zawiedziony. Nagle obudziła się w nim podejrzliwość. - Czy nie twierdziłaś, że przecułaś spotkanie ze mną?

- Nie tak, jak zakładasz - odparła bez irytacji, choć w podtekście znów zarzucił jej kłamstwo. - Wyobraź sobie, że spotykam chłopaka. Podoba mi się, bawi mnie jego poczucie humoru, mamy zbliżone poglądy na życie. Widzę też, że wpadłam mu w oko. Na pozór

zostały spełnione wszystkie warunki, żebym się nim poważnie zainteresowała. Ale w chwili, gdy zamierzam zrobić pierwszy krok, wewnętrzny głos informuje mnie, że to nie ten. Jeśli tego rodzaju sytuacja się powtarza, mogę domniemywać, że przecucie każe mi na kogoś czekać. A także, że któregoś dnia powie mi: „To ten właściwy”.

- Ile razy się to zdarzało? - wyrwało się Colinowi.

Domyślił się, że Tin się uśmiecha. Rzeczywiście, szalenie zabawne! Z chęcią rozszarpałby każdego z tych bliskich ideału palantów, którzy niemal mu ją odebrali. Czy żałowała? Porównywała Colina z tamtymi i przeklinała los, że kazał jej związać się właśnie z nim?

- Ze śledztwem jest tak samo - ciągnęła Tin, pozostawiając jego pytanie bez odpowiedzi. - Dopiero kiedy byś się włamał do laboratorium, mogłabym stwierdzić, czy postąpiłeś słusznie, oczywiście pod warunkiem, że moje przecucie w ogóle miałyby coś do powiedzenia na ten temat.

- Trochę późno, delikatnie mówiąc - skomentował sceptycznie.

- Niekiedy więcej nie trzeba. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że lepiej zrobisz, gdy otwarcie nawiądziesz kontakt z asystentką Karala, posiłkując się jakąś nową bajeczką.

- Dlaczego nową? - obruszył się. Najpierw Tin wytykała mu, że jej przecucia przynajmniej wymagają od niej myślenia, podczas gdy Colin biernie czeka na sugestię, co powinien zrobić, a teraz na dokładkę czepiała się jego historyjki. - Co ci się nie podobało w poprzedniej? Na Leesonie się sprawdziła.

- Mhm... Jak na studenta medycyny czy, dajmy na to, biotechnologii masz nieco skromne informacje z... no, nie tylko genetyki, ale ogólnie, biologii - wyjaśniła, płacząc się, jako że wyraźnie starała się Colina nie urazić. - Z kolei przyszły dziennikarz wybrałby postać bardziej medialną niż Hintermann. Poza tym... - Zawahała się.

- Tak? - Colin usiłował nie warczeć.

- Natknęłam się na parę wzmianek o asystentce Karala. Padło w nich określenie „młoda”, ale w świecie nauki to oznacza niekiedy i czterdzieści lat. Podając się za studenta, będziesz dla niej mniej atrakcyjny... niż facet po trzydziestce, zajmujący się... no nie wiem, na przykład zbierający informacje o Karalu na prośbę dawnej ukochanej profesora? Chodzi mi o to, że... że takiej pani naukowiec student wyda się zbyt niedojrzały. A moim zdaniem pomogłoby ci, gdybyś ją poderwał.

Tak szybko przemknęła do kwestii podrywania, jakby zależało jej, żeby Colin nie wziął do siebie uwagi na temat niedojrzałości studentów. Psiakrew, dlaczego sądziła, że

mógłby poczuć się nią dotknięty?

- Opowiedziałbyś jej o młodzieńczej miłości profesora - entuzjazmowała się tymczasem Tin. - Jak to w kobiecie odżyły wspomnienia, gdy przeczytała o wypadku Karala, tak że zapagnęła się dowiedzieć, jak potoczyły się jego losy. Nie wypadało jej, jako szczęśliwej żonie i matce, zająć się tym osobiście, dlatego zleciła zadanie tobie. Bardzo romantyczny powód...

- A jeśli ta asystentka... sypiała z Karalem? - W rozmowie z Tin „pieprzyła się” nie przeszło Colinowi przez gardło. - Raczej nie zaskarbię sobie jej względów tego rodzaju historyjką.

W ogóle co za kretyński pomysł! Niby dlaczego nie mógł przedstawić się jako, na przykład, prywatny detektyw, badający sprawę śmierci Hintermanna? Nie widział siebie w romantycznej misji. Młodzieńcza miłość! Na zdjęciach w necie Karal nie wyglądał na amanta, ani nawet na faceta, z którym kobieta ma szansę interesująco spędzić czas.

- Niekoniecznie - zaproponowała Tin. - Jeśli go kochała... powinno ją ucieszyć, że znalazła się osoba, której zależało na samym Karalu, a nie tylko na jego pieniądzach.

- Proszę?

- Mówię o artykule na temat jego śmierci... Ach, no tak, nie miałeś kiedy przeczytać. Karal pragnął zostać pochowany w Turcji, o czym nieraz wspominał. Nie zostawił jednak testamentu, w którym stawałby taki warunek otrzymania spadku po nim. Nikt z rodziny nie kwapił się do załatwienia formalności, więc Karala skremowano i prochy pochowano tutaj. Ale po jego oszczędności natychmiast ktoś się zgłosił.

- Jak to ludzie - mruknął Colin.

Doceniał to jej „nie miałeś kiedy przeczytać”. Przesłała mu linki na pocztę elektroniczną, ale nawet nie chciało mu się do niej zaglądać. Czas by się znalazł...

- Jedni są lepsi, drudzy gorsi - powiedziała Tin. - Podobnie jak w społeczności.

- My nikogo nie zostawiamy obcym.

- Tak, palicie ich sami.

- Jesteś jedną z nas - przypomniał jej. Irytowała go tym dystansowaniem się od społeczności, ilekroć rozmawiali o kwestiach innych niż wrodzone cechy świadomych.

- Ja nikogo nie palę - rzuciła ostro.

- Tin, to nie jest kwestia wyboru. Tak jak nie ty zdecydowałaś, że urodzisz się świadomą, tak też, będąc nią, musisz przestrzegać obowiązujących w społeczności zasad. Zgoda, nie wszystkich, ale...

- Powiedział ten, który wyboru dokonał - przerwała mu.

- Fakt, zbuntowałem się. Jednakże... walczę przeciw organizacji, nie przeciw społeczności. Nie zamierzam robić niczego, co by zaszkodziło tej drugiej. Tymczasem w zasadach chodzi przede wszystkim o zachowanie naszego istnienia w tajemnicy.

- Dlaczego więc angażujesz się w to śledztwo? - zapytała rzeczowo. - Biorąc pod uwagę, jak obsesyjnie wszystko utajniacie, wątpię, żeby agent oddelegowany do zabicia Karala i namierzenia ewentualnych ciekawskich w ogóle wiedział o istnieniu kapłanów. Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że swoimi działaniami, przy współpracy z Albertem i moim tatą, narazisz społeczność na poważne kłopoty!

- Ach, znowu próbujesz mnie zniechęcić...

- Nie, Colin, próbuję ci uzmysłwić, że jesteś hipokrytą, kiedy tak uparcie występujesz w obronie waszych świętych zasad.

Przez chwilę sądził, że po wygłoszeniu tego komentarza Tin zniknie, jak podczas zwiedzania Stonehenge, ale tylko zamilkła gniewnie. Psiakrew, co ją dzisiaj ugryzło? Colin co prawda nie uważał się za eksperta w kwestii relacji między zakochanymi, sądził jednak zawsze, że na tak wczesnym etapie związku układają się one słodko i bez zgrzytów.

- Dobra, nic tu dzisiaj po mnie - mruknął. - Poszukam noclegu, a jutro z rana uderzę do tej asystentki.

- Znalazłam ci tani hotel. Ale żebyś mi znowu nie zarzucił, że tobą manipuluję.

No właśnie. Colin się nie czepiał, że wyzwała go od hipokrytów. Jemu raz wymknęła się krytyczna uwaga i do końca życia będzie słuchał komentarzy na ten temat.

Asystentka Karala, Eileen Laing, była niebrzydka, krótko ostrzyżoną brunetką o nieco mrocznej urodzie - takie refleksje nasunęły się Colinowi na podstawie jedyne, niezbyt wyraźnego zdjęcia, jakie odkrył w materiałach przesłanych mu przez Tin. Siedział przy komputerze do trzeciej w nocy, bo jednak ruszyło go tamto jej „nie miałeś czasu przeczytać”. Na pewno pomyślała sobie coś całkiem innego. Swoją drogą, dziewczyna odwaliła kawał niezłej roboty. Colin nie przepadał za szperaniem w sieci; kiedy skakał ze strony na stronę, często tracił z oczu główny cel poszukiwań, tak więc zgromadzenie informacji o Karalu i jego współpracownikach zajęłoby mu kupę czasu.

Rano, to znaczy krótko po jedenastej, wybrał się do kliniki. Zaparkował przed budynkiem. Nie było tu parkingu z prawdziwego zdarzenia, samochody pracowników tłoczyły się beładnie przy ogrodzeniu. Za płotem nie wystarczyłoby miejsca nawet na jeden wóz.

Dyskretnie wciągnął nosem powietrze, ale znów nie wywęszył świadomego. Jeśli

laboratorium znajdowało się pod obserwacją, Colin powinien właśnie zostać zauważony.

Eileen Laing zgodziła się bez większych oporów zjeść z nim lunch na mieście, ale dopiero po dwunastej, tak więc Colin musiał swoje odczekać. Przespacerował się po okolicy, nadal żywiąc cichą nadzieję, że przysłany tu świadomy okaże się niezbyt dobry w sztuce kamuflażu. Cichą i, niestety, płonną.

Na żywo asystentka Karala także prezentowała się niczego sobie, choć jak na gust Colina była stanowczo zbyt sztywna. Typ naukowca, który na facetów bez minimum doktoratu spogląda z góry. Babce stuknęła co najmniej trzydziestka, dobrze więc, że Colin nie próbował odgrywać przy niej studenta. Zamiast tego opowiadał jej romantyczną bajeczkę o dawnej miłości Karala.

- Jaki ze mnie romantyk? - zaprotestował minionego wieczoru, kiedy już wziął pokój we wskazanym przez Tin hotelu.

- Żaden - zgodziła się Tin skwapliwie. Cholernie skwapliwie. - Natomiast spokojnie wyglądasz na faceta, który ceni sobie swobodę i z chęcią zarobi w mało skomplikowany sposób pieniądze na dalszą włóczęgę. Panią X spotkałeś, kiedy spędzała wakacje w Hiszpanii, gdzie dorabiałeś sobie jako kelner. Polubiła cię, poprosiła o przysługę. Jako facet honorowy nie masz nic przeciw łatwym pieniądzom, pod warunkiem, że uczciwie na nie zapracujesz. Dlatego, mimo że wypytywanie o martwego gościa, w którym babka była zakochana cztery dekady temu, wydaje ci się szczytem głupoty, zamierzasz przyłożyć się do zadania.

- A jeśli tego nie chwyci?

- Wtedy zawsze możesz wyjawic jej w wielkiej tajemnicy, że na zlecenie anonimowego prywatnego mocodawcy badasz sprawę śmierci profesora Hintermanna.

Eileen nie kupiła jego historyjki. Inna sprawa, że im dłużej Colin z nią rozmawiał, tym trudniej było mu uwierzyć, że istniała opowiadka, która poskutkowałaby w jej przypadku. Gdyby oznajmił, że jest prywatnym detektywem, Eileen spojrzalaby na niego z tą samą chłodną kpina i wykazała jeszcze mniejszą skłonność do współpracy. Obecnie Colin prosił ją o miłe wspomnienia na temat Karala, zatem przyzwoitość nakazywała powiedzieć o zmarłym kilka ciepłych słów. Gdyby się wychylił z informacją, że prowadzi śledztwo, posłałaby go w diabły, po czym udała się ze stosownym doniesieniem na policję.

Z relacji Eileen profesor Karal wyłaniał się jako typ równie sztywniacki i bezpłciowy jak ona. Praca, praca, praca. Jeśli miał w Turcji życie prywatne, nie przeniósł go na grunt brytyjski. Studiował medycynę w Wielkiej Brytanii, na kilka lat wrócił do ojczyzny, a potem otrzymał propozycję od dawnego wykładowcy i ostatecznie został na Wyspach, stopniowo porzucając immunologię na rzecz genetyki. Tyle Colin tak czy siak wiedział dzięki linkom,

które podesłała mu Tin. Z Hintermannem zbliżyło Karala swego czasu zainteresowanie mukowiscydozą, napisali nawet wspólnie kilka artykułów na ten temat. Colin nie zamierzał jednak wprost pytać tej suki o związki Karala z Niemcem. Od razu nabrałaby podejrzeń.

- Z kim jeszcze mógłbym porozmawiać o panu profesorze? - zapytał Colin. - Chodzi mi o jego przyjaciół tu, w Dundee, ale także w innych... instytucjach, na uczelniach, zarówno w kraju, jak i za granicą.

Eileen wzruszyła ramionami. Jadła równie bezbarwnie, jak mówiła. Miarowo, kęs za kęsem, jakby z zegarkiem w ręku odmierzała czas pomiędzy kolejnymi ruchami noża i widelca.

- Profesor Karal nie zwierzał mi się ze swoich kontaktów towarzyskich na stopie prywatnej - odparła. - Nie zamierza pan chyba nagabywać poważnych ludzi o życie uczuciowe ich kolegi?

Przez chwilę Colin miał chęć cisnąć jej w twarz nazwisko Hintermanna i obserwować reakcję. Powstrzymał się: ustalił już, że to nie najlepszy pomysł.

- Co pani robi dziś wieczorem? - zapytał zamiast tego.

Spojrzała na niego chłodno.

- Profesor Karal pozostawił wiele niedokończonych spraw, tak więc zwykle pracuję do późna.

Zaklął w duchu. Co się stało? Przeważnie na Colina leciały nawet laski na pozór zimne jak lód, i to bez najmniejszych zabiegów z jego strony. Czyżby Tin jakoś go oznaczyła, tak że przestał pociągać inne kobiety? Na tamtą waderkę wprowadził podziałał, ale to była młódka, pewnie napalała się na co drugiego basiora.

- Kto jeszcze mógłby mi udzielić informacji? - zmienił temat. - Pytam teraz o pracowników laboratorium. Zakładam, że pani знаła profesora najlepiej...

- Panie Bell, moi współpracownicy mają ważniejsze sprawy niż zaspokajanie fanaberii niespełnionej znajomej profesora Karala - przerwała mu Eileen, starannie układając sztucce na godzinie piątej. - Proszę zabierać czas komuś innemu.

Wstała i pożegnała się lodowato, nie pozostawiając Colinowi najmniejszych złudzeń co do tego, czy chce go ponownie oglądać.

Co za...

Zmełł w ustach przekleństwo, regulując rachunek za lunch. Raczyła poświęcić Colinowi swój cenny czas, za który w jej mniemaniu posiłek stanowił niewielką rekompensatę.

Pokrótkie zrelacjonował Tin przebieg spotkania, z trudem powstrzymując się od

komentarza: „Na tyle zdał się twój plan”.

Cóż, ona przynajmniej jakiś ułożyła.

Cokolwiek Eileen Laing sądziła na temat zawracania głowy pracownikom laboratorium, Colin nie robił niczego niezgodnego z prawem. Suka nie miała podstaw, żeby poskarżyć się komuś na intruza, nagabującego poważnych ludzi, jeśli tylko Colin zachowa w nagabywaniu jaki taki umiar.

Pod koniec dnia roboczego kręcił się więc pod laboratorium, żeby wyhaczyć kolejną osobę - dziewczynę z recepcji, która przed południem odniosła się do niego ze sporą dozą sympatii. Młodziutka, trzpiotowata, niewątpliwie miała ograniczone pojęcie na temat prowadzonych w laboratorium badań nad mukowiscydozą, mogła się natomiast dobrze orientować w relacjach personalnych, a zwłaszcza opisać Colinowi, w jakim nastroju był Karal w ostatnich dniach swego życia.

- Ach! - Blondyneczka zmierzyła go spojrzeniem, uśmiechając się od ucha do ucha. - To ty chciałeś porozmawiać z panną Laing o panu profesorze! Jestem Becky.

Podala mu dłoń, radosna i bezpośrednia. Domyślił się, że przed chwilą szacowała, czy warto poświęcić Colinowi godzinę lub dwie - oraz że test wypadł na jego korzyść. Miło wiedzieć, że jednak nie stracił samczego magnetyzmu. Czyżby Eileen wołała dziewczynki? Albo w ogóle nie pozwalała sobie na tak przyziemne rozrywki.

Szybko powtórzył historyjkę o dawnej miłości Karala; zresztą Becky słyszała, jak przedstawiał Eileen swoją sprawę.

- Masz chwilę? - zapytał. - Zjadłabyś ze mną kolację? Pogadalibyśmy...

- Jasne. - Rozpromieniła się w uśmiechu. - Znam zarąbistą włoską knajpę, tu niedaleko, na Commercial Street. Tylko się odświeżę i spróbuję zrobić rezerwację. Mieszkam trzy minutki spacerkiem stąd.

Jęknął w duchu. Makarony i pizze szczególnie mu leżały. No, ale trzeba się poświęcać dla zdobycia informacji.

- To najlepsza knajpa w mieście - oświadczyła Becky konspiracyjnym szeptem, kiedy usiedli w restauracji. - Cud, że udało mi się dostać stolik. Zdasz się na mnie przy wyborze? Polecam ci *pennette al cartoccio*, palce lizać. Makaron smażony z owocami morza. Lubisz owoce morza?

- Tak w zasadzie... - zaczął, ale poddał się, kiedy Becky podniosła na niego pełen nadziei wzrok. - W zasadzie to bardzo - zapewnił z uśmiechem.

Owoce morza, psiakrew.

- Super. Nie będziesz żałował. Specjalizują się w przyrządzaniu lokalnych produktów na włoską modłę. Mówię ci, palce lizać.

Cieszyła się jak dziecko na tę wyżerkę; Colin miał nadzieję, że ta wyprawa mu się opłaci. Mało, że czekała go konsumpcja cuchnących rybą świństw, to jeszcze „najlepsza restauracja w mieście” nie zaliczała się, oczywiście, do najtańszych.

- Wyjątkowa z niej jędza - oświadczyła Becky, kiedy Colin streścił jej przebieg rozmowy z Eileen. - Drugiej takiej ze świecą szukać.

- Z Karalem się dogadywali?

Becky wzruszyła ramionami, przeżuując z zapałem.

- Na to wychodzi, chociaż nie pojmuję, jak on zdołał tyle z babą wytrzymać. Ale nie, do niego Eileen ćwierkała, kapujesz, „panie profesorze to” i „panie profesorze tamto”. W dupę mu włożyła. Potem się odgrywała na pozostałych, wielka pani naukowiec. No, ale Karal też nie był sympatycznym gościem. Szczerze, ta twoja facetka by się rozczarowała. Chyba że sama jest sztywna jak podeszwa w traperach.

- Znali się dawno temu, pewnie się zmienił. Wprawdzie pisał do niej listy, bardzo rzadko, ale jednak... Widocznie wypadł w nich korzystnie. - Colin wymyślił ten szczegółlik na poczekaniu. Zamierzał zagadnąć Becky o Hintermanna, a jeszcze nie zdecydował, jak wprowadzi do rozmowy nazwisko Niemca. Czemu nie jako pojawiające się w listach Karala do jego dawnej miłości?

- Racja, niekiedy łatwiej kochać wyobrażenie o danej osobie niż ją samą - oznajmiła Becky. - Wspomnienie miłości platonicznej ma większe szanse przetrwać niż tej spełnionej, kiedy niewiele pozostaje dla wyobraźni.

Colinowi nie przypadły do gustu te jej filozoficzne rozważania. Czy Tin przypadkiem nie wolałaby, żeby pozostał na zawsze wyobrażeniem o idealnym kochanku, na którego przecucie każe jej czekać?

- Jaki był Karal? - zapytał. - Taki całkiem nieromantyczny?

- Rozkojarzony - odparła z przekąsem Becky. - Nie w taki pocieszny sposób, jak się przedstawia naukowców, kapujesz, dwie różne skarpetki, buty bez sznurówek, koszulka na lewą stronę. On zwyczajnie nie miał pamięci do personaliów. W pierwszych dniach to bym zrozumiała, ale ja tam już, kurczę, dziewięć miesięcy siedzę w recepcji, a on do samego końca co chwila wyjeżdżał z tekstem: „Proszę mi przypomnieć swoje imię”. Więc chyba coś z nim było niehalo, nie? Jakoś nie zauważyłam, żeby mu się zdarzały takie luki w pamięci, kiedy rozmawiał z innymi naukowcami. Kurczę, nas w laboratorium pracuje siedemnaście osób. I co, mojego imienia nie zdołał sobie zakodować?

- Czyli nadęty dupek? Wolałbym tego nie pisać. Przychodzi ci do głowy sytuacja, kiedy Karal pokazał ludzką twarz?

Becky popukała się zębami widelca w dolną wargę. Usiłowała przypomnieć sobie takie wydarzenie czy też je wymyślić, żeby usatysfakcjonować rozmówcę? Gdyby Colin faktycznie układał laurkę dla zakochanej kobiety, powinno mu być wszystko jedno.

- Ach, na przykład trzy miesiące temu... - Becky zaczęła opowiadać o narodzinach dziecka jednego z pracowników.

Zasadniczo nie mijała się z prawdą, nieco tylko koloryzowała. Inna sprawa, że Becky wydawała się osobą o dość swobodnym podejściu do faktów.

- Miał przyjaciół? - zapytał Colin, wysłuchawszy dwóch kolejnych historyjek, w których, mimo szczerych chęci dziewczyny, Karal nadal jawił się jako dupek pierwszej wody.

- Albo przynajmniej bliskich znajomych? Kogoś, z kim mógłbym pogadać tutaj, w Dundee?

Po raz kolejny wzruszyła ramionami.

- Kurczę, towarzyski to on nie był. Pycha, co? - Wskazała pusty talerz przed sobą; Colin nieco się guzdrał ze swoją porcją. - Machniemy jeszcze deser?

- Jasne. - Zmusił się do uśmiechu. - A zawodowo z kimś się przyjaźnił?

Eileen wymknęło się nazwisko...

Colin przewertował notes, w którym dla zachowania pozorów zapisywał podawane przez Becky informacje.

- Hindermen? Hintermann? Jakoś w tym stylu.

Uznał, że wypadnie wiarygodniej, powołując się na słowa asystentki niż na listy profesora do ukochanej z młodzieńczych lat. Becky i Eileen raczej nie siądą przy kawce, żeby wymienić się wrażeniami z rozmowy z autorem wspominek o Karalu.

- A tak, wiem, jakiś Niemiec. - Becky zagłębiła się w lekturze karty dań. - Coś mi świta, że mu się zmarło? No, masz kolejny przykład ludzkich odruchów profesora. Ruszyła go śmierć kumpla.

- Dawno to było?

- Kurczę, no nie tak dawno, ale dokładnie... Ze dwa miesiące temu? Albo nawet nie, miesiąc z hakiem.

- A... a przejął się, to znaczy, jak się zachowywał? - drażył Colin, siłąc się na obojętny ton, jakby poszukiwał co najwyżej kolejnej anegdotki do kolekcji.

- Widać było, że o tym rozmyśla - wyjaśniła Becky. - Co powiesz na tiramisu? Mają naprawdę zarąbiste.

Z uśmiechem rozłożył ręce na znak, że zdaje się na nią.

- Kapujesz, normalnie dla profesora liczyła się wyłącznie praca - podjęła Becky, kiedy kelner odszedł z nowym zamówieniem. - A wtedy to, zdaje się, zapomniał o jakimś spotkaniu... albo terminie wysłania czegoś?

Początkowa ekscytacja Colina tym, że wreszcie słyszy coś sensownego, szybko minęła. Przeczucie przywiodło go do Dundee, nie ulegało zatem wątpliwości, że Hintermann kontaktował się właśnie z Karalem. Najwyraźniej też przekazał mu informacje na tyle istotne, że Karal zaniepokoił się o swój tyłek, kiedy jego niemiecki kolega najpierw zwiął do Paryża, a potem przekręcił się na serce. Tyle Colin wiedział i bez rewelacji Becky. Oświadczenie dziewczyny przyda mu się, kiedy stanie przed Antoine'em, zdając relację z wyników śledztwa - wobec byłego łowcy Colin nie powoła się przecież na głos przeczucia. No, ale osiągnąłby ten sam efekt, gdyby wymyślił całą tę rozmowę, a przynajmniej taniej by go to wyniosło.

Bardziej przydałaby mu się wskazówka, z kim Karal mógł się podzielić przekazanymi mu przez Hintermanna wiadomościami. Niestety, Turek najwyraźniej nie miał w Dundee przyjaciół, tak że całą wiedzę o sprawie kliniki przypuszczalnie zabrał do grobu. Ach, nieistotne. Colinowi i tak zależało jedynie na zwróceniu na siebie uwagi obserwujących laboratorium agentów organizacji.

Po obfitej kolacji Becky zażyczyła sobie wizyty w klubie.

- No dalej, mamy karnawał! - zachęcała entuzjastycznie. - Znam zarąbiste miejsce, z muzyką na żywo każdego wieczoru. Nie graj sztywniaka. A nuż przypomni mi się coś ciekawego?

Zawahał się. Nie wątpił, do czego laska zmierza, i czuł się tym mile polectany, mimo że Becky wywarła na nim wrażenie dziewczyny, która pójdzie do łóżka z każdym facetem, jeśli tylko nie waży on więcej niż dwieście pięćdziesiąt funtów i łapie się chociaż w dolne rejony kategorii „jest na czym oko zawiesić”.

W normalnych okolicznościach, to znaczy przed poznaniem Tin, Colin ochoczo skorzystałby z propozycji, zwłaszcza że Becky była niebrzydka. Trochę nazbyt gadatliwa i rozchichotana, ale przecież nie rozważał w tej chwili związku na całe życie. Czy Tin zaakceptowałaby wyjaśnienie, że Colin poświęcił się dla pozyskania dodatkowych informacji? Wcześniej sama go zachęcała, żeby poderwał Eileen... Tylko że myślała raczej o niewinnym flircie. Nie, nie da rady. Sam czuł, jak głupio brzmi tego typu tłumaczenie.

Mimo to z uśmiechem przystał na propozycję Becky. Przepuścił już bez sensu tyle kasy, że nic się nie stanie, jeśli postawi dziewczynie kilka drinków - a nuż laska faktycznie przypomni sobie coś ważnego. Na koniec wieczoru Colin po prostu grzecznie ją splewi.

Niestety, splewanie nieszczególnie mu się powiodło. Gdyby Tin nie wezwała go

zniecka, zaniepokojona jego przedłużającym się milczeniem, Colin zapewne dopiero rankiem zorientowałby się, że doprowadził do sytuacji, której bardzo pragnął uniknąć.

- Nadal działam. Odezwę się, kiedy wrócę do hotelu - spiesznie zbył Tin, odrywając się od ust Becky. Usiłował w miarę delikatnie uwolnić się od oplatających jego szyję rąk dziewczyny.

- Coś nie tak, skarbie? - Becky zaśmiała się, zbita z tropu. Pewnie nieczęsto jej się zdarzało, żeby facet rezygnował w tak gorącym momencie.

- Słuchaj... przepraszam cię, przypomniałem sobie, że jestem z kimś związany.

- Przypomniałeś sobie? - powtórzyła z niedowierzaniem.

No fakt, w konkursie na najgłupszy tekst roku Colin miałby spore szanse.

- To świeża sprawa... - Urwał. Jeszcze gorzej. - Słuchaj, bardzo mi pomogłaś, doceniam to. I... i dawno się tak wyśmienicie nie bawiłem. Ale naprawdę muszę już iść.

Usiadłszy za kółkiem, odetchnął głęboko. Niewiele brakowało, a autentycznie tłumaczyłby się Tin z ogromu swego poświęcenia przy zdobywaniu informacji. No, za to teraz już Tin nie zdoła się wyprzeć, że odciąga Colina od śledztwa. Niewykluczone, że po paru wspólnych nocach Becky zgodziłaby się wpuścić go do laboratorium lub wynieść dla niego stamtąd notatki Karala. Z powodu Tin spalił ten kontakt, a właściwie całą akcję wypytywania o profesora.

Czyli w Dundee nie miał już czego szukać, przynajmniej oficjalnie. Pozostawało mu co najwyżej włamanie do laboratorium, żeby zdobyć zapiski Karala z rozmów z Hintermannem. Szkopuł w tym, że Colin znał się na genetyce jak kura na pieprzu - choćby patrzył na właściwą informację, nie zorientowałby się, że właśnie tego szuka. Poza tym, jeśli profesora wykończył ktoś z organizacji, ani chybi upewnił się najpierw, że po sprawie Hintermanna nie został żaden ślad. Przypuszczalnie Karala poddano niezbyt miłemu badaniu, przy czym naturalny wykrywacz kłamstw, jakim dysponuje każdy świadomy, wydatnie przyczynił się do oceny wiarygodności odpowiedzi profesora. Wypadek samochodowy upozorowano dopiero, kiedy stało się jasne, że Karal niczego nie zataił.

Włamanie miało więc sens tylko jako sposób zwrócenia na siebie uwagi ewentualnego obserwatora. Trochę duże ryzyko dla tak niskiej stawki. Jeśli organizacja pozostawiła tu kogoś na czatach, to Colin dostatecznie długo kręcił się przy laboratorium, żeby odnotowano jego obecność. Może wystarczy, że wróci do hotelu i poczeka, aż ktoś przyjdzie zapytać go o powody zainteresowania osobą Karala?

Nadzieje Colina na nocny atak agenta organizacji, niestety, się nie ziściły, rankiem

stanął więc przed koniecznością zaplanowania działań na nadchodzący dzień.

- Możliwe, żeby mnie dotąd nie zauważono? - zwrócił się do Tin. - No, od śmierci Karala minęły dwa tygodnie i facetowi pewnie zbrzydło ciągle gapienie się na laboratorium - odpowiedział sam sobie od razu.

- Pokręć się tam znowu dzisiaj, a jeśli nadal nikt się tobą nie zainteresuje...

- ...będę musiał pogodzić się z myślą, że Karal to martwy trop - mruknął Colin, cytując określenie Alberta.

- Łatwo się zniechęcasz - skomentowała z rozbawieniem Tin. - Na razie masz cały dzień przed sobą.

W przeciwieństwie do Colina, jej tego ranka humor niezwykle dopisywał. Całkiem jakby znała szczegóły wczorajszego spotkania z Becky. Bo też czy nie wydawało się dziwne, że zawołała go dosłownie w ostatnim momencie?

Z irytacją zacisnął zęby, kierując myśli na inny tor. Jeśli planował znów kręcić się pod laboratorium, powinien przeprosić Becky. Polowanie na kolejnego współpracownika Karala uznał za głupie. Miałby udawać, że nie zauważa recepcjonistki? Takie laski jak ona traktują facetów wiernych innym niekiedy jako wyzwanie dla ich uwodzicielskich talentów. Jeśli tylko Colin odpowiednio wszystko rozegra, zdoła wyciągnąć dziewczynę na lunch - i może jeszcze uzyskać od niej ciekawe informacje.

No dobra, jak się przeprosza kobietę? Podziękowała, jeśli Colin stawi się w recepcji z bukietem? Laski lubią takie gesty, zwłaszcza gdy są adorowane na oczach reszty personelu.

- Dla dziewczyny? - dopytywała się sprzedawczyni, zawiązując wstążkę.

- Tak jakby - odparł z uśmiechem. - Zrobiłem trochę złe wrażenie. Myśli pani, że kwiaty wystarczą?

Sprzedawczyni, kobieta już niemłoda, sceptycznie zmarszczyła nos.

- Zależy o jak bardzo złym wrażeniu mowa - stwierdziła. - Jeśli chodzi o drobiazg, taki maleńki bukietek powinien załatwić sprawę...

Tym sposobem Colin wkroczył do budynku laboratorium z gigantycznym wiechciem, na który wydał ponad trzydzieści funtów; na dokładkę taszczył pudełko czekoladek. Przynajmniej zwracał na siebie uwagę, tak że jeśli ów agent organizacji nie był przypadkiem ślepy, musiał wreszcie stwierdzić obecność intruza.

Na jego widok siedząca za ladą recepcji Becky wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Zanim jednak Colin zdołał do niej dotrzeć i szczęśliwie pozbyć się zielska, korytarzem nadciągnęła Eileen Laing.

- Pan znowu tutaj? - zapytała lodowato, mierząc wzrokiem bukiet. - Wydawało mi się,

że wyraziłam się jasno. Kwiaty panu nie pomogą.

- Ach. - Colin spojrział na trzymany przez siebie wiecheć. - Przepraszam, zaszło nieporozumienie. Nie przyniosłem ich dla pani - wyjaśnił, robiąc nieznaczny gest w kierunku Becky.

Eileen spąsowiwała.

- Ian! - zwróciła się ostrym tonem do strażnika. - Dlaczego wpuściłeś tu tego człowieka?

- Nie było mowy, żeby kogoś nie wpuszczać - odparł mężczyzna, nieszczerze przejęty. - Odprowadzę pana do wyjścia - zwrócił się do Colina.

- Pozwoli pani, że najpierw przekażę kwiaty pannie McCulloch - wtrącił Colin, w duchu klnąc swój debilny pomysł.

- Becky, to nie miejsce schadzek - zaatakowała recepcjonistkę Eileen.

- Przepraszam, panno Laing. - Becky zrobiła skruszoną minę. - Nie wiem czemu mężczyźni bez przerwy zasypują mnie kwiatami. Nie ma pani pojęcia, jakie to uciążliwe. - Przemknawszy zwinnie obok Eileen, przejęła bukiet z rąk Colina. - Zobaczymy się w porze lunchu - szepnęła konspiratorsko, choć nie na tyle cicho, żeby Eileen nie zdołała jej usłyszeć. Wyszła z budynku około wpół do pierwszej.

- Suka stawała na uszach, żeby mnie zatrzymać - wyjaśniła, wsiadając do wozu Colina. - Jedź tam, gdzie wczoraj jedliśmy kolację. Na tej samej ulicy jest zarabistą indyjską knajpą.

Jęknął w duchu. Laska przyprawi go o rozstrój żołądka. Na Wyspach podawali boskie steki, a Colinowi po raz kolejny przyjdzie męczyć się z przesadnie doprawionym egzotycznym zarciem.

- Słuchaj, przepraszam - mruknął, kiedy usiedli przy stoliku. - Eileen mnie wkurzyła i zupełnie nie pomyślałem, że zaszkodzę ci tą aferą.

- No coś ty! - Becky się roześmiała. - Chętnie wylecę z roboty dla samej przyjemności wspomnienia, jak ta jędza prawie padła trupem. Zresztą, jeśli nie znajdzie się ktoś na miejsce profesora Karala, ośrodek długo nie pociągnie. Eileen tylko się zawsze wydawało, że jest szalenie ważna. - Becky machnęła ręką. - Takim jak ja drobnym żuczkom zwisa, gdzie będą za miesiąc pracować. Wypełniam papierki, co za różnica, czy robię to w instytucji z ambicjami, czy w podrzędnym zakładzie produkcyjnym? Tak między nami - szepnęła, pochylając się ku Colinowi - naukowcy to banda nadętych ważniaków, tak że nie pogadasz.

- Mówiłaś, że w laboratorium pracuje siedemnaście osób. - Wrócił do tematu, gdy już otrzymali swoje zamówienie. - A bez Karala ani rusz?

- Siedemnaście, ale w tym uwzględnij sześciu stróżów. No a pozostali... Karal

strasznie pilnował swoich tajemnic. Żadna tam burza mózgów, praca zespołowa i tego typu sprawy. Nie, on kazał sobie to i to przygotować, a potem zamykał się w swoim laboratorium i coś tam dziubał, gapił się w mikroskop, nastawiał komputer na obliczenia. Ale nikt do tej jego salki nie miał wstępu, zapomnij.

- Skoro jego badania były tak tajne, to dlaczego laboratorium nie ma lepszej ochrony? Wszedłem tam bez problemu...

- Tajne? - zdumiała się Becky, podnosząc wzrok znad parującego jedzenia; od zapachu curry kręciło Colina w nosie. - Skąd ci to przyszło do głowy? Każdy naukowiec pilnuje swoich sekretów, a właścicielowi też zależało, żeby nikt nie skopiował wyników, na których uzyskanie on wybulił tyle kasy. Ale bez przesady z tą tajnością... - Parsknęła śmiechem. - Coś ty sobie wyobraził? Eksperymenty na ufoludkach?

Colin potarł czoło. Także się roześmiał, rzucił dowcipny komentarz dla odwrócenia uwagi Becky. Doznał olśnienia, psiakrew, jak zwykle z poślizgiem. Cały czas zakładał, że Karal dowiedział się o sprawie od Hintermanna, że dłużył nad tą swoją mukowiscydozą, a Niemiec brutalnie zburzył mu spokój ducha informacją o chimerach, przychodzących na świat dzięki klinice w Kohlenbogen. Jeśli jednak Karal świetnie wiedział, co się dzieje w klinice kolegi? A śmierć Hintermanna tak bardzo go zaniepokoiła, ponieważ sam znał o wiele więcej tajemnic?

Alberto twierdził, że istnieje opłacane przez organizację laboratorium, w którym zarodki świadomych są fabrykowane. Co zaś Colin miał w tej chwili pod samym nosem? Jasne, oficjalnie Karal szukał leku na mukowiscydozę, ale w gruncie rzeczy, zamknięty ze swoim mikroskopem, komputerami i całą resztą, na marginesie zasadniczych badań mógł swobodnie realizować inne zadania.

Profesorowie znali się od dawna, jeszcze z czasów młodości. Ich zawodowe drogi schodziły się i rozchodziły, aż dwanaście lat temu Hintermann osiadł w klinice. Karal rozpoczął swoje badania dla bliżej nieznannej prywatnej firmy przed niespełna sześcioma laty. Może klinikę w Kohlenbogen wybrano właśnie dlatego, że znajomość z Hintermannem pozwoliła Karalowi na wprowadzenie do niej odpowiedniego człowieka? Na pewno jednak nie wtajemniczył Niemca w istotę sprawy, inaczej bowiem Hintermann nie zareagowałby tak nerwowo na rewelacje Dirka.

Tylko słaba ochrona laboratorium psuła Colinowi koncepcję. W przypadku tak ryzykownych eksperymentów organizacja powinna otoczyć budynek siatką pod napięciem, zatrudnić tabun profesjonalnych ochroniarzy, zamiast paru brzuchatych, nieruchawych typków, i pilnować, żeby pierwszy lepszy gość z ulicy nie wchodził ot tak sobie do środka.

Colin najchętniej wezwałby Tin, żeby przedyskutować z nią swoje przypuszczenia. Niestety, przy Becky nie powinien nawet oddawać się...

- Co tak zamilkłeś? - zapytała Becky. - Układasz tekst?

- Proszę? - Spojrzał na dziewczynę, nie bardzo wiedząc, do czego pije. No właśnie, przy recepcjonistce Colin nie powinien odpływać w rozważania na temat prawdziwej natury relacji Hintermann-Karal. - Ach, chodzi ci o wspomnienie o nim? Zastanawiałem się, czyby nie napisać czegoś więcej o jego pracy, jeśli tylko nie są to tajne informacje.

- Szukał leku na mukowiscydozę - odparła Becky, wzruszając ramionami. - Ta choroba bierze się ze zmutowanego genu... CFTR, jeśli dobrze zapamiętałam. On, zdaje się, chciał, nooo... znaleźć sposób, żeby mimo posiadania przez pacjenta zmutowanego genu w obu allelach choroba się nie ujawniała. Albo próbował naprawić ten gen? - Uśmiechnęła się zakłopotana. - Naprawdę się na tym nie znam, zajmowałam się papierkami. Napisz, że był genialnym naukowcem. Nie, lepiej: „bardzo utalentowanym”. Geniusz nie tkwiłby w Dundee. Oraz że chciał pomóc ludziom. Chociaż, tak między nami, marzyło mu się raczej uznanie w środowisku.

Uznanie w środowisku? I zaprzedał się wilkołakom?

- A właściwie kto finansował jego prace? - zapytał Colin, udając, że bardziej interesuje go potrawa na talerzu niż ta informacja.

- Kapitał prywatny. - Becky po raz kolejny wzruszyła ramionami. - Czasem zaglądał do nas taki jeden gość. Eileen szczebiotała do niego, jak do jakiegoś adonisa, chociaż, tak między nami, facet był wybitnie obleśny. Przedstawiciel sponsora, jak zrozumiałam. Nie zauważyłam, żeby mieszały się do badań profesora. Kapujesz, z naukowcami trzeba jak z jajkiem, bo się obrażą i pójdą do konkurencji, a najcenniejsze rzeczy mają w głowie.

Choć Becky nie poczuwała się do lojalności wobec pracodawcy, mimo szczerych chęci zdołała powiedzieć Colinowi niewiele więcej. Badania Karala kojarzyły jej się z nudą, podobnie jak faceci ekscytujący się tym, co zobaczyli pod mikroskopem. Preferowała innego rodzaju rozrywki.

Colin rozważał, czy zaryzykować pytanie w stylu: czy jej zdaniem Karal mógł zginąć w związku z prowadzonymi przez siebie badaniami? Nie, przegiałby. Facet piszący pośmiertną laurkę o profesorze nie mógł ni z gruszki, ni z pietruszki wyskoczyć z taką sugestią, skoro jak dotąd nikt nie podał w wątpliwość okoliczności śmierci naukowca.

- Spotkamy się wieczorem? - zaproponował Colin, zatrzymawszy wóz pod laboratorium.

Liczył, że dziewczynie mimo wszystko coś się przypomni. Obecnie wiedział, o co

jeszcze chciałby ją zapytać.

- Ach, czyżby twoje zobowiązanie się przez noc zdezaktualizowało? - Becky uśmiechnęła się szeroko.

- Myślałem tylko o kolacji. Ewentualnie klubie. Nic więcej.

- Miło czasem spotkać wiernego faceta - oświadczyła, obrzucając go przy tym spojrzeniem, które sugerowało, że tego wieczoru skutecznie zrobi porządek z jego wiernością.

A gdyby Colin uprzedził Tin? To znaczy, gdyby wyjaśnił jej, że chodzi wyłącznie o pozyskanie nowych informacji, jako że, ogólnie rzecz biorąc, seks z inną laską nigdy nie dorówna temu, czego doświadczał z nią...? Psiakrew, już sobie wyobrażał jej minę. No cóż, nad tym, jak rozegrać sprawę z Becky, Colin zastanowi się wieczorem. Na razie musiał poukładać sobie kwestię roli Karala w tej sprawie.

- To naprawdę niegłupie - orzekła Tin.

Odniosł wrażenie, że czuje się wręcz zdziwiona faktem, iż Colin sam doszedł do równie odkrywczych wniosków. Tyle że on wcale nie był przekonany o ich sensowności.

- Szanowany naukowiec dałby się namówić na udział w śliskich eksperymentach? - zapytał z powątpiewaniem. - Dla kasy? Przecież nie miał rodziny, żadnej osoby, dla której chciałby oszczędzać. Z kolei sam żył pracą, a Becky twierdziła, że najbardziej zależało mu na uznaniu w środowisku...

- No tak. - Tin z entuzjazmem wpadła mu w słowo. - Starał się opracować metodę terapii genowej pozwalającej zwalczyć mukowiscydozę. A co mi mówiłeś o członkach społeczności? Czy nawet o nosicielach wilczego genu, którzy nigdy się nie przebudzą?

- Charakteryzują się dobrym zdrowiem i długim życiem. Myślisz, że starał się pogodzić jedno z drugim? Wykorzystać... wilczy gen do leczenia mukowiscydozy?

- „Wilczy gen” należy uznać za określenie umowne - zauważyła ostrożnie. - Nie wiadomo, czy rzeczywiście chodzi o jeden dodatkowy gen, grupę genów, czy na przykład o mutacje w kilku ludzkich genach... Chociaż jeśli możemy się także kojarzyć z wilkami... - Zamilkła na chwilę. - Ale tak, generalnie do tego zmierzam. Jesteśmy bardziej odporni niż ludzie, a zarazem bardzo do ludzi podobni. Może ten, umownie, wilczy gen powstrzymuje rozwój chorób, które pod jego nieobecność by się ujawniły? Nosiciel mukowiscydozy, czyli osoba mająca tylko jeden zmutowany allel, jest z kolei bardziej odporny na inne choroby, na przykład cholere, dlatego pojawiają się wątpliwości, czy zastępowanie zmutowanego allelu prawidłowym byłoby wskazane. Jeśli natomiast wilczy gen zapobiegałby rozwojowi mukowiscydozy u osób, które odziedziczą dwa zmutowane allele... to faktycznie okazałoby

się przełomem w nauce. Karala nie znęciłyby pieniądze, natomiast możliwość przeprowadzenia badań na materiale niedostępnym dla konkurentów... O tak, myślę, że dałby się skusić.

- A nawet wmanewrował w tę sprawę dawnego kumpla, tłumacząc sobie własne postępowanie dobrem ludzkości - uzupełnił Colin.

Tymczasem biedny Hintermann zwrócił się do typka po pomoc! I nie ujawnił Dirkowi nazwiska przyjaciela, żeby nie narazić go na nieprzyjemności.

- Popęlnili błąd, zabijając Hintermanna - podjął Colin. - Albo wcale nie chcieli go zabić, ale naprawdę nie wytrzymało mu serce. Karala zaś ruszyło sumienie... lub tylko zaczął się bać o własną skórę i wykonał kilka nierozważnych ruchów.

- Jeśli to dziecko, do którego dotarł Dirk, miało kilka lat... Trzy, zgadza się? Niewykluczone, że Karal zbliżył się już do rozwiązania.

- Mówisz, że likwidacja gościa była im na rękę?

W głowie Colina nadal kłębiły się rozmaite przypuszczenia, kiedy o szóstej zameldował się pod domem Becky. Nasuwało mu się sporo pytań na temat badań Karala, ale musiał zadawać je ostrożnie, bo Becky, choć trzpiotowata, nie była jednak - niestety - totalnie głupia.

Na razie poinformowała go radośnie o drobnym poślizgu.

- Właż na górę - poleciła. - Nie bój się, nie rzucę się na ciebie.

Z niechęcią wspinał się po schodach na pierwsze piętro, jako że nie do końca wierzył w jej deklarację. Nie chodziło o to, że wyczuł w zaproszeniu podstęp - po prostu Becky była nieobliczalna.

- Już się tak nie kryguj. - Roześmiała się, kiedy wszedł. - Ta twoja lady zabrania ci wchodzić do mieszkań innych kobiet?

- Niczego mi nie zabrania - mruknął Colin, marszcząc brwi.

- No, nie gadaj, że się jej spowiadałeś z planów na dzisiejszy wieczór! - pokpiwała Becky. - Obiecałeś zadzwonić o jedenastej?

- Nic jej o tobie nie mówiłem - zirytował się. - To znaczy, po prostu nie rozmawiałem z nią ostatnio.

Czemu się tłumaczył? Poza tym przecież opowiedział Tin o Becky, wspomniawszy też, że wybiera się z nią na kolację. Taa, nie napomknął tylko o tym, że recepcjonistka liczy sobie dwadzieścia trzy lata, jest seksowną blondynką i wyraźnie na Colina leci.

- Biedaczek. - Becky przepadła w łazience, żeby skończyć makijaż, choć Colin nie

potrafił stwierdzić, jaka niedoskonałość w jej wyglądzie przeszkadzała w tym, by wyszli od razu. - Ale o tym miłosnym zleceniu jej opowiedziałeś?

- Coś tam mówiłem - mruknął.

- Proszę? - Wychyliła się z łazienki.

Powtórzył.

- Facet, to mi nie wygląda na poważny związek - zawyrokowała Becky, ponownie znikając Colinowi z oczu.

Wkurzyła go tym tekstem. Nie chciał wdawać się w dalszą dyskusję, bo na pewno puściłyby mu nerwy - a wtedy nici z wydobywania z laski kolejnych informacji. Przeszedł do niewielkiego salonu, przytulnego, choć stanowczo przeładowanego. Za dużo świeczników, wazoników, porcelanowych kotków na komódce. Colin przyjrzał się tym ostatnim i chwilę powęszył. Obecność kota wyczułby chyba przy pierwszej wizycie? Chociaż Becky używała perfum na tyle mocnych, że skutecznie zacierają nimi inne zapachy, a minionego wieczoru Colin znajdował się bardzo blisko niej... Jednak nie, nie trzymała zwierząt.

- Jesteś samochodem? - zapytała Becky, gestem zachęcając Colina, żeby pierwszy wyszedł z mieszkania. - Znam zarabistą knajpę z wiejskim żarciem, ale to kawałek stąd. Nad jeziorem. Mówię ci, odjazd, budynek z polnych kamieni, w środku jak w kurnej chacie... A potem możemy wrócić do Number 25, tam, gdzie byliśmy wczoraj. Zostawisz wóz u mnie pod domem i będziesz mógł pić.

- Nie, spoko, nie nastawiałem się na alkoholowe ekscesy.

Przyjechał autem i zamierzał nim wrócić do hotelu, i to bynajmniej nie nad ranem, kiedy alkohol wywietrzałby mu z głowy. Psiakrew, laska niespecjalnie się kryła ze swymi zakusami. Zdaje się, że to będzie ich ostatnie spotkanie - po tym wieczorze nawet pół kwaciarni nie uratuje pozycji Colina w jej oczach.

- Dlaczego tak cię interesują badania profesora? - zapytała Becky przy jedzeniu, kiedy Colin po raz kolejny spróbował zepchnąć rozmowę na rzeczony temat.

No właśnie, wbrew pozorom dziewczyna nie dała się łatwo podejść. Przynajmniej tym razem zaprowadziła go do faktycznie niezłej knajpy.

Przeżuając kęs wybornego krwistego steku, Colin zastanowił się, czy podjąć ryzyko. Mógł zbyć Becky - że nie wie, o czym napisać w tym cholernym wspomnieniu o Karalu, więc uczepił się pierwszego z brzegu tematu. Albo konspiracyjnym tonem podzielić się z laską podejrzeniami, że profesor nie zginął w wypadku samochodowym.

Wybrał drugie rozwiązanie.

- Bez kitu. - Becky zrobiła wielkie oczy. - Kurczę, zapewniam cię, że nie zachowywał

się jak facet, który prowadzi niebezpieczne badania.

- A kto twierdzi, że wiedział, jak bardzo są niebezpieczne? - zaproponował Colin. - Zapewne dopiero śmierć tego drugiego gościa, tego Hintermanna, dała mu do myślenia. Sama mówiłaś, że się wtedy zdenerwował.

- Tak, ale to było... no, parę tygodni wcześniej, nim zdarzył się wypadek. - Ściągnęła brwi, myśląc nad czymś intensywnie. - Więc ten Hintermann też coś badał?

Colin po raz kolejny zastanowił się, jaką obrać strategię. Wyznać Becky, że przyjechał tu właśnie z powodu Hintermanna, czy raczej dopisać nowy rozdział do bajeczki o dawnej miłości Karala? Sprawiała wrażenie dziewczyny, która bez oporów przełknęłaby opowieść o prywatnym detektywie, a nawet z zapałem starałaby się dopomóc w śledztwie. Tylko że wówczas jeszcze większą trudność sprawiłoby Colinowi opędzanie się od jej zalotów: zaliczyć prywatnego detektywa, to dopiero byłoby dla laski wyzwanie. Natomiast spławiona, w poczuciu urażonej godności, natychmiast pobiegłaby donieść o ich rozmowie komu trzeba.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Colin. - Ale czy nie wydaje ci się znamienne, że dwaj zaprzyjaźnieni specjaliści z pokrewnych dziedzin umarli mniej więcej w tym samym czasie? I że Karal tak się przejął śmiercią kumpla z zagranicy, że zaniedbał pracę?

- Racja. - Becky zakręciła winem w kieliszku, ciągle marszcząc brwi i przygryzając górną wargę. - Coś takiego mu się wcześniej nie zdarzyło.

- Sama widzisz - podchwycił Colin. - Przyszło mi do głowy, że coś się za tym kryje. Pomyśl tylko. Jeśli wpadliśmy na trop gigantycznej afery, to na sprzedaży tych informacji prasie zarobimy krocie.

Przyglądała mu się bacznie. Czyżby przegiął? Nie łyknęła tego?

- Jeśli masz słusność - powiedziała wreszcie Becky - dla mnie zabawa jest trochę zbyt niebezpieczna. Kapujesz, dwa trupy... a kasa nie taka pewna. Jeśli natomiast się mylisz... szkoda mojego czasu.

- Siedzimy, gadamy sobie miło. Uważasz, że marnujesz czas?

Uniosła brwi, znów uśmiechnięta.

- Gadać, kotuś, to ja mam z kim - oświadczyła znacząco.

Do diabła, chyba już wolał lodowatą wyniosłość Eileen Laing.

- Słuchaj, absolutnie nie chcę cię narażać. - Z uporem powrócił do interesującego go tematu. - Po prostu... zastanów się, w kontekście moich podejrzeń, czy czegoś sobie nie przypominasz. Czegoś dziwnego w zachowaniu Karala?

Starła się, choć Colin przypuszczał, że w duchu machnęła ręką na jego teorię, a głównym powodem zabiegów stała się ponownie chęć naciągnięcia go na kilka drinków w

nocnym klubie.

Ożywiła się, kiedy wspomniał o dalszej części wieczoru.

- Jeśli i tak nie pijesz, to znam zarabisty lokal, kawałek stąd na północ. Klimat super, mówię ci, warto.

Zgodził się, oczywiście. A nuż laska jednak coś sobie przypomni.

Tin wydawała mu się zarazem radosna i przygaszona. Radosna niewątpliwie dlatego, że Antoine dogadał się z jej chłopakiem. Przygaszona, ponieważ tęskniła za Colinem.

Niechętnie przyznała, że młody łowca dzwoni do niej od czasu do czasu. Wspomniała o tych kontaktach dopiero w odpowiedzi na bezpośrednie pytanie Antoine'a. Nie podobało mu się, że musi niemal siłą wydobywać z niej tego rodzaju informacje.

Coraz częściej milczeli w trakcie posiłków. Nie chciał słuchać o jej doświadczeniach w *caveau* ani o wywiadzie, jaki przeprowadziła z kolejnym wiekowym staruszkim. Interesowało go, czy Colin ustalił coś ciekawego w Wielkiej Brytanii. Jednakże Tin, zarumieniona, wyjaśniła, że rozmawiają wyłącznie na tematy prywatne.

Kłamała? Gdy była dzieckiem, w takich chwilach Antoine patrzył na nią surowo.

- Spójrz mi w oczy, Tin, i powtórz, jak to się odbyło - mówił.

Początkowo miała tendencje do fantazjowania, na przykład zmyślała zdarzenia, jakie zaszły w szkole. Bez złych intencji, nie usiłowała bowiem ukryć tym sposobem swoich występków. Opowiadała Antoine'owi te historyjki nieproszona, wystarczyło, że zadał jej zdawkowe pytanie o przebieg dnia. Prawdopodobnie chciała tylko zwrócić na siebie uwagę opiekuna, jednak odkąd Antoine zorientował się, że mała kłamie, zaczął bezlitośnie walczyć z tą jej skłonnością. Nie znosił kłamstwa. A że Tin zawsze bardzo zależało, żeby tato o nic się na nią nie gniewał, szybko zarzuciła owe praktyki.

Robiła się czerwona jak burak, ilekroć w przeszłości Antoine przyłapał ją na choćby drobnym naginaniu faktów. Czy jej obecny rumieniec oznaczał, że znów go okłamywała? Liczył w duchu, że owe „tematy prywatne” po prostu rzeczywiście były bardzo intymne.

Właściwie nie dziwiłoby, gdyby Colin nie wtajemniczał jej w efekty swego śledztwa. Należała do wrogiego obozu, w każdej chwili mogłaby wykorzystać tę wiedzę przeciw łowcom. Mimo to Antoine nie potrafił opędnąć się od przykrego wrażenia, że Tin ukrywa przed nim coś więcej niż tylko osobiste sprawy zakochanych. Pod wpływem tego chłopaka stała się wobec ojca nieszczerą.

A może oszukiwała Antoine'a zawsze, tylko on zwyczajnie pozostawał ślepy na ów fakt? Simone szeptała mu do ucha, żeby miał się na baczności.

Mądrała! Dlaczego przed laty tak łatwo ustąpiła? Powinna była ostrzec go wtedy, pokazać mu przyszłość: Antoine'a siedzącego przy stole z dorosłym okazem zwierzyny, którego nie potrafi zastrzelić. Gorzej nawet - przerażała go nie tylko myśl, że sam miałby zabić Tin, ale także i to, że zlikwiduje ją ktoś inny. Nie chciał jej stracić...

Gdyby spotkał Tin dopiero teraz, dorosłą, nie zwiódłoby go jej niebieskie oczy ani łagodny tembr głosu. Nie zawahałby się. Wtedy wmawiał sobie, że odsuwa w czasie zdarzenie tak czy owak nieuniknione. Nie zdołał zabić dziecka, ale skrupuły znikną, gdy owo dziecko podrośnie.

Czy jako szczenię Tin zdawała sobie sprawę z rozterek opiekuna? Jak znaczna część jej zachowań stanowiła oszustwo, element walki o przetrwanie? Przyssała się do Antoine'a niczym pasożyt. Ze względu na nią kupił winnicę i dom na uboczu. Dla niej wrócił do normalnego życia, którym szczerze pogardzał. Utrzymywał ją, posyłał do szkoły. W zamian zachowywała się jak przykładna córka, zachęcając go tym do kolejnych poświęceń.

Okłamała go w kwestii dotyczącej relacji z Colinem, musiał zatem uwzględnić, że oszukiwała go także w innych sprawach. Każde jej dotychczasowe słowo mogło się okazać kłamstwem, na które Antoine naiwnie dał się złapać. W dodatku, mimo że coraz wyraźniej uzmysławiał sobie, że padł ofiarą manipulacji - świadomej bądź zaprogramowanej w niej przez naturę - nie potrafił wyzwolić się spod wpływu Tin.

Płakała wtedy, w *mazet*. Antoine rzadko widywał ją we łzach.

- On wie? - zapytał. - Dlatego na ciebie wrzeszczał?

Potrząsnęła głową. Pogubił się, czy zaprzecza obu pytaniom naraz, czy tylko ostatniemu. Choć akurat na tego rodzaju rewelację przeciętny łowca nie zareagowałby wrzaskiem... Zatem Vernon albo nie miał o niczym pojęcia, a określenia „suka” użył przypadkiem, albo odkrył prawdę znacznie wcześniej, a przed paroma minutami kłócili się o co innego.

- Był tu od kilku dni - chlipnęła Tin. - Powiedziałam mu... niedługo po jego pierwszej wizycie. Teraz... chodziło o zupełnie inną sprawę.

- Powiedziałś mu? - dopytywał się z niedowierzaniem Antoine. - Zwyczajnie mu powiedziałś?

Takie zachowanie stało w sprzeczności z tym, co powinien jej dyktować instynkt samozachowawczy.

Z drugiej strony, młody łowca nie strzelił. Przypuszczalnie Tin miała pewność, że tego nie zrobi - że nie, jaką opłotła chłopaka, zanim wyjawiała mu prawdę, wytrzyma.

- Tato, ja... on mnie kocha. Wiedziałam, że...

Wiedziała, oczywiście. W tej chwili znów robiła to samo. Umiała mówić „tato” w taki sposób, że w sercu Antoine’a rozlewało się przyjemne ciepło.

Nienawidził jej, kiedy tak stali naprzeciw siebie w *mazet*, on zaś ze wszech miar pragnął ją przytulić, szczęśliwy, że nic jej nie dolega.

Gdy ruszał ją śledzić, nie zabrał broni. Dlaczego? Ponieważ obawiał się, że podpatrzy Tin na zdrożnym, zwierzęcym zachowaniu. Mając przy sobie pistolet lub sztucer, byłby zmuszony ją zlikwidować.

Kiedy usłyszał, jak wrzeszczy na nią młody łowca, ogarnęło go przerażenie, że okazał się tak głupi i nie wziął broni, z której mógłby zastrzelić chłopaka. Jego, a nie Tin. To właśnie z Antoine’em zrobiła.

- Nie wyrządziłby mi krzywdy - odezwała się znowu Tin. - Miał trudne dzieciństwo. Jego ojciec... Colin uważa, że mnie ograniczasz, a ja usiłowałam mu wytłumaczyć...

- Colin? - przerwał jej ostro.

Sprytnie rozgrywała sytuację. Colin sądził, że Antoine ją tłamsi, Tin zaśarcie broniła odmiennego poglądu, a każdy trafnie dobrany przez nią kontrargument tylko utwierdzał chłopaka w jego pierwotnym przekonaniu. Nastawiała Colina przeciw swemu przybranemu ojcu; młody łowca już teraz zachowywał się tak, jakby uważał Antoine’a za rywala. Do tego zmierzała: chciała, żeby Colin ją stąd zabrał, w przekonaniu, że wyzwala ukochaną spod władzy tyrana. Planowała przyssać się do chłopaka.

Dlaczego Antoine przestał jej wystarczać? Na to pytanie także dało się łatwo odpowiedzieć: pragnęła mieć potomstwo, rozmnożyć tę zarzę. I wiedziała, że w tej kwestii absolutnie nie może liczyć na przybranego ojca.

Powinien był ją wysterylizować - lecz jaki lekarz by się podjął wykonania zabiegu? Kolejna sprawa, którą Antoine zignorował, zakładając, że Tin nie osiągnie wieku, w którym problem stanie się aktualny. Przerażała go jego własna beztroska.

Kiedy rozmawiał z młodym łowcą, jeszcze nie w pełni uzmysławiał sobie, jak bardzo Tin jest niebezpieczna. Należało wyraźnie ostrzec chłopaka. Czy jednak zakochanemu da się otworzyć oczy?

Antoine widział sytuację coraz bardziej przejrzystą. Czyżby ta lepsza zdolność oceny wynikała z faktu, że Tin część swych sił przerzuciła na nową ofiarę, rozluźniając sieć, którą oplotła dotychczasowego opiekuna? Nabrała nadmiernej pewności siebie. Sądziła, że ma Antoine’a całkowicie w swojej władzy, tak że nawet gdyby przestała udawać, nie podjąłby żadnych działań przeciw niej.

Zasadniczo miała rację, nie był zdolny jej zabić. Na razie. Ciągle jeszcze ulegał

złudzeniu, że wszystkie te pesymistyczne rozważania bazują na wytworach jego fantazji, Tin zaś jest miłą, niegroźną istotą, której zależy na zgodzie między nim a jej chłopakiem.

Lecz przecież nie mogła być Antoine'owi oddana! Zabił jej rodziców. Zdarzyło się to, kiedy była dzieckiem, nigdy na ten temat nie rozmawiali, nie wątpił jednak, że Tin pamięta. Wyczekiwała odpowiedniej okazji, żeby się zemścić.

Antoine nie zamierzał pozwolić się jej zaskoczyć. Nie po to spędził dziesięć lat na zabijaniu tych bestii, żeby wywiodła go w pole tak młoda sztuka. Tymczasem bacznie obserwował Tin, gromadząc dowody.

ROZDZIAŁ 6

- O kurczę, tam miało być w prawo. - Becky obejrzała się przez tylną szybę. - Sorki. - Zachichotała. - Z moją orientacją w terenie niekiedy bywa cienko. Jedź prosto, zaraz się połapię...

Pomyliła się po raz trzeci i Colin zaczynał wątpić, czy tego wieczoru gdziekolwiek dotrą.

- Pamiętasz adres? - zapytał. - Miejscowość? Wpiszę w GPS, będzie szybciej.

- O, tu w prawo! - wykrzyknęła, uderzając otwartą dłonią w boczną szybę po stronie pasażera. - Tutaj, zaraz, o!

Skręcił zgodnie z zaleceniem, choć droga wyglądała niezbyt zachęcająco. Prawdopodobnie za chwilę dziewczyna odkryje, że znów źle ich poprowadziła. Oczywiście, wszystko dlatego, że Colin miał kierownicę po niewłaściwej stronie, przez co Becky myliły się kierunki.

- Zatrzymaj się - powiedziała.

- Słuchaj, nie chciałbym się powtarzać, ale naprawdę jestem za... - Urwał, kiedy na nią spojrział.

Mierzyła do niego z pistoletu.

- Zatrzymaj się, Andy, albo przestrzelę ci udo - poleciła z tym samym radosnym uśmiechem, który gościł na jej ustach w trakcie kolacji.

W pierwszej chwili Colin pomyślał, że Becky się zgrywa: ucieka się do debilnej sztuczki, żeby go poderwać. Dopiero po paru sekundach naszła go refleksja, że sam jest debilem, który koncertowo pozwolił się wywieść w pole. Czy raczej - wywieźć, w szczere pole, ciemną nocą. Tą drogą samochody przejeżdżają zapewne rzadziej niż raz na godzinę, a na widok innego auta zaparkowanego na wąskim poboczu ich kierowcy uznają, że natknęli się na lubiącą sporty parkę.

Colin posłusznie zjechał z drogi, zatrzymując się po lewej stronie. Skoro już dał się tak koncertowo przerobić, dowie się przynajmniej, o co dziewczynie chodzi. Dziewczynie...

Cholera, Colin potrafił rozpoznać kłamstwo nawet u Fisha! U Becky nie wyczuł go ani razu, kiedy opowiadała o swojej pracy recepcjonistki, choć nie ulegało wątpliwości, że tylko grała wyznaczoną jej rolę. Colin miał zatem do czynienia z perfekcyjnie maskującą się,

bardzo uzdolnioną świadomą.

Jeśli zaś silna alfa, ani chybi agentka organizacji, od dziewięciu miesięcy tkwiła tuż obok Karala - zbyt łatwo dałoby się sprawdzić ów szczegół, nie sądził więc, żeby akurat w tej kwestii go okłamała - przypuszczenia Colina dotyczące prawdziwej natury prowadzonych przez Turka badań zaczynały się potwierdzać. Dziewięć miesięcy temu Dirk nie miał pojęcia o istnieniu kliniki w Kohlenbogen, a Hintermann kierował nią w błogim przeświadczeniu, że cała działalność ośrodka sprowadza się do niesienia pomocy nieplodnym parom.

- Zgaś silnik i światła - poleciła Becky.

- I co teraz? - zapytał spokojnie Colin, wykonawszy polecenie.

- Nie potrafię cię rozgryźć - odparła, przyglądając mu się w wielkim skupieniu. - Skłaniam się, by uwierzyć, że przyjechałeś tu zebrać romantyczne informacje o Karalu, jakkolwiek głupio to brzmi. Zarazem twoje zainteresowanie badaniami profesora...

Przejechał samochód, niewątpliwie ten „jeden na godzinę”.

Jasne, że nie potrafiła Colina rozgryźć. Nie wyczuwała u niego kłamstwa, nie podejrzewała też, że ma do czynienia ze świadomym. Członek społeczności nie wtrącałby się w tak ważną operację; gdyby inny agent organizacji przypadkiem zainteresował się sprawą, rychło zawrócono by go z drogi. Człowiek natomiast nie zdołałby jej okłamać: podzielała w tej kwestii przekonanie większości świadomych, choć Colin mógłby jej przedstawić przykład Bensona, na dowód, że takie oszustwo bywa jednak możliwe.

Pewnie by Colinowi odpuściła, przekonana - nawet mimo jego dociekań na temat znajomości Karala z Hintermannem - że naprawdę pisze on wspomnienie o profesorze, gdyby się tak nie uczeplił badań Turka.

Rozważał opuszczenie zasłony kamuflażu. Zaskoczyłby Becky, zyskując przewagę. Z drugiej strony, na razie nie zamierzała strzelać, interesowały ją odpowiedzi. A choćby nawet pociągnęła za spust, w pistolecie miała raczej zwykłe kule, tak więc Colin ryzykował stosunkowo niewiele, dopóki nie celowała mu w głowę. Mógł natomiast sporo wynioskować z jej pytań.

- Obmyślasz strategię? - zagadnęła uprzejmie.

- Usiłuję otrząsnąć się z szoku - odparł, zapożyczając od niej przyjazny ton. - Taka miła dziewczyna...

Tym razem nadjeżdżał samochód z przeciwnika.

Colin nie zwróciłby na niego większej uwagi, gdyby Becky gwałtownie nie zmarszczyła brwi. Prawdę mówiąc, zareagowała podobnie już na pojawienie się pierwszego wozu, ale wtedy Colin przyjął, że się zdenerwowała, że ich widziano. Teraz zrozumiał, że

wedle jej rozeznania zwykle nikt nie korzystał z tej drogi.

Choć teoretycznie nie powinien był tego robić, oderwał wzrok od dziewczyny, żeby spojrzeć na obcy samochód. Zmrużył oczy, oślepiony światłami toczącego się wolno pojazdu, a jednak... wydało mu się... że widzi wysuniętą przez okno od strony kierowcy rękę. Rękę z pistoletem, wymierzonym w Colina.

Jednocześnie słyszał narastający ryk silnika kolejnego samochodu; zarejestrował ów dźwięk mimochodem, nie przywiązując do niego wagi, dopóki w zbliżający się do toyoty wóz nie uderzył czołowo drugi, który nadjechał bez świateł.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że Colin nie zdążył wykonać żadnego ruchu - na przykład schylić się, żeby uniknąć kuli. Toyota nie doznała jednak uszczerbku. Huk wystrzału rozdarł nocną ciszę, minimalnie wyprzedzając potworny zgrzyt gniecionej metalu. Napastnik pociągnął za spust zbyt późno, posłał pocisk gdzieś w pole. Strzaskane przednie reflektory samochodu agresora zgasły.

Obróciwszy się błyskawicznie, Colin podbił trzymającą pistolet dłoń Becky. Padł strzał, kula przebiła dach. Colin zaklął szpetnie, ogłuszony hukami, jaki rozległ się w zamkniętej przestrzeni, niemniej dla równie wyczulonego słuchu agentki także było to bolesne doświadczenie.

Uderzył Becky czołem w twarz, miażdżąc jej nos. Człowieka zabiłby takim ciosem, ale ona nawet nie straciła przytomności.

- Jestem przyjacielem, do diabła - warknął Colin, na chwilę opuszczając zasłone kamouflażu.

Biorąc pod uwagę okoliczności, nie wypadł zbyt przekonująco.

Przejechała mu po twarzy pazurami, więc znowu musiał jej przyłożyć. Lewą ręką otworzyła sobie drzwi i wypadła na zewnątrz, zanim dosięgnął jej po raz trzeci. Rzuciła się do ucieczki. Widocznie w trakcie tych przepychanek pistolet uległ uszkodzeniu - Colin nie widział go w samochodzie, czyli dziewczyna go nie upuściła, a jednak nie spróbowała ponownie strzelić.

Wyskoczył z toyoty po swojej stronie, żeby popędzić za Becky, kiedy zgrzyt rozrywanej blachy uzmysłowił mu, że ktoś usiłuje wydostać się z jednego ze zmiżdżonych samochodów - i radzi sobie z tym podejrzanie dobrze. Dźwięk dobiegał od strony wozu, który nadjechał ze zgaszonymi światłami, spiesząc Colinowi na ratunek. Drugi pojazd, należący do zamachowca, wyglądał na pusty...

Zanim Colin wysnuł z tej obserwacji stosowne wnioski, ktoś na niego skoczył, powalając go na ziemię. Pazury rozorały mu kurtkę i sweter, zagłębiając się w ciało, a kły

kłapnęły o cal od gardła: w ostatniej chwili zdołał osłonić się przedramieniem. Zaskowyczał z bólu, kiedy bydlak zacisnął zęby na jego prawej ręce - łapie, jako że Colin właśnie się przemienił, w ułamku sekundy, rozrywając na sobie ubranie. Na szczęście dla niego łapa pozostała osłonięta rękawem skórzanej kurtki.

Colin wygiął ciało w łuk. Nadwreżył staw łokciowy, ale dobrał się przeciwnikowi do gardła. Drań nie spodziewał się, że jego ofiara przemieni się tak błyskawicznie. Ciągle wpijał się w łapę Colina, kiedy ten wyrwał mu kawał tchawicy.

Napastnik chwilę wił się w drgawkach, po czym znieruchomiał. Mimo to Colin odnosił wrażenie, że zęby bydlaka nadal coraz mocniej zaciskają się na jego przedramieniu.

Ból był oślepiający. Colin wrócił do ludzkiej postaci. Palcami lewej ręki usiłował rozewrzeć szczękę martwego przeciwnika. Groziła mu utrata sporego kawałka przedramienia: jeśli u bydlaka przemiana gwałtownie się cofnie, zęby kurczącej się paszczy rozedrą rękaw kurtki i wyszarpną Colinowi fragmenty skóry i mięśni, a może nawet złamią kość, aktualnie chyba tylko zmiażdżoną.

- Spokojnie.

Do leżącego Colina podszedł szczupły chłopak, pochylił się, chwycił pysk agresora za zuchwę i szczękę, po czym rozerwał go szarpnięciem. Colin zaklął, obmacując pokiereszowane przedramię. W tej chwili ciało zabitego wróciło do ludzkiej postaci.

Colin popatrzył na stojącego nad nim chłopaka.

- Kto ty, kurwa...?

- Rusz nosem - poradził mu beznamiętnie przybysz.

Nosem. Nos Colin miał zalany krwią napastnika. Sapnął, żeby ją wydmuchać. Otworzyć drogę innym woniom. Chwilę mu to zajęło, a przez ten czas jego no właśnie, wybawca? czy wróg innego rodzaju? - stał sobie niedbale obok trupa.

Cholera, patentowany kretyń z Colina - rozkwasił Becky nos, tak że straciła węch, i dopiero wtedy wziął się do opuszczania zasłony kamuflażu. Nic dziwnego, że nie rozpoznała w nim świadomego... Czy jednak siła uderzeń Colina nie powinna była dać jej do myślenia?

Stopniowo zaczynał rozróżniać zapachy.

- Caramel? - zapytał z niedowierzaniem.

- No, nareszcie. Zmywajmy się stąd. - Caramel pochylił się i cokolwiek brutalnie postawił Colina na nogi. - Trochę cię pochlastał. Masz płachtę folii? Żeby rozłożyć z tyłu? Uwalasz juchą tapicerkę.

- Śpiwór - odparł odruchowo Colin. Nie całkiem nadążał za wydarzeniami. - Czekał,

dziewczyna...

- Zwiąła.

- Pozwoliłeś jej uciec?

- A to łaskawy pan kazał ją ścigać? - zdumiał się teatralnie Caramel. - Nie trzymaj ręki przy ciele. Zrzucaj szmaty i wystaw gołe ramię na blask księżyca.

Colin spojrział w niebo. Miał fart, że był akurat środek pełni, przy niewielkim zachmurzeniu. W mig się zregeneruje. Zresztą, po prawdzie, nie ucierpiał aż tak bardzo.

- Drań chyba zmiądzzył mi kość - mruknął. - I wykręcił przedramię ze stawu.

- Sam jesteś sobie winien - stwierdził Caramel, szukając czegoś, zapewne śpiwora, w bagażniku toyoty. - Trzeba było nie przemieniać tej ręki, miałbyś większe pole manewru.

- Stałeś i się przyglądałeś?

- Świetnie sobie radziłeś. Żał mi było niszczyć ubranie. - Caramel znalazł śpiwór, położył go na dachu toyoty i odwrócił się do Colina, który właśnie uwolnił się od resztek kurtki i swetra. - Daj łapę - polecił, podchodząc.

Colin zaklął, gdy gnojek mało delikatnie nastawił mu nadwierzoną rękę.

- Nie biadol - skarcił go Caramel. - Przemień ją parę razy wte i wewte, kiedy poczujesz, że staw w miarę trzyma. Przepakuję swoje rzeczy i się zmywamy.

- Nie możemy tak zostawić tego trupa - zaprotestował Colin.

Czuł się jak palant, kiedy tak stał na drodze nagi, bo z jego spodni niewiele zostało, zalany krwią, skąpany w blasku księżyca, podczas gdy Caramel spokojnie kursował między samochodami, zbierał z pobocza strzępy ubrań Colina i w ogóle rządził się, jakby zżarł wszystkie rozumy. A do tego ani trochę nie wyglądał na osobę, która dopiero co z trudem wykaraskała się z rozbitego wozu.

- Nie twój problem. - Caramel zatrzasnął bagażnik toyoty. - Miałeś coś ważnego w kieszeniach? - Zaczął rozkładać śpiwór na tylnym siedzeniu.

- Nigdy nie noszę - warknął Colin.

- Przestałeś krwawić?

Rany rzeczywiście już się zasklepiły, Colin mógł też poruszać prawą ręką, choć nadal sprawiało mu to ból. Z pewną fascynacją oglądał zblizniającą się tkankę, bo choć liznął sporo teorii na temat procesu gojenia się ran, parę razy zdarzyło mu się skaleczyć, a jakiś czas temu oglądał szybką regenerację Dustina, sam nigdy dotąd nie był solidnie pokiereszowany. Bez dwóch zdań, to był fuks, że sytuacja zdarzyła się w noc pełni.

- No to pakuj się na tył - zarządził Caramel.

W miarę jak postępował proces zdrowienia, Colina ogarniała coraz większa wściekłość

na tego nadętego, komenderującego nim smarkacza. Czuł się jednak nadal trochę oszołomiony, tak więc bez słowa wgramolił się na tylne siedzenie.

- Słuchaj, naprawdę nie powinniśmy zostawiać tu tego burdelu - odezwał się, kiedy Caramel wycofał i kawałek dalej zawrócił na trzy na wąskiej drodze.

- Jeśli ta twoja laska jest z organizacji, powiadomi, kogo trzeba. Posprzątają za nas.

- Stój! - Colin poderwał się gwałtownie, ale Caramel prowadził nieporuszony, nawet minimalnie nie zwalnając. - Zatrzymaj wóz, cholera. Jeśli ktoś ma tu przyjechać, musimy się zaciąć...

- Masz kopułę niewidkę? - zainteresował się Caramel. - Na tyle dużą, żeby się pod nią zmieścił samochód? Czy też nie zauważyłeś, że wkoło są tylko pola, przykładowie zaorane na zimę? A księżyc nieźle daje czadu?

- Taka szansa może się nie powtórzyć! - gorączkował się Colin.

- Leż spokojnie, bo uwalasz samochód.

- Odpierdol się! To mój wóz, mogę go wykąpać we krwi!

- A wtedy będziemy musieli podróżować pieszo - skwitował Caramel.

Caramel sunął chwilę A-dziewięćdziesiątką w kierunku Dundee, po czym zboczył z niej, kiedy wjechali w las. To znaczy - zagajnik, ale Colin przywykł już do tego, że lasów z prawdziwego zdarzenia jest w Europie jak na lekarstwo, należy zatem cenić każdą większą kępę drzew.

Nadal nie zdołał sobie wszystkiego uporządkować. Tkwił otępiały na tylnym siedzeniu, skupiając się na swych ranach, choć po prawdzie nie było się już na czym skupiać.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - zapytał czujnie, kiedy Caramel zgasił silnik.

- Trzeba ogarnąć samochód. - Caramel zapalił światło przy lusterku wstecznym, krytycznie oglądając siedzenie pasażera. Odwrócił się i podobnie potraktował Colina. - Ty też musisz się doprowadzić do porządku.

- Przestań mi rozkazywać - wycedził Colin przez zaciśnięte zęby. - Wyjaśnij mi lepiej, skąd się tu wzięłeś.

- Pomaganie ci, bracie, to czysta przyjemność - oświadczył Caramel. - Aż się człowiek wzruszy od tych podziękowań.

- Będę ci dziękował, kiedy mi wytłumaczysz, jakim cudem znalazłeś się przy mnie w tym jakże istotnym momencie - warknął Colin. - Fantastyczne wycucie czasu. A Europa jest tak mała, że wcale się nie dziwię, że tak łatwo mnie znalazłeś.

- To tamten cię znalazł - odparł spokojnie Caramel. - Ja tylko podążałem jego tropem.

- A jak on mnie namierzył?

Caramel uśmiechnął się szeroko. No tak, to pytanie Colin powinien zadać napastnikowi. Którego osobiście wyprawił na tamten świat.

- No dobra - burknął Colin po chwili. - W takim razie, skąd wiedziałeś, że masz śledzić tego faceta?

- Zgaduj. Powiem ci, jeśli nie trafisz przez najbliższe pół godziny. Masz tam z tyłu wodę?

Chwilowo to Colina coś trafiało. Caramel mu pomógł, jasne. Niewykluczone, że ocalił mu życie, gdyby bowiem nie wjechał w wóz tamtego gościa, Colin nie zdążyłby się schylić i zarobiłby srebrną kulkę.

Najbardziej wkurzała go właśnie świadomość, że ma wobec szczeniaka dług wdzięczności. W takich okolicznościach niezręcznie było naskakiwać na gnojka, oskarżając go o... no właśnie, o co? O pracę na rzecz organizacji, która się zorientowała, że Colin coś odkrył?

„Zgaduj”. Super. Jeśli Colin rzuci tekst, że tego rodzaju gierki są poniżej jego godności, wyjdzie na to, że poddaje się walkowerem.

- Znając ciebie, coś podsłuchałeś - mruknął Colin niechętnie. - W osadzie. Gordon wysłał tego gościa?

- No widzisz. Jak chcesz, to potrafisz.

Colin zignorował komentarz, zbyt go bowiem poruszyła informacja, że Gordon nasłał na niego zabójcę. Owszem, stryj ostrzegął go przed przykrymi konsekwencjami, gdyby Colin w trakcie poszukiwań siostry zbyt mocno nadepnął organizacji na odcisk. Ale jednak... Colin sądził, że Gordon będzie się starał go chronić. Zrozumiał też z tamtej rozmowy, że gdyby sytuacja stała się krytyczna, stryj osobiście go odnajdzie i spróbuje najpierw mniej drastycznych metod, a dopiero w ostateczności wpakuje Colinowi kulkę. Własnoręcznie. Niemożliwe, żeby tak po prostu zlecił przykre zadanie komuś innemu.

Caramel kłamał. Przysłali szczeniaka, żeby wprowadził zamęt w głowie Colina, wręcz napuścił go na stryja. Cholera zresztą wie, co sobie umyślili. Gordon na pewno nie załatwiłby sprawy w ten sposób, koniec, i kropka. Tak, tylko czemu wobec tego takie wyjaśnienie nasunęło się Colinowi jako pierwsze?

A jeśli kapłani zaszantażowali Gordona? Zagrozili mu czymś na tyle znaczącym, że wydanie rozkazu likwidacji Colina okazało się rozwiązaniem najmniej bolesnym dla wszystkich zaangażowanych stron? Zatem sprawa kliniki była dla drani niezwykle ważna...

Colin czuł pulsowanie w skroniach. Gdyby tak potrafił rozpoznać u Caramela

kłamstwo! Niestety, szczeniak był dość silny, żeby je ukryć.

- Dlaczego? - spytał Colin. - Wiesz, dlaczego Gordon podjął taką decyzję?

- Ach, nie wierzysz mi - stwierdził Caramel. - Wolisz zakładać, że przysłano mnie tu na przespiegi. Nie sądzisz, że wybrano by do tego celu mniej kontrowersyjne okoliczności?

- Może plan był inny - warknął Colin. - Ja zabiłem tego gościa, nie ty.

- W zasadzie racja. - Caramel skinął łaskawie głową. - I niewykluczone, że wypowiadając na głos twoje podejrzenia, także stosuję podstęp. Widziałeś *Świętego* z Valem Kilmerem? Jak Val śledzi Elisabeth Shue do kawiarni, a potem, w tejże kawiarni, podchodzi do niej i mówi coś w stylu: „Albo mnie pani śledzi, albo to przeznaczenie”? Wtedy ona nie może go już podejrzewać, choć miałyby do tego podstawy.

No właśnie, w dodatku Caramel był telemaniakiem. Nikt w osadzie nie spędzał tyle czasu przed telewizorem.

- A ty po raz kolejny robisz to samo - wycodził Colin. - Proponuję, żebyś jednak odpowiedział na moje pytanie.

- Jemu natomiast ufasz, nie? Najwspanialszy facet pod słońcem, zwłaszcza w zestawieniu z twoim popapranym staruszkim. Gordon ostatni by cię zdradził. Jest dla ciebie jak ojciec.

- Uwważaj! - Colin po części warczał, bo twarz zaczęła mu się wydłużać w wilczy pysk. Z trudem cofnął przemianę. - Gordon jest oddany społeczności. Jeśli podjął taką decyzję, widocznie nie miał wyboru.

Albo wręcz wszystko odbywało się za plecami stryja, który trwał w błogim przeświadczeniu, że bratanek spokojnie włóczy się po Europie.

- Ależ oczywiście, że jest oddany społeczności - zgodził się z przekąsem Caramel. - Wręcz przesadnie. Na swój sposób. Właśnie z tego powodu nie powinieneś mu ufać, bo między tym, co dobre dla społeczności, a tym, co dobre dla ciebie, istnieje drobna rozbieżność.

- Cokolwiek Gordon robi, musi słuchać... - Colin zreflektował się w ostatniej chwili. - Ile wiesz o sprawie? O Emily?

- Zamierzałeś powiedzieć: „musi słuchać kapłanów”, ale pomyślałeś, że byś mnie tym straszliwie zaskoczył?

Colin zacisnął zęby. Do tej pory nie całkiem pogodził się z faktem istnienia kapłanów, a szczeniak mówił o nich, jak gdyby nigdy nic. Niewątpliwie Caramel orientował się w całej sprawie trzy razy lepiej od niego.

- To co z tą wodą? - zapytał Caramel. - Krew zasycha, trzeba się tym szybko zająć.

- Mam coś w bagażniku - warknął Colin, gwałtownie otwierając drzwi wozu.

W tej chwili ani myślał zaprzętać sobie głowę ścieraniem krwi z tapicerki, natomiast nie zaszkodziło znaleźć się na otwartej przestrzeni. W ciasnym wnętrzu samochodu nawet nie zdołałby Caramelowi solidnie j przyłożyć.

- Po prawej - poinstruował Caramela, który podszedł do kwestii sprzątnięcia jak najpoważniej.

- A ty co tak stoisz? - rzucił szczeniak. - Przejrzyj się w szybie.

- Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy - powiedział wolno Colin.

Nie ubierze się, dopóki wszystkiego sobie nie wyjaśni - nagi zyskiwał niewielką przewagę nad Caramelem, którego po przemianie krępowałyby strzępy podartych ciuchów.

Caramel postawił baniak z wodą na ziemi.

- Podstawowy problem sprowadza się do tego, że różne osoby bardzo odmiennie pojmują dobro społeczności - odezwał się, tym razem bez kpiny w głosie. - Dla kapłanów twoje życie jest ważne, choć nie zdołałem ustalić dlaczego. W każdym razie na pewno nie kazaliby cię zabić. Zaryzykowałbym twierdzenie, że wprost przeciwnie.

- Co ty mi teraz usiłujesz wmówić? - W Colinie znów wezbrała wściekłość.

Jasne, odgadywał, do czego zmierza Caramel. Ale szczeniak przegiął. Może w ostateczności Colin pozwoliłby się przekonać, że Gordon wydał na niego wyrok, przyparty do muru przez Udonę lub innego ważnego drania. Jednakże stryj nigdy nie zrobiłby tego z własnej nieprzymuszonej woli!

Caramel milczał. Łaskawie pozwalał Colinowi zapanować nad emocjami.

- Nie wierzę ci - warknął Colin. - Kim ja dla ciebie jestem? Zawsze miałeś wszystko i wszystkich w nosie, po czym nagle rezygnujesz ze spokojnego życia w osadzie, które tak lubisz, żeby przez pół świata pospieszyć mi na ratunek? Pewnie będziesz twierdził, że pchnęło cię do tego głęboko zakorzenione poczucie przyzwoitości?

- Och, Colin. - Caramel westchnął ostentacyjnie. - Skąd akurat ty możesz wiedzieć, co lubię? Uznałem, że nasz drogi lider popełnia błąd, i postanowiłem temu zapobiec. Powiedzmy, że z czystej fantazji. Zwisa mi, czy mi uwierzysz, czy popędzisz do Gordona, żeby cię poklepał po ramieniu i wyjaśnił, że jest tylko biedną, bezwolną marionetką, która niezmiernie boleje, że okrutny los wymusił na niej podjęcie takiej decyzji.

- Z czystej fantazji wystąpiłeś przeciw organizacji? - prychnął Colin.

Najchętniej posłałby gówniarza w diabły - ale co, jeśli w słowach Caramela tkwiło jednak ziarnko prawdy? Może gnojek faktycznie coś podsłuchał, tyle że mylnie zinterpretował zasłyszane informacje? Wypadałoby najpierw je z niego wydobyć...

- Albo mnie nieuważnie słuchasz, albo cierpisz na niemożność zrozumienia słowa mówionego - stwierdził Caramel. - To się chyba nazywa afazja? Czy analfabetyzm funkcjonalny? Nie, jednak...

- Zaraz oberwiesz.

- Przegrałbyś. - Caramel wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Cholernie łatwo cię sprowokować.

Szczeniak otwarcie go podpuszczał. W dodatku miał rację: Colin przegrałby, choćby dlatego, że nadal czuł się osłabiony po niedawnej walce. Poza tym Caramel niewątpliwie nad nim przeważał, jeśli nie siłą i umiejętnościami, to opanowaniem, które w wyrównanym starciu dwóch alf odgrywało kluczową rolę.

- Skoro kapłani nie chcą twojej śmierci, to Gordon, nasyłając na ciebie zabójcę, odrobinę się rozminął z oficjalnym stanowiskiem organizacji - wyjaśnił Caramel, odczekawszy stosowną chwilę. - Tym sposobem ja, niwecząc jego plany, postąpiłem wprawdzie samowolnie, niemniej w ostatecznym rozrachunku przysłużyłem się organizacji. Co naturalnie nie oznacza, że kapłani wręczą mi za ten czyn medal, jako że oni nie przepadają za zbyt niezależnymi alfami.

- A skąd Gordon się dowiedział, że trafiłem na ślad kliniki?

- Jakiej kliniki? - zdziwił się Caramel.

Colin łypnął na niego. Psiakrew, nie potrafił orzec, czy smarkacz się zgrywa. Rzeczywiście słyszał o klinice po raz pierwszy? Czy też przysłano go tutaj właśnie po to, żeby poznał stan wiedzy Colina na temat prowadzonych przez Karala badań? Tylko że jeśli opłacała je organizacja, sami kapłani najlepiej się orientowali, czego poszukiwał Karal; Colin nie ujawni im nowych faktów.

Cóż, chcąc uzyskać informacje od Caramela, Colin musiał zaoferować mu coś w zamian. Zdał szczeniakowi relację ze swych dotychczasowych ustaleń.

- Więc Gordon o niczym nie wiedział? - upewnił się ponownie, zakończywszy opowieść.

Caramel potrząsnął głową. Wydawał się zainteresowany odkryciami Colina; przetrawiał rewelacje, usiłując wyciągnąć z nich wnioski. Za moment wyskoczy z jakimś odkrywczym stwierdzeniem i wyrazi uprzejme zdumienie, że Colin nie wpadł dotąd na taką myśl.

- Wobec tego już nic nie rozumiem - mruknął Colin, zwilżając wodą stary podkoszulek. Chwila na starcie z Caramelem minęła, równie dobrze mógł zacząć doprowadzać się do ludzkiego wyglądu. - Sądziłem, że... przegiąłem pałę z kliniką. No, ale

jeśli nie, to dlaczego akurat teraz?

- Czegoś się dowiedział. - Caramel marszczył brwi, nadal ewidentnie zaabsorbowany kwestią tajemniczych badań Karala. - Nie słuchałem od początku, tak że ten fragment rozmowy mi umknął. Ale odniosłem wrażenie, że chodzi raczej o uzupełnienie posiadanych przez nich informacji, a nie o coś, co aktualnie robisz czy też właśnie zrobiłeś.

- Przez nich? - podchwycił Colin.

- Istnieje niewielka grupa silnych alf, zdolnych ukryć swoje prawdziwe poglądy, która pojmuje dobro społeczności odmiennie niż kapłani. Czy raczej należałoby powiedzieć: nie dowierza kapłanom na tyle, by w sprawach dotyczących przyszłości społeczności całkowicie zdać się na nich. Zwykle nie interweniują, lecz jedynie „trwają w gotowości”. No, ale jest ich zaledwie garstka, muszą działać w ukryciu. Obecnie zaczęło się coś dziać i ma to związek z twoją siostrą. Emily stanowi środek do celu, jaki pragną osiągnąć kapłani, ale nie wiem, czy nawet Gordon orientuje się, co to za cel. W każdym razie sprawa okazała się na tyle poważna, że w tajnej grupie buntowników, od wieków działającej w pełnej harmonii i z najwyższą ostrożnością, nastąpił rozłam...

- Rozłam? - wtrącił natychmiast Colin. Poczł nagły przypływ nadziei: zatem Gordon jednak znalazł się w sytuacji bez wyjścia?

- Rozłam wynikający z tego, że Gordon twardo obstawał przy stanowisku, że należy cię usunąć, pozostali zaś, zdecydowana większość, prezentowali odmienny pogląd - wyjaśnił beznamyślnie Caramel. - Między innymi dlatego, że nie zdołał przekonać wszystkich, dysponował ograniczoną liczbą kandydatów, których mógł wysłać na tę akcję. Ten gość... Może i był silną alfą, ale nie potrafił się dobrze maskować. Dlatego strzelał z wozu. Obawiał się, że wyczułbyś jego woń i miał się na baczności.

- Dlaczego Gordon sam się tym nie zajął? - rzucił wyzywająco Colin.

Lider, oficjalnie najwyższej postawiona w organizacji osoba, odpowiedzialna za przestrzeganie zasad, stałby na czele spisku przeciw kapłanom? Caramel nieco przecenił naiwność Colina. Ale niech się gnojek poprodukuje, a nuż przy okazji wymknie mu się prawdziwy powód, dla którego przybył Colinowi z odsieczą. Przecież nie zrobił tego „z czystej fantazji”!

- Ponieważ byłby spalony - wyjaśnił cierpliwie Caramel. - Piastuje wysokie stanowisko, dające mu dostęp przynajmniej do części tajemnic kapłanów. Stoi także na czele tej tajnej grupki, choć aktualnie jego pozycja została nadszarpnięta. Miał zbyt wiele do stracenia.

- Twierdzisz, że stchórzył? - znów prychnął Colin.

- Nie - odparł wolno Caramel. - Twierdzą, że miał zbyt wiele do stracenia. Nie dostrzegasz różnicy? Gordon to fanatyk, wierzy wyłącznie w swoją sprawę, jedyny słuszny pogląd. Każdą decyzję podejmuje pod kątem tego, co przyniesie pożytek sprawie. Gdyby tu przyjechał, straciłby swoją pozycję w organizacji, a więc możliwość dalszego kontrolowania działań tak kapłanów, jak i grupki buntowników. Znalazłby się poza nawiasem, bez względu na to, czy wypełniłby zadanie. Na tobie, chociaż jesteś ważny, rzecz się nie kończy. Gordon oddałby życie za sprawę, ale tylko mając pewność, że tym gestem zagwarantuje jej ostateczne zwycięstwo, na czymkolwiek miałyby ono polegać.

- Fanatyk? - powtórzył Colin. Nie spotkał bardziej chłodnego, racjonalnego faceta niż Gordon, a fanatyk to osoba szalona, z ogniem w oczach. Szczeniak zaiste puszczał wodze fantazji. - Nie przesadzasz? Co on ci zrobił, że tak go nie cierpisz?

Caramel popatrzył na niego jakby w zadumie, po czym potrząsnął głową. Do jasnej cholery, czy Colin palnął coś głupiego?

- Zakoduj sobie - mruknął Caramel - że się dla niego nie liczysz. Nikt się nie liczy. Zająłbym się teraz bieżącymi sprawami. Laboratorium i ta dziewczyna. O Gordonie i jego motywacjach jeszcze sobie pogadamy w wolnej chwili, natomiast laska nam zwiewa. Mógłbyś się już powoli ubierać.

No tak, przez te wszystkie rewelacje Colin sterczał ciągle z mokrym podkoszulkiem w rękę, wymachując nim od czasu do czasu. Sapnął gniewnie. Ale szczeniak znów miał słusność. Najpierw trzeba było się zająć Becky, a potem, ewentualnie, pomyśleć o urzędującym za oceanem Gordonie.

Colin otworzył torbę i wyjął z niej pomięte dzinsy. Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowił sobie, że gdzieś w tle rozlegają się nawoływania Tin. Choć niewątpliwie wyczuwała, że Colin żyje, w jej głosie pobrzmiewał strach, prawdopodobnie więc usiłowała się do niego przebić już od jakiegoś czasu, ale był zbyt skoncentrowany na walce, własnych ranach i słowach Caramela. Uspokoił ją, trochę na odczepnego. Chyba ją uraził, ale nie miał aktualnie głowy do przejmowania się babskimi fochami.

Postanowili udać się pod czynszówkę Becky. Dziewczyna nie spodziewała się takiego obrotu spraw, istniała więc - skromna, ale zawsze - nadzieja na to, że w jej mieszkaniu natkną się na wskazówki. Lub na samą Becky, gdyby zechciała wrócić po coś ważnego.

Początkowo Colin nalegał, żeby jednak zaczęli się na ekipę, która przypuszczalnie pojawi się, żeby sprzątnąć trupa i rozbite samochody. Caramel stanowczo się sprzeciwił: jednego gościa raczej do takiej roboty nie przyślą, a z większą grupą nie poradzą sobie we

dwóch. To znaczy, pewnie zdołaliby ich z zaskoczenia zabić, jednak ze zwykłym obezwładnieniem poszłoby im gorzej, a przecież nie chcą wykańczać swoich. Na dzisiaj jeden świadomy wystarczy. Poza tym, jak delikatnie przypomniał mu Caramel, o ile Colin mógł liczyć na wyrozumiałość kapłanów, gdyż był im do czegoś potrzebny, o tyle Caramelowi groziło, że skończy z kulką w głowie, jako osobnik zbyt samowolny, który wprawdzie dziś przysłużył się organizacji, niemniej jutro stałby się zagrożeniem.

Jechali zatem do Becky. Prowadził Colin.

- Zastanawia mnie, czemu zwiąła - mruknął.

- A co tu jest do zastanawiania się? - zdumiał się Caramel.

Colin zacisnął ręce na kierownicy. Gnojek znajdował przyjemność w wyprowadzaniu go z równowagi, prawie jakby urządził sobie z tego zajścia grę na punkty.

- Cholera, Caramel, jak ci...

- Laska nieoczekiwanie odkrywa, że jesteś świadomym, a chwilę później inny świadomy usiłuje cię zabić.

Ją tymczasem uczono, że wszyscy członkowie społeczności grają po tej samej stronie. Poczula się skołowana. Miała cię zastrzelić, a potem czekać, czy ktoś ją za ten czyn pochwali, czy też oberwie jej się za zabicie agenta prowadzącego inną operację? Postąpiła najrozsądniej, jak mogła w zaistniałej sytuacji. Zwiąła, powiadomiła kogo trzeba i czeka na instrukcje. Jeśli już je dostała, zapewniam cię, że brzmiały mniej więcej tak: „Zmywaj się stamtąd i trzymaj od faceta z daleka”.

- Ciekawe, że tak doskonale znasz jej kolejne kroki - skomentował z przekąsem Colin.

- I jak wygodnie się złożyło, że uciekła.

Caramel nie odpowiedział. Niewzruszenie gapił się przez boczną szybę. Colin łypnął na niego gniewnie. Cholera, nie przyzwyczaił się jeszcze do widoku szczeniaka w ludzkiej postaci. Jakoś tak... głupio. Przywykł myśleć o nim jako o wilku - na hasło „Caramel” stawała mu przed oczami kudłata bestia, a nie szczupły, ścięty na jeża, całkiem przystojny chłopak. Ha, Colin spodziewał się, że jako człowiek Caramel okaże się lepiej zbudowany. Jego gęste futro wprowadzało w błąd.

- Psiakrew, Caramel, dlaczego mam zaufać właśnie tobie?

- A kto twierdzi, że powinieneś mi ufać? - Caramel podrapał się pod brodą. - W twojej sytuacji nie ufałbym nikomu. Natomiast możesz w miarę bezpiecznie założyć, że ja, w przeciwieństwie do paru innych osób, aktualnie nie pragnę cię zabić.

Nikomu. Tin także nie? Ale o niej Colin na razie Caramelowi nie wspomniał.

- Sądzisz, że organizacja ma w laboratorium jeszcze jakiegoś agenta poza tą twoją

waderką? - zapytał Caramel.

- Nie wydaje mi się. - Colin pokręcił głową. - Alberto uznałby już za dziwny fakt, że ją tu oddelegowano, bo jego zdaniem organizacja woli do takich celów wykorzystywać sowsie opłacanych ludzi.

- Alberto?

- Ach, no tak - zreflektował się Colin. - Dzięki niemu dowiedziałem się o Dirku, facecie, który namierzył klinikę.

Pokrótkie scharakteryzował Alberta i poczęstował Caramela próbkami jego szalonych teorii. Wcześniej, kiedy opowiadał o klinice i laboratorium, nie wspomniał o Włochu - nie wdawał się w szczegóły na temat tego, kto i jak trafił na trop, jedynie relacjonował efekty śledztwa. Teraz pilnował się, żeby nie wymknęło mu się nic o Antoinie, gdyż napomknąć o Francuzie równało się narazić Tin. Czort wie, komu naprawdę „pomagał” Caramel.

- Łebski facet - stwierdził Caramel.

- Szaleniec - mruknął Colin.

- A jednak się na niego powołujesz.

- Bo niekiedy jego słowa trzymają się kupy - odwarknął Colin.

Na szczęście właśnie dojechali na miejsce.

Zostawili toyotę pod blokiem, sąsiadującym przez ulicę z czynszówką Becky. Gdy się patrzyło od strony jej mieszkania, parking był dogodnie zasłonięty przez wysoki budynek, a przy tym o tej porze zapełniony samochodami.

- Słuchaj, może weź wytrychy i idź sam - zaproponował Colin. - Jeśli ona planuje powrót, natychmiast mnie wywęszy.

- Ode mnie też jedzie krwią - stwierdził Caramel. - Laska od razu się zorientuje. Poza tym nie poradzę sobie z zamkiem.

- Z prowadzeniem wozu jakoś sobie radzisz, mimo że nigdy wcześniej nie widziałem cię za kółkiem - mruknął Colin. Od lat nie oglądał Caramela w innej postaci niż wilcza, a ta stanowi drobną przeszkodę w nauce jazdy.

- A, wóz to pestka. Wystarczyło, że napatrzyłem się na innych. Lockpicking musiałbym poćwiczyć, a teraz nie jest chyba na to czas ani miejsce.

Colin ustąpił; w gruncie rzeczy powątpiewał, żeby Becky wróciła do mieszkania. Wprawdzie obrót spraw ją zaskoczył, jednak jako dobrze wyszkolona agentka nie trzymałaby u siebie niczego, co nie powinno dostać się w niepowołane ręce. Musiała być gotowa w każdej chwili zwinąć się z Dundee, tak jak stała. Poza tym mieli nad nią przewagę czasową, mimo że w lesie trochę im zeszło na dyskusjach i doprowadzaniu wozu - oraz Colina - do

stanu używalności. Poruszali się samochodem, a ona zwiłała na czterech łapach, jedynie z torebką w zębach, jeśli więc nie schowała sobie gdzieś zapasowej zmiany ubrania, nie bardzo mogła się pokazać w mieście.

Wizyta w mieszkaniu Becky wydawała się rozsądniejszym rozwiązaniem niż spędzanie nocy na czatach pod jej czynszówką. A że nic ciekawego u niej nie znaleźli... Caramel wziął stamtąd tylko notes z numerami telefonów; krótkie komentarze przy poszczególnych wpisach sugerowały, że są to namiary na licznych podrywanych przez Becky facetów. Dziewczyna przyłożyła się do budowania wizerunku rozrywkowej panienki, nie ma co.

Na ulicy nie zwęszyli jej woni. Na wszelki wypadek obeszlili budynek, żeby się przekonać, czy nie próbowała dostać się do niego od tyłu.

- Przejdźmy się jeszcze pod laboratorium - zaproponował Colin, nieco zniechęcony. - To tuż obok.

- Tam tym bardziej nic nie zostało - stwierdził Caramel, ale nie oponował.

- Cholera, laska ma dwadzieścia trzy lata! - mruknął Colin. Ciągle nie potrafił pogodzić się z faktem, że tak go podeszła. - Ciągała mnie po indyjskich knajpach!

- I używa silnych perfum, że aż w nosie kręci. - Caramel miał okazję poznać tę woń, kiedy jechali toyotą. - A powinni byli tu przysłać osiłka z brwiami zrastającymi się nad nosem, który opychałby się krwistymi stekami.

- Jest za młoda na agentkę - warknął Colin.

- Pociesz się, że także ją zaskoczyłeś. Na pewno uważa, że dała ciała.

Obeszli wkoło ogrodzony murkiem budynek laboratorium. Nic. Becky nie zdążyłaby wziąć prysznic, na pewno wyczuliby zapach jej perfum. Nie odnotowali także woni innego świadomego.

- Nie wydaje ci się, że zabezpieczenia są tu zbyt słabe? - szepnął Colin. - Laboratorium w zasadzie nie ma ochrony.

- Tego nie wiesz na sto procent. Mogli zainstalować obstawę w okolicznych budynkach. Im coś bardziej niepozornie wygląda, tym mniejszą zwraca uwagę. Na zamknięty teren z małą armią do ochrony może sobie pozwolić instytucja rządowa albo wielka, oficjalnie działająca firma.

No tak, racja. A Colin, jak kretyn, uważał słabą ochronę za argument przeciw teorii, że laboratorium stanowi serce tej tajnej operacji.

- Dochodzi trzecia, więc sugerowałbym znalezienie hotelu - powiedział Caramel.

- Hotelu? - zdziwił się Colin. - Chcesz spać? Myślałem, że przestawimy wóz pod te

bloki - wskazał parking, z którego dało się obserwować furtkę, prowadzącą na podwórko przed budynkiem laboratorium - i będziemy na zmianę pilnować, czy ktoś się tu nie pojawi.

- Nie wiem jak ty, ale ja się czuję troszkę niewyspany.

- Wyśpisz się później.

- Dobra, mogę się kimnąć w samochodzie. - Caramel niespodziewanie ustąpił. - Chcesz, to sobie obserwuj. Mnie nie budź.

Colin miał chęć stosownie tę postawę skomentować, ale w porę upomniał sam siebie, że szczeniak uratował mu życie, niewątpliwie zarywając z tego powodu kilka nocy. W dodatku przy tej okazji stracił swój wóz, tak że teraz był zdany na Colina.

- Skąd miałeś samochód? - zapytał Colin, kiedy wsiedli do toyoty.

- Wynająłem.

- A paszport?

- Kurde, Colin, a ty skąd wzięłeś papiery?

- Ja nie spędziłem ostatnich dziesięciu lat w wilczej skórze - warknął Colin.

- Siedmiu - mruknął Caramel. - Poza tym nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Twoim zdaniem wilcza postać ogranicza zdolności umysłowe?

Szczeniak świetnie wiedział, o co Colin go pyta. Spędził, no niech będzie, że siedem lat w wilczej skórze, a potem z dnia na dzień przybrał ludzką postać, bez problemu zdobył sobie dokumenty, prowadził samochód i w ogóle zachowywał się tak, jakby wszystkie te czynności stanowiły dla niego chleb powszedni. No, łaskawie przyznał, że nie umie sforsować zamka. A Colin, psiakrew, na razie nie potrafił nawet pogodzić się z myślą, że zwyczajny, wręcz niepozorny chłopak obok niego to ten sam gość, którego dotąd znał jako zblazowanego futrzaka.

Zaparkowali tak, żeby widzieć wejście na teren laboratorium, a zarazem wtopić się w stado stojących pod blokiem samochodów. Rano, kiedy większość mieszkańców ruszy do pracy i parking opustoszeje, będą zapewne musieli zmienić miejsce postoju.

Caramel położył oparcie siedzenia pasażera, szykując się do snu.

- Dlaczego zakładasz, że przełożeni kazali Becky zniknąć? - zapytał Colin.

Szczeniak łypnął na niego z niechęcią, nie pozostawiając wątpliwości co do tego, że obecnie konwersacja z Colinem nie zalicza się do jego wymarzonych zajęć.

- Ponieważ nie przypuszczam, żeby twoje zainteresowanie laboratorium było organizacji na rękę - odparł jednak. - Zabijać cię nie chcą, więc jedyne, co mogą zrobić, to odciąć cię od źródła informacji.

- Mogliby użyć Becky, żeby mnie pojmać.

- E tam, do tego ona nie byłaby im potrzebna - wymamrotał Caramel, zamykając oczy.

Colin przypomniał sobie własne słowa, kiedy rozmawiał z młodą waderką w lesie pod Dijon. Gdyby jego działania były nie po myśli organizacji, nie zachowałby swobody ruchów. Dlaczego dopiero teraz uderzyła go trafność tej uwagi? Europejska organizacja jakby usuwała mu się z drogi. Nie przeszkadzano mu we włączędze, ale zarazem izolowano od innych członków społeczności. Jego zainteresowanie laboratorium rzeczywiście musiało być kapłanom szalenie nie na rękę... A mimo to woleli widzieć Colina na wolności.

- Caramel, jak myślisz, dlaczego jestem tak ważny dla kapłanów?

- Kurde, Colin, już prawie zasnąłem.

- Więc na chwilę oprzytomnij.

- Zadajesz mi to pytanie po raz trzeci. Powiedziałem ci, że nie wiem.

- A nie wydaje ci się - wycedził Colin, na próżno walcząc z irytacją - że jeśli zdołamy znaleźć na nie odpowiedź, wyjaśni nam się przy okazji sporo dręczących kwestii? Skup się, do cholery. Przypomnij sobie, czy czegoś na ten temat nie podsłuchałeś. Przecież nie chodzi wyłącznie o moje geny... Nie zadawałoby sobie tyle trudu dla paru silnych szczeniąt.

Taki powód swej wyrozumiałości podał mu niegdyś Udo, ale kapłan mógł kłamać lub zdradzać Colinowi tylko część prawdy - ostatecznie rozminął się z nią także w kilku innych punktach, a Colin ani razu nie wyczuł fałszu w jego wypowiedzi.

- Racja, też nie sądzę, żeby marzyła im się wataha niesubordynowanych furiatów - zgodził się skwapliwie Caramel.

- Jakich znowu furiatów?!

Caramel uniósł lewą powiekę.

- Oczy ci się przebarwiły - poinformował Colina. - Wprawdzie siedzimy sobie w samochodzie głuchą nocą, ale mimo wszystko znajdujemy się w mieście. Gdzieś tu może być zainstalowana kamera, a tobie za chwilę zaczniesz się wydłużać pysk. Zwyczajnie nie chce mi się wierzyć, że organizacja marzy o kilku kolejnych osobnikach, które nie potrafią zapanować nad przemianą w miejscu publicznym.

- Nie jestem furiatem - warknął Colin. - Celowo doprowadzasz mnie do szału...

- Pewnie. Ja, Gordon, Fish, twój brat, Stipe. Ale dobra, niech ci będzie, sporadycznie zdarza ci się nazbyt emocjonalnie zareagować. Co nie zmienia faktu, że jednemu lub kilku twoim dzieciom mogłoby zabraknąć tych resztek hamulców.

Colin przycisnął palce do skroni, walcząc o odzyskanie samokontroli. Caramel niby nie mówił niczego szczególnie denerwującego, a przecież ton jego głosu... na pozór

rozespany, leniwy... Psiakrew. Jeśli Colin rzuci się na smarkacza w centrum miasta, koncertowo dowiedzie tym jego racji.

- Zostawmy moje geny - powiedział wreszcie Colin. - Nie z ich powodu jestem ważny, w tym się zgadzamy. A teraz wysił trochę...

- Dobra, ale to tylko moje przypuszczenie - przerwał mu Caramel. - Potem dasz mi spać. Rozumiemy się?

Colin potaknął gniewnie.

- Jako brat Emily masz na nią spory wpływ - wyjaśnił Caramel. - Ona uważa cię za autorytet.

- Jeżeli Udo nie wybił jej tego z głowy - mruknął sceptycznie Colin.

- Stawiałbym na to, że nie wybił. Wręcz przeciwnie, utwierdza ją w przekonaniu, że jesteś najwspanialszym facetem pod słońcem. Sam pomyśl. Po raz pierwszy mają do czynienia ze świadomą o takich właściwościach. Może się okazać, że mała nie zechce ich słuchać, a wtedy pozostaniesz im ty, ostatnia deska ratunku. Dlatego nie chcieli niczego robić na siłę. Postanowiłeś jej szukać, proszę bardzo. Podejrzewam, że liczyli na to, że szybko się zniechęcisz, zatęsknisz za osadą i grzecznie wrócisz na stare śmieci. A potem, w razie potrzeby, bez oporów im pomożesz, czego przez przekorę nie zrobiłbyś, gdyby cię zamknęli.

- I z tego powodu Gordon usiłował mnie zabić? - zapytał z niedowierzaniem Colin.

Caramel westchnął.

- Powiedziałem ci, że to tylko moje przypuszczenia. Nie zaklepałem sobie wyłączności na myślenie, więc droga wolna, twórz własne wyjaśnienia.

Miarowe sapanie śpiącego Caramela doprowadzało Colina do szału. Furiat z niego, szczeniak miał słuszość. Niebezpieczny dla społeczności osobnik, który absolutnie nie powinien włączyć się samopas. Tak, musiał być cholernie ważny dla kapłanów, skoro jednak mu na to pozwolili.

Uczepił się tej otrzymanej od Caramela informacji, a przecież niewykluczone, że szczeniak został podesłany, żeby odciągnąć Colina od laboratorium. Owszem, smarkacz zgodził się na tę obserwację budynku czy wcześniejszą wizytę w mieszkaniu Becky, ale jednocześnie saczył Colinowi do ucha jad. Nastawiał go przeciw Gordonowi, podczas gdy lider chciał na przykład przed czymś bratanka ostrzec w związku ze śledztwem. Obecnie zaś Colin nie uwierzyłby w żadne zapewnienia stryja - żywiłby wątpliwości nawet wówczas, gdyby się okazało, że Caramel rzeczywiście pracuje dla kapłanów.

Cholera. Za dużo się zdarzyło tej nocy, Colin stracił kontrolę nad sytuacją. Siedział w toyocie, gapiąc się na laboratorium, jedynie dlatego, że tym sposobem stwarzał pozór

działania według planu. Tymczasem totalnie nie wiedział, jaki powinien być jego następny krok.

- Tin? Tin!

Dopiero kiedy po szóstym wezwaniu odpowiedziała zaspanym głosem, Colin uzmysłowił sobie, że minęła trzecia. U niej czwarta nad ranem. Ale właściwie, skoro rozmawiali telepatycznie, skąd ten zaspany głos? Czy myśli mogą tak brzmieć? Zaświtało mu nieprzyjemne podejrzenie, że Tin czekała na jego wezwanie, teraz zaś grała wyrwaną z głębokiego snu, żeby wzbudzić w nim poczucie winy.

- Coś się stało? - dociekała, nadal sennie.

- Ach nie, nic takiego. Tylko ktoś usiłował mnie zabić. A Becky okazała się świadomą i zapewne więcej jej nie ujrzymy. Za to dołączył do mnie Caramel, zasypując mnie gradem sensoryjnych informacji, podczas gdy ja nie mam pojęcia, czy powinienem wierzyć choć jednemu jego słowu.

- Czekaj, powoli. To wszystko zdarzyło się przed czy po naszej ostatniej rozmowie?

- O Jezu, nie miałem wtedy czasu na relacje - zirytował się. - Czy zamiast prawić mi kazania, mogłabyś mnie po prostu wysłuchać?

Niemal widział, jak Tin zaciska wargi.

- Naturalnie, Colin. Z chęcią cię wysłucham - powiedziała po chwili.

Nie spodobał mu się jej ton. Przez moment Colina korciło, żeby oznajmić jej, że jeśli nie ma ochoty rozmawiać, nie robi mu łaski. Tyle że bardzo potrzebował jej pozbawionego emocji spojrzenia. Poza tym lubił słuchać głosu Tin, nawet z tą cholerną nutką... Upomniał sam siebie. Do rzeczy.

- Eileen Laing - powiedział Colin, zerkając na duży cyfrowy zegar naklejony na deskę rozdzielczą przez ewidentnie niedowidzącego pierwszego właściciela toyoty. Sześć po siódmej. Laska faktycznie niemalże mieszkała w laboratorium. - Asystentka Karala. Wyjątkowa suka, splawiła mnie. Nie lubiły się z Becky, ale wszystko to mogło stanowić kamuflaż.

- Aha. - Caramel ziewnął przeciągle, bez entuzjazmu unosząc się na łokciach, żeby zerknąć na Eileen. Spóźnił się, przesłonił ją już murek, okalający teren laboratorium. - Wczoraj twierdziłeś, że nie upychaliby tutaj więcej niż jednego agenta.

- Cytowałem pogląd Alberta. Sam nie wiem. Becky pracowała tu dziewięć miesięcy, co swoją drogą trzeba sprawdzić. Dzieciak, którego namierzył Dirk, ma trzy lata, czyli Karal zajmował się świadomymi od co najmniej czterech... przy założeniu, że laboratorium

utworzono pod kątem badań nad lekiem na mukowiscydozę, a nie od razu dla celów organizacji. Jeśli od początku finansuje je organizacja, to będzie... pięć i pół roku. Becky albo zastąpiła innego agenta, czy też agentkę, na przykład poprzednią recepcjonistkę, albo dołączyła jako dodatkowa osoba.

- Mhm, fascynujące, ale w tej chwili przede wszystkim musiałbym się odlać - skwitował Caramel. - I coś zjeść. Nie jesteś głodny?

- Cholera, mówię o poważnych sprawach.

- Ja też.

- No to idź, centrum jest tam. - Colin machnął ręką przed siebie, poirytowany. Chociaż fakt, coś by przekąsił. - Kup mi przy okazji parę kanapek. Siedem. Albo dwa funty mięsa. Masz kasę?

- Spoko, poradzę sobie.

Caramel zapukał w dach toyoty i oddalił się niespiesznie.

Poniewczasie Colin zaniepokoił się, czy szczeniak mu nie zwieje. No, ale jeśli nawet, to co z tego? Miałby zdecydowanie więcej powodów do obaw, gdyby zostawił Caramela w wozie, z kluczami, a sam poszedł po wałówkę.

Smarkacz przepadł na blisko godzinę. Specjalnie tak się guzdrał, żeby zdenerwować Colina.

Po powrocie Caramel cisnął mu na kolana torbę z trzema tackami z mięsem na steki i wsiadł do toyoty.

- I co wymyśliłeś? - zapytał, wyjmując ze schowka notes, który zabrał z mieszkania Becky.

- Jeśli Eileen wyjdzie na lunch, spróbuję znów do niej zagadać...

- W biały dzień? Ja bym ją zgarnął wieczorem. Nawet przy założeniu, że jedynie pracowała z Karalem, nie wiedząc nic o organizacji, może powie nam coś interesującego, jeżeli stosownie ją zapytamy.

Colinowi niezbyt podobała się wymowa tego „stosownie zapytamy”. Nie dociekał jednak. Zatopił zęby w pierwszym steku.

- Dobra, więc zajmijmy się nią wieczorem - powiedział z pełnymi ustami. - A do tej pory? Cholera, Caramel, odłóż na chwilę ten notes.

- Kiedy tu są ciekawe rzeczy. Laska gromadziła facetów jak trofea. O, na przykład. „Paul. Za szybki. Uważa się za demona seksu”. Albo Douglas. „Trzy powtórki”. Sądzisz, że miała na myśli trzy kolejne wieczory? Czy jedno posiedzenie?

- I co ci to da? - zirytował się znowu Colin.

- Moim skromnym zdaniem lektura tych zapisków jest bardziej interesująca niż gapienie się na laboratorium. Potrzebujesz drugiej pary oczu, bo się obawiasz, że coś umknie twojej uwagi?

Tak naprawdę Colin miał ochotę się zdrzemnąć. Liczył na to, że Caramel podejmie się samodzielnej obserwacji, ale szczeniak wyraźnie dawał do zrozumienia, że tkwienie na tym parkingu wydaje mu się nonsensowne.

Organizacja załatwiła Karala i starannie usunęła ślady po jego badaniach związanych ze społecznością. Becky zostawiono tu ze względu na potencjalnych ciekawskich. Skoro obecnie odwołano ją ze stanowiska, wydawało się pewne, że przy laboratorium nie kręci się już nikt z organizacji, zatem stercząc tu, tracili tylko czas. Powinni raczej spróbować namierzyć firmę, która finansowała prace Karala. No i - czemu nie - wieczorem zacząć się na Eileen. W tej chwili dopiero minęła ósma rano, tak więc spokojnie mogli pojechać do hotelu, żeby się trochę odświeżyć. Zwłaszcza Colin, który we włosach miał sporo krwi.

- Zapisywała ich numery telefonów. - Caramel zerknął za zegar na desce. - Zacznę obdzwaniać tych gości. A nuż coś jej się przy którymś wymknęło.

- Co najwyżej wspomnienie ze zmyślonej przeszłości - mruknął sceptycznie Colin.

Caramel wyjął komórkę.

- Oszalałeś? - prychnął Colin. - Znajdź publiczny aparat.

- To na kartę, kupiłem na lotnisku. Potem wyrzucę. Zresztą nie robię nic złego. Kto miałby nas namierzyć? Założę się, że Becky przedzwoni do pracy, że babcia jej umarła albo mama zachorowała, dlatego musiała pilnie wyjechać. O tym, że jesteśmy w Dundee, organizacja i tak wie.

Colin jedynie sapnął. Naburmuszony wpatrywał się w budynek laboratorium, ze wszech miar starając się ignorować prowadzone przez Caramela rozmowy. Gnojek też nie miał koncepcji, co robić dalej, wymyślił więc sobie to idiotyczne zajęcie. Minionej nocy należało się włamać do laboratorium, a nuż by się im poszczęściło. Albo i nie.

- Nie, no nie, facet, żebyśmy się źle nie zrozumieli - mówił Caramel. - Jestem tylko jej kumplem, stare dzieje.

Mimo woli Colin wsłuchał się w tę wymianę zdań. Gość po drugiej stronie zadawał coraz bardziej nerwowe pytania, zaniepokojony zaginięciem Becky - taką wersję Caramel przedstawiał swym rozmówcom. Kolega z dawnych lat, zatrzymał się na kilka dni u kumpeli, a ona wczoraj wieczorem poszła gdzieś na imprezę i nie wróciła, chociaż zapowiadała, że pokaże się o przyzwoitej porze. Komórki nie odbiera. Pewnie nic wielkiego, ale Caramel znalazł notes, w którym pisała o swoich amantach... Robił z siebie kretyna, poszukiwacza

afer, rozdmuchującego najbanalniejsze zdarzenie do rozmiarów katastrofy lotniczej. Przeważnie go zbywano, uznając za żartownisia, ale aktualny rozmówca się przejął.

- Zakochany w niej na umór - obwieścił Caramel po zakończeniu połączenia. Umówił się z facetem za pół godziny pod domem Becky.

- Zawiadomi policję - mruknął sceptycznie Colin. - I tak niczego się od niego nie dowiesz.

- Eee, za krótko jej nie ma, zawsze musi minąć ileś tam godzin. Poza tym gość się orientuje, że na cnotkę nie trafił. Wyszedłby na idiotę, gdyby zrobił aferę, a potem by się okazało, że laska tak się zatraciła w ramionach innego, że zapomniała o bożym świecie.

- Mieliśmy pilnować laboratorium.

- Ależ pilnuj sobie - zachęcił go entuzjastycznie Caramel. - Gość wie tylko o jednym serdecznym przyjacielu z dzieciństwa, byłbyś tam nie na miejscu.

- Ale po cholere ci on?

- Oj, Colin. Facet ją kocha? Tu się zgadzamy?

Colin niechętnie skinął głową. Nie umknęły mu wibrujące w głosie tego typka emocje. Bez wątpienia biedak wpadł po uszy.

- No, zatem jakie są szanse, że ona także odrobinę się w nim zadurzyła? - drażył Caramel.

- Przecież to człowiek - prychnął Colin.

- Ach, żeby tak zawsze samemu się decydowało, na kogo padnie...

- Dobra, przypuśćmy, że też się zakochała - warknął Colin. - Co z tego?

- Jak to co z tego? Jeśli dorwiemy światełko życia naszej agentki, zyskamy nie lada argument przetargowy. I to właśnie dzięki temu, że chodzi o człowieka. O świadomego zawalczyłaby cała organizacja, choćby dla stworzenia pozorów, że tak dba o swoich. Za człowiekiem nie wstawi się nikt poza Becky.

Jak Colin by postąpił, gdyby porwano Tin? Ciarki przeszły mu po plecach na samą myśl o takiej sytuacji. Psiakrew, Caramel miał rację. Jeśli Becky czuła miętę do tego faceta, prawdopodobnie będzie skłonna złamać zasady, żeby go ratować.

Tylko czy silna alfa zakochałaby się w człowieku?

Caramel wysiadł, mimo że do umówionej pory spotkania zostało mu trochę czasu. Colin odprowadził kumpla wzrokiem. Właściwie co szczeniak planował w związku z tym gościem? Uprowadzenie? W biały dzień, z centrum miasta?

- Tin? - zawołał Colin w myślach. O tej porze zapewne już pracowała w *caveau*, liczył jednak, że wygospodaruje dla niego chwilę.

Jak Colin powinien był się spodziewać, Tin nie podzieliła jego sceptycyzmu w kwestii uczucia świadomej do człowieka.

- Wytlumacz mi, w czym ludzie są od nas gorsi - naciskała. - Bo o to ci chodzi, prawda? Mimo że oficjalnie nie popierasz tego typu poglądów...

- Och, do diabła! Nie twierdzę, że są gorsi. Po prostu... po prostu związek z człowiekiem jest zbyt kłopotliwy. Obowiązujące w społeczności zasady nie pozwalają, żeby się w pełni rozwinął...

- Te wasze zasady to kompletna bzdura! - wykrzyknęła z pasją. Znowu „wasze”. - Niby dlaczego nie należy wiązać się z ludźmi? Dlaczego nie wolno wyjawiać prawdy ludzkiemu partnerowi?

- Zastanów się, co mówisz!

- Zastanawiałam się - odparła twardo. - Ty natomiast akceptujesz zasady w takiej formie, w jakiej ci je podano, nie dostrzegając, jakie są momentami nonsensowne.

- Opracowywano je przez lata...

- Właśnie! Mądrość przodków! Otrzymujesz je z taką etykietką i nie śmiesz niczego kwestionować, bo przecież najmądrzejsi ze społeczności formułowali je przez wieki.

Colin zacisnął zęby, z trudem powstrzymując się przed powiedzeniem Tin czegoś przykrego. Całe szczęście, że nie rozmawiali twarzą w twarz. Kto jak kto, ale akurat on często podawał w wątpliwość rozmaite twierdzenia, którymi go raczono na szkoleniach.

- Czy łowcy nie są ludźmi? - ciągnęła nieco spokojniej Tin. - Znają prawdę, będąc przy tym wrogami społeczności. I co? Czy rozgłaszają światu nasze istnienie? Tym bardziej nie widzę powodu, żeby to miała zrobić osoba, która kocha jednego z nas.

- Dzisiaj kocha, za dwa lata przestanie.

- A biedny świadomy się nie zorientuje? Wyczuwamy kłamstwo. Sam mówiłeś, że nawet najslabsze bety wychwytyją zdradliwe mikrodrżania w ludzkim głosie. I będą wierzyć w słowa „kocham cię”, padające bez przekonania? W zapewnienia, że późny powrót do domu spowodowała kolacja służbowa, a nie spotkanie z kochanką? Nie wywęszą obcego zapachu na ciele partnera? W ogóle dlaczego zakładasz, że prawdziwa miłość jest możliwa wyłącznie między dwojgiem świadomych? Że człowiek zawsze w końcu zdradzi, a każdy świadomy dochowa wierności? Biorąc pod uwagę związki, o których mi opowiadałeś, wcale nie jestem przekonana, że ta nieśmiertelna wilcza miłość sprawdza się w każdym przypadku.

- O kim mówisz? - burknął Colin. Na dziś zaczynał mieć dosyć tego jej świeżego spojrzenia.

- Na przykład o Adzie i Fishu.

- O Adzie i Fishu? - Zdumiał się tak bardzo, że chwilowo opadł z niego cały gniew.

W oczach Colina tych dwoje tworzyło związek bliski ideału, do którego on sam pragnął dążyć, odkąd poznał Tin. Po czym Tin zniechęca oznajmiała mu, że uważa tę parę za przykład na niedoskonałość wilczej miłości. Czyżby Colin nie zdołał odpowiednio przekazać jej swoich odczuć i obserwacji? Fish nieco go irytował - był słabszy od Colina, a rościł sobie prawo do wydawania mu poleceń! Jednakże, obiektywnie patrząc, Fish lepiej od niego nadawał się na lidera straży - i Colin miał nadzieję, że zdołał przedstawić Tin postać kolegi, unikając dyktowanych zazdrością komentarzy.

- Co ci się nie podoba w ich związku? - dociekał. - Kłóć się, jasne, ale... - Ale Fish nigdy nie nazwałby Ady „pierdoloną suką”. Tylko że nie o tym teraz rozmawiali. - Słuchaj, jeśli przez przypadek przekazałem ci więcej obrazów napięć między nimi... to dlatego, że takie rzeczy bardziej zapadają w pamięć niż długie okresy sielanki.

- Czyli Fish jej nie okłamuje? - zapytała cicho Tin.

- Oczywiście, że nie. Czy ja powiedziałem coś takiego?

- Kiedy jako przywódca straży otrzymuje instrukcje od lidera, a podwładnym przekazuje okrojony wersję...

- Rany, tak - przerwał jej Colin. - Ale to są sprawy zawodowe. Zresztą skoro są parą, utrzymują kontakt... mentalny, telepatyczny, tak jak my. Więc Ada doskonale wie, kiedy Fish mija się z prawdą.

- Dlaczego zakładasz, że każda zakochana para doświadcza bliskości podobnej do naszej? - zdziwiła się Tin.

- Noo... przyjąłem, że miłość... miłość między dwojgiem świadomych, a przynajmniej dwojgiem silnych alf, automatycznie pociąga za sobą...

- Nie wiem - powiedziała bez przekonania Tin, przy czym Colin odniósł wrażenie, że powstrzymała się od zdecydowanego „nie” tylko dlatego, że nie chciała go denerwować. - Ilu świadomych miewa przecucia? Moim zdaniem oboje wykazujemy większą wrażliwość na sygnały pozazmysłowe, stąd potrafimy czytać sobie w myślach. Natomiast stąpający twardo po ziemi Ada i Fish są po prostu kochającą się parą i nie różnią się od dwojga związanych ze sobą ludzi. A właściwie... nie wątpię, że Ada go kocha, ale Fish... dla niego ona nie jest tak ważna, jak być powinna.

Tradycyjnie zagięła Colina. Jasne, przecież Adzie i Fishowi zdarzały się nieporozumienia na tle tego, że on coś powiedział, a ona niewłaściwie zinterpretowała tę wypowiedź, i vice versa. Colin w każdej chwili mógłby podać przykłady tego rodzaju

sytuacji, ale jakoś nie brał ich pod uwagę. Założył, że choć z własnego punktu widzenia przeżywa coś wyjątkowego, generalnie jego doświadczenia nie różnią się od tych, jakie stają się udziałem wszystkich zakochanych alf, jeśli już nie wszystkich zakochanych świadomych. A tymczasem Tin miała rację: ich niezwykle kontakt telepatyczny niewątpliwie wiązał się z przecuciami, rzadkimi wśród członków społeczności.

Jak zatem wyglądały relacje Ianthe i Godfrey? W trakcie długiej europejskiej włóczęgi Colinowi zdarzało się snuć rozmaite przypuszczenia, w tym i takie, że jego matka żyje, ale organizacja z jak zwykle tajnych względów zabroniła jej dalszych kontaktów z mężem i synem oraz upozorowała jej śmierć. Wymyślał różne scenariusze, wyobrażał sobie nawet scenę własnego spotkania z matką po latach. Kiedy poznał Tin, kiedy zaistniała między nimi ta wspólnota myśli, zrozumiał, że gdyby Ianthe żyła, Godfrey z pewnością by o tym wiedział. Przyjął też, że ojciec odczuł jej śmierć na długo przed tym, nim zakomunikował mu o niej wracający z tamtej akcji członek straży.

Teraz słowa Tin na nowo rozbudziły w Colinie nadzieję. Godfrey nie miewał przecuć. Jakaś więź z Ianthe odczuwał niewątpliwie, może jednak była ona na tyle słaba, że uwierzyłby w sfingowaną śmierć żony?

- Ada na pewno doskonale rozpoznaje u niego kłamstwo, nawet jeśli nie słyszy jego myśli - powiedział Colin, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości. - A jeżeli nie, Fish naświetlił jej sytuację. Jest liderem, odpowiada za cały zespół. Nie wolno mu stawiać osobistych relacji na pierwszym miejscu.

- Wyjaśnił jej swoje powody czy nie, i tak ją okłamuje. Ty mówisz o nieśmiertelnej wilczej miłości jako o uczuciu stojącym ponad wszystkim innym, ideale, w którym nie ma miejsca na kłamstwo. Z kolei miłość między ludźmi uważasz za niedoskonałą właśnie dlatego, że z góry zakładasz, że partnerzy będą się oszukiwać. Stąd wnosisz, że ludzki partner prędzej czy później zdradzi świadomego. Moim zdaniem, Colin, nawet jeśli Fish okłamuje Adę nie bardziej niż pozostałych członków straży, za kilka lat zacznie szerzej wykorzystywać swoje umiejętności. Gdyby Ada *związała*, się z człowiekiem, zawsze wiedziałyby, kiedy on kłamie.

- No dobrze, pewnie masz rację - ustąpił Colin, z ulgą wracając na bezpieczniejszy grunt: do tematu Becky i jej ludzkiego kochasia. - Wiele mieszanych związków miałyby szanse przetrwać całe życie. Ale jednak na dłuższą metę ujawnianie tajemnicy ludziom przyczyniłoby się do zguby społeczności. Nawet przy obecnych obostrzeniach przydarzają się wpadki, rozhisteryzowani małżonkowie, którymi trzeba się zająć...

- Widziałeś jakiegoś? Czy znasz te sytuacje wyłącznie z drugiej ręki?

Naturalnie wiedziała, że Colin poznał tylko teorię. Och, tak, prezentowano mu przykłady z życia, ale nie zdołałby stwierdzić, co z tego faktycznie zaszło. Ani też, czy jeśli już trafił się taki rozhisteryzowany małżonek, to odpowiedzialności za jego stan ducha nie ponosiła właśnie organizacja.

- Zgoda, obiektywnie rzecz biorąc, miłość między świadomym a człowiekiem może się okazać bardzo podobna do tej łączącej dwoje świadomych - powiedział. - Niemniej organizacji taki układ nie odpowiada. Każdego świadomego... uczy się, że związek z człowiekiem oznacza kłopoty. Udrękę skrywania tajemnicy, niemożność prawdziwego zjednoczenia. Siłą rzeczy ludzie nie są postrzegani jako atrakcyjni partnerzy.

Milczała, a Colin odkrył, że właśnie dostrzegł pewną oczywistość. Członków społeczności tresowano, od najmłodszych lat. Zresztą podobnie twierdził Alberto: że organizacja manipuluje masami, a zwłaszcza silnymi osobnikami, które potencjalnie najłatwiej mogłyby się zbuntować.

- Chodzi mi o to - podjął cicho - że nawet jeśli zdarzy się miłość idealna między świadomym a człowiekiem, organizacja ją zniszczy. A potem przedstawi jako kolejny dowód na to, że z ludźmi nie należy się wiązać.

- Nie musi być aż tak źle - zauważyła łagodnie Tin. - Masz rację, wiązanie się z ludźmi jest ryzykowne. Nic dziwnego, że organizacja stara się zapobiegać takim relacjom. Niewykluczone jednak, że kiedy układ tego rodzaju już zaistnieje, organizacja w niego nie ingeruje. Wmawia temu konkretnemu świadomemu, że zrobiono dla niego wyjątek, czym nie wolno mu się pod żadnym pozorem chwalić.

- Idealizujesz - mruknął Colin.

Przypuszczał zresztą, że Tin tylko stara się podnieść go na duchu, w gruncie rzeczy zaś wątpi w taką wyrozumiałość rządzących społecznością.

- Wniosek z naszych rozważań jest taki, że Becky mogła się zakochać w człowieku, i to tym mocniej, im bardziej wierzyła pierwotnie w twierdzenia o ułomności takiego uczucia - podjął w zadumie Colin. - Zapewne walczyła z nim... bo dla niej oznaczało ono złamanie zasad. Jeśli więc w końcu uległa, we własnym mniemaniu stała się buntowniczką. Nie powinna długo się wzbraniać przed złamaniem kolejnych zasad, żeby ocalić swojego faceta. Choć może się okazać, że gość się zadurzył, a z jej punktu widzenia to tylko namolny palant.

- Co planuje Caramel? - zapytała z niepokojem Tin.

- Nie wiem. Chyba nic drastycznego. - Colin wcale nie był o tym przekonany. - Długo go nie ma...

- Opowiedz mi o nim coś więcej.

Poczuł ukłucie zazdrości. Wcześniej przekazał Tin trochę informacji na temat Caramela, kiedy opisywał jej poszczególnych członków straży. Logiczne, że teraz bardziej się nim zainteresowała - przecież smarkacz został towarzyszem jej faceta. Doprawdy, Colin nie miał najmniejszego powodu być zazdrosnym.

Niemniej obawiał się, czy opisując Caramela jako jednego z najbardziej niezależnie myślących spośród znanych mu członków społeczności, nie wzbudza przypadkiem w Tin fascynacji smarkaczem. Dotąd krzywiła się, że świadomi, nawet silne alfy, ślepo podporządkowują się zasadom, których nonsensowność ona, osoba z zewnątrz, dostrzega na pierwszy rzut oka. I proszę, Colin podsuwał jej pod sam nos Caramela, rozsądnego buntownika, mającego własne zdanie, ale zarazem mądrze kalkulującego, czy w danej sytuacji sprzeciw się opłaca. A jeśli Tin uzna szczeniaka za godniejszego siebie partnera?

Minęła przeszło godzina od wyznaczonej przez Caramela pory spotkania z kochasiem Becky. Psiakrew. Colin uzmysłowił sobie, że nie zna numeru jednorazowej komórki smarkacza. Caramel także nie miał jego numeru, nie uzgodnili awaryjnego miejsca spotkania. Colin w duchu sklął szczeniaka. A gdyby Eileen opuściła w pośpiechu laboratorium?

Okoliczność, że budynek i jego otoczenie wręcz tchnęły spokojem, niczego nie zmieniała. Caramel nie mógł z góry wiedzieć, że tak będzie. Nieodpowiedzialny gnojek. Rzeczywiście liczył, że osiągnie cokolwiek rozmową z jakimś palantem?

No, nareszcie.

- Poznaj Josha - powiedział Caramel, otwierając drzwi i od strony pasażera. - Josh uważa, że balowanie w dzień powszedni nie pasuje do Becky. Pakuj się na tylne siedzenie, Josh.

- Becky bardzo sumiennie podchodzi do swojej pracy - zapewnił Josh, kiedy już zajął miejsce z tyłu i przywitał się z Colinem. W jego głosie pobrzmiwał niepokój.

- Ach tak? - mruknął Colin.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - zaatakował natychmiast Josh.

Wyraźnie zżerała go zazdrość. Podejrzewał Colina o romans z Becky, przy czym sprawiał wrażenie zaprawionego w bojach, jakby nie po raz pierwszy mierzył się z przykrą prawdą, że wierność nie leży w naturze jego ukochanej. Facet na oko grubo po trzydziestce, o aparycji poważnego, choć nieco misiowatego biznesmena... a zakochał się w blond trzpiotce? Pewnie wszyscy znajomi doradzali mu, żeby znalazł sobie godniejszego obiektu uwielbienia.

- Podjedziemy do tego pensjonatu... - zaczął Caramel.

- McIlquham Farm - wtrącił Josh. - Właściwie to raczej miejsce dla rodzin z dziećmi,

tak że kompletnie nie rozumiem... - Nie dokończył. Caramel nieźle go nakreślił, gość zachowywał się tak, jakby oczyma wyobraźni widział Becky poćwiartowaną przez szaleńca.

- Przypomniałem sobie, że Becky wymieniła tę nazwę, kiedy się wczoraj szykowała na wieczór - wyjaśnił Colinowi Caramel na użytek Josha. Pewnie wypatrzył tę nazwę na jakiejś ulotce. - Wstąpimy tam zapytać.

Colin posłał kumplowi wymowne spojrzenie. Mieli obserwować laboratorium! Przynajmniej jeden z nich powinien trwać na posterunku, i to dysponując samochodem. Jeśli smarkacz chciał gdzieś jechać, mógł skorzystać z wozu Josha. Caramel uniósł brwi, uśmiechając się nieznacznie: chyba nie będą się spierać przy obcym? Zakławszy pod nosem, Colin ostro wystartował.

- Kieruj się na Perth... na Edynburg - powiedział Josh. - A właściwie... właściwie czego szukałeś pod pracą Becky?

- Otóż Andy postanowił... - zaczął Caramel, ale w tej chwili odezwała się komórka Josha.

Facet nerwowo szperał po kieszeniach, jakby liczył, że dzwoni Becky lub przynajmniej osoba, która udzieli mu wiarygodnych informacji na temat losów dziewczyny. Colin przekrzywił wsteczne lusterko, żeby lepiej widzieć typka. Josh wreszcie znalazł telefon i przez dwie sekundy gapił się tępo na wyświetlacz. Najwyraźniej numer nic mu nie mówił.

- Halo? - zapytał Josh ostrożnie.

A jednak to była Becky. Przepraszającym tonem wyjaśniła, że wyjechała z miasta w pilnej sprawie rodzinnej i nie potrafi stwierdzić, kiedy wróci. Chciała tylko powiadomić Josha, żeby nie zaczął świrować, bo jak na złość wysiadła jej komórka, tak że przez jakiś czas będzie niedostępna. Zdawało się, że samym tonem głosu Becky stara się zniechęcić Josha do podejmowania prób kontaktu w przyszłości.

Caramel uśmiechnął się pod nosem: gdyby jej nie zależało na Joshu, w ogóle by nie dzwoniła. Pies go jebał, pieprzonego geniusza. Becky zniechęcała faceta dla jego własnego dobra, żeby komuś w organizacji nie wydał się zbyt dociekliwy.

- Rany, całe szczęście. - Josh nie krył ulgi. - Twój kolega zdążył mnie zdenerwować...

- Kolega? - W głosie Becky pojawił się niepokój.

- Daj mi ją. - Caramel odwrócił się na siedzeniu i wyrwał Joshowi komórkę z dłoni. - Halo, maleńka - powiedział radośnie do mikrofonu. - Nie powinnaś tak znikać. Wypadało zostawić chociaż kartkę.

Po przeciwnej stronie zapanowała cisza.

- Ach, zostawiłaś? - odezwał się znów Caramel. - Kurde, ofiara ze mnie.

- Ty jesteś ten drugi - powiedziała z rezerwą Becky. Walczyła, żeby zapanować nad emocjami w głosie, choć zdradziła się samym telefonem. Colin starał się nie przekraczać dozwolonej prędkości, a zarazem pragnął jak najszybciej wydostać się z miasta i znaleźć dyskretny lasek, gdzie spacyfikują Josha.

- Czyli kiedy możemy oczekiwać cię z powrotem? - dopytywał się Caramel, nadal radosnym tonem najlepszego kumpla. - Puścilibyśmy się całą czwórką wieczorem w miasto... To znaczy z Joshem i Andym. Mam nadzieję, że pojawisz się najdalej za dwa dni?

- Jeśli myślisz, że on coś dla mnie znaczy...

- Aha, czyli nie czekać na ciebie?

- Skończyłam zadanie w Dundee, a teraz zapobiegam potencjalnym dociekaniom różnych idiotów, którzy ubrdali sobie, że mają prawo kontrolować moje poczynania - wyjaśniła chłodno Becky. - Nie zdajesz sobie sprawy, jaki ten typ potrafi być upierdliwy...

- Spoko, załatwimy problem za ciebie - zapewnił ją Caramel. - No to pa.

Przerwał połączenie.

- Ej, chciałem z nią jeszcze zamienić dwa słowa! - zaprotestował Josh, wyciągając rękę po komórkę.

Caramel jakby nie dostrzegł tego gestu.

- Stary, z laskami trzeba twardo - oznajmił, patrząc na drogę przed nimi. - Żadnego proszenia, pieprzenia, tylko „zależy ci na mnie, to przyjedziesz”, a jeśli nie, to do widzenia. Kiedy ona się zorientuje, że przeholowała i może cię stracić, zrobi się pokorna jak trusia. Chyba że jej nie zależy, ale wtedy proszeniem i pieprzeniem tym bardziej niczego nie osiągniesz.

Adresował swoją przemowę w równym stopniu do typka z tyłu, jak do Colina. Jakby Colin potrzebował wyjaśnień! Oczywiście, że jeśli Becky zależało na facecie, odezwie się ponownie, jeśli zaś nie, kontynuowanie rozmowy z nią zdałoby się na nic. Groźby Caramela brzmiały dostatecznie czytelnie; nawet Colin, mimo że słuchał jego wypowiedzi bez zniekształceń wywołanych przekazem na odległość, nie potrafił orzec, czy kumpel blefował. No, ale Caramel nie zabiłby chyba Bogu ducha winnego człowieka tylko po to, żeby dowieść, jaki z niego twardziel? Jeśli Becky oleje sprawę, likwidacja Josha przyniesie im co najwyżej idiotyczną satysfakcję, że dotrzymali słowa.

Jednak Becky wróci. Colin słyszał zapowiedź tego w jej głosie - narastający przestach, kiedy starała się wyważyć argumenty. Podejmie decyzję po ciężkiej wewnętrznej walce, niemniej w końcu przyjedzie. Jeśli pokochała tego żalostnego faceta, nie zniesie myśli, że miałyby go tak szybko zabraknąć w jej życiu, przy czym największe uwielbienie dla zasad

będzie zmuszone ustąpić przed tą obawą. Tak, obecnie Colin doskonale tę prawdę rozumiał.

A że laska wybrała sobie żaloszny obiekt westchnień, to osobna kwestia. Josh właśnie całkiem się rozkleił, żaląc się Caramelowi, jak Becky nim pomiata. O tak, powinien ją rzucić i znaleźć sobie porządną dziewczynę, ale zdawać sobie z czegoś sprawę to jedno, a wprowadzić wnioski w życie - całkiem co innego. Rany. Colin zaczynał się zastanawiać, czy likwidacją tego mazgaja nie wyświadczyliby Becky przysługi.

- O, Andy, zerknij no na ten hotelik. - Caramel wskazał drogowskaz z zachęcającym malowidłem. Zachęcającym dla kogoś, kto przyjechał w te strony z gromadką dzieciaków. - Weźmiemy pokój i pogadamy bez przeszkód.

- Pokój? - Colin zdecydowanie wolałby lasek. Taniej, dyskretniej.

- Ja stawiam - oświadczył dziarsko Caramel. - Prawda, Josh? Pogadamy spokojnie.

Mężczyzna ochoczo pokiwał głową. Co za naiwny facet... Colin zerknął na Caramela. Ciekawe, że wcześniej nie zwrócił uwagi na jego długie rzęsy i łagodne, głębokie, prawie kobiece oczy, niebywale zachęcające do zwierzeń. Caramel zawsze tak miał? Czy akurat teraz pozował na idealnego powiernika - skutecznie zresztą, gdyż Josh bez oporów wykonywał jego polecenia, wyraźnie marząc o chwili, kiedy będzie mógł dalej wylewać swe żale.

Gdyby decyzja należała do Colina, w pokoju od razu zdzieliłby Josha w łeb, zakneblował, związał i zamknął w łazience. Potem spokojnie zapytałby Caramela, czy nie dało się załatwić tej sprawy tak, żeby jeden z nich - Colin - został pod laboratorium.

Cóż, skoro Caramel najwyraźniej uwielbiał słuchać cudzych wynurzeń. Posadził Josha na łóżku, nalał mu wody i zachęcił do większej otwartości, mrugając przy tym dyskretnie do Colina. A niech sobie gawędzą.

Colin wzruszył ramionami, wziął szybki prysznic i ulotnił się z pokoju.

- Gdzie go posiałeś? - zapytał po powrocie.

- Leży w łazience - odparł Caramel, przelotnie odrywając wzrok od książki, z którą rozwalił się na łóżku.

Colin zerknął na smarkacza podejrzliwie. Nadstawił uszu. Z łazienki nie dobiegał żaden dźwięk.

- Chyba go nie...?

- Nie drze się karty atutowej - mruknął Caramel. - Zajrzyj tam.

Colin nie zajrzał. Usiadł na drugim łóżku. Ostatecznie sam wcześniej rozważał zapakowanie Josha do łazienki: wydawało się to po prostu najpraktyczniejszym rozwiązaniem.

- Zdawało mi się, że zgodziliśmy się co do tego, że będziemy obserwować laboratorium - powiedział Colin półgłosem, na tyle cicho, żeby Josh, jeśli był przytomny, nie usłyszał, o czym mówią.

- Ach. - Caramel zamknął książkę i podniósł się na łóżku. - Nie cierpisz zmieniać planów, co? Śmiem twierdzić, że na okoliczność obserwacji laboratorium są przygotowani, natomiast uprowadzając tego faceta...

- Tak, wiem - warknął Colin. - Gratulacje. Aż dziw bierze, jak często wychodzi na twoje.

Prawdę mówiąc, Colin wrócił pod laboratorium. Warował na parkingu do wieczora, żeby się przekonać, że wszyscy pracownicy, z Eileen Laing włącznie, kolejno bez pośpiechu rozjeżdżają się do domów. Asystentkę nawet śledził, lecz ostatecznie zrezygnował z próby ponownego kontaktu. Jeśli w laboratorium pozostał agent organizacji, będzie go cholernie trudno zidentyfikować. Na Becky przynajmniej mieli haka.

Wymeldował się z hotelu w Dundee, zabierając torbę z ciuchami - nic niezbędnego, po co koniecznie musiałby wracać, ale skoro znalazł się w pobliżu, wołał dopełnić tej formalności. Tym bardziej że ubiegłej nocy stan jego garderoby uległ istotnemu uszczupleniu; tak przynajmniej nie musiał kupować rezerwowego zestawu ubrań. Po cichu liczył, że hotelu ktoś pilnuje; niestety, nikogo nie zwęszył, nikt go nie śledził. Colinowi pozostało zatem uznać wyższość planu Caramela. Tylko czy nie wydawała się podejrzana łatwość, z jaką Caramel znalazł tego haka na Becky?

- Colin, bracie, ty słuchasz przeczucia, zgadza się? - zagadnął pogodnie Caramel. - Takiego tubalnego głosu, który jak krowie na rowie mówi ci, co powinieneś zrobić? No więc weź łaskawie pod uwagę, że inne osoby niekiedy kierują się w swoich poczynaniach niezwyklejszą intuicją. Wiesz, jak detektyw, który zarządza ponowne przesłuchanie zrozpaczonej wdowy. Wszyscy patrzą na niego jak na bezdusznego palanta, a później okazuje się, że to właśnie wdówka zabiła.

Bezduśzny palant. O tak, Caramel trafnie siebie określił. Colin z trudem powstrzymał cisnący mu się na usta komentarz.

- Becky się odezwała? - zapytał zamiast tego.

- Nie. Dałem jej dwa dni. Zechce nas trochę przetrzymać. Albo raczej dojść do ładu z własnymi uczuciami.

- A jeśli zwycięży w niej lojalność wobec organizacji?

- Tak naprawdę niewiele ryzykujemy. - Caramel wzruszył ramionami.

- No a jeśli zwoła ekipę, żeby go odbić? - drażył Colin.

- Jeżeli jej na nim zależy, a przy tym ma choć trochę oleju w głowie, zachowa sprawę w tajemnicy.

- Jesteś bardzo pewny swego.

- Ach tak? Pomyśl chwilę. Zakazano jej dalszych kontaktów z tobą. Kapłani nie chcą twojej śmierci, ale twoje zainteresowanie badaniami Karala także im nie leży, więc wszystkim agentom związanym ze sprawą nakazali trzymać się od ciebie z daleka. Porwałś Josha? Jeśli Becky ma go gdzieś, zda szefostwu raport, i tyle. Nikt się nie pojawi, żeby ratować jednego nieistotnego człowieka. Jeżeli zaś będzie chciała ocalić faceta, zatrzyma te plany dla siebie. Każdy z jej kumpli-agentów natychmiast by o nich doniósł, dla jej własnego dobra, żeby dziewczyna się w porę opamiętała, a w takim przypadku, jeśli my nie załatwilibyśmy Josha, zrobiłaby to organizacja.

- Chyba się trochę zagalopowałeś - mruknął Colin. Josh nie łąpał się na razie do kategorii rozhisteryzowanych małżonków, których należy usuwać, żeby świat nie usłyszał o społeczności. Nie wiedział nawet, w kim się zakochał.

- Chyba jesteś trochę naiwny - odparował beztrzesko Caramel. - Ona zadzwoni. Będzie działać sama. Ustalimy warunki. We dwóch mamy nad nią przewagę.

Naiwny, psiakrew. Dotąd Colinowi wydawało się, że wykazuje niespotykany w społeczności sceptycyzm wobec opowieści o tym, jak wysoko ceni się w organizacji ludzkie życie. Niemniej zabijać faceta wyłącznie dlatego, że stanowi on pokusę dla agentki?

Jednakże Becky będzie rozumować podobnie jak Caramel. Dali jej za mało czasu, żeby zdołała dyskretnie wy badać, jakie stanowisko zajęłaby organizacja wobec Josha. Nie podejmie ryzyka angażowania osoby trzeciej w odbijanie jej faceta.

W sam telefon od Becky Colin nie wątpił. Kochała tego typka, jakkolwiek by się okazał żaloszny. I była silną alfą - inaczej nie zdołałaby oszukać Colina. Silne alfy są na tyle niezależne, że nie przeraża ich życie poza społecznością, a przy tym obdarzone przez naturę umiejętnościami, które pozwalają na przeprowadzenie samodzielnej akcji.

Becky odezwała się po północy. Twardo negocjowała warunki wymiany informacji za Josha, jednak Caramel nie poszedł na żadne ustępstwa. Przedstawił jej plan: spotkają się w cztery oczy, podczas gdy Colin (to znaczy Andy Bell) będzie czekał z Joshem w wozie stosunkowo niedaleko, przysłuchując się rozmowie przez telefon. Kiedy Caramel uzna, że otrzymał od Becky upragnione wiadomości, pożegnają się i on się spokojnie oddali. Znalazłszy się w bezpiecznym miejscu, da sygnał Colinowi, żeby wysadził Josha na stacji benzynowej lub w jednej z okolicznych wiosek. Zwróć Joshowi komórkę, tak więc Becky

bez problemu skontaktuje się ze swoim kochaniem i go sobie odbierze.

- Chcę z nim porozmawiać - zażądała.

- Żeby ci na przykład zdradził, gdzie w tej chwili jesteśmy? - zapytał Caramel. - Mogę się zgodzić co najwyżej na kilka stęknąć. Josh, zastękał do telefonu - zachęcił zakneblowanego jeńca. Wymiana miała nastąpić kolejnej nocy.

- Przydałby się dyktafon, żeby nic nam nie umknęło - stwierdził Caramel po zakończeniu rozmowy z Becky.

- A jego trzeba nakarmić.

- Czy ty właśnie posyłasz mnie do sklepu? - zapytał Colin.

- No nie teraz. Jutro z rana. Zresztą sam mogę się kopnąć. Kończy mi się zapas snickersów.

Colin zmrużył oczy. Czy powinien powierzać Caramelowi swój samochód? A jeśli smarkacz się zmyje i zostawi go tu z Joshem? Najgorsze, że gówniarz doskonale zdawał sobie sprawę z rozterek Colina. Celowo go podpuszczał, wyrażając chęć samodzielnej wyprawy do miasta.

Caramel tymczasem rzucił się na łóżko, jakby negocjacje z Becky kompletnie go wycieńczyły.

- Skąd ty właściwie wytrzasnąłeś kasę? - zapytał Colin. Gdyby Gordon nie sprezentował mu swojego lincolna, Colin miałby problem z utrzymaniem się w Europie. Na przelot i kilka pierwszych tygodni wystarczyłoby mu forsy, jaką dostał za motor, później jednak zmierzyłby się z nie lada problemem. Od jakiegoś czasu zresztą coraz bardziej bolało go każde wydane euro czy, jak tutaj, funt. A Caramel nie posiadał nic na sprzedaż - ba, do niedawna nie miał nawet ciuchów.

Bo też czego potrzebuje do szczęścia wilk? Kiedy w osadzie, przy okazji cotygodniowej wyprawy zaopatrzeniowca do marketu, każdy składał zamówienie na podstawowe artykuły, Caramel prosił jedynie o środki przeciwpchelne, jako że cierpiał na delikatną obsesję na punkcie pasożytów. Ach, i o słodycze, oczywiście, tych pochłaniał niewiarygodne ilości. Nie zdarzało się, żeby kupował sobie cokolwiek osobiście, jak inni mieszkańcy na przykład ubrania, toteż nie dostawał do ręki - czy raczej łapy - pieniędzy, z których mógłby zatrzymać co nieco dla siebie. Nigdy nie jeździł sam na akcje, tak więc nie miał okazji pomanewrować przy rozliczaniu wydatków. Po czym nagle stać go było na bilet lotniczy, opłacenie hotelu dla trzech osób i inne drobiazgi. Psiakrew, Colin powinien był wcześniej zwrócić uwagę na tak podejrzaną okoliczność.

- Aktualnie od Josha - odparł Caramel. - Wypada, żeby zapłacił za własne żarcie i

nocleg, no nie? Podobnie jak za tę taśmę, którą go okleiliśmy, za naszą opiekę...

- Nie o to pytam - wycedził Colin. - Skąd wzięłeś kasę na samolot?

- Ach, odłożyłem - wyjaśnił Caramel takim tonem, jakby się dziwił, że Colin pyta o rzecz równie oczywistą.

- Z czego odłożyłeś? - zapytał wolno Colin. - Nie przypominam sobie, żebym cię widział z portfelem w ręku. No tak, racja. Nawet nie widziałem u ciebie rąk.

- A czy ja twierdzę, że odkładałem z własnych środków? - zdziwił się znów Caramel.

- Kradłeś? Okradałeś członków straży?

- Różnie.

- Caramel... - Teraz Colin już warczał. Gnojek podbierał mu kasę!

- O Jezu. Czym praca w straży różni się od zajęć, za które człowiek w społeczeństwie otrzymuje wynagrodzenie? Organizacja daje ci dach nad głową, funduje żarcie, ciuchy i środki czystości, wielce łaskawie wypłaca kieszonkowe na drobne wydatki, a ty masz w zamian grzecznie wypełniać wyznaczone ci zadania i trzymać gębę na kłódkę. Sorry, mnie taki układ nie odpowiada.

- Akurat ty się zanadto nie przepracowywałeś - wycedził Colin.

Udział Caramela w akcjach straży sprowadzał się głównie do drzemki, przerywanej sporadycznie, kiedy smarkacz zapragnął wygłosić kolejny odkrywczy komentarz.

Jeśli jednak Colina trafiał w tej chwili szlag, to dlatego, że gnojek zasadniczo miał rację: za normalną pracę każdemu członkowi społeczności należało się normalne wynagrodzenie. Niechby odliczano od tej kwoty wydatki na żywność, ciuchy, zakwaterowanie, i tak trochę by zostało do wypłaty. Mimo to nikt nie upominał się o swoje, także Colinowi takie żądanie nie przeszło przez myśl. Kiedy jechał na akcję, otrzymywał określoną sumę na wydatki, rozliczał się z niej po powrocie - i wszystko grało. Psiakrew.

Najbardziej zaś irytowała Colina świadomość, że Tin także czepiała się tego ubezpieczeniowego członków społeczności. Upierała się, że gdyby, pełniąc funkcję na przykład w straży, zechciała zamieszkać poza osadą, we własnym domu, powinna mieć do tego prawo! O tak, doskonale by się dogadała z Caramelem.

- Napracowałem się akurat tyle, ile się w moim odczuciu należało za kwoty, jakie zdołałem miesięcznie wygospodarować, nie wzbudzając niczyich podejrzeń - wyjaśnił beznamietnie Caramel. - Jeśli od przygodnego człowieka trafiło się coś ekstra, rodzaj premii, uczciwie ją odrabiałem. Przy czym uważam, że mój wkład intelektualny w osiągnięcia straży pozostał nieopłacony.

Colin spoglądał na kumpla z niedowierzaniem. Jaja sobie szczeniak robił? Nawet jeśli

organizacja postępowała wobec nich nie fair, Caramel nadal przecież kradł, nie zaś „odkładał uczciwie zarobione pieniądze”.

Nie potrafił stwierdzić, czy smarkacz mówi serio. Na tym polegał największy problem z Caramel: jakiegokolwiek emocje pokazywał na zewnątrz, nie miało się pewności, do jakiego stopnia są one prawdziwe.

Kiedy rano Caramel wrócił z zakupów i zerwał kneblującą Josha taśmę, zamierzając go nakarmić, facet natychmiast zaczął wrzeszczeć. Za długo się nie nawrzeszczał, ponieważ Caramel od razu zasłonił mu usta dłonią, a potem roześmiał się głośno, niewątpliwie na użytek potencjalnych słuchaczy: dwóm dorosłym gościom pensjonatu odbiła palma.

Colin stał w drzwiach łazienki, przyglądając się scenie. Nie pchał się do środka - dla trzech mężczyzn nie wystarczyłoby miejsca, a zresztą Caramel nie potrzebował jego pomocy. Swoją drogą, Colin zdrowo by typka trzasnął, zamiast zatykać mu usta.

- Jak ja cię ugryzę... - ostrzegł spokojnie Caramel.

Po brodzie Josha pociekła krew, Caramel jednak nie szarpnął ręką, nie skrzywił się - jakby nie odczuwał bólu. Joshowi widocznie dało to do myślenia, bo rozwarł zęby i nie próbował znów krzyczeć, kiedy Caramel cofnął dłoń.

- Nie pozwolę, żebyście zrobili jej krzywdę - oznajmił Josh, plując krwią Caramela.

- Nie pozwolisz - powtórzył Caramel. Było coś takiego w jego głosie, że Josh stracił rezon.

Caramel wstał i opłukał skaleczoną dłoń nad umywalką. Pokazał Joshowi ranę, która już zaczęła się zablizniać. Facet zamrugał.

- Kim wy...?

- Posłuchaj, stary. - Caramel znów ukucnął przed zakładnikiem. - Chcemy od niej tylko paru informacji. Nic jej nie zrobimy. Możesz być pewien, że decyzja o spotkaniu z nami sporo ją kosztowała. Jeśli przyjdzie, zrobi to wyłącznie dlatego, że jej na tobie zależy, wbrew wszelkim sygnałom, jakie ci wysyłała w trakcie waszej znajomości. Innymi słowy, człowieku, jeśli rzeczywiście ją kochasz, powinieneś być w tej chwili wniebowzięty. Gdyby nie my, prawdopodobnie więcej byś jej nie zobaczył, ponieważ dopóki nie zaistniał ten kryzys, ona w ogóle nie brała pod uwagę opcji wyboru ciebie. Po spotkaniu z nami nie będzie miała drogi powrotnej. Dla ciebie to wymarzona sytuacja. Oczywiście, przy założeniu, że wymiana dojdzie do skutku - dodał przyjacielsko po krótkiej pauzie. - Andy jest na przykład znacznie mniej opanowany ode mnie, więc gdybyś zaczął się wydierać przy nim, niewykluczone, że nie mielibyśmy czego wymieniać. A wtedy Becky... no cóż, z nią zapewne też nie

rozstalibyśmy się w zgodzie.

- Kim jesteście? - powtórzył z uporem Josh.

- Widzisz, zasadniczo nie mieszam się do spraw między zakochanymi - oświadczył Caramel. - Spytaj o to Becky. Umówmy się, że ona z całą pewnością nie powiadomi policji.

Josh się uspokoił. Posłusznie konsumował kanapki, chociaż było widać, że jedzenie przechodziło mu przez gardło z widocznym trudem. Caramel posiadał dar przekonywania. Potrafił tak wygłaszać groźby, że nawet Colinowi robiło się nieswojo.

Podszedłszy do drzwi na korytarz, Colin nasłuchiwał chwilę, czy wrzaski Josha nie zwróciły czyjejs uwagi. Poza sezonem w pensjonacie przebywało niewielu gości; Colin uważał, że trzech facetów, niezbyt przypominających turystów, od razu wzbudziło podejrzenia, a niedawny wyskok Josha mógł przepełnić miarę. Na szczęście na korytarzu panowała cisza.

- Dlaczego pokazałeś mi rękę? - zaatakował półgłosem Colin, kiedy Caramel zamknął za sobą drzwi do łazienki.

- Nawet jeśli komuś opowie, kto mu uwierzy?

- Znalazłoby się...

- Ach, tak, tak, jasne - przerwał mu ze zniecierpliwieniem Caramel. - Przyjmijmy, że chciałem postawić Becky w niezręcznej sytuacji. Zapewne nie zamierzała wspominać mu o społeczności. Dałem Joshowi podstawę do formułowania kłopotliwych pytań. Im więcej Becky mu wyjawia, tym bardziej będzie się czuła za niego odpowiedzialna. Facet nie jest głupi, na jej miejscu wybrałbym prawdę zamiast zasłony dymnej.

- Co cię obchodzi, jak ona to z nim rozegra?

- Mając głowę zaprzątniętą Joshem, daruje sobie rewanz na nas. Zapomni, że się z nami spotkała, i zajmie się własnym życiem.

- O co planujesz ją zapytać? - dociekał Colin. Coraz mniej mu się podobała jego własna rola w tej sprawie. To on wpadł na trop kliniki i laboratorium, a obecnie Caramel spychał go na drugi plan, wyznaczając mu w śledztwie funkcję chłopca na posyłki. - O to, czym się zajmował Karal? Mnie akurat ta kwestia zwisa. Powie, okej, warto wiedzieć, przede wszystkim jednak chcę uzyskać od niej namiary na jej przełożonych. I jeżeli je zdobędziesz, to wybaczone, ale nie sądzę, żeby Becky spokojnie zajęła się własnym życiem. Będzie usiłowała ich ostrzec...

- Sugerujesz, że powinienem ją zabić? - doprecyzował Caramel.

- Nie, do cholery - zirytował się Colin. - Po prostu nie rozstawajmy się z nią tak od razu.

- Puszczamy ją albo zabijamy - odparł spokojnie Caramel. - To samo dotyczy Josha. Nie wyobrażam sobie podróży z dwiema spętanymi osobami w bagażniku.

Colin potarł czoło. Jasne, smarkacz rozumował słusznie - nie mogli tej pary ze sobą wlec, nie mieli też gdzie zostawić.

- Spróbuję ją przekonać, że jesteśmy przyjaciółmi - odezwał się znów Caramel. - Mamy z organizacją na pieńku, podobnie jak ona od chwili, kiedy postanowiła się związać z Joshem. Czyli gramy po tej samej stronie, mimo że zastosowaliśmy wobec niej trochę nieczysty chwyt. Zresztą jeśli spojrzeć na sprawę pod odpowiednim kątem, dzięki nam Becky zrozumiała, co jest dla niej w życiu najważniejsze.

Caramel wcale się nie zgrywał. Co więcej, Colin był przeświadczony, że szczeniak zdoła nakłonić Becky do obrania takiego właśnie punktu widzenia - bez względu na to, co faktycznie myślał na temat zaistniałej sytuacji. Tak, smarkaczowi naprawdę nie sposób było odmówić daru przekonywania. Colin zastanowił się, jak dalece sam padł jego ofiarą.

A jeśli mimo wszystko osądzał Tin niesprawiedliwie? Ostatecznie, skoro powiedziało się A... Wtedy, przed laty, Antoine zdecydował się jej zaufać. Wyglądała na niewinne dziecko, jeżeli jednak podejrzewał, że każdy jej gest i słowo służą manipulacji, powinien był wykazać dość rozwagi, żeby nie dać się zwieść pozorom.

Popełnił błąd, mówiąc tamto A.

Gdyby wówczas znalazł w sobie siłę, żeby zastrzelić dziecko, obecnie nie zmagalby się z poczuciem, że jakkolwiek drogę obierze, dokona fatalnego wyboru. Za bardzo się z nią zżył. Ale na żale było za późno.

Simone uśmiechała się kpiąco. Zrozumiał, że w ten sposób zemściła się na nim za to, że nie chciał mieć z nią dziecka. Kiedy przygarniał dziewczynkę, protestowała jedynie pro forma. Pozwoliła Antoine'owi wychować Tin, pokochać ją. Przepadła na całe lata, by powrócić teraz. Do niczego go nie nakłaniała, jedynie akcentowała swoją obecność. Widział ją spacerującą między rzędami krzewów winorośli - na Antoine'a spoglądała jej oczami urzędniczka w banku.

Nie istnieje coś takiego jak szlachetny okaz zwierzyny. Nieważne, że dorasta z dala od swoich - jego prawdziwa natura prędzej czy później dojdzie do głosu. Zło tkwi w nich także, kiedy mają pięć lat, jasne włosy i niebieskie oczy, którymi wpatrują się w człowieka.

Mała ani razu nie usiłowała uciec. Nie próbowała wydać Antoine'a.

- Mów mi tato - rozkazał jej szorstko, zanim wsiedli na prom. Wtedy już wiedział, że dziewczynka sprawnie posługuje się angielskim.

Podróżujący samotnie z dzieckiem ojciec wzbudza mniej podejrzeń niż wujek, tylko dlatego Antoine wydał jej takie polecenie. Niemniej kiedy po raz pierwszy zwróciła się do niego per tato, ich relacje zmieniły się bezpowrotnie. Ufność, z jaką wypowiedziała to słowo, mimo że nie tak dawno zabił jej prawdziwego ojca... Czy nie powinno było dać mu wtedy do myślenia, że tak łatwo pogodziła się z utratą rodziców? Została zaprogramowana na przetrwanie, błyskawicznie dopasowywała się do nowych okoliczności.

Uśmiechała się do fal chlupoczących o kadłub. Jakaś kobieta zachwyciła się, że Antoine ma śliczną córeczkę. Spytała Tin o wiek i dokąd płyną. Mocniej ścisnęła rękę małej, obawiając się, że dziewczynka skorzysta z okazji, żeby się od niego uwolnić. Ona jednakże odpowiadała grzecznie, choć z wahaniem, jak typowa nieśmiała pięciolatka.

Kobieta spytała, gdzie jest jej mamusia.

- Umarła - powiedziała Tin. Smutno, ale z dystansem, jakby zdarzyło się to dawno temu.

Antoine obdarzył ich rozmówczynię uśmiechem, który dawał do zrozumienia, że jest wścibską babą, raniącą dziecko nachalnymi pytaniami. Poszła sobie, obrażona.

Tin spojrzała na Antoine'a wielkimi niebieskimi oczyma, jakby dociekała, czy tato jest z niej zadowolony. Właśnie tak: tato.

- Zobacz, dopływamy. - Wskazał zbliżający się ląd. Był z niej zadowolony. Ale też przerażony. Córka. Odtąd była jego córką.

Z formalnego punktu widzenia stała się nią wcześniej. Musiał załatwić dla nich papiery, opowiedział więc pomagającemu łowcom facetowi bajeczkę, jak to matka dziewczynki, jego dawna przygoda miłosna, wezwała go dosłownie w ostatnich dniach życia i poinformowała, że ma pięcioletnią córkę. Powierzyła małą jego opiece, nie posiadał jednak papierów potwierdzających jego ojcostwo, musiałby też załatwić tysiąc formalności, żeby pozwolono mu wywieźć dziecko do Francji. Wolał uporać się z tą sprawą szybciej i dyskretniej. Bajka, którą - wiedział to - pozna wkrótce każdy łowca: Antoine wycofał się z zawodu ze względu na córkę.

Kiedyś, w odległej przyszłości, zamierzał wyjaśnić towarzyszom, że chodziło jedynie o eksperyment. Długoterminową drobiazgową obserwację okazu zwierzyny.

Eksperyment! Oszukiwał się, wtedy i jeszcze przez wiele kolejnych miesięcy.

Czego się dowiedział o Tin? Nie pytał o jej drugą naturę, nie dociekał, co ona czuje w czasie pełni. Nawet jej w te noce nie obserwował, choć co by mu szkodziło zamontować w piwnicy kamerę? Ostrzegał ją przed łowcami, wyznaczał zasady, których miała się trzymać obecnie i w przyszłości, były to jednak monologi. Antoine mówił, ona kiwała głową,

posłuszna jak dobrze wytresowany pies.

Okazywała posłuszeństwo nie tylko w domu, gdy miał na nią baczenie. Ilekroć nadarzała się okazja, rozmawiał z nauczycielami, rodzicami jej koleżanek czy choćby z Camille - nikt się na Tin nie skarżył, przeciwnie, chwalono ją, choć parę osób napomknęło, że jest wręcz za cicha. Antoine odnosił wrażenie, że przy takich okazjach rozmówcy przyglądali mu się podejrzliwie, jakby usiłowali dociec, czy ojciec nie ponosi winy za nieśmiałość dziewczynki. Poleciał jej z tym walczyć. To dlatego zaczęła przeprowadzać wywiady dla wiejskiej gazetki, wtedy jeszcze kwartalnika drukowanego na papierze podłej jakości.

Córka. Czy tamtego wieczoru w lesie Antoine'owi choć przemknęło przez myśl, że pozwoli jej poruszać się swobodnie? Ostatecznie posłał Tin do szkoły! Samą między ludzi, gdzie godzinami pozostawała bez odpowiedniego nadzoru. Ryzykował, że dziewczynka urządzi w klasie jatkę, bo nie orientował się przecież, do czego one są zdolne w ludzkiej skórze. Kto powiedział, że przejawiają mordercze skłonności wyłącznie w wilczej postaci? Równie dobrze zagrożenie mogło istnieć w każdej sekundzie doby, nie tylko w nocie pełni. Była o wiele silniejsza od rówieśników; choć starannie kryła się ze swoją przewagą, Antoine przypuszczał, że już jako pięciolatka zdołałaby pokonać go w pojedynku na rękę. Uwzględnił także i tę ewentualność, że Tin skorzysta z ograniczonej kontroli w godzinach zajęć, żeby uciec. Zaufał jej jednak.

Osobiście zawoził ją i odbierał ze szkoły, przynajmniej tyle mógł zrobić. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżał po Tin, czuł na jej widok ulgę pomieszaną z rozczarowaniem. Chciał, żeby uciekła lub kogoś zabiła. Chciał, żeby się okazała inna niż reszta jej gatunku, zdolna pokonać mroczną stronę swej natury. Pragnął zyskać pewność, bez względu na wynik.

Nie, wynik wcale nie był mu obojętny.

W miarę upływu lat Antoine zostawiał córce coraz więcej swobody, coraz bardziej jej ufał. Jej powroty do domu przestały wywoływać w nim emocje. Nadal jednak bacznie obserwował Tin, doszukując się u niej oznak wewnętrznej przemiany.

Zmieniała się, oczywiście, jak każde dorastające dziecko, lecz zarazem pozostawała jego Tin. Czyżby przeoczył krytyczny moment? Jeśli bowiem miał do czynienia ciągle z tą samą miłą, szczerą dziewczyną, skąd się wzięła nagła utrata zaufania do niej? Dlaczego wróciła Simone?

Tin się zakochała, okłamała go w paru kwestiach, niemniej córki Camille swego czasu bardziej dały swej matce do wiwatu. Kiedy Antoine słuchał żalów innych rodziców lub oglądał różne talk-show w telewizji... pojmował, że nie ma prawa narzekać.

Właściwie czy Tin nie wydawała się czasami wręcz zbyt idealna?

No cóż, kłamiąc, dowiodła, że nie jest ideałem.

Czy zatem owo kłamstwo nie stanowiło elementu gry? Doskonałość wzbudza podejrzenia; czyżby Tin wyczuła rozterki Antoine'a i tym pozornym potknięciem spróbowała uwiarygodnić swój wizerunek posłusznej córki?

Oscylował między pełnią zaufania a krańcową podejrzliwością. Kiedyś powiedział A, zgadza się. Zaufał Tin, a ona go nie zawiodła. Czy to świadczyło o słuszności tamtej decyzji? Niekoniecznie. Skutki błędu nie zawsze ujawniają się od razu. Najwierniejsze psy niekiedy bez powodu zwracają się przeciw swym właścicielom.

ROZDZIAŁ 7

Caramel potruchtał na spotkanie z Becky, a Colin tkwił w wozie z Joshem, teraz tylko prowizorycznie - nogi w kostkach i nadgarstki - skrepowanym taśmą. Szczeniak kupił ją tamtego pierwszego ranka, z góry zakładając, że się przyda. Perspektywicznie myślący gnojek.

W Colinie narastała wściekłość, że dał się tak przerobić. Sterczał jak dumny w aucie, w towarzystwie jakiegoś półgłówka, z bezprzewodową słuchawką na uchu, czekając, aż o umówionej godzinie Caramel przedzwoni, ustawiając swoją komórkę na tryb głośnomówiący, żeby Colinowi nie umknęło ani słowo z jego rozmowy z Becky. Tymczasem całe to spotkanie mogło być wielką lipą, spektaklem na użytek jednego słuchacza. Niewykluczone, że tych dwoje gawędziło już sobie przyjacielsko, wymieniając uwagi na temat Colina. O ustalonej porze Caramel uruchomił telefon i odegrał przekonującą scenkę.

Pocieszył się, że gdyby te podejrzenia się potwierdziły, sytuacja Josha byłaby jeszcze mniej godna pozazdroszczenia niż jego własna. Biedny kretyn na pewno nie uczestniczył w znowie. Mimo krępującej go taśmy zachowywał się jak osoba, której najskrytsze marzenia ziszcza się lada moment. Po prostu pełnia szczęścia. Caramel gadał z nim przed wyjściem - znów to samo gównie o ryzyku, jakie Becky podjęła z miłości do Josha. Gość wszystko łyknął, bez oporów dał się wyprowadzić z hotelu i na nowo spętać w samochodzie. Tak profilaktycznie, bo przecież właściwie zostali przyjaciółmi.

- Postaraj się go nie zdenerwować - poradził cicho Colinowi Caramel na odchodnym.

Facet okazywał wolę współpracy i nie należało go zniechęcać. Colin spróbował zapanować nad gniewem, żeby Caramel nie zyskał okazji, by znów nawrzucać mu od furiatów.

- Jeszcze pięć minut - odezwał się Josh.

- Na to wygląda - mruknął Colin.

- Chętnie bym posłuchał tej rozmowy. - Josh spojrzał wymownie na słuchawkę na uchu Colina. - Chciałbym się upewnić, że Becky nic nie jest.

- Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie - zbył go Colin. Kiedy organizacja odkryje powód zdrady Becky, Josh znajdzie się na celowniku bez względu na zasób jego wiedzy, ale tak czy owak nie do Colina należała decyzja, ile facet powinien usłyszeć. - Becky postanowi,

jak dużo ci wyjawić.

- Tak, ale... - Josh urwał. Sapnął. - Nie w tym rzecz, że wam nie ufam, skoro daliście słowo...

Oczywiście dokładnie do tego nawiązywał. Colin łypnął na typka spod oka. Może gość nie był aż tak głupi? No bo co miał począć w zaistniałej sytuacji? Rzucić się, awanturować, próbować ucieczki? Takie zachowanie Colin uznałby za rozsądne? Jasne, że Josh siedział w wozie jak trusia - gdyby uszkodził Colina, Becky znalazłaby się w niebezpieczeństwie. A co do losu samej Becky... Colin nie dałby głowy, że wkrótce nie usłyszy w słuchawce jęku umierającej dziewczyny. Diabli wiedzą, co Caramel sobie umyślił.

- Nic jej nie będzie - zapewnił Colin. - Powiem ci coś w sekrecie - dodał po chwili. - Twoja Becky nie jest taka... bezbronna, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Chcemy informacji, nie jatki. Jeśli ona nie zaatakuje pierwsza, Rupert na pewno tego nie zrobi.

Uzmysłowił sobie, że dokładnie tak się rzeczy mają. W walce wręcz Becky przypuszczalnie w niczym nie ustępowała Caramelowi, a przy tym mogła przynieść na spotkanie broń. Caramel z kolei niechętnie narażał własną skórę, broni nie posiadał... Colin ściągnął brwi.

Co się stało z pistoletem, z którego strzelał do niego zamachowiec? Został na miejscu zdarzenia? Czy też Caramel dyskretnie sprzątnął go z asfaltu, o czym „zapomniał” napomknąć Colinowi? A pistolet Becky? Wzięła go wtedy z sobą? Bo chyba jednak nie uległ uszkodzeniu - nie strzeliła ponownie, ponieważ nie wiedziała, czy nie oberwałoby się jej za zabicie Colina. Tyle że w jej pistolecie były raczej mniej skuteczne zwykłe kule...

- Mówisz, że Becky... - zaczął Josh, ale wtedy właśnie zadzwoniła komórka Colina.

Colin odebrał przyciskiem na słuchawce. Kiedy Becky upewniła się, że połączenie zostało nawiązane, chłodno zażądała dowodu na dobre samopoczucie Josha.

- Przywitaj się z nią - polecił Colin, zdejmując z ucha słuchawkę i podsuwając ją Joshowi. - Tylko bez konkretów.

- Hej, Becky - powiedział Josh głupkowato. Cóż, większość facetów czułaby się niewyraźnie ze świadomością, że ich dziewczyna się naraża, podczas gdy oni siedzą sobie beczynn timer w wozie porywacza. - Uważaj na siebie. U mnie wszystko dobrze... - Urwał, bo Colin cofnął rękę z słuchawką; właściwie wydawał się wdzięczny, że nie kazano mu dłużej się produkować.

Colin założył słuchawkę z powrotem na ucho i skupił się na toczącej się kilka mil dalej rozmowie.

- Domyślam się, że nie brzmi to wiarygodnie, ale ja naprawdę nie musiałam wiedzieć,

jakiego rodzaju badania prowadzi Karal - wyjaśniła Caramelowi Becky. - Nie jestem naukowcem, nie potrafiłabym skontrolować jego pracy. Tym zajmował się ktoś dysponujący stosowną wiedzą, naturalnie, za plecami profesora, gdyż Karal poczułby się śmiertelnie urażony informacją, że wyniki jego badań weryfikuje osoba bez tytułów najlepszych uczelni. Moje zadania polegały na obserwowaniu zachowania profesora oraz pilnowaniu, czy nikt nie interesuje się laboratorium. Przede wszystkim jednak chodziło o Karala. Trudno mi stwierdzić, jak wiele wiedział na temat natury materiału genetycznego, który od nas otrzymywał. Przynajmniej początkowo chyba tylko tyle, że pochodzi on od istot odmiennych od ludzi.

- Zdrowszych? - spytał Caramel. - Karal prowadził też własne badania, prawda? To znaczy, równolegle szukał leku na mukowiscydozę, do czego organizacja się nie wtrącała?

- Tak, taki był układ. Karal nie chciał pieniędzy. Dostawał wynagrodzenie nie większe, niż gdyby pracował w rządowym ośrodku. Pragnął przejść do historii. Organizacja obawiała się, że znajdzie ten swój lek, a wtedy nie będzie go dłużej interesowało tworzenie zmodyfikowanych genetycznie zarodków. Albo że nadmiernie zainteresuje się samym materiałem badawczym. W laboratorium od początku był więc ktoś od nas, głównie po to, żeby mieć oko na profesora.

- I nic ci się nie obilo o uszy na temat celu badań? - dociekał cierpliwie Caramel. - Nawet tyle, czy chodziło o klonowanie, stworzenie superalfy lub... bo ja wiem... mnożenie silnych, zdrowych alf?

- Ach, nie, Karal zajmował się nieświadomymi. Trzymamy kilku przebudzonych, namierzonych przez wężycieli albo zgarniętych przez straż. Od nich pobierano próbki. Ale nie mam pojęcia, czego poszukiwał Karal.

- Mnożyli nieświadomych? - zdziwił się Caramel.

Colin gniewnie zacisnął zęby. Gnojek miał wydobyć od Becky namiary na jej szefów, kumpli, bazę wypadową, a nie wypytywać w kółko o badania Karala. W dodatku laska wciskała mu kit pierwszej wody. Nieświadomi, akurat! Na cholereę mnożyć osobniki, z którymi są potem wyłącznie kłopoty?

- Nie wiem, jaki był cel - powiedziała ponownie Becky. - Ja tylko obserwowałam Karala.

- Ty go zabiłaś?

- Z tym Niemcem, Hintermannem, łączyła go pewna zażyłość. Tym istotniejsza dla Karala, że poza tym w zasadzie nie miał przyjaciół. Naturalnie, wiedział, do czego jest wykorzystywana klinika Hintermanna. Z tego, co słyszałam, śmierć Niemca była

przypadkowa, choć pewnie i tak by go zlikwidowano. W każdym razie Karal uznał, że za zdarzeniem stoją jego zleceniodawcy. Zaczął podskakiwać. A że już wcześniej... jakieś trzy miesiące temu zauważyłam, że dopadł go dziwny nastrój. Jakby osiągnął cel, odczuwał z tego powodu dumę i radość, a zarazem pustkę... Zameldowałam o tym.

- Znalazł lek na mukowiscydozę.

- Tak przypuszczam. Tym samym jeszcze przed śmiercią Hintermanna przestał być dla organizacji atrakcyjny i rozważano decyzję o jego likwidacji. Swoim późniejszym zachowaniem jedynie przypieczętował wyrok.

Nie powiedziała, że osobiście wykonała rozkaz - a jednak Colin w to nie wątpił. Trzpiotowata blondyneczka... Zrobiło mu się żal Josha. Becky, w której facet się zakochał, nigdy nie istniała, a cały szok tego odkrycia dopiero go czekał.

- Jak zaawansowane były wtedy jego prace dla organizacji? - dążył Caramel.

I znów Colin miał chęć warknąć do mikrofonu, żeby smarkacz przeszedł wreszcie do spraw istotnych. Powstrzymał się, choć z trudem. Josh siedział spokojnie, gapiąc się jak zahipnotyzowany na słuchawkę na uchu Colina. Mieli czas. Gdyby Colin zwrócił Caramelowi uwagę, gnojek byłby gotów z czystej złośliwości zakończyć wywiad, nie zadawszy najważniejszych pytań.

- Nie wiem - powtórzyła Becky po raz kolejny. - Zakładam, że skoro z każdej partii zarodków starano się wyhodować dzieciaka... efekt doświadczeń Karala ujawniał się dopiero na w pełni ukształtowanym organizmie.

- Czyli równie dobrze cel mógł zostać osiągnięty przy drugiej lub trzeciej próbie?

- Albo wcale. Nie zauważyłam wśród naszych euforii, ale też żadna ze znanych mi osób nie nadzorowała końcowego etapu badań. Nie wiem nawet, ile się urodziło tych dzieciaków. To już nie była działka mojego zespołu. Zresztą trafiłam do niego dopiero rok temu. Nasze zadania ograniczały się do transportu zarodków oraz pilnowania poszczególnych obiektów i pracujących tam osób. Laboratorium, klinik leczenia niepłodności. Tych ostatnich było więcej, w różnych państwach, ale nie znam nazw ani lokalizacji. O tej w Kohlenbogen usłyszałam dopiero po śmierci Hintermanna, kiedy uznano ją za spaloną.

Cholera, dokładnie tak, jak sugerował Alberto. Jedno laboratorium, kilka klinik, eksperymenty genetyczne. Może natura rzeczywiście obdarzyła tego faceta szóstym zmysłem? Albo pracował dla organizacji i przedyskutował z Becky, co laska ma opowiedzieć dwóm naiwnym młodym basiorom.

Ciekawe, do jakiego stopnia Caramel potrafił wyczuć, czy Becky mówi prawdę. Smarkacz dał Colinowi do zrozumienia, że rozpoznaje kłamstwo lepiej od niego;

niewykluczone, że faktycznie tak było, jako że Caramel świetnie panował nad emocjami, które Colinowi często utrudniały ocenę sytuacji.

- A osoba, która kontrolowała wyniki badań Karala? - zapytał Caramel, wreszcie zbliżając się do interesujących Colina kwestii. - Gdzie ją znajdę?

- Karal przekazywał raporty w formie papierowej. Przyjeżdżał pracownik firmy, która oficjalnie finansowała działalność laboratorium, i zabierał je w zaplombowanej kopercie. Karal miał obsesję na punkcie tego, że ktoś wykradnie mu wyniki wieloletniej pracy, więc jego komputer nie był połączony nawet z serwerem laboratorium. Nie wiem, co się później działo z tymi raportami. Zapewne przekazywano je dalej, ciągle zaplombowane. Ta firma działała... nadal działa legalnie, przy czym nie sądzę, żeby się orientowali, że koperty zawierały coś innego niż informacje o postępach prac nad wynalezieniem leku na mukowiscydozę.

- Kto wydawał polecenia tobie?

No, nareszcie. Colin maksymalnie skupił uwagę. Po drugiej stronie zapadła cisza - Becky zwlekała z odpowiedzią.

- Mówiłeś, że interesują cię informacje na temat Karala i jego badań - odezwała się w końcu. - Ustalmy granicę...

- Załatw go, Becky! - wrzasnął Josh, waląc czymś Colina w głowę.

Klucz do kół. Colin zobaczył narzędzie na dywaniku przed siedzeniem pasażera, kiedy tylko otworzył oczy. Josha nie było, nic zresztą dziwnego. Strzępki taśmy... Drań użył noża do pasów. Colin sklął w duchu pierwszego właściciela toyoty za jego uwielbienie dla durnych gadżetów - oraz siebie z racji tego, że nie chciało mu się ich wyrzucić.

Ostrożnie pomacał prawą skroń. Psiakrew, gnojek walnął go tak mocno, że człowieka ani chybi by zabił. Colinowi wydawało się, że wyczuwa pod palcami kawałki kości. Spojrzał we wsteczne lustro. Nie, to były resztki roztrzaskanej słuchawki. Wyciągnął je kolejno.

Dłuższą chwilę mocował się z drzwiami, zanim wreszcie zdołał otworzyć je i wysiąść. Zacerpnął tchu. Wirowało mu w głowie, nie widział na prawe oko. W uszach mu dzwoniło. Jak długo był nieprzytomny? Odwrócił się z trudem i pochylił, żeby spojrzeć na wielki cyfrowy zegar na desce rozdzielczej. Od początku spotkania Caramela z Becky upłynęło około dwudziestu minut, ale Colin nie pamiętał, ile ono już trwało w chwili, kiedy Josh go zaatakował.

Jebany debil. Becky odpowiedziałyby na parę kolejnych pytań i rozstali się w przyjaźni, a teraz... Teraz Colin musiał znaleźć gnojka. I być może go wykończyć, gdyż

Becky prawdopodobnie walczyła właśnie na śmierć i życie z Caramelem. A może od razu wpackowała mu srebrną kulkę między oczy? Którekolwiek z nich zwycięży, los Josha został przesądzony.

Jednakże przed wyruszeniem w pościg Colin musiał odzyskać nieco sił. Całe szczęście, że nadal zaokrąglony księżyc świecił jasno. Jeszcze minutka. Oparł się łokciami o dach toyoty, przymknął oczy i czekał, aż minie zamroczenie. Klucz do kół. Skąd gnojek go wytrzasnął?

Stopniowo w Colinie narastała wściekłość. Szczerze mówiąc, trochę dał ciała - niepotrzebnie uświadamiał tego krety, że jego dziewczyna nie jest bezbronną głupiutką blondyneczką, na którą tak udatnie pozuje. Josh wywnioskował z tej informacji tyle, że może się skupić na ratowaniu własnej skóry, gdyż Becky świetnie poradzi sobie w starciu z jednym przeciwnikiem.

Te przemyślenia bynajmniej nie nastawiły Colina pozytywnie do uciekiniera. Miał chęć dupka rozszarpać. Jeszcze kilka chwil regeneracji i cholerny palant przekona się, co to znaczy zdrzeć ze świadomym.

W ludzkiej postaci odrobinę niewygodnie biega się z nosem przy ziemi, zatem Colin rozebrał się szybko, ciskając kolejno kurtkę, buty i sweter na siedzenie kierowcy. Przepasał się dzinsami, związując nogawki pod prawą pachą, tak by nie ograniczały mu ruchów ani nie utrudniały węszenia.

Przemienił się, obiegł samochód, złapał trop Josha i puścił się szybkim truchtem przez nagie, zaorane pola. Jaką przewagę zyskał nad nim ten dureń? Oswobodzenie się z więzów trochę mu zajęło, a poza tym ostatnie... no, trzydzieści godzin z hakiem facet spędził praktycznie bez ruchu, w niewygodnej pozycji, tak więc nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Ledwie szedł, kiedy opuszczali pensjonat. Nie wyglądał też na sportowca - krótki sprint prawdopodobnie całkiem ogołocił go z sił.

Rzeczywiście, Colin rychło usłyszał swoją ofiarę. Przede wszystkim ciężki, urywany oddech Josha. Kretyn łudził się, że ciągle biegnie, mimo że naprawdę poruszał się w tempie zmęczonego piechura. Gdzie planował dotrzeć? Starannie wybrali miejsce spotkania z Becky, w miarę możliwości z dala od ludzkich siedzib, choć w tej okolicy na każdym kroku trafiały się samotne farmy lub pensjonaty. Na szczęście Josh nie natknął się po drodze na zabudowania. Chyba sam nie wiedział, dokąd biegnie - byle dalej od Colina. Spanikował, idiota, przekonany, że właśnie zabił człowieka. Gdyby okazał więcej opanowania, wyrzuciłby porywacza na szosę i odjechał toyotą.

Ofiara. Łup. Psiakrew, Colin używał niewłaściwych określeń. Jeszcze zdąży gnojka

załatwić; dopóki nie wiedział, jak potoczyły się sprawy między Becky a Caramelem, nie powinien myśleć o Joshu jako o zwierzyńce łownej, w której z lubością zatopi zęby. Przystanął i przemienił się, wracając do ludzkiej postaci. Wciągnął spodnie. Josha pewnie zastanowi skromny strój Colina, ale cóż - jeśli gość pożyje na tyle długo, żeby zadać pytanie, nad odpowiedzią będzie się głowić Becky.

Josh nawet go nie usłyszał. Pchnięty od tyłu, rozciągnął się jak długi na zmrożonej ziemi. Zanim w ogóle spróbował się pozbierać, Colin chwycił go za nadgarstki i brutalnie postawił na nogi, plecami do siebie. Najchętniej by gnojka ogłuszył, ale wtedy musiałby go dźwigać z powrotem.

- Właściwie powinienem cię... zabić - warknął cicho, w ostatniej chwili rezygnując z cisnącego mu się na usta „rozszarpać”.

Dobrze, że w tej chwili Josh nie mógł go widzieć - Colin zdawał sobie sprawę, że oczy mu się przebarwiły. Czuł... przemożną wręcz chęć rozszarpania tego durnego faceta, przez którego kretyńską brawurę stracił cenne informacje, a może i kumpla. Cholera.

- Ruszaj się - warknął znowu, popychając Josha przed sobą.

Facet nadal dyszał ciężko i z trudem stawiał kolejne kroki, aż Colin zastanowił się, czy ogłuszenie go i zarzucenie sobie na plecy nie okaże się mimo wszystko mniej kłopotliwym rozwiązaniem.

- B-B-Becky? - wykrztusił Josh po kilku minutach marszu.

Colin wyczuwał w nim strach, mokry i lepki. Był to jednak głównie strach o Becky, nie zaś, jak się Colinowi początkowo wydawało, o własną skórę, choć niewątpliwie Joshem wstrząsnął fakt, że oprawca tak szybko go dopadł. Gość jeszcze chwilę temu żywił przekonanie, że dokonał pierwszego w swym marnym życiu zabójstwa.

- Nie wiem, co z twoją panną - odparł gniewnie Colin. - Trzeba było wcześniej o niej pomyśleć.

- Twój kumpel nie odbiera?

Colin zaklął w duchu, mocniej ściskając nadgarstki Josha, aż ten jęknął. Pieprzona komórka. Została w kieszeni kurtki, Colin nie wpadł na to, żeby nawiązać kontakt z Caramelem - lub posłuchać odgłosów walki, jeśli łączność się nie urwała. Jakoś... no tak, przyjął, że zniszczona słuchawka równa się zniszczonej komórce. Niech to szlag. No, ale dureń przyłożył mu w głowę, więc niech się nie dziwi, że w rozumowaniu Colina pojawiły się drobne luki.

Tam, przy samochodzie, Colin myślał tylko o pościgu. O zwierzyńce, którą musi wytropić.

- Nie odbiera? - dopominał się Josh.

- Wrócimy do auta, to ci powiem - warknął Colin.

Josh chyba pojął, że nie powinien się więcej odzywać, jeśli chce dotrzeć do wozu w jednym kawałku.

Mieli do pokonania odcinek krótszy niż w tamtą stronę, Josh bowiem zatoczył podczas ucieczki łuk. Colin miał nadzieję, że jego własna zdolność orientacji w terenie nie ucierpiała wskutek ataku tego idioty. Jeśli ominą samochód, naprawdę gnojka rozszarpie.

Na szczęście dla Josha trafili do toyoty bezbłędnie - żeby odkryć, że za nią zaparkowała bliżej nieokreślona mała pokraka. Ku idącym pędziła już przez pole jakaś postać. Druga osoba została przy samochodach; mimo sporej odległości dzielącej ich od wozów, Colin rozpoznał Caramela.

- Josh! - wykrzyknęła Becky. - Puść go! - warknęła do Colina, który nadal ścisnął nadgarstki Josha.

Posłuchał, choć poczerwieniało mu przed oczami. Pierwsza lepsza waderka będzie mu rozkazywać! Becky posłała Colinowi lekko spłoszone spojrzenie. Była gotowa zaatakować, ale nie chciała starcia przy Joshu. Colin cofnął się o dwa kroki.

- Josh, nic ci nie jest? - Oglądała go jak porcelanową lalkę, upuszczoną niechcący na dywan. - Coś mu zrobił?

- Twój kochaś walnął mnie kluczem do kół - warknął Colin.

- Myślałem... chciałem... - dukał Josh.

Fakt, nie wyglądał najlepiej. Pewnie w trakcie panicznej ucieczki rozciągnął się kilka razy na ziemi. Ponadto uczulił go klej z taśmy, którą wcześniej zakleili mu usta, bo na jego nieogolonej twarzy nadal odznaczał się idiotyczny czerwony prostokąt. Co silna alfa zobaczyła w takiej ofierze losu?

- Mógłbyś zostawić nas samych? - Tym razem Becky prosiła, choć nie bez rozkazującej nutki.

W blasku księżyca Colin zauważył szramę na jej policzku, ani chybi zanikającą pozostałość po starciu z Caramelem. Chwilę mierzyli się wzrokiem. Silna sztuka, nie zamierzała ustępować. Josh umilkł.

- Odejdź - powiedziała Becky do Colina, znowu na poły prosząc, na poły rozkazując.

Colin zerknął na Caramela, opartego o toyotę w leniwej pozie obserwatora. Nie, nie urządzi przedstawienia na użytek smarkacza. Bez słowa wyminął Becky i Josha i niespiesznie ruszył ku samochodom.

- Nocne biegi przełajowe? - zagadnął go pogodnie Caramel.

- Walnął mnie kluczem do kół - warknął Colin. - Skąd, do jasnej cholery, klucz do kół znalazł się pod przednim siedzeniem?

Caramel podrapał się po brodzie.

- Ty go tam położyłeś - rzucił Colin.

- Zasadniczo nie przeczę. Ale pamiętasz może, co to była za sytuacja?

Colin sapnął. No tak, pamiętał. Po wizycie w mieszkaniu Becky wręczył Caramelowi klucz do kół i polecił mu ukryć wytrychy z powrotem w wydrążonej ręczce. Później Caramel chciał mu dać ten pieprzony klucz, a Colin powiedział, żeby wetknął go pod swoje siedzenie.

- Trzeba go było upchnąć tak, żeby nie wystawał - warknął Colin.

Kumpel wydawał się rozbawiony. Psiakrew. Nawet nie było po nim widać, że niedawno walczył.

- Co się stało? - zapytał Colin spokojniej, wskazując głową w stronę pola, gdzie Becky nadal badała, czy jej kochaś nie stracił żadnego istotnego elementu swojej osoby, i przy okazji ostrożnie holowała go ku samochodom.

- Pogryźliśmy się. Dobrałem się jej do gardła, ale jej nie zagryzłem, czym dowiodłem, że nie żywię złych zamiarów. Przekonałem ją, że powinniśmy cię jak najszybciej znaleźć, bo kiedy się wkurzysz, niekoniecznie panujesz nad odruchami.

- Trzeba było wyjść nam naprzeciw - warknął Colin. - Nie musiałbym nieść tego gnojka przez ostatnią milę z okładem.

- Przypominam ci uprzejmie, że komórkę zostawiłeś w kurtce. Uznałem, że lepiej będzie tu na was poczekać niż ryzykować, że się rozminiemy. Rozdzielić się z Becky nie mogliśmy, bo na widok jej samej wyciągnąłbyś niewłaściwe wnioski.

Jasne, gówniarz sugerował, że Colin rzuciłby się na Becky, zanim ta zdążyłaby wykrztusić choć słowo wyjaśnienia. Colinowi znów pociemniało przed oczami. Odetchnął głęboko.

- Nie prowokuj mnie - wycodził. - Ten głupek tak mnie wkurwił, że masz rację, niewiele brakowało, a bym go rozszarpał. I ciągle jeszcze...

- Colin... - Caramel zmarszczył się, jakby właśnie zjadł małża. - Faceta, któremu udaje się ogłuszyć silną alfę, a później niemal jej zwiać, mimo że nawet nie wie, z jak niebezpiecznym przeciwnikiem ma do czynienia, nie nazwałbym głupkiem. A przynajmniej, z całym szacunkiem dla twojego intelektu i umiejętności, poważnie bym się zastanowił, czy pragnę rozgłaszać całemu światu, że pierwszy lepszy głupek wystrychnął mnie na dudka.

Colin zacisnął pięści. Ten sukinsyn naprawdę usiłował...

- Hej, chłopaki! - zawołała Becky. Puściła Josha i żwawo zmierzała ku nim, a jej ideał mężczyzny, sapiąc donośnie, usiłował za nią nadążyć. - Musimy pogadać.

Niechybnie jedno ucho nastroiła na ich rozmowę, a teraz pędziła, żeby zapobiec jatce.

Colin ominął kumpla, z tłumioną furią otworzył drzwi od strony kierowcy, wciągnął przez głowę sweter, włożył kurtkę, a potem usiadł na siedzeniu i zaczął wzuwać buty. Co Caramel próbował mu udowodnić? Psiakrew, każdy by się wkurwił, oberwawszy kluczem do kół.

Wstał i dołączył do pozostałych, odrobinę bardziej opanowany. Becky przyjrzała mu się nieufnie.

- Josh, pewnie wolisz usiąść w aucie? - zwróciła się troskliwie do swego kochasia.

Facet spojrział na nią, później na Colina i Caramela.

- Nie chcesz, żebym słuchał, powiedz mi to wprost - stwierdził, po czym pokuśtykał do chevroleta. Wsiadł, gniewnie trzaskając drzwiami, i włączył radio tak głośno, że wszyscy troje na zewnątrz aż się skrzywili.

Becky spojrziała na nich, ściągając brwi. Colina dopiero teraz naszła refleksja, że po trzpiotowatej, roztrajkotanej recepcjonistce nie zostało ani śladu. Nagle Becky wydała mu się starsza, niż to deklarowała, prawie pod trzydziestkę. I twarda, czego zresztą należało oczekiwać po silnej alfie, mordującej ludzi na zlecenie organizacji. W dodatku ta twarda suka patrzyła na Colina tak, jakby tylko czekała, kiedy ten niebacznie odsłoni gardło.

- Macie do mnie coś jeszcze? - rzuciła chłodno.

- A czegoś jeszcze nie wiemy? - zapytał Caramel.

Wzruszyła ramionami.

Colin usiłował pochwycić spojrzenie kumpla, ale zrozumiałec go zignorował. Co z zamiarami na przełożonych Becky? Caramel zdobył je, kiedy sobie we dwoje siedzieli i gawędzili, podczas gdy Colin uganiał się po polu za Joshem?

- No to jedźcie - powiedział Caramel. - Powodzenia.

Becky nie ruszyła się z miejsca.

- Ile mu zdradziłeś? - zwróciła się do Colina; widocznie z Caramelem już omówiła tę kwestię.

- Nie przemieniłem się przy nim, jeśli o to pytasz - warknął Colin.

Psiakrew, to Caramel porwał jej faceta, Caramel urządził pokazówkę z gojącą się ręką. A laska była ze smarkaczem w doskonałej komitywie, za swego największego wroga uważając Colina. Ciekawe, jak gówniarz przedstawił jej fakty.

Przygryzła wargi.

- Czy mogę was prosić... - odezwała się znowu, jednak słowa przechodziły jej przez gardło z wyczuwalnym trudem. Nie nawykła do proszenia. - Wyświadczycie mi przysługę i nie wspomnicie o Joshu, gdyby kiedykolwiek ktoś was pytał o kontakty ze mną?

- I tak się dowiedzą - stwierdził Caramel.

- Nie - odparła stanowczo. - Tylko wy wiecie. Nawet ja... - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Jeśli znajdziecie się pod bramką, utrzymujcie, że pomogłam wam dla idei, ponieważ od dawna denerwowały mnie metody organizacji. Ujrzałam w was nadzieję na zmianę. Umowa stoi? - Już nie prosiła. Żądała.

- Jasne - potwierdził swobodnie Caramel.

Przeniosła wzrok na Colina.

- Pewnie - mruknął. - Udanego pożycia.

Wyszczrzyła zęby, jakby zamierzała warknąć, ostatecznie jednak uśmiechnęła się słodko, jak Becky-recepcjonistka.

- Ponoć masz dziewczynę - powiedziała. - Szczerze jej współczuję.

Odjechała bez pośpiechu. Zanim ruszyła, ściszyła radio, zamieniła kilka zdań z Joshem, zapięła pasy: akcentowała, że wcale się ich nie boi. Ale się bała. Tego, że Colin rozszarpie jej kochasia.

Kiedy światła chevroleta znikły im z oczu, Caramel parsknął śmiechem.

- Kurde, stary, a nie chciało mi się wierzyć w opowieści o tym, jak niewiarygodnie działasz na kobiety - skomentował.

- Masz namiary na jej bazę wypadową? - warknął Colin.

- Jasne. O co chodziło z tą dziewczyną?

- Jaką dziewczyną? - Colin grał na zwłokę.

Durna suka. Od Colina żądała, żeby zachował istnienie Josha w tajemnicy, a potem sama wyjeżdżała przy Caramelu z tekstem na temat Tin. I jak Colin powinien teraz postąpić?

Caramel milczał, czekając na odpowiedź. Jeśli Colin powie mu, żeby się wypchał, nie dostanie od sukinsyna namiarów na bazę agentów organizacji.

- Ach, pijesz do tej uwagi Becky? - spróbował. - Wciskałem jej kit, żeby uwiarygodnić kamuflaż.

- Rozumiem. A myślałem, że nie chciałeś się z nią przespać ze względu na śluby czystości. No wiesz, żadnych babek, dopóki nie znajdziesz siostry.

Gnojek mu nie uwierzył! Becky najwyraźniej wymknęła się także i ta niedyskrecja, że, mimo ewidentnych sygnałów zachęcających z jej strony, nie skonsumowali znajomości. Fakt,

cholera, na miejscu szczeniaka Colin też nie dałby wiary tłumaczeniu, że chodziło o kamuflaż. Za ładna sztuka się trafiła...

Zawahał się. Z jednej strony nie chciał narażać Tin, a przecież sam Caramel twierdził, że Colin nie powinien mu ufać - że nie powinien ufać nikomu. Z drugiej, istnienie Tin właściwie przestało stanowić dla szczeniaka tajemnicę. Oni dwaj dopiero zaczęli tę wspólną podróż, a Colin już co najmniej pięć razy w ostatniej chwili gryzł się w język, żeby nie poinformować kumpla o zapatrywaniach Tin na omawianą właśnie kwestię. Musiał też uwzględnić toczony z nią w myślach rozmowy, w trakcie których odpływał - Caramel wkrótce zauważył to jego dziwne zachowanie. No i wreszcie nie podał przecież kumplowi jej adresu, nie wspomni nawet, że Tin mieszka w Langwedocji. W gruncie rzeczy nic nie ryzykował, przyznając, że pewna dziewczyna faktycznie wpadła mu w oko.

- Halo, Colin. - Caramel wreszcie się zniecierpliwił. - Więc co to za suczka?
- Jeszcze raz nazwij ją suczką... - Oczy Colina natychmiast stały się bursztynowe.
- Aha.
- Słuchaj, nie wiem, co sobie właśnie pomyślałeś... - mruknął Colin, marszcząc brwi.
- Jak ją poznałeś? - przerwał mu rzeczowo Caramel.
- Na pewno nie została podstawiona! - wściekł się znów Colin.

Caramel taksował go pełnym zadumy spojrzeniem.

- Skąd bierze się ta pewność? - zapytał, nadal tonem do bólu rzeczowym.

Colin nieco ochłonął. No super. Jeśli zamierzał ukryć przed smarkaczem, jak ważna jest dla niego Tin, nieszczerze mu się to udało.

Co więcej, sam nieustannie atakował Tin bardziej lub mniej drastycznymi oskarżeniami. Nic dziwnego, że Caramelowi, osobie postronnej, nagłe zauroczenie Colina wydało się podejrzane. Zarazem, poszukując argumentów na obronę Tin przed zastrzeżeniami Caramela, Colin zyskiwał szansę, żeby poukładać sobie wszystkie dotyczące jej sprzeczne przemyślenia i odczucia. Jeżeli zdoła przekonać kumpla, że Tin jest niewinna, sam chyba także raz na zawsze wyzbędzie się wątpliwości?

- Widzisz... do tej pory, ilekroć spotykałem dziewczynę - zaczął z wahaniem Colin, niepewny, czy szczeniak za moment nie parsknie mu śmiechem w twarz - to, choćby kręciła mnie jak diabli, wewnętrzny głos mówił mi, że nie trafiłem, że przeznaczona mi partnerka nadal gdzieś tam na mnie czeka. Kiedy ujrzałem Tin... Wiedziałem, po prostu, w tej samej chwili. Nie wierzę, że coś takiego da się zaprogramować. Zresztą nikomu nie wspominałem o tym przecuciu.

Czy aby na pewno nikomu? Nie pamiętał, żeby zwierzał się mieszkańcowi osady.

Ewentualnie mógł powiedzieć Matowi, ale on tak czy siak nie miałby komu przekazać tej rewelacji.

Caramel się nie roześmiał. Milczał, jakby w oczekiwaniu dalszego ciągu.

- Zastanawiałem się, czy mogli się dowiedzieć - podjął Colin. - A potem ustalić, że chodzi właśnie o nią, i podsunąć mi ją w stosownym momencie. Akurat wtedy, kiedy trafiłem na trop kliniki. Od dnia, w którym poznałem Tin, jestem trochę rozkojarzony... Ale... jak by stwierdzili, że to ona? Poza tym zniechęć mnie do poszukiwań mogli w prostszy sposób... - Urwał.

Ów prostszy sposób zakładał użycie siły, zatem w kontekście informacji przekazanych mu przez Caramela - że kapłanom zależy na Colinie, na jego woli współpracy - zwyczajnie odpadał. A jeśli, mimo wszystko, zabiegali o geny Colina? Czy istniała lepsza metoda na przekonanie go, żeby je przekazał, niż podsuniecie mu pod nos wyśnionej partnerki?

- Powiedz coś - warknął do Caramela.

Chciał, żeby kumpel znów zaatakował Tin, zmuszając Colina do stanięcia w jej obronie.

- Czyli się zakochałeś - orzekł z westchnieniem Caramel. - Lepiej tak tu nie sterczmy - dodał. Ruszył do drzwi od strony kierowcy. - Ja poprowadzę.

Co za gnojek. Żeby tak obojętnie przejść do porządku nad najważniejszym wydarzeniem w życiu Colina!

- Długo się znacie? - zapytał Caramel, kiedy się znaleźli na drodze do Perth.

- Poznaliśmy się ósmego - odparł Colin, ciągle nieco urażony. - Czyli to będzie...

- Ósmego lutego? - Caramel spojrzał na niego, ściągając brwi. Tym razem chyba nie odgrywał zdumienia.

- No tak - potwierdził Colin. - Czyli znamy się trochę ponad dwa tygodnie.

Tylko dwa tygodnie - a odnosił wrażenie, że Tin jest obecna w jego życiu od zawsze. Oraz że bez niej nic nie miałyby sensu.

- Zrozumiałem wcześniej, że przez ostatnie dwa tygodnie zajmowałeś się sprawą Hintermanna - zauważył Caramel. - Często do niej dzwonisz?

- Ach, nie, nie ryzykowałbym w ten sposób. Spędziłem u niej kilka dni, a tak to rozmawiamy w myślach.

- W myślach? - powtórzył Caramel, a Colin dopiero teraz uświadomił sobie, jak dziwnie brzmi taka odpowiedź. - Telepatycznie?

- Noo... - Colin się zawahał. - Niby też tak określam nasze kontakty, chociaż telepatia

kojarzy mi się z przekazem, który płynie do ciebie dość długo... albo z czytaniem myśli niekoniecznie do ciebie skierowanych, co zresztą robimy, kiedy przebywamy blisko siebie. Natomiast te nasze rozmowy... Odnoszę wtedy wrażenie, jakby ona znajdowała się tuż obok. Niekiedy nawet ją widzę...

- Czekaj, czekaj. - Caramel podniósł rękę w uciszającym geście. - Gadasz z nią telepatycznie... Zakładam, że z nikim innym nic podobnego ci się nie zdarzyło? No więc gadasz z nią telepatycznie, czytasz jej najskrytsze myśli, a mimo to zastanawiasz się, czy ona nie pracuje dla kapłanów?

- Ja się nad niczym takim nie zastanawiam! - wściekł się Colin. Całe szczęście, że nie on siedział za kółkiem, bo wylądowaliby w polu. - To ty zadawałeś mi te wszystkie durne pytania!

- Mhm.

Colin zacisnął gniewnie usta. Kilka razy sapnął przez nos. Chyba nikt dotąd nie doprowadzał go do szału tak, jak Caramel w tym jego nowym, wyszczekanym wydaniu. No i Tin. Wkurzali go każde z osobna, tym bardziej więc powinien unikać rozmów z jednym z tych dwojga na temat drugiego.

- Dokąd my właściwie jedziemy? - zapytał po chwili, częściowo odzyskawszy kontrolę nad sobą.

- Ta ich baza ma się znajdować w Darlington - wyjaśnił Caramel. - Niecałe cztery godziny jazdy, ale sugerowałbym, żebyśmy się przespali w motelu przy autostradzie.

- Chcesz teraz spać?

- Chcę zregenerować siły przed ewentualnym starciem z bandą silnych alf - sprostował Caramel. - Może nie widać tego po mnie, ale walka z Becky nieco je nadwreżyła.

Colin znowu sapnął. Jasne, jemu także nadal dokuczala rozbita niedawno głowa, zresztą choćby obaj prezentowali szczyt formy, sukces ich ataku na „bandę silnych alf” wydawał się mocno wątpliwy. Tylko że kiedy oni będą sobie drzemali, Becky może przemyśleć sprawę i powiadomić kumpli.

- Zatrzymamy się, żeby coś zjeść - oznajmił Colin. Jedli przed spotkaniem z Becky, ale teraz konał z głodu. W trakcie regeneracji organizm zużywa sporo energii, dlatego ciało Colina domagało się uzupełnienia zapasów. - Potem ja jadę dalej. Masz te namiary nagrane na dyktafon?

- Wszystko mam nagrane. Żebyś nie podejrzewał, że coś cię ominęło.

W podtekście szczeniak wyrzucał Colinowi, że ten, zamiast pilnować Josha, skupił się na słuchaniu rozmowy na żywo, mimo że każde słowo Becky zostało uwiecznione w zapisie

cyfrowym, tak by mógł odsłuchać jej wypowiedzi później, w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Po cholere męczyłeś ją o badania Karala? - zaatakował Colin w odwecie. - Potrzebne ci na coś te informacje?

- A tobie nie? - zdziwił się Caramel, tym razem stanowczo na pokaz. - Nie wydaje ci się, że skoro podjąłeś walkę z kapłanami, byłoby nieźle zagrozić im czymś więcej niż własną butą? Te badania są dla nich ważne. Ustalmy, o co konkretnie chodzi, zdobądźmy dowody, a zyskamy haka na drani.

- Przecież i tak nie podasz tych informacji do wiadomości publicznej. Zaszkoziłbyś społeczności.

Caramel westchnął.

- Zdradzę ci tajemnicę - powiedział po chwili. - Tak między nami. Otóż społeczność głównie mnie obchodzi. Kiedy mam z nią po drodze, czemu nie, mogę, jak to się mówi, działać dla wspólnego dobra. Przede wszystkim jednak interesuje mnie moje własne przetrwanie.

- Powszechna wiedza o istnieniu wilkołaków nieszczególnie by ci w tym przetrwaniu pomogła - warknął Colin.

- Życie stałoby się odrobinę bardziej kłopotliwe... choć czy ja bym mocno odczuł tę zmianę? Brwi nie zrastają mi się nad nosem i generalnie mam wygląd miłego chłopaka z sąsiedztwa. Na wykrywacz nie reaguję, w pełni panuję nad przemianą. Ludzie mogą mi nagwizdać. Nie potrzebuję też bratniej duszy, żeby co jakiś czas pogadać sobie o tym, jak fantastycznie biega się nocą po lesie.

Colin przyglądał mu się spode łba. Smarkacz go podpuszczał czy mówił najzupełniej poważnie? Cholera, jeśli Caramel rzeczywiście wyznawał takie poglądy, nie powinien się do nich przyznawać nawet przed kolegą buntownikiem.

- Och, Colin - mruknął Caramel. - Nie zgrywaj świętoszka. Pod względem podejścia do społeczności niewiele się różnimy, tyle że ja nie próbuję się oszukiwać, powtarzając frazesy, które wbijano nam do łbów na szkoleniach.

Colin nie podjął wyzwania. Tin także swego czasu nazwała go hipokrytą, choć jej zarzuty dotyczyły, zdaje się, jedynie podejścia Colina do zasad rządzących społecznością. Tak czy owak, tych dwoje jakby się na niego uwzięło. Można by pomyśleć, że działają w zмовie.

Minęli Perth i zatrzymali się, żeby coś przekąsić. Caramel ustąpił, zgadzając się jechać aż pod Darlington i dopiero tam postanowić, czy powinni zregenerować siły, czy raczej z

rozpędu przypuścić atak na bazę agentów organizacji. Niestety, owo ustępstwo wiązało się z tym, że przekazał Colinowi kluczyki, kiedy ruszali w dalszą drogę.

- Kimnę się przynajmniej te trzy godziny w trakcie jazdy - oznajmił.

- Zanim się kimniesz... - mruknął Colin, włączając się do ruchu na autostradzie. - Twoim zdaniem Becky mówiła prawdę? O nieświadomych? Przecież to nie ma sensu.

- Ach, jednak interesują cię badania Karala?

- Jeśli Becky okłamała cię w tej kwestii, zapewne kłamała także, kierując nas do Darlington - warknął Colin. - Mnożenie nieświadomych! Prędzej uwierzę w klonowanie. Takich wyjątkowych osobników, jak na przykład Emily. Albo kapłani. Ilu ich właściwie jest?

- Najwyżej kilku - odparł sennie Caramel. Położył już oparcie fotela pasażera i dawał do zrozumienia, że pragnie jak najszybciej odpłynąć.

- I za nic nie zgodzisz się ze mną, że mogłoby im zależeć na powiększeniu tak skromnego grona, skoro współczesny świat stawia przed organizacją coraz poważniejsze wyzwania? - dociekał gniewnie Colin. - Nie zasypiaj jeszcze, do cholery!

- Przede wszystkim nie zgadzam się z tobą co do tego, że kapłani zostali przez naturę obdarzeni hojniej niż silne alfy takie jak ty czy ja - odparł Caramel, łaskawie otwierając jedno oko. Które zresztą natychmiast zamknął.

No cóż, w gruncie rzeczy zachowywał się w tej chwili dokładnie tak, jak w czasach, gdy chadzał wyłącznie w wilczej skórce. Colin zaś, zdaje się, nie tak dawno psioczył w duchu na zmianę, jaka zaszła w kumplu po przybraniu przez niego ludzkiej postaci - na jego wzmożoną aktywność i gadatliwość.

- Jakoś nie zauważyłem, żebym potrafił dorównać Udonowi - warknął Colin.

- Zgoda, też bym mu nie dorównał, ale założę się, że wynika to z przebytego szkolenia, a nie ze szczególnych właściwości osobniczych. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby pod względem cech wrodzonych ktokolwiek mógł być lepszy ode mnie - stwierdził Caramel; Dustin stanowczo się mylił, kiedy posądzał szczeniaka o ukryte kompleksy. - Czytałem o przypadku dziecka trzymanego od maleńkości w odosobnieniu. Zaczęto je uczyć mówić dopiero w wieku kilkunastu lat, no i okazało się, że nie jest ono w stanie opanować poprawnie tej sztuki. Mechanizm mowy nie rozwinął się u niego w odpowiednim momencie, i po ptakach. Przypuszczam, że z silnymi alfami sprawa wygląda podobnie. Może właśnie dlatego wychowuje się je poza osadą, gdzie muszą ukrywać swoją niezwykłość? Gdy kapłani upatrzą sobie konkretne młode, zaczynają je szkolić, powiedzmy, od szóstego roku życia. Natomiast u całej reszty silnych alf organizacja stara się wytłumić wszelkie cechy, które mogłyby uczynić je zbyt niezależnymi.

- Cieszę się, że kapłani cię nie deprymują - stwierdził z przekąsem Colin. - Niestety, nawet jeśli dorównujemy im obaj pod względem cech wrodzonych, nie przeszliśmy tych niezbędnych szkoleń. Wskutek czego nadal są dla nas groźnymi przeciwnikami.

- A czy ja twierdzę, że nie są? Po prostu na razie bym się tą kwestią nie podniecał. Najpierw musimy ich znaleźć, czyli przekonująco pogadać z kumplami Becky. Ja zaś aktualnie nie mam siły gadać nawet z tobą.

Colin gniewnie zacisnął ręce na kierownicy. Niech będzie, pozwoli się smarkaczowi wyspać. Kapłanami rzeczywiście zacznie się martwić później, kiedy pojawi się choć cień szansy na ich namierzenie.

Tak, tylko że w efekcie zoczyli z tematu i Colin nadal nie wiedział, co myśleć o rewelacjach Becky na temat przedmiotu badań Karala.

- Dobra, nie klony, a superalfa - powiedział. - Spodobał mi się ten pomysł. Alberto także zakładał coś podobnego.

- Kurde, Colin. - Caramel otworzył oczy, jakby lekko zirytowany. - Ty ciągle o tym samym?

- Usiłuję do czegoś dojść. Tobie ponoć także na tym zależy?

- Podpuszczałem ją z tą superalfą - mruknął Caramel, ziewając. - Co ci przed sekundą mówiłem? Kapłani nie lubią samodzielnie myślących osobników. Przypuszczam, że niejednego wykończyli, żeby nie mieszał. A zainwestowaliby kasę w stworzenie wybitnie niezależnego okazu?

- Rozmawiamy o okazie eksperymentalnym - sprzeciwił się Colin. - Dlaczego nie miałyby to być superalfa, która kornie słuchałaby poleceń?

- W samym określeniu superALFA masz informację, że nie byłby to osobnik skory do posłuchu. Ilu spotkałeś świadomych zdolnych przemienić się o każdej porze doby, którzy w relacjach z alfami w stadzie okazywaliby uległość bety? Bo ja żadnego. Przypuszczam, że te cechy są silnie sprzężone. Im więcej zdolności posiada dany osobnik, tym bardziej będzie niezależny.

- Zgoda, ale...

- Pomijając już fakt, że organizacja w ogóle nie inwestowałaby w tego rodzaju projekt - przerwał mu Caramel.

- Jasne, przecież do sfinansowania badań nad superalfą można namówić ludzi, w ramach poszukiwania broni doskonałej - ironizował Colin. - Na przykład działając za pośrednictwem podporządkowanej sobie agencji.

- No właśnie - potwierdził całkiem serio Caramel.

- Teraz ja cię podpuszczałem - warknął Colin. - Cytowałem Alberta.

- Ten twój Alberto nie jest aż takim pomyłecem.

- Ach, więc organizacja ma swoich przedstawicieli w otoczeniu przywódców światowych mocarstw? Siedziby w wielkich miastach? Sieć laboratoriów...

- Do diabła, Colin. - Caramel ostentacyjnie odwrócił się plecami do niego. - Od razu popadasz w skrajności. Nie, nie ma nas aż tylu, żebyśmy zdołali stworzyć równie potężną siatkę powiązań.

- Skąd wiesz? Może są nas tysiące...

- Podśluhałem to i owo - przerwał mu Caramel. - Jesteśmy liczniejsi, niż wciska się każdej grupce z osobna, ale do potęgi, o jaką podejrzewa nas twój Alberto, jeszcze nam trochę brakuje. Spodziewam się jednak, że niejednemu się ona marzy. Nazwałbym Alberta wizjonerem...

- Szkoda, że nie jasnowidzem - sarknął Colin.

- Becky podała nam konkretną informację. Nieświadomi. Skupmy się na ustaleniu, czego organizacja od nich chce, zamiast wymyślać kolejne fantastyczne hipotezy.

- Kłamała.

- Nie kłamała - odparł Caramel spokojnie, acz stanowczo. - I zamknij się wreszcie.

- Jezu, Colin, jest po trzeciej - jęknęła Tin, odpowiadając na wezwanie dopiero po dłuższej chwili.

Cholera, znów przeoczył ten szczegół. Ale przecież chyba chciała wysłuchać relacji ze spotkania z Becky?

Jak Colin mógł się spodziewać, Tin wzięła stronę smarkatego gnojka. Także uważała, że skoro Becky podsunęła im trop - przy czym zdaniem Caramela mówiła szczerze - powinni przyjąć, że chodzi o badania nad nieświadomymi, i skupić się na poznaniu celu tych eksperymentów oraz, ewentualnie, zdobyciu dowodów.

- Jasne, super, mam się słuchać Caramela! - warknął Colin. - Twierdzi, że laska mówiła prawdę, więc na pewno tak było. Tego, że on i Becky działali w zмовie, w ogóle nie bierzesz pod uwagę.

- Nie sądzę, żeby działali w zмовie - odparła powoli Tin.

- A co, przecucie coś ci podpowiada? - zainteresował się natychmiast.

- Nie dostrzegam zмовy, natomiast w samym Caramelu... jest coś mętnego. Niedookreślonego.

- Czyli nie powinienem mu ufać? - Colin stał się czujny. Szkopuł w tym, że nie

wiedział, wobec kogo wypada mu zachować ostrożność: wobec Caramela, ponieważ Tin go oskarżała, czy wobec Tin, ponieważ oskarżała Caramela.

- Tego nie powiedziałam. - Oczywiście wyobraźni ujrzał ją, jak marszczy brwi w głębokim namyśle. - Widzisz... odnoszę wrażenie, że on nie mówi ci wszystkiego, tylko nie potrafię osądzić, jak istotne sprawy zataja. To znaczy chodzi o fakty ważne dla ciebie, czy jedynie dla niego. Nie jestem pewna, czy ostatecznie wybrał, po której gra stronie.

- Ależ wybrał - mruknął Colin. - Bardzo dobitnie oznajmił mi, że jest jedyną stroną, której dobro go interesuje. Narazi społeczność, jeśli tego będzie wymagało jego własne przetrwanie. Ponoć zależy mu wyłącznie na tym, żeby przetrwać. Nie wydaje ci się, że w takim razie powinien siedzieć grzecznie w osadzie?

- Niektórzy uważają nudę za gorszą od śmierci - sprzeciwiła się łagodnie Tin. - On chyba szuka podniet... Jak nałogowy hazardzista. Każda jego decyzja stanowi kolejny ruch w grze. Aktualnie cię wspiera, ale zachowaj rozwagę w kontaktach z nim.

Zalecała mu rozwagę. A jeśli tych dwoje jednak działało w zмовie? Naskakiwali na siebie nawzajem, aby po chwili zajadłe bronić jedno drugiego, choć podobno wiedzieli o sobie tylko tyle, ile usłyszeli od Colina. Niewykluczone, że zrobił z siebie idiotę, kiedy z pasją opowiadał Caramelowi o spotkaniu z kobietą swego życia.

Ach, wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne, że robił z siebie idiotę za każdym razem, kiedy podawał w wątpliwość intencje Tin.

Pod wskazanym im przez Becky adresem odkryli niewielki budynek, stojący na nieogrodzonym terenie na przedmieściach Darlington; jeśli wierzyć sztyldowi, mieściła się w nim firma informatyczna. O tej porze - zbliżała się szósta rano - wyglądał na opuszczony, co zasadniczo nie dziwiło. Przejechali obok z normalną prędkością, wprowadzając z otwartymi oknami, ale nie wychylając się z wozu, tak więc niewiele zdołali wywęszyć.

- Kamuflaż? - spytał Colin. - Czy wcisnęła nam kit?

- Przy tym ich bziku na punkcie tajności każdy zespół działa sam, nie wiedząc o zadaniach innych. Na centrum dowodzenia jedną operacją niewielka firma informatyczna pasuje jak ulał. - Caramel obejrzał się, ale budynek zniknął już z pola widzenia. - Zaparkuj gdzieś. Podejźmy tam, dopóki jest w miarę ciemno.

Gnojek znowu wydawał Colinowi polecenia, w dodatku w sprawach tak oczywistych, że stawianie się - „A właśnie, że nie zaparkuję” - byłoby śmieszne. Colin trochę zbyt gwałtownie zahamował na poboczu.

- Tak sobie podejźmy? - warknął. - Nie, ty chciałeś najpierw starannie zaplanować

tę operację?

- Gdybyśmy tu zastali zasieki z drutu kolczastego i tabuny strażników, pewnie bym planował - odparł pogodnie Caramel. - Ale nie krępuj się. Ja się tymczasem przespaceruję tam i z powrotem.

Smarkacz się zdrzemnął, odzyskał siły, więc teraz tryskał humorem, podczas gdy Colinowi dokuczało zmęczenie. Powinien był przynajmniej trochę potarmosić Josha, miałby lepsze samopoczucie.

Gniewnie trzasnął drzwiami toyoty. Caramel zmierzał już w kierunku budynku domniemanej bazy. Psiakrew, Becky na sto procent podała im lipny namiar, a oni, kretyni, zwrócili jej nieuszkodzonego kochasia.

Dogonił smarkacza. Ruszyli truchtem, niby to poranni biegacze, choć stroje mieli średnio przekonujące.

Zdaniem Colina nawet w dresach zanadto rzucaliby się w oczy - w tej okolicy chyba rzadko uprawiano jogging, i w dodatku o tak wczesnej porze.

Obiegli budynek, boki i front, tak jak prowadziła droga. Od tyłu należący do firmy teren graniczył z inną posesją, nie dało się tam dyskretnie podejść.

Nic nie zwęszyli - choćby najdelikatniejszej nutki świadomych. No, ale Colin niuchał Becky z tak bliska, że bliżej nie można, a też się na niej nie poznał. Szukali przecież bazy specśłużb organizacji.

Wrócili do wozu.

- Pechowo, że jest sobota - powiedział Caramel. - Nic nam nie da informacja, że przez cały dzień wszystko stoi i zamknięte na cztery spusty.

- Baza działałaby całą dobę - rozważał Colin. - Jako firma informatyczna... oficjalnie pełniliby dyżury. Serwer u klienta może paść o każdej porze dnia i nocy. Powinien tam stać przynajmniej jeden samochód. Jeżeli ta suka nas nie okłamała, to musiała ich ostrzec.

- Nie zapędzaj się z oskarżeniami - mruknął Caramel, wyraźnie myśląc o czymś innym. - U nich obowiązuje zasada ograniczonego zaufania. Nikt nie podważa lojalności agenta, ale na wszelki wypadek lepiej kontrolować jego rozmowy telefoniczne.

Colin chętnie warknąłby, że ten szczegół należało uwzględnić wcześniej. Tyle że sam też mógł ruszyć głową.

- Przeczucie nic ci nie podpowiada? - zapytał Caramel. - W kwestii tego, czy możemy tam bezpiecznie wejść?

- Nie - odparł z niechęcią Colin. Przeczucie kazało mu jechać do Dundee, po czym na powrót umilkło, czort wie na jak długo.

- No, a gdybyś podszedł bliżej? - nie ustępował Caramel. - Ostrzegłoby cię przed niebezpieczeństwem? Bo, szczerze mówiąc, nie uśmiecha mi się sterczeć tu cały weekend, jeśli oni się wynieśli.

- A ostrzegło mnie przed tamtym facetem? - odparował Colin. - Gdybyś mu nie przeszkodził, zarobiłbym kulkę.

- Ale jej nie zarobiłeś - zauważył trzeźwo Caramel. - Czyli nie musiało się mieszać.

- Poproszę Tin, żeby posłuchała swojego wewnętrznego głosu - mruknął Colin. - Jej przecucie wypowiada się w odniesieniu do bieżących zdarzeń.

Ponownie zbliżyli się do budynku. Problem z przecuciami polegał na tym, że jeśli ich nie było, nie równało się to stwierdzeniu, że niebezpieczeństwo nie istnieje. Tin wprawdzie nie wyczuwała zagrożenia, nie mogła jednak zagwarantować, że w budynku nie czyhają na nich przykre niespodzianki.

- Cholera, Tin, skup się - ponaglił ją Colin. - Jeszcze kilka kroków i stanę pod drzwiami.

- Staram się - odparła poirytowana.

Złościła się, ponieważ nie od niej zależało, czy przecucie przemówi. Ale też nie ona wystawiała się w tej chwili na ostrzał. Co Colinowi z tego, że Caramel go osłaniał? Owszem, smarkacz nosił przy sobie broń tamtego zamachowca, tyle że, do diabła, nie miał kiedy nauczyć się strzelać.

- Tam nic nie ma - powiedziała wreszcie Tin, tym razem z przekonaniem.

- Dobrze. - Colin odetchnął. Nie podobał mu się ten plan: pakowanie się agentom organizacji pod sam nos w głupiej nadziei na to, że przecucie, jego lub Tin, raczy się odezwać. A gdyby uparcie milczało? Tamci mieliby nie lada ubaw z profesjonalizmu kolegi zza oceanu. - Czyli mogę bezpiecznie wejść?

Stał już pod drzwiami. Wydawało mu się... tak, w powietrzu unosiła się delikatna woń świadomego. Nie dość dobrze maskującej się alfy. Becky jednak nie kłamała.

- Możesz, ale to wcale nie jest pomyślna wiadomość - odparła Tin. - Tam nic nie ma. Nic.

- Mówisz, że w ogóle nie mam po co tam wchodzić? - zapytał podchwytliwie.

- Ależ wchodzi - odrzekła, znów poirytowana. Ostatnio dziwnie łatwo wpadała w złość.

- Ostrzegam cię jedynie przed rozczarowaniem.

Dał znak Caramelowi i, nie czekając na kumpla, podszedł do drzwi. Było się nie okazało, że przecucie postanowiło dziś spłatać Tin figla. Albo raz na zawsze uwolnić ją od osoby Colina.

Nie chciało mu się bawić z wytrychami, których zresztą zapomniał zabrać z auta. Na szczęście drzwi ustąpiły za pierwszym kopnięciem.

Dołączył do niego Caramel, w czapce z daszkiem nasuniętej głęboko na czoło.

- Kamery mogą jeszcze działać - powiedział szczeniak, wskazując gestem urzędzonko w rogu niewielkiego hallu recepcji. - Podobnie jak mikrofony, więc poczekajmy z komentarzami, aż stąd wyjdziemy.

Rzeczywiście, w środku było pusto. To znaczy, została część sprzętu elektronicznego, zwłaszcza większych gabarytów, meble, a nawet sporo teczek i segregatorów, ale znajdujące się w nich dokumenty wiązały się z oficjalną działalnością firmy.

Colin rozróżnił pięć osobniczych woni, w tym jedną owego źle maskującego się świadomego. Nie wykluczał, że facet umiał się świetnie kamuflować, ale otrzymał zadanie przekonania Colina i Caramela o prawdziwości Becky. Tak, by uwierzyli również w jej bajeczkę o badaniach nad nieświadomymi.

Pozostałe cztery osoby niekoniecznie musiały być alfami: skoro tworzono tu pozory legalnej działalności, może zatrudniono człowieka informatyka. Takie rozwiązanie wydawało się jednak zbyt ryzykowne, zwłaszcza że cała piątka uczestniczyła w zwijaniu tutejszego kramu; wynieśli się stąd wszyscy mniej więcej półtorej godziny temu.

Psiakrew, gdyby oni dwaj nie zatrzymali się na żarcie... No, ale starcie z pięcioma alfami nie wyszłoby im na zdrowie. Nawet jeśli tamci mieli instrukcje, że nie wolno im trwale uszkodzić Colina, raczej nie przyjmowałyby biernie ciosów ani też nie zwiali w panice. Z Caramelem zaś w ogóle by się nie patyczkowali.

Spędzili w budynku ponad godzinę - ryzykowne posunięcie, ale Tin stała na mentalnych czatach, bacząc, czy przecucie nie zasugeruje jej zniecka, że muszą uciekać. Colin autentycznie przyłożył się do przeglądania papierzysk. Pragnął dowieść, że Tin się myliła, twierdząc, że w budynku nic nie zostało. Super. Powierzał jej swoje życie, a zarazem, już tradycyjnie, posądzal o zamiar odwiedzenia go od poszukiwań siostry - bo przecież to dla Emily szperali w opuszczonej bazie agentów organizacji.

Zabrali kilka dokumentów, których treść wydała im się na tyle enigmatyczna, by rokować nadzieje, że chodzi o zaszyfrowane informacje. Przypuszczalnie jednak były to notatki autentycznych informatyków, przywleczone tu w ramach kamuflażu i niezrozumiałe nawet dla okupujących budynek agentów.

- Co teraz? - spytał Colin, odpalając silnik.

- Zostaje nam ta niemiecka klinika - stwierdził Caramel. - Czyli kierunek na Dover.

- Nie sprawiasz wrażenia przybitego faktem, że niczego nie znaleźliśmy - mruknął

Colin, włączając się do ruchu.

Caramel westchnął ciężko.

- Zakładałem dwie możliwości: wiedzą o nas i zmyli się w porę, dokładnie po sobie sprzątając, albo o nas nie wiedzą, dadzą się zaskoczyć ze wszystkimi tajnymi danymi, tyle że odebranie im tego szajsu będzie nas sporo kosztować. Szczerze mówiąc, nie gniewam się, że nie musiałem płacić wygórowanej ceny za informacje, które zapewne niewiele by wniosły do sprawy. Ani ty nie dostałbyś namiaru na kapłanów, ani ja istotnych dowodów.

- A w klinice je znajdziesz? - sarknął Colin.

- Jeśli dorwiemy listę dzieciaków urodzonych z zarodków dawców... Klinika działa legalnie, leczenie w znacznej części finansuje państwo, resztę płacą pacjenci. Koszt wychowania dziecka także spada na ludzi. Komfortowa sytuacja dla organizacji. Tyle że w efekcie dzieciaka nie da się tak po prostu wymazać z kartoteki. Wpadli we własne sidła. Usuną konkretne dane z archiwum kliniki, a wręcz ułatwią zadanie poszukiwaczom, którzy zdobędą tę samą listę nazwisk z innego źródła, z kas chorych czy gdzie tam są przechowywane tego typu informacje, i porównają, kogo brakuje. Poza tym nie brali pod uwagę, że dziecka będzie szukać świadomy, ten zaś pozna po zapachu, czy trafił właściwie. Człowiek musiałby potraktować każdego malca wykrywaczem, a wiadomo, jak się patrzy na obcych facetów zagląających do wózków albo kręcących się w pobliżu piaskownicy.

Colin prowadził chwilę w milczeniu. Niby racja, ale co jemu po dowodach w sprawie kliniki? Od agenta, gdyby jakiegoś dorwał, zdobyłby może namiar na kapłana. A jeśli Becky zatrzymała co nieco dla siebie?

- Wiesz, gdzie mieszka Josh? - zapytał. - Wróciłbym się upewnić, czy Becky nie pragnie uzupełnić swoich zeznań.

- Odpuść dziewczynie - mruknął Caramel. - W notesie i tak był tylko numer jego komórki. Nie spodziewam się zresztą, że się zadekują u niego w mieszkaniu.

- Ale niewykluczone, że Josh zechce coś stamtąd zabrać - warknął Colin. - Dlaczego tak jej bronisz? Wymyślasz niestworzone teorie, jak to ją podsłuchiwali i śledzili, zamiast przyjąć najprostsze wyjaśnienie. Suka ich ostrzegła. I tyle. Na pewno dzwoniła na komórkę Josha z bezpiecznego aparatu. O niczym by nie wiedzieli, gdyby nie dostali od niej cynku.

- Pamiętasz jej instrukcje, co w razie czego mamy powiedzieć na temat powodów, dla których nam pomogła? Moim zdaniem mówiła o swoim buncie całkiem serio, choć, naturalnie, jego przyczynę stanowił Josh. Laska uzmysłowiła sobie, że choć wiernie służyła organizacji, nie pozwoli jej spędzić reszty życia u boku Josha. Prędzej wykończyliby ich oboje. Na początek jego, w nadziei na to, że Becky po paru miesiącach otrzeźwieje i jeszcze

się im przysłuży.

- Tin sądzi, że zakazy odnoszące się do związków z ludźmi są tylko na pokaz, mają nam obrzydzić ludzkich partnerów. Ale kiedy klamka zapadnie, organizacja jedynie izoluje taką parę od pozostałych.

- Twoja Tin jest idealistką - mruknął Caramel.

W pierwszej chwili Colin chciał zaprotestować - sam przecież powątpiewał, czy Tin wierzy w takie wyjaśnienie. Niemniej w wielu innych kwestiach pozostawała idealistką. On zaś nie wiedział, czy się z tego cieszyć, czy raczej za wszelką cenę otwierać jej oczy.

- Okej, Becky zasługuje na nasze zaufanie. - Colin wrócił do dręczącej go kwestii. - Dała nam namiar na swoich kumpli, nikogo nie powiadomiła, podzieliła się z tobą całą swoją wiedzą na temat badań Karala. A wiesz przynajmniej, jak ona ma naprawdę na imię?

- Nazywasz się tak, jak wołają cię najbliżsi - odparł Caramel, wzruszywszy ramionami.
- Jej najbliższy to w tej chwili Josh.

Colin zmarszczył brwi.

- Czy właśnie sugerujesz, że wcale nie mam na imię Colin? - zapytał.

- Oczywiście, że masz. Tak o sobie myślisz, nie?

- Dobra. Ale jako dziecko nazywałem się inaczej?

- Sądziłeś, że twój ojciec okazał się aż tak nieostrożny, żeby nie zmienić waszych imion? - zdziwił się Caramel.

- Nie wiem, czy ja bym zmieniał w takiej sytuacji - odparł Colin. - Nazwisko, jasne, ale nie oczekiwałbym, że organizacja dysponuje możliwościami odnalezienia nas dzięki samym imionom.

- Wystarczy, że mają pieniądze na opłacenie tego rodzaju usługi.

- To dlaczego w osadzie od pierwszego dnia wszyscy zwracali się do mnie per Colin? O ojcu... też nie słyszałem, żeby ktoś wypowiadał się inaczej, niż używając imienia Godfrey.

- Inna sprawa, że o ojcu Colin nie rozmawiał w zasadzie z nikim poza stryjem. No i Udonem, ale w przypadku kapłana nie dałby sobie uciąć głowy, czy ten posłużył się imieniem.

- Co za różnica? - skwitował Caramel. - Nasze tożsamości są sprawą względną. Przywykłeś do bycia Colinem. Emily, Mat, ten upierdliwy Nigel Stewart też znają cię jako Colina. Gdyby któreś z nich zechciało sprawdzić, jak potoczyły się twoje losy, powinieneś figurować tu i ówdzie pod znanym imieniem i nazwiskiem. A przede wszystkim odwracać się, kiedy zawołają: „Colin!” w razie niespodziewanego spotkania. Podczas akcji i tak posługiwałeś się lewymi papierami.

Caramel zasadniczo miał rację. Skoro Colin od szczenięcych lat używał tego właśnie

imienia, wydawało się bez znaczenia, co ktoś zapisał w papierach przy jego narodzinach. Sytuacja Colina, ze względu na ucieczkę ojca z osady, była wprawdzie wyjątkowa, jednak na pewno nie tylko jemu personalia zmieniały się na różnych etapach życia.

Dlaczego więc teraz poczuł się z czegoś odarty? Znał odpowiedź. Dla wszystkich wkoło był obecnie Colinem, ale matka, kiedyś, nazywała go inaczej. Jak?

Wiele razy wyobrażał sobie, że ona żyje. Że spotykają się przypadkiem i, naturalnie, żadne nie rozpoznaje drugiego, ale kiedy on się przedstawia: „Jestem Colin”, porusza w niej jakąś strunę... Ianthe - czy ona w ogóle nazywała się Ianthe? - pyta: „Syn Godfrey?” a potem już wie. A tu nagle... nagle okazywało się, że imię Colina nic by dla niej nie znaczyło.

- Popierdalone to wszystko - rzucił z irytacją Colin.

- Kurde, bywasz autentycznie odkrywczy - skomentował Caramel, majstrując przy oparciu fotela.

- Kładziesz się spać? Teraz moja kolej...

- Chciałem, żebyśmy się zatrzymali w motelu, odmówiłeś. Stańmy gdzieś albo prowadź, ja w każdym razie zamierzam się zdrzemnąć.

Colin zaklął w duchu, łypiąc ze złością na moszczącego się na siedzeniu Caramela. Ach, i tak nie zdołałby zasnąć.

Prowadził, rozmyślając o swojej rodzinie. Matka nie żyła, ojciec, Bogu dzięki, też, Emili uprowadzili kapłani, stryj... lepiej nie gadać. Pozostał mu tylko Mat, do którego Colin obiecał zadzwonić. Obiecał ponad rok temu, psiakrew. Teraz miał się już czym pochwalić, zwłaszcza że nie planował zdawać bratu szczegółowej relacji. Wpadł na trop, i tyle.

Zerknął na Caramela. Szczeniak chyba jeszcze nie wywalił tego telefonu na kartę? To znaczy, samej karty.

Czy organizacja faktycznie była w stanie zlokalizować komórkę? Colin niby się z tym liczył, od samego początku, ale w zasadzie bez przekonania. Do tego celu potrzeba sprzętu, wyszkolonych ludzi. Podejrzewanie organizacji o to, że dysponuje stosownymi możliwościami, wydawało się przesadą. Popadał w paranoję wskutek kontaktów z Albertem...

Niemniej nasłany przez Gordona zabójca wiedział, gdzie go szukać. Czy nie namierzyli Colina właśnie za sprawą jego stale włączonej komórki? Kupił ją po przylocie do Francji, niby nie znali numeru, ale raz czy dwa zdarzyło mu się kontaktować z łowcami. Przecież o prowadzenie naukowych badań Colin także by organizacji nie posądzał, a dostał niepodważalny dowód na to, że się mylił. Przy najbliższej okazji zadzwoni do brata z budki.

Tymczasem rzeczywiście zatrzyma się na jakimś parkingu, bo droga rozdwajała mu się przed oczami.

Komórka Mata nie odpowiadała. Wyłączona lub poza zasięgiem. Colin odwiesił słuchawkę, z namysłem ściągając brwi. Jasne, była sobota. Tutaj dochodziła czwarta, więc w Idaho... no, w każdym razie smarkacz jeszcze spał. Nie to nie.

- Prowadzisz - warknął do Caramela, otwierając drzwi po stronie pasażera.

- Za długo nie pogadaliście - stwierdził Caramel, gramoląc się z wozu.

- Wyłączył komórkę. Widocznie mu nie zależy.

- Mówisz, jakbyście rozmawiali po raz ostatni tydzień temu - skomentował Caramel, wsuwając się za kierownicę.

Colin także wsiadł, gniewnie trzaskając drzwiami. Fakt, psiakrew, trochę wody upłynęło. Mat wykończyłby się psychicznie, gdyby stale warował, czekając na telefon. Ale, do diabła, Colin do niczego się nie zobowiązywał. Wręcz zapowiedział szczyłowi, żeby nie liczył na wieści. Przecież jeśli odnajdzie Emily, od Mata jako pierwszego organizacja spróbuje wydobyć informację o miejscu pobytu dziewczynki.

Mocniej ściągnął brwi, aż rozboleło go czoło. Jeżeli w organizacji podążą tym tokiem rozumowania, Mat znajdzie się w niebezpieczeństwie bez względu na stan swojej wiedzy. No, ale od Emily nadal dzieliła Colina daleka droga. Realniejszym zagrożeniem wydawał się Gordon, jeśli to rzeczywiście on nasłał na niego zabójcę. Czy stryj spróbuje użyć Mata jako karty przetargowej?

Colin wiercił się nerwowo na fotelu pasażera. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy? No, zdaje się, że przemknęła mu podobna myśl, ale nie wiedzieć czemu ją zignorował. Obecnie pragnął jak najszybciej ostrzec brata, niech chłopak na wszelki wypadek wyniesie się na kilka miesięcy do jakiegoś wielkiego miasta. Żeby tylko smarkacz włączył tę cholerną komórkę.

Na noc zatrzymali się w Ibisie w Brukseli. Caramel płacił, więc Colin nie upierał się, żeby spali w samochodzie. Zresztą, pozagryzaliby się nawzajem, gdyby przyszło im spędzić jeszcze jedną noc w ciasnym wnętrzu toyoty. Gdyby Colinowi nie było szkoda kasy, najchętniej wziąłby osobny pokój.

Zanim wsiadli na prom i potem, po przybiciu do Calais, Colin wytrwale podejmował próby skontaktowania się z Matem. Bez skutku. Nie dało się dłużej tłumaczyć wyłączonej komórki chłopaka zbyt wczesną godziną za oceanem. Co się stało? Na pewno istniało proste wyjaśnienie, niemniej Colin poczułby się spokojniejszy, gdyby usłyszał je z ust brata.

Po ostatniej próbie poprosił Tin, żeby poszukała mu domowego numeru Stewartów.

Bez pośpiechu, bo ani tego dnia, ani w niedzielę do nich nie zadzwoni - ryzykowałby, że natknie się na Nigela, a mściwy drań już by się postarał odciąć go od brata. W ostateczności Tin mogłaby zdobyć namiar na któregoś z kumpli Mata, choć Colin wahał się, czy powinien przypominać się szczeniakom.

Z rezygnacją zwałił się na hotelowe łóżko. Czuł się wycieńczony, nawet bardziej psychicznie niż fizycznie. Za wiele niewiadomych naraz. Gdyby tylko zdołał ustalić, czego chcą od niego kapłani! Był dla nich cenny, a Caramel podejrzewał, że chodzi o pomoc w nakłonieniu Emily do realizacji ich celów. Dlatego kapłanom zależało nie tylko na utrzymaniu Colina w dobrym zdrowiu, ale także na zagwarantowaniu sobie jego przychylności. Jeśli rzeczywiście tak było, powinni otoczyć Mata opieką, przynajmniej do czasu, kiedy Colin uprowadzi Emily i nastawienie kapłanów do jego osoby gwałtownie się zmieni. Co jednak, jeżeli Caramel się mylił?

Zerknął na szczeniaka. W Calais gnojek odmówił dalszego prowadzenia samochodu, tłumacząc, że nadal czuje się wycieńczony, natomiast obecnie, zamiast spać, zagłębił się w lekturze, zagryzając snickersem. Ciekawe, od kiedy stał się takim zagorzałym czytelnikiem.

- Udo wspomniał o przepowiedni - odezwał się Colin. - Dotyczącej Emily. Myślisz, że była w niej także mowa o mnie? I z tego względu mogę być ważny?

Caramel oderwał wzrok od książki.

- A o czym konkretnie mówiła ta przepowiednia? - zapytał.

- Jeśli Udo nie kłamał... chociaż czekaj, o przepowiedni powiedział mi chyba Gordon, Udo nawiązał tylko do szczególnych właściwości Emily... - Colin zmarszczył czoło, usiłując uporządkować wspomnienia. - W każdym razie chodziło o Em, o dziecko o nietypowych właściwościach. No i o rytuał z krwi rodziców, żeby te jej właściwości wzmocnić.

- Chyba? - Caramel zamknął książkę i usiadł po turecku na łóżku.

- Wszystko działo się półtora roku temu. Mieszka mi się, co kto faktycznie powiedział.

- A, nie, no jasne - zgodził się Caramel. - Chociaż niejeden śmiałyby twierdzić, że takie szczegóły powinny być wyryć ci się w pamięci wielkimi zgłoskami.

- Co słyszałeś o tej przepowiedni? - wycedził Colin.

- Gordon coś napomykał, ale mętnie. - Ton głosu Caramela sugerował, że szczeniak zna ciekawsze tematy do rozmowy, czy wręcz: bardziej interesujące zajęcia niż maglowanie z Colinem po raz n-ty kwestii motywów, jakimi kierują się kapłani.

- Spróbuj sobie przypomnieć - poradził mu łagodnie Colin. Gówniarzowi nic się nie wryło wielkimi zgłoskami? - Założę się, że przepowiednia ma ciąg dalszy, opisujący rolę, jaką spełni wspomniane w niej dziecko.

- Nic nie słyszałem o roli przypisywanej Emily. Zresztą nie stresowałem się nadmiernie tym, co zawierała przepowiednia.

- To znaczy?

- Uogólniając, można uznać przepowiednię za rodzaj przeczucia, prawda? Takiego jak twoje?

- Nie wiem, moje przeczucia dotyczą zdarzeń stosunkowo bliskich w czasie... a przeczucia Tin wręcz bieżącej chwili. Wizji kogoś żyjącego przed wiekami...

- A czemu przed wiekami? - przerwał mu Caramel. - Gordon tak twierdził?

Colin zmarszczył brwi w głębokim namyśle. Jakoś tak przyjął... że każda przepowiednia musi być stara. Ale fakt, równie dobrze ktoś mógł doznać objawienia tuż po ucieczce Godfrey'a z osady. Raczej nie później, bo ponoć nie ścigali Godfrey'a właśnie ze względu na wyjątkowe dziecko, które miał dopiero spłodzić.

- Jeśli przepowiednia rzeczywiście liczy wiele stuleci, podchodziłbym do niej już całkiem ostrożnie - stwierdził Caramel. - Twoje przeczucia są na tyle nieprecyzyjne, że sam gubisz się w ich interpretacji, a co dopiero, kiedy w rozszyfrowanie ich bawiliby się inni, i to na przestrzeni wieków.

- Dlaczego nieprecyzyjne? - zdenerwował się Colin.

- Ponieważ zostawiają spore pole do interpretacji - powtórzył cierpliwie Caramel. - Weźmy twój przyjazd do Dundee. Przeczucie kazało ci tam jechać, zgadza się?

Colin skinął głową.

- I wyraźnie czułeś, że otrzymasz tam namiary na kapłanów lub osobę, która pomoże ci do nich dotrzeć? - drążył Caramel.

- Noo... w pewnym sensie. Szukam Emily, a przeczucie pchnęło mnie do Dundee. W związku z tymi poszukiwaniami. Gdyby w Szkocji nie czekały na mnie odpowiedzi...

- Ale ich tam nie znalazłeś - przerwał mu brutalnie Caramel. - Za to spotkałeś mnie. Czy choć raz przeszło ci przez myśl, że przeczucie kazało ci jechać do Dundee ze względu na spotkanie ze mną? I nie ostrzegło cię przed zamachem, gdyż wówczas byśmy się rozminęli?

Colin milczał. Niby racja, spotkał Caramela i dowiedział się od niego paru istotnych detali, a być może wspólnymi siłami dojdą wkrótce do przełomowych wniosków. Na razie nie widział, w jaki sposób rewelacje szczeniaka przybliżyły go do Emily, ale, z drugiej strony, przynajmniej się z nią wiązały. W przeciwieństwie do sprawy badań Karala, która z Em miała przypuszczalnie tylko tyle wspólnego, że jednym i drugim przedsięwzięciem sterowali kapłani.

Z drugiej strony Colin nie musiał jechać akurat do Dundee, żeby wpaść na Caramela.

Szczeniak podążał za zamachowcem, który namierzyłby Colina bez względu na miejsce jego pobytu. Czego więc ostatecznie dotyczyła wskazówka przecucia?

- Taka ofiara z krwi - podjął z satysfakcją Caramel. - Jeden wydedukuje, że wystarczy ukłuć oboje rodziców szpilką i rozetrzeć krew na czole dziecka. Inny stwierdzi, że trzeba ich zabić w taki sposób, żeby popłynęło trochę krwi, czyli zastrzelić lub zadźgać, a nie, na przykład, skrócić im karki. Trzeci natomiast uzna, że koniecznie trzeba tych dwoje rozerwać na strzępy. Zwłaszcza jeżeli tylko on ma dostęp do pełnej treści supertajnej przepowiedni.

- Sugerujesz... - Colin nie całkiem nadał za tokiem rozumowania Caramela. - Co ty właściwie sugerujesz?

- Bardzo ci było przykro, kiedy zabiłeś Stipe'a? Od tamtej pory obraz jego pokiereszowanego ciała nawiedza cię w snach, a wyrzuty sumienia...

- Co to ma do rzeczy?! - wybuchł Colin. - Stipe był podłym skurwielem...

- Ależ zgoda - przerwał mu ze spokojem Caramel. - Interesuje mnie jedynie, jak bardzo traumatycznym przeżyciem było dla ciebie, biedaku, to zabójstwo.

Na moment zamknął Colinowi usta. Caramel dobrze wiedział, że zabicie Stipe'a nie było traumatycznym przeżyciem. Było... polowaniem, adrenaliną. Słodkim smakiem krwi w pysku.

- Twoim zdaniem zabił ich wyłącznie dlatego, że tego chciał? - zapytał wreszcie Colin.

- Zabić pewnie musiał. Pytanie: czy musiał w taki sposób? Pomyśl tylko, jak bardzo obciążony psychicznie jest taki kapłan. Wszystkie te tajemnice... Nic dziwnego, że pali się do tego, żeby zatopić w kimś zęby. Niestety, jako kapłan musi się piekielnie pilnować, bo przecież stoi na straży świętych zasad społeczności.

- To głupie - orzekł nagle Colin. - Gdyby chciał sobie użyć, wybrałby dyskretniejsze rozwiązanie. Zbyt wielu członków społeczności wie o tej sprawie, o przepowiedni. Musiałby być psychopatą...

A jeśli nim był? Czy na samym początku Colin nie rozważał podobnego wyjaśnienia? Dzieło sztuki - takie skojarzenie nasunęło mu się wtedy, w zalanym krwią salonie. Dzieło członka społeczności, któremu totalnie odbiło.

- ...a psychopatę natychmiast zdjęliby z funkcji kapłana - zakończył stanowczo po krótkiej przerwie.

- Och, czy ja się upieram przy tej teorii? - spytał Caramel, układając się znów na łóżku. Otworzył książkę. - Rozważałem jedynie możliwe interpretacje ofiary z krwi. Emily była wtedy w domu? - zapytał zniemacka, ze wzrokiem utkwionym w tekście.

- Wiesz, że nie. - Colin podszedł do okna.

Widok na miasto, no super. Budynki, samochody, beton, ludzie. Na pewno podziałają na niego kojąco. W tym pokoju było stanowczo zbyt ciasno dla nich dwóch, choć Caramel doskonale udawał, że tego nie zauważa.

- A potem tam wróciła? - dociekał Caramel.

- Nie - warknął Colin, nie oglądając się na kumpla. - Wątpię też, czy Nigel wziął stamtąd choć jedną z należących do niej i Mata rzeczy.

Jasne, dostrzegał już, do czego zmierza smarkacz. Jaki sens miał rytuał, skoro osoba, której ponoć bezpośrednio dotyczył, nawet nie znalazła się w pobliżu miejsca, gdzie go odprawiono?

- Może chodziło jedynie o ich śmierć, krew jako ofiarę dla tego całego bóstwa czy innych tajemniczych bytów? - spróbował Colin. - Prawdziwą odpowiedź zna tylko Udo, a z niego niczego nie wydobędę.

Caramel milczał, pewnie znowu udawał zaczytanego. Colin wyglądał przez okno. Wiedział przecież, że nie tak brzmi wyjaśnienie. Nieraz w przeszłości zadawał sobie pytanie, dlaczego zabójca wybrał akurat taką porę - tuż po wyjeździe Colina z dziećmi, kończąc na minuty, jeśli nie sekundy przed jego powrotem. Niewątpliwie bydlak przygotował się do akcji, znał zwyczaje członków rodziny. Mógł ze sporą dokładnością założyć, o której Colin pojawi się w domu. Colin, a nie Emily. Psiakrew, dlaczego wcześniej nie dostrzegł tej oczywistości?

Owszem, dopóki Colin podejrzewał dzieło szaleńca, brał pod uwagę, że typ pragnął popisać się przed nim, innym silnym świadomym. Odrzucił jednak wszelkie wyjaśnienia związane z jego osobą, kiedy usłyszał o przepowiedni. Dotyczącej ponoć wyłącznie Emily. Niemniej o przepowiedni dowiedział się od Gordona, który okłamał go w tylu innych sprawach, że Colin nie powinien był, psiakrew, tak bez zastrzeżeń przyjmować słów stryja.

- Przed chwilą sugerowałeś, że Udo oszalał - odezwał się wreszcie, odwracając się od okna. Okazało się, że Caramel nie czyta, lecz przeciwnie, obserwuje go z uwagą.

- A wcześniej, że dla kapłanów jestem ważny z powodu potencjalnego wpływu, jaki mogę wywrzeć na Emily.

- Obracamy się ciągle w sferze domniemywań - stwierdził Caramel. - Robimy sobie burzę mózgów. To ty nawiązałeś do przepowiedni. Jeśli się zastanowić, faktycznie: czy Gordon postanowiłby cię zabić jedynie dlatego, że być może kiedyś namówisz Emily do współpracy z kapłanami? Do podjęcia tej decyzji nakłoniły go informacje, które dopiero co otrzymał. Nie wiem, niestety, jakie, ale wydaje się całkiem prawdopodobne, że odnosiły się do części przepowiedni, w której była mowa o tobie.

Owszem, to Colin nawiązał do przepowiedni. Tylko że miał na myśli zawarte w niej informacje na temat przyszłych wydarzeń, nie chciał natomiast wracać do spraw dawno minionych. Nie chciał nowego wytłumaczenia przyczyn śmierci Godfrey'a.

Nienawidził ojca, tak. Podejrzewał wręcz, że gdyby Udo go w tym nie wyręczył, pewnego dnia sam by drania zabił. Śmierć sukinsyna odmieniła życie Colina na lepsze. Ale chyba właśnie dlatego dobrze się czuł z myślą, że Godfrey zginął, ponieważ ofiarą z jego krwi chciano wzmocnić siły Emily, a osoba Colina w ogóle się w tej sprawie nie liczyła.

- A Vivian? - zapytał Colin. - Jeżeli w rytuale chodziło o mnie, dlaczego łajdak zabił Vivian?

- Może jego musiał zabić, a ją jedynie chciał - podsunął Caramel. - Albo przeszkadzała im z praktycznych względów.

- Mimo wszystko... - zaczął z uporem Colin.

- Jak się wtedy poczułeś? - wpadł mu w słowo Caramel. - Kiedy wszedłeś do salonu skąpanego w jego krwi?

- Muszę się przejść - stwierdził Colin.

Uciekał, niech będzie. Nie chciał mierzyć się ze wspomnieniami w obecności Caramela. Szczeniak trafił w sedno, Colin po prostu to wiedział. Może znów gdzieś w tle przemówiło przeczucie - albo wiedział od zawsze, lecz z całych sił bronił się przed przyjęciem takiego wyjaśnienia.

Wszedł na ulicę. Dlaczego zatrzymali się w centrum pierdolonego miasta? Potrzebował w tej chwili zieleni lasu. Ciemności i ciszy. Zamknął oczy. Musiał się opanować.

Poczuł się wolny. W momencie, kiedy w jego nozdrza uderzyła woń ojcowskiej krwi. Zwykł myśleć o Godfrey'u jako o mięczaku, zwłaszcza gdy porównywał go z Gordonem, ale przecież ojciec zdołał go zdominować. Miał nad Colinem niewytłumaczalną władzę, której Gordon, mimo swego autorytetu lidera, już nie posiadał. Stryjowi Colin potrafił się sprzeciwić. Odkąd poczuł zapach krwi ojca, potrafił przeciwstawić się każdemu. Ta woń towarzyszyła mu przez lata, przypominając o odzyskanej wolności.

Nie umiał wyjaśnić, dlaczego przepowiednia miałaby zawierać przepis na jego niesubordynację, ale do tego rzecz się sprowadzała. Mieszkając z ojcem, Colin był wprawdzie wściekłym gnojkiem, lecz zarazem kornie wypełniał polecenia. Później... niby zaczął lepiej nad sobą panować, niemniej rozkazy znaczyły dla niego niewiele.

Czy Caramel znał odpowiedź na powyższe pytanie? Smarkacz twierdził, że tylko snuje przypuszczenia, ale nie wyglądał na poruszonego wnioskami, do jakich doszli. Jakby

sformułował je dawno, a obecnie naprowadzał Colina na właściwe rozwiązania. Czyżby gnojek podsłuchał na temat przepowiedni więcej, niż chciał przyznać?

Z drugiej strony, psiakrew, czy Caramel w ogóle czemuś się dziwił? Nawet gdy wyrażał zdziwienie, Colin nigdy nie był pewien, czy kumpel nie odstawia pokazówki. Te sprawy nie dotyczyły smarkacza bezpośrednio. Przyjechał tu dla fantazji, pragnąc oderwać się od nudy życia w osadzie. Nie jego ojca przerobiono na stos ochłapów, nie jego siostrę uprowadzili kapłani.

- Tin? Tin, znajdziesz chwilę?

- Colin, właśnie miałam cię wołać - odpowiedziała natychmiast.

- Dosłownie przed momentem... - Urwał. Odkrył, że nie wie od czego zacząć.

Psiakrew, po co ją wzywał? Powinien był najpierw wszystko sobie poukładać. Jak zatem wyglądały fakty? Godfrey zginął ze względu na Colina, a Vivian dlatego, że Udo zapragnął posmakować ludzkiej krwi?

- Znalazłam numer telefonu Stewartów, ale pomyślałam, że na wszelki wypadek... - Tin się zawahała - zdobędę ci namiary na Paula. Pamiętałam, że jego ojciec ma fabrykę konserw, ustaliłam nazwisko...

- Poczekaj sekundę, Tin. - Rozpraszała go akurat wtedy, gdy usiłował zebrać myśli.

- Kiedy wpisałam nazwisko Paula w wyszukiwarkę, trafiłam na artykuł - powiedziała Tin z naciskiem, którym wreszcie zyskała uwagę Colina: chyba także próbowała przekazać mu ważną informację. - Pod koniec stycznia zeszłego roku Paul wpadł w poślizg i uderzył w drzewo. Jechał z przyjaciółmi, May, Regiem, Randalem i Martinem.

- Mieli wypadek? Stało im się coś poważnego?

Już zadając to pytanie, uzmysłowił sobie, że Tin nie mówiłaby takim tonem, gdyby skończyło się na paru złamaniach.

- Nie żyją? - zapytał znowu. - Wszyscy?

- Przykro mi.

- A Mat?!

- O nim nie było ani słowa - powiedziała szybko. - Ani o jego dziewczynie, chociaż cytowano wypowiedzi kolegów tej piątki.

- Co z Matem? - szczerką ostro Colin.

- Nic. Nie ma żadnej wzmianki na jego temat po tamtym zdarzeniu. Wyrzuciło mi tylko artykuły z wcześniejszą datą, o meczach koszykówki i konkursie przyrodniczym, w którym zdobył wyróżnienie.

- Co mnie, do cholery, obchodzi...?

- Staram się, Colin! - przerwała mu gniewnie. - Uszanuj to, bo na dobrą sprawę sam powinieneś był przysiąc fałdów i poszukać tych wiadomości.

Zacisnęła zęby. Straszliwie się biedaczka namęczyła! Nie jej brat zaginął bez wieści.

- O Carol także nic nie znalazłam - podjęła Tin. - Moim zdaniem wynika z tego, że opuścili miasteczko. Skoro Stewartowie na razie nie podnieśli larum, że Mat zaginął, prawdopodobnie utrzymuje z nimi kontakt. Podyktować ci ich numer telefonu?

Odetchnął głęboko. Nie, nie w tej chwili. I tak nie zdołałby teraz spokojnie pogadać z Noreen, a co dopiero, gdyby odebrał Nigel. Colin musiał najpierw trochę ochłonać.

Dlaczego lepiej jej nie poznał? Antoine nie chciał nawet myśleć o jej wilczym „ja”, unikał rozmów na ten temat. Pod tym względem także ją wytresował: nie pozwalał na pytania o jego łowieckie doświadczenia czy próby wydobycia od niego informacji dotyczących cech jej pobratymców. Tylko Antoine miał prawo poruszać tę kwestię - kiedy na przykład wbijał Tin do głowy, jakich zachowań powinna się wystrzegać.

Widział, że gromadziła filmy i książki o wilkołakach, przeważnie - zwłaszcza w tym pierwszym przypadku - ociekające krwią horrory. Nie protestował, choć także nie finansował tych zakupów - zarabiała na nie sama. W zasadzie Antoine'owi pasowało, że Tin czerpie wiedzę o sobie z filmów. Niech się napatrzy, co w niej siedzi. Nieistotne, że generalnie tego rodzaju produkcje nijak się mają do rzeczywistości, jeśli idzie o fizyczność tych bydlaków. Podstawowy element, kwintesencja ich drugiej natury, zwykle zostaje w nich wiernie oddany. Dzięki temu Tin z obiektywnego źródła dowiadywała się, czym jest - do czego okaże się zdolna, jeśli pozwoli ludzkiej części utracić kontrolę.

Nie zwierzała mu się ze swoich wrażeń po seansach, Antoine nie pytał. Pozwalał jej wyciągać własne wnioski. Czy popełnił błąd? W tej chwili sądził, że postąpiłby słuszniej, gdyby ją naprowadzał, ponieważ jej konkluzje mogły różnić się od tych, które uważał za pożądane. Powinien był wypytywać Tin, dręczyć, prowokować, by w złości wymykały jej się nierozważne zdania, ukazujące prawdę o niej. Niekoniecznie złą prawdę. Antoine liczył wręcz, że w takich wypowiedziach ujrzałby przewagę ludzkiej strony jej osobowości.

Strategię omijania niewygodnego tematu stosował właściwie od samego początku. Kiedy trzymał Tin związaną w bagażniku, tamtej pierwszej i kolejnych dwóch nocy, nie tłumaczył, dlaczego musi ją spętać i zamknąć, ona zaś bez protestu wykonywała polecenia. Nie skarżyła się, że za mocno zacisnęła więzy, nie płakała.

Tylko na niego patrzyła. Napawał ją strachem, ale bała się także stracić go z oczu - bała się zostać sama. Robiła, co jej kazał, żeby się nie rozmyśliła i nie odjechał, porzucając ją

w lesie. Jakby w ogóle nie brała pod uwagę, że po namyśle mógłby ją jednak zastrzelić. Jakby wiedziała, że Antoine'owi nie wystarczy odwagi na równie stanowczy krok.

Nie potrafił opędzić się od jej spojrzeń, nawiedzały go nawet we śnie. Dlatego nie tłumaczył się jej ze swoich poczynań. Czułby się podle, gdyby słuchała spokojnie, wpatrując się w niego bez wyrzutu, ale i bez zrozumienia - po prostu z rezygnacją.

Skoro raz pominął milczeniem kwestię jej wilczej natury, pozostał konsekwentny. Zauważał wyłącznie ludzką stronę Tin. Po nocy pełni księżyca wypuszczał ją z piwnicy i siadali do śniadania, jakby ranek nie różnił się od innych, kiedy budziła się w swojej sypialni. Prowadzili te same codzienne rozmowy. Tin najmniejszym gestem czy tonem głosu nie sugerowała, że żywi do niego żal.

Jaki naprawdę był jej stosunek do Antoine'a? Czy mogła kochać człowieka, który zabił jej rodziców?

Powinien był okazywać jej więcej czułości. Tak, by zapomniała tamtych - zapomniała matkę - i widziała w Antoine swego najwspanialszego opiekuna i dobroczyńcę. Nie potrafił się wszakże przemóc. Jeśli brał ją za rękę, w tym geście krył się rozkaz, a nie troska o jej bezpieczeństwo. „Stój grzecznie”. „Odpowiedz pani na pytanie”. „Milcz”.

Nie tulił Tin, nie całował, nie głaskał po głowie. Z wyjątkiem tamtego jednego razu nie pomagał jej się ubierać. Nie pozwalał, żeby rzucała mu się na szyję. W pierwszych miesiącach zdarzało jej się zareagować spontanicznie, podbiegała do Antoine'a z rozpostartymi ramionami, ale zawsze zdołał w porę powstrzymać ją wzrokiem. Nie zabił jej, tyle czułości wystarczyło. Karmił ją, ubierał, nawet kupował zabawki. Okazywał jej serce, tak jak sobie założył, nie chciał z tym jednak przesadzić - nie chciał związać się z nią emocjonalnie.

Mimo to związał się. Ani się spostrzegł kiedy.

- Wybierz sobie sypialnię - powiedział, gdy po raz pierwszy przyprowadził ją do tego domu.

W skupieniu obchodziła pokoje. Miała trzy do wyboru, potraktowała zadanie z wielką powagą.

- A który ty chcesz dla siebie, tato? - zapytała.

- Mnie wszystko jedno - odparł ostro. Nie lubił, gdy okazywała troskę o niego.

Zdecydowała się na pokój, który także Antoine'owi wydawał się najbardziej odpowiedni dla niej. Początkowo zamierzał poinformować Tin, że tu będzie spała, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Ucieszyła się, że spytał ją o opinię. Tak wyjaśniała, że sprawiło to Antoine'owi przyjemność - mimo że bardzo się starał podejść do sprawy

obojętnie.

Czemu wybrała akurat to pomieszczenie? Wyczuła, że opiekun tego właśnie by sobie życzył? Zezłościł się na nią w duchu. Nie po to dawał jej prawo głosu, żeby przy podejmowaniu decyzji kierowała się jego wolą.

Popatrzyła na niego z przestachem w oczach. Nie wiedziała, co zrobiła źle, ale poznała, że Antoine się na nią gniewa.

Bez błędnie odczytywała każdą jego emocję. Przy Tin czuł się obnażony. Miała nad nim przewagę, która będzie się pogłębiać, z wiekiem bowiem jej umiejętności się rozwijają. Tak że Tin bez trudu rozpozna, kiedy nastawienie Antoine'a do niej się zmieni.

Tym sposobem ona zawsze zdoła go ubiec. Dopóki będzie pewna, że ze strony przybranego ojca nie grozi jej niebezpieczeństwo, pozostanie przy odgrywaniu roli przykładowej córki. Gdy zaś obudzą się w nim pierwsze wątpliwości - kiedy tylko Antoine zacznie rozważać, czy wilcza natura nie wzięła w Tin góry i czy w związku z tym nie powinien podjąć stosownych kroków - ona uderzy pierwsza, biorąc go z zaskoczenia.

Nie zamierzał się jej podkładać. Postanowił, że wyćwicy w sobie zdolność ukrywania emocji - tylko niektórych, by nie zorientowała się, że coś się nie zgadza. Przynajmniej tyle Antoine wyniesie z ich kontaktów: umiejętność oszukiwania takich jak ona. Pewnego dnia przecież znów zacznie je ścigać.

- Dobrze, to będzie twój pokój - przystał, tłumiąc gniew: niniejszym zaczął się ćwiczyć w maskowaniu emocji. - Ustalmy reguły. Ja nie będę wchodził do twojej sypialni, ty nigdy nie wejdiesz do mojej.

- Ale ja bym chciała, żebyś wchodził, tatusiu - zaprotestowała nieśmiało. - Mama zawsze czytała mi bajki na dobranoc... - Urwała, stropiona spuściła wzrok. Nauczyła się już, że rodzice, podobnie jak cała jej przeszłość, stanowią temat tabu. - Łóżko będzie stało tutaj, dobrze? Pomalujemy ścianę na zielono? - Spiesznie wyrzucała z siebie kolejne zdania. - Albo na pomarańczowo? Tatusiu, co powiesz na pomarańczowy? A tu by stanęła komódka z szufladkami...

Mama czytała jej bajki! Antoine zastanowił się, czy ta uwaga rzeczywiście wymknęła się małej niechcący. Może smarkula rozmyślnie wzbudzała w nim poczucie winy? Uśmiechnął się, maskując tym wściekłość, choć Tin i tak zorientowała się w jego nastroju. Wyraził zgodę na pomarańczowe ściany; zielone zbyt mu się kojarzyły z lasem. Mama czytała jej bajki.

Nie życzył sobie, żeby Tin przychodziła do jego sypialni, dlatego ustalił tę regułę. Wydało mu się, że lepiej zabrzmi, jeśli zakaz obejmie obie strony. A teraz było za późno na

zmianę zdania, mimo że ona wyraźnie chciała, żeby Antoine układał ją do snu. Jednakże nie zaprotestowała ponownie.

Również w tym przypadku miała nad nim przewagę: od razu wyniuchałaby, gdyby złamał własną zasadę i wszedł do jej pokoju, podczas gdy Antoine'owi pozostawała zabawa w nitki lub włosy rozciągnięte między skrzydłem drzwi a futryną.

Wzniósł między nimi mur. Poznał tylko część prawdy o Tin; kto wie, czy w ogóle to była prawda. Zarazem... nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby skrzywdził ją bezzasadnie.

Jak stwierdzić, czy bestia wzięła w niej górę? Nie orientował się nawet, jak kształtują się interakcje między jej ludzką a wilczą naturą. A jeśli ta druga dominowała w niej od zawsze? Lecz nie mógł także wykluczyć, że Tin była wobec niego szczerą, z tym jednym drobnym wyjątkiem, kiedy zataiła swoje kontakty z młodym łowcą.

Zastanowił się, czy Colin przeżywa podobne rozterki. Na razie pewnie zaślepiło go zauroczenie, jednak prędzej czy później dopadną go te same pytania, którymi zadreślał się Antoine. Owa wieczna niepewność, co w zachowaniu Tin jest autentyczne, co zaś stanowi wyćwiczoną pozę. Z tym, że Colin nie wzniesie między nimi muru. Będzie przyglądał się Tin z bliska, dzień po dniu, i postąpi stosownie do wniosków, jakie mu się nasuną.

Pod warunkiem, że Tin nie zdołała całkowicie go omamić.

ROZDZIAŁ 8

Colin wpadł do pokoju, w którym Caramel nadal odgrywał fascynację słowem drukowanym, pałaszując kolejnego snickersa.

- Zbieraj się, wracamy! - zarządził gwałtownie Colin, w ostatnim momencie powstrzymawszy się przed postawieniem kumpla na nogi: zadziałał jego instynkt samozachowawczy.

- Dokąd? - zapytał Caramel, unosząc się na łokciach.

- Do Stanów! Mat zniknął. Paul i reszta paczki zginęli w wypadku!

- Kiedy? - Szczeniak nie sprawiał wrażenia wstrząśniętego nowiną.

Colin otworzył, po czym szybko zamknął usta. Czy Tin podała mu datę?

- Tin? - rzucił ostro. - Kiedy to się stało?

- W styczniu - odparła natychmiast, po czym dodała z naciskiem: - Zeszłego roku.

Z niechęcią powtórzył informację Caramelowi. Świetny plan: gnać na złamanie karku do Stanów, żeby powęszyć za śladami zdarzenia sprzed roku.

- Dobra - powiedział Colin rzeczowo. - Mat zniknął, ale w gruncie rzeczy to nie jest taka zła wiadomość. - Zdecydowanie lepsza niż wzmianka o śmierci chłopaka. - Muszę zadzwonić do Stewartów, dowiedzieć się szczegółów.

- Jasne. Tylko proszę cię, kopnij się na drugi koniec miasta i zadzwoń z budki, albo kup telefon na kartę.

- Myślisz, że mają Stewartów na podsłuchu?

Caramel nie odpowiedział. No tak, Colin znów coś palnął, zanim zdążył się dobrze zastanowić. Jeśli smarkaczy załatwiła organizacja, a Mat jakimś cudem się wymknął, to oczywiste, że kontrolowali rozmowy z telefonu Stewartów. Nawet jeśli planowali zostawić Colina w spokoju, nie musiał od razu powiadamiać ich o miejscu swego pobytu.

- Twoim zdaniem są szanse na to, że to był przypadek? - odezwał się znowu Colin. - Obludzona droga, zbyt pewny siebie szczeniak za kierownicą?

- Naturalnie.

- Cholera, Caramel. Nie sprawiasz wrażenia szczególnie przejętego - zaatakował Colin.

Pragnął się na kimś wyładować. Gdyby pozostawał z bratem w stałym kontakcie,

szybko dowiedziałyby się o sprawie. Gdyby przynajmniej od czasu do czasu poszukał w necie informacji na temat Mata i jego kumpli! Brat rozpaczliwie potrzebował jego pomocy - rok temu - a Colinowi przez myśl nie przeszło, że chłopakowi może coś grozić. Mimo iż przy pożegnaniu sam go ostrzegął, że organizacja jest zdolna do wszystkiego. Nie odzywał się do Mata, bo głupio mu się było przyznać do marnych wyników w poszukiwaniach siostry!

- Nie przepadałem za nimi - stwierdził obojętnie Caramel. Zamknął książkę i usiadł na łóżku. - Tak z ręką na sercu, bardzo się z nimi zżyłeś?

- Znałem ich.

- Stipe'a też znałeś.

Colina zamurowało na ten argument. Jak można porównywać...?

- A oni wiedzieli za dużo - dorzucił Caramel.

- Jak to wiedzieli za dużo? Namęciliśmy im w głowach. Nie byli w stanie odróżnić...

- Wiedzieli za dużo - przerwał mu stanowczym tonem Caramel.

- Czy ty mnie właśnie informujesz, że od początku domyślałeś się...?

Caramel podrapał się w kark.

- No, jak by ci to wyjaśnić... - Zadumał się. - Niekiedy decyzje organizacji stanowią dla mnie zagadkę, dlatego, choć, logicznie rzecz biorąc, smarkaczy należało wykończyć, brałem pod uwagę różne wersje rozwoju wypadków.

- Logicznie rzecz biorąc?!

- Hm. Trochę mnie irytuje, kiedy tak bez przerwy powtarzasz moje słowa.

- Caramel... - warknął ostrzegawczo Colin.

- Kurde, bracie, ja rozumiem, że nasze uroczę dziewczęta święcie wierzą w ideały straży. Oraz, szerzej, w szlachetne prawa społeczności, nakazujące zawsze stawiać ludzkie życie na pierwszym miejscu. Byłbym nawet skłonny posądzić o taką naiwność Grieve'a. Ale nie ciebie.

W Colinie znowu narastała wściekłość, na samego siebie. Przecież nie raz zadawał sobie pytanie, czy organizacja skrupulatnie przestrzega wszystkich zasad, jakie wpajano straży. Podejrzewał wręcz, że w tym wzniosłym gadaniu chodzi głównie o kwestie bezpieczeństwa lepiej, żeby członkowie społeczności nie produkowali trupów, gdziekolwiek się pojawią.

Do diabła, zabili Vivian! Ale jakoś, psia krew, nie dało to Colinowi do myślenia w kwestii bezpieczeństwa Mata i jego kumpli.

Vivian wykończył Udo, kapłan, Colin przyjął zatem głupio, że kapłani są tymi złymi, wyłącznie oni łamią zasady. A ponieważ muszą przy tym zachować dyskrecję, żeby nie

dawać negatywnego przykładu szarym członkom społeczności, zabijają ludzi jedynie w bardzo wyjątkowych sytuacjach. Grupka zafascynowanych horrorami dzieciaków z małego miasteczka leżała jakby poza sferą zainteresowań takich szych. Niech to szlag. Jak Colin mógł uznać, że gówniarzom nic nie grozi, jeśli tylko sami nie podejmą działań narażających społeczność na zdemaskowanie?

Chyba że właśnie je podjęli?

Caramel jednak sugerował, że sprawa od początku była przesądzona. Kiedy zaś straż się ujawniła... A jeśli przeważała ta decyzja Fisha - której Colin, cholera, z zapalem przyklasnął?

- A Fish? - zapytał Colin. - Nie wymieniał Fisha.

Caramel uśmiechnął się kwaśno. No tak, kto jak kto, ale akurat lider straży raczej nie był naiwny. Nawet nie mogli być, gdyż zapewne uprzedzono go o likwidacji ludzkich świadków, żeby w porę usunął z miejsca zdarzenia członków straży lub chronił ich przed dopływem kontrowersyjnych informacji. No, bo gdyby na przykład Fish, nie znając planów organizacji, zlecił komuś z zespołu dyskretne kontrolowanie poczynąń smarkaczy - choćby tylko za pośrednictwem Internetu - żeby się upewnić, że nie drażą tematu wilkołaków, straż dowiedziałaby się o wypadku Paula i pozostałych. Kilka tego rodzaju zajęć i podopieczni Fisha nabraliby podejrzeń.

- Dlaczego więc zgodził się, żeby straż się ujawniła? - drażył Colin. - Skoro zdawał sobie sprawę, czym się to skończy?

- Wtedy i tak było już pozamiatane - stwierdził Caramel.

- Znow coś podsłuchałeś? - warknął Colin. - Czy tylko to i owo ci się wydaje? Cholera - rzucił po chwili, kiedy Caramel nie zareagował na zaczepkę. - Pamiętam, że rozmawiałem z Fishem... tak, psiakrew, rozmawiałem z nim o dzieciakach. Obraził się, kiedy... Na pewno obraził się na sugestię, że straż...

- Przecież nie straż ich załatwiła - zauważył bez emocji Caramel. - Nie Fish. Zadaniem jego zespołu jest ochrona ludzi, choćby za cenę własnego życia. Ich ideały się nie zmieniły, sumienia pozostały niesplamione.

- Chcesz powiedzieć, że wtedy oburzył się szczerze? - zdumiał się Colin. - Uznał, że obrażem jego i straż przypuszczeniem, że zabijają smarkaczy? Chociaż doskonale wiedział, że wkrótce zrobi to ktoś inny?

- Właśnie. - Caramel uśmiechnął się szeroko, po czym rozpakował następny batonik.

Colin spacerował po pokoju. Fish byłby aż takim hipokrytą? Colin nie przepadał za liderem straży, fakt, ale to nastawienie wynikało z rywalizacji dwóch silnych alf.

Przypuszczalnie bez oporów podziwiałby Fisha, gdyby nie okoliczność, że od czasu do czasu musiał słuchać jego rozkazów. Szlag! Najpierw Gordon, teraz Fish - najbardziej szanowani przez Colina faceci okazywali się ostatnimi skurwielami.

Tin nie lubiła Fisha, ponieważ okłamywał Adę. Miała rację: jeśli ktoś okłamuje ukochaną kobietę, nie będzie lojalny także wobec przyjaciół. Choć Fish zapewne inaczej interpretował sytuację. Brał na siebie ciężar prawdy, tak by członkowie jego zespołu mogli żyć złudzeniami.

Czy lider straży w ogóle ma szansę nie zostać hipokrytą? Świeci swym podwładnym przykładem, musi być najszlachetniejszy z nich wszystkich, natychmiast sprowadzać do pionu każdego, kto ośmieli się podać w wątpliwość zasady organizacji. Jednocześnie często przed akcją dowiaduje się, że ofiary w ludziach będą tak czy owak, on zaś powinien poprowadzić straż w taki sposób, żeby nikt z zespołu nie spostrzegł, co jest grane.

Gordon i Fish. I kto jeszcze? A może jedynym sukinsynem w tym gronie był Caramel, umiejętnie podkopujący jego zaufanie do kolejnych osób, tych właśnie, na których pomoc Colin mógłby liczyć w krytycznej sytuacji?

Ach, aktualnie Fish i Gordon stanowili najmniejszy z jego problemów. Jeśli ich drogi kiedykolwiek ponownie się zejdą, Colin rozważy, jak powinien się wobec nich zachować. Na razie najważniejsze było ustalenie, co się dzieje z Matem.

Musiał zadzwonić do Stewartów. Nie miał koncepcji, jak przeprowadzić tę rozmowę. Liczył, że trafi na Noreen, a ta, kiedy tylko Colin się przedstawi, natychmiast rozklei się do mikrofonu i wręcz zasypie go wiadomościami na temat brata. W duchu zaklinał Nigela, żeby nie przyszło mu do głowy odbierać telefonu. No dobra, pora poszukać publicznego aparatu.

Odebrała Noreen. Colin rzeczywiście nie musiał wdawać się w zawile tłumaczenia, dlatego dopiero dziś natknął się na wiadomość o śmierci kolegów Mata - zorientowawszy się, z kim rozmawia, Noreen momentalnie wybuchła płaczem i pośród pochlipowań wyrzucała z siebie chaotyczne zdania. Colin z trudem wyławiał z nich sensowne informacje. Mat opuścił miasteczko, razem z Carol, kiedy tylko usłyszał o wypadku przyjaciół. Nawet nie uczestniczył w pogrzebie. Nigel nie potrafi zrozumieć jego zachowania: śmierć kolegów jest oczywiście przykrym doświadczeniem, ale żeby z tego powodu rzucać szkołę? Mat raz zadzwonił, pokłócili się i chłopak oznajmił, że więcej nie chce mieć z wujem do czynienia.

- Do ciebie się odzywa? - wtrącił Colin.

- Czasem napisze mejla - chlipnęła Noreen. - Ale nie dzwoni... a o tych mejlach to Nigel nic nie wie. Nie rozumiem, jak można tak...

- Kiedy ostatnio pisał?

- Och, mniej więcej... dwa tygodnie temu? - Pozbierała się nieco, kiedy przyszło do konkretów.

- Możesz mi podać jego adres mejlowy?

Rozmowa przyniosła Colinowi ogromną ulgę; aż się zdumiał, że tak wielką. Ostatecznie, co tu dużo gadać, jego relacje z Matem nie układały się najlepiej. Nie mógłby nawet szczerze oświadczyć, że lubi brata. Emily była dla Colina ważna, natomiast Mat... wydawał się przykrym obowiązkiem, wynikającym z łączącego ich biologicznego pokrewieństwa. Niemniej gdyby chłopaka załatwili, odpowiadałby za to w znacznej mierze Colin, który najpierw zasypał szczeniaka niebezpiecznymi informacjami, później zaś zostawił samemu sobie. Tego rodzaju świadomość obciąża sumienie jak cholera.

- Czyli sprawa jasna - stwierdził pogodnie Caramel, wysłuchawszy relacji Colina z rozmowy z Noreen. - Niczego w tej chwili nie wymyślisz, musisz poczekać na odpowiedź Mata.

Pod warunkiem, że smarkacz się na Colina nie wypnie, obrażony o tak długotrwały brak zainteresowania z jego strony. „Dziękuję bardzo, teraz już obędę się bez twojej braterskiej pomocy”.

Colin kliknął „Wyślij”. Parę krótkich zdań, że dopiero się dowiedział i przeprasza za długie milczenie. Tin ułożyła tekst, kiedy wracał z miasta, a przed chwilą go Colinowi przedyktowała. Nie rozumiał, czemu nie mogła przesłać mu go mejlem, ale nie chciał dawać jej okazji do wygłoszenia kolejnego komentarza na temat tego, jaki powinien być jej wdzięczny za wyręczanie go w sprawach, którymi miał psi obowiązek zająć się osobiście.

- Śmierć tych smarkaczy naprawdę ani trochę cię nie rusza? - rzucił Colin, wyłączając laptopa.

- A ciebie rusza? - odpowiedział pytaniem Caramel. - Tak szczerze? Czy również masz ich gdzieś, ale uważasz, że wypada się przejąć, żeby nie wyszło, że jesteśmy bestiami bez serca? Ja przynajmniej nie udaję.

- Według ciebie ja udaję? - warknął Colin. - Lepiej ode mnie wiesz, co czuję i myślę?

- Oszukujesz sam siebie - skwitował Caramel.

Colin nie miał siły się wściekać. Martwym smarkaczom tym nie pomoże, szkoda było tracić energię na spory z Caramelem.

Wypadało się raczej zastanowić, czemu organizacja zwlekała z likwidacją małolatów prawie cztery miesiące.

Cholera, Colin coraz bardziej skłaniał się ku teorii, że głupie szczeniaki - z Martinem

na czele - postanowiły zgłębić temat wilkołaków, a organizacja dopatrzyła się w ich działaniach poważnego zagrożenia. Niechby tylko potencjalnego, tak że decyzję podjęto nieco na wyrost.

- Jak ci się wydaje, dlaczego nie załatwili Mata? - zwrócił się do Caramela. - Dali ciała czy odpuścili celowo?

- Wydaje mi się, że dochodzi pierwsza w nocy - mruknął Caramel, który już zdążył na powrót ułożyć się do snu: Colin obudził go, wróciwszy z miasta po rozmowie z Noreen. - Jeśli mamy jutro w miarę wcześniej wyjechać, lepiej się kładź. Kiedy Mat się odezwie, zapytasz go, jak wszystko się odbyło, a niewykluczone, że odpowiedź sama ci się objawi.

- W gruncie rzeczy to właśnie on, on i Carol wiedzieli najwięcej - nie ustępował Colin. - Chociaż... chyba nikt w organizacji się nie domyślał... - Potarł czoło. - Rozmawialiście po akcji na temat Mata? Dustin albo Grieve coś wspominali?

Wkurzało go, że nie potrafi sobie przypomnieć, kto spośród członków straży orientował się, ile Mat usłyszał od Colina na temat społeczności. Dustin i Grieve na pewno, chodzili w piątkę po hotelach, usypiając nieświadomych. I chyba jeszcze Rose...

- Ach, więc Dustin coś wiedział? - Caramel uśmiechnął się ironicznie.

- Tak, pamiętam, że go nie lubisz - mruknął Colin.

- Zasadnicze pytanie brzmi: dlaczego go nie lubię?

- Ponieważ uwielbia po tobie jeździć - odparł Colin, zły, że znowu odbiegają od tematu.

- Doprawdy? Czy też jeździ po mnie, ponieważ go nie lubię? I ponieważ wie, co mam mu do zarzucenia?

- Co ty znowu sugerujesz? - zdenerwował się Colin. - Każdemu po kolei przyklejasz etykietkę. Gordon to fanatyk, Fish - hipokryta, a kim jest Dustin?

- Kurczę, Colin. Naprawdę nigdy cię nie zastanowiło, jakim cudem facet z alergią na wykrywacz znalazł się w straży? Minie się na ulicy z łowcą, który chwilę wcześniej bawił się proszkiem, i wsypie siebie i cały zespół.

- Skoro mimo wszystko znalazł się w straży... - zaczął gniewnie Colin. Urwał, bo nie przyszedł mu do głowy rozsądny argument.

- Skoro znalazł się w straży, musiał to czymś okupić - dokończył za niego Caramel. - Piekielnie mu zależy, żeby uznawano go za pełnowartościową alfę. Dlaczego z taką pogardą odnosi się do zerówek, a nawet do bet i słabszych alf? Facet ma od groma kompleksów i zrobi wiele, żeby się poczuć lepszym.

- Twierdzisz, że jest zdrajcą? - zapytał z niedowierzaniem Colin. - Że donosi

kapłanom?

- Gordon nie bawiłby się we wpychanie Fishowi kogoś, żeby mu patrzył na ręce. - Caramel wzruszył ramionami. - Chociaż z formalnego punktu widzenia trudno nazwać działania Dustina zdradą. Kapłani stanowią najwyższą instancję, pamiętasz? Fish słucha poleceń Gordona, a Gordon, no właśnie, jest zdrajcą, analizując zagadnienie z punktu widzenia organizacji. W takim ujęciu nasz Dustin odgrywa wielce szlachetną rolę.

- Wydawało mi się, że akurat o Gordonie kapłani nie wiedzą - sarknął Colin. - Czy nie przekonywałeś mnie niedawno, że zdekonspirowałby się, usiłując mnie zabić osobiście?

- Na niektóre kwestie wygodniej jest czasami przymknąć oko, póki nie zostanie przekroczona określona granica - odparł filozoficznie Caramel. - Próbuję ci jedynie uzmysłwić, że jeśli Dustin o czymś wiedział, to masz jak w banku, że taka informacja dotarła do kapłanów.

- A Fisha nie zdziwiło, że wciska mu się do zespołu gościa z alergią?

- Fish, cokolwiek by o nim mówić, głupi nie jest - stwierdził Caramel.

W przeciwieństwie do Colina, oczywiście. Niech to szlag!

Jakim cudem nie uderzyło go, że ktoś tak upośledzony jak Dustin pełni równie odpowiedzialną funkcję? Fishowi rozkazano przyjąć chłopaka do straży, dla dobra organizacji, nie śmiał więc protestować. Nigdy nie pokazał, że ma wobec Dustina jakiegokolwiek zastrzeżenia, a pozostali, ślepo wpatrzeni w lidera, nie zadawali pytań, choć pewnie nie tylko Caramel żywił wątpliwości. Zresztą Dustin był fajny. Wesóły, dowcipny, potrafił rozładować atmosferę. Brakowałyby go w zespole.

Colin koncertowo wkopał brata, a przy okazji także Carol. Mimo to organizacja akurat im dwojgu odpuściła. Przypuszczalnie znowu ze względu na plany, jakie kapłani snuli względem Colina. Jeśli liczyli na jego współpracę, zabicie mu brata wydawało się umiarkowanie trafionym pomysłem.

Rano ruszyli w dalszą drogę do Kohlenbogen, choć Colin zupełnie stracił serce do śledztwa. Cóż, Caramel nalegał - a Colin tak czy inaczej musiał poczekać na wiadomość od brata; właściwie wolał czymś się w tym czasie zająć. Cholera wie, kiedy Mat mu odpowie, o ile w ogóle raczy to zrobić. Colina ciągnęło z powrotem do Stanów, ale przecież smarkacz mógł aktualnie przebywać gdziekolwiek, także w Europie. Colin usiłował przypomnieć sobie, czy mówił bratu, dokąd się wybiera. Psiakrew. Mówił czy nie?

- Mat dał znać? - zapytała Tin, tak nagle, że Colin drgnął.

Zerknął na Caramela, ten jednak w skupieniu prowadził toyotę. Na pewno zauważył,

gnojek.

- Na razie nie - mruknął Colin. - Słuchaj, dzisiaj będziemy w podróży, do poczty zajrzałbym dopiero w Dreźnie... Podam ci hasło, dobrze? Ty masz częściej dostęp do Internetu.

Zgodziła się bez komentarzy, choćby wyrażonych tonem głosu, niemniej Colin czuł się odrobinę głupio, po raz kolejny się nią wysługując. No, ale Internet naprawdę będzie miał nie wcześniej niż w hotelowym pokoju w Dreźnie.

Przy okazji pożalił się Tin na Dustina; o Fishu opowiedział jej, kiedy jechał zadzwonić do Noreen.

Rzeczywiście, nie mógł ufać nikomu. Nikomu z dawnych przyjaciół, ale Caramelowi, według Tin, również nie. A jej? To powracające nieustannie pytanie wychodziło już Colinowi uszami. Gdyby tak zaszło coś, co dowiodłoby niezbitcie, po czyjej stronie stoi Tin... Nie - coś, dzięki czemu Colin by uwierzył, że ma w niej najwierniejszego sprzymierzeńca. Nie chciał dowodów na nic innego.

Niestety, o wiele łatwiej wykazać czyjąś zdradę niż lojalność, jako że każdy przejaw tej drugiej może się okazać grą. Dla Caramela wystarczającym dowodem niewinności Tin była niezwykła łączność telepatyczna, która nie przydarzyła się Colinowi w relacjach z nikim innym. Tyle że sama Tin wyraziła pogląd, że bierze się ona ze zwiększonej wrażliwości ich obojga na sygnały pozazmysłowe. Niewykluczone zatem, że nawet nie kochając Tin, Colin potrafiłby rozmawiać z nią na odległość - że ta sztuka udawałaby im się także wówczas, gdyby Tin pracowała dla kapłanów. Umiała odciąć Colinowi dostęp do swego umysłu, tak że mogłaby zataić przed nim dyskredytujące ją fakty.

Czy Colin kiedykolwiek zyska stuprocentową pewność? Owszem, zyskałby ją - gdyby Tin oddała za niego życie. Przeraziła go ta myśl.

Czterdzieści kilometrów za Dortmundem utknęli w korku. Gigantycznym diabelstwie, które nie posuwało się naprzód ani o metr, przy czym w zasięgu wzroku nie mieli żadnego zjazdu albo chociaż przydrożnej knajpy. Colin opuścił szybę. Z oddali dobiegł dźwięk syren.

- Wypadek - powiedział gniewnie. Caramel włączył radio i zaczął zmieniać stacje.

- Możesz przestać? - warknął Colin. Do szczęścia brakowało mu jeszcze tylko charczącego odbiornika.

- Coś ty taki nerwowy? Weź sobie snickersa, czekolada poprawi ci humor.

- Od smrodu tych twoich słodczy robi mi się niedobrze - warknął znowu Colin. O co właściwie się wściekał? Korek, trudno, normalna sprawa. - Nie żal ci sierści?

- Nie zaobserwowałem, żeby mi na nią szkodziły - odparł Caramel, nadal skupiony na

radiu.

Fakt, gówniarz od zawsze opychał się słodyczami, a futro miał mimo to imponujące.

- Przystaniesz wreszcie? - utyskiwał Colin.

- Usiłuję znaleźć lokalną stację - wyjaśnił Caramel. - Może powiedzą, jak długo to mniej więcej potrwa.

- Ile zrozumiesz z tego szwargotu? - zirytował się Colin. - Jeśli dotąd się nie zorientowałeś, musiałbyś mieć rozmówcę przed sobą, żeby pojąć treść przekazu.

Kiedy człowiek posługiwał się nieznanym mu językiem, Colin odbierał niejako jego intencje - to, co gość pragnął wyrazić swoim komunikatem. Oczywiście, metoda skutkowała tylko w prostych sytuacjach, a i tutaj Colinowi zdarzyło się na niej przejechać. Ktoś pytał: „Czym mogę służyć?“, myśląc przy tym: „Co cię tu przyniosło, sukinsynu?“, i burda gotowa.

Członkowie straży niekiedy korzystali z tej umiejętności, typowej dla świadomych - każdy członek społeczności ma doskonały słuch, dzięki czemu wyłapuje niuanse w tonie głosu rozmówcy, słyszy bicie jego serca, potrafi też sporo stwierdzić na podstawie wydzielanego przez daną osobę zapachu. Niemniej Caramel, jeżdżący na akcje w wilczej postaci, nie zyskał wielu okazji do pogawędek z ludźmi. Pewnie myślał, że sztuczka uda mu się także w przypadku spikera w radiu.

- Nie muszę, jeżeli znam niemiecki - odparł Caramel, wytrwale przeszukując eter.

- Znasz niemiecki? - zdumiał się Colin. - Skąd?

- Słyszałeś o podręcznikach? CD z nauką języka? Programach komputerowych?

- Słyszałem - warknął Colin. - Natomiast pierwszy raz słyszę o wilku obsługującym komputer. Nie porysowałeś pazurami klawiatury?

- Oj, Colin. - Caramel westchnął teatralnie. - Czy ja składałem śluby, że przez ileś lat ani na sekundę nie wrócę do ludzkiej postaci, choćby tylko fragmentarycznie? W wilczej skórze było mi wygodnie, ponieważ nikt się mnie nie czepiał. Natomiast komputer wygodniej obsługuje się dłońmi niż łapami. Chwytasz? O, czekaj. - Przez chwilę słuchał dobiegającego z głośników szwargotania. - Karambol, autokar i dziewięć osobówek. Szybko się z tym szajsem nie uporają.

Ciekawe, czy faktycznie tak przedstawiała się sytuacja, czy też smarkacz zmyślił wiadomość na poczekaniu. Colin bez słowa wysiadł z wozu. No to utknęli, cholera.

Mógłby wykorzystać przymusowy postój, żeby dodatkowo wypytać kumpla o Fisha, Dustina, pozostałych członków straży, ten pieprzony rytuał albo zamiary kapłanów... Ale uwzględniając jego dzisiejszy nastrój, ciasne wnętrze toyoty nie wydało mu się dobrym miejscem na tego rodzaju rozmowy. Po paru kąśliwych stwierdzeniach Caramela Colinowi

wydłużyłby się pysk - a otaczali ich ludzie.

Oparł się łokciami o dach toyoty. Bezwiednie potarł palcem kawałek niebieskiej taśmy izolacyjnej, którą zakleili dziurę po kuli, wręcz idealnie dobrawszy kolor. Usłyszał, że Caramel wyłączył radio.

Zawołał Tin. W niedzielę miała wolne, na szczęście nie przeprowadzała też wywiadów do tej idiotycznej internetowej gazetki. Mogła dziś Colinowi poświęcić kilka chwil swego cennego czasu.

Przez tamten pieprzony korek mieli parogodzinne opóźnienie. Niby to nie tragedia, nie spieszyli się na umówione spotkanie, niemniej Colina ów postój wyprowadził z równowagi. To znaczy, wściekał się, bo pokłócił się z Tin - do czego by nie doszło, gdyby nie przerwa w podróży, którą usiłował wypełnić rozmową z nią.

Coraz gorzej się dogadywali. Coraz rzadziej go rozumiała. Jakby, cholera, ich związek trwał latami i teraz przechodził kryzys.

Na czwórcę znów coś było nie tak. Może przejściowe trudności, a może kolejny wypadek i kilka godzin stania. Colin nie czekał, aż Caramel ustali fakty dzięki swej zadziwiającej znajomości niemieckiego. Myknął w zjazd, który tym razem szczęśliwie się nawinał.

- Przetaw GPS, żeby nie pchał nas z powrotem na autostradę - warknął Colin.
- Mogło chodzić o drobiazg - zauważył Caramel, wskazując głową do tyłu.
- Nie zamierzam znowu godzinami tkwić jak durny w korku, licząc na to, że lada moment go rozładują. Gdzie ci wszyscy ludzie się pchają w niedzielę, do cholery?

Caramel nie odpowiedział, zajęty majstrowaniem przy GPS. Colin łypnął na niego spod oka. Smarkacz pewnie ani w ząb nie znał się na elektronice, ale głupio mu było się przyznać, że czegoś nie potrafi. Gdyby chciał opanować wszystkie wymagające przybrania ludzkiej postaci umiejętności, których posiadaniem się pysznił, nie wystarczyłoby mu czasu na bieganie na czterech łapach.

- Gotowe, szefie - oznajmił Caramel, wsuwając w kieszeń na drzwiach mapę, którą posiłkował się przy programowaniu urządzenia.

Kobięcy głos polecił Colinowi przygotować się do skrętu w lewo. No, ciekawe, dokąd zajadą.

Czterdzieści minut później Colin zahamował nad jeziorem. Kobięcy głos z uporem nakazywał mu jechać prosto.

- Co to jest, do cholery? - warknął Colin. Wbrew oczekiwaniom czuł jedynie

wściekłość i ani śladu satysfakcji. Ile jeszcze będą się tłukli do tego przeklętego Drezna? - Jak zaprogramowałaś trasę?

- Zapewniam cię, że nie wybierałem opcji „dla amfibii” - odparł beznamiętnie Caramel. - Urządzonku coś się popierdzieliło. Nie ma powodu do zdenerwowania.

Colin zawrócił, bynajmniej nie ugłaskany. GPS natychmiast się zbuntował przeciw tej decyzji.

- Wyłącz to - warknął Colin.

- Jesteś dziś okropnie drażliwy - skonstatował Caramel z troską w głosie. - Czyżby sprawy sercowe niepomyślnie się układały?

- Powiedziałem Tin, że oddałbym za nią życie, a ona mi na to, że wystarczyłoby jej, gdybym czasem postarał się być dla niej miły - wyrzucił z siebie gniewnie Colin.

W zasadzie te słowa padły dopiero pod koniec kłótni, która zaczęła się od tego, że Tin poprosiła, żeby pokazał jej Caramela, jak przedtem Stonehenge. Po cholere chciała oglądać smarkacza? Colin usiłował wykręcić się argumentem, że ostatnio i bez tego rodzaju przerywników ma problemy z koncentracją na śledztwie. Tin niby wyraziła zrozumienie, jednak ton jej głosu...

- Wiesz co, bracie? - Caramel się zadumał. - Słuchając cię, można dojść do wniosku, że postawiłeś sobie ambitny cel: dowieść, że przeznaczenie nie ma ostatniego słowa. Jeśli zechcesz, potrafisz doprowadzić do tego, że się odkochacie. Czy raczej że ona przestanie cię kochać.

- Bardzo śmieszne - warknął Colin.

- Mówię poważnie. Gdybyś rzeczywiście obrał sobie taki cel, pogratulowałbym ci konsekwencji i determinacji w dążeniu do niego.

- To przecież nienormalne! - wybuchł Colin. - Zobaczyć dziewczynę po raz pierwszy w życiu i zakochać się w niej, nie wiedząc, jaką jest osobą!

- A, przepraszam, jak wyobrażałeś sobie ten moment? - zaciekawił się Caramel. - Pewnego dnia uznałbyś, że nadeszła pora znaleźć życiową partnerkę, sporządziłbyś listę jej pożądanых cech i kolejno wzywał młode waderki na casting?

- Wyobrażałem sobie, że przynajmniej trochę bliżej poznam dziewczynę - warknął Colin. - My nawet do siebie nie pasujemy!

- No, to zależy, w jakim sensie - zastanowił się Caramel. - Podobni nie jesteście, zgoda. Ale doskonale się uzupełniacie: ty, prymitywna siła, i ona, rozum, który tą siłą kieruje.

- Caramel, twoje monotematyczne żarty dawno przestały mnie śmieszyć.

- Skąd ci przyszło do głowy, że żartuję? - zdziwił się całkiem serio Caramel.

Colin posłał mu złe spojrzenie. Szczeniak się zgrywał, ale robił to cholernie przekonująco.

- Po prostu nieustannie mam wrażenie, że ona żałuje - mruknął Colin. - Że wołałaby kogoś innego...

- Przekonuj ją dalej - zachęcił Caramel.

- Nic nie rozumiesz.

- Ale przynajmniej skonsumowaliście wasz związek?

- Nie twój interes - warknął znowu Colin.

Caramel przyjrzał mu się z namysłem.

- W normalnych okolicznościach uznałbym, że podczas twojej kilkudniowej wizyty u niej pieprzyliście się jak króliki - stwierdził zadumany. - Jednakże...

- Nie twój zasrany interes - powtórzył Colin, cedząc słowa.

- Czy to oznacza, że jej nie tknąłeś?

- Niech cię szlag. Skonsumowaliśmy - odpowiedział wreszcie Colin, doszedłszy do wniosku, że tylko tym sposobem utnie temat. Po czym wbrew sobie dodał: - Ale... nie jestem pewien, czy tego chciała.

Caramel uniósł brwi.

- Och, nie w tym sensie - zachnął się Colin. Że też nie zdołał utrzymać języka na wodzy! - Za kogo mnie uważasz? To ten pierdolony Antoine. Zamykał ją w klatce! Wmawiał Tin, że nosi w sobie bestię, że w czasie pełni, wiedziona instynktem, zabiłaby każdą bliską jej osobę. A ona zastanawiała się, czy rzeczywiście tak nie jest! Starła się zawsze trzymać samą siebie w ryzach, ani na sekundę nie tracić samokontroli. Czym zaś jest namiętność, jeśli nie utratą samokontroli właśnie? Dla niej raz ulec namiętności, choćby najbardziej niewin... nieszkodliwej dla otoczenia, to jakby otworzyć furtkę wszelkim innym instynktom, w tym żądzy krwi.

- Innymi słowy, nie podobało jej się? - doprecyzował Caramel.

- Nie, do diabła! - wściekł się Colin. - Zatraciła się, za tym pierwszym razem. Czytałem to w jej myślach. A potem analizowała tę chwilę przez pół dnia... Psiakrew, tłukłem jej do głowy, że to bzdury. Że alfa zawsze potrafi zapanować nad zwierzęcymi odruchami. Jak ona może być tak inteligentna i jednocześnie tak ograniczona?

- Przez kilkanaście lat była o czymś przekonana i wprowadzała to przekonanie w życie, aż pewnego dnia pojawił się Colin i w ułamku sekundy wyleczył ją z wszelkich blokad i kompleksów? Daj jej trochę czasu.

- Toteż daję - mruknął Colin.

Odpuścił przecież. Wiedział, że pociąga Tin, a jednocześnie wyczuwał jej opór. Walentynki upłynęły im jeszcze dość miło, ale potem... Dlatego postanowił, że nic na siłę. Gdyby była choć odrobinę bardziej spontaniczna... Albo gdyby nie potrafił czytać w jej myślach, właśnie, ten aspekt cholernie go onieśmielał. Jeśli kiedyś nie stanie na wysokości zadania, dowie się o tym natychmiast.

Caramel zapatrzył się w noc, pochmurną i mglistą. Sunęli samotnie boczną drogą, niczym zagubieni w innej rzeczywistości.

- Dlaczego nie mówisz jej, jak ci na niej zależy? - zapytał Caramel po dłuższej chwili, kiedy Colin nabrał przekonania, że temat Tin został zamknięty.

- Skąd wiesz, co jej mówię?

- Z twoich opowieści. Jakbyś po raz pierwszy miał do czynienia z kobietą.

- W pewnym sensie ona jest pierwsza - stwierdził po namyśle Colin. Co mu tam, niech się Caramel z niego nabija. Dla Colina każda tego typu rozmowa stanowiła cenną szansę uporządkowania własnych uczuć do Tin. - Nigdy dotąd nie zależało mi na kobiecie. Laski na mnie leciały... a ja to traktowałem tylko jak okazję do zaspokojenia naturalnych potrzeb.

- A Varga mar? Na niej także ci nie zależało?

- Mówimy o kobietach - odparł ze zdziwieniem Colin.

- Mówimy o twoich partnerkach. Czy twojej relacji z Varga mar nie dałoby się określić stałym związkiem? Ona dotrzymywała ci wierności, ty jej nie, ale ostatecznie taki układ nie należy do rzadkości. Czyli co, Varga mar także służyła wyłącznie zaspokojeniu twoich potrzeb? A kiedy poznałeś Tin, natychmiast wyrzuciłeś ją z pamięci?

- Caramel, rozmawiamy o wilczycy. Nie sądzę, żeby dotknęło ją, że się w kimś zakochałem. Nie sądzę, żeby w ogóle była w stanie uświadomić sobie ten fakt.

- Ach tak. Zapewne nie sądzisz też, że za tobą tęskni?

- A co niby miałem zrobić? - zirytował się Colin. - Zapakować ją do klatki i próbować przewieźć do Europy jako turkmeńskiego psa pasterskiego?

- Jako czechosłowackiego wilczaka - sprostował zimno Caramel. - To krzyżówka psa i wilka, dyletant by się nie połapał. Ale nie, nie upieram się, że powinienesz być narażać ją na stres takiej podróży. Nie podoba mi się jedynie, że tak łatwo postawiłeś na niej krzyżyk. Dopóki na coś ci się przydawała, łaskawie odgrywałeś jej basiora. Wzbudziłeś w niej przekonanie, że zostaniesz z nią do końca życia. Po czym wyjechałeś, nie poświęcając jej ani jednej myśli. Zresztą powiedz mi, zanim spotkałeś Tin, jak często zdarzało ci się myśleć o Vardze mar w kontekście innym niż paląca potrzeba, której aktualnie nie miałeś jak zaspokoić?

- Rozmawiamy o pierdolonej wilczycy - wycedził Colin. - Lubilem ją, okej? Tak jak się lubi psa. Wybacz, ale nie zamierzam analizować jej uczuć ani tym bardziej porównywać jej z Tin!

- Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że nie jesteś w stanie mnie sprowokować? - zapytał spokojnie Caramel.

- No - mruknął Colin, wpatrzony w drogę, ponieważ przy siąpiącej mżawce widoczność z chwili na chwilę stawała się bardziej ograniczona.

- Od tej reguły istnieje jeden mały wyjątek - oznajmił Caramel, po czym trzasnął Colina w szczękę, wkładając w ten cios chyba całą swoją siłę alfy.

Głowa Colina odskoczyła w lewo, wybijając boczną szybę. Chcąc się czegoś przytrzymać, kurczowo zacisnął dłonie na kierownicy. Samochód skręcił gwałtownie, przeciął sąsiedni pas, zjechał z drogi i z hukiem uderzył w drzewo. Colina zamroczyło.

Kiedy się ocknął, Caramel mocował się właśnie z drzwiami po stronie kierowcy. Po kilku próbach zdołał je wyrwać. Poduszki powietrzne już oklapły.

- Kurwa, na mózg ci... - zaczął Colin, ale poderwał się przy tym i lewą nogę przeszył mu ból. Znów pociemniało mu przed oczami. - Moja noga - stęknął.

- W mig się zagoi - stwierdził beztrąsko Caramel. - Pod warunkiem, że została w jednym kawałku.

- Wyciągnij mnie stąd - warknął Colin.

- Zasadniczo miałbym powody, żeby tego nie robić. Dość poważnie mnie obraziłeś.

- Czym cię niby, kurwa, obraziłem?

Caramel milczał przez chwilę. Stał i się gapił, wyraźnie czerpiąc satysfakcję z cierpienia Colina. Co za...

- Dobra, o tym pogadamy później - odezwał się wreszcie szczeniak.

Pochylił się nad Colinem, niemal tak, jak gdyby prowokował go do ataku na swoje odsłonięte gardło.

Niewątpliwie tylko czekał, aż Colina poniesie, żeby dodatkowo mu dołożyć. Czym, psiakrew, Colin tak nagle się gnojkwowi naraził?

Dokonawszy oględzin uwiecznionych nóg Colina, Caramel cofnął głowę.

- Szarpnę fotel od tyłu - powiedział.

Otwarcie tylnych drzwi poszło Caramelowi nieco łatwiej; w każdym razie nie musiał wrywać ich z zawiasów. Paroma szarpnięciami poluzował siedzenie kierowcy i Colin mógł wyczołgać się z wozu.

- Psiakrew, złamałem nogę.

- Złóż ją sobie i tak jak poprzednim razem, przemieniaj co chwila - poradził spokojnie Caramel.

- Słuchaj no...

- Dobra, dobra. Już ci pomagam.

Wkrótce Colin pożałował, że pozwolił Caramelowi w ogóle dotknąć złamanej nogi. Ryknął i spróbował dosięgnąć pazurami twarzy smarkacza, ale z pozycji leżącej miał do pokonania zbyt duży dystans, żeby zaskoczyć przeciwnika.

- Skamlesz jak szczeniak, któremu drzwi przycięły łapkę - skomentował Caramel, odsuwając się na bezpieczną odległość. - Myślałby kto, że po raz pierwszy coś sobie złamałeś. Poleż dziesięć minut, a potem zacznij ją przemieniać.

- Tamten facet tylko zmiażdżył mi kość - warknął Colin. - A ty się mądrzysz, jakbyś co najmniej pięć razy łamał nogę.

- Siedem - sprostował sucho Caramel. - Siedem razy z rzędu. Sam sobie łamałem, bo chciałem się przekonać, ile z tego, co nam mówili na szkoleniach, jest prawdą.

- I do jakich powalających wniosków doszedłeś? - warknął Colin, mimo wszystko z nutką podziwu. Sam nie zdobyłby się na przeprowadzenie tego rodzaju testu praktycznego, a jakoś nie sądził, żeby Caramel w tej chwili robił sobie jaja. Tego rodzaju ciekawość bardzo pasowała do smarkacza.

- Zasadniczo nie rozminęli się z faktami, nie wspomnieli tylko o tym, że przemiana w trakcie zrastania się kości pomaga je prawidłowo nastawić. Drobiazg, no nie? Mówią ci, że wydobrzejesz na tyle, żeby się w miarę swobodnie przemieszczać, jeśli jednak chcesz odzyskać całkowitą sprawność, po powrocie do osady musisz udać się do medyka, żeby ci złamał kończynę i na nowo ją nastawił. Jeden z setek drobnych argumentów na przekonanie cię, że nie przetrwasz sam w świecie ludzi. Do ludzkiego lekarza przecież nie pójdziesz.

Colin gniewnie zacisnął zęby. Najwidoczniej całe to nastawianie mu nogi przez Caramela nie było wcale konieczne. Gówniarz skorzystał z okazji, żeby mu dodatkowo dokopać.

Zrastająca się noga dokuczała Colinowi jak diabli, przemókł też do suchej nitki, leżąc w mokrej trawie, przy padającej mżawce. Tymczasem szczeniak jak gdyby nigdy nie dokonywał oględzin wozu. Ustawione pod dziwnym kątem lewe przednie koło niemal całkowicie skryło się pod zmiażdżonym nadkolem, co Colin mimo ciemności doskonale widział z poziomego gruntu. Nawet gdyby wspólnymi siłami wyprostowali blachę, toyota nie nadawałaby się do dalszej jazdy.

Wbili się w drzewo po stronie kierowcy. Caramel doprowadził do wypadku, a sam niewiele ucierpiał.

- Jeśli coś do mnie miałeś, mogłeś z tym, kurwa, poczekać, aż staniemy - warknął Colin. - Pozbawiłeś nas samochodu.

- Zadziałałem spontanicznie.

- W życiu nie oglądałem bardziej wyrachowanego spontanicznego odruchu.

Caramel wzruszył ramionami. Kilkoma kopnięciami rozwalił tylne światła toyoty; widocznie wyłącznik nie działał, bo wcześniej szczeniak majstrował coś przy kierownicy.

- Minęło dziesięć minut - poinformował Colina, akurat kiedy na poboczu zatrzymał się samochód, pierwszy, jaki nadjechał drogą od chwili wypadku. Smarkacz minimalnie się spóźnił ze zniszczeniem świateł, choć niewykluczone, że ów przygodny kierowca zauważyłby ich tak czy owak. - Zaczynj przemieniać tę łapę, bo będzie trzeba ponownie ją łamać - dodał Caramel, kiedy z golfa wysiadł mężczyzna.

Ponieważ Colinowi nie uśmiechało się powtórne łamanie nogi - zwłaszcza że w tonie głosu Caramela wychwycił nadzieję na dodatkową rozrywkę - skoncentrował się na zalecanej przemianie, pozostawiając kumpłowi spławienie intruza.

Słyszał, jak Niemiec dopytuje się, co się stało, a potem, wysłuchawszy relacji Caramela (skurczybyk faktycznie znał niemiecki), zaczyna trajkotać o pogotowiu i policji.

- *Nein. Nein, nein, es ist nicht nötig* - powtarzał wytrwale Caramel.

- *Nein, ich muss die Polizei anrufen* - oświadczył z przekonaniem Niemiec. Cofnął się do golfa, w którym zapewne zostawił komórkę.

- Kiedyś byłem świadkiem, jak Niemka stuknęła się lusterkami z turystką - stęknął Colin, na tyle cicho, żeby usłyszał go tylko Caramel. - Szkoda prawie żadna, wina nie do stwierdzenia, a baba i tak się uparła, że trzeba *die Polizei anrufen*. To są Niemcy. Tutaj wzywa się policję, bo sąsiad myje samochód na własnym podwórku.

- Mówisz? - zadumał się Caramel. - *Warten Sie... Warten Sie bitte!* - zawołał za Niemcem.

Facet tymczasem widocznie znalazł komórkę, bo trzasnął drzwiami golfa. Odwrócił się na wezwanie Caramela. Ten coś zaszwargotał, wskazując toyotę. Niemiec zrobił dwa kroki w kierunku rozbitego auta. A wtedy Caramel skrzył mu kark.

- Kurwa! - Colin poderwał się z ziemi.

- Potwornie rzucasz mięsem - skomentował Caramel. - Powinieneś jeszcze kilka minut spokojnie poleżeć.

- Zabiłeś go! - Colin kuśtykał do golfa, obok którego upadł zabity.

- Przynajmniej rozwiązał nam się problem z samochodem. Zabierz nasze rzeczy - Caramel skinął ku toyocie - a ja upchnę trupa do bagażnika.

- Nie rozkazuj mi...

- Kurde, Colin, jeśli rzeczywiście przejąłeś się losem tego gościa, powinno ci zależeć, żebyśmy się stąd zmyli, zanim napatoczy się kolejny zatroskany niemiecki obywatel.

Colinowi wysunęły się pazury, tyle że rzeczywiście czas i miejsce nie wydawały się odpowiednie na walkę z Caramel. Zresztą szczeniak z werwą zajął się wyznaczonym samemu sobie zadaniem, tak więc Colin tylko sterczał głupio, piniąc się z wściekłości.

Pokuśtykał z powrotem do toyoty; dopiero po kilku krokach uzmysłowił sobie, że noga go nie boli - i właściwie nie czuje różnicy w stosunku do stanu sprzed wypadku. Piekielnie szybko... Ręka goiła mu się dłużej. Głowa po ataku Josha także dokuczała Colinowi co najmniej przez godzinę. Czyżby adrenalina przyspieszała proces gojenia? Sytuacja z Niemcem dała mu solidnego kopa. Zresztą tak czy owak zdrowienie przebiegało u Colina szybciej, niż wynikało to z informacji przekazywanych w trakcie szkoleń. No, ale wówczas prezentowano średnie dane, od których niewątpliwie występowały odchylenia na poziomie osobniczym.

Kolejno wyjmował rzeczy z bagażnika. Usiłował sobie przypomnieć, co i gdzie poukrywał w samochodzie. Trochę kasy. Klucz do kół z wydrażoną rączką, gdzie chował wytrychy. Kanadyjski paszport łowcy Vernona. No i francuskie papiery, które załatwił sobie przez tutejszych łowców. Toyota została zarejestrowana właśnie na francuską tożsamość Colina, odtąd już zapewne spalona. Chociaż... Jeśli policja znajdzie tylko rozbitą toyotę, jedynym przestępstwem popełnionym przez Colina będzie pozostawienie złomu przy drodze. Za coś takiego nie będą go chyba zbyt gorliwie ścigać?

Po chwili dołączył do niego Caramel. Zdjął tablice z toyoty - właściwie tylko tylną, przednia odpadła sama.

- Zobaczymy, może uda nam się rąbnąć identyczną i zamienimy blachy - stwierdził Caramel. - Dokumenty mamy w porządku.

- Zorientują się po numerze silnika. Policjantom też skręcisz karki?

- Czemu nie? - Caramel uśmiechnął się szeroko, jakby dawał do zrozumienia, że spodobało mu się to nowe zajęcie.

- Co zrobimy z ciałem? - warknął Colin, daleki od rozbawienia. Szczeniak miał nierówno pod kopułą.

- A właśnie, nie jesteś głodny?

- Proszę? - Colin zamarł.

- Po regeneracji uszczupliły ci się zapasy energii, a jeśli się zastanowić, dla dwóch wilkołaków najprostszym sposobem pozbycia się ciała...

- Skończ - wycedził Colin. - Nie bawi mnie twoje poczucie humoru.

Wcale nie był pewien, czy Caramel żartuje.

- Przynajmniej dłonie i twarz? - kusił szczeniak. - Żeby identyfikacja trochę im zajęła? Nie? No dobra, utopimy go w tamtym sympatycznym jeziorku.

Wzięli zatem z toyoty także zapasowe koło, żeby wykorzystać felgę - wraz z podnośnikiem - jako kotwicę, jeśli tylko będzie ją o co zaczepić na dnie. Colin działał machinalnie, raz po raz popatrując na Caramela.

Psiakrew, gnojek jednak nie żartował, sugerując, że mogli zjeść Niemca. A Colin... swego czasu ubolewał, że nie przekąsił co nieco ze Stipe'a, więc w gruncie rzeczy znów zachował się jak hipokryta. No, ale łowca to był zadeklarowany wróg, zabity w uczciwej walce, tak że skonsumowanie jego płuc czy serca - największych smakołyków - stanowiłoby po prostu zasłużoną nagrodę... Rany, całe szczęście, że Tin nie słyszała tych jego rozważań.

- Jak mogłeś tak po prostu go zabić? - mruknął Colin po mniej więcej dwudziestu minutach jazdy.

Caramel nurkował, aby utopić nagie ciało. Wnosząc z bijącego mu z ust odoru krwi, faktycznie zżarł gościowi co nieco, już w wodzie, żeby nie zostawiać śladów. Colin siedział w tym czasie w samochodzie, trochę otepiały. Cholera, dlaczego sytuacja tak go poruszyła? Sam zabił dwóch ludzi. Co z tego, że służbowo, działając w interesie społeczności? Zresztą w przypadku Stipe'a usprawiedliwienie było ciut naciągane, Colin samowolnie wyznaczył sobie tamto zadanie. I nie sądził wtedy, że zrobił coś złego.

Ten Niemiec im zagrażał. Colin nieraz miał chęć przeciągnąć komuś pazurami po gardle z bardziej błahych powodów. Owszem, powstrzymywał się, niejednokrotnie w ostatniej chwili, jednak do rozsądku nakłaniała go raczej obecność świadków bądź wizja rozmaitych komplikacji, jakie pociągnęłoby za sobą zabójstwo, nie zaś wewnętrzne przekonanie, że postąpiłby źle. Czy zatem cały problem sprowadzał się do tego, że zabił Caramel?

Szczeniak niby po raz pierwszy w życiu zabił człowieka, a ani przed, ani po dokonaniu tego czynu nie okazywał najmniejszego wzburzenia. Prowadził teraz zdobycznego golfa, wprost emanując spokojem. Zboczyli z dotychczasowej trasy. Faceta, Jurgena Muffego, zapewne wkrótce zaczną szukać, wypadało więc szybko zmienić wóz, porzucając ten w stosownie odległym od Drezna dużym mieście.

- Co znaczy tak po prostu? - zaciekawiał się Caramel. - Życzyłbyś sobie więcej dramatyzmu? Gdybym rozorał mu gardło, zostałyby ślady.

- Wiesz, że nie o tym mówię - warknął Colin, spoglądając na kumpla bursztynowymi oczami. Zapach krwi go pobudził. Super.

- Naprawdę żal ci tego gościa? Walniesz mi kazanie o tym, że zabijanie jest złe?

- Słuchaj, załatwiłem dwóch ludzi, zgoda, ale to byli łowcy.

- A ja rozwiązałem dla nas dwa problemy za jednym zamachem - odparł spokojnie Caramel. - Nie musieliśmy się tłumaczyć przed policją i zdobyliśmy nowy samochód.

- Nie mielibyśmy żadnego z tych problemów, gdybyś się nie zachował jak nieopanowany smarkacz! - zaatakował Colin.

- Ja się zachowuję jak nieopanowany smarkacz? Schowałbyś wpierw te pazury.

Drań znów go wypunktował. Colin walczył o odzyskanie samokontroli, przyglądając się koledze spod oka. Ciągle nie potrafił pogodzić się z faktem, że typek, którego znał dotąd wyłącznie jako ospałego futrzaka, czuje się w ludzkiej skórze tak swobodnie... że jednym ruchem wykańcza człowieka.

Do diabła, dlaczego śmierć Niemca tak Colinem wstrząsnęła? Zaakceptował wyrok wydany na Bensona, którego właściwie mógł nazwać swoim przyjacielem, a przejmował się śmiercią przypadkowego kierowcy.

- Jeśli będziemy zabijać ludzi tylko dlatego, że... że zwyczajnie chcieli nam pomóc, stracimy najważniejszy argument na naszą obronę - odezwał się Colin po zastanowieniu.

- Naprawdę potrzebujesz tego rodzaju argumentów, żeby uzasadnić swoje prawo do życia? - zdumiał się Caramel, cokolwiek na pokaz. - Urodziliśmy się drapieżnikami, Colin. Mamy zabijanie we krwi. Zresztą podobnie jak ludzie. Oni toczą swoje wojny, my swoje. Twierdzenie, że w gruncie rzeczy jesteśmy kochanymi pieskami pokojowymi, najlepszymi przyjaciółmi człowieka, gdyby tylko on zechciał w ten sposób na nas spojrzeć, uważam za hipokryzję godną Fisha.

Colin najchętniej wezwałby Tin, żeby podzielić się z nią wątpliwościami, ale minęła pierwsza - znów by ją obudził. Zresztą, ona nie zaakceptowałaby nawet zabicia łowcy, który mierzy do niej z broni nabitej srebrem, ponieważ ten łajdak Antoine wpoił jej, że życie każdego człowieka, choćby najpodlejszej kreatury, znaczy więcej od jej własnego.

- Powiesz mi wreszcie, czym cię zdenerwowałem? - rzucił Colin agresywnie, mimo że groziło im to utratą kolejnego samochodu.

- Ty faktycznie nie jarzysz - stwierdził Caramel.

- Chodzi o Vargę mar? - drażył Colin. - Zakochałeś się w niej?

W odpowiedzi otrzymał dość wymowne spojrzenie.

- Niewinny facet zginął, bo ponoć czymś cię potwornie uraziłem. Oświeć mnie, do cholery.

Caramel milczał.

- Zakochałeś się w innej wilczycy?

Kolejne wymowne spojrzenie.

- Psiakrew, więc o co chodzi? Zareagowałeś tak, jakbym śmiertelnie obraził twoją matkę!

Uniesienie brwi.

- Przecież... Nie powiesz mi chyba, że jesteś synem wilczycy? - Cholera. Colinowi dopiero teraz zaczęło świtać... tak, zdaje się, że ktoś kiedyś wspominał... - Więc dlaczego trzymałeś ten fakt w tajemnicy, jakbyś się go wstydził? - zaatakował ze złością.

- W tajemnicy? - Caramel znów na niego spojrzał. - Powinienem był nosić na szyi plakietkę, żebyś łaskawie przyswoił tę informację? Pewnie zarzuciłbyś mi wówczas, że tekst został napisany zbyt małymi literami.

- Nie rób ze mnie kretyna - mruknął Colin.

Sam go z siebie zrobił. W dodatku przez ten cały wypadek wywietrzało mu z głowy, co konkretnie chlapnął, że do tego stopnia wkurzył Caramela.

Matka... Jak Colin by zareagował, gdyby ktoś ubliżył Ianthe?

- Przepraszam - wymamrotał.

- Nie dosłyszałem.

- Przepraszam - warknął Colin. - Kiedyś obilo mi się o uszy coś o twoim pochodzeniu, ale kompletnie zapomniałem. Inaczej nie powiedziałbym... żadnej z tych obraźliwych rzeczy.

- Mnie nie wkurzyło, że tak mówisz - odparł po dłuższej chwili Caramel. - Nie starałeś się celowo mi dopiec, tyle potrafię rozpoznać. Doprowadza mnie natomiast do furii to, że tak myślisz. Wypowiadasz tę myśl na głos czy nie, nie zmienia to faktu, że jesteś ograniczonym skurwielem, któremu wypada wpierdolić, żeby choć odrobinę oprzytomniał.

- Przeprasiłem - wycedził Colin.

Oczy mu się przebarwiły, twarz zaczęła wydłużać w pysk. Caramel spojrzał na niego; także jego oczy stały się bursztynowe.

- Mam się zatrzymać? - zapytał cicho.

Propozycja brzmiała kusząco. Colin chętnie starłby się z wrednym gnojkiem, który co rusz wbijał mu szpilę.

Niemniej wolałby sam rzucić wyzwanie, mając rację po swojej stronie. Natomiast

naprać kogoś, ponieważ obraziło się jego matkę? Trochę niehonorowo.

- Przeprosiłem - powtórzył, odwracając wzrok.

Caramel milczał. Ani chybi uznał, że Colin przestraszył się potencjalnej przegranej. Cholera, powinni się w końcu zmierzyć, żeby raz na zawsze rozstrzygnąć, który z nich jest silniejszy. Ustalić, kto tu komu ma prawo wydawać polecenia.

Szczeniak nie tak dawno zabił z zimną krwią człowieka, a czepiał się, że Colin nie okazuje należnego szacunku wilczycy. Gnojek miał totalnie poprzestawiane we łbie.

Syn wilczycy. Od dawna nie żyła, w warunkach naturalnych mogła dociągnąć góra do szesnastu lat. Czy w chwili jej śmierci Colin mieszkał już w osadzie? Nie przypominał sobie, żeby Caramel był kiedykolwiek dłużej smutny; u szczeniaka w ogóle rzadko dało się zaobserwować szczere emocje.

Zarazem Colin coraz wyraźniej uzmysławiał sobie, że umknęło mu zastraszająco wiele kwestii. Nadal żyłby z klapkami na oczach, gdyby Caramel z zapalem nie naprowadzał go na właściwe tropy. Jasne, Colin mógłby spróbować wmówić sobie, że kumpel nim manipuluje. Tyle że gdy sięgał pamięcią wstecz, odkrywał przeważnie, że miał daną informację pod samym nosem, lecz był zbyt skupiony na sobie, żeby ją zauważyć.

- Naprawdę siedem razy łamałeś sobie nogę... łapę? - zagaił, pragnąc uciec od przytłaczającego milczenia. - Postrzały też przeciwiczyłeś?

- Takie rzeczy powinny wchodzić w zakres szkolenia - stwierdził Caramel po chwili wahania. - A my kłujemy się srebrną szpilką i to ma nam dać wyobrażenie o bólu, jaki powoduje postrzał srebrem.

- Strzelałeś do siebie srebrem? - Szczerze mówiąc, Colin wahał się, czy powinien kumpla za takie próby podziwiać, czy raczej traktować z ostrożnością, jak niebezpiecznego wariata.

- Najpierw normalną kulą. Tak, żeby przeleciała na wylot, przez udo. Rozumiesz, nie chciałem przegiąć. Goiło się niecałe dziesięć minut. Później tak samo potraktowałem się srebrem, już wyluzowany, ponieważ ten pierwszy postrzał okazał się znacznie mniej bolesny, niż się spodziewałem. No i, kurde, przez kilkanaście minut myślałem, że ze mną koniec. Pali jak cholera. Jeśli srebrna kula utkwi ci w ciele, naprawdę masz marne szanse.

- Aha - mruknął Colin. Gówniarz faktycznie był pokręcony.

- Jeśli chcesz, mogę cię postrzelić z pistoletu tego gościa, który usiłował cię zabić - zaofiarował się Caramel.

- Nie, dzięki. Innym razem.

- Wiedziałbyś, czego się spodziewać - zachęcał go Caramel, jak najbardziej serio. -

Zyskałbyś kilka cennych sekund, które w ostatecznym rozrachunku mogą ocalić ci życie. Nie wiem, jaki ból czuje człowiek, kiedy oberwie, ale śmiem podejrzewać, że ani się on umywa do tego, co nam funduje srebro. Zarobiwszy kulkę, zamiast szukać osłony, będziesz się związał z bólu. A łowca bez pośpiechu cię wykończy.

- Uważasz, że do tego stopnia nami manipulują? - rzucił Colin, żeby odsunąć temat postrzału. Caramel za moment uzna, że powinien bez pytania wpakować kumplowi kulkę, oczywiście dla jego własnego dobra. - To znaczy, że każdą... duperele wykorzystuje się do umocnienia członków społeczności w przekonaniu, że sami nie przetrwają? Przecież wiedza o tym, jak skutecznie leczyć złamanie, bardzo przydałaby się straży. Społeczność odniosłaby większą korzyść z lepiej wyszkolonych strażników, niż ma ją z utrzymywania ich w przeświadczeniu, że po każdym poważniejszym uszkodzeniu ciała potrzebują pomocy lekarskiej.

- Sugerujesz, że przez wieki nikt nie odkrył, że przemiana pomaga prawidłowo nastawić kości? - zapytał Caramel.

- Może nie? Może by ci podziękowali za taką informację?

- Taa, oczywiście. Podobnie jak za każdą kolejną, a po cichu przykazaliby oficjalnemu łowcy, żeby wykonał na mnie wyrok

- Oficjalnemu łowcy? - powtórzył Colin.

- No, żeby moja śmierć wyglądała na robotę łowcy - sprostował Caramel. - Straż to same silne alfy, a takim niewiele trzeba, żeby się zbuntować. Trzeba je związać z organizacją tysiącem niteczek. Wówczas gdy jedna z nich pęknie, niczego to nie zmienia. Jednak kiedy puści kolejna, i następna, ryzyko wzrasta, tak więc lepiej zlikwidować tego, kto sieje ferment. Tresuje się ich od najmłodszych lat.

„Ich”, no jasne. Caramel zawsze stał ponad całym tym szkoleniowym chłłmem.

- Niezupełnie od najmłodszych lat - zaproponował Colin. - Moim zdaniem świadomi poznają prawdę na tyle późno, że właśnie są w stanie ocenić, kiedy się im wciska kit.

- Mówimy o silnych alfach. Tajemnice organizacji poznają późno, zgoda, ale o swojej drugiej naturze dowiadują się stosunkowo prędko, a wtedy natychmiast zaczyna im się kłaść do głów, jak ważne jest utrzymywanie jej w tajemnicy, służba na rzecz społeczności, tworzenie wspólnego frontu przeciw ludziom i tym podobne bzdury.

- Znowu gadasz jak Alberto - mruknął Colin.

- Owszem - zgodził się bez oporów Caramel. - Ten twój Alberto ma bardzo otwarty umysł.

- Przedstawię was - sarknął Colin. - Będziesz miał okazję wyrazić uznanie dla jego

wizjonerstwa.

- Jeśli on nadal kręci się w pobliżu kliniki, niewykluczone, że faktycznie przyjdzie ci nas sobie przedstawić - zauważył rzeczowo Caramel.

- Najpierw musimy pozbyć się tego wozu.

- Przecież odbiłem na Berlin. Tam rąbniemy toyotę i założymy jej nasze blachy.

- Moje blachy - mruknął Colin. - To był mój wóz i moje blachy.

Nie całkiem o to mu chodziło, żeby tłukli się golfem aż do Berlina, ale nie chciał się spierać. Ostatecznie od stolicy Niemiec dzieliły ich zaledwie dwie godziny jazdy.

Zdecydowanie nie podobał mu się natomiast pomysł z kradzieżą wozu, nawet jeśli w tak wielkim mieście utonie ona w morzu codziennych zdarzeń tego typu. Kiedy poruszał się w Niemczech na francuskich blachach, policja dość często go zatrzymywała - sprawdzali, czy nie podróżuje z przekreśloną *cartegrise*, co ponoć praktykowali pochodzący z nowych krajów Unii nabywcy francuskich aut, oszczędzając w ten sposób na tablicach wywozowych. Colin wolałby wypożyczyć samochód - albo kupić, tyle że tutaj znów zaczynały się schody z załatwianiem formalności. Tak czy siak, niech Caramel nauczy się płacić za swoje postęпки, zwłaszcza że był przy forsie. „Odłożonej” między innymi z pieniędzy Colina.

Zdrzemnęli się w golfie, na parkingu przy autostradzie, żeby nie wjeżdżać do Berlina zbyt wcześnie. Chcieli się wtopić w poranny rozgardiasz. Caramel, jak się okazało, nie zdążył opanować sztuki otwierania i odpalania samochodów bez kluczyka, tak więc Colin mógł się postawić: nie ukradną wozu, za duże ryzyko. Zwłaszcza że francuskie tablice - podobnie jak francuska tożsamość Colina - mogły już stać się trefne, jeśli ktoś skojarzył rozbitą toyotę z zaginięciem kierowcy golfa. Tamta droga należała do mało uczęszczanych, gdyby zatem osoba zgłaszająca zaginięcie potrafiła dokładnie określić trasę, jaką obrał zaginiony, policji nietrudno byłoby dodać dwa do dwóch.

Uzgodnili, że wypożyczą auto na paszport Caramela, a potem Colin poprosi łowców, żeby skombinowali mu nowe papiery. Oczywiście, nic za darmo. Będzie okazja przekonać się, jakimi zasobami dysponuje szczeniak. No bo ile zdołałby podkraść tak, żeby nikt się nie zorientował?

Przerzucili bagaże do wynajętego granatowego golfa. - Caramel wybrał wóz w identycznym kolorze co ukradzony, ponoć przez sentyment. Upchnęli trefny samochód na zatłoczonym parkingu w dzielnicy mieszkalnej i, rozluźnieni, pojechali na śniadanie. Colinowi dokuczał głód, ale nie zamierzał odezwać się na ten temat ani słowem - Caramel odparłby, że trzeba było zjeść kawałek tamtego Niemca.

- Tin? - mruknął Colin w myślach, kiedy smarkacz udał się na chwilę w ustronne miejsce. - Możesz gadać?

Minęła dziesiąta i ani chybi Tin tkwiła już za ladą w tej nieszczęsnej piwnicy z winami.

- Mogę - powiedziała chłodno.

Atakowała Colina na dzień dobry... Zaciśnął zęby. Upomniał się, że miał ją przeprosić, a nie znowu szukać okazji do zwady.

- Caramel uważa, że spartoliłem sprawę - mruknął. - Z tobą.

Dlaczego użył czasu przeszłego? Smarkacz wcale nie twierdził, że sprawa jest przegrana. Jedynie ostrzegął Colina, że powinien przemyśleć sposób, w jaki odnosi się do Tin, zanim szkody faktycznie okażą się nie do naprawienia.

- Chyba coraz bardziej go lubię - stwierdziła Tin.

Jeśli chciała wyprowadzić Colina z równowagi, udało jej się. Z trudem powstrzymał cisnący mu się na usta komentarz. Potarł czoło.

- Twój ulubiony Caramel zabił człowieka - oznajmił.

- Proszę?

- Wczoraj w nocy - wyjaśnił z satysfakcją Colin. - Rozbiliśmy się na drzewie...

- Poczekaj sekundę, pójdę do siebie.

- Nie jesteś w pracy?

- W poniedziałki nie pracuję. - W jej głosie znów na moment zagościł chłód.

Psiakrew, jasne, jej zdaniem Colin powinien pamiętać takie detale. Jakby nie dość miał problemów na głowie! Nigdy nie sprostą wygórowanym wymaganiom Tin.

- Mieliście wypadek? - zapytała po chwili. Pokrótce zrelacjonował jej wydarzenia minionej nocy, podkreślając cholerny spokój, jaki zaprezentował Caramel. Sądził, że zrazi ją do szczeniaka, jednak, ku jego zaskoczeniu, Tin nie wydawała się wstrząśnięta.

- Nie poruszyło cię, że w zasadzie bez powodu zabił człowieka? - zdumiał się Colin.

- Poruszyłoby mnie, gdybyś ty to zrobił.

- Nie o to pytałem.

- Owszem, Colin, właśnie o to - odparła cicho. Z trudem zapanował nad gniewem.

- Nie pojmuję tego - oznajmił. - Podszedł i skrzył facetowi kark. Kiedy zatapiasz w kimś zęby, to jest polowanie. Zaspokajasz pierwotną, naturalną potrzebę. Nie zrozum mnie źle, mówię o likwidacji na przykład łowcy, który tak czy inaczej musi zginąć...

- Mówisz, że gdyby zagryzł tego Niemca, nie zgłaszałbyś specjalnych zastrzeżeń? - doprecyzowała wolno.

I znów Colinowi nie spodobał się ton jej głosu.

- Nie rozumiemy się - mruknął.

- Rzeczywiście, nie.

Zamilkła, a Colin rozpaczliwie poszukiwał innego tematu. Rozproszyło go postukiwanie w blat stolika.

- O, Caramel - odezwał się głośno na widok siedzącego naprzeciw kumpla. Kiedy smarkacz wrócił z toalety? I czemu tak się zakradał?

- O, Caramel - przedrzeźniał go szczeniak. - „O, Caramel” siedzi tu od ładnych paru minut. Gdybym był łowcą, nawet byś nie zdążył się zdziwić.

- Ale nie jesteś - warknął Colin, po czym szybko pożegnał się w myślach z Tin. - Widocznie darzę cię nieuzasadnionym zaufaniem - powiedział do Caramela.

Do Kohlenbogen dotarli wczesnym popołudniem. Objechali miasteczko, węsząc za świadomymi i Albertem (za tym ostatnim tylko Colin). Bez efektu, co, tradycyjnie, o niczym nie przesądzało. Agenci organizacji na pewno by się maskowali, z kolei Włoch nie tkwiłby dwa i pół tygodnia w równie małej miejscowości. Jeśli wierzyć zapewnieniom Antoine'a, że cierpliwe wyczekiwanie nie leżało w naturze Alberta, wypadało liczyć się z tym, że Włoch porzucił już okolice kliniki. Colin zaś nie dostał zaszczytu poznania numeru jego komórki...

Przypuszczalnie konieczny okaże się telefon do Antoine'a. Colinowi ani trochę nie uśmiechała się rozmowa z draniem. Będzie musiał poinformować go o śmierci Karala i ze skruchą przyznać, że trop się urwał. Colin spędził kilka dni w Dundee, usiłując wydobyć cokolwiek od współpracowników profesora, ale dowiedział się tylko tyle, że mniej więcej w czasie, kiedy pojawiły się informacje o śmierci Hintermanna, Karal zaczął się dziwnie zachowywać. Było się czym pochwalić, psiakrew.

- Kurde, Colin. - Caramel przyjrzał mu się zde gustowany, wysłuchawszy przepelnionej goryczą tyrady. - Co za różnica, co facet sobie o tobie pomyśli? Nakłamiesz mu przecież.

- Wkurza mnie, że w ogóle będzie mnie oceniał - odparł gniewnie Colin. - Obiad zjemy w Dreźnie?

- Już jesteś głodny?

- Gdybym żarł tyle słodczy, pewnie bym nie był - warknął Colin.

A jeśli to właśnie unoszący się w samochodzie denerwujący zapach czekolady przeszkodził mu wywęszyć Alberta?

Problem polegał na tym, że Włoch prawdopodobnie zdobył dane dzieciaków urodzonych z zarodków pochodzących od dawców. Nagabywanie pracowników kliniki po raz

drugi o to samo byłoby ryzykowne, a przy tym stanowiłoby niepotrzebną stratę czasu. Albertowi tak czy owak trzeba będzie odebrać listę; przy okazji usuną łowcę, czym przysłużą się społeczności. Tylko co poczną, jeśli Włoch nie odezwał się do Antoine'a?

Zawsze mogli trochę poczekać, w tym czasie szukając osady, która, jeśli wierzyć smarkatej waderce, spotkanej przez Colina w pobliżu Dijon, znajdowała się właśnie w Niemczech. Przeanalizują zdjęcia satelitarne, zaznaczą na mapie największe lasy i rozpoczną objazd. Wszyscy mieszkańcy osady nie zdołaliby się przecież zamaskować.

Cholera. Taki prosty sposób, a Colin wpadł na niego dopiero teraz. Uparł się, że namierzy straż w miejscu ataku nieświadomego, i krążył bez sensu jak muł. Owszem, zdarzało mu się biegać po lasach, siłą rzeczy wyłapywał wtedy okoliczne wonie, ale jakoś nie przyszło mu do głowy, żeby metodycznie odwiedzać kolejne duże kompleksy leśne, węsząc za osadą. Zadanie wydawało się czasochłonne, niemniej przez te kilkanaście miesięcy przypuszczalnie coś by już odkrył.

- Psiakrew - mruknął. - Tak się zastanawiam... Zarzucam Tin, że odwraca moją uwagę od poszukiwań Emily... ale właściwie, do cholery, co ja robiłem przez cały ten czas, jaki minął od mojego przylotu? Niczego nie ustaliłem. Jakbym działał w transie. Dopiero odkąd ją poznałem, mogę mówić o postępach.

No tak, sama Tin wytknęła mu ów szczegół. Chyba dlatego Colin zignorował kwestię: nie chciał tańczyć, jak ona mu zagra. Super.

- Od przylotu? - zapytał Caramel.

- Co?

- Czy na pewno ten trans trwał od momentu twojego przylotu do Europy - doprecyzował cierpliwie Caramel. - Bo, szczerze mówiąc, nie bardzo widzę, z czego miałyby wynikać. Potrzebowałeś półtora roku, żeby poradzić sobie z zespołem nagłej zmiany strefy czasowej?

- Mówię poważnie - warknął Colin. Wypatrzył obiecującą knajpę i wrzucił kierunkowskaz.

- Ja również. Czy przy okazji twojego przylotu, albo ewentualnie odlotu ze Stanów, coś się wydarzyło? Jeśli nie, nie widzę powodu, żeby akurat fakt, że postawiłeś stopę na europejskiej ziemi, miał cię wepchnąć w trans.

Colin zgasił silnik, marszcząc brwi. Wyjął kluczyk ze stacyjki.

- Sugerujesz, że to robota Udoną?

Właściwie tym pytaniem Colin sam udzielił sobie odpowiedzi. Potarł czoło. Czy od rozmowy z kapłanem do chwili spotkania z Tin choć raz usłyszał głos przecucia? Jak to było

z Bensonem? Chyba przeczuł jego śmierć? A decyzja o wyjeździe do Europy - czy także tu przeczucie nie wskazało Colinowi drogi?

Podzielił się tymi obiekcjami z Caramellem, zanim weszli do knajpy.

- Do Europy mógł cię wysłać właśnie Udo - stwierdził Caramel. - A co do Bersona... też bym się nie upierał przy przeczuciu.

Fakt, Gordon dał do zrozumienia, że zamierza zlikwidować łowcę, tak więc rzeczywiście Colin nie potrzebował wskazówek przeczucia, by ustalić, że Bensonowi grozi niebezpieczeństwo.

- Udo byłby aż tak silny? - zapytał, kiedy usiedli przy stoliku. - Sorry, trudno mi w to uwierzyć.

Uległby wpływowi kapłana na tyle miesięcy? Wydawało mu się dziwne, że poddał się tamtemu hipnotycznemu spojrzeniu na kilka minut, a przez kolejne godziny czuł się otepiał.

- Ach, Colinowi nie podoba się sugestia, że ktoś mógłby go zdominować, jak głupią zerówkę, do której niekiedy wystarczy przemówić raz na całe życie - skomentował z szerokim uśmiechem Caramel. - No, nie wiem. Ja tam wolałbym przyjąć, że za spowolnienie moich procesów myślowych odpowiada potężny kapłan, przed którym drży nawet lider amerykańskiej organizacji. Bo alternatywne wyjaśnienie zakłada, że jestem idiotą i nieudacznikiem.

Colin posłał mu złe spojrzenie, ale, o dziwo, nie zdenerwował się. Czyżby robił postępy? Zbytek optymizmu. Po prostu czuł się za bardzo skonany, żeby się wściekać.

Zamówili po sporej porcji golonki.

- A Tin zdjęła urok? - zapytał Colin.

- Urok! - prychnął pogardliwie Caramel. - Facet cię zdominował, pogódź się z tą myślą. Wiem, wiem, uczono nas, że na silne alfy dominacja nie działa. Reguła zapewne generalnie się sprawdza, a wszystkie ewentualne skowronki śpiewają potajemnie. Jeden zaśpiewał dla ciebie, i tyle. Kiedy się zakochałeś, obudziły się w tobie silne emocje, które przełamały efekt dominacji.

- Ale po co Udo posyłałby mnie do Europy?

Caramel wzruszył ramionami.

- Ponieważ to dla ciebie nowy teren? - podsunął. - W Stanach szukałbyś kontaktu ze znanymi ci świadomymi.

Oczywiście. Colin włączył się po Europie, nie szkodząc organizacji, w przekonaniu, że zachował pełnię swobody, że aktywnie szuka siostry. Wszyscy usuwali mu się z drogi... Jak się dowiadywali, dokąd aktualnie Colin się udaje? Jakim sposobem nasłany przez Gordona

zabójca tak precyzyjnie go namierzył?

Znał odpowiedź. Cholera, jasne. Nie komórka, jako że raczej nie znali numeru. Nie udający łowcę świadomy, bo z łowcami Colin kontaktował się stosunkowo rzadko. Ani nie ogon, gdyż prędzej czy później Colin zorientowałby się, że ktoś go śledzi.

Popatrzył na Caramela, niespiesznie zabierającego się do golonki.

- Kiedy doszedłeś do wniosku, że umieścili w toycie nadajnik? - spytał wolno.

Zmęczenie ustąpiło, ale tym bardziej Colin musiał pamiętać, że są w restauracji - byle zachować spokój.

Agenci organizacji śledzili jego wóz. Jeden z nich sprzyjał buntownikom i przekazał zamiar nasłanemu przez Gordona zabójcy. Proste.

Caramel wyszczerzył zęby w uśmiechu, nie zaprzestając konsumpcji. Wydedukował to sobie jeszcze na Wyspach, może nawet przed zamachem na Colina. Sprowokował rozmowę o Vardze mar, żeby przy okazji „wymiany samochodu” dać Colinowi po mordzie. Począł z rozbiciem świateł toyoty, aż usłyszy silnik nadjeżdżającego auta. Gdyby kierowca golfa nie przystanął, Caramel wyszedłby na drogę, żeby zatrzymać kolejny wóz. I zabiłby wszystkich, którzy by nim podróżowali.

Colin zacisnął pięści pod stołem. Znajdowali się w restauracji, cholera. W miejscu publicznym.

Prędko skierował myśli na inny tor. Nadajnik. Psiakrew, nadajnik. Zalała go fala paniki. Skoro nadajnik znajdował się w samochodzie...

Panika odpłynęła równie szybko, jak się pojawiła. Odetchnął z ulgą. Nigdy nie odwiedził Tin toyotą. Za pierwszym razem auto zostało w Annecy, a Colin przemieszczał się z Albertem jego cordobą. Przy kolejnej wizycie podróż toyotą zakończył w Montpellier, dalej udał się pieszo.

- Nigdy nie byłem u Tin toyotą - wyjaśnił Caramelowi, widząc, że szczeniak mu się przypatruje.

Owszem, z Montpellier był do Tin rzut beretem, niecałe trzydzieści kilometrów, ale organizacja musiałaby najpierw wiedzieć, że w ogóle powinna szukać jakiejś waderki...

- Sądysz, że Becky podkablowała, że jestem zajęty? - naskoczył na Caramela.

- Nie próbuj zwać winy na mnie - ostrzegł ten spokojnie.

Colin potarł czoło. Jeśli Becky złożyła szczegółowy raport, Tin znalazła się w niebezpieczeństwie. Organizacji zależało, żeby Colin pozostał zdominowany, a Tin psuła im szyki. Ewentualnie zechcą wykorzystać ją jako argument przetargowy.

Przez to wszystko Colin nic jeszcze nie zjadł, a głód - i rozpraszający aromat golonki -

bynajmniej nie pomagały mu w myśleniu.

- Jeśli Becky wyjaśniła w raporcie, dlaczego odrzuciłem jej względy... Wóz trochę stał w Annecy i w... - Colin urwał. Wystarczyło, że tamci znali oba miejsca dłuższego postoju toyoty. - Dojdą do wniosku, że właśnie wtedy gościłem u Tin, czyli że ona mieszka w jednym z tych miast lub w jego pobliżu. Muszę do niej jechać.

- Nawet jeśli Becky zdążyła złożyć tak szczegółowy raport, nieco potrwa, zanim ta informacja dotrze do właściwych osób - pocieszył go Caramel. - Jeżeli w ogóle dotrze.

- To znaczy?

- Oj, no pomyśl. Becky niewątpliwie od razu zameldowała, że ktoś interesuje się kliniką, opisała twój wygląd, może nawet pstryknęła ci zdjęcie. Z kolei ci od nadajnika w toyocie orientowali się, że jesteś w Dundee. I co? Drugiego wieczoru Becky nadal nie wiedziała, że ma do czynienia ze świadomym. Nie groziłyby ci bronią, tylko twardo udawała głupiutką recepcjonistkę, w nadziei na to, że odpuścisz. Ale nie, obudzili się dopiero, kiedy mleko się rozlało. Niewykluczone, że goście, którym jest znany fakt dłuższego postoju toyoty w dwóch francuskich miastach, nigdy nie otrzymają raportu, w którym Becky wyjaśnia, dlaczego się z tobą nie przespała. Operacja „Karal” i operacja „Emily i Colin” mają ze sobą tyle wspólnego, że nad jedną i drugą gdzieś tam na samej górze czuwa kapłan.

Colin zacisnął zęby. Sam także do tego doszedł, gówniarz nie musiał go raczyć prawdami objawionymi.

- Między tymi dwoma zespołami nie istnieje bezpośredni przepływ informacji, jako że one nawet nie wiedzą o sobie nawzajem - ciągnął Caramel. - Każdy raport pokonuje ileś progów tajności w wędrówce do głównodowodzącego, a ten znów utajnionymi kanałami przekazuje odpowiednio zmodyfikowane szczegóły drugiemu zespołowi. Jeśli organizacja prowadzi więcej tego rodzaju operacji, a głównodowodzący jest jeden... niewykluczone, że w natłoku wiadomości nie zwróci uwagi na twoją dziwną wstrzemięźliwość w kontaktach z Becky.

- To mam nie jechać do Tin? - zapytał podejrzliwie Colin.

- Ależ śmigaj - odparł Caramel. - Przy okazji zapytasz Antoine'a o Alberta. Po prostu nie panikuj.

Udało mu się nieco uspokoić Colina. Cechująca organizację obsesja na punkcie utrzymywania wszystkiego w tajemnicy w tym przypadku działała na jego korzyść. Niewykluczone, że nawet osoby bezpośrednio oddelegowane do śledzenia poczynań Colina nie orientowały się, na jakie jego zachowania powinny zwrócić szczególną uwagę. Urządził sobie kilkudniową przerwę w podróży, no i świetnie.

W zasadzie kiedy teraz o tym myślał, nieraz już zdarzyło mu się zatrzymać gdzieś na kilka dni. Nikt nie powinien nabrać podejrzeń dlatego, że Colin przystanął sobie w Annecy czy Montpellier. Naopowiadał Becky wielu różnych bzdur, więc może jej bezpośredni przełożony uzna, że wszystkie owe historyjki, także ta o związku Colina, stanowią element kamuflażu, i odpuści sobie przekazywanie takich pierdoł wyżej. Poza Becky, o Tin wiedział jedynie Caramel...

- Ach, jeszcze takiej jednej smarkatej waderce napomknąłem, że jestem z kimś związany - powiedział Colin, zabierając się wreszcie do wystygłej już golonki. - Ale laska nie wychyli się z informacją o naszej rozmowie. Wypuściła się do lasu nielegalnie. Przystawiała się do mnie, mimo że wtedy nadal czuć było na mnie zapach Tin. - Zorientował się, że Caramel przestał jeść i mu się przygląda. - Co się gapisz?

- Niekiedy mnie powalasz.

- O co ci znowu chodzi? - zachnął się Colin, ale już z niepewnością w głosie. Naprawdę był z niego skończony kretyn.

- Miesiącami włóczysz się po Europie i nie wpadasz na żadnego świadomego, a kiedy tylko zaczynasz przejawiać niepokojącą aktywność, spotykasz w lesie waderę - stwierdził Caramel. - Silną alfę, jak mniemam?

- Przypuszczalnie spotkałem ją właśnie dlatego, że zacząłem prawidłowo odbierać sygnały z otoczenia. - Colin próbował szukać innych wyjaśnień, ale przecież wiedział, że smarkacz ma rację. - Miała piętnaście lat... za młoda, żeby pracować dla organizacji.

- Tak jak Becky miała dwadzieścia trzy i była głupiutką blondynką? - dobił go Caramel. - Kogo ci mieli podesłać? Potężnego basiora?

Szlag by to trafił. Co z tego, że Colin urządzał sobie postoje już wcześniej? Zapewne przy każdej takiej okazji agenci organizacji bacznie go obserwowali. Poza tym biwakował zwykle przy lesie, nigdy też nie porzucił toyoty na tak długo na miejskim parkingu.

Zostawił wóz w Annecy i pojechał z Albertem. Pracujący dla organizacji łowca zameldował, że obserwowany dołączył do tropiącego wszędzie spiski Włocha albo agenci na blisko dwa tygodnie stracili Colina z oczu - tak czy owak poczuli się zaniepokojeni, zatem przyglądali mu się ze wzmożoną uwagą, kiedy wziął toyotę z Annecy. Colin zaś od razu zatrzymał się na kilka kolejnych dni w Montpellier. Oczywiście, że chcieli się dowiedzieć, czego tam szukał. Gdy ruszył do Calais, śledzili jego trasę. Przystanął, żeby pobiegać po lesie, więc czym prędzej podesłali mu tę waderkę... a od niego na milę jechało inną. Odtąd tamta młódka znała zapach Tin! Jeśli agenci organizacji zaczęli razem z nią krążyć wokół Montpellier... Tin nie pomoże nawet świeżo opanowana umiejętność kamuflażu. Psiakrew.

Gdyby Colin wdał się w przelotny romans i spędzał czas z dziewczyną, zamiast szukać siostry, organizacji tego rodzaju układ wręcz bardzo by odpowiadał. Kapłani musieli jednak zauważyć, że zachowanie Colina zmieniło się od czasu jego wizyty w Montpellier. W przeszłości odpuszczał jeden obiecujący przypadek za drugim, a w sprawie kliniki wykazał podejrzaną determinację. Niewykluczone, że ich tą determinacją zaskoczył - dlatego nadzorujący obie akcje nie ostrzegł Becky: spodziewano się, że Colin rychło odpuści, jak to robił do tej pory.

Tymczasem Becky zniknęła, a minionej nocy agenci zgubili także Colina. Świadomi bezpośrednio zaangażowani w operację „Emily i Colin” prawdopodobnie otrzymali na wstępie zbyt mało danych, żeby pojąć, że obserwowany otrząsnął się z dominacji. Dla kapłanów ów fakt nie ulegał wątpliwości. Skoro zaś w odczuciu Caramela ta nagle odzyskana przez Colina przytomność umysłu w tak oczywisty sposób wiązała się z osobą Tin, kapłani także błyskawicznie doszli do identycznego wniosku. Jeśli więc nawet jakimś cudem do wczoraj nikt nie szukał Tin, obecnie zabrano się do tego z wielką intensywnością.

Colin poderwał się od stolika.

- Jadę - oznajmił. - Biorę wóz. Daj mi numer swojej komórki.

- Wywaliłem kartę. Pojedziemy razem...

- Nic z tego - warknął Colin. - Wobec tego codziennie tutaj o dziesiątej rano.

Dopiero wyszedłszy z knajpy uzmysłowił sobie, że kluczyki do wozu ma wprawdzie w kieszeni, ale nie wie, co Caramel zrobił z dokumentami - miał je przy sobie czy umieścił w schowku? Cofnął się do lokalu. Papiery leżały na stoliku, a Caramel bez pośpiechu opróżnił talerz Colina. Gnojek jak zwykle zachowywał się tak, jakby sprawy toczyły się dokładnie po jego myśli.

Colin ruszył z piskiem opon, ale prędko zdjął nogę z gazu. Jeszcze mu tylko brakowało do szczęścia problemów z niemiecką policją. Poszaleje na autostradzie.

Pocieszał się, że gdyby Tin w najbliższym czasie groziło niebezpieczeństwo, przecucie by go ostrzegło: zawsze dawało mu przynajmniej kilkugodzinne fory. W ostateczności, gdyby zagrożenie stało się realne w tej chwili, odezwałoby się przecucie Tin. Do diabła, któreś z nich dwojga na pewno otrzymałoby sygnał!

Niedawno jednak sam tłumaczył Caramelowi, że nigdy nie ma stuprocentowej pewności, że przecucie uprzedzi o zagrożeniu. Ba, w minionych dniach Colin co chwila obrywał, a wręcz ocierał się o śmierć, przecucie zaś ani pisnęło, że powinien zachować większą ostrożność.

- Tin? Tin, jesteś tam?

Zareagowała dopiero po kilku wezwaniach, a Colinowi przez ten czas serce tłukło się w piersi w coraz bardziej szaleńczym tempie.

- Jezu, Tin, nie strasz mnie.

- Coś się stało? - zdziwiła się.

Opowiedział jej o nadajniku i rozmowie z waderką, która, no, po prostu wyleciała mu z głowy, dlatego nie wspomniał o niej wcześniej. Poniekąd faktycznie Colinowi wywietrzała - wyrzucił z pamięci tamto spotkanie, żeby nie tłumaczyć się z niego przed Tin. Jakby popełnił wtedy jakiś występki! Naraził Tin na niebezpieczeństwo, żeby chronić własne ego. Podobnie postąpił z Matem.

- Mat napisał? - zapytał Colin pod wpływem tej ostatniej refleksji.

- Powiedziałyby ci.

- Słuchaj, Tin... Przepraszam cię. Za... no, za wszystkie niemiłe słowa, które mi się wyrwały...

- Wyrwały - powtórzyła. - Wbrew tobie, prawda? Taki już jesteś i nic na to nie poradzisz. Zawsze będziesz mi mówił przykre rzeczy, raz na jakiś czas przeprosisz za całokształt i uznasz, że jest w porządku, że zaczynasz z czystym kontem.

- Oj, Tin.

Nie mogła mu choć raz odpuścić?

Milczała. Racja, nie wspinał się na wyżyny sztuki oratorskiej. Gdyby stali w tej chwili twarzą w twarz, wyczytałaby z myśli Colina wszystko, co chciał jej powiedzieć. A tak nie umiał dobrać właściwych słów.

- Tyle się na mnie ostatnio zważyło... Miałaś rację, miniony rok przeżyłem jakby w letargu. - Zrelacjonował jej teorię Caramela na temat tego, że został zdominowany przez Udonę. - Do tej pory nie bardzo się odnalazłem... Dopiero zaczynam się rozkręcać.

Żalozne tłumaczenia. Wyładowywał na Tin swoje frustracje, i tyle. Na Caramela nie odważyłby się tak najeżdżać.

- Na pewno czujesz, że nic ci obecnie nie grozi? - odezwał się znowu, jak zwykle poszukując zastępczego tematu.

Ustała. Nie, przecucie przed niczym jej nie ostrzegęło; zresztą jej zdaniem Colin zareagował nieco na wyrost. Spotkał tamtą waderkę ponad dziesięć dni temu, więc gdyby organizacja faktycznie wzięła się do szukania Tin, już by ją namierzyła.

Bynajmniej nie uspokoiła Colina tym argumentem. Dziesięć dni! Gdyby dowiedzieli się o istnieniu Tin z raportu Becky, dopiero - ewentualnie - rozpoczynaliby poszukiwania. Nie

orientowaliby się, czy przepatrywać okolice Annecy, czy Montpellier, czy może rozglądać się za dziewczyną jeszcze gdzie indziej. Nie znalazłby woni Tin, a ona nauczyła się już dobrze maskować. Gdyby Colin wspomniał o swoim związku tylko Becky, nie miałby najmniejszych powodów do paniki.

- I tak nie zastaliśmy Alberta w Kohlenbogen - mruknął Colin. Nie chciał dodatkowo niepokoić Tin. - Od Antoine'a wydobędę więcej, jeśli pogadam z nim twarzą w twarz. - Zmarszczył brwi. - Sądziś, że Caramel celowo tak wszystko rozegrał? Chciał zostać sam w Kohlenbogen?

- Jemu zależy na znalezieniu haka na organizację, tobie znacznie mniej. Całkiem możliwe, że dlatego zwlekał z poinformowaniem cię o nadajniku w toyocie.

- Co za sukinsyn! - zdenerwował się Colin. - Pogrywa sobie twoim bezpieczeństwem!

- Nie wiedział o tej waderce. Pewnie uważał, że nie ma pośpiechu.

Jasne, Caramel rozumował dokładnie tak, jak przed momentem Colin. Przemyślał sobie kwestie tempa przepływu informacji między dwoma zespołami agentów organizacji, tym od sprawy badań i tym śledzącym poczynania Colina; wyszło mu z tych analiz, że upłynie trochę wody, nim ktokolwiek zainteresuje się Tin. Po czym Colin zaskoczył go informacją o waderce z okolic Dijon. Dlatego smarkacz bez oporów oddał mu samochód, nie nalegał, żeby kumpel zabrał go ze sobą - choć pierwotnie ani chybi planował pomęczyc trochę Colina, w przekonaniu, że ten i tak się nie zgodzi - i ogólnie nie opóźniał jego wyjazdu.

Colina czekało kilkanaście godzin za kółkiem, a co tu kryć, nie był w najlepszej formie. Obawiał się, że przyśnie, ale chciał znaleźć się blisko Tin, zanim zdecyduje się na odrobinę relaksu. Zrobi sobie przerwę w podróży, kiedy zostanie mu do pokonania góra pięćdziesiąt kilometrów - czyli najpierw musiał przejechać tysiąc trzysta. Tin obiecała zabawić go rozmową, pod warunkiem że Antoine nie odwoła jej do domowych zajęć.

Tylko raz utknął w korku, na szczęście na niespełna godzinę. Kolejną godzinę poświęcił na drzemkę - okazała się jednak nieodzowna, zwłaszcza że Tin okresowo przerwała konwersację z Colinem, żeby zjeść obiad z przybranym ojcem.

Po północy kazał jej iść spać. Chciała dotrzymać mu towarzystwa, dopóki Colin nie zjedzie z autostrady na dłuższy postój, ale zapewnił ją, że senność mu minęła.

Przemyśli sobie kilka tematów, a Tin powinna odpocząć; niewykluczone, że następnego, czy właściwie już tego dnia, przyjdzie jej się pakować.

Zastanawiał się, czy Tin bez oporów rozstanie się z Antoine'em, jak to niegdyś zadeklarowała. Na razie krążył wokół tej kwestii, nie mając odwagi otwarcie jej poruszyć.

Gdy swego czasu mówiła, że opuszczanie rodzinnego domu przez dorosłe dzieci jest normalnym zjawiskiem i przybrany ojciec będzie musiał pogodzić się z jej odejściem, myślała o bliżej nieokreślonej przyszłości, po tym jak Colin odnajdzie siostrę.

No cóż, istniała też inna możliwość - nakłonić Antoine'a, żeby oboje wynieśli się z Langwedocji. Czy Francuz zgodzi się porzucić winnicę? Gdyby Colin przekonał go, że sprawa kliniki bezpośrednio zagraża życiu ich obojga, facet chyba nie miałby wyboru.

W gruncie rzeczy takie rozwiązanie najbardziej by Colinowi pasowało. Nie chciał ciągnąć ze sobą Tin, kiedy co krok narażał się organizacji, a zostawianie jej całkiem samej w obcym miejscu wydawało mu się z kolei trochę nie w porządku. Tin nadal obawiała się tkwiącej w niej bestii, cela w piwnicy zapewniała jej komfort psychiczny - a tu nagle miałyby spędzić pełnię księżyca na swobodzie, zdana tylko na siebie? Z jednej strony, taka terapia szokowa by się jej przydała. Z drugiej, na prostowanie zwichrowanej psychiki Tin przyjdzie czas później, kiedy sprawy się unormują.

Poza tym z Antoine'em będzie bezpieczniejsza. Były łowca widział kawałek świata, przetrwał niejedną kłopotliwą sytuację i łatwo nie podłoży się organizacji. Tak, tak, Colin go nie lubił, nie ufał mu, ale takie nastawienie wynikało głównie z naturalnej rywalizacji dwóch samców o waderę. Francuz od tylu lat z oddaniem zajmował się Tin, a teraz niespodzianie zmieniłby front? Bzdurne obawy.

Znalazłszy się bliżej celu podróży, Colin zrobił sobie obiecany postój. Nim się pożegnali, poprosił Tin, żeby go zawołała - obudziła - kiedy dotrze do pracy. Przyjeżdżał jak najbardziej otwarcie, niemniej wolał spotkać się z nią najpierw sam na sam, nie zaś od razu w obecności Antoine'a.

Odezwała się po ósmej, zgodnie z umową. Słyszał radość w jej głosie: cieszyła się, że zobaczy Colina. On natomiast... nie był pewien, czy Tin spodobają się wszystkie myśli kłębiące się w jego głowie. Niektóre chętnie by przed nią ukrył, lecz gdyby się zorientowała, wypadłoby to jeszcze gorzej. Psiakrew, dlaczego ich telepatyczny kontakt nie ograniczał się do rozmów na odległość?

Odpalił silnik. Przynajmniej wszystko było u niej w porządku. Nie zarejestrowała podejrzanych sytuacji, dziwnych woni i sygnałów od przeczucia.

Budynek spółdzielni winiarskiej Colin odnalazł bez problemu - stał po zachodniej stronie wsi, na jej obrzeżach. Największa budowla w okolicy, przy której zwykle domy wyglądały jak ratlerki przy mastiffie, tłoczące się w bezpiecznej odległości od olbrzyma.

Tin wybiegła ze sklepu, kiedy tylko Colin zatrzymał się przed gmachem. Parkowało tu

kilka samochodów, należących zapewne do pracowników spółdzielni - Colin wątpił, by Tin porzuciła klientów jedynie po to, żeby się z nim przywitać. Na tyle już ją poznał: najpierw obowiązki.

- Cześć, piękna. Doszedłem do...

Zamknęła mu usta pocałunkiem. W myślach Colin jeszcze przez kilka sekund kontynuował wywód: doszedł do wniosku, że trochę podkoloryzuje relację z Dundee i nastraszy Antoine'a, tak by ten... później stracił wątek i wszystko się zmaciło.

Po chwili ogarnął go niepokój. Czy to normalne, żeby...?

Tin odsunęła się od niego. Potrafił zepsuć najbardziej romantyczny moment.

- Nie robię tego celowo - mruknął. Tyle przecież wiedziała.

- Słuchaj, jeszcze się sobą nacieszymy, bez żadnych wątpliwości.

- Ja nie mam wątpliwości - odparła cicho.

- Przejdziemy się? - Machnął ręką na lewo od budynku, gdzie rozciągały się obiecująco puste pola obsadzone krzewami winorośli.

- O tej porze roku jestem sama, a nie mogę zamknąć *caveau*. Chodź, usiądziemy w środku.

Podążył za nią z niechęcią. Sknocił powitanie, a teraz szybko narastało między nimi napięcie. A niechby zamknęła sklep! Niedługo - jeśli nie dziś, to na pewno jutro - Tin wyjedzie stąd na zawsze, nigdy więcej nie zobaczy tych ludzi. Nawet gdyby mieli zapamiętać ją jako tę, która zamknęła na godzinę piwnicę z winami, żeby pójść na spacer ze swoim chłopakiem - czy ich opinia miała jakiegokolwiek znaczenie?

Zorientował się, że Tin posmutniała. Rozumiała konieczność wyjazdu i nie musiała się martwić rozstaniem z przybranym ojcem, ale mimo to z żalem myślała o opuszczeniu tego miejsca, pełnego radosnych wspomnień.

- Radosnych! - prychnął Colin z irytacją. - Nie pojmuję tego. Jak możesz być tak... racjonalna w każdej innej sprawie, a jednocześnie ignorować fakty i rozsądne argumenty, kiedy w grę wchodzi ten morderca.

Zmrużyła oczy. Colin powinien bardziej uważać ze słowem „morderca”, ostatecznie sam miał dwóch ludzi na sumieniu. Ale, do cholery, tych sytuacji nie dało się porównać!

- Zabił twoich rodziców! Za nic, za to, że urodzili się istotami, które on uznał za potwory! Ja natomiast broniłem społeczności. Jak możesz...? - Urwał. Dopiero teraz wychwycił coś dziwnego w gniewnie kotłujących się w jej głowie myślach. - Jak to nie zabił? - zapytał powoli. - Mówiłaś mi...

- Nie, Colin, wyczytałaś to z moich myśli przy naszej pierwszej...

- Okłamałaś mnie! - Patrzył na nią z niedowierzaniem. Ze wszystkich osób na świecie akurat Tin nigdy by nie posądził o kłamstwo wobec niego, a już zwłaszcza kłamstwo w takiej kwestii.

- Nigdy byś mnie nie posądził? - powtórzyła ze złością. - A co robisz niemal bez przerwy?

- Najwyraźniej nie bezzasadnie - wycedził.

- Nie kłamałam! Wyczytałeś taki fakt z moich myśli, bo nauczyłam się w niego wierzyć. Taką prawdę zna tato, a ja nie miałam dotąd odwagi wyprowadzić go z błędu. Jego miłość do mnie... znaczna część jego pozytywnych emocji zrodziła się z poczucia winy, że zabił moich rodziców.

- A mnie dlaczego nie wyprowadziłaś z błędu?

Cofnęła się przed nim dwa kroki. Bała się go - wyglądał tak, jakby zamierzał ją zaatakować.

- Ktoś przyjechał - powiedziała. - Zaraz tu wejdą. Proszę cię, Colin.

Po chwili otworzyły się drzwi, dzwoneczek obwieścił przybycie klientów. Colin odwrócił się do nich plecami, ukrywając twarz w dłoniach. Pod palcami wyczuł zmienione rysy, wydłużone zęby, sierść. Psiakrew.

Walczył, żeby nad sobą zapanować, a tymczasem Tin z drzeniem w głosie witała przybyłych. Autentycznie obawiała się, że Colin zaatakuje tych ludzi.

Przemiana ustąpiła, więc szybko wyminał klientów i wyszedł przed budynek. Odetchnął głęboko. Caramel miał rację, cholerny furia z niego. Takich jak Colin organizacja powinna wykańczać natychmiast po urodzeniu...

Zmarszczył brwi. A jeśli rzeczywiście tak robią, natomiast jego, porywczego gówniarza, pozostawili przy życiu, ponieważ od początku mieli wobec niego określone plany? O swój wybuchowy charakter Colin obwiniał dotąd Godfrey'a, ale może ojciec jedynie dolał oliwy do ognia?

Gniew nieco ustąpił. Colin spacerował przed spółdzielnią, czekając, aż Tin obsłuży klientów. Żałował, że nie ma pod ręką Caramela, żeby się podzielić z nim nowym przypuszczeniem. Niewykluczone, że szczeniak coś podsłuchał i potwierdziłby tę hipotezę.

Colin krążył przed wzniesionym z kamieni budynkiem blisko pół godziny. Stopniowo znowu zaczynał go trafiać szlag. Tin specjalnie guzdrała się z obsługą! Byleby mu dopiec.

Wreszcie klienci wyszli, zadowoleni, mężczyzna dźwigał karton, w którym pobrękiwały butelki. Colin odprowadził ich chmurnym wzrokiem. Zdobył się na wysiłony uśmiech, kiedy go pozdrowili, kobieta unosząc rękę, mężczyzna skinieniem głowy.

- Kiedy ktoś przyjeżdża kupić wino u producenta, oczekuje możliwości degustacji, porady, chce się dowiedzieć czegoś więcej o każdej butelce - powiedziała Tin, przyglądając mu się badawczo, kiedy wszedł z powrotem do sklepu. - Jacques, prezes spółdzielni, mówi, że to jest właściwie galeria win, a nie zwykły punkt sprzedaży. Nie okłamywałam cię, Colin. Ja... naprawdę przywykłam żyć z przekonaniem, że zabił wtedy moich rodziców. Tak było prościej. Weszło mi to w nawyk, tak że zawsze w pierwszym odruchu...

- Rozmawialiśmy o tej sprawie wiele razy - odezwał się, ważąc słowa. Żeby tylko znów nie wybuchnąć. - Wiele razy czepiałem się Antoine'a właśnie z powodu mordu na twoich rodzicach. A ty nigdy nie zaprzeczyłaś... - Urwał, czując, że go ponosi.

- Owszem, Colin, zaprzeczałam. W myślach, kiedy byłeś tu ostatnio. A raz nawet próbowałam ci powiedzieć, ale nie dałeś mi dojść do słowa. Odkryłbyś prawdę, gdybyś minimalnie się postarał.

- Ach. Nie zwracam na ciebie dostatecznej uwagi? O to ci chodzi? - Typowe babskie gadanie, psiakrew. Wadery powinny być inne. Varga mar go tak nie dręczyła.

Tin zmarszczyła brwi. No tak, znowu coś chlapnęła: dotąd nie pochwalił jej się tym związkiem. W ogóle nie pamiętałyby o wilczycy, gdyby nie niedawna scysja z Caramelem.

- Proste pytanie - powiedziała. - Jak ja mam na imię?

- Jak to...? - prychnął Colin, po czym uświadomił sobie, że „Tin” jest tylko zdrobnieniem, może nawet przezwiskiem. Przygryzł wargi, usiłując zajrzeć w jej myśli, ale doskonale zamaskowała odpowiedź. - W rzeczywistości na pewno i tak nazywasz się inaczej... - zaczął, nawiązując do teorii Caramela, lecz rychło doszedł do wniosku, że jedynie bardziej się pograży.

Zrezygnował, a ona odłoniła myśli.

- Kerstin - powiedział. - A we Francji Christine. Dobra, przepraszam.

Nie zabrzmiało to tak jak powinno - przepraszał ją na odwal, głupią, czepiającą się babę.

- Przepraszam - powtórzył. - Nie bardzo daję ci odczuć, że mi na tobie zależy, ale...

- Tak, wiem, oddałbyś za mnie życie - stwierdziła z przekąsem.

- Cholera, Tin, nigdy nie odpuszczasz? Przepraszam, że nie zapytałem cię, jak zginęli twoi rodzice. Uznałem, że będzie to dla ciebie zbyt bolesne...

Uśmiechnęła się. Jasne, przecież właśnie skłamał - nawet nie pomyślał o tym, żeby zapytać ją o tamto zdarzenie, niewątpliwie najważniejsze w jej życiu. Choć, z drugiej strony, jeśli unikał tematu, robił to ze względu na osobę Antoine'a. Oboje starali się jak najrzadziej rozmawiać o byłym łowcy, Tin nie powinna więc mieć pretensji tylko do niego... Tyle że

powodem tej ich obopólnej ostrożności była wściekłość, jaką Colin reagował na każdą wzmiankę o Francuzie.

- Do diabła, Tin. Dobrze by było móc skłamać w kwestii takich drobiazgów. Chciałbym ci powiedzieć, że nie pytałem z troski o ciebie. Lepiej byś się wtedy poczuła, wręcz zrobiłoby ci się miło... - A Colin nie wyszedłby na drania, który nie spogląda dalej niż czubek własnego nosa. Na czym mu bardziej zależało? Na tym, żeby jej nie zranić, czy na zachowaniu twarzy? - Ty zaś wszystko natychmiast wychytujesz... - I znowu zwał winę na nią. - To kogo on właściwie zabił? - zapytał, żeby nie ośmieszać się dłużej idiotycznymi tłumaczeniami.

- Moich porywaczy. Ironia losu, prawda? - Tin uśmiechnęła się smutno. - Łowca zaopiekował się mną wbrew wszystkiemu, w co wierzył, ponieważ żywił przekonanie, że odebrał mi rodziców. Podczas gdy w rzeczywistości mnie uratował. Bardzo mi przeszkadza, że tato o tym nie wie. Na początku... na początku wyczuwałam w nim wewnętrzną walkę, jakby ciągle się wahał, jak powinien ze mną postąpić. Byle drobiazg mógł wpłynąć na jego decyzję. Byłam dzieckiem, zwyczajnie bałam się mu powiedzieć. No a później... sama nie wiem, chyba przegapiłam właściwy moment.

- Dlaczego cię porwali?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. W ogóle niewiele pamiętam. Na pewno było ich dwoje, kobieta i mężczyzna. Ona... wydawała mi się dobra. Właściwie nie czułam, żeby zamierzali mnie skrzywdzić, choć on mnie nie lubił. Ale do czego byłam im potrzebna?

- A twoi prawdziwi rodzice? - zapytał z wahaniem. - Chcesz o tym mówić?

- A ty chcesz słuchać?

Dlaczego sądziła, że Colin nie chce? Naturalnie, że był ciekaw jej doświadczeń, ale po prostu nie wiedział, jakiej reakcji Tin po nim oczekuje. Nieszczerólnie widział siebie w roli pocieszyciela... Przymknął powieki, starając się uciszyć durne myśli.

Dzień nie różnił się od poprzednich. Lato minęło, jesień coraz dobitniej pokazywała, na co ją stać. Wkrótce owce miały powrócić z gór, na razie jednak nadal włóczyły się samopas, odciążając rodziców Tin. W dolinie pozostało jedynie kilka sztuk, zbyt słabych na górskie wędrówki, oraz stara cwaniara Elza, której zdarzyło się wyprowadzić stado aż do następnego fiordu. Tak, zajmowali się hodowlą owiec, a fakt, że wyczuwały w nich wilczą naturę, okazywał się bardzo pomocny. Nie miewali kłopotów z zagonieniem stada.

W okresie letnim ojciec podejmował pracę poza domem, ale Tin nie umie powiedzieć,

czym się zajmował. Wyjeżdżał rano, wracał wieczorem. Wypełniał zadania dla organizacji lub jedynie zasiliał domowy budżet.

Zbliżała się pełnia księżyca, mocno zaokrąglona tarcza pojawiała się na niebie na długo przed zapadnięciem zmroku. W takie dni matka - a niekiedy oboje rodzice - biegała wraz z Tin po lesie. Pilnowała też, żeby Tin trafiła do łóżka o stałej, dość wczesnej porze, dlatego jesienią wypad do lasu przy pełni księżyca, a więc po zachodzie słońca, nie wchodził w grę.

- Pozwalali ci na przemiany? - zdumiał się Colin.

- Może w Europie obowiązują inne zasady? - powiedziała z wahaniem Tin.

Nie uderzył jej ten szczegół, kiedy Colin opowiadał o regułach dotyczących wychowywania dzieci. Jakby... nie myślała o sobie jako o członku społeczności, ani obecnie, ani w odniesieniu do przeszłości. Miała wówczas około pięciu lat i najwidoczniej od dłuższego czasu mieszkała z rodzicami między ludźmi, nie pamiętała bowiem osady, w której niewątpliwie przyszła na świat i spędziła pierwsze lata życia. Nie wiedziała nawet, w jakim kraju się urodziła; niegdyś przypuszczała, że w Szwecji, bo Kerstin jest szwedzkim imieniem, ale oficjalna narodowość jej rodziców stanowiła zapewne tylko element kamuflażu.

Dopiero teraz Tin zastanowiło, że rodzice tak często pozwalali jej na przemianę, skoro za oceanem przed dziećmi w tym wieku ukrywa się nawet prawdę o ich drugiej naturze. W Europie stosowano by aż tak odmienne zasady?

- Jeśli byłaś za silna, żeby cię zdominować, zatajając przed tobą istnienie drugiej natury, prawdopodobnie uznano, że będzie lepiej, jeśli się wybiegasz - podsunął Colin. - Dzięki temu cię nie nosiło, tak że łatwiej podporządkowywałaś się konieczności zachowania tajemnicy. A żeby twoje przemiany nie kłuły nikogo w oczy, wywieziono cię z osady wcześniej niż inne dzieci.

Skinęła głową. Colin znał stosowane w społeczności rozwiązania znacznie lepiej od niej. Jednak nie przekonał jej. Sądziła - albo wręcz przeczuwała - że powód owej swobody był inny, choć nie potrafiła sprecyzować, jaki.

- Kerstin! Umyj ząbki i do łóżka - zarządziła matka.

Kerstin zamknęła blok rysunkowy, powkładała kredki z powrotem do pudełka, odniosła cały kram do swojego pokoju i dopiero wtedy powędrowała do łazienki, żeby wyszorować zęby. Zawsze kładła się spać o tej porze, a ten wieczór niczym się nie różnił od innych.

Uporawszy się ze sprawami w łazience, zbiegła na dół, uściskać ojca na dobranoc i zasygnalizować matce, że jest gotowa. Matka zawsze szła z dziewczynką na górę, by ukołysać ją do snu - otulić kołdrą i poczytać bajkę, dopóki Kerstin nie zaśnie.

Nie pamięta, jakiej bajki słuchała tamtego wieczoru, z pewnością jednak sen nadszedł równie szybko jak zwykle. Wtedy matka - jak Tin sobie wyobraża - zamknęła i odłożyła książkę na stolik nocny, wygładziła kołdrę córeczki, odgarnęła włosy z jej czoła i leciuteńko pocałowała małą na dobranoc. Cicho opuściła pokój, jedynie przymykając drzwi. Zawsze zostawiała je lekko uchylone, choć Tin nie wie, czy sama na to nalegała, czy też rodzice chcieli w razie czego natychmiast usłyszeć jej wołanie.

Potem matka zeszła z powrotem do salonu. Siadła na sofie obok ojca, cmoknęła go w policzek, przytuliła się do jego boku i otworzyła książkę. W ten sposób spędzali wieczory: ona z powieścią, on ze stertą gazet. Wtuleni w siebie, do późnych godzin nocnych tkwili zatopieni każde we własnym świecie. Kerstin przyłapywała ich tak czasem, kiedy pragnienie zagnało ją w nocy do kuchni.

Jak długo tak siedzieli, kiedy rozległ się brzęk tłuczonego szkła? Tego Tin nie potrafi powiedzieć, podobnie jak nie umie przypomnieć sobie, co ją obudziło. Pamięta, że spała w swoim pokoju - a później stała w drzwiach salonu, kiedy przez okno padały strzały.

Może zachciało jej się pić, jak to się często zdarzało? Albo poderwał ją z łóżka głos przecucia, przestrzegając przed czymś strasznym? Jeden z momentów, kiedy pamięć odmawia jej posłuszeństwa. Schodziła na dół na pół senna czy pognęła po schodach na załamanie karku, zdjeta panicznym strachem o rodziców?

W pokoju paliły się dwie lampy, ustawione symetrycznie po obu stronach sofy. Brzęk tłuczonego szkła oderwał rodziców Kerstin od lektury. Oboje spojrzeli w stronę okna, usytuowanego z prawej strony, nieco po skosie względem sofy. Ojciec zaczął się podnosić; wówczas huknął strzał. Opadł na siedzenie z głową - tym, co z niej zostało - odrzuconą na oparcie sofy.

Matka rzuciła się do przodu skulona, ale nie zdołała umknąć przed kulą. Strzelec przyszpilił ją do podłogi. Nie zabił jej jednak. Nie za pierwszym razem. Usiłowała wczłgać się pod niską ławę o grubym drewnianym blacie. Szkło znów się posypało, kiedy mężczyzna wskoczył do pokoju. Wymierzył w jej plecy - głowę zdążyła już schować - i pociągnął za spust. A potem jeszcze raz, chociaż Kerstin wiedziała, że to niepotrzebne.

- Maleńka!

Nie słyszała jej wejścia, choć żeby dostać się do środka, kobieta musiała wyłamać drzwi. Rodzice zawsze zamykali je na noc na zamek, mimo że mieszkańcy tej spokojnej

okolicy zwykle zostawiali domy otwarte nawet wówczas, gdy jechali na cały dzień do miasta.

Kobieta przyklękła, objęła Kerstin i obróciła twarzą ku sobie, tuląc głowę małej do swej piersi. Ale na zasłanianie oczu było już za późno. Krwawe obrazy trwale odcisnęły się w pamięci dziewczynki.

- Właściwie ją polubiłam - wyznała cicho Tin. - Obsypywała mnie tymi wszystkimi „dziecinko”, „maleństwo”, „skarbie”, a ja... ogromnie potrzebowałam odrobiny ciepła. Czuję się tak, jakbym zdradziła matkę. Co z tego, że to on strzelał? Ona ponosiła winę w tym samym stopniu. Kto wie, czy wręcz nie zaplanowała całej operacji, podczas gdy on tylko wykonywał jej rozkazy? A potem... wystarczyło, że mnie przytuliła... - Tin przygryzła wargi.

Colina poruszyła myśl, że mają ze sobą tak wiele wspólnego. Krew rodziców. Czy w przypadku Tin także chodziło o odprawienie jakiegoś chorego rytuału?

- Och, Colin! Nie wszystko sprowadza się do knowań organizacji!

- Niemniej pozostaje faktem - powiedział - że większość działań podejmowanych przez członków społeczności znajduje się pod jej kontrolą.

Objęła Colina w pasie, tuląc się do niego z westchnieniem. Niezdarnie pogłaskał ją po plecach.

- Opowiadała mi bajki - odezwała się Tin po krótkiej przerwie. - Wiele bajek, z których zapamiętałam zaledwie kilka. Jedna mówiła o bogu-wilku, który zakochał się w kilkuletniej dziewczynce...

Przed budynkiem spółdzielni znów zatrzymał się samochód. Colin zaklął w duchu, odsuwając się od Tin. Spiesznie otarła łzy i postarała się przywołać na twarz służbowy uśmiech akurat w chwili, kiedy do *caveau* weszli kolejni klienci. Psiakrew, nawet nie zauważył, kiedy zaczęła płakać.

Na szczęście ludzie szybko sobie poszli - byli stałymi bywalcami sklepu, nie bawili się więc w degustacje i rozważania, które wino wybrać. Przypuszczalnie też zorientowali się, że przeszkodzili młodym w ważnej rozmowie.

- Bóg-wilk - podjęła Tin, gdy za tamtymi zamknęły się drzwi - zapewnił dziewczynce szczęśliwe dzieciństwo, ponieważ chciał, żeby wyrosła dla niego na piękną, pogodną kobietę. Następnym razem pojawił się, kiedy miała czternaście lat. Wydała mu się ciągle zbyt młoda, ale zarazem jej uroda tak rozkwitła, że bóg poczuł się zazdrosny. Obawiał się, że odbije mu ją jakiś zauroczony nią młodzieniec. Dlatego rzucił na dziewczynę zaklęcie. Gdy sama przeglądała się w tafli wody, widziała, że jest piękna, lecz wszystkim wkoło wydawała się odrażająca. Bóg-wilk poszedł znowu w swoją stronę, zamierzając wrócić za sześć lat, kiedy

dziewczyna stanie się dojrzałą kobietą. Tylko że dla nieśmiertelnych bogów czas płynie inaczej... Zajęły go liczne ważne sprawy, a kiedy znów zawitał do oblubienicy, okazało się, że ona już przekwitła. Bóg stracił nią zainteresowanie, ale nie pomyślał o zdjęciu z niej zaklęcia. Umarła w samotności, bo choć była bardzo dobrą osobą, jej wygląd każdego odstręczał.

- Twoim zdaniem w tej bajce kryje się wyjaśnienie, dlaczego cię porwali? - zdumiał się Colin. Czytał w myślach Tin, sam nie wpadłby na taki koncept.

Wzruszyła ramionami.

- Zapamiętałam ją najlepiej ze wszystkich historii, jakie mi opowiedziała. Bardzo mnie poruszyła. Było mi żal dziewczynki, której uczuć nikt nie brał pod uwagę. Często w dzieciństwie bawiłam się, udając, że jestem nią, ale przełamuję czar, tak że zakochuje się we mnie piękny wilczy książę... Zastanawiam się, czy nie istnieje powód, dla którego ta opowieść tak do mnie przylgnęła?

- Zastanawiasz się, czy nie porwali cię, żebyś została wybranką wilczego bóstwa?

- Wiem, jak to głupio brzmi - przyznała skonsternowana Tin. - Rany, kiedy wypowiedziałeś tę teorię na głos, brzmi wręcz idiotycznie.

- Dlaczego? Nie mam nic przeciw wejściu w rolę przystojnego księcia - zażartował Colin. - Tyle że musiałabyś się mocno postarać, żeby stać się choć trochę odrażająca.

Z westchnieniem pogłaskała go po ramieniu.

- Dopóki sądziłam, że takich jak ja jest na świecie tylko garstka, rozważałam, czy na przykład nie postanowili mnie sobie przywłaszczyć, ponieważ sami nie mogli mieć dzieci. Ale odkąd opowiedziałeś mi o organizacji, obowiązujących społeczność zasadach, ciągłym nadzorze... Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem.

- Może twoi rodzice byli uciekinierami, jak mój ojciec? - podsunął Colin. - Złamali zasady, a że byli dorośli, wydano na nich wyrok. Ciebie natomiast... wtedy jeszcze dałoby się zresocjalizować.

Przypomina sobie długą jazdę samochodem. Lecz cóż to znaczy „długo” dla małego dziecka? Ich podróż trwała wiele dni i nocy? Czy tylko kilka niewiarygodnie rozciągniętych godzin?

Chyba jednak więcej niż parę godzin, skoro kobieta zdążyła opowiedzieć jej tyle bajek. Zwłaszcza że Kerstin sporo spała w trakcie jazdy - pamięta tę obezwładniającą senność.

Potem uciekali przez las. Skąd się tam wzięli? Kolejna luka w pamięci. Sen, bajki, a później od razu ten bieg. Kobieta chciała przekazać małą mężczyźnie, ale Kerstin nie

pozwołała, żeby jej dotknął. Przemieniła się i wyrwała... choć nie, nie do końca. Kobieta ją przytrzymała. Chwilę później przestała oddychać. Dziewczynka zobaczyła nad sobą twarz Antoine'a, instynkt nakazał jej powrót do ludzkiej postaci. I tak stała się jego córką.

Antoine nigdy nie wyjaśnił jej, jak wpadł na ich trop; w ogóle nie rozmawiali o tamtym zajściu. W gruncie rzeczy to dobrze, gdyż wówczas Tin faktycznie by go okłamywała. A tak po prostu pozwalała mu wierzyć w określoną wersję zdarzeń.

- Najgorsze, że autentycznie jej żałowałam, prawie tak samo, jak matki - dokończyła Tin niemal szeptem. - Nawet kiedy dorosłam na tyle, żeby zrozumieć, że zabawili się w dobrego i złego policjanta. On wziął na siebie moją nienawiść, ona zaofiarowała mi ramię, na którym mogłam się wypłakać. Boże, dzieckiem tak łatwo się manipuluje.

Jednak mimo że dawno przestała być dzieckiem, nie potrafiła wyzbyć się ciepłych uczuć do tamtej kobiety.

Zresztą jego, zabójcy, także nie nienawidziła - po prostu wyrzuciła go z pamięci. Kiedy w tej chwili znowu przelotnie zagościł w jej wspomnieniach, wzbudził w Tin co najwyżej niechęć.

- A czy kogokolwiek w swoim życiu nienawidziłaś? - zapytał Colin. - Antoine... no dobrze, z niechęcią zmieniam o nim zdanie, ale tak czy owak sposób, w jaki cię traktuje...

- Ty wcale nie zmieniłaś zdania - stwierdziła rozbawiona.

Od dawna chciała opowiedzieć Colinowi o tamtych przeżyciach, lecz on nie pytał. Kiedy wreszcie je z siebie wyrzuciła, doświadczyła zaskakującej lekkości. Nie potrzebowała jego współczucia, pomocy przy szukaniu wyjaśnień, dlaczego wówczas zareagowała tak, a nie inaczej. Wystarczyło, że Colin jej wysłuchał.

- Masz rację - przyznał po namyśle. - Nie mogę dłużej się na niego wściekać o zabicie twoich rodziców. Ba, powinienem być mu wdzięczny, że wyrwał cię z łap porywaczy, którzy mieli wobec ciebie diabli wiedzą jak paskudne plany. Tyle że kiedy strzelał, nie orientował się, do kogo mierzy. Porywacze czy rodzice, i tak by ich zabił. Zatem fakt, że przypadkiem cię uratował, niczego nie zmienia w kwestii oceny jego postępków. Nie rób sobie wyrzutów, że nie wyjawiałaś mu prawdy.

Przygryzła wargę. Nie zgadzała się z nim, dlatego właśnie, że nie potrafiła nienawidzić - w czym z kolei Colin aż nazbyt celował.

- Jesteś za dobra dla mnie - mruknął.

- Więc musisz mocniej się starać.

Chętnie uznałby jej słowa za żart, jednak, choć w takiej intencji je wygłosiła, kiedy

padły, nie zdołała w porę przegnać myśli, że starań Colina jak dotąd rzeczywiście brakowało.

Zanim wybiła dwunasta - początek dwugodzinnej przerwy na lunch - przed *caveau* zatrzymały się w niewielkim odstepie czasu jeszcze dwa samochody. Colin nawet z chęcią wyszedł na chwilę przed budynek, żeby zepchnąć pewne kwestie w zakamarki swego umysłu, w czasie gdy Tin była zaabsorbowana obsługą klientów.

W południe wsiedli do golfa i pojechali do domu byłego łowcy, niecałe cztery kilometry. Na co dzień Tin pokonywała tę trasę na rowerze, bez względu na porę roku, a nawet pogodę. Wręcz lubiła pedałowac w deszczu.

Samochodu Antoine'a nie było.

- Miał dziś jechać do Montpellier - wyjaśniła. - Skoro nie zadzwonił, na pewno wróci na lunch.

Colin już się cieszył na to spotkanie.

- Przestań. - Niby dla żartu uderzyła go pięścią w ramię, tyle że bynajmniej nie słabo. - Chodź na górę. Sprawdzimy, czy Mat napisał.

Mat, oczywiście, a Colin spodziewał się, że po co ona zaprasza go do swojej sypialni? Niestety, nie zdołał ukryć przed nią tej myśli. Wyczuł u Tin nagły chłód.

- Cholera, Tin, długo się nie widzieliśmy - mruknął. - Właściwie powinnaś się cieszyć...

- Przecież Mat jest twoim bratem. A tobie tylko jedno w głowie.

- No ale...

- Nie w domu mojego ojca - powiedziała twardo. - Zresztą on tu będzie lada chwila.

Zacisnął zęby. Psiakrew, a żywił głupią nadzieję, że może jej przeszło, rozważyła sobie kilka spraw i wręcz zaskoczy Colina nieokielznaną namiętnością. Przybity powlókł się za nią po wyłożonych kamieniem schodach.

Pokój wyglądał dokładnie tak jak wtedy, kiedy Tin prezentowała Colinowi, że potrafią przekazywać sobie nawzajem rzeczywiste obrazy. Pomarańczowe ściany, grube brunatne belki stropowe, małe okno, łóżko nakryte zieloną kapą. Odpaliła komputer, a Colin podszedł do półki z książkami. Przebiegł wzrokiem po tytułach. No tak, a czego się spodziewał?

- *Serce bestii? Wilkołaki z Londynu?* Dlaczego czytasz te brednie?

- Ty coś z tego czytałeś? - Odwróciła się od komputera. - Bo jeśli tak, nie masz prawa się mnie czepiać, a jeśli nie, skąd pewność, że to brednie?

- Kurczę, Tin, ja przynajmniej wiem, kim jestem! - zdenerwował się. - Ty czujesz się zagubiona, boisz się własnej natury i na dokładkę sięgasz po książki, które głoszą, że wilkołak

jest niepohamowaną, żądną krwi bestią.

- Upraszczasz - stwierdziła. - Nie wszystkie powieści tak nas przedstawiają, a ja z kolei potrafię rozpoznać kompletną bzdurę.

Uruchomiła przeglądarkę internetową i wpisała adres serwera poczty Colina. Cholera, a jeśli Antoine sprawdzał jej komputer?

- Czyszcze historię - odparła. - Zresztą tato niezbyt sobie radzi z tak zwaną wyższą techniką.

Colin pozwolił sobie na sceptyczne uniesienie brwi. Wiadomości o brytyjskich genetykach Antoine wyszukał w sieci bez większych problemów.

Znów spojrzął na półkę z książkami.

- *Varulven?* - przeczytał. - Kolejna opowieść o krwiożerczej bestii? Po jakiemu to?

- Po norwesku. - Tin siadła tyłem do komputera, patrząc na Colina uważnie: czuł na plecach jej świdrujący wzrok. - Wilkołak jest tu tylko przenośnią. To zło czające się w ludzkiej duszy. Cień, który podąża za tobą, prowokując cię do czynów, o jakie byś siebie nie posądził.

- Super - rzucił sarkastycznie. - Ulżyło mi, że zapoznałaś się również z takim, jakże nowatorskim podejściem.

- Zatem jako człowiek także bez oporów mordowałbyś ludzi? - uderzyła znienacka.

Przypomniał sobie Caramela, zabitego Niemca i późniejsze wyjaśnienia szczeniaka. Psiakrew, Colin pod żadnym pozorem nie powinien był wdawać się z Tin w dyskusję.

- Cholera, Tin, załatwiłem dwóch łowców, którzy zagrażali społeczności. - Fakt, że wtedy nie miał szczególnych oporów. - Jestem jak policjant... Stoję na straży bezpieczeństwa społeczności. Policjant też czasem pociąga za spust dla dobra ogółu. Kiedy mówiłem ci o postępku Caramela, dałem przecież do zrozumienia, że go nie akceptuję.

- Świetnie, policjancie działający dla dobra ogółu. Wyjaśnij mi więc, dlaczego w Valmorel zostawiłeś nieświadomego na pastwę łowców? Zabili go, prawda? Jednego z tych, dla których dobra tak się poświęcasz.

Zamilkła, a Colin gorączkowo szukał wyjaśnienia. Dlaczego tak go ćwiczyła, do diabła? Wykańczała go psychicznie. Doprowadzała na skraj wybuchu, po czym wpadała w panikę, kiedy w pobliżu pojawiali się jacyś ludzie.

- Służyłem społeczności w Ameryce - powiedział. - Tutaj... przebywam jako gość, czy raczej intruz. Nie wolno mi ingerować w działania europejskiej straży. Straż odpowiadała za tamtego nieświadomego. Jeśli zginął, to pewnie zdecydował o tym ktoś na górze. Lider kazał straży odpuścić, a liderowi polecenie wydał może i sam kapłan. Co niby miałem zrobić?

- Bo ja wiem? - zastanowiła się Tin, choć oczywiście uczyniła to jedynie na pokaz. - Na przykład spojrzeć mu w oczy i przekonać go, że noce pełni nic dla niego nie znaczą? Zdominować, dobrze mówię? Nie musiałbyś go nawet odsyłać do domu, bo po uśpieniu przestałby reagować na wykrywacz.

- Czekałem na straż - mruknął Colin. Stanowczo za dużo jej opowiedział o straży, zasadach postępowania w czasie akcji oraz cechach nieświadomych. No i o swoich własnych dokonaniach. - Gdybym go uśpił, nie mieliby po co się tam pojawiać...

- Wyjechałeś z Albertem. Straż przestała ci być potrzebna.

- Och, do diabła, Tin, czepiasz się. Alberto wszędzie węszy spiski, a ja miałem zniknąć na dwie godziny, żeby... - Urwał. Niemal powiedział: „żeby zająć się jakąś pierdoloną zerówką”. Tyle że Tin i tak wyczytała ciąg dalszy z jego myśli. - Tyle bym Alberta widział - dodał ciszej. - Sprawdzasz tę pocztę czy nie?

Z zaciętą miną odwróciła się znów do komputera i zalogowała na konto pocztowe Colina. Wolał już klócić się z nią na odległość, przynajmniej nie słyszał wówczas tego, co o nim w takich chwilach myślała. W duchu liczył, że Mat napisał, dostarczając im tym samym innego tematu do rozmowy. Niestety, poza spamem nie było nowych mejli.

Zaklął pod nosem. Swoją drogą, tym ociąganiem się gówniarz działał mu na nerwy.

Przed domem zahamował samochód. Colin wychwytał zdziwienie Tin: to był ktoś obcy, bo odgłos silnika ich citroena znała doskonale. Natomiast Colinowi wydało się, że rozpoznaje tę maszynę.

- Alberto - powiedział cicho.

W ostatnich dniach wydawała się przygaszona, jakby wręcz zaszczuta. Antoine nie pytał, jak się układa między nią a Colinem. Odkąd raz zbyła go, że to są ich prywatne sprawy, nie zamierzał ponownie poruszać tematu jako pierwszy.

Spodziewał się, że Tin mu się zwierzy, tak jak zawsze dzieliła się z nim szkolnymi doświadczeniami. Choć przecież nie miał pewności, jak wiele mu mówiła. Może jej historyjki służyły głównie zamaskowaniu innych, ważniejszych faktów? Niekiedy Camille zaskakiwała go pytaniem o sytuacje z życia Tin, o których Antoine nie miał pojęcia. Śmiała się potem z jego naburmuszenia, powtarzając, że nastolatka nie o wszystkim może opowiedzieć ojcu. Camille nie pojmowała, jak niebezpieczne mogą się okazać pewne sekrety Tin. Jak groźny jest już sam fakt, że dziewczyna cokolwiek zataja.

Tym razem Tin nie zwierzyła się, co stanowi powód jej przygnębienia. Ani Antoine'owi, ani Camille, którą delikatnie podpytał.

Czyżby Colin dostrzegał więcej niż Antoine? Młody łowca nigdy nie spotkał tamtej pięciolatki o wielkich, niewinnych oczach. Dostał się pod wpływ Tin dopiero niedawno. Nie omotała go tak skutecznie, jak jej się wydawało. Chłopak zaobserwował na jej postaci rysy, których Antoine, wychowując ją od małości, nie potrafił dostrzec, mimo że bardzo się silił na obiektywizm. Tin pojęła, że przegrywa walkę, stąd brał się jej ponury nastrój.

Oczywiście, mogło też być tak, jak sugerowała Camille: Tin tęskniła za chłopakiem, dawała temu wyraz w trakcie ich rozmów telefonicznych, Colin zaś, jak to facet, w dodatku starszy od niej, bardziej doświadczony, nie okazywał jej dostatecznej czułości. Miał wcześniej wiele kobiet, podczas gdy dla Tin była to pierwsza miłość, pierwszy związek - pierwsza okazja do skonfrontowania wyobrażeń z rzeczywistością. A, niestety, rzeczywistość rzadko dorasta do dziewczęcych fantazji.

W poniedziałek wieczorem Tin poinformowała go o wizycie Colina. Zatem chłopak wracał. Nie podała powodu jego przyjazdu, Antoine znów nie spytał. Młody łowca krótko zabawił na Wyspach - czyżby tak szybko coś odkrył? Jeśli zaś wracał ze względu na Tin, kierowała nim tęsknota czy zniechęcał się, jak wielkie ona stanowi zagrożenie?

Tych dwoje rozstało się w gniewie. Antoine odwiózł Colina do Montpellier, potem obserwował Tin - chłopak na pewno nie cofnął się z trasy, żeby się z nią rozmówić. Ile można sobie wyjaśnić przez telefon? Ich relacje pozostały napięte; niewykluczone, że starli się po raz kolejny. Klótnie w cztery oczy, klótnie na odległość. Jak teraz przebiegnie ich spotkanie?

Szczerze mówiąc, Antoine dziwił się, że Colin w ogóle do niej zadzwonił. Przecież chłopak poprosił o czas do namysłu! Planował zająć się szukaniem kolegi Hintermanna i dojść do ładu ze swoimi uczuciami wobec Tin. Widocznie nie chciał pozostawiać w zawieszaniu sprawy tamtej ich scysji. Odezwał się z przeprosinami i podtrzymał kontakt.

Czy dzięki relacjom na odległość Colinowi łatwiej było dostrzec prawdziwą twarz Tin? Innymi słowy: czy przyjeżdżał, żeby ją zabić?

Antoine miał chęć zacząć się na młodego łowcę. Zastrzeli łajdaka, kiedy tylko upewni się co do jego zamiarów.

Znowu, znowu ta sama myśl, choć przed laty solennie przyrzekł sobie, że nie dopuści do zaistnienia podobnej sytuacji. Że nigdy nie zabije łowcy w jej obronie, choćby facet nastawał na życie Tin mimo braku prowokacji z jej strony.

Jeśli Colin przyjeżdżał ją zlikwidować, starannie przemyślał tę decyzję. Nie był pierwszym lepszym łowcą, który pochopnie reaguje na wiadomość, że przed nim stoi zwierzyzna. Kochał Tin, ale dostrzegł w niej bestię. Gdyby Antoine spróbował zapobiec zdarzeniu, dowiódłby tym jedynie, że zdołała go sobie całkowicie podporządkować.

Rozumiał okoliczności, a jednak nie ufał sobie. Obawiał się, że jeśli nazajutrz zostanie w domu, najdzie go ochota, żeby sprawdzić, jak toczą się sprawy w *caveau* - zakładał, że właśnie tam nastąpi konfrontacja. A nuż dotarłby na miejsce w krytycznym momencie i zadziałał odruchowo?

Musiał wyjechać ze wsi. Niedaleko, wystarczy do Montpellier, zwłaszcza że typ z banku tak czy owak nalegał na spotkanie.

Przy śniadaniu poinformował Tin o swoich planach; wróci w porze lunchu. Pokiwała głową. Często jeździł do miasta, nie widziała w tym nic dziwnego.

Prawdopodobnie Antoine wyolbrzymiał znaczenie kłótni, której swego czasu mimowolnie stał się świadkiem. Między partnerami w związkach układa się różnie, a Colin sprawiał wrażenie porywczego faceta, reagującego wrzaskami na byle drobiazg. Taki miał chłopak charakter; nie znaczyło to, że mu na Tin nie zależy. Antoine nie znał pełnego obrazu ich relacji.

Mimo owych pocieszających refleksji pojechał do Montpellier. Będzie, co ma być. Nie potrafił skupić się na słowach rozmówcy. Kredyt. Zgadza się, winnica była nieprzyzwoicie zadłużona. Antoine zdumiewał się w duchu, że tego typu przyziemne sprawy do niedawna wydawały mu się szalenie istotne. W tej chwili być może ważyły się losy Tin, jeśli zaś obawy Antoine'a się potwierdzą, etap jego życia związany z winnicą definitywnie się zakończy.

Pragnął zerwać się z krzesła, wybiec z banku, na złamanie karku pognać z powrotem w nadziei na to, że jeszcze zdąży ocalić Tin. Powstrzymywał się całą siłą woli. Trzeba być konsekwentnym. Wyjechał, powierzając decyzję Colinowi, niech więc tak zostanie.

Nie dzwonił do niej, żeby się nie zadreć, czemu Tin nie odbiera komórki, lub - gdyby przyjęła połączenie - rozmyślać, czy niebezpieczeństwo na pewno minęło. Mówiła, że Colin powinien się pojawić przed południem, tak więc w porze lunchu sytuacja będzie już klarowna.

Prowadził nerwowo, omal nie spowodował wypadku. Nie wykluczał, że wymyślił sobie całe to zagrożenie, ponieważ w głębi ducha chciał uwolnić się od Tin. Marzył o wyzwoleniu od dokuczliwej niepewności, czy on, doświadczony łowca, nie padł ofiarą mistyfikacji.

Całe szczęście, że nie wybrał się gdzieś dalej. Z każdym pokonywanym kilometrem Antoine'a bardziej zjadały nerwy. Tin nadawała sens jego życiu. Nienawidził siebie i jej za tę myśl.

Na podwórku parkowały dwa samochody. Golf na niemieckich blachach i cordoba Alberta. Antoine patrzył, nie rozumiejąc. Co tu robił Alberto? A ten drugi wóz? Należał do

Colina czy Włoch przywłókł ze sobą kolejnego łowcę?

Antoine najchętniej pognałby do drzwi, żeby natychmiast się przekonać, czy Tin nie jest. Żałował, że nie ma przy sobie broni, jeśli bowiem Alberto w tej właśnie chwili zorientował się... lub jeśli od początku współpracowali z Colinem, który otrzymał zadanie uwiedzenia Tin po to, żeby zyskać dostęp do tajemnic Antoine'a...

Powoli szedł do wejścia. Jeżeli było po wszystkim, nic już nie działo. Natomiast jeśli dwaj łowcy zajęli tu w tym samym czasie zupełnie przypadkowo i Alberto jak dotąd niczego się nie domyślał, byłoby fatalnie wzbudzić jego podejrzania.

Jeżeli Tin nie żyła, to kto ją zabił? Czy odpowiedź miałaby dla Antoine'a znaczenie? Straciłby ją tak czy inaczej.

A jednak osoba zabójcy grałaby wielką rolę.

Gdyby Tin zginęła z ręki Włocha - lub Colina przy założeniu, że ci dwaj od początku działali w zмовie - o niczym by to nie świadczyło. Antoine nigdy by się nie dowiedział, czy była niewinną dziewczyną, zmagającą się z drzemiacą w niej bestią, czy też bestią ukrywającą się pod pozorami niewinności. Gdyby jednak Colin autentycznie się w niej zakochał, a mimo to podjął decyzję o jej likwidacji, bolesną także dla niego samego, wówczas Antoine zyskałby pewność, że w minionych latach żył złudzeniem. Złudzeniem o kochającej córce.

ROZDZIAŁ 9

Włoch nie okazał radości na widok Colina. Złości również nie, choć dało się wyczuć, że w środku aż się zapienił. Zapewne głównie z powodu tego, co sobie wydedukował, oglądając Colina i Tin razem.

- Vernonie, co za miła niespodzianka! - wykrzyknął Alberto, uśmiechając się szeroko. Dla Tin nadal pozostawał jowialnym Giacomo Pirellim.

- Taty nie ma - poinformowała gościa Tin. - Pojechał do Montpellier. Trudno mi powiedzieć, czy wróci za chwilę, czy dopiero pod wieczór.

- Nie szkodzi, zaczekam - zadeklarował Alberto takim tonem, jakby czekaniem wyświadczał jej przysługę.

- Tato się pana spodziewa?

- Ach, nie, jak zwykle wpadłem przelotem. Nie wiedziałem nawet, czy dam radę.

Przeszli do salonu, Tin zaproponowała coś do picia. Włoch poprosił o kawę, szczegółowo wyliczając, ile ma być wody, ile mleka, ile cukru. Z tego, co Colin pamiętał, w Valmorel i potem, na trasie, w przydrożnych barach, Alberto zamawiał czarne niesłodzone espresso. Facet autentycznie się poświęcał, żeby uwiarygodnić swój aktualny wizerunek.

Po wyjściu Tin mierzyli się wzrokiem - Włoch nadal z szerokim uśmiechem na twarzy, choć jego zmrużone czarne oczka zionęły nienawiścią.

- Jak tam przesłuchania pracowników kliniki? - rzucił leniwie Colin.

- Wydawało mi się, że temat przestał cię interesować - odparł uprzejmie Alberto.

Z tonu jego głosu było nieudolnie skrywane zadowolenie z siebie: coś ustalił. Zresztą nie przyjechałby do Antoine'a z pustymi rękami. Czyżby zdobył dane rodzin, które skorzystały z zarodków od dawców? Na tych informacjach zależało Caramelowi, tak więc gdyby Colin wydebił je od łowcy, wróciłby do kumpla z cenną zdobyczą. Zamknąłby nią szczeniakowi gębę na jakiś czas. Czy Włoch woził ze sobą te dane?

Colin usiłował się tego dowiedzieć, zadając coraz to nowe pytania na temat kliniki i minionych bez mała trzech tygodni, lecz Alberto zbywał go z tą samą uprzejmością. Colin musiałby się pochwalić wyprawą na Wyspy Brytyjskie, żeby dowieść, że śledztwo Dirka nadal jest mu bliskie, wtedy jednak pozbyłby się karty atutowej. Wolał poczekać na Antoine'a skoro Włoch pojawił się tu z własnej inicjatywy, miał do byłego łowcy interes, ani chybi

związany ze śledztwem.

Tin przyniosła trzy kawy i usiadła z gośćmi. Colin usiłował przekonać ją, żeby wytłumaczyła się obowiązkami w kuchni i zostawiła ich samych - żeby trzymała się jak najdalej od Alberta, kiedy tylko jest to możliwe - uparła się wszakże. Obawiała się, że Colin mógłby zaatakować Włocha. Psiakrew, co za... Zacisnęła pięści.

Na szczęście wkrótce przyjechał Antoine. On również nie ucieszył się na widok Colina; wydawało się wręcz, że mniej mu przeszkadza Włoch. Inna sprawa, że Francuz chyba początkowo założył, że oni dwaj przybyli tu razem, a opowieść Colina o kłótni z Albertem stanowiła zwykłą podpuchę, żeby wyciągnąć od niego informacje. Kiedy stało się jasne, że Albertowi obecność młodego łowcy jest wybitnie nie w smak, Antoine spojrzał na Colina nieco przychylniej, choć nadal nie bez podejrzliwości.

- Miałeś tu nigdy nie wracać - powiedział Antoine do Alberta, kiedy Tin pożegnała się i wyszła z powrotem do pracy, wcześniej niż zwykle: szła pieszo, ponieważ jej rower został pod spółdzielnią.

- Wyższa konieczność - oznajmił Alberto. - Także ubolewam nad tym, że muszę cię prosić o pomoc. Niestety, w pojedynkę działałbym zbyt wolno i wilkołaki prawdopodobnie zdążyłyby po sobie posprzątać.

Włoch wyraźnie podkreślał, że Colina o nic prosić nie zamierza. Zarazem wydawało się, że właśnie Colin jest głównym adresatem tej wypowiedzi, jakby Alberto usiłował wziąć go pod włos. I świetnie, przynajmniej Colin się dowie, co takiego odkrył Włoch.

- No tak, wyższa konieczność - mruknął Antoine. - Tyle wystarczy, żebyś złamał dane słowo.

- Interesujące - stwierdził Włoch z przekąsem. - Kiedy wreszcie nadarza się okazja, żeby dobrać się im do tyłków, a nie tylko kłuć szpilką, jak określiłbym działalność łowców, okazuje się, że nie ma chętnych. O co chodzi? Świat bez wilkołaków stałby się pusty?

- Wycofałem się - rzucił gniewnie Antoine.

- Problem przez to nie zniknął - wytknął mu Alberto.

Okazało się, że faktycznie zdobył namiary dzieciaków - „wynegocjował” te dane od jednego z pracowników.

Colin zastanawiał się, co się kryło za tym sformułowaniem. Przekupstwo czy perfidny szantaż? Nie zdziwiłby się, gdyby w imię owej wyższej konieczności Alberto zabił człowieka.

W każdym razie miał spis, zawierający sto osiemdziesiąt sześć nazwisk, z dwunastu lat działalności kliniki. Colin był zaskoczony tak skromną liczbą kandydatów.

- Dopóki nie opanowano techniki mrożenia komórek jajowych, dawstwo zarodków było popularniejsze - powiedział Alberto. - Nas natomiast interesują w pierwszym rzędzie ostatnie lata działalności kliniki, od tych bachorów zaczniemy. Jest ich niewiele, niech spojrzę... w zeszłym roku urodziło się...

- Czemu sam nie zajmiesz się poszukiwaniami? - dociekał Antoine.

- Kiedy wilkołaki się zorientują, że mam listę, wywiozą gdzieś kilkoro interesujących nas dzieciaków. We dwóch uwiniemy się szybciej, może zdołamy je ubiec.

We dwóch, nie we trzech. Colin uśmiechnął się kwaśno. Kiedy powinien zadeklarować chęć udziału w przedsięwzięciu? Alberto cytował liczby z notesu, przypuszczalnie więc ukrył gdzieś pełne dane, tak na wszelki wypadek. Udostępni je Antoine'owi dopiero, kiedy ten wyrazi chęć współpracy, a i wówczas będzie to tylko przypadająca na Francuza połowa nazwisk.

Ciekawe, czy te dzieciaki w ogóle dało się wykryć. Jeśli jeszcze się nie przebudziły, nawet Colin będzie miał z tym kłopoty, jako że nieprzebudzeni członkowie społeczności pachną jak ludzie. A tutaj, jeśli wierzyć Becky, chodziło o eksperymenty na nieświadomych, którzy budzą się znacznie później niż świadomi, przeważnie długo po osiągnięciu dorosłości. Zarazem Dirk namierzył tego jednego malca... Nawet jeśli otrzymał jego dane od informatora, ani chybi nie poprzestał na zapewnieniach, że chodzi o młodą zwierzynę. Sprawdził smarkacza i test wypadł pozytywnie.

No cóż, po eksperymentalnym dzieciaku należało oczekiwać, że będzie się różnił od typowych okazów, choć Colin nie pojmował, dlaczego komuś miałoby zależeć akurat na przyspieszaniu przebudzenia, zwłaszcza u nieświadomych. Społeczności wręcz bardziej opłacałoby się opracować sposób na jego opóźnienie, także u świadomych. Z drugiej strony, skoro członków społeczności tresowano w posłuszeństwie od najmłodszych lat... czyżby kapłani umyślili sobie, że szybsze przebudzenie pozwoli osiągnąć na tym polu lepsze efekty? No, ale te uwagi dotyczyły świadomych, wyłącznie świadomych. W przypadku dzieciaka Dirka przypuszczalnie wystąpił niepożądany efekt uboczny.

Kiedy Alberto przeprosił i udał się do toalety, Colin pospiesznie zdał Antoine'owi relację ze śledztwa na Wyspach: tamtejszym kontaktem Hintermanna był Karal, jego także załatwili, przed trzema tygodniami. Trop się urwał.

- Jestem tu dlatego, że skoro zdołali dotrzeć do Karala, mogą namierzyć także ciebie i Tin - zakończył Colin. - Powinniście stąd wyjechać, natychmiast.

Antoine przyglądał mu się ponuro.

- Wyjechać - powiedział wreszcie. - Alberto żąda tego samego, czyż nie?
- Do diabła, Antoine, chcesz tu zostać, proszę bardzo. Ale jej nie zatrzymuj.
- Dlaczego mieliby ją zabijać? - zapytał Francuz. - Raczej ucieszą się, że ją odzyskali.

Cholera, takiej reakcji rozmówcy Colin nie przewidział. Z punktu widzenia Antoine'a dla Tin byłby to po prostu powrót między pobratymców - Francuz przyjmował, że jeśli wilkołacza organizacja istnieje, dba o każdy okaz gatunku tak samo, a już bez wątplenia nie likwiduje swoich.

- Na razie w miarę pewne jest tylko to, że eksperymenty w klinice wiążą się ze zwierzyną - powiedział ostrożnie Colin. - Nie wiemy natomiast, kto za nimi stoi. Może wcale nie ichnia organizacja, ale rząd albo prywatny kapitał? Moim zdaniem obojgu wam grozi...

- Ustaliliście zeznania? - zapytał Włoch, wchodząc do salonu.

- Vernon ci pomoże - oznajmił Antoine. - Wbrew twojemu przekonaniu nie odpuścił. Spędził ostatnie tygodnie w Wielkiej Brytanii. - Francuz opowiedział o genetyku, z którym według Dirka skontaktował się Hintermann, a potem powtórzył sprawozdanie z dokonań Colina.

Colin mógł tylko siedzieć, zaciskając zęby i w duchu klnąc Francuza. Jasne, Antoine starał się jedynie zrehabilitować go w oczach Alberta. Karal nie żył, więc dalsza dyskrecja przestała być konieczna: temu człowiekowi Alberto już nie zaszkodzi. Włoch potrzebował pomocnika, a sztuka to sztuka. Jeśli zgodzi się ponownie udzielić kredytu zaufania młodemu łowcy Vernonowi, odpuści dawnemu towarzyszkowi, który wycofał się z zawodu. Z Vernona będzie miał większy pożytek.

Przy okazji Antoine przyznawał, że coś przed Włochem zataił, tak więc nie zasługuje na zaufanie, jakim Alberto uparł się go obdarzyć.

Wszystko ładnie i pięknie, Colin pragnął przecież dostać namiary na te dzieciaki, tyle że na hasło „laboratorium” Albertowi zapłonęły oczy. Błyskawicznie doszedł do tego samego wniosku, jaki Colin formułował z oporami przez kilka dni: Karal dostarczał zarodki wykorzystywane w klinice Hintermanna. Wręcz dało się słyszeć, jak w głowie Alberta szaleńczo obracają się trybiki. Włoch z góry założył, że niedoświadczony Vernon nie uwzględnił wszystkich możliwości, tak więc on sam powinien udać się do Szkocji, żeby osobiście przepytac współpracowników profesora. Pytanie, czy ma to zrobić, zanim weźmie się do poszukiwania dzieciaków, czy dopiero później. Obie sprawy były pilne, w jednym i drugim przypadku wróg wkrótce zacznie zacierać tropy.

Colin domyślał się, jaka będzie konkluzja tych rozważań. Włoch przyjechał tu, żeby zwerbować Antoine'a, łowcę Vernona dostał nadprogramowo. Jeśli więc dwaj ostatni zajmą

się szukaniem dzieci, podczas gdy Alberto pojedzie do Dundee, w realizacji pierwotnego planu nie wystąpią opóźnienia. Francuz sam ukręcił sobie stryczek, psiakrew. W dodatku jeśli Alberto zacznie węszyć wokół laboratorium, przypuszczalnie ustali, że Colin zatrzymał część informacji dla siebie. Lub odkryje coś, czym zaszkodzi społeczności.

- Wyjaśnij mi raz jeszcze, Antoine, dlaczego tak się boisz powrotu do zawodu? - zapytał Włoch. - Twoja córka wydaje mi się zaradną osobką. Skąd przekonanie, że nie poradzi sobie bez opieki?

No właśnie, tym sposobem Tin znów znalazła, się niebezpiecznie w centrum uwagi Włocha. Antoine chyba także się zorientował, że łatwo nie spławi intruza. Czy jednak na pewno gotów był go zastrzelić? A jeśli Colin mylnie odczytał intencje Francuza, kiedy gościli u niego z Włochem po raz pierwszy? Wahał się, czy powinien otwarcie poruszyć tę kwestię. Postanowił już, że Alberta trzeba będzie zlikwidować, jeśli wszakże Antoine oburzyłby się na taką propozycję, późniejsza śmierć łowcy natychmiast nastawiłaby go wrogo do Colina.

Gdy po szóstej Tin wróciła z pracy, nadal siedzieli we trzech w salonie, wałkując w kółko ten sam temat. Włoch na pozór odpuszczał, rozmowa zbaczała na dzieciaki, rzeczywistą rolę Karala w sprawie, cel, jaki przyświecał wilkołaczej organizacji, po czym zniecka Alberto uderzał ponownie, Antoine zaś wynajdywał coraz to bardziej nonsensowne argumenty na uzasadnienie własnej bezczynności. Rzadko odnosiły się do Tin - nie pomijał jej całkowicie, bo wzbudziłby podejrzenia łowcy, głównie jednak powoływał się na swój wiek, długi okres wyłączenia z zawodu, spadek sprawności fizycznej. Krótko mówiąc: robił z siebie zniechęconego tchórza.

- Alberto, wyraziłem się jasno - powiedział Antoine zmęczonym głosem, kiedy na jego prośbę, czy raczej polecenie, Tin zostawiła ich samych, udając się do kuchni. - Nie i koniec. Podobno zależy ci na czasie, więc, do cholery, bierz Vernona i ruszajcie. Będą wam potrzebne informacje z Internetu, chętnie pomogę, ale nic więcej. Rozumiesz? Nie masz tu czego szukać.

Włoch westchnął, pukając palcami w siedzisko sofy. Niby wreszcie pogodził się z porażką, a jednak Colin wyczuwał w tym ustępstwie fałsz.

- Wypuścisz starego druha z domu z pustym żołądkiem? - zapytał Alberto.

Ponieważ Włoch zadeklarował, że wyjadą zaraz po obiedzie, Antoine uległ, acz niechętnie. Colinowi nie podobał się pomysł wspólnego posiłku, choć nie potrafił sprecyzować, dlaczego. Pewnie po prostu nie odpowiadało mu, że Tin znowu spędzi kilka chwil w bezpośrednim towarzystwie Alberta. Włoch miał piekielnie wyczuloną intuicję; żeby

tylko Tin nie zdradziła się nerwowym zachowaniem.

Z drugiej strony, może i dobrze, że Colin zagości tu trochę dłużej - nadal nie wiedział, na czym stanęło w kwestii wyjazdu Antoine'a i Tin. Były łowca nie podjął jeszcze decyzji? Zamierza zostać? Posłucha rady i wyniosą się stąd oboje? Dlaczego tak mu zależało, żeby Colin przyłączył się do Włocha? Antoine mógłby przecież powierzyć Tin opiece jej chłopaka i samemu wyruszyć z Albertem.

Drań nie ufał Colinowi. Liczył, że młody łowca przemyśli sprawę i odpuści sobie wilkołaczkę. Dlaczego? Obawiał się, że taki związek skończyłby się dla Tin srebrną kulką? Czy też wrednie nie chciał szczęścia przybranej córki?

- Przestań! - warknęła Tin w myślach, jednocześnie z uśmiechem podsuwając Albertowi półmisek z ziemniakami, żeby wziął sobie dokładkę. - Miałeś, zdaje się, popracować nad swoim nastawieniem do niego.

- Pracuję - odwarknął Colin. Czemu wiecznie brała stronę tego pieprzonego mordercy świadomych? - Ale wyczuwam w nim dwuznaczność, jakby...

- Powiedziałałam, żebyś dał spokój.

Zaciął usta, gniewnie dziabiąc widelcem ziemniaki. Siedzący naprzeciw Alberto posłał mu badawcze spojrzenie.

- Nieźle gotujesz, panienko - oznajmił entuzjastycznie Włoch.

- Dziękuję - wymamrotała.

Colin zaklął w duchu: zachowywała się nienaturalnie, co Alberto niewątpliwie odnotował. No, ale Antoine jawnie okazywał gościowi niechęć, jakby zaprosił go do stołu wbrew sobie, tak więc dziewczyna miała prawo czuć się niezręcznie w tej dziwnej sytuacji.

- Pewnie mówiłem już, że trafiła ci się zaradna córka, Antoine - gawędził Alberto. - Ile ty masz lat, kochana? Dwadzieścia? A czemu nie na studiach? Jakie masz w ogóle życiowe plany?

Tin zerknęła na Colina.

- Daj jej spokój - warknął Antoine do Włocha.

- Ach, no nie pomyślałem! - wykrzyknął Alberto, uderzając otwartą dłonią o blat. - Toż życiowe plany siedzą z nami przy stole! Kto by się spodziewał, że we współczesnych czasach, kiedy kobiety są takie... jak to się mówi po angielsku? Wykoncypowane? No, takie niezależne, pannica będzie spoglądać na swojego kawalera, zanim udzieli odpowiedzi na równie proste pytanie.

Jasne, przecież Alberto nienawidził kobiet, perfidnie odciągających łowców od dziejowej misji. Tin zaś podpadła mu podwójnie: mimo że już dorosła, uparcie trzymała się

Antoine'a, a ponadto zarzuciła sidła na Colina, odbierając Włochowi obiecującego adepta.

- Wybieram się na studia - odparła Tin; jedynie Colin wychwytywał napięcie w jej głosie. - Zrobiłam sobie rok przerwy, bo nie zdecydowałam jeszcze, jaki kierunek mnie interesuje.

- Zapewne pomagasz tatusiowi prowadzić winnicę - podsunął usłudźnie Alberto.

Colin z miłą chęcią przeciągnąłby draniowi pazurami po gardle. Tin zmarszczyła brwi, nie zdołał jednak wyłapać jej komentarza. Zirytował się, że znów coś przed nim ukrywa. Z dwojga złego wolał usłyszeć nieprzyjemną uwagę, niż zastanawiać się, co w niej takiego było, że Tin nie chciała, by do niego dotarła.

- Do diabła, Colin, niczego przed tobą nie ukrywam - odparowała Tin w myślach. - To ty pewnych rzeczy nie chcesz słyszeć. Ale nie przyznasz się przed sobą do tej podświadomej cenzury, bo łatwiej zwalić na mnie, prawda?

- Czepiasz się - warknął.

- Nie, to ty się mnie bezustannie czepiasz! Czuję się tym zmęczona!

Znienacka kichnęła potężnie. Upuściła sztucę i zasłoniła usta dłońmi, żeby wytłumić kolejne kichnięcie.

Nie zorientowała się, co to oznacza. Wiedziała, że kichanie stanowi typową reakcję na wykrywacz, ale nie skojarzyła tej dotąd czysto dla niej teoretycznej informacji z bieżącą sytuacją. Nie w pierwszej chwili - a potem wydarzenia rozegrały się tak szybko, że pojęła, co zaszło, dopiero kiedy było po wszystkim.

Colin zareagował odruchowo. Całe szczęście, że instynkt go nie zawiódł, gdyż wskutek sprzeczki z Tin na moment stracił czujność, co dziewczynę mogło kosztować życie. Szarpnął ją za ramię, przewracając na podłogę razem z krzesłem, zanim kichnęła po raz drugi. Wystrzelony przez Włocha pocisk roztrzaskał kafelek na kuchennej ścianie. Colin poderwał się, żeby przeskoczyć nad stołem i zaatakować Alberta; przemieniłby się w locie. Huknęły dwa kolejne strzały, niemal jednocześnie. Colin zobaczył, jak rozpryskuje się skroń Włocha - i poczuł palący ból.

Z przerażeniem spojrzął na Tin. Nie, nic się jej nie stało, gramoliła się właśnie z podłogi, oszołomiona. Ulga powaliła go na kolana... nie, uczynił to właśnie ów ból. Tin wpatrywała się w Colina szeroko otwartymi oczami. Nie słyszał jej myśli - w ogóle nic nie słyszał. Nie patrzyła na jego twarz, spoglądała bardziej w dół. Opuścił wzrok. Czerwona plama poniżej klatki piersiowej, maleńka w porównaniu z bólem. Padł na podłogę.

- Trzeba go zawieźć do szpitala - powiedział gdzieś w oddali Antoine.

- Nie... - spróbował Colin, ale z jego gardła wydobył się tylko charkot, a zarazem

jakby mu ktoś wetknął w trzewia rozpalony pręt. - Srebro - odezwał się w myślach, świadom, że zaraz straci przytomność. - Wyciągnijcie kulę, natychmiast.

- Tato, nie zdołamy dowieźć go do szpitala na czas! - zawołała gorączkowo Tin. Colin zamknął oczy.

Świtało, kiedy się ocknął. Leżał na kuchennym stole - a właściwie na jakiejś płycie, chyba skrzydle drzwi, położonym na znacznie krótszym blacie - w samych dżinsach, przykryty prześcieradłem i kocem. Obmyty z krwi i niezbyt profesjonalnie omotany bandażem, o czym się przekonał, kiedy odrzucił nakrycie i usiadł, zwieszając nogi nad podłogą.

Dotknął rany. Nie bolała. Zastanowił się, czy może bezpiecznie odwinąć bandaż.

Poszukał myślami Tin. Spała? Poczul się dotknięty, że nie siedziała przy nim, ale niewykluczone, że Antoine jej zabronił. Colin zacisnął zęby. Parszywy sukinsyn.

Parszywy sukinsyn, który uratował mu życie.

Cud, że Tin udało się namówić starego, żeby zoperowali Colina w domu, na kuchennym stole. Choć właściwie takie rozwiązanie pasowało Antoine'owi. Przy równie poważnym postrzale człowiek przekreśliłby się w drodze do szpitala lub wkrótce po przybyciu na miejsce, a nawet gdyby go odratowano, Francuza czekałoby sporo niewygodnych pytań. Zaproponował szpital odруchowo; jechałby okrężną drogą, w nadziei na to, że lada moment będzie mógł oznajmić, że na ratunek jest już, niestety, za późno, po czym dyskretnie pochować Colina. Propozycja Tin oszczędziła Antoine'owi fatygi i ryzyka, nie musiał się też obawiać oskarżeń przybranej córki, że celowo czegoś zaniedbał, żeby wykończyć jej chłopaka.

Zapewne dlatego minionego wieczoru odwalił kawał dobrej roboty, wydłubując z Colina srebro. Uważał, że rywal umrze tak czy owak, przyłożył się więc do operacji, żeby potem z czystym sumieniem twierdzić, że zrobił, co tylko leżało w jego mocy. Oraz że bardzo mu przykro z powodu poniesionej przez Tin straty.

Ciało Alberta znikło, podobnie jak ślady krwi na wyłożonej kaflami podłodze. Wokół panował porządek, jakby nic wielkiego się tu nie zdarzyło. Na ścianie straszły resztki roztrzaskanego kafelka, ale, mój Boże, to kiedyś za mocno wystrzelił korek od szampana.

Colin wsłuchał się w siebie, poszukując śladów palącego bólu. Bez skutku. Chciało mu się pić jak cholera, zjadłby też solidną porcję krwistego mięsa. Kręciło mu się w głowie i czuł się ogłuszony, ale poza tym nic mu nie dolegało. Nic nie dolegało również Tin, a to było najważniejsze. W domu panowała pełna zmęczenia cisza. Bezpieczna cisza. Skupiwszy się,

Colin wychwycił nitkę snu Tin. Nie budził jej, wołał najpierw odzyskać siły. Zjeść coś.

Przeżył groźny postrzał srebrem. Co więcej, rana już się zagoiła, choć wedle znanej mu teorii powinna się długo babrać, ponieważ nawet po wyjęciu kuli w ciele pozostają mikroskopijne opiłki toksycznego metalu. Caramel miał rację, psiakrew, na szkoleniach kłamali jak z nut. No, chyba że Colin był cholernie wyjątkowy. Inaczej niż Emily, ale na zbliżonej zasadzie - posiadał cechy niespotykane w społeczności.

Przymknął powieki. Czuł się dziwnie. Niewątpliwie miał przytępione zmysły: na przykład nie potrafił stwierdzić, kiedy ostatnio ktoś z domowników zaglądał do kuchni. Zarazem jednak myśli przepływały mu przez głowę z zadziwiającą jasnością, jakby wreszcie w pełni otrząsnął się z transu, w którym tkwił od rozmowy z Udonem. Cóż, czemu nie? Przecież dostał niewiarygodnie potężnego kopa.

Zeskoczył ze stołu, żeby się natychmiast przekonać, że przecenił swoje możliwości. Nogi się pod nim ugięły, Colin gwałtownie przytrzymał się blatu i leżącej na nim płyty. Zaklął cicho. Jednak dokuczał mu ból - jak komuś, kto dzień wcześniej pierwszy raz w życiu w pocie czoła przepracował dwanaście godzin w polu. Przejdzie, kiedy Colin się posili.

Odwrócił się, stając przodem do stołu, oparty rękami o pseudoblat. Zatrzymał wzrok na miejscu, gdzie, jak sądził, upadł Alberto. Czy Tin pomagała grzebać trupa? Colina ogarnęła wściekłość na myśl, że Antoine zaangażował ją do tego zadania. Kazać niewinnej dziewczynie... Pohamował się. Francuz sam namęczyłby się z ciałem, a dla Tin dźwignięcie takiego ciężaru było pestką. Poza tym przecież właśnie jej niewinność najbardziej irytowała Colina - oznaczała zagrożenie w świecie, gdzie każdy kolejny dzień mógł postawić Tin przed koniecznością bezkompromisowej walki o przetrwanie. Jeśli obcowanie z zakrwawionym trupem Alberta choć odrobinę zmieniło jej nastawienie, wypadało się tylko z tego cieszyć.

Ostrożnie ruszył w stronę zlewu, z każdym krokiem odzyskując zaufanie do własnych nóg. Nappełnił wodą stojący na blacie dzbanek i osuszył go łapczywie. Znow nalał wody, lecz tym razem poprzestał na kilku łykach. Odstawił naczynie.

Otworzył drzwi lodówki i, węsząc, zbadał jej zawartość. Kolejno wykładał na kuchenny blat wędliny i pozostałości z wczorajszej kolacji. Przez moment poczuł się dotknięty, że Tin miała głowę do tego, żeby tak skrupulatnie sprzątnąć po wieczornym posiłku. No, ale pewnie rozpaczliwie potrzebowała zajęcia, żeby nie zwariować - względnie Antoine usiłował wypędzić ją z kuchni, a porządki stanowiły pretekst do zostania. Colina znow ogarnął gniew na Francuza, ustąpił jednak rychło pod wpływem głodu. Zapach jedzenia wytłumił wszystko inne.

Zaczął pożerać wyjęte z lodówki produkty. Właśnie tak: pożerał je, jak wygłodniała

dzika bestia. Po pierwszych kęsach wydłużył twarz w wilczy pysk, jako że tak było mu łatwiej żuć i połykać. Z tym pierwszym nie przesadzał, byleby tylko się nie udławić. Drzwi lodówki przymknęły się same, chłód muskał prawy bok Colina.

Nieraz bywał głodny, niemniej tego głodu nie dało się porównać z żadnym z wcześniejszych doświadczeń. Psiakrew, nie potrafił się powstrzymać. Co jakiś czas popijał wodą z dzbanka i nie przestawał jeść. Jakby jego racjonalne ja stało z boku, obserwując poczynania ciała, świadome, że powinno im przeciwdziałać, ale całkowicie bezsilne.

Nawet kiedy Colin zorientował się, że Antoine stoi w drzwiach kuchni, nie zwolnił tempa, w jakim wpychał do pyska kolejne plastry wędliny. Nie słyszał nadejścia łowcy, niewykluczone więc, że facet tkwił na posterunku od dłuższej chwili. Minuta czy dwie niczego nie zmienia, Colin nie musiał przerywać posiłku. Za moment jedzenie się skończy, więc problem sam się rozwiąże.

Połknąwszy ostatni kawałek kielbasy, Colin wsparł dłonie na blacie i odsapnął. Za mało. Z przymkniętej lodówki nęcąco łechtala go w nozdrza woń wzgardzonych wcześniej serów. Widział je oczyma wyobraźni, jak leżą na półkach, domagając się uwagi. Z wysiłkiem odwrócił od nich myśli. Kolejne kilka sekund poświęcił na cofnięcie częściowej przemiany. Antoine do niego mierzył, ze strzelby lub pistoletu, srebrną amunicją. Na widok wilczego pyska mógłby zareagować nerwowo.

Colin sprężył się, szykując się do ataku. Na razie jednak stał plecami do przeciwnika, a obraz sytuacji odmalował sobie w wyobraźni. W dodatku jego reakcje były w tej chwili cokolwiek spowolnione. Antoine zdążyłby nawet dwukrotnie pociągnąć za spust, zanim Colin dopadłby go, pokonując w tym celu całą długość kuchni. Jakie miał szanse na wykaraskanie się z kolejnego postrzału w tak krótkim czasie? Marne, delikatnie mówiąc. Zwłaszcza że tym razem Francuz nie wydłubywałby zeń kul.

Właściwie... dlaczego Antoine dotąd nie strzelił? Colin odetchnął głęboko. Sterczał tak w bezruchu przy kuchennym blacie już dobrą minutę. Cholera.

- Dlaczego nie strzelasz? - zapytał, nie odwracając się.

Niezbyt mądre pytanie - bo Francuz się zawahał, jakby na dobrą sprawę sam nie wiedział, czemu jeszcze nie zabił Colina.

- Ona wie? - odezwał się wreszcie cicho Antoine.

Colin odwrócił się powoli. Sztucer. W mrocznym wylocie lufy Colin ujrzał zagrożenie dla Tin. Zataiła przed przybranym ojcem prawdę o swoim kochanku, stała się zatem niegodna zaufania. Niebezpieczna. Jeśli Francuz zastrzeli jej chłopaka, ją także będzie musiał zlikwidować. Tin!

Co Colin powinien odrzec łowcy? Czy Tin mogła nie wiedzieć? Antoine był ogromnie wyczulony na kwestię jej prawdomówności, tak więc kłamstwo tylko pogorszyłoby sytuację. Przy założeniu, że Francuz miał pozostać przy życiu - ale właśnie ze względu na Tin Colinowi nie wolno było go zabić. Jeszcze nie.

- Znalazła się w trudnej sytuacji - odparł Colin opanowanym głosem. - Kocha cię i szanuje, ale mnie także kocha. A ty byś mnie zastrzelił.

- Jakoś na razie tego nie zrobiłem - powiedział Antoine. - Ty zabiłeś Dirka? I Hintermanna?

- Ja tylko szukam siostry.

Antoine zmrużył oczy. Fakt, ta odpowiedź niewiele wyjaśniała. Colin spróbował zebrać myśli. Dziwne. Niby odnosił wrażenie, że rozumuje wyjątkowo przejrzyście, lecz kiedy coś z tego usiłował ubrać w słowa, wszystko się sypało.

- Jestem... - zaczął znowu - trochę skonfliktowany z... z pozostałymi. Uprowadzono moją siostrę. Przyjechałem do Europy, żeby ją odnaleźć. Ale... całymi miesiącami nie natknąłem się na nikogo ze swoich. Przyłączałem się do łowców, udając jednego z nich, bo liczyłem, że w ten sposób... trafię na trop, jakikolwiek. I trafiłem. Na Alberta i sprawę kliniki. Wiem tyle, co on... To znaczy tyle, co ty, a chciałbym ustalić, ile Alberto przed nami zataił.

Nie zamierzał wtajemniczać Francuza w odkrycia, jakich dokonał wraz z Caramelem. Nawet jeśli Colin i Antoine chwilowo zostaną sprzymierzeńcami, nigdy nie będą walczyć po tej samej stronie. Dla łowcy wrogiem była zarówno społeczność, jak i organizacja, dla Colina tylko ta druga, a upublicznienie informacji o eksperymentach uderzyłoby w ogół świadomych i nieświadomych.

- Opowiedz mi o waszej organizacji - polecił zimno Antoine.

No właśnie, bez względu na to, jak dobitnie Colin podkreślił fakt, że stoi w opozycji do rządzących społecznością, dla Antoine'a zawsze będzie jednym z „tamtych”. Ale dobrze, organizacja. Ile Colin mógł wyjawiać Francuzowi na jej temat?

- Organizacja istnieje, natomiast sporo jej brakuje do wizji Alberta - powiedział, wążąc słowa. - Właściwie... sam dokładnie nie wiem, jakimi dysponuje możliwościami. W tej kwestii Alberto miał rację: szarych członków... utrzymuje się w niewiedzy. Dowiadujemy się tylko tyle, ile musimy, żeby dobrze wypełniać przypisane nam obowiązki. Szczerze mówiąc, z początku nie chciałem wierzyć, że organizacja ma cokolwiek wspólnego z eksperymentami w klinice. Uznałem, że wszystkich was poniosła fantazja... Nagle Colin zaatakował.

Zadziałał równie odruchowo jak minionego wieczoru. W zasadzie... Colin, ten racjonalnie myślący, w pełni koncentrował się na wypowiedzianych właśnie zdaniach i nie

zamierzał rzucać się na łowcę. Do czynu popchnął go instynkt; po prawdzie Colin poczuł się zaskoczony rozwojem sytuacji nie mniej niż przeciwnik. Wyłącznie dzięki temu atak nie zakończył się dla niego śmiercią.

Antoine wprawdzie wystrzelił, jednak wtedy Colin złapał już za lufę sztucera. Brutalnie wyrwał łowcy broń. Francuz zaklął, ściskając prawą dłoń w lewej.

- Colin! - Do kuchni wbiegła Tin.

Nie słyszał jej wcześniej, choć musiała znajdować się na schodach w chwili, kiedy padł strzał.

- Nic mi nie jest - zapewnił. - Żadnemu z nas - dodał, uzmysłowiwszy sobie, że strach w jej głosie odnosił się raczej do tego, co Colin mógł zrobić Antoine'owi, niż niebezpieczeństwa, jakie potencjalnie groziło jemu samemu.

Prawie się zdenerwował; na szczęście w porę dotarło do niego, że był to swego rodzaju komplement. Tin nie sądziła, żeby w potyczce Antoine-Colin jej przybrany ojciec miał jakiegokolwiek szansę, nawet jeśli to on trzymał sztucer.

- Mam nadzieję, że nie złamałem ci palca? - zwrócił się Colin do Francuza, starając się nadać pytaniu przyjacielski ton.

Łowca cofnął się trzy kroki, aż oparł się o kuchenną szafkę. Nie próbował sięgać po inną broń; chyba niczego więcej nie przygotował. Pozostawało mu czekać na rozwój wypadków. Z dwoma wilkołakami za przeciwników nawet z pistoletem w rękę znajdowałby się na straconej pozycji. Colin niemal słyszał myśli przemykające przez głowę Antoine'a: on sam przeciw im dwojgu. Zmartwiała w wejściu do kuchni Tin także została wrogiem, krwiożerczą bestią, która odcinała mu drogę ucieczki, z utęsknieniem wypatrując chwili, kiedy zatopi zęby w dotychczasowym opiece.

Przez moment Colina korciło, żeby zakończyć sprawę tu i teraz. Niestety, wyczuwał opór Tin. Nigdy by mu nie wybaczyła, nieważne, że zabicie Antoine'a wydawało się najbardziej racjonalnym rozwiązaniem.

- Tato, twój palec? - Tin podeszła, sięgając po prawą dłoń Francuza, lecz ten gwałtownie odsunął się w lewo.

Zamarła w pół kroku.

- Tato...

- Mój palec ma się wyśmienicie - warknął Antoine.

Nawet ona, przy całym swoim zaślepieniu, usłyszała nienawiść w głosie byłego łowcy.

- Przepraszam - mruknął Colin. - Uznałem, że lepiej będzie pogadać w bardziej przyjacielskich warunkach.

O tak, Colin był ustosunkowany do gospodarza szalenie przyjacielsko.

Tin stała między nimi bezradnie. Miała łzy w oczach. Chętnie przytuliłaby się do Colina, szukając pocieszenia, ale dla Antoine'a taki gest oznaczałby, że dokonała wyboru. Niemniej kiedyś będzie musiała się zdecydować, psiakrew.

- Nie teraz - odezwała się w myślach. - Nie dzisiaj. Postaraj się, Colin, proszę cię.

W gruncie rzeczy mu groziła. Zaciśnął zęby, tłumiąc gniew.

- Powiedziałem ci prawdę - zwrócił się do Francuza. - Szukam siostry. Do Alberta dołączyłem przypadkiem, czy raczej szczęśliwym trafem. Dzięki temu poznałem Tin. Nie zaplanowałem tego, w ogóle żadnego z wydarzeń, które niedawno zaszły. Jestem, kim jestem, nic na to nie poradzę. Ty nie dostrzegasz różnic między przedstawicielami naszego gatunku, zapewniam cię jednak, że z mojego punktu widzenia relacje są bardziej skomplikowane.

- Ach, więc gramy po tej samej stronie - mruknął z przekąsem Antoine.

Cholera, instynkt samozachowawczy powinien powstrzymać faceta przed wygłaszaniem tego rodzaju komentarzy. No, ale Colin i tak wyczułby, jakie jest jego nastawienie, Antoine zaś zdobył dosyć doświadczenia, żeby o tym wiedzieć - w końcu wychował waderę.

- Chciałbym móc ci oznajmić, że gównu mnie obchodzi, czy mi wierzysz - odparł Colin. - Niestety, ze względu na nią - skinął głową w stronę Tin - zależy mi na porozumieniu.

- Tato... - odezwała się znowu.

Francuz ją zignorował. Patrzył na Colina, wyzywająco, nie kryjąc wrogości.

- Niech cię szlag - westchnął Colin. - Masz jakieś sugestie?

- Potraktujesz mnie pazurami, jeśli nie przypadną ci do gustu?

Ciekawe, czy Antoine uświadamiał sobie, jak kusząco brzmi dla Colina ta propozycja. O tak, z miłą chęcią użyłby pazurów. Wprawdzie Tin by go za taki czyn potępiła - bo znienawidzić nie byłaby zdolna - niemniej uczyniłaby to tylko częścią swej osoby. Dla Colina zaś liczyłby się przede wszystkim fakt, że cała jej osoba pozostałaby w dobrym zdrowiu. Nie wątpił, że łowca kocha Tin i pragnie jej dobra. Problem polegał na tym, że Francuz pojmował owo dobro bardzo szczególnie.

- Nie lubię cię, Antoine - oświadczył otwarcie Colin. - Ani ci nie ufam. Gdyby decyzja należała tylko do mnie, rzeczywiście nie starałbym się załatwić sprawy rozmową. Jednak nie chcę ranić Tin, dlatego nic ci z mojej strony nie grozi.

Czy Colin nie powinien mimo wszystko uderzać w przyjacielski ton? Ach, psiakrew, Antoine nie był naiwny. Poza tym cokolwiek by mówić o uspieniu naturalnych instynktów u ludzi, dostrzegał w Colinie groźnego przeciwnika w walce o terytorium i samicę. Tak,

Francuz z pewnością się orientował, jak chętnie Colin rozszarpałby mu gardło.

Tin sapnęła cicho, więc Colin czym prędzej odegnał rozkosznie krwawe wizje.

- Jak mówiłem, szukam siostry - podjął. - Pewnym osobom moja działalność się nie podoba. Obawiam się przy tym, że... popełniłem błąd, kiedy przyjechałem tu ostatnim razem. Niewykluczone, że naprowadziłem ich... te nieprzyjemne mi osoby w organizacji... na wasz trop. Na trop Tin. Chcę ją stąd natychmiast zabrać.

- Oboje musimy wyjechać, tato - wtrąciła spiesznie Tin. - Tobie także grozi niebezpieczeństwo, Alberto mógł tu kogoś za sobą ściągnąć.

- Alberto - powtórzył wolno Antoine. - Ile wiesz o tej sprawie? - zaatakował przybraną córkę.

- Trochę jej opowiedziałem - odparł za nią Colin.

Nie powinien był się odzywać - podkreślił tylko, że tworzą z Tin wspólny front przeciw Antoine'owi. Tym sposobem faceta nie przekonają.

Inna kwestia, że Colin wolałby, żeby Antoine pozostał w Langwedocji, względnie wyjechał, tyle że w swoją stronę. Owszem, nie tak dawno uważał, że były łowca stanowi idealne rozwiązanie: zaopiekuje się Tin w czasie, gdy Colin będzie się narażał organizacji. Niemniej biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, rozsądniejsze wydawało się zostawienie Tin samej, byle dalej od przybranego tatulka.

- Nie - sprzeciwiła się ostro w myślach. - Pojadę z nim albo wcale. Nie widzisz, jak bardzo nim to wszystko wstrząsnęło?

- Widzę - warknął Colin, także telepatycznie. - I wcale mi się ten jego szok nie podoba.

W Colinie znów narastał głód, a wraz z nim gniew. Przy czym świadomość, że w lodówce pozostały tylko sery i zielenina, bynajmniej mu nie pomagała.

- Może pojadę kupić coś do jedzenia? - zapytała na głos Tin.

Jej pytanie naprawdę brzmiało: „Czy mogę zostawić was samych?”. A konkretniej, czy może zaufać Colinowi, że ten nie skorzysta z jej nieobecności, żeby zlikwidować przeciwnika.

- Jedź - mruknął Colin.

Spojrzała na niego przelotnie, a potem zatrzymała. pytający wzrok na Antoine. No tak, psiakrew. Jedynie w podtekście zwracała się do Colina, oficjalnie zabiegała wyłącznie o zgodę Francuza, jako że to on był nadal panem domu. Colin wkroczył w jego kompetencje, zarabiając u byłego łowcy kolejne ujemne punkty.

- Kup więcej, twój chłopak ma wilczy apetyt - sarknął Antoine.

Omiotła ich obu zatroskanym spojrzeniem, w myślach ponownie przestrzegła Colina

przed podejmowaniem pochopnych działań, po czym wyszła cicho, spieszenie, jakby zakładała, że dopiero po jej odjeździe dwaj mężczyźni jej życia zdobędą się na szczerą rozmowę.

Colin wsłuchiwał się w niktący w oddali odgłos silnika. Wzięła Citroena Antoine'a, a także jego pieniądze. Czy musiała na każdym kroku podkreślać, jak będzie brzmiała jej decyzja, jeśli Colin każe jej wybierać?

- Normalnie tyle nie jem - mruknął, ponieważ nic nie wskazywało na to, że Francuz zamierza pierwszy przerwać milczenie. - To przez tę ranę. Proces regeneracji pochłania dużo energii. Przy okazji... dziękuję za uratowanie mi życia.

Ledwie mu te słowa przeszły przez gardło. A kwestia rozszarpania Antoine'a wcale nie stawała się mniej aktualna dzięki wspomnianej okoliczności.

- Nie sądziłem, że ratuję ci życie - stwierdził beznamiętnie Francuz.

Jasne, gdyby minionego wieczoru Antoine znał prawdę, powbiłby wszystkie te noże i szczytce w Colina, zamiast bawić się w ostrożne wydłubywanie kuli.

- Colin? - odezwała się Tin gdzieś z drogi.

- Już się tak o niego nie bój - warknął w myślach, poirytowany.

- Och, nie. Zapomniałam ci powiedzieć, że Mat napisał. Są z Carol w Hiszpanii. Podaje ci swój zamiar na Skype'a. Będzie online codziennie między pierwszą a drugą.

- Super. Na razie nie ma nawet dziewiątej.

- Sądziłam, że się ucieszysz.

- Cholera, Tin, cieszę się, naprawdę. - Jeszcze tylko Mat był mu aktualnie potrzebny do szczęścia. Przeklęty gnojek, też wybrał sobie moment. - Po prostu w tej chwili staram się skupić na rozmowie z Antoine'em.

Tymczasem łowca przyglądał mu się z intensywną uwagą, jakby w niespodziewanym rozkojarzeniu Colina upatrywał okazji do ataku.

- Musicie stąd wyjechać - powiedział Colin do Francuza. - Przynajmniej na jakiś czas. Nie liczyłbym na to, że organizacja powita Tin z otwartymi ramionami. Wychował ją łowca, dla nich nigdy nie będzie wiarygodna. Poniekąd więc nadal ponosisz za nią odpowiedzialność.

- Wyjechać na jakiś czas. Wydaje ci się to takie proste? Zostawić winnicę Bóg wie na jak długo?

Colin wzruszył ramionami. Jasne, kasa. Czy jednak Antoine nie powinien był okazać się odrobinę bardziej przewidujący i odłożyć nieco grosza na czarną godzinę? Przecież w

każdej chwili ktoś mógł odkryć drugą naturę Tin, zmuszając ich oboje do natychmiastowej ewakuacji.

- Mam trochę pieniędzy - zadeklarował Colin bez entuzjazmu.

Bo też niewiele mu zostało. Co zrobi, kiedy przyjdzie mu się ukrywać z Emily i Tin? Niemniej na razie nie znalazł Em, natomiast Tin należało stąd wywieźć. Później zastanowi się nad tym, skąd wziąć kasę na realizację celów bardziej odległych w czasie.

- A gdybyś sprzedał winnicę? - podsunął. - Ile to by trwało?

- Ma tak obciążoną hipotekę, że mogę co najwyżej przekazać ją bankowi - odparł ponuro Antoine. - Z roku na rok interes staje się mniej opłacalny...

Nagle łowca wydał się Colinowi starym, przybitym człowiekiem. Psiakrew, facet rzeczywiście sporo dla Tin poświęcił, obecnie zaś odnosił wrażenie, że materializują się jego najgorsze koszmary. Wychował łagodną waderę w nadziei, że nigdy nie przystanie do pobratymców, tymczasem ona poczuła woń samca swego gatunku i cały trud jej opiekuna wzięli diabli.

- Wiele dla niej zrobiłeś - stwierdził Colin. - Uratowałeś ją, porzuciłeś życie łowcy, żeby się nią zająć. Jestem ci za to wdzięczny.

Francuz wpatrywał się w niego jakby w otępieniu.

- Ona także jest mi wdzięczna? - zapytał po dłuższej chwili.

- Jasne. Jak w ogóle możesz w to wątpić? Jej przywiązanie do ciebie wręcz doprowadza mnie do szału.

- Za to, że ją uratowałem?

- Ach, cholera. Nie zabiłeś jej rodziców. Tamci ich załatwili i uprowadzili Tin... - Colin urwał.

Szlag by to trafił. Jak zwykle z opóźnieniem dotarło do niego, że wyłącznie Tin ma prawo decydować, czy jej przybrany ojciec pozna prawdę o tamtym zdarzeniu. Poprawka: miała takie prawo, gdyż Colin właśnie postanowił za nią.

No, ale przecież ta kwestia ją gryzła. Chciała wyjawić wszystko Antoine'owi, lecz nie potrafiła zdobyć się na odwagę. Zatem w zasadzie Colin wyświadczył jej przysługę. Niestety, nie był przekonany, czy Tin podziękuje mu za tę uprzejmość.

Powinien ją uprzedzić, że mu się wymknęło, żeby z góry przygotowała się na nową sytuację. Zmarszczył brwi.

- Widzę, że nie miałem się o tym dowiedzieć - skomentował Antoine, nadal bardzo spokojny.

Podejrzenie spokojny, psiakrew. Albo z tym facetem działo się coś dziwnego, albo

Colinowi nawaliły czujniki - co nie było całkiem wykluczone, jeśli uwzględnić ostatnie wydarzenia.

- Nie ode mnie - mruknął Colin. - Poza tym nie najszcześliwiej wybrałem moment... Ale przynajmniej rozumiesz teraz, że ona nie ma powodu, żeby cię nienawidzić. Bo tego się nieustannie obawiałeś, prawda? Że nigdy ci nie wybaczyła i ukrywa swoje prawdziwe uczucia do ciebie? Ona cię kocha, cholera. Jak ojca.

Przespacerował się tam i z powrotem po kuchni. Dokuczał mu głód, lecz poza tym odzyskał pełnię sił. Sztucer stał oparty o ścianę przy wejściu. Gdyby Antoine spróbował go chwycić... Colin bez problemu zdołałby przemienić się i uderzyć. Zarazem na tyle późno, żeby zabicie przeciwnika stanowiło jedyne możliwe rozwiązanie.

Niestety, Francuz tkwił nieruchomo, oparty o kuchenną szafkę. Fakt, od broni dzieliło go kilka kroków, musiałby częściowo okrążyć stół - zapewne uznał, że nie ma szans. Czy Colin powinien przestawić sztucer? Psiakrew. Potarł czoło. Obiecał Tin, że nie doprowadzi do jatki.

- Wyjaśnijmy sobie jeszcze jedno - odezwał się znów Colin, żeby przerwać nieznośne milczenie. Cholera, niechby facet wykazał choć minimalną wolę współpracy! - Nie musisz jej zamykać na czas pełni. Panujemy nad sobą... tacy jak ona i ja, panujemy nad sobą po przemianie, a nawet kontrolujemy samą przemianę.

W ramach demonstracji wydłużył twarz w wilczy pysk i od razu powrócił do ludzkiego wyglądu. Francuzowi nawet nie przyspieszył puls. Gdyby nie fakt, że gość od czasu do czasu rzucał sensowne pytania i komentarze, Colin pomyślałby, że nic do niego nie dociera.

- Każdy z nas posiada nieco odmienne umiejętności w zakresie panowania nad przemianą - podjął Colin. - Generalna zasada jest taka, że pełnia wymusza transformację i wówczas trzeba ją powstrzymywać, natomiast kiedy indziej obecność księżyca na niebie wspomaga przemianę, w różnym stopniu, co zależy od fazy. Niektórzy z nas potrafią przemieniać się jedynie w czasie pełni, inni znacznie częściej. Tin... należy do tej drugiej grupy. Gdyby chciała kogoś rozszarpać, znalazłaby wiele okazji.

I znów zero emocji. Cholera, Colin dowalił facetowi informacjami potężnego kalibru, a ten pozostał niewzruszony.

- No tak - niespodzianie odezwał się Antoine. - Dirk wspominał mi przecież, że nie zawsze potrzebujecie do tego pełni księżyca... albo wręcz, że w ogóle się bez niego obywacie?

- To potrafią wyłącznie najsilniejsi, tacy jak ja - zastrzegł Colin. - Zwykle jednak

księżyc musi wzejść.

Tylko że Tin zaliczała się właśnie do grona najbardziej utalentowanych świadomych. Czy Colin powinien uzmysławiać ten fakt Antoine'owi? Może lepiej, żeby łowca myślał, że przynajmniej poza okresami obecności księżyca na niebie nic mu ze strony Tin nie grozi? Oczywiście w ogóle nic mu nie groziło, nawet w czasie pełni, ale tej prawdy Francuz ewidentnie nie chciał przyjąć do wiadomości.

- Sam nie wiem, dlaczego założyłem, że ona zmienia się tylko przy pełni - powiedział Antoine. - Wtedy była pełnia.

- Tin bezwzględnie potrzebuje księżyca do przemiany, ale jego faza nie jest istotna - zdecydował się Colin. Niewinne kłamstwo; musiał jedynie uprzedzić Tin, żeby się nie zdradziła.

- Aha.

Nie potrafił rozgryźć Francuza. Odnosił wrażenie, że spokój stanowi przykrywkę, pod którą różne sprzeczne myśli i emocje łowcy osiągnęły stan wrzenia. Dlaczego jednak Colin nic nie wyczuwał?

- To jak będzie z jej wyjazdem? - zapytał po kolejnej chwili uciążliwego milczenia. - Powinniśmy się zwijać, kiedy tylko Tin wróci ze sklepu. Nie chce się z tobą rozstawać, ale jeśli sam ją przekonasz...

- Dlaczego uważasz, że nie zamierzam z nią jechać? - wpadł mu w słowo Antoine.

Colin przyglądał mu się chmurnie. Złośliwy drań, nie odpuści wyłącznie dlatego, żeby zaleźć rywalowi za skórę.

- Nie wiem - mruknął Colin. - Ze sposobu, w jaki ją niedawno potraktowałeś, wywnioskowałem, że utraciła pozycję ukochanej córeczki tatusia. Czemu miałbyś nadal się dla niej poświęcać? Zamiast tego mógłbyś wrócić do zawodu.

- Zachęcasz mnie do polowania na swoich?

- Zachęcam cię do zostawienia jej w spokoju - warknął Colin.

- Tak, zdążyłem się zorientować. - Francuz uśmiechnął się półgębkiem.

Cholera, a jeśli Colin faktycznie wyolbrzymiał swoje zastrzeżenia wobec byłego łowcy?

Pomysł wleczenia ze sobą Tin w pogoni za kapłanami nie wzbudzał entuzjazmu Colina - zbyt niebezpieczne. Poza tym przypuszczalnie czekało go podjęcie niejednej drastycznej decyzji, a ona każdą z nich natychmiast stosownie by skomentowała. Samej także nie chciał jej zostawiać... Wprawdzie Mat się odezwał, on i Carol przebywali w Europie, tak więc Tin nie czułaby się samotna, jednak zostawianie Tin pod opieką nieodpowiedzialnego

gówniarza również niezbyt się Colinowi podobało. Wolałby, żeby Antoine zatroszczył się o bezpieczeństwo całej trójki. Czy raczej żeby Mat i Antoine patrzyli sobie nawzajem na ręce.

Tylko czy mógł na tyle zaufać Francuzowi?

- Posłuchaj... - powiedział znowu Colin. - Skoro ustaliliśmy, że wyjeżdżamy, może powinieneś zacząć przygotowania? Nie chcę ci dyktować, co masz robić...

- Więc mi nie dyktuj - poradził Antoine.

Chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie łowca oderwał się od szafki i bez pośpiechu opuścił kuchnię, nawet nie zerknąwszy na sztucer, który przez moment miał na wyciągnięcie ręki. A jeśli poszedł po inną broń? No, ale Colin nie mógł dreptać za facetem krok w krok.

Ustawił sobie krzesło tak, żeby móc obserwować zarówno wejście do kuchni, jak i oba okna. I to tyle w kwestii zaufania do Francuza.

Zatem jednak dał się omamić! Od samego początku każde słowo Tin było kłamstwem. Wmówiła mu, że zabił jej rodziców! Dzień po dniu wzbudzała w Antoine poczucie winy, które wywierało istotny wpływ na wszystkie decyzje, jakie podejmował w jej sprawie.

Wtedy, jako dziecko, nie przetrwałaby sama, dlatego nie wystarczyło, że jej nie zastrzelił - wymusiła na Antoine, żeby się nią zaopiekował. Odciągnęła go od polowania na jej pobratymców i nakłoniła do borykania się z trudami codziennego życia, tak by mogła dorastać w ciepłe domowego ogniska, bez pośpiechu rozwijając krwiożercze instynkty. Pasożytowała na nim, człowieku, jak pisklę kukułki. Wiedział, kim się opiekuje, a mimo to karmił ją, ubierał, posyłał do szkoły. Zabił dla niej łowcę!

Zabił Alberta, żeby ratować dziewczynę. Mimo tylu składanych samemu sobie obietnic, bez wahania pociągnął za spust.

Na swoją obronę Antoine nie mógł nawet powiedzieć, że zadziałał spontanicznie, zaskoczony atakiem Włocha. Przewidywał, że Alberto coś knuje. Facet miał obsesję na punkcie trucizny w jedzeniu, a wprasał się na posiłek do domu potencjalnego wroga. Oczywiście, przy kolacji zachował ostrożność: brał tylko te potrawy, które nakładała sobie Tin, a później obserwował, czy ona wkłada kolejne kęsy do ust, żuje i przełyka. Skupił się na Tin, ją podejrzewał. Ponieważ nie miał stuprocentowej pewności, uciekł się do pomocy wykrywacza. Kilka sekund, które przesądziło o jego porażce.

Gdyby Antoine nie założył z góry, że Włoch znalazł się o krok od odkrycia prawdy o Tin, nie usiadłby do stołu z bronią. Z kolei, nie mając przy sobie broni, nie zdołałby powstrzymać Alberta. Właściwie więc podjął decyzję na zimno, w chwili kiedy udał się do gabinetu po pistolet. Niby mówił sobie, że w zależności od rozwoju sytuacji strzeli do

któregokolwiek z trojga obecnych... ale w gruncie rzeczy ani przez chwilę nie brał pod uwagę, że wymierzy do Tin.

Żeby ją ratować, Antoine usunął przypuszczalnie jedynego faceta na świecie, który był w stanie zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się tej zarazy. I uczynił to w pełni świadomie. Do tego stopnia go zmanipulowała.

A jak go sprytnie podeszła później! Antoine, łowca, uratował życie dorosłemu okazowi zwierzyny. Operował to bydłę, czując wyrzuty sumienia, że ofiaruje córce złudną nadzieję, zamiast oznajmić jej wprost, że chłopak umrze. CHŁOPAK by umarł, to się zgadza.

Ani słowem nie zająknęła się na temat drugiej natury Colina. Asystowała Antoine'owi ze zrozpaczoną miną osoby, która zdaje sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, ale mimo wszystko postanawia walczyć do końca. Urodzona aktorka. Od pierwszego dnia ich znajomości wspinała się na wyżyny aktorskiego kunsztu.

Dorosła, wykarmiona jego krwawicą. Jego rękami pozbyła się Alberta, w którym widziała zagrożenie dla swojej rasy. Przypadkiem oberwał także jej samiec, ale wykazała się przytomnością umysłu i nakłoniła Antoine'a, żeby wykonał szybką operację na kuchennym stole. Do jakich jeszcze celów zamierzała wykorzystać dotychczasowego opiekuna, że nalegała na zachowanie go przy życiu?

Domyślał się, czym się kierowała. Tym razem to Antoine ją zwiódł. Opanował sztukę oszustwa równie dobrze jak ona. Czytała jego gniew, kiedy chciał go jej pokazać, potrafił jednak także zamknąć emocje głęboko w sobie. Sądziła, że nadal ma go owiniętego wokół palca, że im dwojgu przyda się taki bezwolny pomocnik.

Umiał oszukać Tin, ale to bydłę w kuchni chyba nabrało podejrzeń. Antoine powinien zadziałać błyskawicznie.

Właśnie tak? Czy poczekać, aż się z czymś zdradzą? Jeśli pragnął odkupić śmierć Alberta, musiał uzyskać od nich - od Colina - informacje, które pozwolą mu dobrać się do tej jego organizacji. Alberto miał rację: zabijanie pojedynczych egzemplarzy niczego nie zmieni, należy działać na szerszą skalę. Ostrożnie i konsekwentnie.

Ten tutaj utrzymywał, że nic nie wie o klinice, że wręcz walczy przeciw swoim. Akurat! Walczył przeciw pobratymcom tak samo, jak Tin bezwzględnie potrzebowała obecności księżycy na niebie, żeby się przemienić.

Tamtego wieczoru księżyc jeszcze się nie pokazał, a ona przybrała wilczą postać. Antoine uznał wówczas głupio, że nie liczy się faktyczny moment wschodu księżycy, ale trudny do zmierzenia wpływ pełni, oddziałującej na te bestie także na pewien czas przed pojawieniem się na niebie srebrnej tarczy. Jak mógł tak lekkomyślnie przyjąć również

brzemienne w skutki założenie?

Umiała przemienić się bez księżyca, będąc dzieckiem, tym bardziej więc potrafiła dokonać tego wyczynu teraz.

W minionych latach Antoine spał, mając tuż za ścianą zwierzynę w każdej chwili zdolną do przeobrażenia. Dręczące go koszmarne sny nie były tak fantastyczne, jak mu się zdawało. Żeby się ziszcili, Tin wcale nie musiała wyłamywać stalowych drzwi w czasie pełni. Każdej nocy mogła wejść do jego sypialni i przegryźć mu gardło. Antoine zaś wyrzucał sobie, że ostatnio zaczął sypiać z bronią przy łóżku!

Bydlak łągał mu w żywe oczy, że Tin potrzebuje księżyca do przemiany. Drań był przekonany, że Antoine nie pamięta, jak to się wtedy odbyło - albo że znalazł się do tego stopnia pod jej wpływem, że przełknie największą bzdurę. Właściwie gadka o wdzięczności Tin za uratowanie jej z rąk porywaczy także mogła być kłamstwem, sposobem na ukojenie niepokojów Antoine'a. Nieistotne, czy kłamała wtedy, czy teraz, ustami Colina. Kłamała, tylko ten fakt się liczył.

Jeszcze się okaże, kto jest lepszym kłamcą. Antoine w jednej chwili stracił wszystko, co się dla niego w życiu liczyło, ale ani myślał się poddawać. Dokładnie wybada Colina, pozna jego plany, a później uderzy najboleśniej, jak zdoła.

Zastanawiał się, dlaczego bydlak tak naciska na wyjazd, tworząc atmosferę zagrożenia. Jakby autentycznie się obawiał, że jego suce coś grozi ze strony im podobnych. Czyżby one dzieliły się na watahy, pozostające ze sobą w konflikcie? Takich szczegółów Antoine zamierzał się dowiedzieć, zanim ostatecznie pociągnie za spust.

Musiał zachować spokój, jeśli nie chciał się zdemaskować. Byleby nie przesadził w drugą stronę: miał prawo złościć się na Tin i ona będzie oczekiwać po nim takiego zachowania. Nabralaby podejrzeń, gdyby za kłamstwa odpłacił jej serdecznością. Doskonale wiedziała, jak bardzo Antoine nie znosi przewrotności.

Zachowanie dystansu nie będzie proste. Gdy na nią spoglądał, gdy przypominały mu się wszystkie lata, kiedy dzień po dniu pozwalał się jej wykorzystywać, wściekłość niemalże go zaślepiała. Dobrze, że Tin pojechała na zakupy. Musiał jak najrzadziej się do niej zwracać, jak najmniej na nią patrzeć. Chyba wytrwa w roli ich przyjaciela dostatecznie długo?

Wszedł do gabinetu, żeby się spakować. Antoine winogrodnik przestał istnieć, był snem, naiwnym złudzeniem rodzinnego szczęścia. Z tych piętnastu lat życia weźmie ze sobą tylko kilka nieistotnych drobiazgów. Simone siedziała na biurku, wyzywająco uśmiechnięta. Wygrała. Miał chęć ją uderzyć. Dawniej obawiał się, że przy okazji którejś akcji Simone go wystawi, wyprowadzając prosto pod pazury bestii, zdecydowała się jednak ukarać go w

sposób bardziej wyrafinowany.

Formalnie rzecz biorąc, Antoine nie mógł jej niczego zarzucić. Szeptala mu do ucha ostrzeżenia, kiedy pochylał się nad dziewczynką. Zignorował ją, a wręcz zrobił jej na złość. Sam był sobie winien, że wszystko tak się skończyło.

A teraz Simone znów czekała w gotowości, usatysfakcjonowana zemstą na Antoine i gotowa do nowego polowania. Nawet nie odczuła piętnastu lat przerwy, dla duchów czas nie ma takiego znaczenia. Jedna z tych bestii ją zabiła, tak więc Simone domagała się ich krwi. Antoine wiedział, że kiedy nastanie właściwy moment, ona podpowie mu kolejny ruch.

Machinalnie przeglądał zawartość szuflad. Co było warte spakowania? Wszystkie te przedmioty znaczyły coś dla innego człowieka. Dla mężczyzny, który miał córkę i żył dla tej córki, czując się szczęśliwy, mimo problemów finansowych i monotonii życia niegdyś uważanej przez niego za zmore.

Na biurku leżały dane dzieciaków, zdobyte przez Alberta. Dane, na których zależało Colinowi. Te dwie sztuki były do tego stopnia zadufane w sobie, że planowały się rozdzielić! Colin zajmie się kliniką, Tin zostanie z Antoine'em. Do tego go potrzebowała! Chciała, żeby nadal się nią opiekował, w razie konieczności zabił dla niej kolejnego łowcę lub nawet oddał za nią życie. Ich bezczelność nie znała granic.

Jeśli rzeczywiście okażą się na tyle nierozsądne, żeby się rozdzielić, Antoine będzie miał ułatwione zadanie. Skopiuje dokumenty przywiezione przez Alberta, zanim przekaze je Colinowi; dzięki temu bez trudu odnajdzie bydłaka, kiedy już uwolni się od Tin.

Nie spieszyło mu się. Simone wróciła, z nią u boku Antoine z łatwością pokona te bestie, jak robił to wielokrotnie wcześniej. Musiał jedynie poczekać na jej sygnał.

ROZDZIAŁ 10

Tin wtoczyła się do sieni, obładowana torbami.

- Czemu nie poprosiłaś, żebym ci pomógł? - zganiał ją Colin, usiłując przejąć od niej część sprawunków.

- Doniosę, nie jestem chucherkiem. Gdzie tato? - zapytała, rozglądając się po kuchni, jakby szukała śladów krwi.

- Pakuje wasze rzeczy. - Colin zdjął leżące na stole skrzydło drzwi, żeby Tin mogła postawić na blacie zakupy, i oparł je o ścianę, zasłaniając sztucer. - Dużo kupiłaś tego mięsa? - Dobrał się do pierwszej torby.

Surowe, świeże mięso, cudownie krwiste. Głód zaatakował ze zwielokrotnioną siłą. Nim Colin zdążył pomyśleć, już wgryzał się w stek, nie zwracając sobie głowy przyklejonym doń skrawkiem rozmokłego papieru.

Tin przyglądała mu się, marszcząc brwi. Miał świadomość, że nie pokazuje się jej od najlepszej strony, kiedy z wilczym pyskiem łapczywie pochłania jeden krwisty kęs za drugim.

- Nie gap się tak - mruknął w myślach. - Normalnie umiem zachować kulturę przy jedzeniu. Pierwszy raz oberwałem srebrem.

- Co ustaliliście? - zapytała na głos.

- Wyjeżdżamy - odpowiedział w wilczej mowie.

Skrzywiła się. No tak, nie dość, że po wilczemu, to w dodatku z pełnym pyskiem.

- Znowu się czepiasz - warknął w myślach. - Jedziemy jeszcze dzisiaj, jak się spakujecie.

- Właśnie - powiedziała. - Kiedy byłam w sklepie... poczułam taką dziwną woń. Niby ludzką, ale jakby odrobinę zwierzęcą.

Colin przestał jeść.

- Pewnie mi się wydawało - dodała pospiesznie. - Ostatnio zrobiłam się przewrażliwiona.

- Zapewne. - Wrzucił resztkę mięsa do pierwszej z brzegu torby. Głód nagle mu minął. - Bierzemy wałową ze sobą. Spakuj, co niezbędne, byle szybko.

- Maskowałam się. Mówiłeś, że mi to dość dobrze wychodzi.

- Owszem, ale ta waderka, pamiętasz... Jeśli jest z nimi, rozpozna cię po twojej

osobniczej woni.

Nie było czasu do stracenia. Camille, zastępująca dziś Tin w piwnicy z winami (co sama zaproponowała poprzedniego dnia, gdy w wiosce rozeszła się wiadomość o wizycie chłopaka Tin), ani chybi uprzejmie informowała każdego klienta, że na co dzień pracuje tam inna osoba, lepiej zorientowana w winnych kwestiach. Wystarczy, że agenci organizacji zajrzą do *caveau*...

Tin zaniósła zakupy do samochodu, a Colin poszedł przekazać wieści Antoine'owi. W zaaferowaniu zapomniał, że powinien mieć się na baczności - ta refleksja nawiedziła go dopiero, kiedy dziarsko wkroczył do gabinetu, a Francuz podniósł wzrok znad biurka. Na szczęście dla Colina łowca nie trzymał w ręku broni.

- Tin poczuła dziwną woń, kiedy była w wiosce - poinformował go Colin. - Przypuszczalnie już tu są. Musimy natychmiast wyruszać.

- Pomóż mi przesunąć biurko - powiedział Antoine.

Pod dwoma starymi kaflami mieściła się skrytka, z której Francuz wydobył jakieś papiery. Same dokumenty, żadnych pieniędzy.

Colin nie wnikał, co to takiego. Nie bardzo też mógł pomóc Antoine'owi w pakowaniu, bo niby skąd miał wiedzieć, co w gabinecie jest warte zabrania. Wycofał się z pokoju, żeby nie patrzeć łowcy na ręce. W duchu popędzał Francuza, coraz bardziej zdenerwowany. To przez tę przeklętą beczyność... Rzeczy Colina znajdowały się nadal w golfie, tak że on był gotowy do drogi.

Volkswagen stał w garażu, dyskretnie ukryty przed ludzkim wzrokiem. Na wypadek więcej niż prawdopodobnego zgonu Colina oficjalna wersja - przeznaczona dla wszystkich miłych sąsiadów, którzy tak błyskawicznie zwiedzili się o wizycie chłopaka Tin - głosiłaby, że młodzi pokłócili się późnym wieczorem i niedoszły narzeczony wyjechał, Tin zaś potrzebowała paru dni, żeby otrząsnąć się po brutalnym rozstaniu. Samochód Alberta się zdematerializował.

Wyruszyli w kierunku Lyonu, w dwa auta, przy czym - ku irytacji Colina - Tin zdecydowała się towarzyszyć Antoine'owi. Owszem, wolał, gdy była w oddaleniu i toczyli normalną rozmowę w myślach, niż kiedy siedziała tuż obok i czytała wprost z jego głowy wszystkie drobiazgi, które pragnął przed nią zataić. Nie podobało mu się jednak, że wybrała łowcę, bez chwili wahania, jakby nawet nie przewidywała innego rozwiązania.

A co najgorsze, torby z mięsem znajdowały się w citroenie.

- Niedługo się zatrzymamy. Tato chce, żebyśmy ustalili cel podróży - powiedziała Tin,

kiedy skierował do niej ten ostatni wyrzut.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem głodny - warknął Colin.

Zacisnął dłonie na kierownicy. Jechał jako drugi, pozwolił Antoine'owi prowadzić; w odczuciu Francuza postąpił tak zapewne po to, żeby mieć go na oku. Łowca nie wiedział przecież, że Tin i Colin porozumiewają się telepatycznie.

Zresztą i tak za dużo teraz nie gawędzili. I dobrze, niech Tin skupi się na przybranym tatusiu. Może sama wyczuje, że z gościem dzieje się coś dziwnego i przestanie oponować przeciw rozstaniu. Ten spokój Antoine'a stanowczo nie był normalny. Facet powinien mieć w głowie przynajmniej taki sam mętlik jak Colin.

Tylko czy postronny obserwator stwierdziłby, że Colinem choć odrobinę wstrząsnęły rewelacje, jakie zwały się na niego ostatnio - kwestia rzeczywistych przyczyn śmierci Godfrefa i Vivian, zlecony przez Gordona zamach czy plany, jakie kapłani snuli wobec niego? Nawet Tin uważała, że za mało się przejmuje, choć ona piła akurat do sprawy Mata. No, ale dochodziła jedenasta, do wyznaczonej przez brata godziny kontaktu zostało sporo czasu, tak że Colin nie musiał rozmyślać już w tej chwili o czekającej go rozmowie.

- Tato zadał mi właśnie dziwne pytanie - odezwała się Tin.

- Jakie?

Milczała.

- Ach, pewnie o twoich rodziców? Zamierzałem ci powiedzieć, ale z tego wszystkiego...

Jakby odłożyła słuchawkę - Colin usłyszał dźwięk przerywanego połączenia, dosłownie. Najzwyczajniej w świecie mu go przesłała.

Psiakrew, przecież nie mogła się rozłączyć! Wyłapywała jego myśli, nawet gdy ich do niej nie kierował, a miałyby się odgrodzić od bezpośrednich nawoływań?

- Tin! Tin, do diabła, sama mówiłaś, że ciąży ci to kłamstwo! Chciałaś wyznać mi prawdę, ale nie wiedziałaś jak! Wybawiłem cię z kłopotu!

Nie zareagowała. A jeśli potrafiła się wyłączyć? Ostatecznie umiała zablokować Colinowi wgląd w swoje myśli. Cholera. Miał takie spokojne życie, dopóki jej nie poznał.

Zatrzymali się po ponad godzinie jazdy, niemal w połowie drogi do Lyonu. Colin myślał, że skona z głodu. Natychmiast dobrał się do zakupów, tak że dopiero po dłuższej chwili - zdążył pochłonąć kilogram mięsa - zorientował się, że Tin ma zaczerwienione oczy.

Momentalnie ogarnęła go wściekłość. Rozszarpałby tego pierdolonego... Tin popatrzyła na niego twardo. Nie słyszał jej myśli, niemniej pojął, że nie płakała przez

Antoine'a, tylko z powodu sytuacji, w jaką wpakował ją Colin. Powinien ją chronić, przed zagrożeniami, ale także przed cierpieniem, a tymczasem nie zdołał utrzymać języka na wodzy. Zaklął w duchu.

Wytrzeł ręce w papierowy ręcznik. Nie zaspokoił głodu, ale zje resztę w trakcie dalszej jazdy, kiedy Antoine nie będzie się na niego gapił. Przerzucił torby z zakupami na siedzenie pasażera w golfie.

- Na razie uciekamy bez planu - odezwał się Francuz uprzejmym tonem. W podtekście czaiło się pytanie, czy Colin aby na pewno skończył się posilać. - Lyon i co dalej?

- Muszę skontaktować się z bratem - powiedział Colin, z namysłem ściągając brwi. - Jest człowiekiem, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Swego czasu... także naraził się organizacji i chciałbym, żebyście się ukrywali we czworo... wy dwoje, on i jego dziewczyna. Ale najpierw muszę to z nim uzgodnić, a mam zamiar tylko na Skype'a, więc około pierwszej staniemy na lunch w jakimś lokalu z dostępem do sieci.

- Na lunch. Naturalnie - zgodził się Francuz. Colin posłał mu złe spojrzenie.

- Wydaje mi się, że docelowo dobrze byłoby się przenieść do jednego z nowych krajów Unii - ciągnął. - Na przykład do Polski albo Czech. Tam... no, zakładam, że żyje się w miarę normalnie, a zarazem organizacja nie dysponuje takimi możliwościami jak w starej części.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz? - zapytał Antoine.

Z tonu jego głosu Colin nie potrafił wywnioskować, czy chodzi o zwykłą ciekawość, czy też Francuz dopatruje się w tej propozycji podstęp.

- Po pierwsze, poza tym jednym Bułgarem, który zmarł... dwa czy trzy lata temu, nie słyszałem o łowcach z tamtego regionu.

- Zachari nie żyje? - westchnął Antoine. - Porządny facet.

- Podobno rak - mruknął Colin, żeby Francuzowi nie zachciało się przypadkiem zrzucić na społeczność winy za śmierć tamtego typka. - Zmierzam do tego, że nie ma łowców z dawnych krajów socjalistycznych, a z kolei Jan i reszta paczki się tam nie zapuszczają. Czyli najwyraźniej nie zdarzają się w nich ataki zwie... - Zająknął się. Cholera, nie powinien nadal rozmawiać z Antoine'em jak łowca z łowcą. - Najwyraźniej jest tam niewielu naszych - poprawił się.

- Równie dobrze może być tak, że kiedy informacja o ataku zwierzęcia pojawia się po czesku albo po polsku, potrafią ją odcyfrować tylko osoby znające ten język, czyli, odpowiednio, Czesi i Polacy, a taki Jan nieszczególnie - oznajmiła Tin, splatając ręce na piersi. Ależ się na Colina zawzięła. - A jeśli na tamtym obszarze po prostu działa inny zespół

łowców? Wręcz lepiej zorganizowany niż ten pod wodzą Jana?

- W porządku, zatem kolejny argument - wycedził Colin. - Rozmawiałem tutaj z jedną waderą. Twierdziła, że obszary na wschodzie Europy są obecnie na nowo zasiedlane. Najwidoczniej kto z naszych mógł, wyniósł się stamtąd po drugiej wojnie światowej. Z Rosji nawet wcześniej. Nie sądzę... - Chciał powiedzieć: „żeby w jakimkolwiek kraju o policyjnym nadzorze zakładano osady”, ale się powstrzymał. Antoine i tak już za dużo usłyszał. - Alberto także uważał, że organizacja ewakuowała się z tamtych terenów.

- Jakoś nie przekonują mnie informacje od tej wadery - oświadczyła Tin.

Colin zacisnął zęby. Fakt, jego również nie powinny przekonywać, w końcu laska została podstawiona. Tylko że ona wręcz naciskała na jego wyprawę do Polski - a przecież organizacji zależało na tym, żeby Colin włączył się, nie szkodząc nikomu, czyli najlepiej po terenach, gdzie prawdopodobieństwo jego spotkania z innym członkiem społeczności wydawało się minimalne. Chcieli, żeby wyruszył do Polski, rozejrzeć się za zasiedlanymi na nowo lasami. Rajem na ziemi, jak mówiła waderka. Na nic by się nie natknął, owo zasiedlanie bowiem pozostawało na razie co najwyżej w sferze planów, niemniej żywiłby przekonanie, że intensywnie szuka siostry.

- Od upadku muru berlińskiego upłynęło trochę wody, społeczność zdążyła tam wrócić - upierała się Tin. - Jeśli w ogóle stamtąd wybyła, bo niby jak rozwiązano by wówczas kwestię nieświadomych?

- Zabijali ich - warknął Colin. Za dużo mówiła. Jeszcze trochę i tym gadaniem podpisze wyrok śmierci na Antoine'a.

Zacięła usta.

Cholera, przecież Colin nie zagroził, że osobiście zabije łowcę. Koledzy Mata wiedzieli znacznie mniej, a mimo to zginęli.

- Widzę, że ogromnie dbacie o swoich - skomentował Francuz.

Colin nie dał się sprowokować.

- Nawet jeśli społeczność zaczęła wracać na wschód - podjął cierpliwie - Alberto wspomniał, że w tych krajach przebywa stosunkowo niewielu obcokrajowców. Nie lubimy rzucać się w oczy, a zakup kilku akrów lasu i... - Psiakrew, znów prawie chlapanął o zakładaniu osad.

- Wydaje mi się, że dla naszych ciągle nie jest tam bezpiecznie, więc nie może być mowy o masowym powrocie. Zresztą wy zatrzymacie się w mieście. W tej, no... co jest stolicą Polski?

- Warszawa - odpowiedziała mu Tin. - W takim razie nie widzę powodu, dla którego

nie moglibyśmy się ukryć w Paryżu.

No tak, Colin przypomniał sobie, że wyznała mu kiedyś, jak bardzo chciałaby studiować w Paryżu. Przynajmniej zobaczyć to miasto. Jak na świadomą, miała doprawdy specyficzne marzenia.

- Paryż odpada - zawyrokował. - Alberto twierdził, że organizacja ma swoje przyczółki w największych europejskich stolicach. To znaczy starych kapitalistycznych stolicach. Kiedy chcą kogoś znaleźć, zatrudniają ludzi...

- Odkąd to wierzysz w teorie Alberta?! - wybuchła z irytacją Tin.

- Ta akurat brzmi sensownie.

- Nie, Colin, ta akurat nie brzmi sensownie. Niemniej jeśli faktycznie zatrudniają prywatnych detektywów, w Warszawie namierzą nas znacznie łatwiej, skoro tam obcokrajowcy rzucają się w oczy!

- Zgadzam się z Colinem - odezwał się cicho Antoine.

Tin natychmiast przygasła, niczym skarcony pies, Colin zaś przez chwilę miał chęć wycofać się z własnej koncepcji i przyklasnąć jej życzeniu: niech będzie Paryż. Co za skurwiel, tak sobie wytresować silną alfę! Jak Tin mogła mu się tak pokornie podporządkowywać?

- Swego czasu również powątpiewałem w teorie Alberta - ciągnąłłowca - ale tak wiele z nich się sprawdziło, że zmieniłem zdanie. Warszawa wydaje się niezłą kryjówką. Istnieje szansa, że jeszcze się tam nie zadomowiły, a zarazem w stolicy kraju należącego do Unii powinni być obcokrajowcy. Wtopienie się w tłum nie będzie aż tak trudne. Przede wszystkim zaś... życie w Polsce na pewno okaże się tańsze niż w Paryżu.

Argument finansowy przekonał nawet Tin - poprzednio tylko się poddała, nie chcąc się spierać z przybranym ojcem, teraz jednak przyznała mu rację. Jemu, nie Colinowi, mimo że, cholera, optowali obaj za tym samym rozwiązaniem.

W pierwszej knajpie, do której zajechali, nie było ogólnie dostępnego Internetu, gdy jednak Colin uśmiechnął się do dziewczyn za kontuarem, jedna z nich ochoczo zaproponowała mu skorzystanie z komputera na zapleczu. Najwidoczniej mimo wszystko zachował co nieco ze swego uroku osobistego. Odniósł wrażenie, że stojąca za nim Tin przewróciła oczami.

W trakcie minionej godziny odezwała się do niego tylko raz, tuż po tym, jak ruszyli z parkingu, żeby zgryźliwie skomentować, że jeśli Colin tak bardzo chce wywieźć ich wszystkich w miejsce, gdzie istnieje małe prawdopodobieństwo napotkania członków

społeczności, powinien był wybrać Afrykę. Albo przynajmniej Hiszpanię - w każdym razie region zbyt gorący jak na preferencje członków społeczności.

Tego, że wówczas sama by się wymęczyła, nie brała pod uwagę. Dorastała na południu Francji, bo tak zdecydował jej pieprzony opiekun, i przywykła do tortury upałów. Choć w gruncie rzeczy Colin powinien okazać Antoine'owi wdzięczność za tę decyzję: zapewne dzięki temu organizacja nie namierzyła Tin - nieświadomi instynktownie uciekają od gorąca, tak więc wędzyciele z zasady traktują po macoszemu obszary o cieplejszym klimacie.

Zastanowił się, dlaczego uparcie zakłada, że Tin coś groziło ze strony organizacji także przed laty, kiedy była dzieckiem. Wypadało raczej, żeby się wściekał, że nie zdołali znaleźć jej w porę i wychować na pełnoprawnego członka społeczności. Owszem, nie spotkałby jej wtedy, ale Tin wyszłoby to na zdrowie. Jeśli obecnie na nią polowano, działo się tak z powodu jej związku z Colinem. Znów zatem oceniał sytuację bardzo samolubnie: nie potrafił wyobrazić sobie życia w świecie, w którym ich drogi by się nie przecięły.

Mat odezwał się natychmiast, całkiem jakby od dłuższego czasu warował przy komputerze.

- „No cześć, bracie”? - powtórzył. - Tyle masz mi do powiedzenia po półtora roku?

- Nie przesadzaj, jakie półtora... - zaczął ze złością Colin, ale się zmytygował. - Nie kłóćmy się na dzień dobry.

Całe szczęście, że mógł skorzystać z zamkniętego pokoiku na zapleczu, dzięki czemu nie robił z siebie widowiska przed innymi podróżnymi.

- Siedemnaście miesięcy - powiedział Mat.

Co za uparty gnojek.

- Słuchaj, przykro mi, że się nie odzywałem. - Colin próbował mówić spokojnie, ale nie był pewien, do jakiego stopnia mu się ta sztuka udaje. - Tak się skupiłem na szukaniu Em... że ani się spostrzegłem, kiedy zleciały te miesiące.

- Ale dotąd jej nie znalazłeś.

- Nie - warknął Colin, choć to nie było pytanie. - Miałem problemy. Nie będę ci tłumaczył na odległość. Jesteście z Carol w Hiszpanii?

- W Madrycie. Oczywiście, bardzo ci przykro, że Paul, Regie...

- Przykro mi, żebyś wiedział. - Colin gniewnie wpadł mu w słowo. Na wyliczanki także nie mieli czasu. - Spotkamy się, to pogadamy. Jak szybko dacie radę dotrzeć do Lyonu? Macie kasę na podróż?

- Tak. Na szczęście Benson nie zostawił nas na lodzie. Sprawdzę połączenia. Pewnie łatwiej złapiemy tani lot do Paryża...

- Benson? - przerwał mu Colin. Jakby wrósł w krzesło. - Benson wam pomógł?

- Tak cię to dziwi? - zapytał zjadliwie Mat. - Ach, racja, łowca ratuje potencjalnego wilkołaka! Którego rodzony brat nie raczył nawet zadzwonić...

- Ale Benson? - Nie, no kurwa, przecież Colin widział trupa Jacka, czuł zapach krwi, nie mógł się pomylić!

- Zacięła ci się płyta?

Colin przywołał się do porządku. Mieli w trakcie tej internetowej rozmowy zachować najwyższą ostrożność, a nie dość, że padło nazwisko Bensona, to jeszcze Mat otwarcie zadeklarował się jako potencjalny wilkołak.

- Jest z wami w Madrycie? - zapytał Colin, siląc się na spokój. Mat nie wiedział o śmierci Jacka Bensona, trudno więc, żeby zdziwił go raptowny powrót łowcy do świata żywych.

- Nie, został w Stanach.

- Dobra, jak najszybciej przylećcie do Paryża. Pierwszym samolotem, na który dostaniecie bilety. Albo przyjedźcie pociągiem. Spotkamy się... pod Centrum Pompidou, co godzina między jedenastą a dziewiątą wieczór. Na dzień przed przybyciem przyslij mi mejla, treść bez znaczenia, tylko ani słowa na temat waszych planów.

Jakoś się znajdują. Colin nie znał Paryża za dobrze; spędził tam parę dni, żeby tutejsi łowcy nie rzucali mu zdziwionych spojrzeń - jak to, przylecieć do Europy i nie zwiedzić Paryża?! - niewiele jednak zapamiętał z tej wizyty. Miasto jak miasto, hałas, tłumy ludzi, smród spalin. Korki i totalnie zakręcony ruch uliczny, zwłaszcza na rondach.

Wrócił do stolika, podziękowawszy za uprzejmość dziewczynie za ladą. Benson. Jakim cudem? Toż przecucie ostrzegło Colina, że Benson zginie. Przecucie! Nigdy dotąd go nie okłamało.

Jednakże zaraz potem zamilkło, a w niedawnej dyskusji z Caramelem doszli do konkluzji, że owo milczenie datuje się od rozmowy z Udonem, która odbyła się... na dzień przed śmiercią Bensona. Tak, wszystko by pasowało. Łowca żył, zatem z całą pewnością to nie przecucie poinformowało Colina o jego rychłym zejściu. Albo więc Colin zasugerował się wypowiedzią stryja, albo także w tej kwestii działał zdominowany przez Udoną. Psiakrew.

- Co ustaliliście? - zapytał uprzejmie Francuz.

Fakt, Colin usiadł przy stoliku zamyślony, jakby kompletnie zapomniał o choćby kilku zdaniach relacji dla towarzyszy podróży.

- Umówiłem się z bratem w Paryżu - powiedział. - Łatwiej mu będzie dostać się tam niż do Lyonu. W Lyonie chciałbym oddać swój samochód, a ty, szczerze mówiąc, mógłbyś

wymienić Citroëna, tak na wszelki wypadek.

- Z kupnem wozu wiązą się formalności - zauważył Antoine.

Colin przygryzł wargi. Obawiał się, czy organizacja nie zna numerów rejestracyjnych Citroëna. Z kolei tracić czas w Lyonie... Ach, nie należało przesadzać. Organizacja nie zaangażowałaby policji kolejnych państw do odszukania auta na konkretnych blachach, a niby jak inaczej by ich namierzono?

Poza tym, czy nie wydawało się założeniem na wyrost, że organizacja działa aż tak sprawnie, by już szukać Citroëna? Agenci prawdopodobnie na razie nie dotarli do domu Antoine'a; być może wyjadą z wioski, nie zorientowawszy się, że tam znajdował się ich cel. Otrzymali zadanie sprawdzenia wszystkich lokalizacji w okolicy Montpellier, zajmowali się tym przypuszczalnie od blisko dziesięciu dni, tak więc czuli się zniechęceni i coraz mniej przykładali się do poszukiwań. Przy odrobinie szczęścia długo jeszcze będą się bezskutecznie kręcić po winnicach.

Colin próbował zdać Tin relację z rozmowy z bratem i podzielić się z nią rewelacjami na temat Bensona, ale zgasła go, że potajemna wymiana myśli w obecności Antoine'a jest bardzo nieuprzejma. Nie to nie. Ze złością skupił się na zawartości talerza, który właśnie postawiła przed nim kelnerka.

- Przecież lubiłeś Bensona - powiedziała Tin, kiedy znów ruszyli w drogę. Zatem przy stoliku jednak wysłuchiwała sobie wspomnień Colina z rozmowy z Matem.

- Takie pogaduszki nie są nieuprzejme? - zapytał zgryźliwie Colin. - Wyjaśniłaś tatusiowi, czym się zajmujesz, patrząc w okno?

- Przy nim nie będę rozmawiać z tobą telepatycznie. W innych sytuacjach mogę, ale jeśli nie chcesz, wyłączę się w tej chwili.

- Cholera, Tin. Chcę z tobą rozmawiać. Tylko nie rozumiem, dlaczego... No dobra. Nie przy nim, zgoda. Ale ty wtedy i tak czytasz sobie w moich myślach, natomiast sama się przede mną zamykasz.

- Poćwicz, to nie takie trudne.

Psiakrew, naprawdę jej odwaliło. Dlatego że Colin niebaczenie coś chlapnął? No, bez jaj, znalazłaby sobie lepszy powód.

- Moja sympatia dla Bensona nie ma tu nic do rzeczy - mruknął. - Nie rozumiesz? Skoro Gordon odegrał scenkę z zabiciem Jacka, to znaczy, że obaj od początku działali w zмовie. Benson zdawał mu relację z każdego mojego ruchu! Cholerny łowca. Maskujący się świadomy, ot co. Pierdolony...

- Tak, wiem - przerwała mu zmęczonym głosem. - Wystrychnął cię na dudka, a nie istnieje gorsza zbrodnia niż zamach na twoje ego.

- Czy nie mogłabyś choć raz stanąć po mojej stronie?

- Przecież stoję. Już na zawsze. I właśnie dlatego wolałabym, żebyś się zastanowił, co wynika z tych nowych faktów, zamiast rzucać mięsem.

Mięso. Colin zerknął na puste torby na przednim siedzeniu. Niedawny lunch jedynie rozbudził w nim apetyt na więcej.

- Słuchaj, Tin, naprawdę cię przepraszam, że mu powiedziałem. Nie pomyślałem...

- Wiem, że nie zrobiłeś tego celowo - odparła po dłuższej chwili. - Ale wiem też, że wcale nie jest ci przykro. Na pewno nie z powodu tego, że zawiodłeś moje zaufanie. Co najwyżej żałujesz, że nasze relacje się ochłodziły.

Ach, zatem usiłowała go sobie wychować. Wytresować. Z trudem powstrzymał się, żeby nie powiedzieć jej czegoś do słuchu. Miała rację, ochłodzenie ich stosunków diabelnie mu ciążyło. Cenił sobie rady Tin, ale pragnął także jej szacunku i podziwu. Na początku znajomości podziwiała Colina, czuł to wyraźnie. Kiedy jej nastawienie tak diametralnie się zmieniło? Co takiego zrobił? Przecież nie chodziło tylko o te parę wygłoszonych nieopatrznie zdań! Zaczęła się od niego oddalać już wcześniej.

Nie musiał się skupiać na jeździe - wystarczyło, że trzymał się kilkanaście metrów za Antoine'em, dostosowując się do jego tempa. Mógł zatem podumać nad kwestią Bensona. Wolał analizować ten temat niż rozważać, dokąd zmierza jego związek z Tin.

Benson żył, a zatem działał w zмовie z Gordonem. Przypuszczalnie o sprawie wiedział także Udo, ba, zaprogramował tamto niby-przeczcucie, a nawet odbiór przez Colina całej sceny - niewykluczone, że Colin wcale nie zwęszył wtedy woni krwi łowcy, że wszystko rozegrało się wyłącznie w jego wyobraźni. Jaki był cel tego przedstawienia? No cóż, może znajdzie się okazja, żeby zapytać o to jego głównego aktora.

Ciekawe, co na ten temat wiedział Caramel.

Psiakrew, a to przewrotny bydlak! Colin przypomniał sobie niedawną wypowiedź szczeniaka, takie pozorne przejęzyczenie... Domniemany łowca? Oficjalny łowca? Jakoś tak. Caramel sprawdzał, czy kumpel orientuje się w prawdziwej tożsamości Bensona! Wypowiedział te słowa w taki sposób, że Colin musiał zareagować - no i wyraził zdziwienie, o co chodzi z tym określeniem, tak że stało się jasne, że nie wie o Jacku.

Oczywiście. Benson zabił Patricka, brata Seana, silną alfę; dlatego członkowie straży odnosili się do łowcy z rezerwą. Caramel z kolei twierdził, że organizacja nie lubi osobników zbyt samodzielnych, niechętnych podporządkowywaniu się obowiązującym społeczności

regułom. Może Patrick coś odkrył, a może jedynie się zbuntował - tak czy owak, wydano na niego wyrok, którego wykonanie zlecono Bensonowi, świadomemu udającemu łowcę także wobec innych członków społeczności.

Colin znów sypnął wiązką przekleństw. Benson nawet specjalnie nie krył się ze swymi umiejętnościami! Byle człowiek, choćby i doświadczony łowca, zapuściłby się ot tak sobie nocą w las i w ciągu pół godziny znalazł w nim gromadkę smarkaczy? Jackowi ta sztuka udała się kilkakrotnie, a Colinowi nie przeszło przez myśl spytać, jakim cudem. Raz, no dobrze, mógł zadziałać przypadek, ale, cholera, Benson wręcz celował w namierzaniu główniarzy. Podkładał się Colinowi, ten zaś uparł się widzieć w nim rządowego agenta.

W gruncie rzeczy jedno nie wykluczało drugiego. Benson mógł być świadomym udającym agenta, który z kolei podawał się za łowcę. Czy raczej: Jack pracował dla rządu, a w rzeczywistości był wtyczką organizacji w agencji ścigającej wilkołaki. Ciekawe, komu podlegał - Gordonowi, szefowi wydziału do zadań specjalnych, jeśli takowy istniał, czy bezpośrednio kapłanom? Dlaczego pomógł Matowi? Na rozkaz rządzących organizacją czy wbrew ich zaleceniom?

Colin potarł czoło. Cała ta sprawa stawała się coraz bardziej zagmatwana. Czemu Caramel nie powiedział mu o Bensonie? W co ten cholerny szczeniak znowu pogrywał?

W Lyonie Colin oddał golfa do wypożyczalni, po czym ruszyli w dalszą drogę Citroënem.

Czuł obezwładniające zmęczenie. Minionej nocy jego organizm, zamiast regenerować siły, toczył heroiczną walkę ze spustoszeniem, jakiego dokonało w nim srebro; nic dziwnego, że Colin padał z nóg. Z ulgą legł na tylnym siedzeniu. Prowadziła Tin. Zdawał sobie sprawę, że ona i łowca także niewiele w nocy wypoczęli, najpierw zajęci ratowaniem mu życia, później - pozbywaniem się ciała i samochodu Alberta. Uzgodnili jednak, że zatrzymają się dopiero w Paryżu. Z rozkoszą zamknął oczy.

Do celu dotarli przed północą, utknąwszy po drodze w korku. Wzięli pokój w Formule 1 - ciasną klitkę z miejscami do spania dla trzech osób, poza tym prawie pozbawioną przestrzeni życiowej. Colin jęknął w duchu, kiedy zamknął drzwi, wszedłszy do środka jako ostatni. Czy łowca nie mógłby wziąć sobie oddzielnego pokoju? Colin przeżyłby ten ekstra wydatek. Nie zaproponował jednak głośno takiego rozwiązania - Tin niewątpliwie poszłaby spać do Antoine'a, a tej pierwszej nocy wołał osobiście czuwać nad jej bezpieczeństwem. Owszem, wkrótce zostawi ją samą z przybranym ojcem, ale może do tej pory wyklaruje się kwestia prawdziwych zamiarów łowcy.

Tin zmarszczyła brwi, ale nie skomentowała. Nie wypadało jej łamać własnej zasady: nie prowadzić w obecności Francuza żadnych rozmów w myślach. Colin poczuł złośliwą satysfakcję. Niemniej miał nadzieję, że Mat szybko do nich dołączy i ruszą w dalszą drogę, bo kiszenie się z łowcą w tej ciasnocie groziło tragedią.

W czwartek pojechali z Tin do centrum, zwiedzać. Tylko Colin i ona, Antoine od razu oznajmił, że woli zostać w pokoju i odpocząć. Przez chwilę Colin walczył z głupią obawą, że łowca im ucieknie. Głupią, bo byłoby to przecież wygodne rozwiązanie problemu: rozstaliby się z Francuzem bezboleśnie, Tin nie miałyby podstaw, żeby robić Colinowi wyrzuty. Niestety, właśnie dlatego wątpił, że po powrocie zastaną pusty pokój. Wredny skurczybyk łatwo nie odpuści.

- Daruj sobie - powiedziała Tin.

Zerknął na nią. Łapał się na tym, że kiedy znajdowali się obok siebie, ale akurat nie patrzył na jej usta, nie zawsze potrafił rozpoznać, czy Tin zwraca się do niego w myślach, czy na głos.

- Nie ufam mu - odezwał się tradycyjnie. - Nic na to nie poradzę.

Pod wieżą Eiffła zły humor jej minął. Koniecznie chciała wjechać na górę. Cieszyła się jak dziecko. Miejski hałas ani trochę jej nie przeszkadzał, podobnie tłumy turystów. Colin pilnował się, żeby nie zepsuć jej przyjemności - miło było patrzeć na radość Tin, słuchać jej wesołych myśli. Przynajmniej raz się dla niego otworzyła.

- Oj, Colin, czasami dobrze jest się oderwać od przytłaczających cię obecnie problemów - stwierdziła, kiedy późnym wieczorem wracali pieszo ze stacji metra do hotelu.

- Przecież nic nie mówię - mruknął.

Ale, oczywiście, w ciągu dnia nie zdołał ukryć przed nią nawiedzającej go od czasu do czasu refleksji, że oddają się głupkowatym rozrywkom, zamiast poszukiwać odpowiedzi na ważne pytania, które ostatnio zawisły nad Colinem.

- Niekiedy trzeba posłać umysł na wakacje, żeby potem lepiej działał - oznajmiła z uśmiechem Tin. - Wydaje mi się, że Caramel potrafiłby odpowiedzieć na kilka z tych twoich pytań - dodała poważniej.

- On się świetnie bawi, obserwując, jak szybko na coś wpadnę. Subtelnie naprowadza mnie na właściwy trop, pieprzony...

- Znowu zaczynasz.

- A nie jest tak? Pozuje na niewiarygodnego bystrzaka, dzieli się ze mną swoimi głębokimi przemyśleniami. Teoriami, które sam zbudował! A może wszystko podsłuchał? Ja się czuję jak kretyn, bo doznaję olśnienia dopiero, kiedy szczeniak podsunie mi rozwiązanie

pod sam nos, tymczasem on ma po prostu gumowe ucho! Choćby z tym rytuałem... Nawąchałem się krwi ojca, jasne, widocznie chodziło im o mnie. Ale jeśli jednak nie? Wolałbym, żeby Caramel oznajmił mi wprost, że to podsłuchał, albo zatrzymał genialne wnioski dla siebie, jeśli stanowią jedynie wytwór jego pracy umysłowej. Cholera. Przecież jeśli... jeśli od początku miałem odegrać w tej sprawie istotną rolę...

Wzięła go pod ramię.

- Myślisz, że intryga sięga znacznie dalej? Do twojej matki?

- To ty zwróciłaś mi uwagę, że przeczucia są w społeczności czymś wyjątkowym. Godfrey był pod tym względem tępy jak młot, podobnie jak Gordon i, ponoć, rodzice ich obu. Przymuszalnie więc odziedziczyłem tę zdolność po matce. A to może oznaczać... że zabili ją, ponieważ zobaczyła coś dotyczącego mnie i całej aktualnej sytuacji. Albo tylko zakładali, że prędzej czy później przyszłość się jej objawi. Wprawdzie akurat mnie nic się na razie nie stało, ale, cholera, jakoś trudno mi uwierzyć, że kapłanom chodzi jedynie o mój wpływ na Emily. Czego ode mnie chcą? - Potarł czoło. Gdyby poznał odpowiedź na to pytanie... wszystko by się poukładało, nawet najmniej przystające do całości elementy trafiłyby na swoje miejsce. - Tak czy owak, zginęła przeze mnie - podsumował.

- Nie przez ciebie - sprzeciwiła się Tin stanowczo. - Wiem... czuję. Moje przeczucie niekiedy tak działa: gdy dochodzę do konkretnego wniosku, informuje mnie, czy jest prawdziwy. Ona zginęła przez twojego ojca.

Colin zatrzymał się gwałtownie.

- Skurwysyn...

- Czekaj, nie w tym sensie - powstrzymała go Tin. - Twoja matka przybyła do osady z zewnątrz, najbliższą jej osobą był tam ukochany mężczyzna, któremu ufała całkowicie. Gdy nawiedziło ją przeczucie mówiące o przyszłości ich wspólnego dziecka, naturalne, że zwróciła się z tym problemem do męża. On zaś... zlekceważył ją, ponieważ dla kogoś, kto sam nie miewa przeczuć, tego rodzaju argument brzmi jak brednie przewrażliwionej matki, wszędzie upatrującej niebezpieczeństw czyhających na jej pierworodnego. Odtrącił ją, a ona... zwierzyła się innej osobie, komuś, kogo miała za przyjaciela.

Po fakcie Godfrey czuł się winny. Między śmiercią Ianthe a opuszczeniem przez nich dwóch osady minęło, zdaje się, kilka miesięcy, choć Colin nie był tego pewien - własnym wspomnieniom nie ufał, a cokolwiek usłyszał na ten temat później, mogło okazać się kłamstwem. Zapewne tuż po stracie żony Godfrey próbował wmówić sobie, że zaszedł zbieg okoliczności, czemu nikt nie jest winien - a w szczególności on nie jest winien. W końcu jednak musiał się poddać i zaakceptować fakty. Znienawidził sam siebie, a potem przerzucił

tę nienawiść na syna, jako że to właśnie Colina dotyczyło przecucie Ianthe, które przyniosło jej śmierć.

Colinowi nie podobało się takie wyjaśnienie. Nie odpowiadała mu myśl, że postępowanie ojca miało racjonalne uzasadnienie. Nie mógł dłużej potępiać Godfrey'a - sam zaczynał nienawidzić siebie za to, że stał się przyczyną śmierci matki. Wiedział też, że gdyby Tin zginęła z powodu przecucia dotyczącego przyszłości ich wspólnego dziecka, nienawidziłby tego dziecka całym sercem.

- Nie, Colin, to nie tak - zaprotestowała Tin w oszołomieniu. - Jak możesz...?

- Tin, cholera, przecież nie mamy dziecka - powiedział głupio.

Puściła jego ramię.

- Moim zdaniem - odezwała się cicho - gdyby twój ojciec zamierzał jedynie uciec od wspomnień albo przeżyć swój ból w samotności, opuściłby osadę sam, zostawiając cię pod opieką Gordona. Colin, on wywiózł cię stamtąd nie po to, żeby się na tobie mścić. Zrobił to, ponieważ pragnął spełnić jej ostatnią wolę. Ocalić cię. Nie wierzę, że cię nienawidził ani że cię o cokolwiek obwiniał. Ale nie twierdzą też, że był wspaniałym ojcem - dodała pospiesznie. - Nie wiemy, jak dokładna była wizja twojej matki. Zapewne błędził po omacku... Chciał dobrze, ale mu nie wyszło.

- I znienawidził mnie - powiedział Colin, cedząc słowa. - A ja go rozumiem. Wreszcie go rozumiem.

Może i Tin miała rację, na początku Godfreyem powodowały dobre intencje; wiadomo, co się o nich mówi. Nieistotne, czy poszło o to, że Colin za bardzo przypominał ojcu zmarłą żonę, czy w Godfreyu ostatecznie zwyciężyło przekonanie, że gdyby chłopak się nie urodził, Ianthe by przeżyła, czy, wreszcie, facet konsekwentnie starał się wypełnić wolę zmarłej, tak jak ją zrozmiał, tyle że Colin okazał się zbyt oporny. Skończyło się obopólną nienawiścią. A potem Godfrey, starszy, silniejszy, już tylko wyżywał się na synu.

- To ty go nienawidzisz - powiedziała Tin. - I uparcie szukasz dla siebie usprawiedliwienia.

- Gównu wiesz! - wybuchł. - Przestań mnie oceniać! Przestań mi wmawiać, że jestem gorszy od niego! On miał dobre intencje, poświęcił się dla mnie, a ja okazałem się niewdzięcznym gnojkiem, tak? Nie, kurwa! Dorastałaś pod okiem pieprzonego popaprańca i sama masz przez to nieźle poprzestawiane we łbie!

Milczała. Jasne. Nie chciała się z nim spierać! Ale, psiamać, nigdy nie przyzna Colinowi racji!

Odwrócił się, szybkim krokiem ruszył w bok, byle dalej od Tin, tak by nie słyszała

jego myśli. Obawiał się, że pojawią się w nich bardzo nieprzyjemne komentarze na jej temat, a w tej chwili nie potrafił ich przed nią ukryć - nawet gdy był w pełni opanowany, nadal, mimo intensywnych ćwiczeń ostatnio, nieszczerłonie mu to wychodziło. Cholera, dlaczego bez przerwy Colina oskarżała, poniżała, dowodziła mu, że jest potworem?

Zatrzymał się i odetchnął głęboko. Obejrzał się: Tin wędrowała w kierunku widocznego w oddali hotelu. Hotelu, w którym czekał łowca. Colin odetchnął raz jeszcze. Nie pozwoli jej przecież wejść samej do wspólnego pokoju, gdzie Antoine mógł na nią czekać z pistoletem w dłoni.

Niestety, Tin nie podziękuje Colinowi za tę troskę. Dla niej stanowiła ona co najwyżej kolejny argument przeciw niemu.

Ponieważ w czwartek Mat nie napisał - mejl od niego pojawił się dopiero kolejnego wieczoru - cały piątek także spędzili na zwiedzaniu, ponownie bez Antoine'a. Tym razem jednak radość Tin była podszyta smutkiem, co Colinowi, oczywiście, szalenie działało na nerwy. Pokłócili się.

Najgorsze, że Colin odnosił wrażenie, że Francuz dostrzega, jak napięte stają się wzajemne relacje ich dwojga. Celowo znów posłał ich do miasta samych. Colin zaś nie miał się do czego przyczepić - Antoine nie mącił, nie judził, ba, prawie się nie odzywał. Do Tin odnosił się chłodno, ale bez tłumionej nienawiści. I, w przeciwieństwie do Colina, nie starał się jej zranić każdym wypowiedzianym słowem.

Psiakrew. Po prostu... Colin czuł się coraz bardziej przytłoczony wnioskami, jakie mu się nasuwały. Jeśli Ianthe została zlikwidowana z polecenia kapłanów, Gordon prawdopodobnie o tym wiedział. Orientował się wszak doskonale, kto - i dlaczego - wykończył Godfreya, jego rodzzonego brata. Cóż znaczyła dla niego wadera przybyła z innej osady? Przewrotny drań, wykorzystał nienawiść Colina do ojca, żeby, prezentując się jako całkowite przeciwieństwo Godfreya, zaskarbić sobie zaufanie wychowanka. Gordon wydawał mu się takim cholernym ideałem, że nawet poznając kolejne fakty oczerniające stryja, Colin wytrwale szukał dla niego usprawiedliwień. Gotów był każdemu zarzucić kłamstwo, byleby na świetlistą postać Gordona nie skapnęła ani odrobina gówna!

Pozwolił sobą koncertowo manipulować. Nie tylko Gordonowi, bo przecież był jeszcze ten pieprzony Benson. Oraz Fish, z jego świętym oburzeniem, że straż nikogo nie zabija. Dustin na usługach kapłanów. I, na dokładkę, Caramel, który coś tam sobie zaplanował i traktował Colina jak pionek w swojej prywatnej rozgrywce. A Tin? Ona również wtrącała swoje trzy grosze, chociaż przynajmniej - Colin żywił taką nadzieję - kierowała nią

miłość do niego. Ach, do diabła z taką miłością.

Z Matem i Carol spotkali się przy jednym z wejść do Centrum Pompidou w sobotę o trzeciej. Tym razem Antoine dotrzymywał im towarzystwa - wymeldowali się już z hotelu, gotowi do dalszej podróży, kiedy tylko zjawi się dwójka dodatkowych pasażerów.

Colin starał się nadać powitaniu serdeczny ton, ale gówniarz z punktu go wkurzył. Jasne, Colin trochę dał ciała, zwlekając tak długo z telefonem do brata, ale w końcu się do niego odezwał, Mat mógłby więc nie podkreślać co drugie słowo, jaki się czuje cholernie urażony i jak bardzo obwinia Colina o śmierć swoich przyjaciół. Po prawdzie Colina ogarnęła złość na sam widok szczeniaka, jakby z góry spodziewał się po nim nieprzychylnego nastawienia. Cóż, jak się okazało, słusznie.

Chłopak zmeźniał, w każdym razie jeśli chodzi o posturę i rysy twarzy, bo zachowywał się nadal jak rozwydrzony smarkacz. Carol natomiast nic się nie zmieniła, odnosiła się też do Colina z tą samą spokojną życzliwością, jaką zapamiętał z ich poprzednich kontaktów. Przyjrzał się dziewczynie, nagle pełen podejrzeń: a jeśli miał do czynienia z kolejną waderką na usługach organizacji?

Cholera, popadał w paranoję. Przecież Mat i Carol znali się od dziecka... A może nie? Zanotował w myślach, żeby przy okazji podpytać brata o ten szczegół.

Czuł na sobie palące spojrzenie Tin. Ale nie komentowała - przecież obok stał Antoine, byłoby niegrzecznie odzywać się przy nim w myślach.

Colin przedstawił Tin i Francuzowi oboje przybyłych.

Nie ufał łowcy, teoretycznie więc nie powinien wystawiać mu własnego brata. Rozważył jednak wcześniej wszystkie za i przeciw. Skoro zdecydował się powierzyć Tin opiece Antoine'a, tym bardziej mógł zostawić z nim Mata i Carol, ludzi. Ich obecność gwarantowała Tin bezpieczeństwo, choćby ze względu na przewagę liczebną nad Francuzem, ale także dlatego, że choć Mat, z jego podejściem do społeczności, błyskawicznie dogada się z łowcą, zgodzą się tylko w kwestiach ogólnych. Gdyby Antoine postanowił rozprawić się z Tin, chłopak stanie w jej obronie. Mimo że, formalnie rzecz biorąc, Tin dysponowała bogatym arsenałem środków samoobrony, Colin powątpiewał, czy użyłaby ich przeciw przybranemu ojcu. Wolał zdać się w tym względzie na brata.

Wsiedli do Citroëna. Plan wyglądał tak: Colin pojedzie z nimi do Polski, zostawi tam całą czwórkę, a potem wróci do Niemiec z listą stu osiemdziesięciu sześciu nazwisk dzieci z próbówki. Alberto szczęśliwie miał te dane przy sobie - Antoine przeszukał rzeczy Włocha, zanim pozbył się jego ciała i samochodu.

Szczerze mówiąc, Colina nie ciągnęło do szukania dzieciaków, z drugiej jednak strony potencjalna korzyść z namierzenia eksperymentalnego okazu wydawała się znaczna, podczas gdy rodzin do sprawdzenia nie było aż tak wiele. Zwłaszcza że interesowały ich dane nie z całych dwunastu lat działalności kliniki, lecz jedynie z ostatnich pięciu i pół roku, tak długo bowiem funkcjonowało laboratorium Karala. Przy tym jeśli Colin nie zajmie się gówniarzami, stanie znów w punkcie wyjścia, przed pytaniem, jaką metodę poszukiwań siostry powinien obrać.

Cóż, zadecyduje po spotkaniu z Caramelem. Antoine, oczywiście, nie miał pojęcia o istnieniu Caramela, z kolei nowym towarzyszom podróży Colin przedstawił sprawę kliniki w bardzo okrojonej wersji: śledztwo, do którego wkrótce będzie musiał powrócić. Szczegółów im nie zdradzi, dla ich własnego dobra.

- Chwila, co znaczy, że ty wrócisz? - oburzył się Mat. Jeszcze nie napastliwie, ale dało się wyczuć, że szykuje się do ataku. - W Madrycie żyło się nam całkiem nieźle. Nie gnalibyśmy przez pół Europy, gdybym wiedział, że zamierzasz upchnąć nas oboje na jakimś zadupiu.

Psiakrew, Colin powinien był przewidzieć, że Mat nie zechce spędzić kolejnych miesięcy na beczynnym wyczekiwaniu. Niewątpliwie czuł się podle, ukrywając się, zamiast mścić kolegów. A Antoine? Czy w jego przypadku założenie, że odpuszcza śledztwo, żeby zająć się Tin, również nie wydawało się zbyt pochopne? Ostatecznie Colin wyłożył mu, że nie musi pilnować przybranej córki w czasie pełni księżyca. W dodatku to łowca miał listę z nazwiskami. Powiedział o niej Colinowi, ale mu jej nie pokazał. Diabli wiedzą, co sobie umyślił - może w ogóle nie planował powierzać tych danych wrogowi, bo przecież tym nadal był dla niego Colin.

Zerknął na łowcę. Czy Francuz zadeklarował, że zostanie z Tin w Polsce? Czy też mówił o tej podróży w podobnym kontekście jak Colin: bezpiecznie ulokuje podopieczną w Warszawie i ruszy do boju? Cholera. Jeśli Antoine nie przekaże mu tej listy... Colin będzie udupiony, gdyż ze względu na Tin nie wchodziło w grę rozwiązanie siłowe ani nawet drobny podstęp.

- Mat, dziewczyny nie mogą zostać same - powiedział Colin. - Liczę, że zgubimy ewentualny ogon, ale... A właśnie, masz komórkę?

Chłopak skinął głową.

- Nie chciałem podawać ci numeru mejlem, bo nie byłem pewien, kto tak naprawdę do mnie...

- Wyrzuć ją - przerwał mu Colin. - Resztę waszych rzeczy też.

Jeśli Benson pracował dla kapłanów, niewykluczone, że podłożył Matowi nadajnik. Ani chybi planowali wykorzystać Mata, żeby wymusić na Colinie posłuszeństwo. Całe szczęście, że Colin nie zarządził spotkania w Warszawie; obecnie agenci organizacji wiedzieli co najwyżej tyle, że chłopak przyleciał do Paryża, natomiast niełatwo przyjdzie im ustalić, dokąd się stamtąd udał.

- Pocięło cię - mruknął Mat.

Antoine właśnie zjeżdżał na parking.

- Wyjaśnij mi raz jeszcze, dlaczego laski nie mogą zostać same - zażądał Mat. - Uważasz, że będę lepszym ochroniarzem niż ona? - Wskazał Tin.

Miał na sobie ciuchy Colina, a że był od brata o głowę niższy, a także nadał, mimo że przez te kilkanaście miesięcy nabralł ciała, zdecydowanie węższy w barach i ogólnie szczuplejszy, wyglądał w nich dość komicznie, co nie poprawiało mu humoru. Carol, choć także drobniejsza od swej nowej koleżanki, w rzeczach Tin prezentowała się całkiem nieźle.

- Skoro tak nisko oceniasz własne umiejętności, dziwię się, że pchasz się do pomocy - warknął Colin.

- Musisz być taki napastliwy? - zapytała Tin.

Zerknął na nią, skołowany: mówiła na głos czy w myślach?

- Złamałam własną zasadę i odezwałam się telepatycznie przy Antoine - powiedziała, nie poruszając ustami. - Punkt dla ciebie. Następnym razem zwrócę ci uwagę tak, żeby wszyscy słyszeli.

Aż się w nim zagotowało. Uwzięli się na niego, ona, ten dumny smarkacz, łowca ze swoim ironicznym milczeniem. Tylko Carol jak dotąd nie wystąpiła otwarcie przeciw Colinowi, czort jednak wie, co sobie myślała.

- Posłuchaj, Mat... - zaczął znowu Colin, siłąc się na spokój.

- Nawet nie próbuj wyjeżdżać z gadką, że lepiej ci się pracuje, kiedy nie musisz się troszczyć o moje bezpieczeństwo - oznajmił chłopak wojowniczo.

- Jeden z nas wystarczy do opieki nad dziewczętami - odezwał się Antoine. - I tak zamierzałem zostać z Tin. Już nie te lata.

Cholera. Colin stopniowo przyzwyczajał się do myśli, że dziewczyny znajdą się w Polsce, bezpieczne pod okiem Mata, podczas gdy Francuza pochłona sprawy kliniki. Niewykluczone, że zaleciłby im trojgu zmianę adresu, natychmiast po wyjeździe jego i Antoine'a. A teraz? Przecież nie odciągnie Mata na bok, żeby wbić mu do tego zakutego łba, że byłemu łowcy nie należy ufać. Znając życie, smarkacza by nie przekonał, a Francuz

uznałby, że spiskują przeciw niemu.

- Dobrze - ustąpił Colin. - Odstawimy was do Polski, a potem...

- Po co? - przerwał mu Mat. - Jaki jest sens tłuc się tam i z powrotem?

- Mamy jeden samochód - wycedził Colin.

- No i? Tak czy siak musimy kupić drugi. Mogę się trochę dołożyć.

- Mat ma rację, wasza podróż z nami byłaby stratą czasu - odezwała się Tin.

Tym razem mówiła głośno, gdyż chłopak pokiwał głową. Zarazem dała Colinowi posłuchać swych myśli: rozważała, czy nie planował nieczystego zagrania względem Antoine'a. No bo czemu tak się upierał przy tej wspólnej podróży?

- Cholera, dobrze. - Colin znów musiał się poddać. Szlag by ich trafił, co za wspaniała praca zespołowa. - Kupimy wóz tutaj.

- Czyli wszystko ustalone? - upewnił się Antoine. - Podrzucimy ciebie i Mata z powrotem do Paryża, tam łatwiej coś znajdziecie.

Patrząc obiektywnie, wspólna jazda do Polski tylko po to, żeby na miejscu od razu się pożegnać, rzeczywiście wydawała się nonsensowna. W dodatku pięć osób stłoczonych w jednym samochodzie, przez wiele godzin męczącej podróży, kiedy wzajemne relacje od początku nie układały się najkorzystniej, to doskonała recepta na kłótnię - na jatkę, jeśli uwzględnić, że jedną z tych osób był świadomy z problemami emocjonalnymi. Psiakrew. A jednak Colinowi nie podobało się, że zostawia Tin samą z łowcą. Carol się nie liczyła, w razie kłopotów będzie bezsilna.

- Znam go znacznie lepiej niż ciebie - oznajmiła mu Tin przed odjazdem. Na głos, kiedy na chwilę oddalili się od pozostałych: Colin miał prawo pożegnać się na stronie z własną dziewczyną. - I ciebie bałam się częściej niż jego.

Super, cholernie romantyczne rozstanie. Colin gubił się w tym, o co w danej chwili Tin się boczy. Psiakrew. Czy kiedy kobieta jest w mężczyźnie prawdziwie zakochana, nie postrzega go przypadkiem jako człowieka bez skazy? Tymczasem Tin nie tylko zauważała, ale wręcz wyolbrzymiała wady Colina. Jaki z tego wniosek?

- Nie martwisz się o Carol? - zapytał brata, spoglądając w ślad za citroenem.

- A ty się martwisz o Tin? - zdziwił się chłopak. - Wydawało mi się, że znalazły się pod dobrą opieką.

- Nie ufam Antoine'owi - mruknął Colin.

- I mimo to powierzyłeś mu swoją dziewczynę? - Mat z niepokojem podążył za wzrokiem Colina. - Sądziłem, że gość jest w porządku. To znaczy, zauważyłem, że się nie lubicie, ale to mnie akurat nie zdziwiło.

Colin spojrział na brata, mrużąc oczy. Nie, nie pozwoli mu się sprowokować.

- Jest sobota - stwierdził. - Nawet jeśli kupimy samochód, trzeba będzie poczekać z załatwieniem formalności do poniedziałku.

- No i?

- Ukradniemy corollę kombi. Mam blachy i dokumenty na poprzednią.

A tak się Colinowi nie podobało, gdy to samo rozwiązanie proponował Caramel. Ach, porzucą wóz, kiedy dojadą do Drezna. Przy odrobinie szczęścia nikt ich po drodze nie zatrzyma do drobiazgowej kontroli, Caramel natomiast na pewno zdążył sobie skombinować legalny środek lokomocji.

Tak czy owak, Colin będzie musiał nawiązać kontakt z łowcami, żeby zorganizowali mu nowe dokumenty. Im obu...

- Posługujesz się swoim prawdziwym paszportem? - zwrócił się do brata.

- Benson załatwił nam brytyjskie papiery. Z unijnym paszportem łatwiej się tu żyje.

- Benson - powtórzył Colin. - Mówiłeś mi, że lecicie do Paryża?

- Nie, nie miałem z nim ostatnio kontaktu. Co ci się znowu nie podoba?

- Ciebie nie dziwi, że tak ochoczo wam pomaga? Pieniądze, dokumenty?

- Facet poczuł się za nas odpowiedzialny, ponieważ wciągnął nas w tę sprawę. Chociaż rozumiem, że może się to wydawać dziwne komuś, dla kogo rodzony brat...

- Skończ - warknął Colin. - Benson jest agentem organizacji. Pójdę o zakład, że doskonale wiedział, co czeka twoich kumpli.

Mat milczał chwilę, zaszokowany informacją, po czym zaczął się domagać szczegółowych wyjaśnień. Colin wprawdzie strzelał trochę w ciemno, ale czy Benson, pracując dla organizacji, mógł nie orientować się, czym się skończy zaangażowanie smarkaczy w tamtą akcję? Psiakrew, niewykluczone, że sam upozorował wypadek Paula i pozostałych.

Czy Fish znał prawdziwą tożsamość łowcy? Wtedy musiałby także wiedzieć, że Patrick zginął z wyroku organizacji, i całe jego szczere oburzenie na postępek Jacka byłoby pozą na użytek innych członków straży. Mimo wszystko Colinowi nie wydawało się, żeby lider straży posunął się do takiego zakłamania. Cholera, Patrick był kuzynem jego dziewczyny! Bratem jednego z jego podwładnych. Nie, Fish nie wiedział o roli Bensaona.

Niemniej jeśli liderowi straży nie wspomniano o podwójnej - lub nawet potrójnej - grze Jacka, wynikało to z zamyślenia organizacji do tajemnic, nie zaś z troski o jego sumienie. Fish otrzymał określone zadanie do wykonania: uspić nieświadomych. Za resztę odpowiadał ktoś inny. Gdyby z jakichś względów Fish poznał prawdę o Bensonie, zachowałby tę rewelację dla siebie, wraz z wypływającymi z niej wnioskami. Ani na jotę nie

zmieniłby swego zachowania wobec Ady i pozostałych. Szybko też znalazłby usprawiedliwienie dla takiej postawy.

- Nie wierzę ci! - oznajmił Mat. - Odzywasz się po półtora roku i z miejsca zaczynasz wieszać psy na facecie, który Carol i mnie uratował życie!

- Nie chcesz, to nie wierz - warknął Colin. - Po prostu nie wspominaj Bensonowi, gdzie są dziewczyny. Dobra, bierzmy się do roboty. Szukamy auta i jedziemy do Drezna, spotkać się z Caramellem.

- Z Caramellem? To ten w wilczej skórze?

- Obecnie wrócił do ludzkiej postaci.

- Domyślam się, że wolał się przelecieć w fotelu niż w klatce pod pokładem - skomentował Mat. - Dlaczego nic nie mówiłeś?

- Żeby Antoine nie wiedział za wiele.

- Aha. A mnie czego jeszcze nie powiedziałeś? Nagle zacząłeś się obawiać, że nadmiar informacji okaże się dla mnie niebezpieczny?

- Opowiem ci o wszystkim w czasie jazdy - mruknął Colin.

Musiał się zastanowić, ile wyjawić szczeniakowi. Argument, że nadmiar informacji zaszkodzi chłopakowi, rzeczywiście nie brzmiał sensownie - Mat wiedział dostatecznie dużo, żeby znaleźć się na celowniku organizacji. Jeśli go nie załatwili, to dlatego, że mieli wobec niego określone plany, których nie zmienią z powodu kilku dodatkowych szczegółów, jakie przekaze mu Colin. Pytanie jednak: czy wiedzy na temat eksperymentów szczeniak nie wykorzysta przeciw społeczności? Mat pragnął przecież pomścić kumpli.

Druga sprawa: czy Colin powinien dzielić się z Matem nowymi teoriami na temat przyczyn śmierci rodziców chłopaka? O tak, szczeniak na pewno zapala do niego nagłą braterską miłością, kiedy usłyszy, że ich ojciec zginął, żeby Colin nawdychał się zapachu jego krwi, a matka Mata wyłącznie dlatego, że Udo chciał sobie użyć.

Problem w tym, że można się było spodziewać, że Caramel się z czymś wychyli.

Miały Antoine'a za naiwniaka pierwszej wody. Brat zwierzyny byłby człowiekiem! Jak przy tym udatnie te dwa samce pozorowały wzajemną niechęć. Lecz Antoine także świetnie odegrał swoją rolę: bydlaki zaufały mu na tyle, by powierzyć jego opiece swoje dwie suki.

Oficjalnie Carol także była człowiekiem. Antoine nie zamierzał tego sprawdzać - wtedy w kuchni Colin nie zareagował na wykrywacz, zatem prosek i tak nie dostarczał jednoznacznej odpowiedzi. Zastanawiał się, czemu Alberto go użył - na pewno wiedział, że

nie każda sztuka kicha po jego rozpyleniu. Może liczył, że jeśli Tin nie kichnie, zdradzi się zachowaniem, kiedy rozpozna wykrywacz?

Carol jednak z pewnością została przez nie uprzedzona, że ma się pilnować. Zresztą zasługiwała na śmierć bez względu na wynik ewentualnych testów: nawet jeśli była człowiekiem, sprzyjała zwierzyń. Nieistotne, czy pomagała im całkowicie z własnej woli, czy też dała się omamić, jak niegdyś Antoine. I tak szkoda byłoby mu czasu na próby otwarcia jej oczu. Po sobie widział, że nie jest to proste zadanie.

Wpakowały się obie na tylne siedzenie Citroena i rozmawiały cicho, słyszał jedynie fragmenty zdań. Dwie dziewczyny, które dopiero się poznają, choć już połączyła je nić wzajemnej sympatii. Antoine przyjrzał się Carol w lusterku wstecznym. Ciemne włosy, ciemne oczy. Wyglądała na zwierzyńę bardziej niż Tin.

- ...przeżył śmierć naszych przyjaciół - tłumaczyła Carol. - ...odpowiedzialny. Nie może się... czy jest... czy bardziej jednym z was.

Antoine nie wątpił, że rozmowa toczy się wyłącznie na jego użytek. Chciały, żeby nabrał przekonania, że Mat naraził się ichniej organizacji i pała do niej nienawiścią. A także, że jako brat wilkołaka, a zarazem człowiek, czuje się rozdarty pomiędzy dwoma obozami. Specjalnie mówiły tak cicho: niby że padające z ich ust kłamstwa wcale nie były przeznaczone dla uszu Antoine'a.

Dobrze, że wstrzymał się z działaniem. Nawet jeśli nie wyrwie im żadnych tajemnic, przynajmniej załatwi dwie sztuki więcej. Lub, niech będzie, dwoje ludzi entuzjastycznie nastawionych do zwierzyń. Alberto uważał, że ludzcy fani są wręcz gorsi od tych bydlaków. Ostatecznie one się takie rodzą, poniekąd więc nie ponoszą winy za to, czym są. Natomiast każdy człowiek ma wybór. Antoine coraz lepiej rozumiał Włocha. Prawdziwe zagrożenie tkwi właśnie w ludziach skłonnych pomagać tym bestiom.

Czekał na sygnał od Simone. Nie pojawiła się, odkąd opuścili Langwedocję, widocznie więc nie nastąpiła jeszcze pora działania. Niech tamci dwaj ruszą sprawę kliniki, niech skontaktują się z członkami swojej watahy; może dojdzie do starcia między bestiami z wrogich obozów i pozabijają się nawzajem. Szkoda byłoby im w tym zawczasu przeszkodzić.

Niespiesznie wiózł zatem ich suki do Polski. Wydawały się zrelaksowane, przekonane, że nic im z jego strony nie grozi. Choć niekiedy Antoine czuł na plecach badawcze spojrzenie tej drugiej. Potrafił oszukać Tin, ze zwodzeniem innych radził sobie, niestety, gorzej.

A może do głosu dochodziła jedynie ich wrodzona nieufność wobec obcych? Pocieszył się tą myślą. Nie chciałby spalić obiecującej akcji z tak błahego powodu.

Widocznie Simone zależało na tym, żeby Antoine dotarł do Polski. Czyżby bydlaki

okłamały go również w tej kwestii, tak że zamiast na tereny wolne od ich wpływów, pchał się w samo serce watahy? Nie wykluczał, że postanowiły wkupić się w łaski szefów, dostarczając im byłego łowcę. Swego czasu dał zwierzynie nieźle do wiwatu, tak że starsze sztuki zapewne pałały żądzą zemsty.

Ani przez chwilę nie wątpił, że ubiegnie ich atak. Uderzy, kiedy tylko te dwie bestie wystawią mu swych pobratymców. Wykończy ich tyle, ile zdoła. Czekala go prawdziwa bitwa, ale wierzył w zwycięstwo. Zostaną same niedobitki, tych nie będzie ścigał. W zamian odnajdzie Colina i jego brata - zaczai się na nich pod domem jednej z rodzin z teczki Alberta. Chyba że sami wejdą mu pod lufę, kiedy się zorientują, że ich sukrom coś się stało.

Gniew całkowicie mu minął. Antoine stanowił w tej chwili uosobienie spokoju, niczego nie musiał udawać. Wrócił do zawodu, ta decyzja przyniosła mu niebywałą ulgę. Powinien był ją podjąć lata temu. A właściwie nigdy nie powinien był odchodzić. Alberto także w tym względzie miał słuszość: wypełniali misję, która nie zostawiała miejsca na życie prywatne, nie mówiąc już o porzucaniu sprawy po to, żeby wychować jedną z bestii. Niewiarygodne, że Antoine okazał się tak głupi. Jakby swoimi niebieskimi oczami Tin rzuciła na niego urok.

Jednak otrząsnął się z tego otumanienia. Wreszcie bez problemu ogarniał całokształt sytuacji. Nie da się ponownie zwieść, żadnemu z nich.

ROZDZIAŁ 11

Nim się rozstali sześć dni temu, Colin ustalił z Caramellem, że codziennie o dziesiątej szczeniak będzie na niego czekał w knajpie w Dreźnie, tam gdzie ostatnio jedli wspólnie obiad. Choć Colin i Mat musieli pokonać ponad tysiąc kilometrów, żeby dotrzeć na miejsce spotkania, stawili się tam punktualnie o dziesiątej w niedzielę; Caramel przybył dopiero o wpół do jedenastej, nie sprawiając przy tym wrażenia osoby gnającej na złamanie karku.

- O - powiedział na widok Mata. - Co za niespodzianka. A gdzie Tin?

- Wyjechała - warknął Colin. - Nawet nie próbuj pytać, dokąd.

Mat przyglądał się Caramelowi z wrogą miną. Jasne, przecież miał przed sobą ni mniej, ni więcej, tylko kolejny okaz krwiożerczego potwora... Colin upomniał się w duchu. Ostatecznie nie dałby głowy, czy taki sposób myślenia o Caramelu nie jest w pełni uzasadniony.

- Jak ci minął tydzień? - zagadnął Colin.

- Nie narzekam. Mają tu ładne zabytki i bardzo przyzwoite żarcie.

- Cholera, Caramel.

Caramel podrapał się za uchem, spoglądając wymownie na Mata.

- Wtajemniczyłem go w szczegóły śledztwa - mruknął Colin.

Tym razem on zarobił wymowne spojrzenie: zapewne chodziło o to, że powtarza stare błędy, bo już raz swoim gadulstwem ściągnął na Mata kłopoty. Tyle że właśnie dlatego obecnie nie musiał przejmować się kwestią zachowania tajemnicy. Natomiast, jeśli wziąć pod uwagę bezpieczeństwo społeczności Caramel swego czasu chełpił się, że ma je w głębokim poważaniu, nie powinien się więc czepiać.

- Przywiozłem dane dzieciaków, Alberto je zdobył - pochwalił się Colin, żeby utrzyć gnojkwowi nosa.

Pokrótkie zrelacjonował kumpłowi zajścia w Langwedocji, wspominając także o postrzale: jego zdaniem ból po oberwaniu srebrną kulą był wprawdzie koszmarny, ale nasłuchawszy się opowieści Caramela, Colin spodziewał się czegoś znacznie gorszego. Choć, fakt, od razu stracił przytomność - tę refleksję zachował jednak dla siebie.

Przerwali na chwilę rozmowę i złożyli zamówienie.

- Pokaż ten spis - zarządził Caramel po odejściu kelnerki.

- Mam go w wozie. Właściwie to nie spis, ale wydruki i ksera kart pacjentów, gruba teczka - doprecyzował Colin. - Alberto posegregował je landami, ale przydałoby się wrzucić draństwo w Excela i przerobić na listę.

- Są w tym zestawieniu dzieciaki z Drezna? - zapytał Caramel.

- Może i są. Najpierw, skoro mojej relacji już wysłuchałeś, odpowiedz mi wreszcie, co porabiałeś w minionym tygodniu.

- Ach, widzisz. - Caramel się zadumał. - Jedni lubią rozpowiadać o swoich osiągnięciach na prawo i lewo, inni starannie dobierają sobie grono słuchaczy. - Z szerokim uśmiechem spojrział na Mata.

- Spoko, zostawię was na chwilę, pogadajcie sobie od serca - powiedział chłopak kwaśno.

Wstał od stolika i powędrował do toalety. Odprowadzili go obaj wzrokiem. Aż dziwnie brał, że szczył wykazał się takim wyczuciem sytuacji.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki na niego patrzysz - stwierdził Colin, zanim zdążył się dobrze zastanowić. Ale tak właśnie było: przed chwilą w spojrzeniu Caramela czaiło się coś dziwnego. I ten jego istic wilczy uśmiech...

- Jak patrzeć? - Caramel uśmiechnął się przyjaźnie. - Z niedostatecznym uwielbieniem? Bracie, powinienes zerknąć w lustro, kiedy z nim rozmawiasz.

- Nie bratuj mi tutaj - warknął Colin.

- Nie wydaje ci się, że w gruncie rzeczy my dwaj jesteśmy bardziej braćmi niż ty i on? - zagadnął leniwie Caramel. - Mat nie należy do naszego świata. Nie powinno go tu być. *Danke schön* - zwrócił się do kelnerki, która właśnie przyniosła napoje.

- Ciągle zbaczasz z tematu - wycedził Colin, kiedy dziewczyna już sobie poszła. - Przywiozłem ci nazwiska tych dzieciaków. W zamian oczekuję odpowiedzi, co ustaliłeś przez ostatni tydzień.

- Niech ci będzie. Namierzyłem ich agenta.

- Namierzyłeś agenta? - Colin ściągnął brwi. - I gdzie on teraz jest?

Psiakrew, już się domyślał. Caramel znów się uśmiechnął.

- W przeciwieństwie do Becky, typek okazał nieprzyzwoicie umiarkowaną chęć współpracy - stwierdził.

- Więc jak będzie? Zostawiasz mi te dane i jedziesz szukać siostry?

Czy Caramel właśnie delikatnie dawał do zrozumienia, że zabije Mata, jeśli Colin nie zastosuje się do jego „prośby”?

- Ty wiesz, czego dotyczyły badania Karala - powiedział wolno Colin. - Od tego gościa tutaj. Albo nawet od Becky.

- Albo tylko się domyślam - podsunął uczynnie Caramel.

- Wiedziałeś, że kumple Mata nie żyją - ciągnął Colin. - A także, kim był, czy raczej kim jest Benson.

Caramel nieznacznie się skrzywił.

- W przeciwieństwie do niektórych, czasami zaglądam do Internetu - stwierdził. - Potrafię też wyciągać wnioski z tego, co się wokół mnie dzieje. Ale nie chciałem, żebyś się rozkojarzył. Nie zaprzeczysz, że sprawa kliniki jest odrobinę bardziej aktualna niż wypadek kumpli twojego brata?

- Nie chciałeś mnie rozkojarzyć? - wycedził Colin. - Więc po cholere raczyłeś mnie swoimi teoriami na temat śmierci Godfreya?! Po cholere te opowieści o Fishu, Dustinie...

- Masz rację - wpadł mu w słowo Caramel. - Nie chciałem, żebyś się rozkojarzył JESZCZE BARDZIEJ.

Colin z chęcią zaatakowałby gnojka, tutaj, teraz, nie bacząc na gości przy sąsiednich stolikach. Tylko że Caramelowi przypuszczalnie o to chodziło: dowiódłby tym sposobem słabości przeciwnika. Jak powiedział, bez problemu przetrwałby w świecie, w którym ludzie w każdym upatrywaliby wilkołaka. Colin także by przetrwał, ale już na przykład Tin... Ona reagowała na wykrywacz. A Emily? O tak, Colin miał do stracenia znacznie więcej.

Pospiesznie założył przeciwsłoneczne okulary, które Tin kupiła mu w Paryżu. W ogóle nie powinien był ich zdejmować.

Sprawa kliniki była Colinowi w zasadzie obojętna. Nawet Mat wyraził zdziwienie, kiedy Colin, opisując bratu sytuację, posłużył się słowami Caramela o argumencie przetargowym: kapłani mieliby oddać im Emily tylko dlatego, że zagrozą ujawnieniem prowadzonych przez organizację eksperymentów? Przecież jeśli Colin chciał zaszantażować kapłanów tym, że odkryje przed światem istnienie społeczności, wystarczyłoby, żeby oświadczył, że przemieni się publicznie. Owszem, w dobie efektów specjalnych większość naocznych świadków uznałaby ów pokaz za element kampanii reklamowej przed wprowadzeniem na rynek nowej marki napoju energetyzującego, ale w końcu ludzie by uwierzyli. Wystarczyłoby odpowiednio wszystko rozegrać.

Mat nie zaprotestuje, jeśli zostawią Caramelowi szukanie dzieciaków. Chłopak szybko stracił zapał do tego śledztwa, a przy tym chyba już się zorientował, że współpraca z Caramelem nie ułoży się pomyślnie.

- Pogadajmy o mnie - odezwał się Colin z wymuszonym spokojem. - Ile wiesz na

temat mojej roli w tej sprawie?

Miał pełną świadomość, że nie zdoła zmusić Caramela do mówienia. Szczeniakowi na nikim nie zależało, kierował się wyłącznie pragnieniem dobrej rozrywki - jakiej dostarczyłby mu chociażby atak Colina na niego w miejscu publicznym.

Gówniarz uśmiechał się, wyraźnie rozbawiony tą sytuacją.

- Powiedziałem ci wszystko - oświadczył z absolutną szczerością.

A przecież niezaprzeczalnie kłamał. Pokazywał Colinowi, jak doskonale potrafi to robić.

- Dziecinne gierki - mruknął Colin. - Dustin miał rację, na każdym kroku szukasz sposobów, żeby się dowartościować.

- Nie poznaję cię - oznajmił Caramel serdecznie. - Taki spokój... Ach, wiem. Całą złość wyładowujesz na nim. - Uczynił głową gest w stronę toalet; Mat właśnie zmierzał z powrotem do stolika.

- Porządnie oberwałem od Alberta - powiedział Colin. - Od tamtej chwili czuję się jak nowo narodzony.

Rzeczywiście, gdyby toczyli tę rozmowę kilka dni temu, Colinowi pod wpływem prowokacji Caramela wydłużyłby się pysk. Choćby ostatecznie powstrzymał się przed całkowitą przemianą i atakiem na szczeniaka, sensację wywołałby tak czy inaczej.

Zarazem Caramel słusznie zaobserwował, że na brata Colin nadal reagował nieopanowanym gniewem, który zresztą wezbrał w nim od razu, kiedy tylko Mat zbliżył się do stolika. Co ten szczyl w sobie miał?

- Czy już mogę do was dołączyć? - zapytał Mat. - Wymieniliście się tajnymi informacjami? - Usiadł, nie czekając na odpowiedź.

Caramel po raz kolejny zmierzył chłopaka nieprzyjemnie wymownym spojrzeniem. Jakby oglądał kurczaka, oczyma wyobraźni widząc go już w potrawce. Mat poruszył się niespokojnie. Przeniósł wzrok z Caramela na Colina.

- Kurczę, czemu się tak...? - zaczął.

- Zbieramy się, Mat - powiedział Colin, podnosząc się z krzesła.

- Dopiero zamówiliśmy... - zaprotestował Mat, niemniej także wstał. - Kurde, co jest z wami dwoma.

- Racja, Mat, klapnij sobie - zachęcił Caramel. - Zjedzcie, szkoda, żeby się zmarnowało. Colin i tak miał iść po tę teczkę.

Colin wahał się przez krótką chwilę, po czym na powrót zajął miejsce przy stoliku.

- Dam ci ją, kiedy wyjdziemy.

Nie zostawi Mata sam na sam z Caramelem. Ten drugi popukał paznokciami po nakrytym obrusem blacie. Jakby akcentował, jak niewiele trzeba, żeby wyrosły mu spod nich pazury, którymi rozpląta Matowi gardło.

Kelnerka przyniosła talerze, na moment rozładowując atmosferę. Mat odruchowo odsunął się od Caramela, ale przecież w razie czego te kilka centymetrów by go nie uratowało. Czy Colin by zdążył?

- No dobra, więc jaki mamy plan? - odezwał się chłopak, z wahaniem zabierając się do śniadania. - Caramel zajmie się szukaniem dzieciaków, a my...

- ...pojedziemy sobie do Skandynawii - dokończył za niego Colin. Nie ruszał swojego jedzenia, nie chciał się rozpraszać.

Caramel spokojnie chwycił nóż i widelec. Cholera, może Colin przesadzał? Przecież kumpel nie zabiłby mu brata tak bez powodu - bez najmniejszej prowokacji ze strony Mata, jedynie po to, żeby czegoś tam Colinowi dowieść. Caramel po prostu się z nim bawił, stwarzał pozory, że byłby zdolny tak postąpić, choć naprawdę nie planował tego rodzaju akcji. Colin wolno sięgnął po sztucce. Jeśli Caramel tylko sobie z nim pogrywał, miał nie lada ubaw z jego przesadnej ostrożności. Sukinsyn.

- Sądziłem, że Skandynawię już starannie przerobiłeś - odezwał się Mat. - To znaczy, pamiętając, co mówiłeś na temat waszych cech, kiedy przeanalizowaliśmy z Carol różne podania i mity, od razu uznaliśmy...

- Jasne, to oczywisty typ - warknął Colin. - Zbyt oczywisty.

- Chcesz powiedzieć, że dotąd tam nie byłeś? - zdziwił się ostrożnie chłopak. Zaczynał się Colina bać, kretyn. - Przecież nawet imię naszego ojca, Godfrey... czy nie można go wywieść od *Frey godi*, co tłumaczy się jako „kapłan Freya”? Albo, całkiem dosłownie, „bóg Frey”, a więc...?

- To nie było jego prawdziwe imię - przerwał mu znów Colin.

Ukryte za ciemnymi szklami oczy przebarwiły mu się już dawno, obecnie walczył, żeby powstrzymać wydłużanie się zębów. Caramel uśmiechnął się kącikiem ust.

Dlaczego, psiakrew, brat doprowadzał Colina do takiego szału? Ponieważ rozumował logiczniej od niego? Colin przyjrzał się chłopakowi spod oka.

Godfrey. Jasne, o to chodziło. O ile Emily wdała się w matkę, o tyle Mat zdecydowanie przypominał ojca. Może nie był z niego wykapany tatuś, ale podobieństwo rzucało się w oczy, znacznie bardziej teraz, kiedy smarkacz zmężniał, niż półtora roku temu. Właściwie dopiero teraz - zapewne dlatego Colin odkrył je z takim opóźnieniem.

Nienawidził Godfrea i odruchowo przelewał te uczucia na Mata. Nawet obecnie,

kiedy pojął, z czego wynika jego nastawienie do chłopaka, zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się go zmienić. Przeciwnie, jeśli z wiekiem Mat będzie się coraz bardziej upodabniał do ojca, któregoś dnia Colin nie zdoła nad sobą zapanować. Brat powie coś - rzuci banalną uwagę, irytującą, ale nic poza tym - a Colin zareaguje ślełą furją. Opamiętanie przyjdzie dopiero po fakcie.

Mat zamilkł, jakby się zorientował, że Colinowi niewiele brakuje do wybuchu. Nie zapytał, jak faktycznie nazywał się Godfrey, nie skomentował, że skoro ojciec sam wybrał sobie takie imię, tym bardziej należało doszukiwać się w nim ukrytych znaczeń. Cholera.

Zjedli, Caramel zapłacił, wyszli przed restaurację. Colin wręczył kumpłowi teczkę z danymi pacjentów i rozstali się w pozornej przyjaźni. Zresztą, diabli wiedzą, może Caramel wcale mu nie groził, a tylko Colin wszystkich wkoło podejrzewał o intencje, których w gruncie rzeczy powinien szukać u siebie?

- Dałeś mi jedyną kopię - powiedział Mat, kiedy ruszyli spod knajpy.

Kierunek: Kopenhaga. Dziewięć godzin, jeśli nie utkną w korkach. Mimo dwóch dni odpoczynku w Paryżu, Colin nadal czuł się wycieńczony po langwedockiej przygodzie. Mat także miał podkrążone oczy. Minionej nocy każdy z nich spał zaledwie po parę godzin, kiedy zmieniali się za kółkiem. Powinni się zatrzymać w motelu na trasie i kontynuować podróż dopiero nazajutrz rano. Problem w tym, że Colin coraz bardziej powątpiewał, czy zniesie towarzystwo brata.

- Sam się plułeś, że szukanie dzieciaków mija się z celem - odparł wolno.

Uwaga Mata była w pełni uzasadniona, Colinowi zaś momentalnie poczerwieniało przed oczami, co najmniej jakby silny samiec alfa w obraźliwych słowach rzucił mu wyzwanie. Chłopaka trzeba będzie wysadzić w Berlinie. Marne dwie godziny jazdy, tyle Colin wytrzyma.

- Generalnie tak, ale zakładałem, że ułożyłeś sensowny plan awaryjny - stwierdził Mat.

Nie potrafił się zamknąć?

Właśnie że Colin miał sensowny plan, psiakrew. Jego przecucie odzyskało głos. Fakt, na razie przemówiło tylko raz, kiedy kazało mu jechać do Dundee, ale wierzył, że odezwie się ponownie, gdy Colin stanie w miejscu w ten lub inny sposób związanym z Emily. Zamierzał też poprosić Tin, żeby nieustannie wsłuchiwała się we własny wewnętrzny głos. Był pewien, że trafi na trop, i to stosunkowo szybko.

- Sądysz, że rzeczywiście eksperymentują na nieświadomych? - podjął Mat, kiedy Colin milczał. - Zastanawiałem się i... i doszedłem do wniosku, że właściwie jedyną ich

cechą, na której mogłoby wam zależeć, jest podatność na dominację. Tak jak Udo wpłynął na ciebie... Gdyby się wam udało produkować ludzi, którzy tylko tym różniliby się od przeciętnego człowieka, że słuchaliby bezwolnie waszych rozkazów...

- Nie „naszych” - wycedził Colin. - Ich rozkazów, Mat.

- Kurde, Colin, dziwnie się zachowujesz. Jak... no, jak pieprzony wilkołak. W takim klasycznym wydaniu.

- Skończ.

- Bo co? Rzucisz się na mnie? - Chłopak niechybnie planował odezwać się wyzywającym tonem, ale głos mu zadrżał. Tchórzliwy gnojek.

- Wiesz, że psy chętniej atakują, kiedy wyczuwają strach?

Dlaczego Colin to powiedział? Nawet nie zdążył się zastanowić, słowa same mu się wymknęły. Zaraz potem zaświtała mu myśl, że powinien przeprosić Mata - a jednak zmilczał.

Mat odsunął się, opierając się bokiem o drzwi pasażera. Gówniarz autentycznie się go bał. Co za skunks. W Stanach Colin nie odbierał brata w ten sposób. Chłopak tak się zmienił po śmierci kumpli? Wreszcie pojął, z kim ma do czynienia?

No właśnie, z kim? Colin zerknął we wsteczne lusterko. Ciemne szkła przesłaniały mu oczy, był jednak pewien, że są bursztynowe. Rysy twarzy Colina się wyostrzyły, jakby miały się lada moment przekształcić w wilcze. Przeciągnął językiem po zębach, także zbyt ostrych jak na ludzkie.

Konfrontacja z Caramelem dziwnie pobudziła Colina, tam w knajpie jego organizm spał się do walki, teraz zaś owa negatywna energia szukała ujścia. Przecież spędził z Matem w wozie całą noc, a nie reagował na niego w ten sposób. No, ale fakt, że przez większość tego czasu jeden z nich spał z tyłu - złożyli tylne siedzenia, powiększając przestrzeń bagażową tak, żeby dało się tam umościć wygodne legowisko. Prowadząc lub drzemiąc, Colin zapominał o obecności brata.

Teraz Mat siedział w wozie z wilkołakiem u progu przemiany, który do tego nieraz dawał do zrozumienia, że - mimo łączącego ich pokrewieństwa - nieszczególnie za szczeniakiem przepada. Psiakrew, tylko kretyn by się nie bał w takiej sytuacji. Właściwie nie znali się, bo ile chłopak zdołał zapamiętać z dzieciństwa? Zresztą także wspomnienia, jakie pozostały mu z tamtego okresu, nie przedstawiały Colina w najkorzystniejszym świetle. Po latach spędzili razem parę dni, Colin zasypał Mata szokującymi informacjami, a potem rozstali się na kilkanaście miesięcy.

Wilkołak porwał chłopakowi siostrę, wilkołaki zabiły jego kolegów, a on sam i jego dziewczyna cudem ocaleli z pogromu. Co Mat miał sobie myśleć o członkach społeczności?

Że wcale nie są bestiami, niczym nie różnią się od ludzi i marzą wyłącznie o pokojowej koegzystencji? Zwłaszcza gdy rodzony brat właśnie zasugerował, że za chwilę go rozszarpie.

Colin całym wysiłkiem woli zepchnął myśli z powrotem na sprawę prowadzonych przez organizację eksperymentów. Niemniej tutaj Mat również musiał nieproszony wychylić się przed szereg. Colin zadał już sobie podobne pytanie: jakie zalety mają nieświadomi z punktu widzenia organizacji? Jeśli spojrzeć na nieświadomego jako na zwarty organizm, z takim osobnikiem wiąże się więcej problemów niż pożytku. Kiedy wszakże analizować poszczególne cechy, wówczas podatność na dominację rzeczywiście wydaje się bardzo pożądaną właściwością.

Nieświadomi słuchają się każdego świadomego, nawet najslabszej bety - kiedy są przebudzeni. Przed przebudzeniem często w ogóle nie reagują na dominację, a po uśpieniu także przeważnie stają się na nią znacznie mniej podatni. Niestety, przebudzona zerówka oznacza kłopoty. Gdyby natomiast zdołano wszczepić podatność na dominację zwykłemu człowiekowi...

Tylko czy warto inwestować tyle środków w badania, żeby stworzyć grupkę posłusznych osobników, niewykrywalnych przez łowców czy agencję? Jasne, takie marionetki przydałyby się do wielu celów. Wyszadziłyby się w powietrze w groźnej dla organizacji instytucji rządowej, wyniosłyby potrzebne dane z narażeniem życia, gdyby zaś udało się kogoś takiego wkręcić do ekipy rządzącej, organizacja uzyskałaby wpływ na losy całego państwa.

Do części tego rodzaju zadań można by od biedy wykorzystywać nieświadomych, trzeba by ich jednak utrzymywać w stanie przebudzenia. To z kolei pociągałoby za sobą ryzyko. No i - badający ciało takiego zamachowca łatwiej wykryliby różnicę na poziomie genetycznym między typowym nieświadomym a człowiekiem niż między człowiekiem wzbogaconym o gen podatności na dominację a człowiekiem „normalnym”. Organizacja zaś niewątpliwie chciałaby pozostać w cieniu, winę za poszczególne akcje zwalając na ludzkich terrorystów.

Niemniej organizacja - w osobach kapłanów - na pewno postawiła sobie ambitniejszy cel niż uformowanie oddziału ludzkich marionetek. Przy najbliższej okazji Colin zapyta Tin, czy doczytała się czegoś na temat wirusów genetycznych. Nawet jeśli obecnie nauka nie znalazła się jeszcze na dostatecznie zaawansowanym poziomie, żeby można było stworzyć takiego wirusa - trwale zmieniającego ludzki genom tak, by została w nim zaprogramowana podatność na dominację - prędzej czy później stanie się to możliwe.

Kapłani szukali na razie właściwego algorytmu: starali się opracować prototyp

człowieka podatnego na dominację. Bardzo wczesnie przebudzonego nieświadomego - przypuszczalnie dlatego Dirk bez trudu zidentyfikował tamtego dzieciaka - którego jedyną wilkołaczą cechą będzie posłuszeństwo wobec świadomych. Gdyby ktoś ich nakrył, zasłoniliby się wyjaśnieniem, że działają dla dobra ludzkości. Członkowie społeczności są znacznie zdrowsi, żyją dłużej.

Cholera, nie potrzebowali tworzyć wirusa, a potem w sekrecie go aplikować - wystarczyłaby „superszczepionka”, zabezpieczająca przed większością chorób. Czy ludzie nie chcieliby ochronić swych dzieci przed rakiem czy chorobami serca w zamian za ten drobny efekt uboczny, jakim jest potencjalna uległość wobec świadomych? Świadomi i tak nie korzystałoby ze swej przewagi, ewentualnie robiliby to w sytuacjach, kiedy człowiek zagroziłby im bezpośrednio - ale takie rozwiązanie byłoby przecież lepsze od zabijania w samoobronie.

Wprawdzie władza pierwszego lepszego świadomego nad ludźmi - czy choćby tylko władza alf - doprowadziłaby wkrótce do całkowitego wyzwolenia społeczności spod wpływu kapłanów... Ale diabli wiedzą, jaka idea przyświeca tym draniom. Może właśnie: „pełna swoboda w bezpiecznym świecie”, a aktualne manipulowanie społecznością i likwidację co bardziej podskakujących osobników uważają oni za uświęcone przez cel środki?

Do wszystkich tych wniosków Colin doszedł wcześniej, zanim Mat z taką dumą obwieścił, że jego zdaniem badania Karala obracały się wokół podatności na dominację. I co? Teraz gówniarz będzie uważał siebie za autora teorii, brata zaś jedynie za marnego naśladowcę.

Colin zacisnął zęby. Psiakrew, prawie odzyskał spokój, po czym znów zaczął się nakręcać.

- Wysadzę cię w Berlinie - powiedział. - Wsiądziesz do pociągu i dołączysz do dziewczyn. Umówiliście się z Carol na kontakt mejlowy?

- Na miejscu ma kupić telefon na kartę, prześle mi numer szyfrem - odparł Mat. - A gdybym się uparł, że chcę jechać z tobą?

- Rzeczywiście nadal chcesz? - Colin wbijał wzrok w drogę. - Działasz mi na nerwy, Mat - dodał po niedługiej przerwie. - Za bardzo przypominasz mi ojca. Kiedy cię widzę, aż we mnie kipi. Nieważne, czy starasz się być miły, czy się rzucasz, jaką minę zrobisz. Gadasz czy milczysz. W twojej obecności momentalnie ogarnia mnie wściekłość.

- Czy ty mi usiłujesz powiedzieć... że możesz stracić panowanie nad sobą? - zapytał Mat.

Tak, dokładnie tego dotyczyła wypowiedź Colina. Wściekał się... no właśnie... kiedy

ktokolwiek zarzucał mu brak samokontroli, ale prawda przedstawiała się tak, że w każdej chwili był gotów przeciągnąć Matowi pazurami po gardle. Bez namysłu, zaślepiiony furją, narosła w nim gwałtownie z byle błałego powodu. A to nie był Caramel, który po czymś takim ozdrowiałby w pół godziny - lub wręcz wykazał się dostatecznym refleksem, żeby odparować cios.

- Nie, oczywiście, że nie - zapewnił Colin tonem sugerującym oburzenie, że Mat w ogóle mógł w ten sposób zinterpretować jego słowa. - Nawiązuję do tego, że mnie rozpraszasz. Przez Udonę straciłem mnóstwo czasu, więc teraz, kiedy wreszcie zacząłem w pełni świadomie podejmować decyzje, powinienem ostro wziąć się do dzieła. Jednak twoja obecność wytrąca mnie z rytmu. Poza tym, Mat... Oburzaj się, jeśli chcesz, ale wygodniej mi będzie bez ciebie. Poczuję się spokojniejszy, wiedząc, że masz oko na Tin, a ona na ciebie.

- Wszystko rozbija się o to, że nie jestem taki jak ty - mruknął Mat. - Jak Caramel.

- A żebyś wiedział. Pięć dni temu zarobiłem postrzał, którego człowiek by nie przeżył. Wyglądam na choć trochę osłabionego? Ty zwichniesz nogę i będziesz unieruchomiony na kilka tygodni. - Albo oberwie od Colina i skona mu na rękach. - Przykro mi, ale fakt, że nie jesteś taki jak ja i Caramel, odgrywa cholernie istotną rolę.

- Ktoś ci jednak musiał tę kulkę wyciągnąć - stwierdził Mat, wyglądając przez okno. Jego słowa zabrzmiały jak neutralny komentarz, nie zaś usiłowanie protestu.

- Powiem Tin, że przyjeżdżasz - odezwał się Colin po krótkim milczeniu. - Jest w miarę wcześnie, powinieneś złapać jakiś pociąg. Jeśli się nie zdzwonicie z Carol, będziesz na nią czekać codziennie o dziesiątej i dziewiętnastej na dworcu... W tej nieszczęsnej Warszawie mają chyba jakiś główny dworzec? I numerowane perony? Będziesz czekał na nią na peronie pierwszym lub peronie A. Pasuje?

- Chłopaki... zapomnieli o sprawie, nie było tematu - powiedział Mat, ciągle patrząc w okno. - Nawet Martin odpuścił. Dobra, czasem coś się zgadło, ale nie starali się niczego opublikować, zainteresować kogoś... Twoi kochani ziomale wykończyli ich bez powodu.

- Nie zauważyłeś - wycedził Colin, zaciskając dłonie na kierownicy - że jestem nieco skonfliktowany z moimi kochanymi ziomalami? Co mam ci powiedzieć? Przykro mi. Ale nie ja ich zabiłem.

Mat tylko sapnął.

- Mogę przekazać Tin, że będziesz dzisiaj w Warszawie? - zapytał znów Colin; Mat jak dotąd nie wyraził otwarcie zgody na zmianę planów.

- Tak - mruknął chłopak, przygaszony. - Pojadę do tej cholernej Warszawy.

Podejrzenie łatwo ustąpił. Ale chyba sam widział, podobnie jak wcześniej w knajpie,

że współpraca się nie ułoży.

- Tin! - zawołał Colin w myślach. Powiadomi ją o przyjeździe Mata, a przy okazji poprosi, żeby miała na gówniarza oko, na wypadek gdyby zaczął coś kombinować. - Tin! Tin, nie odcinaj się ode mnie!

Cholera, znowu o coś się obraziła? Parę razy krótko z nią gadał w drodze do Drezna. No tak, przy okazji ostatniej rozmowy zbyt nachalnie dopytywał się, czy Antoine aby na pewno zachowuje się normalnie, aż wreszcie Tin w kilku dosadnych - jak na nią - słowach wyjaśniła mu, co sądzi na temat ciągłych oskarżeń pod adresem jej przybranego ojca. Niemniej przy rozstaniu uzgodnili, że będą w stałym kontakcie, bez względu na okoliczności.

- Tin! - zawołał ponownie, czując narastającą złość. Nie powinna wykręcać mu takich numerów. - Tin, do diabła!

Znienacka do Colina dotarło, że coś nie gra. Żyła, niewątpliwie - wyczuwał nić jej życia, nieodwołalnie splecioną z jego własną. Wiedziałyby, gdyby została przerwana. A jednak stało się coś złego.

- Uważaj! - wrzasnął Mat.

Colin nadepnął na hamulec, ujrawszy zbliżający się w błyskawicznym tempie zderzak samochodu przed nim. Zdażył, ale solidnie nimi szarpnęło, pasy się zablokowały.

- Kurwa - sapnął Mat, nieco na bezdechu.

- Coś się stało Tin - powiedział beznamiętnie Colin.

Jechali dalej, kierowca przed nimi chciał chyba wyczytać się w tablicę informującą o najbliższym zjeździe i dlatego niebezpiecznie zwolnił. Albo to Colin, ogarnięty paniką, impulsywnie docisnął pedał gazu?

- Co? - dopytywał się Mat. - Co się jej stało? Co z Carol? Colin...

- Gdybym to, kurwa, wiedział... - wycedził Colin. Nie dokończył, bo wydłużyła mu się szczęka.

Mat na szczęście umilkł. Colin walczył, żeby cofnąć przemianę. Gwałtownie zjechał na boczny pas.

- Wsiadaj - powiedział. Zdołał odzyskać samokontrolę. Miał nadzieję, że na dostatecznie długo.

- Ale tutaj... Carol...

- Wsiadaj - powtórzył Colin, przymykając powieki.